This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

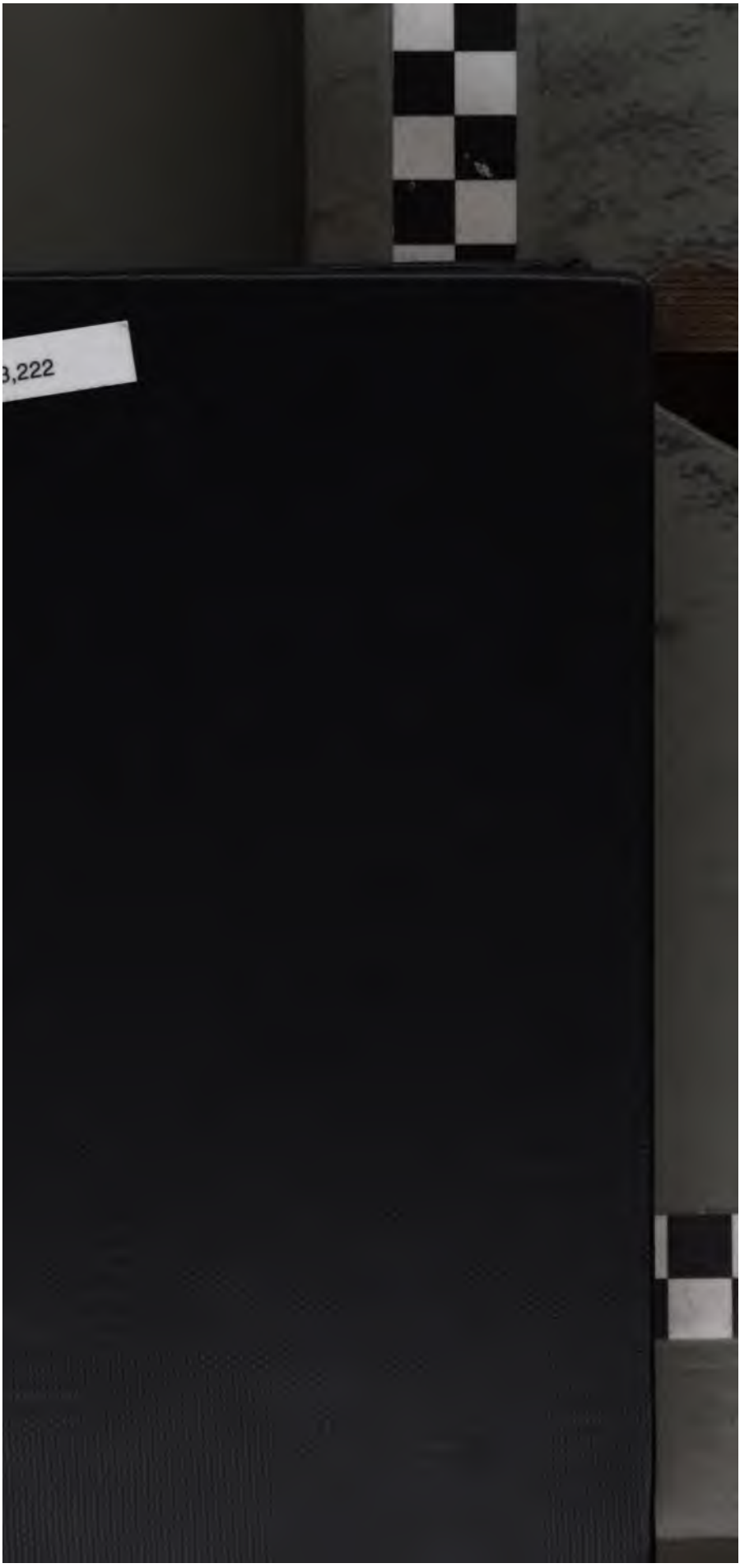
3,222

PROPERTY OF
The University of Michigan Libraries
1817
ARTES SCIENTIA VERITAS

Chmielowski, Piotr

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

ZARYSY LITERACKIE

SKREŚLONE PRZEZ

PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.— MICHAŁ CZAJKOWSKI.
HENRYK HR. RZEWUSKI. — ZYGMUNT KACZKOWSKI.
JAN ZACHARYASIEWICZ. — TEODOR TOMASZ JEŻ.
HENRYK SIENKIEWICZ.

KRAKÓW.
NAKŁAD KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO I K. J. HEUMANNA
1887.

891.859
C54e7.a

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Sp., pod zarz. J. Gadowskiego.

764824

Niepotrzeba podobno dowodzić długo i szeroko, że rodzajem literatury, największy wpływ na ogół wywierającym, jest powieść; fakt ten bowiem łatwo może sprawdzić każdy doświadczeniem codziennem. Nie badając początku i stopniowego rozwoju wpływu tego, nie wchodząc w przyczyny i skutki, a biorąc go jedynie takim, jakim się obecnie przedstawia, zwrócę uwagę czytelników na to, że nietylko ciekawą, ale nawet bardzo ważną jest rzeczą zbadać, jakie są cechy jego, to jest, jaką karm duchową powieść nasza daje publiczności, jakie ideały stawia przed jéj oczyma, jakie wzory do naśladowania poleca. Idzie tu oczywiście zarówno o moralną jak i o estetyczną wartość ideałów czy wzorów, gdyż oba te względy tak się w powieści przenikają, iż rozłączyć ich bez obrażenia prawdy niepodobna.

Nie myślę bynajmniéj przeceniać doniosłości wpływu wywieranego przez powieści, które się czytają — albo raczéj — czytać się powinny w wieku mającym już pojęcia do pewnego stopnia wyrobione, uczucia zabezpieczone wychowaniem przeciw zmianom zbyt gwałtownym, wolę mniéj więcéj ustaloną. Wychowanie stanowi bezwątpienia o charakterze człowieka; a wpływy późniejsze lekko go tylko zazwyczaj modyfikują. Pomimo to powieść, jak każdy utwór sztuki, posiada środek niemal magiczny działania na umysły a mianowicie na wyobraźnie — posiada artyzm, za pomocą którego może wrażliwą duszą owładnąć; w artyz-

mie jest pewien urok, co go potężnym czyni. Pytanie więc, w jakim kierunku potęga ta działa i działać będzie, nie wydaje się wcale błahém i owszem na sumienne zbadanie zasługuje.

Powieść nasza nie ma jeszcze zbyt odległéj poza sobą przeszłości.

Inne europejskie narody niejednokrotnie już mogły obchodzić setne jubileusze narodzin swoich nowel i romansów; dla nas dopiero lata 1876 i 1878 nastręczyły sposobność po temu; wówczas bowiem upłynęło lat sto od ogłoszenia drukiem „Przypadków Doświadczyńskiego“ i „Pana Podstolego“. Jak Włosi od Bokacyusza, Francuzi od Rabelais'go, Hiszpanie od Cervantesa, Anglicy od Richardsona, tak my od Krasickiego datować musimy dzieje tych utworów fantazyi, które takim stały się pokarmem czytającego ogółu, jakim mleko dla niemowląt a wino dla starców — wedle wyrażenia św. Pawła.

Przed Krasickim istniały tylko liche przeróbki utworów cudzoziemskich (Marchołt, Sowizdrzał, Magiellona i t. p.), albo też fantastyczne czy awanturnicze opowiadania własne (Peregrynacya Maćkowa i t. p.), w których o prawdopodobieństwo nie dbano wcale [1]). Krasicki zajął się u nas pierwszy przedstawianiem rzeczywistości, to jest takich ludzi i takich stosunków, jakie w ówczesnéj Polsce istotnie się znajdowały. Już w „Przypadkach Mikołaja Doświadczyńskiego“ nakreślił z satyryczną werwą kilka obrazków zarówno wychowania, jak życia społecznego, palestry i sejmikowania; ale tu nie ustrzegł się jeszcze w zu-

[1]) Mówię tu oczywiście tylko o utworach prozą; wierszem mieliśmy powieści fantastyczne niepośledniéj wartości, oryginalne lub przerobione, Twardowskiego, Potockiego, Drużbackiéj.

pełności owych nieprawdopodobnych przygód na wyspie Nipu, w Potosi, w Marsylii, jakie dawniejszym romansopisarzom tak były ulubione. Dopiero w r. 1778 pojawiła się pierwsza część „Pana Podstolego“, gdzie nie opowiadał już żadnéj nadzwyczajnéj awantury, lecz przeciwnie same codzienne, powszednie sprawy przedstawiał.

I tu wprawdzie nie był on twórcą jakiegoś nowego rodzaju powieści, ale téż nie naśladował wyłącznie nikogo. Telemak Fenelona, opowiadania filozoficzne Woltera, obrazy życia towarzyskiego w romansach Richardsona i Goldsmitha znalazły na kartach „Pana Podstolego“ mniéj lub więcéj głośne echo, ale nie stały się wzorem, od któregoby ani na jednę linię autor nie odstępował. Krasicki wybrał sobie do przedstawienia żywot ziemiański, jego kłopoty i powaby, jego cele i zajęcia, starając się dać jego przedstawicielom dobrą radę, pożyteczną wskazówkę. Żywioł namiętny zupełnie wykluczył ze sfery objętéj utworem swoim; wprawdzie córka Pana Podstolego wychodzi za mąż, ale ani jéj uczucia, ani téż usposobienia kawalera nie poznajemy wcale. Życie spokojne, ciche, bez żadnych zmian gwałtownych, bez żadnych katastrof, płynie tu z dnia na dzień, nie rozbudzając ani wstrząśnień duszy głębokich, ani podnosząc myśli do wyżyn niezwykłych. Najtragiczniejszym wypadkiem jest złamanie się osi u powozu w przejeździe przez nędzne mostki wiejskie, największą uroczystością jest przyjęcie gości lub obchód dożynek. Wśród takiego stanu rzeczy jakąż być może akcya powieści? Prawie żadna. Ludzie się schodzą, rozmawiają, bawią się, tańczą, piją i jedzą; przechadzka po ogrodzie lub w polu, przejechanie z jednéj wsi do drugiéj już się musi zapisać na skali naprężenia akcyi. Rzecz

dziwna, a jednak łatwo usposobieniem autora tłómacząca się, że życie publiczne, choćby tylko agitacya przy wyborach do sejmu, nie weszło wcale do téj idylli, któréj sceną granice wioski.

O kompozycyą artystyczną nie chodziło Krasickiemu bynajmniéj. On rad jest, że może ciągnąć swoje „dyskursa“ podług naturalnego następstwa kojarzenia się myśli; nie zadaje więc sobie pracy utworzenia jakiéjś spójnéj całości, ustosunkowania składających ją części. Zwykły styl listowy wystarcza dla jego celów.

Od tego czasu upłynęło z górą lat sto. Powieść europejska przechodziła w tym okresie liczne i nader ważne w następstwa fazy. Za nią podążała i nasza literatura. A najprzód rozszerzył się zakres tych uczuć i myśli, które w skład powieści wejść musiały; żywioł uczuciowy i namiętny, od czasu Roussa w ogólnéj, od Maryi ks. Wirtemberskiéj w naszéj — stał się nieodzownym, a nawet wysunął się na plan pierwszy, na którym pozostawał nadzwyczaj długo. Następnie wytworzyły się różnorodne kierunki artystyczne i tendencye społeczne; ekonomika, filozofia, propaganda religijna, demokratyczna, zachowawcza i radykalna posiadły w utworach fantazyi rzeczników zdolnych, mniéj lub więcéj namiętnych. Jean Paul Richter, Hoffman, Washington Irving; Walterscott, Cooper; Sue, Sand, Dumas, Dickens, Bulwer; Balzac, Flaubert, Zola nie napróżno do ogółu europejskiego przemawiali; rodzaj ich twórczości pobudzał i naszych powieściopisarzów już to do prostego naśladownictwa, już téż do spółzawodniczenia z wielkimi przywódcami ruchu powieściopisarskiego w Europie.

Obok rozszerzenia sfery myśli i pomnożenia pierwiast-

ków składowych powieści nastąpiło pogłębienie w badaniu a zwłaszcza w malowaniu charakterów. Postaci powieściowe przeszły powoli a stopniowo ze stanu szkiców, w których zaledwie znać główne linie, do potęgi barwnych i życiem obdarzonych malowideł; obrazy społeczeństwa zyskały wyrazistość, istniejąc już dla samych siebie, a nie dla wyłożenia jakiéjś rady praktycznéj, jakiegoś nauczającego dyskursu. Poczucie powabu lub grozy natury i stosunku jéj objawów do życia ludzkiego przestało być przynajmniéj w części wmówioném, bo z naśladowania jedynie wynikłém, lecz przeniknęło do głębi duszy zarówno powieściopisarza jak i czytelników.

Pomimo jednak tych wielkich i ważnych zmian, jakim powieść nasza w przeciągu lat stu uległa, ma ona jeszcze i dzisiaj pewne cechy, świadczące o jéj pokrewieństwie z „Panem Podstolim“. Jak tu, tak i w dzisiejszych utworach żywot ziemiański stanowi treść przeważnéj ich liczby, gdy inne klasy narodu wchodzą do powieści naszych epizodycznie tylko, rzadko dając osnowę dziełom niemi wyłącznie zajętym. I dzisiaj jeszcze powieściopisarze nasi patrzą na ludzi zazwyczaj powierzchu tylko; opisują ich fizyognomie, ich ruchy, ich obyczaje, ale do głębszéj analizy ich duszy pospolicie się nie zabierają. Toż wiadomo, że najlepszemi postaciami powieści naszéj są te właśnie, które mają serce na języku, które przejrzeć można odrazu na wylot. To téż i akcya powieści naszych porusza się żółwio; brak jéj rozmaitości i szybszego rozwoju. Fantazya miernego polotu, myśli powszednie i niezbyt szeroki widnokrąg obejmujące, charaktery giętkie albo nijakie, brak hartu woli: oto piętno osób przedstawianych zwykle przez na-

szych powieściopisarzy. A i w kompozycyi niezupełnieśmy się jeszcze pozbyli wad Krasickiego. Wprawdzie w poszczególnych scenach znać artyzm prawdziwy, nieraz niepowszedni, a nawet wielki; w malowaniu charakterów zwłaszcza średniéj miary zastanawia plastyka wspaniała; w sytuacyach — naturalność, tragiczność czy komizm; — całość atoli często takie pod względem artystycznym braki przedstawia, że nie budzi w zupełności zadowolenia estetycznego. Rozumie się, że mówię tu o wysokich wymaganiach sztuki, a nie o prostych przymiotach zaciekawiania lub rozrzewniania czytelników; przyczém dodać trzeba, że i powieści innych narodów, z tego punktu rozpatrywane, niezbyt często wszystkim warunkom doskonałości czynią zadość.

Nie mamy jeszcze historyi powieści naszéj, którąby nam wykazała wpływy cudzoziemskie, jakie na jéj ukształtowanie oddziałały, oraz rozwój wewnętrzny, jakiemu w przeciągu lat wielu uległa; niektóre tylko jéj szczegóły lub okresy są obrobione. Pierwszy Kraszewski, zaledwie wstąpiwszy na widownią powieściopisarską, już się zaprzątnął dziejami tego rodzaju literackiego, który miał zreformować, i napisał krótki przegląd krytyczny najważniejszych w nim objawów do roku 1836, kiedy się ten właśnie przegląd jego ukazał w *Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych* p. n. „O polskich romansopisarzach“. Artykuł ten wywołał znaczne zajęcie z powodu nowości swojéj, oraz śmiałości sądów w nim zawartych; mówiono i pisano o nim, przedrukowywano go. Niebawem Michał Grabowski w 3 i 4 tomie swojéj „Literatury i Krytyki“ (r. 1840) pomieścił dość obszerną rozprawę p. n. „Literatura romansu w Polsce“, w któréj prócz uwag ogólnych o powieściopisarstwie zwła-

szcza historycznem zawarł ocenę twórczości Bernatowicza, księżnéj Wirtemberskiéj, Jaraczewskiéj, Tańskiéj, Wójcickiego, Gorczyńskiego, Magnuszewskiego, oraz pierwszych prób Kraszewskiego. Od tego czasu przez długie lata pisano wprawdzie nieraz bardzo szczegółowe rozbiory nowo wychodzących powieści, przedstawiano życiorysy poszczególnych powieściopisarzy, ale ogólny obraz naszego romansu pozostał nietknięty. Dopiero w roku 1867 Adam Bełcikowski miał odczyt publiczny o „naszém najdawniejszém powieściopisarstwie“ [1]), w którym dał zarys zarówno prozaicznych jak i wierszowanych utworów tego rodzaju aż do wieku XVIII. W kilka lat potém, 1871 Stanisław Tarnowski ogłosił swój odczyt o „Romansie polskim w wieku XIX“, gdzie uwzględniwszy parę powieści z poprzedniego stulecia, roztrząsnął twórczość główniejszych przedstawicieli naszéj powieści obyczajowéj i historycznéj przed rokiem 1830.

Książka obecna rozpoczyna się właśnie rokiem 1830, w którym Kraszewski pisać do druku rozpoczął i pierwsze swoje powieści utworzył; nie jest wszakże moim zamiarem podać w niéj historyę naszego romansu nowożytnego; obrałem sobie zakres pracy skromniejszy. Nie wyczerpanie przedmiotu, nie przedstawienie działalności wszystkich autorów, którzy w bliższych nas czasach żyli i pisali, lecz zobrazowanie najznakomitszych jedynie przedstawicieli nowszéj powieści, z pominięciem ich naśladowców, jak niemniéj i kobiet, którym oddzielną poświęcam pracę, stanowi treść zbioru studyów niniejszych. Jak pojmowano przeszłość i teraźniejszość naszę, jakie osoby za godne artystycznego

[1]) Obecnie rzecz ta znajduje się w księdze Bełcikowskiego: „Ze studyów nad literaturą polską“. Warszawa 1886.

odtworzenia poczytywano, jakie ideały wybierano, co, słowem, powoływano do życia nowego — w dziedzinie sztuki: oto zagadnienia, które postaram się uwydatnić i rozjaśnić. Nie chcę przecież narzucać swoich poglądów i przekonań dogmatycznie, kreśląc je ogólnikowo, bez poparcia odpowiedniemi dowodami; przeciwnie postaram się przesunąć przed oczyma wyobraźni czytelnika szereg obrazków wiernie według oryginału odtworzonych, rachując przytém na jego imaginacyę dopełniającą, która z własnych wspomnień, odświeżonych przytoczeniami, dostarczy barw do odtworzenia w całéj świetności postaci i scen szkicowo przeze mnie nakreślonych. Tym sposobem zawiąże się ścisły stosunek pomiędzy piszącym a czytelnikiem, nastąpi wzajemna myśli wymiana. Czytelnik, mając uprzytomniony pewien obraz, może go porównać z własnemi wspomnieniami i uznać jego trafność lub też poczynić mu pewne zarzuty; może się zatém zgodzić albo nie zgodzić na sąd piszącego o autorach i ich ideałach, które przedstawiał; w każdym zaś razie będzie mógł sobie wyrobić sąd o nich własny, co przecież każdéj pracy duchowéj głównym celem być winno.

Warszawa 15 maja 1886 r.

Piotr Chmielowski.

I.

ÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

(pierwsze dziesięciolecie).

Za szczęśliwych wieków piękna greckiego zarówno wielcy mistrzowie słowa, jak i wielcy wirtuozi siły fizycznéj otrzymywali poklask zebranego na igrzyska narodu i wieniec zwycięstwa. Bywała to świetna oznaka szczerego uznania i głębokiéj czci dla tych wszystkich, co nad linię pospolitości wyrośli. Ale oznaka ta, przedstawiana przez szczupłą stosunkowo garstkę, chociaż się ta garstka dumnie narodem nazywała, i to w czasach, kiedy czynniki społeczne działały nadzwyczaj jeszcze spójnie, gromadnie, nie rozpraszając się na silnie uwydatnione indywidualizmy, — czyż może iść w porównanie z temi objawami, jakiemi dzisiaj, w epoce rozpraszania się uczuć i sądów gromadnych na jednostkowe, wszystkie klasy narodu w szerokiém i prawdziwém znaczeniu tego wyrazu wdzięczność swoję względem przedstawicieli i przewodników swych wyrażają?.. Wprawdzie owe wspomnienia, młodzieńczéj fantazyi blaskiem opromienione, nie dadzą się zatrzéć opisami najwspanialszych nawet uroczystości, które obecnie chłodnym rozsądkiem oceniamy; wprawdzie wyobraźnia zawsze uciekać będzie w owe błogie czasy, ażeby się orzeźwić i pokrzepić pięknemi obrazami, które się tém piękniejszemi wydają, im większa mgła oddalenia od nas je oddziela; rozwaga atoli przyznać będzie musiała, że hołd dzisiejszych społeczeństw, jeżeli nie głębokością i szczerością, to przynajmniéj powszechnością przewyższa wszystkie starożytne wawrzyny.

Ten charakter hołdu jest bezwątpienia wynikiem zwiększonéj trudności, z jaką się zyskuje. Jeżeli niegdyś jeden czyn bohaterski, jedno dzieło piękne wywoływało nagrody, dzisiaj potrzeba szeregu czynów i szeregu dzieł, ażeby do nagrody narodowéj mieć prawo, chociaż i w takim razie nie można być jeszcze pewnym, czy ta nagroda nie stanie się tylko postulatem. Częstokroć największe gieniusze, nadające nowy popęd prądowi życia społecznego, przechodzą dzisiaj ciernistą drogę ubóstwa, zapomnienia, albo nawet potwarzy; częstokroć olbrzymie talenta, pojone goryczą nieuznania, trawią się w sobie i schodzą ze świata zapóźno dla siebie, zbyt wcześnie dla kraju. Rzadkość hołdu dodaje mu tém niepospolitszego znaczenia.

Zpomiędzy naszych olbrzymów słowa jeden zmarł w biedzie, drugi w zapomnieniu, trzeci nieznany prawie pod właściwém swojém nazwiskiem. Nietylko nie mogliśmy złożyć im uczczenia, któreby choć w części wyraziło wdzięczność naszę za to, czém duchowo jesteśmy, ale nie byliśmy potemu dostatecznie przygotowani. Pomysły wielkich mistrzów znajdowały odgłos wśród niewielkiéj liczby czujących i myślących, a do masy ogółu przenikały bardzo powoli, tak, że oprócz tego lub owego nazwiska, prócz tego lub owego utworu niewiele zresztą pozostawało na dnie serca i pamięci.

Inni poeci, już-to spółuczestnicy, już-to epigonowie wielkiéj poezyi, jak Pol i Syrokomla, doznawali cząstkowego uznania, które nie przechodziło zazwyczaj rozmiarów uroczystości familijnéj. Pisma ich znane były daleko lepiéj aniżeli owych olbrzymów, pomysły ich przemawiały zrozumialéj do serc i umysłów; niejeden nawet, zwyczajnym u nas trybem bezkrytycznego zestawiania wielkiego z małém, uważał tych piewców za gieniusze większe od tamtych.

Przyszła nareszcie pora i dla nas, że mogliśmy i czu-

liśmy nieodzowną potrzebę upamiętnienia zasług pisarskich męża, który wystąpiwszy równocześnie prawie ze Słowackim i Krasińskim, utworami swojemi przeniknął zarówno w wyższe, jak w niższe sfery społeczne i stał się przez to najpopularniejszym w całym zakresie piśmiennictwa naszego.

Nie posiadając twórczego gieniuszu w najwyższém znaczeniu tego słowa, ale za to celując nadzwyczajnym talentem odtwarzającym, zstąpił on z wyżyn poezyi na grunt rzeczywistości i ukazał nam w wiernem zwierciedle nasze życie domowe i towarzyskie ze wszystkiemi jego radościami i cierpieniami, z całym heroizmem i małostkami, z całém ukształceniem i zabytkami patryarchalnéj prostoty. Arystokracya i lud, szlachta we wszystkich odcieniach zamożności i pretensyj, mieszczanie i żydzi, rzemieślnicy osiadli i koczujące gromadki cyganów: słowem — wszystkie pierwiastki składowe naszego bytu społecznego, odbiły się w tém zwierciedle z taką samą prawdą i żywością, jak obrazy naszych wsi i miasteczek, naszych miast i zaułków, naszych piasków i puszcz lesistych. A wszystko to ukazywało się w takiéj ciepłéj, miłéj, serdecznéj atmosferze; wszystko okraszone było słowem podniosłém lub dowcipném, uczuciem kochającém, które nic i nikogo nie chciało wyłączać, ale wszystkich przygarnąć i skupić; że czytelnik pomimowoli, jakby pociągnięty siłą nieprzepartą, ulegał urokowi tych nieprzeliczonych zastępów powieściowych utworów, które Kraszewski nowym duchem natchnął i do pracy około rozkrzewiania szlachetnych idei wyćwiczył. Przenikały też zastępy te i do chat słomą krytych i do warsztatów i do dworków, a jeżeli nie zawsze chętnie widywane były w pałacach, to przecież i tam znajdowały dostęp i rugowały stamtąd nieprzyjaciół w postaci romansów francuskich. Tajemnica tego zwycięskiego pochodu spoczywała nietylko w sile talentu, lecz nadewszystko w téj potędze nieprzepartéj, która ludzi

ze sobą jednoczy i zespala, brata i uszlachetnia, w miłości wszystkich członków społeczeństwa, w serdecznem do nich przywiązaniu, bez upośledzenia jednych na korzyść drugich.

Jeżeli czytelnictwo nasze rozszerzyło swe kręgi; jeżeli się stało potrzebą życia duchowego — tak dalece, że produkcya własna utworów powieściowych nie wystarcza; to winniśmy to w znacznéj części Kraszewskiemu.

Nie chcemy grzeszyć przesadą i narażać się na zarzut nieświadomości, lub też niewdzięczności względem innych pracowników na polu pracy duchowéj; nie twierdzimy więc z emfazą, że Kraszewski nauczył nas czytać.

Rozważając bowiem najnowszy okres oświaty naszéj, budzącéj się wśród mroków panowania saskiego, widzimy najprzód ogromny ruch literacki pisarzów stanisławowskich, a późniéj skrzętną, pracowitą i znaczną działalność tych pisarzów, co początek wieku naszego aż do roku 1830 w rozmaitych kierunkach utworami nauki i sztuki, popularyzowaniem wyników wiedzy i tworzeniem nowych teoryj uświetnili. Romantyzm rozbudził ducha w dziedzinie uczucia i fantazyi, zwrócił uwagę najprzód na poezyę ludową, a potém na glebę, na któréj ta poezya urosła, przemawiał językiem porywającym, bo pełnym zapału i głębokiego przekonania.

Kraszewski zastał grunt przygotowany pod bardzo wielu względami. Zainteresowanie się nauką, popierane przez cztery uniwersytety i tyleż towarzystw naukowych; zajęcie się literaturą ojczystą, podsycane coraz to nowemi utworami takiéj wartości, jak Grażyna, Marya, Konrad Wallenrod, Zamek Kaniowski, Rusałki, kiełkowanie poczucia artystycznego pielęgnowane przez wystawy sztuk pięknych; a nadto rozwój środków materyalnych: wszystko to rokowało znakomity postęp i dobrobytu i oświaty. Na nieszczęście kilka miesięcy wystarczyło, ażeby niektóre z tych czynników unicestwić, inne osłabić lub na fantastyczne popchnąć tory. Wprawdzie

poezya rozwijała się daléj i coraz świetniéj, chociaż popadała niejednokrotnie w mglistą fantastykę i mistycyzm, ale poezya ta bardzo niewiele była znaną w kraju, który zresztą wyludnił się podówczas ze swéj inteligencyi. Osamotnieni erudyci odzywali się od czasu do czasu tylko, pisma peryodyczne napełnione były po brzegi tłómaczeniami, a ra czéj były prostym przekładem czasopism francuskich; powieściopisarze zamilkli. Nic więc dziwnego, że publiczność wykształcona, u któréj pozostał nałóg czytania, zwróciła się ponownie do literatury francuskiéj, gdzie znajdowała właśnie twory Wiktora Hugo, Balzaca, George Sanda, Eugieniusza Sue i wielu, wielu innych.

W takiéj to chwili pracę budzenia uśpionego życia umysłowego swojskiego wziął na siebie Kraszewski i zrazu lekkiemi satyrycznemi wycieczkami karcił ospalstwo i lenistwo, brak poczucia godności społecznéj i niechęć dla literatury miejscowéj, a potém serdecznem słowem kreślił obyczajowe rysy swego społeczeństwa i uczył je kochać samo siebie i zajmować się sobą. Nie ulega to żadnéj wątpliwości, że dopiero jego przykład powołał na widownię powieściową tak wielką siłę, jaką przedstawiał Józef Korzeniowski, tudzież te mniejsze jak: Chodźko, Grabowski, nie licząc mnogich późniejszych naśladowców.

Obdarzony wrażliwością nadzwyczajną, odczuwał on najlżejsze nawet zmiany w usposobieniu ogólném i przez to stawał się najdokładniejszym wyobrazicielem tego usposobienia. Nie znaczy to bynajmniéj, żeby był tylko bierną kliszą fotograficzną, którąby odbijała wszystko, co na promieniach słońca do niéj dojdzie; niejednokrotnie owszem występował Kraszewski jako inicyator pewnych nowych kierunków, zawsze w pobudkach szlachetnych. Tylko inicyatywa ta miała zawsze charakter skromny pod względem rozmiarów i nie sięgała szerokich horyzontów obejmujących

całe życie społeczne. I w tym obrębie działalność jego przynosiła owoce zbawienne, zasilała umysły, budziła do życia, wywoływała przedsięwzięcia, mające na celu dobro ogólne. Tam natomiast, gdzie chodziło o zagadnienia szerszéj natury, o program postępowania ogólnego, rady jego, ulegając zmiennemu a niepospolicie ruchliwemu usposobieniu wyobraźni, nie odznaczały się stanowczością i częstym ulegały modyfikacyom. Nie chcąc być jednostronnym, bywał czasami chwiejnym. Gdy kraj zaledwie zaczynał poznawać potrzebę swojskiego przemysłu; gdy zaledwie pierwsze robiono usiłowania, by pracy nadać jakąś regularność i porządek: autor „Chorób wieku“ nie omieszkał napiętnować dążności téj mianem materyalizmu. Gdy chodziło o to, aby spokojném i karném zachowaniem się wywalczyć sobie lepszą przyszłość, Kraszewski nie znalazł dosyć potężnych słów, ażeby usiłowania te poprzeć i popularnością swoją ugruntować. Jednakże i to dodać trzeba, że z godną uznania otwartością do błędów się przyznawał; i zarówno pierwsze jak i drugie zaznaczone tu wystąpienie umiał po pewnym czasie zmodyfikować i fantazyę uczuciową w karby rozumu wprowadzić.

A obok tego czyż potrzeba przypominać, że on jeden z pierwszych w kraju wskazał smutne następstwa poddańczéj doli ludu wiejskiego i porywającemi obrazami więcéj zapewne przemówił do serca, niż niejedna gruntowna ekonomiczno-polityczna rozprawa? Przyszłość nie zapomni téj wielkiéj zasługi, jaką w swoim czasie, w téj właśnie tak doniosłéj sprawie położył autor „Ulany“ i „Budnika“. A któż nie uczci téj odwagi cywilnéj, z jaką wytykał wady, błędy i zdrożności swoich spółpowietników, chociaż wiedział, że się narazi na insynuacye ubliżające i potwarze? Kto dziś dostatecznie ocenić może, ile potrzeba było wytrwałości i poświęcenia, ażeby przez lat dziesięć, bez silnego poparcia ze strony ogółu czytającego, wydawać w Wilnie organ

poświęcony krzewieniu oświaty (*Athenaeum*)? Któż z większą serdecznością garnął do siebie młode talenta, wzywał do uczczenia zasługi, do pamięci o zmarłych pracownikach pióra, pędzla lub dłuta, do pamiętania o potrzebach duchowych spółziomków, o zakładaniu pożytecznych instytucyj?

Wystąpiwszy w czasach, kiedy potrzeba było podjąć pracę polihistora, ażeby skutecznie na społeczeństwo oddziaływać, Kraszewski w różnych dziedzinach wiedzy i sztuki złożył wyniki trudów swoich; brał na siebie ciężary olbrzymie i dźwigał je niestrudzony, z ciągle odnawiającą się siłą. Ciężary te przytłaczały czasami barki sędziwego pisarza, zwłaszcza gdy robił *Rachunki* z całego życia społecznego; a różnorodność prac, zadraśnięcie cudzych przekonań i interesów sprowadzało nań bóle i cierpienia. W każdym jednak razie, pomimo całéj różnicy poglądów wśród różnych stronnictw, nikt nie mógł zaprzeczyć, że Kraszewski jest olbrzymem pracy duchowéj, w któréj nigdy nie był rutynistą, zasklepionym w jakimś ciasnym obrębie raz nabytych pojęć i nałogów, ale wiecznie młodym i wiecznie świeżym i dzielnym bojownikiem, walczącym o zdobycie prawdy i o rozszerzenie dobra wśród ludzi.

Pięćdziesiąt z górą lat nieprzerwanéj, ale z każdym rokiem wzmagającéj się pracy są tak doniosłym przykładem dla naszego społeczeństwa, że wobec niego muszą zamilknąć wszelkie głosy niechęci i wszelkie zachcianki stronnicze. Dla społeczeństwa, któremu za największą wadę zarówno obcy jak i swoi poczytują brak wytrwałości, rozpraszanie się na rozmaite drobne robótki bez umiejętnego skupienia ich w jedno ognisko, Kraszewski jest jakby słońcem, które codziennie owocodajną czynność spełnia, raduje serca, zapładnia grunt i do dojrzałości wszystko, co żyje, doprowadza. Od niego każdy pracownik nauczyć się powinien, jak obowiązek swój pojmować i jak go wykonywać potrzeba.

Parę pokoleń przypatruje się już téj cichéj, spokojnéj działalności, która poważnie i skromnie, bez hałaśliwych okrzyków kroczy wytrwale, dzień po dniu, godzina po godzinie, że z całą słusznością, a bez najmniejszéj przesady mogła wziąć za godło swoje: *nulla dies sine linea.* Nie wahamy się twierdzić, że ten przykład pracy dany swojemu społeczeństwu stanowi najświetniejszy liść w wawrzynie zasług naszego powieściopisarza. Dla dobra zarówno jednostek, jak i ogółu, potrzeba jednéj-jedynéj rzeczy: naśladować go w tym względzie jaknajtroskliwiéj.

Nie myślimy kreślić choćby w rysach najogólniejszych charakteru faz téj wieloletniéj pracy; poświęcono temu osobną księgę, która pomimo niepospolitéj objętości nie mogła przecież zawrzeć wszystkiego, coby o artystycznéj i społecznéj stronie działalności Kraszewskiego powiedzieć się dało. Obok powieści, ileż tu dzieł historycznych, ileż korespondencyj, o wszelkich objawach ruchu umysłowego zarówno w kraju jak i za granicą, ile wydawnictw podjętych przez jednego człowieka! Samą bibliografią możnaby zapełnić kilka arkuszy druku, a ze zbioru dzieł utworzyć pokaźną bibliotekę.

Mając tu przedstawić pierwsze jedynie dziesięciolecie téj niesłychanéj płodności, mogę i powinienem wielką jéj doniosłość zaznaczyć. Rzeczywiście ogół tu imponuje, ogół daje autorowi prawo do wdzięczności i hołdu, który mu wszyscy bez wyjątku składają. Z błogiém zadowoleniem spogląda zapewne Kraszewski na przebieżoną drogę, a choć wspomnienie ukazuje mu na niéj niejeden cierń, to przekonanie o mężnie spełnioném dziele wspomnieniu temu całą cierpkość odejmie. Doczekał się chwili, któréj tylu nie dożyło, że nietylko wszystkie klasy narodu własnego, ale i kraje obce, a szczególniéj słowiańskie widzą w nim wielkiego bojownika oświaty, zasłużonego obywatela i znakomitego pi-

sarza. Kto tylko odczuwa znaczenie literatury dla narodu, powtórzy wraz z Asnykiem:

Szczęśliwy, kto szedł naprzód w znoju
Z hasłami, które ludzkość budzą,
I walcząc w ciszy i pokoju,
Dokonał ludzkich dusz podboju,
Niezaćmionego krzywdą cudzą.

* * *

„Choćbyście mnie mieli ukamienować, zabić, ukrzyżować lub głodem umorzyć za mój ciężki grzech, ja taki muszę pisać. Tak jest, muszę: nie nazwę tego inaczéj jak *musem*. Oto trzeci dzień drogi, a już nie mogę pohamować *nieszczęsnego popędu;* chwytam żydowsko-obrzydliwy, splugawiony kałamarz, pióro wychełtane brudnemi ich rękoma; zamykam się w sobie i piszę. Nie tyle mi dojmuje niewygoda podróży, nie tyle reumatyzmy, nie tyle głód, nie tyle krzyki całéj synagogi, przez ścianę sanhedrynującéj, ile ta potrzeba pisania, pragnienie wylania się. Jakże teraz słodko dorwać się pióra i znowu wjechać w ten świat o tyle lepszy od rzeczywistego, w świat myśli, marzeń, rozpraw; świat pośredni między dwoma, które znamy, przedsionek świata, którego pojąć nie umiemy: duchów i aniołów".

Tak pisał Kraszewski do „Tygodnika Petersburskiego" [1]) wówczas, gdy miał dopiero 9 lat czynnéj służby piśmienniczéj. Następne lat 40 i kilka przekonały, że ów *mus* pisania nie był czczym wyrazem, dla efektu jedynie użytym, albo przemijającą tylko zachciankę malującym, lecz najdobitniejszém i najwłaściwszém określeniem prawdziwego powołania au-

[1]) Tygod. Petersb. 1838, Nr. 38 w artykule p. n.: „Podróż po szybach karczemnych", datowanym z Drohiczyna 11 kwietnia. Przedrukował go potém Kraszewski w „Obrazach z życia i podróży" 1842, tom I, str. 139—149.

torskiego, które potrafi wszystkie przeszkody usunąć, wszystkie trudności zwalczyć, wszystkie zawody i cierpienia znieść, ażeby się w końcu wszechstronnym na ogół wpływem i uznaniem swych zasług uwieńczyć. Nieszczęsny popęd przez Kraszewskiego wspomniany stał się twórcą całéj biblioteki, która nigdy pustkami nie stoi, ale przeciwnie zawsze zgromadza w sobie tłumy żądnych oświaty i zadowolenia estetycznego. Szczęście to dla nas, że go Kraszewski pohamować nie mógł, gdyż z kilkuset-tomowych jego wyników liczne pokolenia korzystały i korzystać będą.

Ta nadzwyczajna płodność autorska, któréj wiernie sprzymierzoną była zawsze łatwość tworzenia, przejmuje nas nietylko wdzięcznością, ale i zdumieniem. Jakto? Jeden człowiek daje nam setki powieści, pisze całe tomy poezyi, okurza z wiekowego pyłu dokumenta dziejowe i układa monografie historyczne, pracuje nad sztuką i archeologią, zajmuje się filozofią i naukami społecznemi, redaguje pisma, wydaje pamiętniki, cały ruch umysłowy w świecie ucywilizowanym ujmuje w krótkie sprawozdania; a oprócz tego wszystkiego ma czas jeszcze na rysunek, malowidło, muzykę... Gdy zamierzono obrachować się z tém, co jeden Kraszewski utworzył, wezwano kilkunastu rachmistrzów, a i ci nie są jeszcze pewni, czy pracy podjętéj należycie podołali.

Dla psychologa i estetyka przedstawia się w téj olbrzymiéj działalności obszerne pole do spostrzeżeń. Rozrost talentu, jego dojrzałość, są dla estetyka najmilszym bezwątpienia przedmiotem badań, gdyż w utworach skończonych a świetnych znajdzie najwięcéj sposobności do rozkoszowania się pięknem i wskazania go innym. Pierwsze atoli zawiązki talentu, jego próby i usiłowania, jego nawet błędy, dla psychologa i historyka literatury są może najciekawsze;

bo go naprowadzają na ślady téj tak zawiłéj zagadki, która się twórczością nazywa, i dają mu możność wyjaśnienia sobie gienezy indywidualności pisarskiéj.

I.

Kiedy Kraszewski przybywał do Wilna dla dokończenia wykształcenia, uniwersytet tameczny od lat kilku ulegał dezorganizacyi. Profesorowie, którzy stanowili dawniéj jego sławę i ruch naukowy wkoło siebie wywoływali, albo pomarli, albo porozjeżdżali się w rozmaite strony kraju. Groddek, Bojanus, J. K. Chodani, Platon Sosnowski, Lobenwein umarli. Józef Frank wyjechał za granicę r. 1823; Lelewel przeniósł się do Warszawy; Jan Śniadecki siedział na wsi, jako emeryt, ostatnich miesięcy życia dokonywając; ks. Stanisław Jundziłł od r. 1824 przestał wykładać historyą naturalną i zawiadywać ogrodem botanicznym; Józef Gołuchowski gospodarował zawzięcie i zamiast Schellinga studyował Priesnitza; Onacewicz pisał swe żale nad marnotrawstwem funduszów uniwersyteckich. Nauka zeszła na drugi plan, a niektórzy jéj przedstawiciele wobec młodzieży i kraju zajęli się robieniem dobrych interesów i dbali przedewszystkiém o karyerę; stąd powstały intrygi, które w dość zgodném niegdyś ciele nauczycielskiém zaprowadziły zamieszanie i niesnaski.

Mimo to, ilość studentów była znaczna; w r. 1830/31 wynosiła 1200 [1]).

Kraszewski wstąpił na tak zwany popularnie wydział literacki, który niegdyś tak świetnie się rozwijał, a teraz tak smutnie podupadł, chociaż zawsze jeszcze największą liczbę

[1]) „Tygodnik Petersburski“ r. 1830, Nr. 43 z 29 października, a zatém po zapisie studentów.

studentów ku sobie pociągał. Poczciwy stary Żukowski, samouk, wykładał język hebrajski i grecki; Hryniewicz, uczeń Grodka, daleko pozostał poza mistrzem, a chociaż po łacinie pisał pięknie, nie potrafił przecież dla tego języka obudzić szczerego zapału; Paweł Kukolnik nawet się nie starał braku Lelewela zastąpić i w opowiadaniu dziejów miał wzgląd raczéj na własną osobę, aniżeli na naukę. W filozofii tylko Anioł Dowgird, a w wymowie i historyi literatury Leon Borowski, jakkolwiek bez odznaczających się talentów, uniknęli przecież mierności i mogli większy wpływ na studentów wywierać. Śladów atoli wpływu Dowgirda w początkowych pracach Kraszewskiego odkryć niepodobna, gdyż z nazwisk np. filozofów wspomniany jest tylko jeden *Kant* [1]) z epitetem „ciemny“, któryto epitet w Wilnie od czasów krytyki Kanta przez Śniadeckiego Jana stał się popularny; wykłady za to Borowskiego zaznaczyły się w nich widomie. Leon Borowski był jednym z najlepszych uczniów Grodka; przejął on od niego zamiłowanie do nauk klasycznych i potrafił umiejętnie je stosować do badania literatury ojczystéj. Z nauczyciela gimnazyalnego objął po śmierci Euzebiusza Słowackiego katedrę wymowy w uniwersytecie, najprzód jako zastępca, a potém jako profesor zwyczajny. Już w r. 1820 pisząc swoje „Uwagi nad poezyą i wymową“, które mu stałą posadę zapewniły, wyraził on stanowczy swój wstręt do ślepego naśladownictwa ówczesnych wzorów francuskiego klasycyzmu, a wskazywał natomiast wiecznie piękne utwory poezyi greckiéj jako przedmiot studyów najkorzystniejszych; równocześnie zaś zalecał wczytywanie się w dzieła pisarzów naszych XVI stulecia, tudzież wyszukiwanie w dziejach i obyczajach narodowych tematów do poezyi oryginalnéj. Z takiém przygotowaniem

[1]) „Wielki świat małego miasteczka“ I, 82.

naukowém nie mógł on podzielać rozpowszechniającego się wtedy zapału dla wybryków romantycznych, nie mógł pochwalać zaniedbania formy i rozpasania wyobraźni. Zresztą Wilno samo, chociaż było kolebką romantyzmu polskiego, niedługo przechowywało w swych murach jego tradycye. Częściéj tam owszem pojawił się jakiś utwór klasyczny, zarówno w dobrém, jak i w złém znaczeniu tego wyrazu. Pisma peryodyczne, redagowane przez członków uniwersytetu, rzadko kiedy dopuszczały do szpalt swoich płody młodych i, powiedzmy prawdę, bardzo miernych pod względem zdolności zwolenników romantyzmu, gdyż po wyjeździe owéj falangi uniwersyteckiéj, któréj duchowo przewodził Mickiewicz, żadnego właściwie w Wilnie znakomitego poety nie było.

Nic więc dziwnego, że pod takiemi wpływy nie mógł Kraszewski zapalić się miłością do dumań marzycielskich i rojeń fantastycznych. Zarówno w małych miasteczkach, w których pierwotne pobierał nauki, jak i w Wilnie, gdzie je chciał udoskonalić, zarówno w całém otoczeniu literackiém, jak i w specyalnym przedstawicielu pojęć estetycznych w uniwersytecie, znajdował większą skłonność do dawnego, aniżeli do nowego porządku w rzeczypospolitéj poetyckiéj. Jeszcze w szkołach pisał *bajki*, które stanowiły gatunek poezyi, znienawidzony przez gorętszych romantyków; a gdy pierwszą swą powieść ogłaszał, nie omieszkał na samym jéj początku zamieścić protestacyi przeciw romantyzmowi, jakkolwiek i do klasycyzmu się nie przyznawał. „Pisać ballady? — czytamy w *Panu Walerym* — być romantykiem? Otóż sposób pozyskania sławy w dzisiejszym czasie. Te *czułe wiersze*, których nie rozumiejąc tyle ludzi uwielbia; te podobieństwa, te postaci, te czucia gorące chwytają za serce! Młode panienki w kątku, niewidziane, ukryte, lubią czytać te *bezładne zapały* i zalewać się łzami, których przy-

czyny nie widzą. Gdzieindziéj młodzieniec porywa książkę, uczy się kochać, zapomina deklinacyi, a wzdycha jak najęty do pierwszego czupiradła, które mu się przed oczy nawinie. Starzec czyta równie, czuje mocniéj bijące serce, *zdaje mu się*, że kochał, że jeszcze kocha, muska wyłysiałą głowę przed zwierciadłem, prostuje nogi, chowa starannie tabakierkę i okulary, śpieszy w niewczesne zaloty, kupuje sobie żonę i — dwoje ludzi nieszczęśliwymi robi. Oj nie chcę być romantykiem!" (str. 8 i 9). I nie jest to wyrażenie odosobnione; podobne napotykamy dwukrotnie w „Wielkim świecie małego miasteczka" (I, 122. II, 108). A zapatrywanie się takie podzielała ówczesna młodzież w znacznéj części; w „Noworoczniku" bowiem „litewskim" wydanym przez H. Klimaszewskiego na r. 1831, spotykamy, obok nielicznych tworów romantyki, przeważnie naśladowanie wzorów klasycznych.

Serce autora było widocznie jeszcze zupełnie spokojne i nie doznawało owych uczuć gorących, które tak swobodnie wyśmiewał. Umysł jego był podobny do powierzchni cichego jeziora, która odbija w sobie wszystkie przedmioty, zarówno wesołe jak smutne rozbudzające myśli, bez najlżejszéj nawet zmiany w saméj sobie. Obdarzony od natury wrażliwością wielką na to, co poza nim było, wyrobił w sobie zmysł obserwacyjny, szczególniéj do zewnętrznéj postaci osób i miejsc odnoszący się, ale zarazem nadzwyczaj łatwo ulegał wpływom otoczenia. Łagodnego usposobienia, wychowany w małych miasteczkach pod dozorem ścisłym starszych nauczycieli, nie należał on bezwątpienia do tych, co w uniwersytecie rej wodzą między kolegami, posiłkując się głośnym krzykiem lub pięścią, ale do tych, co nauką, pilnością, ściągają na siebie uwagę. Nie trzeba jednak wyobrażać sobie, żeby to był młodzieniec zupełnie potulny, bez wybitnéj indywidualności; nie, satyryczne

i krytyczne jego uzdolnienie już wtedy się ujawniało, ale w formie cichego spostrzeżenia, złośliwego uśmiechu lub giestu. Najwięcéj on lubił wieczorne pogadanki z kolegami przy fajce i herbacie, a czasami i szklaneczce ponczu, pogadanki o wszystkiém i o niczém, których ślad pozostawił nam w „Wędrówkach“ [1]). Pracował zwykle w nocy.

Gorączka poznania wszystkie nauki miłemi mu czyniła, z wyjątkiem jednéj matematyki, którą go dręczył w Lublinie jego opiekun naukowy. Ten wstręt do umiejętności przeniósł on i do samych jéj przedstawicieli. „Nie wiem — mówił — czém się to dzieje, że od najdawniejszych czasów historya nie pokazuje ani jednego tłustego matematyka: wszystko chudzi, lub przynajmniéj bledzi. Musi to być kara boża na nich, że sobie mózg suszą nad niepotrzebnemi bredniami“ [2]). Ze wszystkich nauk jednak najwięcéj go zainteresowało językoznawstwo i badania dziejowe. Katedra zajmowana przez Borowskiego miała urzędowy tytuł katedry „wymowy i gramatyki powszechnéj“. Nie było tam naturalnie mowy o lingwistyce porównawczéj w takiém znaczeniu, jakie jéj nadał naówczas Bopp w swoich wykładach: przedstawiała się tam wyłącznie niemal przekazana przez wiek XVIII gramatyka filozoficzna, dająca zarys ogólnych zasad, wspólnych wszystkim mowom świata, bez względu na stopień ich pokrewieństwa. Nie posiadamy wprawdzie żadnych świadectw o tych wykładach; domyślać się jednak można, że tradycyjne od czasów Kopczyńskiego porównywanie języka polskiego z łaciną, a może i z greczyzną, w skład ich wchodziło. Bądźcobądź zajęcie się gramatyką powszechną powiodło Kraszewskiego do studyowania języków różnych, nietylko obowiązkowych: starosłowiańskiego,

[1]) Tom I. Wilno 1838, str. 39—63.
[2]) „Kościół św. Michalski w Wilnie“ 1833, I, 64, 65.

rosyjskiego, łacińskiego i greckiego, ale także nadobowiązkowych: hebrajskiego i arabskiego. Kraszewski lubił następnie o arabskim szczególniéj rozprawiać [1]), cytować przysłowia arabskie [2]).

Z temi studyami językowemi łączyło się poznawanie starożytnych pisarzów polskich, za wskazówkami Borowskiego. Pierwsze pisma Kraszewskiego świadczą o obszernem oczytaniu w tym względzie. Cytaty wprawdzie, któremi lubił stroić nagłówki rozdziałów swoich powieści, nie zawsze są wprost brane z dzieł autorów, do których należą, lecz niekiedy tylko ze zbiorów i wypisów (jak n. p. cały ustęp o „Wieśniaku“ Zbylitowskiego w II tomie powieści „Wielki świat m. m.“ oparty jest na rozbiorze tego poematu przez Euzeb. Słowackiego: „Dzieła“ III, 127—135); w każdym atoli razie większość pochodzi wprost ze źródła i dowodzi, że młodzieniec 18-letni nietylko bieżącą, ale i dawno ubiegłą zajmował się literaturą. Nowe wydanie starożytnych pisarzów polskich, przez firmę Gałęzowskiego podjęte, ułatwiało mu poszukiwania i uprzystępniało nabycie dzieł, których edycye pierwotne, a nawet powtórzone, dość były rzadkie.

Zamiłowanie w dawnych autorach powiodło do poszukiwania starych dokumentów, do studyowania napisów nagrobkowych, zaglądania do bibliotek a badania dziejów. Ruch na polu dziejopisarstwa, od czasów mianowicie Naruszewicza, wzmagał się u nas ciągle i był jedną z najcharakterystyczniejszych cech ówczesnéj działalności literackiéj. W samém Wilnie krzątali się około historyi i budzili do niéj zapał dawniéj: Lelewel, Daniłowicz, Onacewicz, Michał

[1]) „Wędrówki literackie, fantastyczne i historyczne“. Tom III, str. 66—68.

[2]) W *Panu Walerym*, w rozdziale XVII, w *Dwa a dwa cztery* na początku.

Baliński, a ten ostatni i w chwili pobytu Kraszewskiego w tém mieście nie był bezczynnym. Pisma peryodyczne pomieszczały chętnie dokumenta historyczne. Poszukiwanie starych książek i rękopismów przechodziło nawet w manią, stawało się namiętnością. I Kraszewski téż, jakkolwiek wyśmiewał erudytów i zbieraczy białych kruków, sam przecież chętnie się wczytywał w stare rękopisma, jak o tém świadczą cytaty w jego pierwszych utworach historycznych; „Ostatnim roku panowania Zygmunta III“ i „Kościele św. Michalskim“. Nie zakochał się on wprawdzie naówczas w przeszłości, nie myślał jéj wcale idealizować; bo najprzód taki kierunek nie wyrobił się jeszcze wtedy w naszéj literaturze, która w ocenie dawnych czasów podzielała mniéj więcéj przekonania partyi reformatorskiéj u nas z końca XVIII stulecia; a powtóre, sam satyryczny nastrój umysłu Kraszewskiego nie pozwalał na wielbienie tego, co minęło, dlatego jedynie, że już jest bardzo stare. Coś go ciągnęło do przeszłości, chciał ją poznać i zbadać dokładnie, choćby na to, ażeby ją przedewszystkiém wyszykanować.

Ten sam uśmiech ironiczny zwracał Kraszewski tak na czasy, w których żył, jak i na swoje otoczenie. Ironia jego nie sięgała wprawdzie głęboko, nie dotykała wielkich niedorzeczności lub wielkich błędów; ale odzywała się lekceważąco o wszystkiém, albowiem odnosiła się głównie do powierzchni wszystkiego. Ponieważ namiętności nie zbudziły się w nim jeszcze, nie wybuchał więc gwałtownie: śmiał się z cierpień Werthera, wyśmiewał sentymentalność; ale chcąc dać ujście swoim satyrycznym zachciankom, kiedy mu ów „nieszczęśliwy popęd“ do pisania nie dawał spokoju, postanowił kreślić sylwetki miejsc i ludzi, których zapasu dostarczał mu jego bystry zmysł obserwacyjny.

Powieść, za przykładem Zachodu, zaczynała już naówczas i u nas stawać się najpopularniejszą formą twór-

czości. Mianowicie od czasu „Malwiny“ księżnéj Wirtemberskiéj znajdowali się powieściopisarze i powieściopisarki z talentem, obrazujący stan społeczeństwa naszego z tych warstw, które do nazwy inteligencyi mogły mieć prawo. Szlachta wiejska, bogatsza i uboższa, stanowiła główny element powieściowy; gdy tymczasem chłopi, urzędnicy, mieszczanie, epizodycznie tylko do utworów tych wchodzili. Koloryt ich po większéj części był sentymentalny: przesadne malowanie uczuć, deklamacya nieznośna, stanowiły zwykłe ich cechy. Jednakże znajdowały się już i pocieszające wyjątki. Obok „Nierozsądnych ślubów“, obok „Adolfa i Julii“ zwłaszcza, możemy już wymienić tak piękną i tak naturalną powieść, jak *Pan starosta* Fryderyka Skarbka, która wybornie przedstawiała życie nasze za czasów pruskich, albo też utwory Jaraczewskiéj a szczególnie jéj *Wieczór adwentowy* lub *Pierwsza młodość, pierwsze uczucia.*

W powieści historycznéj naśladowanie Waltera Scotta wydało znaczną ilość utworów, pobudziło różnych pisarzy do próbowania sił swoich w tym tak naówczas ulubionym rodzaju. Niemcewicz, Skarbek, Wężyk, Bronikowski, Gaszyński, poczęści także Zygmunt Krasiński, ogłosili swoje utwory, które tę wszakże miały tylko zaletę, że mówiły o rzeczach krajowych, gdyż pod względem estetycznym nie posiadały wielkiéj wartości. Jeden Bernatowicz, i to w „Pojacie“ tylko, utworzył dzieło, które do znakomitych policzyć można. Spółcześnie wszakże zupełnie odmienny sposób traktowania powieści historycznych wyrabiać się zaczął. Pierwszy Niemcewicz, nie znając jeszcze powieści Waltera Scotta, napisał dziełko drobnych rozmiarów, gdzie chciał scharakteryzować dwie odmienne pod względem obyczajowym epoki, których wspomnienie silnie mu w pamięci utkwiło. *Dwaj Sieciechowie* nie stanowią wprawdzie całości artystycznéj; ale w malowaniu epoki saskiéj tyle zawierają rysów żywych,

jakby sportretowanych, że pojedyńcze ustępy mogły być wskazówką, iż w przedstawianiu potocznego życia dziejowego może się znaleźć żywioł prawdziwie poetyczny. Na większą skalę i z nie tak wyraźnym celem dydaktycznym, jak Niemcewicz, skreśliła K. Tańska w *Listach Elżbiety Rzeczyckiéj* i w *Dzienniku Franciszki Krasińskiéj* wyborną charakterystykę obyczajów polskich za Augusta III, wśród sfery mianowicie szlacheckiéj [1]).

Kraszewski w powieści obyczajowéj poszedł naprzód za śladem Skarbka; za wzór jednak nie brał najlepszego dzieła: *Pana Starosty*, ale pierwsze próby *(Pan Antoni, Podróż bez celu)*, w których Skarbek był znów naśladowcą Sterne'a. Wzór ten atoli nie był dla niego wyrocznią: obok bowiem samego Sterne'a znał już wówczas i wysoko cenił innych pisarzów, mających wtedy sławę w Europie, ponieważ zajmowali się nimi Francuzi. Pisarzami tymi byli: zmarli już wtedy Niemcy, Jan Paweł Richter i Hoffmann, tudzież Amerykanin, Washington Irving. Z latami wpływ ten cudzoziemskich autorów wzmagał się coraz bardziéj, lecz w pierwszych kilku utworach zostawił nader nieznaczne ślady, a mianowicie chętkę do fantazyowania, któréj najcharakterystyczniejszym wyrazem jest taniec sprzętów, opisany w „Wielkim świecie małego miasteczka“, a powtóre dość częste wprowadzanie obłąkanych do treści utworów (w „Dwa a dwa cztery“ obłąkany Ryszard, w „Kościele św. Michalskim“ obłąkana Marya).

---

[1]) Obszerniejszą charakterystykę powieści polskiéj przed rokiem 1830 znaleźć można: 1-o w artykule J. I. Kraszewskiego p. t. „O polskich romansopisarzach“ *Wizerunki i roztrząsania naukowe*, poczet nowy, r. 1837, tomik 11, str. 94—122; 2) w dziele M. Grabowskiego: Literatura i krytyka 1840 w oddziale p. n. „Literatura Romansu w Polsce“. 3) w rozprawie Stanisł. Tarnowskiego p. n. „Romans polski na początku XIX wieku“. Kraków 1871.

Główne w każdym razie rysy są te same, co u Sterne'a i u Skarbka. A naprzód zauważmy cechę, która odróżniła powiastki Skarbka od ogółu powieści polskich jemu spółczesnych, a która polegała na tém, że za bohaterów i ich towarzyszów brał ludzi najpospolitszych, najzwyklejszych, nie będących nawet czémś szczególném w swojém nader ograniczoném kółku. Niema tu mowy o ludziach niepospolitéj potęgi umysłowéj, albo silnych namiętności, albo wielkiéj mocy charakteru; nie; są to jednostki, jakich się tysiące spotyka, nie zwracając na nie najmniejszéj uwagi. Toż samo i u Kraszewskiego. Kierunek ten tworzenia sformułował on sam bardzo wcześnie. „Kiedy wszystkie wielkie, patetyczne, dziwne, czułe, na tysiące stron wynicowano przypadki, przyszło nakoniec do tego, iż do małych się wzięto. Dawniéj więcéj pisano historyi o ludziach, dziś więcéj o sercu i uczuciach; dawniéj bawiono wystawieniem człowieka, jakimby mógł być, dziś lubią spoglądać na takiego, jakim jest“ [1]). „Wielkich tylko ludzi zajmować mogą opisy dzieł wielkich, które człowieka, w nizkim urodzonego stanie i żyjącego pod starą ojców swych strzechą, na przodków zagonie, oślepiają niejako wielkością swoją, i bardziéj mu upokarzający stan jego czuć dają, niżeli wznoszą i poprawiają jego skłonności i umysł. Dla takich ludzi trzeba pisać biografie mężów, na widok których powiedziećby mogli sami w sobie: *jesteśmy im równi lub nimi być możem*“ [2]). Takiego to rodzaju ludzie zapełniają scenę powieściową w „Panu Walerym“, „Wielkim świecie małego miasteczka“, „Dwa a dwa cztery“. Jest ich ilość bardzo znaczna; ale wyliczenie ich imienne i bliższa charakterystyka byłaby zby-

---

[1]) „Wielki świat małego miasteczka“. (I, 14).

[2]) „Biografia Sokalskiego organisty“ w „Noworoczniku litewskim na rok 1831“ str. 177—194.

teczna; są to bowiem postaci bez cech wybitnych, wyraźnych, i dlatego w masie jedynie określić się dają.

Wprowadzenie takich osób i odpowiednich ich sferze wypadków uważał sobie Kraszewski za zasługę i w prospekcie na „kilka obrazów towarzyskich“, które miały zawierać *Pana Walerego* i *Wielki świat małego miasteczka*, wystąpił zbrojnie przeciw tym, co nadzwyczajnemi awanturami wyobraźnię czytelników dręczyć chcieli! „Pomimo natężonych usiłowań — czytamy tu — niektórych nowszych z powołania, a raczéj z rzemiosła, pisarzy powieści, którzy chcą w nas wmówić, że jedynie zdziczałe imaginacyi utwory mogą zajmować czytelników; każdy zdrowo myślący i marzeniami tych ichmościów nieprzejęty uzna, że daleko miléj czytać się dają żywe i wierne obrazy naszego pożycia. Widząc tedy, że panowie wyżéj wspomnieni bazgracze ciągle na świat wysyłają jakieś *hiszpańskie dziewice;* że drudzy występują *z pustelnikami;* że w końcu bredzą bez sensu i ładu, i że o poznaniu ludzi wyobrażenia nie mają; wzdychając nad losem, który, jak szalonemu miecz, w ręce im dał pióro, nie dawszy głowy: siadłem pisać o czémkolwiek przynajmniéj jeżeli nie lepszém, to podobniejszém do prawdy“ [1]).

Z tém zamiłowaniem powszedniości łączył się naturalnie wstręt do deklamacyjnego przedstawiania uczuć, co jest wspólne zarówno Skarbkowi, jak Kraszewskiemu. Kraszewski nawet poszedł daléj od Skarbka, gdyż prawie zupełnie w początkowych utworach nie przedstawiał uczuć, albo je zbywał bardzo szybko i bardzo pobieżnie. W „Panu Walerym“ żadnéj intrygi miłosnéj niema, przesuwają się

[1]) Prospekt ten znam jedynie w dochowanym do dziś dnia rękopiśmie: wiadomo wszakże, iż był drukowany w dodatku do „Kuryera litewskiego“ z r. 1830.

wprawdzie trzy postaci kobiéce, ale o ich uczuciach dowiadujemy się bardzo mało. W „Wielkim świecie małego miasteczka“ istnieje już wprawdzie osnowa miłosna, lecz w porównaniu z innemi przedmiotami, które tam autor opisuje, zajmuje ona najmniéj miejsca i właściwie w trzech tylko scenach występuje. W „Dwa a dwa cztery“ miłość Malwiny wyraża się jedynie rumieńcem, a miłość Ryszarda — wejrzeniem.

Chęć wydrwienia dawnych patetycznych uniesień poprowadziła zarówno Skarbka jak Kraszewskiego do przeplatania scen poważnych trywialnie komicznemi. Potykanie się wskutek niezgrabności, wywracanie stołów i nakryć do herbaty, spadnięcie peruki i t. p. wypadeczki, przedstawione nieraz w karykaturze, przerywają zazwyczaj jakąś rozmowę, albo przeszkadzają zabawie, których opis w tonie poważnym jest trzymany. Takie sceny miały na celu rozśmieszenie czytelnika; rzadko jednak kiedy cel swój osiągały, gdyż pospolicie znać w nich było naumyślną kombinacyą autorską, a nie przebieg rzeczywistych wypadków.

Zamiłowanie piękności natury zarówno u Skarbka, jak i Kraszewskiego, było teoretyczne tylko. Autor mówi często o widokach przyrody, ale nigdy szczegółowo ich nie maluje. Weźmy przykład z „Pana Walerego“. „Z przyjemnością błądził po lasach pan Walery, a jak to prawie zawsze się zdarza, kiedy umysł niczém ważniejszém nie był zajęty, wpatrywał się, dumając, w czerwieniejące listki osiny, zżółkłą topolę lub brzozę i posępnie zieloną jodłę. Przyrodzenie albowiem mało tych zwykło zajmować, których życie jest nieprzebraném pasmem zdarzeń, silnie na umysł działających i porywających z sobą wszystkie władze człowieka; ono tym tylko skarby swe i piękności odkrywa, którzy w niém szukają pociechy i oddać mu się mogą. Dusze do ziemi przykute najmniéj ziemskich przyrodzenia powabów

kosztują; gdy tymczasem mała liczba ludzi, żyjących w przyszłości i umiejących czuć przyjemności umysłowe, napawa się wdziękiem natury, jako godnym zastanowienia człowieka“ [1]). Przykład ten charakteryzuje sposób traktowania natury w początkowych powieściach Kraszewskiego; przemaga tu rozumowanie, wmawiające poczucie piękna natury nietylko w czytelników, ale i w siebie; istotnego atoli głębokiego odczucia tego piękna niema, a więc niema i pięknych obrazów jego, które zastępuje ogólnikowe, schematyczne niemal przedstawianie stanu pogody, albo widoków drzew i traw. Widocznie zachwyty nad naturą były jedynie dotąd obojętnym spadkiem, odziedziczonym po poprzednich powieściopisarzach; ale nie wypływały jeszcze wtedy z wrażeń osobistych.

I w kompozycyi artystycznéj znajdujemy ważne podobieństwa. Przedewszystkiém zarówno obrazom pierwszym Skarbka, jak Kraszewskiego, brak perspektywy; wszystkie osoby, wchodzące do powieści, są traktowane jednakowo: niema tu wyróżnienia osób głównych od podrzędnych, chyba to jedno, że osoba główna częściéj się zjawia na scenie, chociaż przez to nic na wybitności artystycznéj nie zyskuje. Powtóre: widzimy u Kraszewskiego brak starania o całość i to w większym nawet stopniu, aniżeli u Skarbka. Szereg drobnych wypadków, stawiających osoby powieściowe w różnych pozycyach: oto główne staranie autora, któremu nie idzie bynajmniéj o zogniskowanie tych wypadków, ani o rozwój charakterów. Stąd często osnowa się zrywa, a autor robi zupełnie luźne uwagi, które nie mają nieraz żadnego związku z treścią opowiadania. Niejednokrotnie téż spotykają się zwroty do pracy autorskiéj; powieściopisarz uskarża

[1]) „Pan Walery“, str. 81, 82. Podobny ustęp odczytać można w „Wielkim św. mal. miasteczka“ I, 43.

się przed czytelnikiem, że mu pisanie ciężko idzie, że się już znudził gryzmoloniem, że mu to i owo przeszkadza w tworzeniu. Takie przenoszenie czytelnika ze sceny powieściowéj do gabinetu autora, częste u Sterne'a, u Jean Paula i Skarbka, jest ulubionym tematem w pierwszych powieściach Kraszewskiego. Stąd takie np. zwroty spotykają się tu nieraz: „Plan mój dozwala mi przerywać lub łączyć nić mojéj powieści według żądania; a zatém opuszczam mego rywala i kochankę, a o czém inném zacznę uwagi“ [1]).

Pod wymienionemi tu względami powiastki Kraszewskiego nie stanowiły nowości w literaturze polskiéj; były w nich jednakże i takie strony, którychbyśmy napróżno u Skarbka szukali. A najprzód: Kraszewski daleko chętniéj przebywa wśród mieszczan, aniżeli wśród szlachty wiejskiéj, daleko częściéj prowadzi nas do małego miasteczka, aniżeli do stolicy. Burmistrze, doktorowie, aptekarze, księża, organiści, pocztmajstrowie, traktyernicy, piekarze, szewcy, krawcy, szynkarze, kapitaliści drobni, są to osoby, występujące wyłącznie w dwu powiastkach, („W. ś. m. m.“ i „Dwa a dwa cztéry“) tak dalece, że szlachta albo wcale się w nich nie pojawia, albo téż chwilowo tylko i jakby przez mgłę jest widziana. Kraszewski w jednym z najpierwszych utworów wyraził zdziwienie, dlaczego żaden z autorów nie pisze dla niższych klas ludzi [2]); sam chcąc zapewne brak ten zapełnić, zaczął wydawać swoje dziełka. Patrzy on na ten swój światek ironicznie, czuje swoję nad nim wyższość, upatruje w nim wszędzie śmieszność i tylko ze strony śmiesznéj go przedstawia. Tłem, na którém postaci te się rysują, są to dobrze znane autorowi miasteczka: Biała, Świsłocz, Lublin; wiele rysów pochwycił bezwątpienia autor z ludzi, których

---

[1]) „Wielki świat mał. miasteczka“ I, 100.
[2]) Tamże I, 102.

niejednokrotnie widywał; ale wiele też dodał z przeczytanych książek zagranicznych i z własnéj imaginacyi. Ponieważ zaś nie przedstawiał ludzi całkowitych, ale jednostronnie śmiesznego w nich pierwiastku się dobadywał, wpadał częstokroć w karykatury zmieniające fizyognomie ludzi do niepoznania, tak, że jeden z krytyków powiedział wprost, iż ton ogółu powieści zupełnie fałszywy, gdyż w „naszych miasteczkach nigdzie niéma takiego towarzystwa, jakie autor wywiódł na scenę (w „Wielkim świecie małego miasteczka"); że jest to jakieś niedołężne naśladowanie bytu miasteczek zachodniéj Europy" [1]). Sąd to trochę niesprawiedliwy, gdyż Kraszewski rzeczywiście brał wiele z obserwacyi; ale ponieważ był zdania jednego z rosyjskich pisarzów, że „chcąc ludzi widzieć, jakimi są, trzeba więcéj patrzéć przez okna i dziurki, niżeli oko w oko" [2]), przeto obserwacye jego ściągały się bardziéj do powierzchowności, aniżeli do wnętrza duszy. Przez okna i dziurki od kluczów można wiele ujrzéć tajemnic; ale wtedy jedynie tajemnice te przedstawiają się nam w swojéj wewnętrznéj treści, gdyśmy z ludźmi przeżyli dość czasu oko w oko, wówczas bowiem odkryje się różnica pomiędzy człowiekiem w towarzystwie a człowiekiem na osobności...

Kraszewski kreślił z prawdziwém zamiłowaniem zewnętrzne kształty miejsc, a mianowicie budynków, placów, tudzież sylwetki ludzi: i to stanowi drugą nowość w ówczesném powieściopisarstwie. Przed Kraszewskim niewiele zajmowano się opisem powierzchowności osób podrzędnych; a nawet główne zlekka tylko kreślono; miejscowość również w wyjątkowych tylko razach dawano poznać dokładnie.

---

[1]) Artykuł R. W. w „Tygodniku Petersburskim" r. 1833, Nr. 47.

[2]) „Wielki świat mał. miast. I. 83.

Kraszewski przeciwnie, nie wprowadzi najlichszéj nawet, najmniéj znaczącéj w powieści osoby, ażeby stroju jéj i fizyognomii szczegółowo nam nie przedstawił. Niéma także tak błahego przedmiotu w otoczeniu ludzi, o którymby nie wzmiankował. Rysy wprawdzie, i w jednym i w drugim wypadku użyte, są blade, tak, że opis jest nieraz suchy i, że tak powiem, urzędowy; ale w każdym razie jest dokładny i szczegółowy. Jeden przykład wystarczy za najbardziéj nawet drobiazgową analizę. Mamy przed sobą człowieka siedzącego w traktyerni, którego raz tylko w powieści widzimy, który nie gra żadnéj roli w jéj osnowie; zobaczymy, jak K. F. Pasternak starannie mu się przygląda, jak go studyuje i jak go czytelnikom poznać daje[1]). „Tam za oddzielnym małym stolikiem siedzi ponury jakiś negocyant, susząc zapewne głowę wśród wesołości powszechnéj nad zyskiem, jaki mu nowe kupno ma przynieść. Ubiór jego nie okazuje ubóstwa ani mierności i jest nawet niejako wykwintnym. Surdut z pięknego sukna, *floransem podszyty* i pod samę szyję zapięty, okrywa ciało mocne i zdrowe; długie palone buty połyskują na nogach; na palcu świeci mu się kosztowny pierścień, a chustka w kraty buchasto zawiązana podtrzymuje szeroki podbródek". To dopiéro ubranie; a teraz fizyognomia. „Twarz jego jest pełna i rumiana, oczy żywo obracają się na wszystkie strony, nos garbaty i połyskujący *jak od lakieru*, rzuca cień na szerokie i utłuszczone usta". I na tém jeszcze nie koniec; potrzeba było opisać, jak siedział i co przy nim się znajdowało. „Zawiązał serwetę pod samę brodę, tabakiera i chustka leżą na stole. Przed nim stoi dobry zraz pieczeni cielęcéj i parę butelek marcowego piwa, który on *z natarczywością Tantala* używa. Zdaje się gardzić towarzyszami i do nikogo nie mówi; zapytania zaś

[1]) „Wielki świat mał. miast." II, 36—38.

zbywa jednozgłoskową odpowiedzią. Na rozmaite koncepta spółbiesiadników satyrycznie się uśmiecha i wodzi oczyma po wszystkich, jakby szukał sobie towarzysza do rozmowy i jadła". Mógłby kto pomyśleć, że ta fizyognomia z szerokiemi i zatłuszczonemi ustami miała jakiś szczególny urok dla autora i pobudziła go do tak fotograficznego opisu. Ależ nie; na tém właśnie zasadza się skłonność ówczesna Kraszewskiego, że wszystkie osoby i wszystkie przedmioty mają dla niego ten interes szczególny, iż każdą rzecz poczytuje za godną dokładnego rysunku i uwiecznienia za pomocą artyzmu. Jest to dowodem nadzwyczajnego rozwinięcia „zmysłu plastycznego", który tak rzadko się zdarzał u dawniejszych powieściopisarzów, a który u Kraszewskiego występował tak jawnie, choć w formie jeszcze bardzo pierwotnéj. Nie trzeba podobno dodawać, że zmysł ten był jedną z najwyraźniejszych przepowiedni przyszłego zawodu powieściopisarskiego i zapowiedzią jego niewyczerpanéj płodności. Kto tak szczodrze a nawet marnotrawnie zbogacał zbiór osób i miejscowości w swoich utworach; kto stworzył tak ludny światek na samym pierwszym wstępie swojego zawodu: ten składał dowody, że wyobraźnia jego, ciągłém doświadczeniem zasilana, nie wyczerpie się nigdy [1]).

---

[1]) Z tego samego czasu pochodzi powiastka fantastyczna p. n. „Majster Bartłomiéj" i prawdopodobnie temi samemi, co powyżéj wymienione, odznacza się cechami. Ponieważ jednak sam nie mogłem jéj odczytać, poprzestać więc tu muszę na krytyce „Pietruszki", który ocenił „Pasternaka". Powiada on, że „Cagliostro" z Wędrówek literackich to rodzony brat Majstra Bartłomieja i tak daléj ciągnie: „Gdyby p. Pasternak wyrzekł się miłości własnéj i przeczytał to swoje dzieło, zaparłby go się najmocniéj; nie obciąłby w jego obronie ani jednego ucha i siedziałby z nim w kącie cichuteńko, jak mysz na pudle. Bo tu p. Pasternak już przestał być mistrzem w szkicowaniu, tu raczéj farby rozlewa, przypina garby i bez cienia, bez światła, jakąś różnokolorową rozmazuje plamę. Powieść o djable alchemiku,

W powieściach *historycznych* też same znajdujemy cechy. Kraszewski nie poszedł w ślady Waltera Scotta, a nawet nie zbyt entuzyastycznie o tym „kulawym bożku“ Szkocyi się odzywał; tém bardziéj zaś lekceważył sobie jego naśladowców polskich, tak dalece, że nawet *Pojacie* znaczenia artystycznego odmawiał. Zdaje się także, iż nie znał ówczesnych romansopisarzów francuskich, a między innymi Bibliophile'a (Pawła Lacroix), którzy ironicznie na przeszłość patrzyli. Nie znajdujemy przynajmniéj ani jednego nazwiska z nowéj szkoły powieściopisarskiéj we Francyi w „Rzucie oka na ścieżkę, którą poszedłem“ podpisanym 1-go kwietnia 1832 r. [1]). W powieściach więc historycznych nie ulegał on, według wszelkiego podobieństwa do prawdy, żadnemu specyalnemu wpływowi, lecz zastosował do ich pisania metodę, jakiéj się trzymał w powieściach obyczajowych. Najpierwszą próbką w tym kierunku był wedle zeznania samego autora „Ostatni rok panowania Zygmunta III“, o którym w parę lat po wydrukowaniu mówił ze wstrętem: „Będę sobie miał długo do wyrzucenia, żem go drukował; na co się to zdało, kiedy nie zabawne i nie nauczające“ [2]). Istotnie

---

garbusku i suchym człowieku, albo raczéj powieść o niczém, bez treści, nie malująca wieku, gdzie p. Bartłomieja, chociaż nawet w kontuszu, trudno przyjąć za krajowca. Cała wreszcie ta gmatwanina, setne odbicie owéj winiarni Hoffmanowskiéj, dziejów człowieka, który cień zgubił, plecie się bez wikłania, bez interesu, bez jakiéjkolwiek prawdy i wreszcie bez rozplecenia. Nigdybym ci jéj nie przypisał, kochany panie Pasternaku; myślałem tylko o strasznéj zbrodni, o stelionacie, o podszyciu się pod twoje szanowne nazwisko. Lecz gdy Cagliostra przeczytałem, pod imieniem samego J. I. Kraszewskiego wydanego; wtedy znikła wszelka wątpliwość i prosiłem tylko matki Muzy, by w nieszczęśliwą godzinę nie powiła więcéj waszych braci“. (W „Piśmie dodatkowém“ do Gazety Porannéj, r. 1839 Nr 28).

[1]) Wydrukowano ją dopiero w r. 1837 na czele powiastki „Dwa a dwa cztéry“.

[2]) „Wędrówki literackie, fantastyczne, historyczne“, I, 114.

trudno zmodyfikować sąd autora. Od pierwszéj do przedostatniéj stronicy dwutomikowego „obrazu“ Zygmunt III kona a skonać nie może; rozmaitość zaś cała polega na przenoszeniu się z sal dworu do golarni. Na zamku królewskim staje przed nami wszechwładna, a chciwa na złoto Urszula Meyerin, czereda głupich medyków, tłum przebiegłych jezuitów; w golarni zaś plotki sług, kłótnie panów, bójki i narzekania na zepsute duchowieństwo. Intryga jest niby, ale nie dba o przeprowadzenie jéj autor, obrazkami przedewszystkiém osób i miejsc się zajmując, tak, że właściwie dopiero przy końcu tomu drugiego spotykamy pewne działanie, które się zaraz urywa. Jezuici bowiem chcąc odebrać kochankę Władysławowi królewiczowi, wysyłają o. Grothusa, ażeby udając mowę jego, zniewolił Anastazyą do wyjechania. Królewicz tymczasem nadbiega, odkrywa zdradę i wiąże o. Grothusa, któremu jezuici wyprawiają wkrótce pogrzeb dla honoru zakonu. O jezuitach nie mówi inaczéj autor, tylko jak o kuglarzach nietylko państwu, lecz i religii szkodliwych, a najbardziéj efektowna scena opiera się na przedstawieniu zaślepionego ich fanatyzmu. Król leży w ostatniém osłabieniu, lekarze nakazują ciszę; a jezuici obstąpiwszy łoże „wołali z całego gardła na bezprzytomnego i konającego prawie Zygmunta, aby za grzechy żałował“.

— „Królu — wołał schylony nad łożem ks. Marquat — królu, żałuj za grzechy żywota swojego, abyś był zbawionym!

— „Panie! — krzyczał głośniéj jeszcze drugi nad uchem — myśl o niebie i sercem módl się Bogu.

— „N. Panie — wrzeszczał trzeci, chcąc w gorliwości obudwu przewyższyć — bij się w piersi, bo będziesz potępiony...“ („Ostatni rok panowania Zygmunta III-go“, tom II, 122, 123).

Drugim z kolei utworem była powiastka o przygodzie Józefa Poniatowskiego p. n. „Imieniny“. Jest to żywo opo-

wiedziana anegdota o dwu rywalkach do serca księcia Józefa, które, pogodziwszy się chwilowo, chciały zrobić mu niespodziankę i zupełnie odnowić jego apartament, zarówno co do mebli, jak i co do sprzętów podręcznych. Upatrzywszy odpowiednią chwilę, dokonały swego zamiaru i ukrywszy się w sypialni, czekały przybycia księcia. Książę, zmęczony i znudzony towarzystwem „usznurowaném w etykietę“, lubiąc płeć piękną, chociaż „gardził nią w duszy“, pojechał do tancerki i przepędziwszy z nią długie chwile w Łazienkach, zaprosił ją na kolacyę do siebie. Gdy ją spostrzegły wchodzącą z księciem, rywalki owe z furyą zakrzyknęły na solenizanta i rzuciły się do psucia mebli, tłuczenia luster, porcelany, szkła... Gdy się burza uspokoiła i rozgniewane hrabine oddaliły się, książę zasiadł spokojnie do wieczerzy ze swą tancerką[1]).

W „Kościele“ wreszcie „Ś-to Michalskim“ wraca do ulubionego wtedy tematu wystawiania jezuitów, jako intrygantów, podżegaczy bójek w sprawie religii, ale przydaje do tego jako *pendant* głupotę i pijackie życie przewodników duchownych wyznania kalwińskiego. Na jednę i na drugą grupę patrzy drwiąco, ironicznie; kreśli karykatury, zwiedza winiarnie, wałęsa się po ulicach, ale zagląda także do grobów i fantazyuje w obliczu trupów. Akademików ówczesnych przedstawia jak zgraję bandytów, którym idzie jedynie o rabunek. Poetę, a raczéj okolicznościowego rymokletę, odmalowuje nam jako pieczeniarza: „nie darmo — powiada — miał on poetyczną minę, twarz długą, nos orli, oczy czarne i wielkie, czoło wysokie, rumieniec i uśmiechające się oblicze“. „Wszyscy owych czasów poeci — objaśnia następnie

[1]) Powieść ta datowana w 1831 z Wilna, wydrukowana została dopiero w 1838; zdaje się, że pod względem stylowym uledz musiała w przeciągu tego czasu znacznym zmianom.

autor — tak jak on wyglądali; bo wówczas nie znano jeszcze literatury, coby jak dziś zbledziła, schudziła i zubożyła człowieka. Dawniéj nie było u nas prawie poetów z profesyi; przy szklance, przy oklaskach, przy dobrze napakowanym żołądku i niepróżnéj kieszeni, rodziły się ody i pieśni“[1]).

Szlachetnych lub mądrych osób niéma tu prawie wcale: przed oczami naszemi przewijają się głupcy, pijacy, waryaci, zbrodniarze, a co najmniéj już samoluby. Ani dla wyższych stanów, ani dla ludu nie znajdujemy sympatyi. „Nie było sprawiedliwości u góry; lud sam ją sobie, ile mógł, wymierzać musiał, a wiadomo jak wygląda *sprawiedliwość demokratyczna*, kiedy zemsta i miłość własna obrażona sędziami kierują“[2]).

Zamiłowanie do kreślenia bójek, do przeplatania poważnych scen trywialnie komicznemi odnajdujemy i tutaj w zwiększonym jeszcze stopniu. Autor ścina głowy ludziom jak makówki; maluje często rabunki, napaści, sceny topienia z naigrawaniem; w opisie zburzenia zboru kalwińskiego szczegółowo wymienia każde natarcie. To znów każe poważnemu rektorowi niby ze strachu wpaść w kominek z żarzącemi się węglami i nie módz się podnieść itp.

Powieści historyczne wielce się nie podobały ówczesnemu światu literackiemu, zwłaszcza, gdy księgarz Glücksberg, który był wydawcą „Kościoła ś-to Michalskiego“ zamieścił w „Kuryerze Litewskim“ szumne jego pochwały. W powiastkach obyczajowych widziano talent, przyznawano im wiele naturalności; przyznawano im, że zabawić mogą. Ale co do powieści z dziejów, które przywykło się widzieć w poważnéj szacie dziejopisarskiéj, albo w pięknym romansie Bernatowicza, lub też w miłych obrazkach Tańskiéj, nie

---

[1]) „Kościół Święto-Michalski w Wilnie“, 1833, tom I, str. 58.
[2]) Tamże, I, 140.

mówiąc już o innych, bez wielkiego talentu wprawdzie, ale z uszanowaniem rozwijających obrazy przeszłości: takie lekceważące ich traktowanie wydało się rzeczą bardzo niestosowną. R. W., który obie większe powieści Kraszewskiego w „Tyg. Petersb.“ krytykował, uważał, że autor „zdaje się mieć talent znikczemniania najinteresowniejszych miejsc historyi w swoich rysach i obrazach historycznych,“ zarzucał Kraszewskiemu „same niewczesne koncepta w rzeczy poważnéj, żarty przytoczone nie w miejscu, charaktery niedokończone i słabe, wypadki dziwaczne lub nic nie znaczące tam nawet, gdzie czytelnik koniecznie spodziewa się sceny patetycznéj lub przerażającéj, obrazy błahe i dziecinne, epizody bez sensu, rozwiązanie bynajmniéj nie zajmujące i brak nauki; a kończy zdaniem: „Panu Kraszewskiemu nie możemy zaprzeczyć talentu, lecz wykształcenia smaku i pracy jeszcze mu życzyć należy“[1]). Wydawca *Tygodnika*, który nie cierpiał Kocka, nazywając go autorem gryzetek, zgorszony ogłoszeniem Glücksberga o przedsięwziętym przekładzie romansów tego autora przez Dmochowskiego w Warszawie i Kraszewskiego w Wilnie, do surowéj krytyki p. R. W. dodał jeszcze od siebie kilka ziarnek gorczycy. Komentując bowiem w przypisku niepochlebne zdanie recenzenta o niewczesnych żarcikach, dodaje: „Musiał on tego nieszczęśliwego nałogu nabrać, pracując nad tłómaczeniem Paul de Kocka, za co powinienby tego autora, jako osobistego swego uważać nieprzyjaciela... To językowe pajacostwo, szał ten dowcipkowania w rzeczach poważnych, wyłącznie francuski. w saméj Francyi już upadł; nie wskrzeszajmy go w naszéj pięknéj i silnéj mowie; nie upędzajmy się za tém, co każdy

---

[1]) „Tygodnik Petersburski“ 1833 N. 28. Recenzya „Kościoła Święto-Michalskiego“ i N. 47 Recenzya „Roku ostatniego pan. Zygm. III“.

dobosz francuski stokroć gładziéj i zręczniéj od nas zrobić potrafi“ [1]).

Był to pierwszy silniejszy cios, otrzymany od krytyki; wywołał on w duszy autora uczucie bolesne, bo uczucie zawodu; przejął go niechęcią do krytyki. Skłonny zawsze do wypowiadania swych uczuć, choćby tylko chwilowo goszczących w jego duszy, zapisał i tę niechęć zaraz w roku 1833 w artykule poświęconym „Galileizmowi“. „Litości! litości dla Galileuszów — wołał — Cóż winien ten męczennik własnéj wielkości? Nie dość-że dla niego codziennych przykrości życia? Trzeba, żeby *krytycy*, bracia jego z nieprawego łoża, mierzili mu życie i nie umiejąc pojąć całéj dzieła myśli, rzucali mu w oczy *drobne błędy*, *rozsiane po jego pismach*, których jego oko, przywykłe do większych obrazów, dojrzeć nie może? Na nieszczęście, większa część świata czytającego *przez wasze oczy* patrzy na wszystko! Dumni swoją chwilową władzą i przywłaszczoną mocą, żyjąc moralnie i fizycznie *cudzemi błędami*, przez wdzięczność dla nich, powinnibyście im przepuścić tam, gdzie więcéj jest dobrego, jak złego“ [2]).

Ale młodość zbyt ma wiele w sobie żywotności, ażeby nie mogła znieść większych nawet bolów, niż komarowe ukłócia krytyki. Ponieważ głównie na powieści historyczne uderzano, zraził się Kraszewski na czas dosyć długi do kreślenia „obrazów“ dziejowych, ale pisać nie przestał; ze spotęgowaną owszem siłą talentu i z większém doświadczeniem zabrał się do powieści obyczajowéj i innych prac literackich.

II.

Po r. 1831 Wilno znacznie opustoszało. Statystyka urzędowa wykazuje tu na r. 1832 około 35,000 mieszkańców,

[1]) „Tyg. Petersb.“ 1833, N. 28.
[2]) „Wędrówki literackie“, I, 213, 214.

a Baliński domyśla się nieurzędowo, że było ich około 50,000, ale zpomiędzy nich odlicza na żydów 30,000. Nadzwyczajne przepełnienie miasta ludem żydowskim, „a bardziéj jeszcze jego azyatycki ubiór i odrażliwe nieochędóstwo“ — jak się wyraża ten autor — nadawało ludności Gedyminowego grodu „ponury charakter i sprawiało w każdym widzu wstręt naturalny na pierwszy rzut oka, a wielu z przejezdnych źle usposabiało dla Wilna“. Tak określił wrażenie swoje człowiek, który zrósł się niemal z tém miastem, gdyż w niém lata młodości i znaczną część wieku męskiego przebył. A wrażenie to usprawiedliwił charakterystyką części miasta, zamieszkałéj przez element przeważny. „Ażeby je ocenić — mówi on — trzeba zwiedzić ciasne i brudne ulice i zaułki, sam środek miasta stanowiące, zapchane cisnącą się od rana do późnéj nocy ciżbą żydowstwa; trzeba poznać ich staroświeckie kamienice, gdzie wśród steku nieczystości każda prawie izba jest schronieniem kilku familij na pułapach z całém swojém gospodarstwem żyjących“[1]). Dodać należy, że miasto było bardzo źle oświetlone latarniami olejnemi, że kupy błota i śmieci zalegały boki większéj części ulic.

Uniwersytet został zamknięty. Literatura była w uśpieniu; ledwie jakieś dzieło szkolne, gospodarskie, lub „kucharz dobrze usposobiony“ (1833) i „kucharka oszczędna“ (1835) Szytlera znajdowały chętnych nakładców. Nawet „Pan Podstolic“ Massalskiego musiał się z Wilna przenieść do Petersburga. „Kuryer Litewski“, jedyne przez lat trzy pisemko peryodyczne, stał się po roku 1831 gazetą urzędową, wychodzącą trzy razy na tydzień, w któréj jedyny dział literacki zapełniały reklamy księgarzów.

Rok 1831 przepędził Kraszewski w szpitalu księży pi-

---

[1]) Statystyczne obrachowanie ludności miasta Wilna w r. 1832 przez M. Balińskiego w „Zniczu“ na r. 1834, str. 101—112.

jarów, skąd pod datą 18 (30) grudnia pisał do matki: „Korzystam ze zręczności, żeby donieść mamie, że jeszcze żyję i jestem w mieście do czasu, bo sam nie wiem, kiedy mi jechać w podróż wypadnie, i to w podróż, och, jaką! któréj się nigdy nie spodziewałem. Cały ogrom moich myśli i wyobrażeń zmienił się od czasu, jak to niespodziane nieszczęście mię uderzyło. Ale też, o kochana mamo, jak wiele to nieszczęście posłużyło do rozwinięcia mego ducha, do ustalenia charakteru! Mogę powiedzieć, że od tego dopiero czasu zacząłem rozumować, jak doznałem, co to nieszczęście. Przypomina mi mama i babunia, abym nie zapominał o Bogu. Ach, któż kiedy w nieszczęściu o nim zapomniał! W pomyślności wielu ludzi o nim zapomina, ale nieszczęśliwy nigdy... Gdybym mógł pokazać choć na chwilę stan mego serca i duszy, nie możnaby mnie nigdy obwiniać o obojętność lub zapomnienie. Zapomnieć rodziców, sióstr, braci, krewnych niepodobna temu, kto umie czuć, bo w nich polegają najmilsze nam, najdroższe i najtrwalsze uczucia... Jedyną pociechą moją w tym stanie są książki; rzuciłem się teraz na drogę zupełnie suchą, marzę sobie o filozofii, śmieję się z nieszczęść, dumam, czasem płaczę, ale najwięcéj czytam. Nazwałbym największym moim nieprzyjacielem tego, ktoby mi książki odebrał; byłoby to może więcéj, niż życie odebrać, bo ja dziś tak mało życie cenię, iż nawet się nie staram, aby je przedłużyć... Ja już zginąłem dla was i dla siebie. O, kochana matko, nie płacz nade mną! ja wszystko wycierpię i zniosę, jeżeli będę wiedział, że nikt po mnie nie płacze, bo wiedząc, żem drugich nieszczęśliwymi uczynił, podwójnie cierpieć będę... Może to jeszcze nie ostatni list ode mnie... ale żegnam was, kochana matko, ojcze, babki, siostry, bracia: Joasiu, Anusiu, Lucyanie i ty mały Kaziu! Pamiętaj, żeś miał brata, który był nieszczęśliwy, ale nigdy występny, który zbłądził nieraz, ale nie z nałogu, który ko-

chał cały świat, który na świecie dojrzał za prędko i zmartwiał zaprędko na wszystko. Niech to będzie dla was nauką, że nie bardzo trzeba się cieszyć, kiedy dziecię nad lata pokazuje po sobie zdolności; ach! taki nieszczęśliwym jest bardzo, walczy ciągle z samym sobą i ginie wówczas, kiedy drudzy żyć zaczynają".

Ponure te przeczucia 20-letniego młodzieńca nie sprawdziły się. Ze szpitala nie udał się w podróż z karabinem na ramieniu, ale za staraniem panny Dłuskiéj, mającéj wpływy u jenerał-gubernatora wileńskiego, Dołhorukowa, mógł zamieszkać w Wilnie. Stało się to 7 (19) marca 1832 roku. Miłą tę wiadomość zakomunikował Kraszewski rodzicom: „Dziś dla mnie dzień pamiętny na całe życie. Prawdziwie teraz powiedzieć można, że ręka i opieka boża nade mną niezasłużonym jeszcze spoczywa. Wrócony na łono rodziny, do któréj serce moje wzdychało, będę się starał otrzeć łzy ich i na przyszłość zasłużyć na ich przywiązanie. Jedno tylko pozostaje mi do życzenia, ażebym jaknajprędzéj przestał być ciężarem im i mógł kiedykolwiek, choć w milionowéj części, odwdzięczyć łaski najukochańszych rodziców".

Zamieszkał w domu Orłowskiéj, wprost kościoła ś. Jana przy byłym uniwersytecie. Zpoczątku zajmował jeden pokój duży, w którym za parawanem stało łóżko jego lokaja, także Józefa, przysłanego mu przez ojca; następnie za własne już z literatury wzięte pieniądze przynajął sobie drugi mniejszy pokoik. O przyjemnościach tego mieszkanka i o swém życiu ówczesném tak pisał do matki: „O kilka kroków Glücksberg, a woda sławna z doskonałości, święto-jańska, przed mojemi oknami... A co się tyczy stołu, ten jest dobry, i że ja niewiele jadam, bardzo mi wystarcza. *Za złoty* na dzień żyję wyśmienicie! Mam sobie najczęściéj rosół dobry z ryżem z cielęciny, pieczyste lub kotlety. Alboż to nie dość? Zrana piję herbatę i w wieczór zamiast wieczerzy. Właśnie

teraz rozmyślam, jakby tu co innego sobie przybrać, bo cukier drogi i wiele go wychodzi, — może będę pił mleko". Wogóle był zadowolony ze swego przymusowego pobytu w Wilnie. „Jestem tu prawdziwie w swoim żywiole — pisał do matki — żyję, jak chcę, wstaję, o któréj chcę, o któréj chcę, się kładę, robię, co chcę, i cóż mi brak?.. tylko mamy, papy i Dołhego" [1]). Czytał w domu, chodził do bibliotek i archiwów, szczęśliwy, że mu dostępu dozwolono, zbierając materyały do historyi Wilna.

To jednakże względne zadowolenie nie usposabiało młodzieńca optymistycznie. A powód ku temu znaleźć można zarówno w ówczesnych stosunkach, jak i w usposobieniu samego Kraszewskiego.

Życie towarzyskie było wtedy w Wilnie bardzo słabo rozwinięte i pełne przesądów. Można o niém stąd brać miarę, że Kraszewski zaraz po wydrukowaniu *Kościoła Święto-Michalskiego* przesłał do *Tygodnika Petersburskiego*, z usilną prośbą o zamieszczenie, list, w którym starał się oczyścić z zarzutów, jakoby chciał szkalować spółczesnych mieszkańców Wilna wyznania helweckiego; chociaż o zarzutach tych, robionych prywatnie, zasłyszał tylko. Musiał się tu autor uciec aż do tak heroicznych argumentów, że minęły wieki fanatyzmu, że czwarte pokolenie nie powinno się obrażać za wystawione błędy przodków, że kto wie, czy nie więcéj wywyższył w swoim obrazie kalwinów „nad zapędne pospólstwo", wykazując wyższy stopień oświaty (u kalwinów) w wieku dość ciemnym jeszcze. „Co do mnie — kończył swoje usprawiedliwienie — będę się starał, abym nie brał przedmiotów do powieści z czasów, w których podobne re-

[1]) Wyjątki z listów tu przytoczone, wziąłem z „Życiorysu Kraszewskiego" przez A. Pługa w „Książce Jubileuszowéj" str. XXII—XXIII.

ligijne waśnie na scenę wychodzą i zapewniam najmocniéj, że o nich więcéj nie wspomnę. Nie jest albowiem w charakterze moim, abym komukolwiek przykrość umyślną miał wyrządzać, a tém bardziéj ludziom, którzy mnie bynajmniéj nie zawinili“ (w Wilnie 13 stycznia 1833). Możnaby mniemać, że autor przesadził tutaj obawy swoje; w rzeczywistości jednak miał słuszność; bo w parę miesięcy potém nadesłał z Wilna R. W. recenzyą *Kościoła Śto-Michalskiego* i w niéj utrzymywał, że „Ewangielicy“ mieli racyą się gniewać, gdyż nazwa „Kalwinów“ wyrażała pogardę.

Kraszewski więc zamiast żyć *takiém* życiem towarzyskiém wolał przebiegać ulice miasta, wieczorem, gdy padał mrok nocny, a wpatrując się ciekawie w przesuwające się postacie, starał się odgadnąć dokąd, po co, z jaką myślą dążyły? Wprawdzie i przechadzki wileńskie dla wielkoświatowca nie przedstawiały żadnego powabu. Któryś z nich naprzykład, z obrzydzeniem wspominając próżniactwo i pijaństwo wileńskie, tak mówi o jedném z ulubionych miejsc tych niekłopotliwych peregrynacyj: „Nigdy nie mogłem się dowiedzieć, jaki jest cel zgromadzenia się na Rossie. Dokoła tamecznéj równiny wzrastają tylko nagle, jak krótkowieczne grzyby, budki obficie zaopatrzone w trunki; piwo szczorsowskie i słonimskie, miód kowieński, doskonałe wódki i mizerne wina są wszystkiego gruntem i zasadą, i zdaje się, że poczciwi mieszkańcy grodu Gedymina na to z ciasnych swych zaułków na wolniejsze wyciągają powietrze, ażeby spożywane trunki prędzéj parować mogły“. Inaczéj jednak patrzał na to były mieszkaniec małych miasteczek, choć i on zresztą wolał samotną niż tłumną przechadzkę. „Nieraz goniłem — powiada — za posępną twarzą, pod któréj brwią nawisłą szukałem dziwacznéj powieści. Wróciwszy potém do samotnego mieszkania, rozplatałem moje marzenia, rozrzucałem je, snułem z nich powieści tak dziwaczne, jak po-

staci sunące się po ulicy o zmroku, jak myśl młodego, gdy ją co daleko od świata rzeczywistego uniesie [1]).

Przechadzki te nie mogły zostawiać zbyt estetycznego wrażenia na tak wrażliwym na zewnętrzne kształty umyśle, jak Kraszewskiego; nie mogły nasuwać mu myśli o harmonii i spokoju artystycznym, tém bardziéj, że rozczytywanie się w utworach Jana Pawła Richtera, Hoffmana i romantyków francuskich w zupełnie innym myśli jego zwracały kierunku. Nie harmonia kształtów, ale *siła*, jakiemi bądź środkami zdobyta, stała się odtąd jego hasłem literackiém; brak téj siły wyrzucał wszystkim pisarzom polskim. Uwielbiając Hofmanna, jako geniusz całkiem oryginalny, twierdził, że „z małéj liczby próbujących u nas, nikt, ale to nikt, nietylko fantastycznie, ale w jakimkolwiek innym rodzaju *oryginalnie* nic nie napisał". I nie odnosił tego zuchwałego wyroku do powieści jedynie, lecz do całéj działalności umysłowéj Polaków. „Proszę przewrócić — pisał — cały katalog Bentkowskiego, i dodatki do niego wileńskie i lwowskie, i wszystkie świeże katalogi — i proszę z tego mnóstwa książek wszelkiego rodzaju *choćby jednę* pokazać, któraby miała wartość rzeczywistą, to jest europejską, któraby w jakiéjkolwiek nauce, sztuce, w rzeczach smaku i imaginacyi nadała ruch myślom i wpływała na epokę... Prócz oryginalnego geniuszu Kopernika, któż więcéj stanie? Może *jeden*, może żaden" [2]).

Tak surowego a pod pewnemi względami niesprawiedliwego sądu o wartości utworów umysłowych swojskich do owego czasu nikt u nas nie wygłosił. Jak widzimy, Kraszewski porzucił ton dobrodusznie drwiący i uganianie się

---

[1]) Przedmowa do drugiego wydania „Pana Karola" datowana 12 sierpnia 1840.

[2]) „Wędrówki literackie" I, 102.

za łatwym dowcipem, ale bystrzéj zaczął spoglądać we wnętrze rzeczy i nabierał siły zarówno w sądach, jak i w ich wypowiadaniu. Pogoń za siłą myśli, obrazów i słów powiodła go do wyszukiwania tematów nadzwyczajnych, do używania porównań jaskrawych, do niezważania na dobór wyrazów, byle te najdobitniéj malowały myśl, jaką miał wypowiedzieć.

Najpierwszym z téj nowéj fazy utworem był „Pan Karol“, który się zrodził, jak mówi autor, „ze światła w oknach na Skopówce, z przechadzki na Antokol, z ujrzanych śmiesznych figur kilku w traktyerze“. Ułożył go Kraszewski, napisał i przepisał we trzy tygodnie, wśród których inne jeszcze miał zatrudnienia [1]). Przedstawia tu Don Juana wileńskiego, któremu długo żadna kobieta oprzeć się nie mogła, ani mieszczka, ani nawet hrabianka, który przecież trafił wreszcie na skąpą, doświadczoną, choć wcale niewykształconą Żmudzinkę, starą pannę Hermenegildę *Twardowską* [2]) i — utracił nazwę niezwyciężonego. Trzyma się tu jeszcze autor świata mieszczańskiego, ale już nie z małych miasteczek, tylko z Wilna; przebywa często w restauracyach, nie zagląda nigdy do grona rodzinnego, chyba wówczas, gdy kochanka mąż przy żonie zastaje; nie szafuje już jak dawniéj mnóstwem osób, ale wybiera kilka i te staranniéj skreśla; ludzi zacnych i mądrych i teraz jeszcze nie dostrzega; uśmiech szyderski, ale już nie dobroduszny, towarzyszy mu zawsze, gdy patrzy na te postaci opasłe, pijackie, albo skąpe, samolubne; kobiety poczytuje za istoty wogóle bardzo słabe i łatwe do uwiedzenia, gdyż taka postać, jak Hermenegilda Twardowska, postać najdoskonaléj pod względ-

---

[1]) Tamże I, 114.

[2]) Tak się nazywała w pierwszém wydaniu; w drugiém przemienił ją autor na *Heciakowską*.

dem artystycznym obrobiona, jest wyjątkiem, a i ona opiera się Karolowi nie z miłości cnoty, ale z wyrachowania, gdyż widzi, że zapał kochanka jest wielce podejrzany; każe mu więc puścić krwi półtora spodka: „żyd cyrulik i za dwadzieścia groszy pusci, a z targiem, to i za piętnaście".

I w kompozycyi zaszły zmiany. Jest już większa dbałość o pewny ciąg w opowiadaniu; sentencye i wszelkiego rodzaju uwagi, które dawniéj tak wielką odgrywały rolę, znikły prawie zupełnie, tak, że mamy przed sobą osoby objektywnie przedstawione w rozmowie najczęściéj, rzadziéj w działaniu, bez żadnych autorskich osobistych rekomendacyj. Jako najważniejszy środek zrobienia efektu używa autor kontrastu, którego poprzednio śladu nawet nie było. Tu kochanek, dostawszy od kochanki pierścionek, chce go sprzedać jéj małżonkowi; tam znów tenże sam kochanek pieści się z inną, gdy pierwsza w trumnie przy śpiewie księży i świetle pochodni przejeżdża koło tego domu na wieczny już spoczynek; gdzieindziéj znów małżonek, chcąc wyłajać żonę za schadzki z kochankiem, za utratę obrączki ślubnéj, przekonywa się ze zdziwieniem, że sam jéj nie ma na palcu, za co musi rozgniewaną żonę na klęczkach przepraszać. W wyrazach nie przebiera: najgrubszy, najtrywialniejszy, najniesmaczniejszy jest dla niego dobry, jeżeli siłą się odznacza.

Odtąd przez lat kilka ten tryb tworzenia zapanowywa w utworach Kraszewskiego i jest stosowany do najrozmaitszych tematów. Sentencye tylko wracają, ale przybierają odmienny od dawniejszego, daleko oryginalniejszy charakter. W połowie roku 1833 odwiedził Kraszewski rodzinę na wsi, bawił w Dołhem i stamtąd robił wycieczki to do Horodca, to do Ossowéj, przypatrzył się szlachcie wiejskiéj tém okiem, jakiém patrzał na całą literaturę krajową i zobaczył, że to istoty zmateryalizowane, samolubne, ciemne

i strasznie głupie. Napisał dla nich gawędę o kaszy gryczanéj, niemającą wielkiego sensu, i tak ją zakończył: „Ten rozdział przeznaczam dla gospodarzy, a chociaż wiém, że z niego i sam Salomon kropli sensu nie wyciągnie; nic mię to jednak nie obchodzi; dla was, panowie gospodarze, to i tak zanadto dobre, dla was, co urodziwszy się w gryce, pożywacie ją całe życie, siejecie i nie umiecie myśléć o czém inném, jak o kaszy. Jak wam Bóg da rozum do czytania, i mnie go do pisania dla was użyczy“ [1]).

Na tém się jednak nie ograniczył. Wystawił on szlachtę wiejską i księży w „Czterech Weselach“ (1834), powieści najlepiéj z powyższych wykończonéj, zawierającéj najwięcéj dobrze nakreślonych charakterów i najdosadniejszą napisanéj mową. Główną osobą tego utworu jest kobieta Julia, będąca niejako przeciwwagą Karola. Jest to uosobienie energii w szczupłym zakresie ziemiańskiego żywota, a zarazem upostaciowanie popędów zmysłowych. Zdaniem Julii miłość jest tylko pragnieniem rozkoszy, a mąż najczęściéj parawanem, za którym ukrywa się kochanek. I nie jest to taka miłość zmysłowa, jaką w obsłonkach lubili przedstawiać powieściopisarze francuscy, Dumas lub Sand; nie, ona ma ten trywialny charakter, jaki u Pawła de Kocka spotykamy. Julia nie rozumie innéj, a jéj natura jest tak płomienna, tak w materyalizmie pogrążona, że właściwie nie ma nawet wyrzutów sumienia, gdy mężów i kochanków luzuje. Autor nie unika scen najbardziéj nawet nagich, ażeby tylko z ekspresyą ten charakter wystawić. Trzy razy wychodzi ona za mąż, a ciągle bałamuci Adolfa, stanowiącego najzupełniejszą z nią sprzeczność pod względem tęgości charakteru; jest on bowiem uosobioną słabością, do potwornych posu-

[1]) „Improwizacye dla moich przyjaciół“. Wilno 1834, str. 25.

niętą granic. Ażeby mieć wyobrażenie o Julii, trzeba wiedzieć, że z powodu płochości, mąż jeden, fałszywém uniesiony podejrzeniem, własną żonę koniem na śmierć roztratowuje, że nasza bohaterka idzie potém za niego i w noc ślubną swemi wyznaniami przyprowadza go do zażycia trucizny. Szarpany bólami usiłuje zadławić żonę, umiera wszakże, a Julią otrętwiałą bez sił i czucia ledwo zdołano uratować. Przygoda nie odstręczyła jednak odważnéj bohaterki od ślubów; idzie po raz trzeci za mąż, za niedołęgę, który, podczas weselnego obchodu zadługo zabawiwszy się z przyjaciołmi, musi noc przepędzić w skrzyni, gdy żona z kim innym wczasu używała...

Głupota, samolubstwo, szachrajstwo, podłość przedstawiona w postaciach szlacheckich wchodzących w skład powieści (Dyonizy, Aleksy, Salezy) a niezapomniane téż z materyalizowanie księży, którzy będąc na pogrzebie i widząc smutek na twarzy Adolfa i obłąkanie w obliczu męża, powiadają sobie: „Pan Bóg nie zapomina o nas, zapomaga potrosze sług swoich: trzeci to już pogrzeb tak bogaty tego roku w naszéj parafii“ — mechanicznie odczytują brewiarz, śpiewają pieśń pogrzebową, przeplatając ją gawędką o swoich dochodach, o psach, o polowaniu; powtarzają sobie plotki o zmarłéj. W całéj galeryi obrazów i obrazków, dwie tylko postaci są uczciwe (prezes i Matylda, żona Adolfa), ale te właśnie postaci zupełnie w cieniu zostawione. Autor, przejmując się tém, co kreślił, staje się pesymistą i materyalistą, na chwilę. Radzi on np. kochankom, żeby lube swoje widywali tylko wieczorem: „Podwójny z tego pożytek, bo złudzenie piękności na dłużéj przechowa... a do zbrzydzenia sobie kobiety tak nie wiele potrzeba. Dość jednéj plamki na twarzy, ust spalonych, zębów nieumytych, dość jednéj skazy; dostrzeżenie ziemskiéj ułomności w urojonym aniele odraża, rozbija uroki, łamie miłość. Ludzie są bru-

dnemi stworzeniami: trzeba je myć, polerować, czyścić jak deskę, z któréj stolarz chce coś wyrobić świecącego, aby pokryć chropowatość, brudy, plamy i skazy wewnętrzne.

Takiéj powieści, z taką ekspresyą w szczegółach, z taką jaskrawością w barwach, z takim realizmem w traktowaniu stosunków towarzyskich, nie mieliśmy wówczas w literaturze naszéj. Poezyi nie było tam prawie zupełnie; panowała wszędzie proza; sytuacye nawet tragiczne (ojciec obłąkany, niepoznający syna) zostały umieszczone na takim poziomie, że uczucia grozy nie budzą.

Ale na tém pragnienie siły i oryginalności nie mogło się ograniczyć. Potrzeba było wyszukiwać tematów niecodziennych i dobierać barw jak najjaskrawszych. A więc opowiada nam autor, jak jeden zapaleniec, pragnąc doznać uczuć niewieścich, zaprzedał się dyabłu, ażeby mógł zostać kobietą; jak ten Leon, w Leontynę przemieniony, jednodniową tylko znał miłość i kochanków swoich zmuszał do samobójstwa; jak go wreszcie na stosie spalono (było to w Hiszpanii) i jak z tego stosu czart we własnéj postaci wyskoczył [1]). To znów kreśli nam sylwetki całego szeregu waryatów i waryatek i utrzymuje, że najszczęśliwsi i najzdrowsi są głupcy, że wiara, ślepa wiara jest drogą do spokojności i szczęścia, i że umysły gorętsze, oryginalniejsze, dopóty spokoju nie znają, póki nie zwaryują [2]). Kiedy indziéj znów opowiada historyą żebraka, który na to przez lat pięćdziesiąt głodził się, rękę po jałmużnę wyciągając, ażeby sprosić na ucztę najznakomitsze osoby, opowiedzieć im swoje życie i wypić truciznę [3]). Pomysły tego rodzaju roiły się wówczas tłumnie w głowie młodzieńca, który są-

[1]) „Wędrówki literackie“ I, 143—172. „Leon Leontyna“, powieść waryata.

[2]) Tamże, „Bedlam“ 173 - 211.

[3]) Tamże, „Uczta żebraka“, str. 212—224.

dził, że w tym kierunku zdoła utworzyć rzecz znakomitą. Dzieje biedaka, który pracą lub zrządzeniem losu zostaje bogatym i może cisnąć słowa pogardy tym, którzy nim dawniéj gardzili, były tematem ulubionym wówczas, z przyczyny, że przedstawiały wyborną sposobność do efektownego kontrastu. Jeden z takich biedaków, obrzydliwy z natury i zeszpecony nędzą, kładzie się w rynsztok, ażeby po jego grzbiecie mogła przejść panienka; późniéj tenże sam żebrak, znalazłszy wór złota, każe sobie tę dziewczynę przyprowadzić i pomimo swéj brzydoty dostaje uśmiech — za pieniądze. Taki żebrak jest filozofem, cynikiem, i rozprawia o śmieciach, o prawdziwych śmieciach, jakby o najpiękniejszym przedmiocie. Chcąc poznać realizm w wyrażeniach i tę żądzę stworzenia kontrastu, trzeba odczytać choć jeden ustęp. Garbaty, oszpecony, ołachmaniony zamiatacz ulic ujrzał piękne dziewczę i pomyślał, że i on równy jéj człowiek, że może ją posiadać. „Dumną myśl moję zabiła myśl druga; wspomniałem na twarz moję oszpeconą, spojrzałem na ręce, na garb, na bose i pokaleczone nogi i wyznałem, że w moich objęciach ten anioł byłby jak brylant w błocie... Rzuciłem miotłę, uderzyłem głową o mur kościoła; chciałem się zabić, skaleczyłem się tylko; krew polała się z rany; muchy obsiadły spiekłe me skronie, słońce paliło czoło, w usta płynęła krew własna, cały byłem we krwi i serce we krwi pływało. Dziewczyna przeszła mimo, nie spojrzała nawet na mnie i śmiejąc się, rozmawiając z jakimś młodym mężczyzną, znikła mi z oczu. Ja rzuciłem się na kupę śmieci i błota, tarzałem się w niéj bez pamięci; patrzałem, czy nie znajdę czém życia odebrać; ale nie było — musiałem żyć i cierpieć!“ [1]) I w tym tonie, podobnemi frazesami, rzecz się ciągnie przez 4 stronice.

[1]) Improwizacye dla moich przyjaciół: „O śmieciach“, str. 26—36.

Jeżeli chcemy sobie wyjaśnić te dziwne objawy, musimy sobie przypomnieć ten świat waryatów i fantastów, jaki Hoffmann stworzył w powieściach swoich, ten świat okropności i brzydoty, jaki Wiktor Hugo w Hanie Islandzkim, w Bug-Jargalu, a nawet w Notre-Dame de Paris, z takiém zamiłowaniem opisywał; musimy sobie wogóle uprzytomnić hasła romantyków niemieckich, a zwłaszcza francuskich. Kraszewski, który dawniéj za nic w świecie romantykiem zostać nie chciał, teraz stał się zwolennikiem teoryi romantycznéj: w utworach swoich nie dbał ani o moralność, ani o ideę, mając cel jedynie artystyczny wywołania efektu na względzie. W sposobie tworzenia, w kompozycyi i stylu nie pilnował ładu estetycznego, o umotywowanie wypadków się nie starał: wszystkie braki zastąpić musiała fantazya i siła wyrażenia. Wśród bladych inspektowych utworów ówczesnéj belletrystyki naszéj był to skandal, który rozbudzał umysły, a przynajmniéj wyobraźnie, który życie nieporządne, wyuzdane, ale bądźcobądź życie istotne wprowadzał na scenę powieściową.

Równocześnie jak został romantykiem, stał się też Kraszewski poetą w formie wierszowéj, choć poprzednio nazwy podobnéj stanowczo się wypierał [1]).

Przy końcu r. 1833 zaczął się w Wilnie ożywiać ruch naukowy.

Na miejsce uniwersytetu założona została naprzód akademia medyczna, a potém duchowna. Zapewne i na wykładach lekarskich bywał niekiedy Kraszewski, o czém świadczą częste wzmianki o doktorach, sekcyi trupów, skalpelach, bisturach i t. p. Ale wraz z założeniem akademii duchownéj otwarła się możność uczęszczania na wybrane lekcye, pomiędzy któremi najpierwsze miejsce zajmowały

[1]) „Wielki świat mał. miast.“ II, 108.

odczyty Leona Borowskiego. Lekcye w niéj odbywały się tu już w końcu roku 1833, gdyż ukaz, ustanawiający akademią, ma datę 1 lipca 1833 (v. s.), chociaż otwarcie publiczne nastąpiło dopiero 11-go lutego (v. s.) 1834 roku pod przewodnictwem biskupa Kłągiewicza, w towarzystwie rektora Aloizego Osińskiego, tudzież profesorów i innych urzędników akademii. Cały świat urzędowy, mając na czele księcia Mikołaja syna Andrzeja Dołhorukowa, który był wtedy gubernatorem wojennym wileńskim, był przytomny. Wygłoszono naturalnie kilka mów i to w trzech językach: polskim, rosyjskim i łacińskim. Po polsku przemawiali: biskup Kłągiewicz, Aloizy Osiński, ks. Antoni Fijałkowski („o potrzebie, pożytkach i wpływie historyi kościelnéj na teologiczne nauki"). Stanisław Hryniewicz rozwodził się po łacinie nad ważniejszemi pożytkami, wynikającemi ze studyów klasycznych zarówno dla wszystkich działaczy publicznych, jak szczególniéj dla księży; a Paweł Kukolnik wykazywał po rosyjsku wpływ Opatrzności Boskiéj na los narodów i państw [1]), Duch w téj akademii, o ile z tych przemów wnioskować można, miał być ściśle religijny, konserwatywny. W każdym razie dawała ona poznać świat zagadnień umiejętnych i tym sposobem wyrywała umysły ze sfery parafiańskiéj niewiadomości i dążenia do poziomu materyalnych celów.

W tymże samym czasie i starsze i młodsze pokolenie pomyślało o wznowieniu czasopiśmiennictwa. Ignacy Szydłowski, dawny członek „Towarzystwa Szubrawców", znalazłszy w Zawadzkim nakładcę, zaczął z początkiem r. 1834 wydawać zeszytami „Wizerunki i roztrząsania naukowe", złożone z samych przekładów z nader drobnemi wzmian-

[1]) „Otwarcie publiczne Akademii duchownéj rzymsko-katolickiéj Wileńskiéj". Wilno w drukarni J. Zawadzkiego 1834, str. 134 i I karta „spisu rzeczy".

kami bibliograficznemi o literaturze krajowéj. Artykuły były w ogóle treści poważnéj; redaktor brał je z najznakomitszych miesięczników i kwartalników angielskich i francuskich; zaznajamiały one ze stanem literatury i estetyki. Młodzi trudny tam znajdowali przystęp, gdyż Szydłowski, jak powiadali, zrażał pedantyzmem.

Nie mogli oni marzyć o trwalszém jakiémś wydawnictwie; poprzestali więc na zbiorku pomniejszym, który zamierzali co rok ogłaszać, choć spotykali ciągle trudności. Trzeba było zbierać prenumeratę, a chętnych do jéj składania nie było, jużto dlatego, że książkę poczytywano jeszcze za rzecz niebardzo potrzebną, już téż dlatego, że kilku spekulantów zawiodło nadzieje publiki i, zebrawszy pieniądze, nie myślało ogłaszać za nie obiecanych dziełek.

Kraszewski żył wtedy w ścisłéj zażyłości z Józefem Krzeczkowskim i Wiktorem Każyńskim. Otóż jeden z nich, a mianowicie Krzeczkowski, podjął się trudów wydawnictwa i zdołał zebrać podpisy 231 prenumeratorów, w których liczbie znajdowały się nazwiska: znanego męża „Maryli“ Wawrzyńca Puttkamera i znanego światu uczonemu Jędrzeja Śniadeckiego. Nietylko młodzi, ale i starsi literaci nie odmówili swego bezpłatnego spółudziału w dostarczeniu artykułów. Znajdowały się tu urywki z poezyj Mickiewicza, Odyńca; Józef Jaroszewicz dał obszerną rozprawę p. n. „Stan Litwy do przyjęcia wiary chrześciańskiéj“; Michał Baliński zebrał szczegóły statystyczne o Wilnie. Zbiorowi nadano napis „Znicz“, który był symbolem zogniskowania uczuć i dążeń młodzieńczych, bo nikt jeszcze wówczas istnienia „znicza“ nie zakwestyonował. Rozumie się, że i Kraszewski stanął w rzędzie spółpracowników, i to zarówno w prozie, jak w wierszu. Z artykułów prozą znajdujemy tu, prócz przekładu z Jean Paula („Śmierć anioła“), dwa zupełnie różne pod względem wykonania obrazki; jeden („Podróż po mo-

jéj szkatułce, dziwactwo“ [1]) datowany w grudniu 1831, przypominający chwilę smutku w życiu samego Kraszewskiego, ale wyrażający ten smutek w sposób widocznie pożyczony z Wertera, a skomplikowany manierą Jean Paula w traktowaniu uczuć; drugi zaś pisany późniéj („Majster i czeladnik“ [2]), a przedstawiający cechy drugiéj fazy twórczości Kraszewskiego, kiedy ulubionemi środkami były siła i kontrast. Opowiada tu legendę o budowniczych kościoła św. Anny w Wilnie. Do dramaciku tego wchodzą trzy osoby: majster Wojciech Krzyżak, córka jego Marya i zięć, czeladnik Piotr. Pomiędzy majstrem a czeladnikiem zawiązuje się sprzeczka o doskonałość roboty: Piotr podejmuje się sam dobudować kościół „choćby miał krwią własną wszystkie sklejać cegły“; majster zezwala na to, przedrwiwając jego zarozumiałość. Piotra dręczy zazdrość i żądza sławy; napróżno stara się uspokoić go Marya; ale i Wojciech, z razu niedowierzający zręczności swego ucznia, gdy kościołek miał już być odsłoniony, zawrzał gniewem i wyrzucał Piotrowi, że nie zaczekał jego śmierci, ale chciał jeszcze za życia sławę jego wtrącić do grobu; a skończył na podejrzeniu, że czeladnik musiał z dyabłem wejść w spółkę. Potém, niby uspokojony, namawia go, żeby wszedł z nim na rusztowanie; doszedłszy na szczyt, „silną ręką chwycił Piotra za szyję i pchnął go uderzeniem nogi“. Czeladnik zatrzymał się na chwiejnéj desce, a tracąc siły, co chwila wołał przytłumionym głosem: „ratuj, Maryo, ratujcie“!... Stary majster nic nie słyszał, nic nie chciał słyszeć... „porwał ogromną cegłę z rusztowania, ugodził nią oburącz

---

[1]) *Znicz.* Noworocznik wydany przez Józefa Krzeczkowskiego. Wilno 1834 str. 217—224.

[2]) Tamże str. 89—92.

w głowę nieszczęśliwego — i ciało jego padło na kupę gruzów przed kościołkiem".

Wiersze, zamieszczone przez Kraszewskiego w „Zniczu", były to pierwsze próby poetyczne, jakie drukował. Jest ich dwa i w obu zarówno pojęcia, jak frazeologia i sposób wierszowania, noszą cechy romantyczności. Puszczono tu wodze wyobraźni i pozwolono jéj hasać najswobodniéj, nie starając się ani o jasność, ani o doskonałość formy. Koloryt smętny, melancholiczny, a nawet ponury; nieodzowna blada twarz miesiąca, gwiazdy, niebo, brzemię klęsk, zaguby nieszczęść znajdują się zawsze na zawołanie. Usposobienie marzycielskie odbija się we wszystkich szczegółowych i ogólnych pomysłach. W fantazyi „Wieńce" kreśli poeta w czterech ustępach dzieje serca dziewiczego. Dzieckiem kocha dziewica matkę i dla niéj zbiera kwiatki; w 15-tym roku, w upojeniu szczęścia zrywa je dla kochanka; potém w jesieni ze zwiędłych liści splata wiązanki na grób matki i kochanka; w końcu rwie je dla siebie, ażeby mogiłę jéj pokryły. Stan przyrody, zawsze tu zgodny z usposobieniem dziewicy, kreślony jest ogólnikowemi a zwykłemi u romantyków rysami. Jesień n. p. tak się nam przedstawia: „Mgły niebo i ziemię pokryły; Wichry północne zawyły, Drobne listki, drobne kwiatki, Oderwane z łona matki, Uleciały z wiatrami, jak jedyne człowieka w nieszczęściu nadzieje". Najpiękniejszy jest początek:

Tęcza po niebiosach płynie!
Mgliste słońce odsłania oblicze spłakane,
Niebo chmury strząsnęło i nad wschodem ginie
Groźne burz czoło z obłoków utkane.

Świat cały teraz jak oblubienica,
Która łzami zalawszy czarne swoje oczy,
Wkrótce szczęścia uśmiechem maluje swe lica
I błyska złotem rozwitych warkoczy.

Mimowolne przypomnienie z Mickiewicza („muskając sploty swych złotych warkoczy“) znalazło tu miejsce, gdyż sfera pomysłów była ta sama. W drugim wierszu, który Kraszewski nazwał melodyą p. n. *Duchy* (z datą 16 Lipca 1833), niejasność myśli przeszkadza dobremu wrażeniu, jakie wywołują harmonijniejsze niż w „Wieńcach“ wiersze. Zachęca tu poeta Alinę, żeby spojrzała na gwiazdy, niebo, i każe jéj żałować tych ludzi, których powieki nazawsze już zamknięte; objaśnia, że matki, kochanki, żony, próżno posyłały wzrok za mogiły i dziwi się, że płaczą po umarłych, kiedy tylu żywych zostało; kończy tém, że gdyby nawet ktoś wywołał ducha, to oczy téj ziemi nie obaczyłyby go zapewne: „Napróżno goni powieka; Próżno uścisk oczekuje; Żona z uścisku ucieka, Serce go jedno czuje!“ I znowu mimowolna pewnie reminiscencya z „Romantyczności“, kiedy dziewica sercem czuje obecność kochanka, którego dojrzéć nie mógł starzec ze szkiełkiem w oku.

Odtąd przez lat dwa tworzenie powieściowe ustąpiło miejsca poetycznemu. W „Zniczu“ na rok 1835 spotykamy tylko jednę „fantasmagoryą historyczną“ napisaną prozą p. n. „Raj i piekło“, gdzie odnajdujemy stałe cechy drugiéj fazy powieściopisarskiéj; ale natomiast mamy trzy dłuższe poezye: „Zawsze razem“ „Dwa słowa“ (1 lutego 1834 *Dołhe*), „Dumanie nad Horyniem“ (23 kwietnia 1834 *Ossowa*), gdzie miłość, smutek, tęsknota i pesymizm splatają się w wieniec poetyczny. Na rok 1835 przypada obszerny dramat historyczny „Halszka“. Tu się połączył realizm powieściowy (w pierwszych dwu aktach) z pesymizmem i bajronizmem poetycznym (w akcie III). Samolubstwo i zepsucie moralne w jednych charakterach, a filozofia pesymistyczna, lub uczucie, do najwyższéj podniesione potęgi, w drugich — służą tu za czynniki, mające z siłą kontrastu na czytelnika uderzyć. Dymitr, z początku lękliwy, czasami brutalny, staje

się w końcu bajronistą, nie wierzącym w przyjaźń, marzącym o śmierci i pogardzającym ludźmi, o których powiada, że „ich dusza głęboka“

Czysta po wierzchu jak jeziora wody;
Spodem muł czarny; w nim lęgną się żmije,
W nim rudych wężów pełzają narody,
Jad, złość, przewrotność na spodzie się kryje.

Dla „Mołni“, wiernéj Dymitra kochanki, „ojczyzna w uścisku jego, dom na jego łonie“; gotowa ona zabić ojca, matkę; nie lęka się szatana ani Boga. Filozofem, wyrozumiałym na błędy, a nawet na zbrodnie ludzkie, jest tu grabarz, który przejęty marnością rzeczy ziemskich, dla złota nie zdradzi nikogo, ale téż na zabójstwo patrzy okiem obojętném.

W miarę jak Kraszewski oddawał się poezyi, ulegał coraz bardziéj działaniu ówczesnéj atmosfery literackiéj, przejętéj smutkiem głębokim, a niekiedy udanym, i brzemiennéj oczekiwaniem i pragnieniem rychłego zgonu. Nie zdziwimy się więc, gdy 23-letni młodzieniec napisze swój *testament* z mnóstwem bardzo długich kresek i podwójnych wykrzykników. W tym testamencie będzie takie samo narzekanie na książki, jak u Gustawa z „Dziadów“, i potępienie pisarskiego zawodu:

Księgi w głowie pożar rozdmuchają zdradny,
Zbrzydzą pokój i rolę i wiejskie zacisze,
O! nieszczęsny, kto czyta, szalony, kto pisze!

Radzi więc bratu Lucyanowi, żeby książki rzucił w ogień, bo cała mądrość zamknięta w słowie *kochaj*. Poeta sam nie miał nigdy siły rozstać się z temi zdradnemi księgami, które go zabijały, choć on je tak kochał. W zamian za nie ofiaruje mu przez siebie rysowane widoki tych miejsc, gdzie przeżył szczęście wielkie, przetrwał żal głę-

boki; gdzie spoczęła po smutkach skłopotana głowa pod dachami Horodca, Dołhej, Romanowa:

Jest tam nasza kaplica i luba *Ossowa*
I wiele, wiele jeszcze miejsc, gdzie moje życie
Zostawiłem szczątkami, gdzie serce ulata,
Dokąd nawet po śmierci przylecę jak dziécię
Pobawić się pamiątką naszego łez świata.

Obok tego rzewnego wspomnienia nie obyło się bez karykatury romantycznéj. Józefowi Krzeczkowskiemu, który miał w jego sercu miejsce brata, zostawia nasz poeta umierający „włosy téj głowy, którą świat wzgardził i cierniowym wieńcem otoczył“. Lubéj nic nie zostawia, każe jéj o sobie zapomnieć i życzy, żeby była tak szczęśliwa, jak on był biedny.

U wrót grobu prawie
Jeszcze za tobą łza spływa,
Może ostatnia, którą *widziały powieki* —
Może piersi na więcéj westchnień już nie stanie
I usta moje zamknie ciche pożegnanie,
Ciche, krótkie, lecz na wieki.

Testament ten, datowany 26 kwietnia 1835 z Ossowy, doszedł do wiadomości publicznéj dopiero w roku 1837, gdyż pomimo najpilniejszych starań nie udało się Krzeczkowskiemu wydać „Znicza“ na rok 1836, z powodu nader szczupłéj liczby prenumeratorów. „Znicz“ więc zagasł, a po dwu latach zasiadła u spopielałego ogniska piękna wedle podania „Biruta“. W tym noworoczniku również Kraszewski przeważnie podaje wiersze, umieszczając z prozy piękny opis pożaru Zamku Wileńskiego w r. 1610. Pomijając poezye egotyczne, znajdujemy tu po raz pierwszy utwór, na tle historyczném osnuty, p. n. *Biruta*, i po raz pierwszy także wiersz z tematu ludowego p. n. *Czy powróci?* Wybór historycznego tematu zawarunkowany był z jednéj

strony studyami dziejowemi Kraszewskiego, a z drugiéj tytułem noworocznika. Wybór zaś tematu ludowego świadczy raz jeszcze o wielkiéj wrażliwości autora na wpływy zewnętrzne. W tym bowiem czasie zaczęto skrzętnie bardzo zbierać pieśni i podania gminne we wszystkich okolicach kraju, upatrując w nich najsilniejszy i najtrwalszy żywioł poezyi prawdziwie narodowéj. W roku 1830 Kraszewski choć poprzednio jeszcze w gimnazyum pisał rozprawę o przysłowiach polskich, nie zbyt wysoko przecież cenił „podania ludowe“ do okolic pewnych lub budynków przywiązane, uważając je za „mało zajmujące“ [1]). I teraz wprawdzie surowo się wyraża o podaniach. Krytykując bowiem tradycyą, przywiązaną do *Bekieszówki*, wzgórza pod Wilnem, i wykazując jéj bezzasadność, tak się odzywa: „Niech to podanie, tak powszechne, że je nawet z ust światlejszych ludzi słyszeć często wspominane można, nauczy tych, którzy dawniejsze dzieje z błędnych odgłosów pospólstwa budować myślą: ile się na nich opierać można. Dość było ludowi góry, pomnika i głuchego odgłosu wojennéj sławy, aby z nich zrobić bajkę dość poetyczną, lecz za to zupełnie bezzasadną. Takiemi często bywają gminne podania“ [2]). Mimo to przecież pod wpływem owego ogólnego zajęcia się poezyą ludu, zaczął tworzyć w duchu poezyi ludowéj, jak tego dowodzą piosenki: „Czy powróci“, „Roznowa“, „Posłaniec“ (z illiryjskiego), „Biedny chłopiec“, „Monomachia wiatru z chmurą“.

Poezye Kraszewskiego same w sobie nie wielką posiadają wartość; nie wniosły one z sobą żadnego nowego żywiołu poetycznego, ale w ukształceniu powieściopisarskiém autora odegrały rolę dość znaczną. Obok świata ludzi głu-

---

[1]) „Wielki świat małego miasteczka“ I, 20.
[2]) W drugiéj części „Biruty“ 1838, str. 123—133.

pich, samolubnych, zmateryalizowanych, musiał Kraszewski postawić świat ducha, świat uczuć i myśli podnioślejszych, a prozaiczne swoje obrazki tchnieniem marzycielskiéj poezyi urozmaicić; bo jakkolwiek i w wierszach niejednokrotnie poeta wpadał w trywialność, strzedz się jéj przecie musiał, ponieważ nie harmonizowała ona z wyższym nastrojem, jaki w ówczesnéj liryce panował. I w samém wyrażeniu nawet trzeba było unikać wyrazów zbyt jaskrawych, zbyt grubych; trzeba było odznaczać kontrast subtelniejszemi niż w prozie rysami. Wiersze Kraszewskiego, jakkolwiek pod względem kompozycyi i formy wierszowania zazwyczaj słabe, wyróżniały się wszakże od tłumu wierszydeł, zamieszczanych w ówczesnych noworocznikach, i dobrze usposabiały krytyków. Jeden z nich, dawniejszy surowy krytyk prozaicznych utworów, uwielbienie swoje dla „Dwóch słów“ Kraszewskiego tak dalece posunął, że je godnemi „Dwóch słów“ Mickiewicza nazwał [1]). Znajdowało się w nich nieraz trafne a malownicze porównanie, myśl jakaś niepowszednia, obrazki bardzo udatne.

Nastrój poetyczny odbił się też i w utworach prozą, naprzód wprawdzie w sposób niezbyt smaczny, stwarzając tak zwaną prozę poetyczną; ale następnie przyczynił się wielce do podniesienia wartości artystycznéj powieści Kraszewskiego. Najwcześniejszym w tym kierunku artykułem była improwizacya fantastyczna p. n. „Było nas dwoje“ (napisana 18 września roku 1835 w Wilnie, a wydrukowana w drugiéj części „Biruty“ (1838, str. 27—39). Realizm wyrazów i wyrażeń dziwnie się tu brata z subtelnością pomysłu; a ironia z samego siebie idzie w parze z uczuciami podniosłemi. Któż to są ci dwoje? To on i ona; zapewne;

[1]) T. B. w „Tyg. Petersb.“ 1835, N. 26 (w ocenie „Znicza“ na rok 1835).

ale ta „ona“ jest marzeniem tylko, które zaledwie chwilkę jednę na ziemi gościło a potém wzniosło się do nieba, skąd było rodem. Po zniknieniu marzenia tego „on“ pozostał bez serca i napróżno chciał nowe sobie sprawić, kupić u ludzi, skraść z gabinetu anatomicznego, znaleźć u zwierząt, zrobić z cukru. Ani na balu w pałacu, ani w chatce ubogiéj, ani w domku szlachcica nie znalazłszy serca, zapukał do drzwi klasztoru, chcąc u bogomyślnych ascetów nabyć je sobie, lecz i tu odpowiedziano mu: „Wszystkie nasze odesłaliśmy do nieba; jest tylko jedno u ojca Dominika, ale go zastawił gdzieś w sklepie“. Przekonywa się wreszcie, że serce póty tylko jest sercem, póki jest młode, i żyje już jedynie nadzieją połączenia się z lubą w niebie... Takie jednak zakończenie wydawało mu się zbyt powszedniém; musiał więc użyć dysonansu... „O moja luba, czekaj tam na mnie; a ja tymczasem pójdę na obiad i upiję się sobie, bo cóż robić, kiedy serce takie zwiędłe i stare...“

Daleko piękniejszą pod względem artystycznym jest powiastka: „Tatarzy na weselu“ a zwłaszcza legenda „Jako Satan kusił pustelnika na puszcze“ [1]), gdzie korzystając ze swoich studyów historycznych i lingwistycznych, z wielkiém powodzeniem naśladował mowę staropolską i styl Reja, tak, że potrzeba filologa, ażeby poznał podrobienie i odkrył formy językowe, niezgodne z dawną morfologią. Pod względem estetycznym odznacza się ten utwór nadzwyczajną prostotą. Autor ściśle się trzyma obrębów, które dobrowolnie sobie zakreślił, i nie wychyla się poza nie ani razu; charakter świętego, jego myśli i uczucia, jego ludzkie skłonności, których nie potrafiło zabić długoletnie ascetyczne życie, naturalność w doborze środka, za pomocą którego

[1]) Obie zamieszczone w „Bojanie“, części pierwszéj 1838, str. 93—102; 167—180.

szatan przywiódł go do grzechu: wszystko to tak dobrze jest utrzymane w ciągu powiastki, że tworzy z niéj całość nadzwyczaj udatną [1]), a z pomysłami wieków dawniejszych wielce zgodną.

III.

Przez kilka miesięcy r. 1835 (od sierpnia do listopada) bawił Kraszewski w Wilnie, a pod koniec tego roku, oddawszy pierwszy tom swojego „Wilna“ do cenzury [2]), wyjechał na wieś. Na nowy rok 1836 pojechał do Horodca, gdzie u państwa Urbanowskich poznał był już dawniéj przyszłą swą żonę Zofię Woroniczównę, i tu resztę zimy przepędził. Na wiosnę wrócił do Horodca, gdzie czas jakiś bawił [3]), a potém do Dołhego na Litwie, gdzie rodzice jego mieszkali. Półtora roku przepędził tutaj Kraszewski, częste jednak robiąc wycieczki do Horodca, gdzie już jako zdeklarowany konkurent do panny Zofii był przyjmowany. Starał się prócz tego w tymże czasie o katedrę literatury polskiéj w świeżo założonym uniwersytecie kijowskim. Rozprawę jego uznano wprawdzie za najlepszą z nadesłanych; ale katedry mu nie dano. Musiał zostać na roli.

---

[1]) Błędy morfologiczne główniejsze są te: 1° w samym tytule i w tekscie jest *na puszcze* zamiast *na puszczy*, 2° usze zam. uszy, młody lata zam. młode, 3° doń (zam. do niego), drugi bowiem przypadek zaimka ji, ja, je nigdy nie mógł brzmieć *ji*; 4° ziemi zam. ziemie, ziemię zam. ziemią; po iz*biech* (zam. po izbach), gdyż tylko męskie i nijakie rzeczowniki miały w miejscowniku zakończenie êch i t. p.

[2]) Data pozwolenia cenzury „Wilna“ w pierwszem wyd. (podp. Leon Borowski) jest: 23 stycznia 1836 roku.

[3]) Wiersz „W dzień pożegnania 12 kwietnia 1836“ datowany jest z *Horodca*. Patrz „Bojan, część pierwsza“ 1838, str. 148—151.

Że życie jego na wsi nie było podobne do próżniackiego żywota ówczesnéj młodzieży szlacheckiéj; że nie zapełniały go polowania, zabawy, jarmarki: o tém możemy być prawie pewni, zważając na ogólny charakter umysłowy Kraszewskiego z owéj doby, a zarazem na wyraźne napomknienia w jego dziełach. — Przypatrywanie się pracom rolnym, może zaprawianie się do nich, odwiedziny sąsiadów, rozmowa a przedewszystkiém rozmyślanie, marzenie, czytanie i tworzenie: oto główne żywioły jego życia spokojnego i jednostajnego, jakie człowiek oddany pracy umysłowéj mógł u nas na wsi prowadzić. Rok 1836 jest jedynym w całéj działalności pisarskiéj Kraszewskiego, w którym żadne jego dziełko osobno z druku nie wyszło i w którym się wogóle tak mało w czasopismach artykułów jego ukazało.

O szerokich jego stosunkach literackich nie było natenczas jeszcze ani mowy; żaden redaktor nie żądał jeszcze utworów jego pióra; żaden nakładca nie zapragnął łożyć na nie nakładu. Z jedném Wilnem tylko łączyły go pewne znajomości, i to naturalnie w kółku młodzieży, któréj wydawnictwa, na prenumeracie oparte, nie bardzo się powodziły. Do „Wizerunków i roztrząsań naukowych“ przystęp nie był łatwy dla młodego literata, naprzód dlatego, że bardzo mało umieszczano tam artykułów oryginalnych, a powtóre, że potrzeba się było dostroić nietylko do kamertonu pisma, ale nadto i do wymagań redaktora, byłego „Szubrawca“, Ignacego Szydłowskiego. Kraszewski, bawiąc jeszcze w Wilnie, przełamał był główną zaporę, gdyż Szydłowski pomieścił króciutką jego rozprawkę p. n. „Rękopisma Zelizów z wieku VI—IX“ (w r. 1835, tomik VIII str. 133—142), w któréj w sposób wielce poważny i suchy streścił najważniejsze wiadomości, w rękopiśmie wynalezionym niby przez jakiegoś Jana Andrault de Buy Antosewicza zawarte, i bardzo lękliwie podawał w wątpliwość autentyczność tego nama-

calnego fabrykatu. Rozprawka ta, dotycząca historyi, tak ulubionéj Szydłowskiemu, zjednała autorowi przychylne zdanie redaktora, który w przypisku nadmienił, że „artykuł ten udzielony został przez znanego ze sławą z wielu interesujących pism wierszem i prozą, młodego literata, który teraz nad dziejami Litwy pracuje".

Pomimo takiéj pochwały, nie spotykamy przecież w „Wizerunkach" zbyt często artykułów Kraszewskiego, których w tece miał znaczny zapas, jak się przekonywamy z „Wędrówek literackich". W roku 1836 znów jednę tylko znajdujemy rozprawkę Kraszewskiego „O polskich romansopisarzach" (tomik II str. 94—122), nieporównanie śmieléj napisaną, aniżeli poprzednia, i będącą wyrazem ówczesnych poglądów młodego powieściopisarza na tę gałąź literatury, która przy jego pracy miała kiedyś przybrać tak ogromne rozmiary. Zwraca naprzód autor uwagę na to, że jest to rodzaj pisania bardzo trudny do zdefiniowania „jako najmniéj uległy prawidłom estetycznym, błędny i nieokreślony". Decyduje się przecież na taką definicyą: „W najprostszém znaczeniu romans i powieść są obrazem jakiéjkolwiek epoki świata, życia, widzianéj nie wielkiém, skupiającém okiem historyka, ale drobnostkową, flamandzką, mikroskopową źrenicą". Za reformatorów romansu poczytuje Cervantesa, Fieldinga, Lesage'a. Od ich czasów rozróżnia romanse *wypadkowe i obrazkowe*. Sterne oddzielił się od poprzedników i stanął na czele *egotystów*. Wielbicielem Waltera Scotta, jak już wiemy, Kraszewski nie był. „*Popularność* W. Scotta — powiada — dowodzi zapewne, że nie był jednym z najoryginalniejszych gieniuszów, ani Hoffmannem, ani Jean Paulem, ani Rabelais'em, ani Sternem; wszakże nie idzie za tém, żeby każdy to, co on, potrafił. Bezwątpienia prędzéj znajdzie się sto dobrych naśladowań Walter-Scotta, niż jedno Richtera lub Sterna, bo na to trzeba smaku, talentu, nie

fantazyi twórczéj, ognistéj, lub szczypiącego, ostrego humoru; ale smak tak jest trudny do schwycenia, tak doczesny, tak nieokreślony, że nabycie go równie prawie wrodzoném, jak tamtych dwu przymiotów, nazwać się może". Utrzymuje następnie, że „chcąc pisać dobrze, dziś *koniecznie* trzeba być jednostronnym", co łatwo się wyjaśnia ulubioném wówczas przez Kraszewskiego hasłem romantyków, żądających nadewszystko *siły*. W kraju naszym spostrzega osobliwy fenomen, że „jak w inszych rodzajach, tak i w tym, nie mamy żadnego *gienialnego* pisarza, któryby niezależnie od smaku wieku i przykładów obcych, wystąpił z dziełem, mogącém mieć jakikolwiek wpływ na ducha literatury, któreby albo w formach, albo w materyi, zupełnie od otaczających było różne". Po surowym przeglądzie powieściopisarstwa polskiego, przy ocenie którego przewodniczy mu myśl pisania tylko dla celów artystycznych, z wyłączeniem wszelkiéj idei utylitarnéj, porównywa to ubogie piśmiennictwo z nadzwyczaj bujnie rozwiniętém romansopisarstwem Zachodu, a mianowicie Francyi, kończy zaś smutnym zwrotem do praktyki. Zastanowiwszy się bowiem nad talentem i liczbą utworów powieściowych francuskich, zwraca się do nas samych: „W stosunku choć piątą część ich miećbyśmy powinni; i mamy nawet: ale nasi pisarze tłómaczą tylko cudze, bo któż chciałby czytać jakiegoś *ski* lub *wicz*, kiedy może mieć Balzaka, Sue i Hugo? A ci, którzy czytają naszych *ski* i *wicz*, czyliż ich rozumieją? Niestety! wiele wody upłynie, nim będziemy mieli właściwie swoich i oryginalnych pisarzy: cieszmy się tymczasem *Podstolim* i *Janem z Tęczyna!* Cóż robić!"

Widzimy tu również pesymizm w zapatrywaniu się na naszę literaturę, nie tak wszakże stanowczy jak dawniéj, kiedy jednego tylko, i to z wielkiém zwątpieniem, widział pisarza godnego nazwy twórcy; ale tutaj nie ogólnikiem już

tylko szermuje autor, lecz szczegółową krytyką główniejszych utworów. Znać już, że się Kraszewski zagłębił w przedmiot, że badanie tegoż zmodyfikowało choć w części dawniejsze absolutnie wypowiedziane zdanie.

Drugi artykuł Kraszewskiego, wydrukowany w r. 1836, pojawił się w *Tygodniku Petersburskim.*

Pismo to wychodziło od r. 1830 i przez lat kilkanaście było najbardziéj wpływowém w prowincyach południowo-zachodnich, już przez to samo, że było jedyną polityczno-literacką gazetą, jaka w owych stronach się drukowała. Prócz tego redaktor zapowiadał, że na wszystko zapatrywać się będzie ze stanowiska europejskiego i wszystkie utwory zarówno „ręczne jak umysłowe“ mierzyć i oceniać podług skali europejskiéj. „Aby się prawdziwie zasłużyć wiekowi — powiadał — rozumieć go potrzeba; a rozumieć niepodobna, nie dotrzymując mu kroku“. Pogodzenie indywidualności narodowéj i plemiennéj z ogólném europejskiém wykształceniem, utrzymanie węzła „plemiennego pobratymstwa“ ze Słowianami, a mianowicie z Rosyanami, o którym dotychczas, jak się wyraża, „najwięcéj wiedzieliśmy przez pośrednictwo niemieckich uczonych“: oto zadania, których rozwiązanie miało stanowić treść *Tygodnika*, co od roku 1831 zaczął już dwa razy na tydzień wychodzić. Zadania te spełniał redaktor dosyć powierzchownie, nie wiele bowiem zajmował się literaturą polską, dając po większéj części w oddziale literackim same przekłady; ale przekłady te zaznajamiały istotnie z kwestyami bardzo ważnemi, zapoznawały ze światem pojęć estetycznych, filozoficznych i historycznych, który u nas naówczas jednostkom tylko bardzo wykształconym był dostępny.

Od r. 1832, wskutek artykułów pomieszczonych w roku poprzednim, Tygodnik został gazetą urzędową dla Królestwa Polskiego; stał się nieodbicie potrzebném pismem, z po-

wodu ogłaszania rozporządzeń rządowych. Powoli wydawca zaczął jakoś zapominać o skali europejskiéj i literatura polska zaczęła znaczne zajmować miejsce w szpaltach jego Tygodnika; część mianowicie krytyczna, jakkolwiek przez bardzo słabych recenzentów zapełniana, dawała przecież choćby zawiadomienia o tém, co téż-to w piśmiennictwie krajowém się ukazywało. Od roku 1834 zaczyna od czasu do czasu nadsyłać prace swoje Michał Grabowski, przerwawszy kilkoletnie swoje, od chwili wyjazdu z Warszawy (1830) trwające milczenie.

Wśród takiego stanu Tygodnika, Kraszewski nadsyła z Dołhego (10 lipca) obszerną krytykę pierwszego tomu „Dziejów starożytnych narodu litewskiego“ przez Teodora Narbutta. Artykuł ten, napisany dosyć spokojnie, ale surowo, wytykał zarówno drobiazgowe błędy w dziele zawarte, jak i fałszywe pojęcie zadania historyka. Kraszewski uważał pracę Narbutta za „materyał historyczny i pracowitą kompilacyą“, odmawiał autorowi nazwy historyka i przedstawiał mu jako ideał dziejopisarza — Capefigue'a; etymologią jego zestawia z cudackiemi wywodami Dębołęckiego, przy czém sądzi, że „porównanie języków nie z podobieństwa słów, ale *z ich ducha* wywodzić się powinno“, dziwi się „szczególnéj prostoduszności i łatwowierności“ Narbutta, a w końcu dostrzega, że „odrzuciwszy rzeczy obce, niepotrzebne rozwlekłości i cytacye zbyteczne, a dodawszy nieodbicie potrzebne, których brakuje, byłby *tomik* z tego tomu wielce zajmujący“. — Wydawca tygodnika, Przecławski, umieścił krytykę, ale nie omieszkał dać nauki i recenzentowi, zarzucając mu, że nie rozważył, jak mało ludzi pracowało dotąd nad dziejami litewskiemi, że mierzył pracę Narbutta *skalą cudzoziemską*; daléj robi spostrzeżenie, że Capefigue jest raczéj politykiem i za wzór krytyka dziejowego stawia *Heerena*; wreszcie nie skąpi uwag ogólnych: „Nie przyj-

dziemy nigdy do ładu z naszą krytyką, nie zdołamy uczynić jéj pożyteczną dla czytelników, a nie zrażającą dla pisarzy, jeśli będziemy podług cudzoziemskiéj próby cenili ich zalety lub wady, i zabierając się do recenzyi, nie przywiedziemy sobie na pamięć ich miejscowych zasobów i pomocy, nie obejrzymy *z własnego krajowego* stanowiska ich zamiaru, usposobienia i środków".

Z takiemi omówieniami podana krytyka nie mogła zachęcić Kraszewskiego do nadsyłania innych artykułów, tém bardziéj, że Przecławski już wówczas słynął jako mąż wielkiéj nauki, wielkiego talentu i wielkiéj bystrości krytycznéj; czy słusznie, przekonamy się niebawem. Kraszewski więc zamknął się w sobie po téj próbie, zniechęcił się jeszcze bardziéj do księgarzy i wydawców, a jedyną może pociechę stanowiła korespondencya wierszowana z Józefem Krzeczkowskim, który zostawszy w Wilnie, oddał się cały poetycznym rojeniom i pisał 18 października 1836 r. do przyjaciela:

Dziś mię chęć sławy takiém rozpala pragnieniem
I coraz szerszą podsyca ochotą,
Iżbym go marnie w dawnym chciał przygasić stoku.
Dziś wzrok mój licznym rozstrzelon promieniem
Sięga daleko; dziś mojemu oku
Mało i mało rodzinnego nieba.

Na zachętę Kraszewskiego, żeby się przeniósł na Podole i ożenił, odpowiada z poetyczną emfazą, że „drobiazgu wrzask głuszy", a przy posielance „mniéj tkliwéj od skały", możeby jego „pieśni nieznane zmarniały".

Z odpowiedzi Kraszewskiego na ten list poetyczny (data 5 stycznia 1837) poznajemy, w jak smutnym stanie duszy się znajdował. Tak się czuje zmordowanym, choć w tak krótkiéj podróży, że chciałby, zasiadłszy przy kominku „spać duszą, ciałem, rękoma, oczami i o niczém nie myśleć, o ni-

czém nie wiedzieć, tak, jak mieszkańcy mogiły". Największemi jego wrogami są nerwy, których nie może uśpić ani opium, ani z laurocerasu krople wyciśnięte, ani wszystkie te leki, któremi im grozi:

Drżą mi w głowie, drżą w sercu, w piersiach, w całém ciele,
Ogień w nich płynie.
Ale w głowie, aj! w głowie jakże tam ich wiele!
A gdy się rozigrają w wieczornéj godzinie;
Próżno im na dobranoc nudne książki czytam,
Gram w karty, lub gazetę bibulastą chwytam,
By z niéj usypiające silnie wyssać soki:
Próżno. Jak owa młodzież, gdy rozpocznie skoki,
A skrzypce grać przestaną i świece pogasną,
Jéj bez skrzypców wesoło i bez świecy jasno.
Z temi nerwami jestem — wątpliwości niéma —
Tak, jako koń na młynie, co sam ruszył koło,
Ale koła nie zatrzyma.

Ze wsi żadnych wieści nie pisze, bo dla wieśniaków „świat pusty i niemy", ale prosi natomiast Krzeczkowskiego, ażeby mu o nowinach z Wilna doniósł. Pyta ironicznie:

Kto tam u was co pisze? nad czém prasa stęka?
Przed jakiém nowém głupstwem świat wasz mądry klęka?
Czy *kalendarz* Zymela, czyli *słownik* nowy
Wyszedł jak promień z waszych literatów głowy?
Kto na rok nowy piórem, w wodzie umoczoném,
Co nowego przetłómaczył?
Kto teraz panowie moi,
U was na świeczniku stoi?

Krzeczkowski, któremu z wydaniem „Biruty" szło nie tęgo, odpisuje mu (13 marca 1837), że mówcy, literaci chwalą i ganią w miarę, jak im kto zapłaci, że bez stosunków za każdą pracę można się w Wilnie spodziewać nagany.

W końcu, z powodu owéj krytyki dzieła Narbutta, powiada:

I ty, luby Józefie, skosztowałeś grzechu,
Do skorych przyganiaczy mieszając się cechu.

Ta właśnie korespondencya poetyczna dostała się do Tygodnika, a jego wydawca, nie odznaczający się wybrednym smakiem estetycznym, i pomieszczający w piśmie swojém różne miernotki rymowane, dał i jéj przytułek u siebie (N. 21, 22, 34 z r. 1837). Równocześnie Kraszewski nadesłał mu swe „Pamiętniki“; a wydawca, udzieliwszy mu przestrogę, żeby ile możności o sobie, w tak młodym wieku będąc, starał się nie mówić, zaczął je częściowo drukować. Pierwszy wyjątek z tych „Pamiętników“ (rozdział XIV) przedstawiał zarys „Literatury w Wilnie na początku XIX wieku“, napisany w tym samym duchu, co i rzecz o romansopisarzach polskich, to jest przeważnie pesymistycznie. Pomijając niekorzystne zdania o Szubrawcach i „Wiadomościach Brukowych“, o „Towarzystwie Typograficznem“ i tym podobnych ważnych objawach życia umysłowego i społecznego wogóle, warto zaznaczyć, jak wtedy oceniał spór klasyków z romantykami. „Wilno — powiada — dziwnym sposobem chwyciło się nowéj szkoły, poeci tutejsi po większéj części poszli za nowością; teoretycy za rutyną; kłócono się i zabijano (ale tylko piórami) w téj walce ślepych: póki w kilka znowu lat obie strony się nie spostrzegły, że biły się omackiem i nie wiedząc o co. Mgła przeszła i zgoda nastała. To tylko istotnie dobrego z tych sporów wynikło, że *ożywiły* nieco literaturę, zmusiły do badań, rozpraw, roztrząsania teoryi, że sprostowały szkolarski sposób krytyki tutejszéj, czepiającéj się tylko w dziełach strony języka a nigdy strony ducha“ (*Tyg. Petersb.* 1837 N. 30).

I ten jednakże artykuł nie wzmocnił jeszcze stanowiska Kraszewskiego w *Tygodniku*. Zdania w nim zawarte sprzeciwiały się po części temu, co dawniéj sam wydawca lub téż jego współpracownicy wypowiedzieli, choć w głównych zarysach nie były zupełnie oryginalnemi, gdyż zarówno lekceważenie działalności Szubrawców, jak i surowa

krytyka romantyzmu już od trzech lat wygłoszona była przez S. G. w „Nowéj epoce literatury polskiéj". Wyrażenia Kraszewskiego, jakkolwiek bardzo śmiałe na owe bezbarwne czasy literackiéj ospałości piśmiennictwa *w kraju*, nie raziły przecież wielką jaskrawością i nie odznaczały się ogniem; dopiero pomieszczony w N. 38 z r. 1837 artykuł p. n. „Jak się robią książki nowe z starych książek; rzecz o kradzieży literackiéj" z mottem: *ex rapto vivimus*, napisany (26 kwietnia 1837) z taką werwą, z jaką pisał Kraszewski powiastki swoje z drugiéj fazy, a druzgocący od jednego zamachu wszystkie niemal znakomitości literackie, sprawił tak silne na wydawcy *Tygodnika* i na czytelnikach jego wrażenie, że odtąd nie mógł się już obejść bez współpracownictwa takiego literata. Kraszewski odróżnił trzy rodzaje książek: 1° ciągniona z siebie literatura egotyczna, niektóre poezye, romanse, 2° książki z żywego świata: podróże, historya spółczesna, 3° książki robione z książek i tych najwięcéj: historya cała, wszystkie dzieła er udycyi „na odgrzéwaniu i zszywaniu cudzych myśli, starych łachmanów zasadzone". Dawniéj Kraszewski twierdził, że w naszéj literaturze nic niema oryginalnego; teraz tożsamo wypowiedział o literaturach zagranicznych. „Od Alkoranu Mahometa aż do romansów naszego Balzaca, których materyał pierwszy jest pożyczony, wszystko prawie jest tylko odgrzewaniem". Jako przykłady przytacza Lamartine'a, Janin'a, Lacroix, Sand'a, Dumas'a, Hugo, „który pisał naprzód ody podobne do elegij, potém elegie podobne do ód, potém romanse, wpół elegie wpół ody, potém, to jest teraz, *zestarzały*, naśladuje sam siebie: jego dramata są odgrzewane także: materyał w nich często gorszy od jarmarcznych turlupinad, świeci się w nowéj błyszczącéj oprawie". Goethe sam jest to „wielki dłużnik wszystkich czasów i krajów". Cała ówczesna literatura jest „wyrobnicza, plagiatorska". Oczywiście, że nasze

piśmiennictwo przy téj ogólnéj rzezi nie mogło nie dostać cięć nader bolesnych: wyprowadzeni na scenę jako plagiatorowie: Gwagnin, Bielski, Górnicki, Kochanowski, Paprocki, Rej. Późniéj — powiada Kraszewski — kradli wszyscy bez litości, bez miłosierdzia, bez sumienia, uważając prawie kradzież i naśladownictwo za godny pochwały uczynek. I znowu następuje spis nazwisk takich, jak: Krasicki, Naruszewicz, Trembecki (który „zrobił poemat *Zofiówka*, gdzie Pelej i Tetyda, barany i filozofowie i piękna Zofia razem sobie siedzą"), Węgierski i t. d. Z nowszego okresu niema wprawdzie żadnego nazwiska, ale cały zwrot romantyczny wyśmiany, dlatego, że wskrzeszał średnie wieki, czasy rycerskie, które „już raz zabił żartem Cervantes i pogrzebał go, stawiąc mu nad grobem krzyżyk z włóczni Don Kichota i kijów Sanszopansy". A spółczesna Kraszewskiemu literatura? „Dziś co robim? — pyta — Naśladowaliśmy Niemców, tłómaczym Francuzów, może, jak się nauczym po angielsku, będziemy Anglików nicować, a jak trochę się poduczym, zaczniemy nieznacznie okradać i przerabiać. Bo zawsze naprzód idzie tłómaczenie, potém przerabianie i nakoniec kradzież".

Ten wybryk dumy młodzieńczéj, zbyt ufnéj w swe siły, a więc lekceważącéj wszystko, co przedtém było, co się przedstawia jéj jako stare i zużyte, ten wybryk, który siedm replik wywołał (Tyg. Petersb. 1837, N. 46) podobał się niezmiernie wydawcy *Tygodnika*, lubiącego jaskrawe wyrażenia i oryginalność przekonań. Odtąd już przez czas długi nie napotyka się artykułu Kraszewskiego z przypiskiem wydawcy protestującym, a natomiast bywają przypiski pochwalne, bywa usprawiedliwianie i obrona zdań przez Kraszewskiego wypowiadanych, chociażby one najmocniéj kontrastowały z tém, co sam dawniéj wygłaszał. Co więcéj, Kraszewski, o setki mil odległy od Petersburga, zaczyna wyręczać redaktora w odpowiedziach, w których potrzeba

było ciętego pióra. Dostało się też wówczas dawniejszemu krytykowi powieści Kraszewskiego w Tygodniku, panu T. B., z powodu jego zdań o poezyi [1]), dostało się księgarzom [2]), wydawcom Magazynów, encyklopedyj, Wizerunków. Kraszewski stał się wyrocznią *Tygodnika*, którego wydawca w zręcznie zredagowanym frazesie zupełnie identyfikuje z duchem swego pisma, mówiąc, że jego artykuły są „rozwinieniem, z nieskończenie większym talentem, pierwiastku, który stale przewodniczy redakcyi".

Kraszewski stał się wkrótce tak stałym spółpracownikiem Tygodnika, że przez rok cały nie było niemal numeru, w którymby się nie znajdował jego artykuł, a w niektórych było ich i po dwa naraz. Pisał o wszystkiém: o Pińsku i Pińszczyźnie, o Wilnie i jego mieszkańcach, o domach i ludziach, o karczmach i szybach, o nowych książkach zagranicznych i krajowych, o wynalazkach i historyi, o filologii i romansie, o krytyce i sztuce; a pisał żywo, barwnie, bez oglądania się na osobistości, sądził surowo i stanowczo, wyrokował bez zająknienia. Dziś trudno już nam zrozumieć nawet, jak wielką było zasługą, to budzenie życia umysłowego, bez względu nawet na wartość wypowiadanych zdań. Na szczęście mamy świadectwo spółczesnego krytyka, który znał dobrze rozwój literatury polskiéj od roku 1820 i który sam będąc współpracownikiem i czytelnikiem Tygodnika, mógł doskonale ocenić wpływ artykułów Kraszewskiego na publiczność. Otóż warto poznać jego o nim zdanie: „Chociaż da się to z wielu względów wymówić — powiada — pewna jednak, że *potoczna* literatura polska szła ospale: mieliśmy albo ludzi gruntownie uczonych, którzy pracując w ciszy i dostatku czasu, stali opodal od popular-

[1]) Tyg. Petersb. 1838, N. 27.
[2]) Tamże, 1838, N. 7.

nego bieżącego piśmiennictwa; albo przygodnych belletrystów, w większéj połowie naśladowców i wielbicieli modnych pisarzy cudzoziemskich, niżeli przedstawicieli swojskiéj umysłowości; jedni jak drudzy odzywali się do swojéj publiczności zrzadka, przerywanie, nieotwarcie. uroczyście; rzec więc można, że nie było żadnego ruchu, ani śladów obecnego życia w takiéj literaturze. Stało się dopiero inaczéj, przynajmniéj w naszych prowincyach, od czasu wystąpienia p. Kraszewskiego w *Tyg. Pet.* Przedmioty uczone, historyczne, erudycyjne zaczął on traktować poufale, jako rzeczy, których wiadomość dochodzić powinna *całéj* publiczności, bo one być mają treścią rzeczywistéj narodowéj literatury; wyjawiał zdanie o kwestyach literackich i moralnych, do jakiego go położenie tych kwestyj w obecnéj chwili u nas i w Europie wiodło; słowem wystąpił w naszéj literaturze jak człowiek młody, uczony, śmiały, czynny, pracowity i, zajmując się z upodobaniem literackiemi rzeczami, nas do zainteresowania się niemi zachęcił. Raz pierwszy ujrzeliśmy w nim pomiędzy nami czynnego i pełnego talentu *literata*[1]).

Z mnóstwa artykułów, jakie Kraszewski pomiędzy r. 1837 a 1839 drukował w Tyg., żaden po owéj rzeczy o kradzieży literackiéj nie narobił takiéj wrzawy, jak *Asmodeusz w roku 1837*, w którym poznajemy nową stronę rozwoju umysłowego autora. Poprzednio Kraszewski w krytyce swojéj miał na względzie stosunki literackie i wydawnicze, teraz zwrócił się do innych i objął wzrokiem całość cywilizacyi europejskiéj. Asmodeusz, który niegdyś Lesage'owi tyle ciekawości pokazał, odwiedził teraz naszego Don Kleofasa, ażeby mu wyjaśnić naprzód niedorzeczność, a potém zgubność kultury i oświaty spółczesnéj Europy. Drogi żelazne, oświetlenie gazowe, pigułki Leroy, nowe systemata we

[1]) Tyg. Petersb. r. 1838, N. 79. Art. M. Grabowskiego.

wszystkich naukach, frenologia, a obok nich ubóstwo, samobójstwo, zagmatwanie w pojęciach, a zwłaszcza obojętność moralna, gorszące powieści Sand'a, obrzydliwe i demoralizujące widowiska z dramatów Hugo, Dumas'a, frymarczenie nauką, bezwstyd ogłoszeń i reklam, banki oszczędności, parlament angielski: słowem cały „wiek progressu“ został tu poddany chłoście nielitościwéj, tak, że temu biednemu XIX wiekowi przyszło zapłonąć od wstydu, wobec wszystkich poprzedników swoich. Cywilizacya jego nie ma żadnéj idei, żadnéj zasady, pełna jest zgnilizny, a wnętrze jéj toczy skir okropny.

Kréśląc tę przerażającą dyagnozę choroby, Kraszewski nie podaje żadnego lekarstwa, bo go, jak się zdaje, nie miał sam. I rzeczywiście Słowianofile, którzy spółcześnie na „zgniły zachód“ narzekać zaczęli, mieli przynajmniéj ideał w problematycznéj gminie słowiańskiéj, albo nawet w swoim własnym kraju. Kraszewski takiego ideału nie miał; napomykał on tylko nawiasowo, kréśląc ogólnikowy program „gramatyki historyczno-porównawczéj języków słowiańskich“, że kto wié, czy badania gramatyczne, a zatém „zbliżenie, pojednanie, zrównanie“ języków nie byłoby pierwszym krokiem do zjednoczenia, które leży w łonie czasu niechybne; że „cywilizacya łączy ludy tysiącem stosunków i potrzeb wzajemnych, ustanawia handel płodów umysłowych; wpływy częstsze, terminologie wspólne — powoli nieznacznemi ogniwami łączą najrozmaitsze języki; czemużby *bratnich* kiedyś nie związała wspólność ukształcenia i losów, jak je rozłączyły wypadki różne i odmienne koleje. Jest to daleko podobniejszém od projektu pasigrafii Leibnitza: co czas rozłączył, czas złączyć może, co rozdział odróżnił, połączenie zjednoczyć“ [1]). Ale myśl ta była tylko mimochodem rzucona,

[1]) Tyg. Petersb. 1837, N. 57.

wydawca *Tygodnika* przyklaskiwał jéj i starał się w tym duchu nakierować artykuły; ale Kraszewski dopiero po czterech latach wrócił do niéj i to również na chwilkę tylko [1]). Tymczasem zaś szło Kraszewskiemu jedynie o wypowiedzenie swojego potępienia cywilizacyi spółczesnéj; w czém poszedł za tym głośnym wtedy chaosem przekonań, jaki w stolicy Francyi panował, gdzie wszyscy, będąc niezadowoleni z istniejącego porządku rzeczy, nie pomijali najmniejszéj sposobności, ażeby wyrzucić rządowi na oczy, w jak okropnym kraj znajduje się nieładzie i zarazem podać tysiączne plany reformy religijnéj, politycznéj, naukowéj. Tych planów reformy Kraszewski nie przyjął, bo cóżby one znaczyły w naszym kraju; ale narzekania na cywilizacyą, które na wrażliwy jego umysł silne robiły wrażenie i z jego pesymistycznym poglądem tak dobrze harmonizowały, wygłosił on z tą werwą i jednostronnością zarazem, do któréj był nawykł naówczas. Ludzie doświadczeni, a między nimi M. Grabowski, zrobili uwagę, że takie narzekania na cywilizacyą i oświatę w kraju, w którym piśmiennictwo jest tylko bawidełkiem zaledwie kilkunastu monomanów [2]), może w wielkie błędy wprowadzić czytelników, może ich zniechęcić do czytania [3]). Radzili więc Kraszewskiemu, ażeby napadał na cywilizacyą francuską, wyraźnie ostrzegając, że o niéj tylko mówi. A gdy inni zaczęli szemrać, Kraszewski zawiadomił wydawcę Tygodnika, że Asmodeusza pisać już nie będzie. Wydawca w publicznie ogłoszonym liście wszelkiemi sposobami starał się go odwieść od tego zamiaru. „Pańskie artykuły — pisał — dążą już do wytrzeźwienia nas ze zbytniego uwielbienia dla pewnych imion i rzeczy, już do sprostowania błędnych sposobów widzenia, już nakoniec do pokaza-

[1]) Tyg. Petersb. 1841, N. 26.
[2]) Wyrażenie M. Grabowskiego w Tyg. Petersb. 1837, N. 68.
[3]) Tamże, 1838, N. 10.

nia rzeczy we właściwém świetle i zachowania przeto od umysłowych wyboczeń, któreby z obcych krajów do nas wtargnąć mogły. Pisma Pańskie są prawdziwą i wielką przysługą dla ogólnéj masy narodowego myślenia; gdzieindziéj zjednałyby autorowi słuszną wziętość, u nas ściągnęły niechęć; ale to rzecz bardzo naturalna; trzeba być na to przygotowanym; my nie lubimy, żeby nas ostrzegano, odczarowywano“ [1]). Kraszewski odpisał na ten list bardzo pochlebnie dla wydawcy, mówiąc, że żadne pismo nie ma tak ustalonéj sławy i popularności, że życzy sobie jaknajdłużéj w takich z niém jak dziś dotrwać stosunkach; wyraża się daléj, że burzy się nie lęka, równie jak o pogodę nie prosi, a tłómacząc się pośrednio z zarzutów przez Grabowskiego zrobionych, występuje przeciw naśladowaniu francuszczyzny, powstaje na czasy Stanisława Augusta i twierdzi, że „nam Słowianom nie wypada naśladować, bo naśladownictwo jest dowodem słabości“, że należy znać zagranicę, ale strzedz się umysłowego z nią zlania, któreby „nam Słowianom odebrało oddzielny charakter rodzimy“. W końcu przyrzeka pisać daléj Asmodeusza, ale długo nie przesyła dalszego ciągu. Wydawca znudzony widocznie oczekiwaniem, sam próbuje kontynuować; ale po jednym nieudatnym szkicu zaprzestaje śmiałego zamiaru, a Kraszewski nie myśli już go podejmować wcale.

Widocznie Kraszewski nie doszedł był jeszcze do wewnętrznéj ze sobą samym zgody, widocznie różnorodne myśli tłumem napływały do jego duszy i pobudzały fantazyą do wytwarzania tysiącznych, choćby sprzecznych z sobą, obrazów i pomysłów, ażeby tylko konieczności tworzenia zadość uczynić. Kto nigdy nie zaznał takich marzeń i majaczeń młodzieńczych, które w przekonaniu swego twórcy przybie-

[1]) Tyg. Petersb., rok 1838, N. 31.

rają niejednokrotnie, chociaż chwilowo tylko, kształty wielkich prawd, nieznanych dotąd nikomu, a więc wyższych od wszystkiego, co ludzkość do owéj pory pomyślała; kto nigdy nie staczał z sobą walki zawziętéj, w któréj zwątpienie i przygnębienie mierzy się nieraz poczuciem siły olbrzymiéj, gotowéj świat przerobić od fundamentów: ten nie potrafi ocenić téj fazy w rozwoju umysłowym Kraszewskiego, co ma tyle podobieństwa do sławnéj epoki „burzy i wrzenia“ (Sturm und Drang-Periode) w literaturze niemieckiéj.

Jeżeli wielkie pragnienia i wzniosłe myśli nie mogą być urzeczywistnione, wówczas powstaje niesmak, rozczarowanie, zwątpienie. A od czegoż urzeczywistnienie zależy? Naprzód bezwątpienia od zdolności tego, który takie pomysły tworzy; a powtóre od najbliższego otoczenia i od stosunków czasowych. Poznajmy to najbliższe otoczenie, jak się ono samemu Kraszewskiemu przedstawiało, a zrozumiemy choć w części, że umysł marzycielski, fantazya żywa, serce niezmiernie wrażliwe, nie mogły przylgnąć do niego od razu, musiały z niém walczyć, choćby tylko na polu ducha i w téj walce słabnąć na chwilę i wątpić o własnych siłach.

Jak wiemy, od roku 1836 mieszkał Kraszewski na wsi i to na ziemi, która wyrwana przez wyższe zakłady naukowe z długoletniéj drzémki umysłowéj, w owym czasie znowu w nią zapadła. W drugiéj połowie roku 1837 zmienia miejsce pobytu, z Dołhego przenosi się do Omelna na własną dzierżawę i oddaje się gospodarstwu. Jakżeż się do tego nowego zawodu zabierał powieściopisarz i poeta? Czy rozkoszował się sielanką, czy podniósł do ideału pracę około roli? Bynajmniéj. — Mamy z tego czasu jego wiersz, napisany (we wrześniu 1837) do Józefa Krzeczkowskiego, pod tytułem „Żal przeszłości“, w którym zawiadamiając przyjaciela, że pierwszy raz siać u niego zaczęto, wzdycha za da-

wném swojém życiem i wcale niewesołą widzi przed sobą perspektywę. Odtąd — powiada — odtąd trzeba

W pocie czoła jak Kain obrabiać to pole
I wygnanemu z *raju młodości i marzeń*,
Strąconemu bez skrzydeł zapału poecie
Wieść życie uplecione z drobnych losu zdarzeń —
Życie mierzwy i znoju na *przenudnym świecie*.

Widocznie jego fantazyi ruchliwéj i niespokojnéj ciążyło to życie rzeczywiste, uregulowane wymaganiami gospodarstwa, zajęciami prozaicznemi, nieraz nużącemi i nudnemi. A chociaż i dawniejsza droga życia nie była usłana listkami róży, wzdychał przecież za owemi chwilami „sennego dumania“, które go w swobodny świat pomysłów wprowadzały. Teraz, gdy myślami i uczuciami chciał się podzielić, kogoż wkoło siebie znajdował? Oto ludzi, dla których książki, jeżeli je wreszcie kupią, są po większéj części czémś w rodzaju sprzętu w salonie, trzymaném dla przyzwoitości w wielkiém poszaszanowaniu, bo bez rozcinania kartek: ludzi, dla których wyrocznią jest „Żurnal Paryski“, którzy lubią przedewszystkiém jeść, pić, grać w karty, podróżować do wód, słowem bawić się i tylko się bawić, a nie rozmyślać. Żądza błyszczenia od zamożnych przechodzi do biedniejszych i rujnuje ich oczywiście; potém zostają tylko szkielety walących się pałaców i bydło pasące się po zarosłych chwastami ogrodach... Dla chęci bawienia się poświęcają pieniądze, honor, pozbywają się ludzkości względem chłopów, których za robocze bydło uważają. Młodzież pije, je, bije, łaje, poluje zarówno na zające, jak i na wiejskie dziewczęta, nikogo się nie bojąc. Najpotrzebniejszym do życia codziennego jest batóg, do odświętnego pistolety. Hulatyka, kupczenie końmi: oto jéj zajęcia [1]).

[1]) Zobacz zarysy Wołynia we „Wspomnieniach Wołynia, Polesia i Litwy“ 1840 t. 2.

Usposobienie zaś do czytania na Litwie tak mu się przedstawiało: „Litwa żyje brzuchem nie głową... Przyszłe zatém roczniki niech będą na wzór Almanach des gourmands, a niezawodnie się udadzą; przyszła gazeta niech ma tytuł *Żarłoka*, przyszły romans niech opisuje najobszerniéj niestrawność i jéj skutki poetyczne; przyszła historya niech będzie historyą żołądka, zacząwszy od całych wołów Mendoga i uczty łuckiéj 1429 r. aż do nowożytnych kremów i galaret: wszystko to wydrukuje się i doskonale sprzeda... Z innemi dziełami poczekajcie!“ (Tyg. Petersb. 1838, Nr. 7).

Jakże tu żyć z takimi przedstawicielami patryarchalnéj prostoty, i patryarchalnego barbarzyństwa? Człowiek mniéj wrażliwy i mniéj uzdolniony, byłby naturalnie urobił się na ich obraz i podobieństwo. Człowiek mniéj wrażliwy, chociaż uzdolniony, byłby spokojnie obserwował te ciekawe okazy z rodzaju „człowieka“. Potém Kraszewski tak zrobił; ale w początku poczuł jedynie straszny przedział pomiędzy sobą a swojém otoczeniem, poczuł głęboką różnicę życiowéj próby od wymarzonéj poezyi: i zabolał strasznie nad tém rozdwojeniem. Znał już dawniéj ten kontrast, tak obfity w poetyczne motywa, z pism Jean Paul'a, który lubował się zawsze w przedstawianiu sprzeczności pomiędzy życiem umysłowém a życiem praktyczném; ale dawniéj nie przemawiały one do niego tak żywo, tak dobitnie, tak wyraźnie, jak teraz, gdy sam na sobie doznał skutków owego kontrastu, gdy sam stanął w kolizyi ze swymi sąsiadami. I jak zwykle, nie zaniedbał tych świeżych wrażeń spisać i podzielić się niemi z ogółem czytającym. A chociaż w teoryi potępiał romantyczność, w praktyce stworzył dzieła, przedstawiające najcharakterystyczniejsze cechy romantyzmu.

Opowiedział nam najprzód „Życie sieroty“ tak smutne, że do łez rozczulićby mogło, gdyby temu tkliwemu wrażeniu nie przeciwstawiały się inne wprost przeciwne, bo komiczne i to naumyślnie dla kontrastu przez autora wywołane. Edward jest marzycielem, duszą poetyczną: ujmuje go prostota i naiwność dziewczęcia bez wychowania i bez wykształcenia; podejmuje się opieki nad niém; ale gdy przyszła proza życia, gdy w domu zaczęto pieluchy rozścielać, gdy jego ukochana bardziéj stała się czułą na krzyk dziecięcia niż na rozmowę poety: on rozczarował się i znudził, a skutkiem tego dokuczał biednéj sierocie. Scena kończy się tragicznie: sierota, wziąwszy na siebie swoję biedną sukienkę, w któréj przyszła do Edwarda, topi się w rzece. Można ją było jeszcze uratować; ale mieszczanin, który widział tonącą, pożałował swojéj nowéj kapoty i zanim rzucił się do wody, zaczął się rozbierać...

Tu marzyciel wyszedł zwycięsko kosztem życia biednéj istoty. W powieści „Maciek i Maciuś“, inny los go spotyka. Marzyciel zaparł się swoich marzeń i dla pieniędzy ożenił się ze szpetną ale bogatą panną, która go dręczy swoją miłością, podczas gdy on wzdycha napróżno za dawnym swym ideałem kobiety. Marzenia, którym się przeniewierzył, mszczą się nad nim: czynią go nikczemnikiem, zdradzającym nietylko żonę, nietylko przyjaciela, ale nawet ukochaną niegdyś kobietę. Zaprzaniec musiał zginąć: zginął tak, jak w poprzedniéj powieści sierota [1]).

Oba te utwory pełne kontrastów, nie tak przecież ja-

---

[1]) Obie wspomnione powiastki wydrukowane zostały dopiero roku 1840 w trzecim tomie „Wędrówek“, ale napisał je autor o wiele wcześniéj, jak świadczy data cenzury 21 października 1837 r.

skrawych jak w „Czterech Weselach“, ale subtelniejszych znacznie, urozmaicone tu i owdzie fantazyowaniem, były przecież przygotowaniem tylko do utworu, który miał skupić w sobie cały ówczesny świat marzeń, myśli i uczuć młodzieńca i przeciwstawić go światu rzeczywistemu, t. j. ściśle mówiąc takiemu, jakim go ten młodzieniec sobie wyobrażał. Utwór ten napisany z taką werwą, z taką śmiałością i swobodą a zarazem rozległością myśli, jakiéj poprzednie utwory w tém skupieniu nie posiadały, był najświetniejszą improwizazyą o tych potęgach duchowych, co napełniały piersi młodzieży i zapalały ich serca nieokreślonemi, a przecież miłemi pragnieniami, był streszczeniem tych walk przykrych, jakie jednostka ukształcona a wrażliwa musiała staczać z prozaicznymi przedstawicielami życia codziennego. Nie było w niéj ani kompozycyi artystycznie przeprowadzonéj, ani nawet silnie narysowanych charakterów, ani téj obfitości fizyognomij z natury portretowanych, jak w dawniejszych utworach; ale była natomiast siła porywającego słowa, był liryzm głęboki i przejmujący serca, spotęgowany *ironią* dotkliwą, choć niby spokojną; był nastrój poetyczny, rzadko zakłócony a częściéj wzmocniony dysonansem. Kraszewski wypowiedział wtedy już całego siebie, jakim był w danéj chwili; a ponieważ dużo już przeżył, przemarzył, przemyślał; więc to, co tu przedstawił, nie mogło nieobudzić największego zajęcia w czytelnikach. Łatwo się domyślić, że mówię o powieści „Świat i poeta“.

Gustaw jest sierotą. Już ta okoliczność zjednywa dla niego nasze spółczucie. Dzieciństwu jego brakło czułego serca i miękkiéj dłoni matki. Wychował się u krewnych. Stryj jego był to samolub najobrzydliwszy, epikurejczyk, któremu imponowała jedna tylko potęga: potęga złota. Jego brat stryjeczny, a więc najbliższy towarzysz, to miniatura ojca. U stryjenki i siostry znajdował pewne pobłażanie,

pewną przychylność. W jaskrawo zarysowanym kontraście ukazują się jego marzenia dziecięce o duszy kwiatów i ich miłości. W około niego albo serca twarde i prozaiczne, albo miękkie i prozaiczne. Czuje się osamotnionym; w dodatku doznaje niesprawiedliwości; za przekroczenie brata stryjecznego, a raczéj za niezadowolone żądze stryja, zostaje wypędzonym z jego domu. Wstępuje do uniwersytetu; zraża go pedantyczna nauka, dreszczem przejmuje materyalistyczne wyobrażenie o duszy i o sercu, ucieka z lekcyi anatomii. Była to tak delikatna organizacya umysłowa, że najlżejsze nawet zetknięcie z rzeczywistością wprawiało ją w drżenie gorączkowe, w obłęd niemal. On marzył o wszechświecie, a tu trzeba było zdobywać sobie wiedzę o nim krok po kroku, kawałek po kawałku, w odmierzonych odstępach, z odznaczonemi miejscami spoczynku i wytchnienia...

A potém obudziły się w nim namiętności. Własne jego ciało wystąpiło do walki z jego duszą; poziome pragnienia zakłócały jego wysoki polot duchowy. Marzył o miłości, ale urzeczywistnienie tych marzeń było nowym zawodem. Pierwsza jego żona Marya była to serdeczna, kochająca namiętnie istota; ale niestety! nie rozumiała go. Gdy on chciał się przechadzać przy świetle księżyca i dumać, zapominając o wszystkiém; albo gdy się unosił nad jakiém pięknem miejscem w poemacie: ona przerywała mu marzenia wzmianką o obiedzie, kolacyi albo bieliźnie. Z ognistéj miłości wykradł ją, bo to było jakoś daleko poetyczniéj, aniżeli prosić zwykłym trybem o rękę; lecz zaledwie parę miesięcy po ślubie upłynęło, już się znudził, już się przymuszał myślą o obowiązku do okazywania żonie swego przywiązania, już zaczął pisać rozpaczliwe listy do drugiego ideału, który go zachwycił tém, że w księgarni chciał bądź-co-bądź nabyć dzieła Szekspira.

Marya poświęca się dla Gustawa, wstępuje do kla-

sztoru. Gustaw żeni się z owym nowym ideałem; pierwsze chwile spędza nadzwyczaj przyjemnie, ale wkrótce przekonywa się, że jego Łucya „jak wszystkie kobiety literatki“ (słowa Kraszewskiego), które w literaturze szukają tego samego co w stroju, pojazdach, balach, to jest pochwał i oklasków, że ta Łucya była niezmiernie próżna, chciała koniecznie na swojém postawić i upierała się w zdaniu o poezyi. Wkrótce spory o różnych poetów, choć z początku zajmujące, zaczęły nudzić obie strony tak, że przestali się niemal widywać; on z książką w ręku siedział w swoim gabinecie, ona w salonie słuchała pochlebnych uniesień jakiegoś blagiera. Musieli się rozstać: Łucya, niewstrzymywana, wyjechała za granicę i nie wróciła...

A jak z temi dwoma wybranemi istotami, które go doprowadziły do aksyomatu, że dla poety małżeństwo jest zabójcze; tak tém bardziéj z innymi ludźmi Gustaw nie może przyjść do ładu. I nie dlatego, żeby ich znał z gruntu i żeby to poznanie przekonało go o ich nicości. Nie. Tacy ludzie jak Gustaw, zamknięci w sobie, nie umieją patrzéć bezstronnie na swoje otoczenie, lecz każdą mimochodem spostrzeżoną wadę do olbrzymich doprowadzają w wyobraźni swojéj rozmiarów i, zamiast ludzi rzeczywistych z błędami i zaletami, widzą tylko albo samych nikczemników, albo téż, i to najczęściéj, karykatury godne jedynie śmiechu. Gustaw nie znał ludzi, bo z nimi nigdy nie lubił nawet rozmawiać; książka i wyobraźnia wystarczały mu najzupełniéj; przynajmniéj tak mu się zdawało. Kochał samotność, unikał tłumnych zebrań, a jeżeli szukał rozmowy, to tylko we dwoje. Towarzyskiéj rozmowy nie umiał nawet poprowadzić; był nią tak umęczony, jakby największym ciężarem. Lekceważył wszystkich, gdyż mniemał, że nikt go zrozumieć nie potrafi. Powtóre, Gustaw nie był zdolny do pracy ciągłéj, ustawicznéj. Kiedy był młody i musiał zara-

biać na utrzymanie, podejmował się wprawdzie każdéj roboty; ale zostawszy bogatym, polubił próżnowanie. Nie widzimy go nigdzie przy zajęciach gospodarskich, na wyborach szlacheckich, na zjazdach; on nawet nie próbuje apostolstwa wśród obywateli, bo jest zgóry przekonany, że ono na nic się nie zda. Marzenie i czytanie, to główne jego zajęcie; czasami jakiś wierszyk napisze bardzo smętny, bardzo mglisty i bardzo niepoprawny. Nawet szlachetność jego, którą tak często przeciwstawi egoizmowi innych ludzi, pozostaje skarbem zaklętym, z którego nikt, ale to nikt nie korzysta: jedyny jego czyn z czasów młodości, wyratowanie staruszki, wynagrodził mu się obficie, bo zapewnił mu byt niezależny. Tacy ludzie jak Gustaw nie spostrzegają nawet, że czyny ich bynajmniéj nie są urzeczywistnieniem ich szerokich planów, bo oni uważają się za istoty wyższe, dla których zwykła logika i etyka są rzeczami zbyt poziomemi, ażeby ich obowiązywać miały. A więc ten człowiek nie cierpiał naprawdę, a więc nie zasługuje na nasze spółczucie?... O nie! Bo nietylko te cierpienia są wielkie, które najobojętniejszy nawet widz uznaje za takie, ale i te także, które nam własna przygotowuje wyobraźnia. Tém one są dotkliwsze, tém silniéj dojmują sercu, że je nie wielu odczuć i zrozumieć potrafi.

Jakiż koniec takiego człowieka? Jeszcze w r. 1832, a zatém kiedy Kraszewski miał lat 20, napisał następne słowa: „Goethego Werther jest sławnym typem; typem równie narodowym, jak dzieła Richtera. Niemiecki Werther się zastrzelił, francuski zakopałby się w jakim klasztorze z miniaturą swéj Lottchen i plecionką jéj włosów; angielski, jeśliby nie naśladował literalnie Niemca, toby pojechał przynajmniéj do Szwajcaryi spaść z jakiéj skały, lub głodemby się zamorzył; hiszpański strułby rywala, siebie, ją i każdego, coby mu stanął na drodze; nasz Werther roz-

piłby się z rozpaczy lub zaciągnąłby się do wojska“ [1]). Gustaw wybrał pierwszą alternatywę. Kto chce przykładem poety upoetyzować ten postępek, łatwo sobie przypomni Hoffmanna. Kraszewski nie stawiał ani wzoru do naśladowania, ani przestrogi dla marzycieli; kiedy pisał powieść, zanadto był przejęty swym pomysłem, aby zająć względem niego stanowisko przedmiotowe. Wprawdzie, jako autor, panował on nad swym bohaterem i praktyką stwierdzał, że inaczéj i lepiéj w rzeczywistości pokierować się można: ale nigdy z téj przewagi w powieści swojéj nie skorzystał. On chciał odmalować wiernie ten przejściowy stan duszy, co mierne talenta zwykle zabija, ale dla talentów wyższych jest tylko próbą ogniową, z któréj one zwycięsko wychodzą. Kiedy Kraszewski pisał „Świat i poetę“, czcił Gilberta i Chattertona; kiedy go oddał do druku, nazywa Chattertona szalbierzem i mówi: „Gdy Gilbert, Chatterton lub kto inny się zabija, to trudno wytłómaczyć inaczéj, jak nierozumną rozpaczą lub podłém tchórzostwem, lub wreszcie nienasyconą czczością umysłową, któréj wina na wiek spada“, przyczém surową naganę daje poetom i artystom, których pierwsze niepowodzenie do grobu wpędza [2]). Wtedy już inne postaci zajmują jego wyobraźnią: już powstaje czysto-przedmiotowa Witolorauda [3]). Wtedy następuje zwrot

---

[1]) „Dwa a dwa cztery“: „Rzut oka na ścieszkę“.

[2]) Porównaj „Tygodnik Petersb.“ 1837, Nr. 381 i r. 1838 str. 1 i 3.

[3]) Z datą r. 1840, 1841 a nawet 1846 pojawiają się wprawdzie powieści Kraszewskiego, pisane w stylu i duchu „Czterech wesel“ lub „Kościoła Ś. Michalskiego“: ale są to rzeczy niewątpliwie utworzone o wiele wcześniéj, niż rok druku wskazuje. I tak: „Żacy krakowscy“, powieść a raczéj „prosta kronika“, drukowana dopiero w r. 1846 była już gotowa w roku 1836 p. n. „Strelimussa“, jak się dowiadujemy z „Tygodnika Literackiego“ (Poznań, t. I, Nr. 42 z 14 stycznia 1839). Podo-

ważny w pojęciach jego religijnych i społecznych. „Powrót ze sceptycyzmu do idei religijnych — pisze naówczas, — daje się czuć w drgających konwulsyjnie członkach całéj ludzkości, pozbawionéj, odjęciem chwilowém wsparcia religii, celu swojego i punktu oporu. Francya, która zaraziła tym duchem całą prawie Europę, zdaje się teraz sama dawać przykład powrotu“. *(Tygod. Petersb.* 1838, Nr. 36). Wtedy niezbyt już przeczy zasadom arystokratyczno-konserwatywnym Michała Grabowskiego, z którym zapoznaje się osobiście, jak niemniéj z Henrykiem hr. Rzewuskim, ks. Hołowińskim i innymi przedstawicielami kierunku zachowawczego.

I warunki zewnętrzne uległy także zmianie. W tym samym roku, w którym Kraszewski został współpracownikiem Tygodnika (t. j. 1837), Aleksander Tyszyński wypowiada pochlebne o powieściach Kraszewskiego zdanie [1]),

---

bnież „Ostatnia z książąt Słuckich“, wydana w 1841, była około r. 1839 znaną w świecie literackim jako rękopism p. n. „Kasztelan i Wojewoda“. Realistyczny obrazek rodzajowy „Całe życie biedna“, powieść fantastyczna „Mistrz Twardowski“ powstały w drugiéj połowie r. 1839 i co do swego ducha uwydatniają już, lubo słabo, zmianę nastroju autora.

[1]) Właściwie Tyszyński wypowiedział swój sąd pochlebny o powieściach Kraszewskiego wprzód niż ktokolwiek, gdyż data cenzury jego „Amerykanki w Polsce“ wskazuje r. 1835: ale w druku pojawił się on dopiero r. 1837. Przytaczam jego zdanie: „W kréśleniu towarzyskiéj rozmowy, a szczególniéj towarzystwa obrazów *niedorównanym* jest dzisiaj autor *Czterech Wesel* i *Pana Karola*. Niektórzy w p. Kraszewskim nic więcéj nie widzą jak Paul de Kocka polskiego; krzywda pierwszego widoczna. Wprawdzie pióro autora ma skłonność do śmiechu i pełnych trzpiotostwa obrazów, jak pióro francuskiego pisarza; ale do siły komicznéj tego ostatniego łączy i siłę tragiczną: obrazy pełne okropności i mocy, plotące się razem z śmiesznemi i nagłe, niespodziane z jednych do drugich przejście są główną sztuką i pięknem p. Kraszewskiego utworów. Styl komiczny autora, nieporównany w ucinkach i toku, w miejscach tragicznych nieraz jest pełnym poezyi (Cztéry Wesela, Raj i Piekło, Improwizacye;

a Edmund Wasilewski kreśli osobny artykuł o młodym pisarzu, entuzyazmując się nad jego utworami [1]). Spółpracownictwo w *Tygodniku* wszakże dało mu tak szeroki rozgłos, jakiego dawniejsze utwory, rozchodzące się w bardzo szczupłéj liczbie egzemplarzy, w żaden sposób zapewnić mu nie mogły. Artykuły tu pomieszczane doczekiwały się przedruku w innych pismach polskich (Muzeum Domowém, Przyjacielu ludu, Pamiętniku naukowym krakowskim). Autor został „znakomitym", a przymiotnik ten nie rozłącza się już z jego nazwiskiem, ilekroć je wspominają spółpracownicy *Tygodnika*. W „Wizerunkach i Roztrząsaniach naukowych" znowu się pojawiają artykuły Kraszewskiego (*Klonowicz, Maciéj Stryjkowski*). Kiedy w początkach r. 1838 założono w Poznaniu pismo nowe „Tygodnik literacki" udano się do „znakomitego" już autora z prośbą o spółpracownictwo, a rozbierając jego utwory, nie szczędzono epitetów najpochlebniejszych, „gienialności" oczywiście nie wyjmując. Wydawcy, którym nie szczędził dawniéj najostrzejszych wyrzutów, „że oni spokojnie żyją mózgiem pisarzów, ich duszą, zapałem, nie czując ani iskry wdzięczności, ani odrobiny czucia", i których zawód nazywał niegodnym frymarkiem, a ich zakłady „domem podrzutków i zaprzedanych:" teraz zwrócili się ku niemu sami. Józef Zawadzki, najbogatszy księgarz w Wilnie, umarł w końcu 1838, a syn jego Adam, człowiek ukształcony, zawiązuje bliższą znajomość a może i przyjaźń z autorem „gienialnym". W ten sposób na dość szerokiéj przestrzeni imię Kraszewskiego z uwielbieniem już było wspominane; jedna tylko Warszawa, choć z przedruku artykułów Kraszewskiego ko-

---

dawniejsze: Pan Karol, Wielki świat mał. miast.) itd. itd. Zob. „Amerykanka w Polsce" I, 270 w przypisku.

[1]) Pamiętnik naukowy, Kraków 1837. T. III, str. 3—11.

rzystała niekiedy, nie chciała mu przecież dać tytułu znakomitości. Zauważyć jednak potrzeba, że literaci z saméj Warszawy zachowali się biernie; i że wszystkie dotkliwsze pociski na Kraszewskiego nadsyłane były z Wilna i okolic. W *Tygod. Petersb.* nie wypadało drukować artykułów przeciw stałemu i tak potrzebnemu spółpracownikowi; a kiedy raz wydawca pomieścił dosyć potulny zresztą wiersz (A. L. i B. D.), który z uwielbieniem wspominając o łagodności i pokorze sławnego naówczas kaznodziei Ludwika Trynkowskiego, przeciwstawił owym przymiotom „pychę“ Kraszewskiego: ten nadesłał „pierwszą i ostatnią odpowiedź“, w któréj opowiedział bajkę o tych, co lubią ciemności. Raz — powiada — wszedł księżyc i nagle zaświecił. Na co on świeci — pytali obskuranci — tak pięknie, gdy ciemno i spać tak dobrze!... Obskurant bryś zaczął szczekać, lecz księżyc świecił a świecił i próżne było szczekanie brytana. Bajka kończyła się takim zwrotem do krytyków:

Tylko znowu nie myślcie, że to do was może,
A broń Boże! a broń Boże!
Ta bajka najmniejszego nie ma związku z wami,
Nie jestem ja księżycem, ni panowie psami!
(*Tygod. Petersb.* 1838, Nr. 22).

To dało powód p. S. P. do gwałtownego wystąpienia przeciwko Kraszewskiemu w „Magazynie Powszechnym“ (1838, str. 150, 151). Tu nazwawszy Tygod. Petersb. „konfidencyonalnym dziennikiem wzajemnych stosunków kilku przyjaciół“, gani uwielbienie, jakie niektórzy pisarze głośno (a mianowicie Trynkowski) wypowiadali, i pyta, kto to jest Kraszewski; a wyliczywszy to, czém nie jest, rozpowiada lekceważąco o jego powieściach i artykułach, w Tygod. Petersb. od dwu lat umieszczanych, których treść przedstawia z oburzeniem. „W pismach tych dowodzi Kraszewski, że wszyscy ludzie są głupi, wszyscy autorowie złodzieje, wszy-

scy księgarze oszuści (łotry! nie chcą drukować p. Kraszewskiego), kto się zaś odważy przebąknąć choć słówko przeciw jego arcydziełom, ten jest po prostu pies. Jeżeli mi nie wierzysz, czytelniku, weź Tygod. Petersb. z r. b. a znajdziesz całe ładne wierszyki, w których p. Kraszewski przeciwników swoich delikatnie nazwał psami; siebie zaś, snadź przez skromność, do księżyca porównał. Chcąc ulżyć potomności pracy w wyszukiwaniu różnych szczegółów życia swego, zawczasu już drukuje w Tygodniku własne Pamiętniki. Przypomina to nam Maeviusa, co kazał pomnik sobie zrobić i sam własnemi rękoma posąg swój zaniósł i na wsi postawił. W szczegółach znajdujemy — ciągnie daléj S. P.— znieważone to wszystko prawie, cośmy cenili: odarte ze czci imiona mężów, którycheśmy mieli za chwałę i ozdobę literatury naszéj; sponiewierane zalety kraju naszego. Oddał-że sprawiedliwość p. Kraszewski któremukolwiek pożytecznemu przedsięwzięciu? Niech jeno ukaże się zapowiedź jakiegoś dzieła, a możemy być pewni, że w Tygod. wystąpi z zarzutem i naganą. Kiedy wszystkich miłujących nauki radością napełniło ogłoszenie księgarni Zawadzkiego w Wilnie o wydaniu historyi naszéj literatury z rękopismów nieodżałowanéj pamięci Sobolewskiego, natychmiast p. Kraszewski pokwapił się do Tygod. z pełném żółci i nienawiści pismem".

Krytyka ta zasługuje na uwagę nietylko ze względu na Kraszewskiego; charakteryzuje ona niejednokrotnie w różnych odstępach czasu odzywający się głos rutynistów, przywykłych do spokojnego przeżuwania dawno zjedzonego pokarmu umysłowego i występujących z zawziętością przeciw wszelkiemu ruchowi na polu myśli i badań. Nie oszczędzono Kraszewskiemu ani jednego pocisku; dotknięto jego miłość własną, co rzecz najmniejsza; zakwestyonowano jego rozum, jego serce, co bezwątpienia daleko było dotkliwszém;

ale na tém nie poprzestano. Dlatego, że Kraszewski wytykał wady, surowo karcił występki, śmiał się z niedorzeczności, już rutyniści zakrzyknęli, że „sponiewierał zalety kraju własnego“. Dlatego, że się ośmielił krytykować powagi literackie, już rutyniści głosili, że „odarł ze czci sławne imiona“... Przyznawszy nawet, że w wielu razach krytyka Kraszewskiego szła za daleko, że była nieraz nieumotywowana, miała jednak tę zaletę, że pobudzała do myślenia; a użycie przeciwko niemu tak nizkiego środka, jak oskarżanie go wobec ogółu o szarpanie sławy narodowéj, zawsze będzie potępienia godném.

Pismo warszawskie, pomieszczając ten wybryk jakiegoś wileńskiego paszkwilanta, bałamuciło umysły ogółu. Na wieczorach piątkowych u pani Lewockiéj „Świat i poeta“ Kraszewskiego został uznany za niegodny druku, tak, że autor aż do Poznania posłać go musiał.

Ale i Warszawa wreszcie zaczyna się poznawać na talencie Kraszewskiego. Kolega jego z Akademii Duchownéj (p. H. Skimborowicz), zostawszy redaktorem „Gazety Porannéj“, założył przy niéj „Pismo Dodatkowe“ 1839 r., poświęcone sprawom literackim. Tu ścierały się zdania o Kraszewskim. Redaktor stał zawsze po stronie Kraszewskiego, a jakkolwiek i ganiące pomieszczał artykuły, nie przestał przecież sam uwielbiać jego talentu; on to zaprosił Kraszewskiego do nadsyłania obrazków, naumyślnie dla „Pisma Dodatkowego“ napisanych. „Wiściarze“ i „Obrazki z natury“ były to pierwsze nieprzedruki, jakie w Warszawie się pojawiły, z podpisem Kraszewskiego.

Mimo to przecież długo jeszcze panowały w Warszawie uprzedzenia przeciwko Kraszewskiemu. To téż w r. 1879 jakby dla wynagrodzenia swego rutynicznego oporu względem świeżych, barwnych, wyrywających z odrętwienia umysłowego utworów młodzieńca, pierwsza zaprojektowała

uczczenie publiczne półwiekowéj, niestrudzonéj i niezrażonéj pierwotném niepowodzeniem działalności. Dziś każdy już bez wahania powtórzy słowa, któremi jeden z jego czcicieli, pod koniec pierwszego dziesięciolecia ówczesną pracę tego pióra określił: „Jest to mąż posiadający nietylko wielostronne wykształcenie, ale i ów nieugięty hart, jaki jest koniecznie potrzebny do zwalczenia jawnego i ukrytego głupstwa, usiłującego zagłuszyć każdy wyższy talent. Téj-to niezłomnéj duszy winien jest Kraszewski swoje zwycięstwo; winien je nadewszystko owemu przenikliwemu dowcipowi, uszczypliwemu sarkazmowi i owéj, rzekłbym, zuchwałéj ciętości, z którą wszystko, co się tylko na placu nawinie, swoim obosiecznym bułatem z góry, wstępnym bojem siecze, gromi i na głowę poraża“ [1]).

[1]) „Tygod. Literacki“ I, Nr. 40, 31 grudnia 1838.

Warszawa, 1879.

II.

MICHAŁ CZAJKOWSKI.

I.

Autor „Powieści kozackich“ (1837), który na widownię literacką wystąpił później od Kraszewskiego, ale o wiele szybciéj od niego zyskał sobie sławę bardzo rozgłośną lubo krótkotrwałą, stanowi ogniwo, łączące dawny nasz romans historyczny, którego najwybitniejszym przedstawicielem był Bernatowicz, z nowszym, rozpoczętym przez Ignacego Chodźkę a do pewnéj doskonałości doprowadzonym przez Henryka Rzewuskiego. Jako pośrednik pomiędzy jedną fazą a drugą, skupia on w sobie częściowe cechy obu, nie bez tego jednakże, ażeby druga, nowsza, wyraźniéj się w nim nie odzwierciedliła.

Czajkowski wystąpił przedewszystkiém z opozycyą względem dawniejszéj deklamacyjnéj szkoły. Styl ile możności prosty, zwroty prowincyonalne, wyrażenia codzienne zastąpiły w jego utworach miejsce wyszukanych, wymuskanych a wielce napuszonych frazesów. Ludzie zwyczajni ze swojemi cnotami i występkami, ze swojemi zaletami i wadami, ze swoją poczciwością i śmiesznością, ze swoją wzniosłością chwilową i powszedniością dosyć trwałą wyparli bohaterów, chodzących na szczudłach, w szatach białych jak śnieg lub czarnych jak piekielne czeluści. Obowiązkowe zachwycanie się nazimno pięknościami przyrody; wyrachowane wystawianie na pokaz uczuć płaczliwie tkliwych lub płomieniście gorących, przemieniło się w opisywanie ich

a raczéj obrazowanie. Nagromadzenie niesłychanych a zawsze przerażających awantur, umyślne plątanie intrygi w celu wyprowadzenia na scenę niespodzianych sytuacyj przestało należeć do szczególnych zalet powieści, ponieważ autor znalazł w prostém rozsnuwaniu wątku historycznego obfitsze źródło scen pięknych, bo zgodniejszych z prawdą. Słowem, staranie o *charakterystyczne* rysy i wyrażenia stało się jedną z głównych cech twórczości powieściopisarza. Staranie to nawet poprowadziło go do dwu ostateczności — w kierunku fantastycznym i w kierunku realnym.

Czajkowski usiłował przedstawić wierzenia ludu ukraińskiego w sposób jak najdosadniejszy; w tym celu puścił zupełnie wodze fantazyi i spisywał jéj obrazy ze skrzętnością stenografa. Nie chciał ani słówkiem krytyki zmrozić tych fantastycznych kształtów, w które wyobraźnia ludu całą przyrodę przystraja; zrzekł się sądu człowieka wykształconego a przemienił się w prostego Ukraińca, żyjącego, myślącego i czującego podaniami od dziadów i pradziadów. Takie przejęcie się rolą nieukształconego, pełnego wiary i zabobonów człowieka ma dobre i złe strony: dobre, o ile przedstawia poetyczny pogląd na naturę; złe, o ile mija się z prawdą i rzeczywistością.

Jak pięknym, jak uroczym jest następujący obrazek, w którym autor przedstawił stosunek kozaka do otaczającéj przyrody:

„Wszystko, co żywe i nieżywe, jemu jak bratu rodzonemu wygada, co słyszało, co widziało. Dla niego *czajka* kihicze i ponad jedném miejscem bije skrzydłem i woła: tu zbieg się chroni. *Sroka* skrzekotaniem zaprasza na ciekawą rzecz. *Dzięcioł* podlotem prowadzi do futoru, do wierzb, strażnic brzegowych wody. *Wrony* i *kawki* stadami szparko lecąc, obwieszczają: śpieszymy na świeże tokowisko bójki ludzkiéj albo bydlęcego padła; też same czarne

stada, kiedy wracają z krwawego żéru, opieszale i milczkiem szybują a przypadają często do ziemi. *Orzeł* różnie mu znaczy: w dziób klekocze, dla swawoli w wietrze się przewraca, daleko on, daleko od ludzi; strzałą goni pod obłokami, puścił się w podróż od Kaukazu do Tatrów znad Donu nad Dunaj; do ziemi się kulką spuszcza, upatrzył zdobycz; z obłoków przypławił się niżéj, zaszybował kołem jedném, drugiém, ludziom się przypatruje. Kiedy *dzikie gęsi* zagęgają, nie blizko siedzib ludzkich, a kiedy małe ptastwo stadami purcha, nie daleko sioło czy jaki tam futor. Zoczy *dropie* tabunami się pasące, step to szczery. Stado *szpaków* zaczernieje, niedaleko hajdaje z wołami, z owcami czabany a przynajmniéj tabun koni. *Kania* i *sokół* w otwartych stepach lata. *Jastrząb* szuka przylasków. *Bocian* zaprasza do ludzkiego mieszkania; *żórawie* do pustyni wabią. *Czapla* kochanka woła kozaka do wody, do ryby. I w nocy mu *przepiórka* suche pole głosi; *derkacz* i *baraniec* od oparzeliska odwodzą. *Sowa* poświstem mówi: daleka to pustynia. *Puszczyk*, złowieszczy dla wszystkich, kozaków do ciepłéj izby przywołuje... Zna on *zioła* i *drzewa*, gdzie jakie rosną. Zna *gadziny* i *owady*, gdzie się które snują. Wszystko to mu staje za bite szlaki, za języki ludzkie: i tak jeździ po stepie jak po kraju, zastawionym w sioła i grody".

Takie i tym podobne ustępy robią wrażenie; zapoznają nas one ze światem myśli i uczuć, do którego nie przywykliśmy może, ale z którym łatwo się nam pogodzić, gdyż odnajdujemy w nich cechy prawdopodobieństwa. Nawet wówczas, kiedy autor wkłada w usta kozaka dziwne, cudowne, niemożliwe opowieści, kiedy słyszymy np. że „mekczenie capa" zapowiada nieszczęście, nie jesteśmy zgorszeni, boć te opowieści służą wybornie do scharakteryzowania i odznaczenia umysłowości obcéj, oryginalnéj. Lecz kiedy nam opowiada, że „Naum pohany" umiał zaczaro-

wać zwierzęta, drzewa i niebo; że kiedy on zechciał, to deszcz padał, pioruny biły, lasy się waliły, szum i łoskot powstawał, konie się słaniały: zaczynamy się niecierpliwić, niesmak jakiś nas ogarnia, chcielibyśmy co prędzéj wybrnąć zpośród tych nadzwyczajności. Wszechwiedza i wszechmoc podobnych jak Naum ludzi drażni nas jak wszystko to, co za niezgodne z prawdą uważamy.

Jak nieumiarkowane szafowanie żywiołem fantastycznym razi nasze poczucie prawdy, tak znowuż zbyt wielkie przywiązanie do drobnostek życia powszedniego zadaje cios naszemu poczuciu estetycznemu. Czajkowski chciał może cudowność wypadków wynagrodzić fotograficznem odtworzeniem rysów rzeczywistości, kiedy o niéj przyszło mu rozpowiadać. Lubimy wprawdzie wierność w przedstawieniu szczegółów, malujących stosunki towarzyskie; lubimy dobitność wyrażeń, któremi się różnorodne charaktery w rozmowie posługują; lecz chcemy również, ażeby ta wierność i ta dobitność nie przekraczały granic zakreślonych prawami artyzmu. Tymczasem u Czajkowskiego znajdujemy nieraz wielką niejednostajność, nieharmonijność pojedyńczych rysów, użytych do przedstawienia osobistości powieściowych, a mianowicie kobiet.

Istotnie płeć piękna ma swoje kaprysy, zawarunkowane temperamentem i wychowaniem; przybiera tak różnorodne kształty bez widocznych i namacalnych przyczyn, zmienia przekonania i poglądy, zachowanie się i postępowanie swoje względem otaczających osób nieraz tak nagle, że pochwycenie jéj właściwéj fizyognomii wydaje się niepodobieństwem. Tak jednakże wydaje się tylko. W gruncie rzeczy istnieją powody zmian psychicznych; powody te nieraz są bardzo drobne, lecz przed okiem psychologa i powieściopisarza ukryć się im trudno. Psycholog, obserwujący bacznie falowanie uczuć i przypływ wyobrażeń w umyśle

a sercu kobiéty, potrafi zrozumieć jéj ruchy, jéj postępowanie w każdym chwilowo zmieniającym się kształcie. Powieściopisarz zaś, poznawszy te drobniutkie przyczyny zmiennéj fizyognomii, powinien uchwycić moment charakterystyczny, odbijający najlepiéj wnętrze danéj osoby, i ten moment w całéj dosadności przedstawić. A gdyby chciał każdą chwilę zmiany wyjaśniać; gdyby każdy rys fizyognomii we wszystkich pozach chciał zaznaczyć, to praca jego mogłaby być cenna jako studyum psychologiczne, ale nie zrobiłaby artystycznego wrażenia, które skupieniem rozproszonych cech się osiąga. Czajkowski nie probuje nawet tłómaczyć niejednostajności usposobienia i postępowania swych osób; stąd wizerunki ich nie mają częstokroć ani psychologicznéj ani artystycznéj wartości. Tak np. pani Chiczewska, zacna niby obywatelka, dobra matka, przedstawia się nam pod tak różnorodnemi a tak niezgodnemi ze sobą postaciami, że ostatecznie nie wiemy, co o niéj myśleć. Raz, wysłuchawszy potwarczéj wiadomości o zerwaniu przez narzeczonego Nekrasę związku z jéj córką, postępuje, jak matce z taktem i godnością postąpić należało:

— Księże błahoczynny — rzekła, przystępując ku drzwiom — spełniłeś swoje posłannictwo; ja żadnéj odpowiedzi dawać nie potrzebuję; przepraszam, że odchodzę do choréj córki.

— Ukłoniła się i wyszła.

Taż sama atoli pani Chiczewska o trzy stronice daléj, bez żadnego usprawiedliwienia artystycznego, bez żadnego umotywowania psychologicznego, przedstawiona została jako kobiéta bez poczucia godności własnéj i obywatelskiéj.

„Pani Chiczewska — powiada autor — okadzana grzecznościami znakomitych osób, dmie się jak żaba w bajce; już nie myśli o związku swéj córki z kozakiem bez znanego rodu, bez dawnego imienia. Hrabiowskie korony, książęce

mitry, a nawet i coś więcéj po głowie jéj się snuje; z *potrzeby, nie z przekonania* wierzy, że Nekrasa przeniewierca miłości, przeniewierca ojczyźnie. Pani gubernatorowa Łysianki wstydzi się, że hajducy drzwi nie otwierają, że herby i dostatek nie błyszczą w komnatach... I sili się na grzeczności (względem niecierpianego niedawno Tamary), *małpuje niezgrabnie* matrony dawnych rodów".

Wystawcie sobie, czytelnicy, zacną obywatelkę, dobrą matkę dmącą się jak żaba, małpującą niezgrabnie matrony dawnych rodów, wdzięczącą się do Tamary, którym powinna była pogardzać; a poczujecie, jak przykre zrobi na was wrażenie. A przecież takich dysharmonijnych rysów zarówno w charakterze pani Chiczewskiéj jak i innych osób znaleźć można mnóstwo. Nieumiejętność w skupieniu promieni światła i w zużytkowaniu cieni; chwytanie cech powierzchownych, podrzędnych, zamiast zasadniczych i głównych; niewolnicze kopiowanie powszednich objawów życia: oto przyczyna owéj dysharmonii.

W powyższym ustępie czytaliśmy również próbkę nadużycia dosadności wyrażeń: owo nadymanie się żaby, owo małpowanie niezgrabne. Nie są to frazesy odosobnione. Dosadność przemienia się nieraz u Czajkowskiego w trywialność; u niego panna - bohaterka „łypie oczyma", włosy ma „rozpatłane", nie mówi lecz „bełkocze"; u niego „hycle", „pyski" i tym podobne wyrazy pojawiają się bez koniecznéj potrzeby, lecz owszem — ostentacyjnie. Takie wyrazy i wyrażenia, ukazując się często, sprawiają, że poetyczny skądinąd styl Czajkowskiego wydaje się nam łatanym. Istotnie styl ten żywy, barwny, uposażony w liczne przenośnie, w krótkich ustępach czaruje czytelnika; lecz z jednéj strony znajduje się tu wiele przenośni przesadnych, wyszukanych, czasami niemożliwych, a z drugiéj wiele frazesów trywialnych, grubiańskich, nieznośnych; czar pryska a czy-

telnik pozostaje wśród jakiéjś atmosfery nieokreślonéj woni, nieoznaczonéj barwy, rażącéj to pomroką, to zbyt rażącemi światła promieniami. Tak wewnętrznéj fizyognomii postaci powieściowych, jak i wyrazowi ich zewnętrznemu brak artystycznéj miary.

To są dodatnie i ujemne cechy, któremi się Czajkowski wyróżnia od poprzedników swoich. Zobaczmy, w czém jest do nich podobny.

Podobny jest przedewszystkiém w przedstawieniu fatalności wypadków, zawodzącéj nadzieje bohaterów, wikłającéj akcyą, sprowadzającéj katastrofy. Pojęcie téj fatalności nie wypływa bynajmniéj z filozoficznych przekonań autora, lecz jedynie z braku należytego zrozumienia praw przyczynowości, a daléj z braku umiejętnego, artystycznie pięknego układu pojedyńczych części romansu. To téż powieści Czajkowskiego są właściwie złożone z kilku lub kilkunastu epizodów, których następstwo nie przedstawia harmonijnego rozwoju jakiegoś wątku, lecz jedynie wypływa albo z chronologicznéj konieczności albo z kaprysu autora. Sceny w tych epizodach szeregują się obok siebie luźnie, zupełnie prawie dowolnie. Motywowanie postępowania osób na scenę wprowadzonych nie istnieje; częstokroć nawet domyślić go się niepodobna. Powierzchowny, zewnętrzny tylko zarys osobistości jest wszystkiém, co u autora znajdujemy; dusza ich, o ile w czynach się nie ujawnia, pozostaje dla nas zamknięta na siedm tajemniczych pieczęci. Nieszczęścia spotykające bohaterów (np. Nekrasę, który leciał z Krymu co koń wyskoczy, a mimo to zastał kochankę już zakonnicą) są czysto losowe, przypadkowe.

Z tą fatalnością wydarzeń łączy się tajemniczość w działaniu niektórych osób, tajemniczość, któréj powieściopisarz niczém nie objaśnia. Cyganki téż, wiedzące o wszystkiém, grają jak dawniéj tak i u Czajkowskiego bardzo ważną rolę.

Podobnież niezrozumiałą jest wszechwiedza takiego np. Wernyhory. Całą działalność „bractwa bobrowego“ w „Hetmanie Ukrainy“ pokrywa mgła nieprzenikniona.

Wreszcie zanotować wypada posługiwanie się tak zużytym środkiem zaciekawiania czytelnika, jakim jest pozostawienie go w niepewności co do pochodzenia bohatera powieści, które dopiero przy jéj końcu na jaw wychodzi, będąc przedmiotem tkliwéj lub strasznéj sceny *poznania* ojca z synem. Takim bohaterem niewiadomego rodu jest Nekrasa, takim Kirdżali. Jest to sposób zaciekawienia bardzo już stary, gdyż sięga conajmniéj czasów starożytnéj helleńskiéj komedyi.

II.

Już z samego rodzaju twórczości Czajkowskiego wnieść można, że przeszłość w całéj prawdzie swojéj nie mogła w nim znaleźć rzetelnego malarza. Zadawalniając się cechami zewnętrznemi i powierzchownemi, nie mógł wniknąć w przyczyny opowiadanych zdarzeń, nie mógł wystawić wewnętrznego ruchu pojęć i przeobrażeń rzeczypospolitéj. To téż nietylko zaokrąglonéj całości historycznych przekonań, ale nawet pewnego ich szeregu nie podobna z pism jego wydobyć; oderwane jedynie i niepowiązane ze sobą myśli dadzą się w nich zaznaczyć [1]).

Ulubionym tematem opowiadań Czajkowskiego był stosunek drużyny kozackiéj do dawnéj Polski. Jego kozacy kochają się pospolicie w Laszkach i doznają wzajemności; a naodwrót szlachcic polski długo czci pamięć pierwszéj z Ukrainką miłości.

---

[1]) Nie potrzebuję dodawać, że mowa tu jest tylko o pierwszéj fazie działalności pisarskiéj Czajkowskiego (1837—1844), w któréj był powieściopisarzem historycznym.

Jakkolwiek Czajkowski pisał powieści swoje w Paryżu, wśród nader silnego jeszcze ruchu demokratycznego, nie poszedł jednak za jego prądem: wolał się połączyć ze stronnictwem zachowawczém, monarchiczném. Cześć dla władzy królewskiéj prowadzi autora do bronienia nawet słabych królów, do wystawiania pochlebnego ich obrazu. W samym atoli początku zawodu powieściopisarskiego akcentuje Czajkowski swoję niechęć do Stanisława Augusta, którego jedna z osób powieściowych nazywa „malowaném cielęciem“, inna „lichym mopsem“, a sam autor „upudrowanym trefnisiem“— i zapatruje się dosyć pesymistycznie na stosunek szlachty do możnych panów. „W Polsce — powiada — sława wielkich panów, to trunek dendery dla szlachty; niejeden dostatni pan w swojéj majętności, kiedy magnat bylejaki grzecznie go powita, uśmiechnie się lub za rękę weźmie, niepodległy szlachcic zmienia się jakoby czarodziejską mocą na klamkowego pochlebcę, na dworskiego ciurę, wielkim panom stopy liże a przed równymi sobie drze nosa, a zawsze i wszędzie chciałby za coś większego uchodzić, niż w saméj rzeczy...“ Późniéj stosunek ten mniéj mu przykrym się wydawał; a typ szlachcica — sługi pańskiego, który wszystko gotów dla rodziny swego chlebodawcy i patrona poświęcić, wszystkie występki téj rodzinie przebaczyć, został przedstawiony w powieści „Stefan Czarniecki“ sympatycznemi rysami, chociaż z drobniutką szczyptą ironii.

Bądźcobądź jednak, nienawistnego rozdziału szlachty od magnateryi nie był Czajkowski nigdy zwolennikiem. Kiedy jedna z osób jego powieści powstała z impetem na sobkowstwo i prywatę magnatów, Wernyhora rozsądnemi słowy hamuje furyą weredyka, a wskazując na przykładach, że i magnaci służą krajowi, zachęca do ustępstw wzajemnych, do przykładnéj braterskiéj zgody. — Wyzwolenie ludu za rzecz konieczną poczytywał.

Zresztą pojmował dzieje po kronikarsku; w powieściach swoich nie umiał odznaczyć wielkich przewrotów politycznych, wielkich chwil walki od drobnych, codziennych wydarzeń i zatargów. To też już Michał Grabowski zauważył, że Czajkowski raczéj psuje niż odbudowuje przeszłość. Wypadki u niego następują po wypadkach, odwzorowane jednostajnie, nieodniesione do swoich przyczyn, niezestawione ze skutkami z nich wypływającemi. Wypadki te, gdzie mu w toku opowiadania wypadało, przeinaczał bez ceremonii, nie krępując się bynajmniéj chronologią ani istotnym dziejów przebiegiem. Nie zgłębiwszy należycie historyi, sztukował tu i owdzie pochwytane wiadomości niepewnemi podaniami i własną fantazyą, która mu ulubionych tylko dostarczała obrazów. Gdy np. nie chciał z jakichś powodów przypisać jezuitom wielu fanatycznych faktów, które się krwawo w dziejach naszych zapisały, uwierzył w istnienie „bractwa bobrowego“, złożonego z intrygantów, kacerzy, którzy przybierali imię jezuitów, ażeby tychże osławiać a tém samém szkodzić kościołowi katolickiemu. Samemu Wyhowskiemu przypisuje wszystkie zwycięstwa, choć się do nich inni wodzowie przyczynili, robi go dwa razy hetmanem itp. Nie znał jeszcze Czajkowski téj sztuki, ażeby nie obrażając prawdy dziejowéj, nadać bohaterom swoim artystyczną nieśmiertelność.

Poznajmyż tych bohaterów.

Chociaż Czajkowski nie gardził piórem, faworyzowanemi jednak postaciami jego są ludzie dzielni orężem, przyrośli do konia, zawsze z szablą w dłoni, nie lubiący pytać o mnogość nieprzyjaciela, przekonani, że ich szable potrafią ją przeliczyć. Hasłem ich bić i bić, na nic więcéj nie zważać. Wszyscy oni mogą powiedzieć jak Stanisław Potocki: „Siedemnastego roku jeszcze nie miałem a już odebrałem chrzciny wojenne; od tego czasu nie opuściłem ani jednéj

wojny, żebym tam nie niósł mojego życia na posługi ojczyźnie; przeliczyłem już sześćdziesiąt lat i terazże mam dbać o życie? Jak mazgaj jaki zamrzéć gdzie w kącie, za piecem i strawić marnie sławę drogo i po szczeremu nabytą? Jak mi sił nie stanie do szabli, to oddechem przeć będę nieprzyjaciela, a wojska mego nie opuszczę". Istotnie te srogie dzieci Marsa stworzone są do ustawicznéj walki: wytrzymałe na głód, czuwanie, wszelkie niewygody, siedzące krzepko na koniu, dzielnie władające orężem, prędkie w radzie, wytrwałe w boju zachwycają nas nie na żarty.

Tylkoż kiedy się im zajrzy pod czaszkę, kiedy się rękę przyłoży do serca, niezawsze zachwyt próbę wytrzyma... Dlaczego? Bo z tych Cezarowych czół nie strzela jasny promień wysokiéj inteligencyi, obejmującéj szerokim poglądem coś więcéj nad pole walki, trupami zasłane; bo w tych sercach żądza walki pożarła wszystkie inne uczucia. Oczywiście wierzyć się temu nie chce, boć dzieje inaczéj nas pouczają; ale cóż mamy począć z autorem, który takimi ich nam przedstawia?... Autor dokładnie opisuje zewnętrzną postać bohaterów swoich, skrzętnie notuje dowody siły ich ramienia, unosi się nad ich męstwem: lecz nie lubi kreślić szczegołów ich umysłowości, nie lubi rozwiązywać im ust dla zaprezentowania czytelnikom ich rozumu, fantazyi, uczuć tkliwych lub wzniosłych.

Oto staje przed nami jeden z takich bohaterów — to Stefan Czarniecki. Zewnętrzną jego postać Czajkowski narysował dosyć dokładnie i szczegółowo: „Czoło wyniosłe, czupryna podgolona, wąs zawiesisty, ku dołowi spuszczony, broda czarna, oko żywo błyszczące, nos ściągły, wzrost w miarę ani przerosły ani niedorosły, kibić smukła, ręce małe ale żylaste, taka żywość w ruchach, jak gdyby wszystkie członki były na sprężynach, za skórą widać, jak tam krew warem kipi i *na każde poruszenie gotowa wytrysnąć*. Pięćdziesiąt

i sześć lat przeżył, nie pod dachem, nie na pierzynie, nie na tańcach i biesiadach, ale pod gołém niebem, na gołéj ziemi, walcząc bezprzestanku; a jednak ani wiek, ani trudy i znoje nie stérały w nim ognia młodości. Im daléj w nich brnął, tém więcéj wojennéj otuchy przyrastało rycerskiemu sercu. On mógł o sobie powiedzieć: wojna mię zna i ja ją znam; *ona mię kocha i ja ją kocham, bez siebiebyśmy żyć nie mogli.* Głos miał trochę dźwięczny, bo podniebienie srebrne; męstwem go (*sic*) nabył pod Monasterzyskami; pamiątka to serdecznéj Bohunowéj, kozaczéj kulki. Cała postać miłe wrażenie robi na kobietach, bo kobiety umieją z postawy rozumieć bohaterskie serce i sercem garną się do niego, jak słabe latorośle pod konary wielkiego dębu przed upałami słońca i przed nawałnicą burzy".

Bardzo pięknie; poznaliśmy fizyczną stronę Czarnieckiego jako podstawę umysłowéj, ale pragnęlibyśmy niemniéj coś wiedzieć o téj drugiéj. Niestety, pod tym względem autor mniéj jest szczegółowym. Słowa karności wojskowéj, nieposzlakowanego męstwa, poszanowanie majestatu królewskiego, nazywanie Szwedów Szwedzikami, powtarzanie przysłowia: „ja nie z soli ani z roli, ale z tego co mnie boli"; niechęć względem bezczynnych lub zdradzieckich magnatów: — oto wszystko, co o wewnętrznéj jego stronie można z rozproszonych tu i owdzie wzmianek zanotować, jako jéj charakterystykę. Niedosyć że Czajkowski podał tak szczupłą liczbę rysów, umysł i serce bohatera odznaczających, jeszcze obniżył jego wartość moralną w powieści: „Hetman Ukrainy". Tu Czarniecki z hasłem „bić a bić", pokazuje się jako człowiek ciasnéj głowy i małego serca. Ambitny, zarozumiały, fanatyczny nie zna innego środka pozbycia się złego, jak wytępienie kozaczyzny; a w zaciekłości swojéj tak dalece zachodzi, iż się nie waha wbrew prawom wydać wyroku śmierci na człowieka przeciwnego zdania —

na Jana Wyhowskiego. Czajkowski, kreśląc ten ostatni rys, poszedł za ówcześnie rozpowszechnionem zdaniem, które się później okazało z gruntu fałszywém; gdyby jednakże było nawet prawdziwém, nie mogłoby jeszcze wytłómaczyć Czajkowskiego z błędu artystycznego. Jeżeli bowiem autor był przekonany, że Czarniecki postąpił sobie niegodnie, to jakże mógł wystawiać go w jednéj powieści jako bohatera dodatniego, jak mógł go idealizować; a w drugiéj — rzucać tak smutny cień na jego pamięć? Wszakże to sprzeczność bijąca w oczy!

Pomijam inne charaktery lub pół-charaktery mniéj więcéj do Czarnieckiego podobne; a podnoszę osobistość Jana Wyhowskiego, który większą rozmaitość przedstawia pod względem wewnętrznym. Nie będę opisywał jego powierzchowności, również starannie jak Czarnieckiego przez autora skreślonéj. Mąż to był w pełni siły i zdrowia. Pisarzem będąc przy Chmielnickim, rozumnemi radami i genialnemi planami potrafił w nim zyskać prawdziwego przyjaciela, który umierając, oddał w jego opiekę niedołężnego, modlitwie poświęconego syna, prosząc, ażeby w jego ręce powierzył władzę, gdy się burze polityczne uspokoją. Zostawszy hetmanem, zjednał sobie męstwem, roztropnością i dobrocią, poszanowanie i miłość niemal powszechną. Potrafił pogodzić kozaków z Lachami i razem z nimi pod Konotopami świetne nad wrogiem odniósł zwycięstwo. Gdy atoli przyprowadził kraj do porządku, gdy z sąsiadami się uporał, pomimo przedstawień licznych zwolenników swoich, pomimo żalu powszechnego złożył władzę w ręce syna Chmielnickiego, Juryszki.

Mowa jego, przy téj okoliczności do starszyzny miana, nacechowana niepodrabianą skromnością. Przedstawił w niéj najprzód swobody i przywileje nadane kozactwu przez Rzeczpospolitą, oznajmił, że sześciuset mołojcom pozwolono przy-

brać szlachectwo z herbem i imieniem Wyhowskich; a potém rzekł: „Panowie starszyzna, panowie bracia! Wszyscy kozacy pod jedną chorągwią białego archanioła służą, wszyscy razem zgodnie za jeden wóz ojczyzny ciągną. Po grodach, po siołach, po stepach naszych, po wszéj Ukrainie mir i swoboda; przez wasze szable wszystko się to stało; ja wam służyłem i wysłużyłem, żem spełnił wolę nieboszczyka naszego ojca, Bohdana Chmielnickiego. Wam cześć i sława *a mnie za to dziękować wam.* Bóg to widzi, że jak mogłem, tak nieboszczyka wolę spełniałem, a teraz spełnię przyrzeczenie moje. Bohdankowi Chmielnickiemu, naszemu ojcu i panu, przyrzekłem być jego synem, jego hetmaństwa i was wszystkich jego dzieci. Jerzy Chmielnicki, krew naszego pana, doszedł do lat, jemu oddaję co jego; jak ojciec jego tak i on niech będzie naszym ojcem, naszym panem. Panowie starszyzna, panowie bracia! W jego ręce oddaję i czaple pióro i buńczuk i buławę: czekam jego rozkazów i my wszyscy jego rozkazów słuchajmy".

Mowa ta dowodzi i wielkiego panowania nad sobą i wielkiéj bezinteresowności. Podziwienie nasze dla tych dwu niepospolitych w każdym razie przymiotów wzrasta w miar rozsnuwającego się daléj kłębka wypadków. Juryszka Chmielnicki była to istota słaba, cicha, oddana modlitwie, jak najmniéj rycerska, niewłasnowolna, ulegająca wpływom osób otaczających ją. Zostawszy niespodzianie z mnicha hetmanem, nie wiedział co robić ze swoją nową godnością. Towarzysz jego i opiekun w zakonie, czerniec Filaret, znalazł się przy nim z pozoru jako pokorny sługa, w gruncie jako pan samowładny, który chciał rządzić wraz z bratem pod imieniem Juryszki, i dopiął swego celu. Dla wzbudzenia chwilowego zapału i męstwa w młodym Chmielnickim, podawał mu przyrządzone przez siebie opium; gdy go chciał mieć bezwładnym, cichym, pokornym, odsuwał flaszę; i sta-

wało się zadość jego woli. Tym sposobem trzymając Juryszkę jakby maryonetkę na sznurku, Filaret, wraz z bratem Marcinem robili, jak się im podobało: zburzyli dzieło zgody, dokonane przez Wyhowskiego, zawarli przymierze z nienawidzonym poprzednio nieprzyjacielem, zabili dwu braci stryjecznych niedawnego hetmana, mścili się nad jego stronnikami, siali niepokój, kłótnie i mordy wśród rzeszy kozackiéj. Wyhowski, który jedném słowem swojém mógł pomścić braci, przywrócić ład dawny, zapobiedz rozlewowi krwi bratniéj, nie wyrzekł tego słowa. Znosił wszystko cierpliwie, głuchym był na rady najlepszych przyjaciół, na żądania zemsty wypowiedziane przez Helenę, córkę Chmielnickiego, a żonę jednego z zamordowanych braci; korzył się jak przed panem i ojcem przed Juryszką, którego męstwem całem była flasza z opium.

Doprawdy, ten były hetman szczególne przedstawia zjawisko! Podziwiając jego zimną krew, która mu się nie wzburzyła na widok tylu bezeceństw, podziwiając bezinteresowność, która wchodziła w grę z głębszém uczuciem, z miłością kraju, niepodobna mu nie zrobić zarzutu obojętności względem sprawy publicznéj, zarzutu bezwątpienia nader bolesnego dla jego szlachetnego serca... Jakto? módz wydźwignąć nawę ojczystą z toni a nie wyciągnąć ręki, dlatego, że ktoś inny *źle* spełnia względem niéj obowiązki — to albo wysoko rozwinięta choroba władzy sądzenia, albo téż głęboka obłuda. Mógłby ktoś wystąpić w obronie bohatera na podstawie doniosłości cnoty prywatnéj, dochowania przyrzeczenia, danego umierającemu przyjacielowi. Bezwątpienia, Wyhowski szlachetnie postąpił, że nie chciał nadużywać korzyści swego położenia, że złożył władzę w ręce tego, kto był jéj spadkobiercą; ale przyrzeczenie dane Bohdanowi mogło go do téj jedynie pory obowiązywać, dopóki kraj nie był w niebezpieczeństwie; w intencyi bowiem Bohdana nie

mogło leżeć rozprzężenie i nieład wewnętrzny. Obowiązki względem kraju powinny były przeważyć nad nieuzasadnionemi skrupułami w sercu Wyhowskiego. I przeważyły w końcu; ale zbyt późno zarówno dla kozaczyzny, jak i dla sławy jego własnéj. W bitwie pod Cudnowem okrzyknięty hetmanem, przyjmuje tę godność, choć Juryszka jeszcze żyje; przyjmuje i składa ją nazajutrz z rozkazu króla, który hetmanem naznaczył Teterę. Czyż nie lepiéj byłby zrobił, gdyby się był zdecydował trochę wcześniéj?

Nie; Wyhowski nie może być ideałem polityka-wojownika, człowieka mającego szerokie plany i jasne o stanie kraju pojęcia, jakim go Czajkowski w początku powieści chciał przedstawić, pozostanie tylko dzielnym rycerzem i cnotliwym domatorem, którego ambicya poza swoję zagrodę nie sięga, a wzrok czasami tylko puszcza się na daleką wędrówkę. To też śmierć jego, wynik zemsty prywatnéj, dokonana zdradą, pomimo wielkich, pięknych słów, któremi ją upamiętnił, pomimo godności, z jaką ją poniósł, nie wywiera na czytelniku takiego wrażenia, jakieby wywrzeć mogła, gdybyśmy w nim ofiarę pewnéj idei widzieli. Zbyt krótkie chwile politycznego zawodu, zbyt długie domatorstwo odjęły mu aureolę.

Jako człowiek pozostanie w naszéj pamięci. „Kiedy nie w boju — powiada o nim autor — to zazwyczaj twarz osłaniała się tęskną dumką; ale kiedy spozierał na kogo, albo z kim rozmawiał, to półuśmiech twarz umilał, jak gdyby chciał sercem każdego częstować; i dlatego też serca wszystkich ku sobie garnął". Mamy tego przykład w saméj powieści. Oto kiedy dwa oddziały kozaków w dwu nieprzyjaznych obozach miały się zetrzeć z sobą, stał się cud pojednania, najpiękniejsze zwycięstwo, jakie wódz odnieść może: „Hetman skakał koniem po samym przodzie, czaple pióro ku kozactwu powiewało, a wiatr jakgdyby nau-

myślnie białym aniołem i krasną chorągwią wiał w oczy kozactwu. Oni na to patrzą — i na braci idących na nich. Smutno im, ale broń gotową trzymają. Neczaj nie wytrzymał, krzyknął:

— „Na dół rohatyny!

„I sam wyskoczył z taboru, biegł ku hetmanowi i zadyszanym głosem wołał: — Niech żyje nasz hetman! — Hetman zsiadł z konia, ściskał się z Neczajem...“

A jakżeż pięknie maluje szlachetne serce jego następna scena, kiedy oddaliwszy się od łoża śmierci nieprzyjacielskiego wodza, wziętego do niewoli, po swojemu tęskną dumką się osnuł.

„Kazał rannym dawać śniadanie i przepatrywał swoje wojsko. Pyta o Daszka — a Daszkową szablę mu przyniesiono: Daszkowi już nią nie błyskać po tym tu świecie! Pyta o Możajskiego — i konia Możajskiego mu przyprowadzono: już Możajskiemu nie hasać na tym tu świecie. Pyta o towarzyszów Zaporoża, o mołojców Ukrainy, o braci Lachów; którego tylko oko jego szuka, nie nadybuje; a jemu mówią, że już się z nimi nie spotka na tym tu świecie... Schylił czoło ku ziemi i czaple pióro ku ziemi się kłoniło; krzywa szabla drzemała w pochwie; a oczyma nie patrzył na kozactwo, tylko tęsknym głosem rzekł:

— „Bracia! grzebać ciała, sypać mogiły“.

Niepodobna prostszemi środkami oddać całéj okropnéj boleści, obejmującéj serce wodza na wieść o zgonie najlepszych towarzyszy. Takie dwie sceny jak te, które przytoczyłem, wystarczą na zapisanie w pamięci czytelnika imienia Jana Wyhowskiego – nie jako historycznéj postaci, lecz jako utworu fantazyi...

Z ludzi niewojennych najdzielniéj i najwspanialéj przedstawia się postać starego Wernyhory. Niewiadomego pochodzenia, służył i na Zaporożu i pod koronnemi znaki, lubił

mogło leżeć rozprzężenie i nieład ... brat. Od lat
względem kraju powinny b... futorze, tak żył
nemi skrupułami w ... szlachcicem herbowym;
w końcu; ale zbyt ... i dobrą radą. Pieniędzy
sławy jego własn... nie prowadził i cze-
hetmanem, przy... parobkiem, który przy-
przyjmuje i sk... się jak z bratem, nie zaś
manem nazn... miał cztery konie i to wierz-
się był zdec... pni pasieki; — a przecież kiedy
Nie; ... futoru, to jadła i napitku „ma aż
wnika, czł... złota, bogatéj broni, bisiorów i je-
kraju poj... Gmin, nie umiejąc sobie wytłómaczyć
chciał pr... bogactwa przy nader skromnym dobytku gospo-
tliwym ... przypuszczał, że Wernyhora z piekłem miał do
nie się... lękał go się zatém i czcił zarazem. Szlachta zaś
drówk... Wernyhora nietylko książki czytał i listy pisał,
konar... mówił wschodniemi językami i do Carogrodu jeździł,
ją u... wiedział, co się na zagranicznych dworach działo
wie... ważnych posług w kraju był używany, rozmaite ro-
gła... domniemania, widząc w nim to czarnoksiężnika, to po-
k... to brata hana krymskiego, to ambasadora saskiéj
polityka, rodziny...

Ciesząc się poważaniem u jednych i u drugich, mógł wiele dobrego robić i robił też rzeczywiście. Pomiędzy zwaśnionych braci niósł słowa pokoju, zgody i pojednania, a gdy te z powodu podbudzonych namiętności chłopów skutkować przestały, oddawał posługi szlachcie, ale na wieśniaków ręki podnieść nie chciał. Żaden hajdamaka dotknąć się go nie śmiał. Kiedy raz przewoził Chiczewską z córkami poprzed zebranym tłumem hajdamackim, parobcy pozdejmowali czapki, a żaden nie ważył się zatrzymać koni; herszt krzyknął: „Wraże syny! tak spełniacie przykaz“! — a oni odpowiedzieli mu gromadą: „To Wernyhora pojechał, a prę-

dzéjby my dyabła odważyli się wstrzymać, jak tego, co im wszystkim wataży". Rozszalałe kobiety, pastwiące się nad pomordowanemi ofiarami, których silni mołojcy nie mogli odpędzić od téj sromotnéj zabawy, uciekły natychmiast, jak tylko usłyszały o obecności Wernyhory.

Lecz nietylko postrachem działał on na tłumy. Miał wysokie wyobrażenie o potędze ludzkiego umysłu i umiał nią z korzyścią się posługiwać. „Szablą — powiadał — dziesięciu zarąbiesz a już rękę zmęczysz; głową tysiące pomordujesz a jeszcze myśli nie zmitrężysz". Uzbroić rozum przeciw sile — to była jego maksyma. Nie gardził też starą przypowiastką, która mówi: „gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba przeleźć; jak wojować, tak wojować, byle miasta dostać". Znał się on na „lisich kluczkach" i w potrzebie umiał się przebrać, razem z hajdamakami hałasować, plany ich pokrzyżować, korespondencye przejąć. Podstęp w czasach wojennych nie jest dla niego jakiémś złem moralném, nietylko go toleruje, lecz nawet za konieczny a może godny pochwały poczytuje. Kiedy Jakubaga kazał podpalić własne miasta i mieszkańców wymordować, dlatego, ażeby ten występek mógł zwalić na nieprzyjaciela i zacząć z nim wojnę, Wernyhora ubolewa wprawdzie nad spustoszeniem i przelaniem krwi niewinnéj, ale fakta te usprawiedliwia zaraz nader niebezpieczną zasadą, że człowiek stanu nie zawsze powinien być poczciwym, nieskazitelnym: że często należy mu stłumić głos serca, cnotę, sumienie na ofiarę rzeczy, któréj służy. Ta maksyma tak powszechna do niedawna, nawet w teoryi, nie dodaje oczywiście blasku imieniu Wernyhory, jest jednakże bardzo charakterystyczną, ze względu na stosunki, wśród których żył i działał.

Tajemniczość wreszcie i dar proroczy, który Wernyhora miał posiadać, jakkolwiek służą niekiedy do podniesienia artystycznego wrażenia, ostatecznie jednak obniżają

realną wartość powieściowéj postaci, wyosobniając ją zpośród warunków czysto ludzkiego istnienia; co sprawia, że w nim widzimy istotę pół-rzeczywistą, pół-mistyczną. A ta połowiczność nie pozwala wyobraźni i rozumowi naszemu przyjść z sobą do zgody.

Pozostaje mi powiedzieć słów kilka o *młodych* bohaterach i bohaterkach, o ich wzajemnym stosunku. Kochankiem pospolicie jest kozak, nieodznaczający się wprawdzie tak zwaną „pięknością skończoną", lecz jakimś nieokreślonym powabem, który go na wieki w sercu bohdanki zapisuje, nieustraszoną odwagą i wiernością dozgonną. Wszyscy kochankowie Czajkowskiego są w głównych rysach bratersko do siebie podobni; poznawszy jednego, będziemy mieli wyobrażenie o reszcie. Oto przed nami Nekrasa. „Byłto dwudziestokilkoletni młodzieniec; wzrost rosły, w pasie kibić wcięta, na śniadéj twarzy niemasz rumieńca, ale za to hojnie się po niéj rozlał wyraz namiętnych uczuć; ciemnosiwe oko błyszczy ogniem nieugiętéj dumy; na wzniosłém czole hardość odbiła swoje piętno; nos orli; ciemny włos na głowie, a na wardze wąsik ciemni. I w ruchach jego i w składzie była swoboda wolnego syna stepu, zmieszana z nawykłością rozkazywania drugim. Nie był on ani pięknego ani miłego lica, ale w jego twarzy, w jego postawie było coś wyższego nad pospolitych ludzi; między tłumem zdawał się jak siwy orzeł stepu między krogulcami i szulakami; a kto go raz widział, na wieczne czasy w swojéj myśli odrysował jego obraz; w sto latby sobie przypomniał: widziałem tego człowieka".

Otóż taki młodzieniec, kiedy się zakocha, to już nazawsze; miłość jego nie jest wymowna; z kochanką zamienia przez całą powieść zaledwie słów kilkanaście i to jak najpospolitszych; uśmiech, rumieniec, uścisk ręki, pocałunek wreszcie stanowią jedyne znaki sfalowanego serca. Po wię-

kszéj części żyje on zdala od swéj lubéj — na jakiéjś wojence; przeszkody zewnętrzne, intrygi złych ludzi urozmaicają jednostajność spokojnego rozwoju uczucia. Przeszkody te i intrygi albo usunięte bywają przez jakiegoś poczciwego opiekuna zakochanéj pary, a wówczas następuje szczęśliwe połączenie, albo też rozdzielają kochanków nazawsze. Pojedyńczych momentów powstającego, rozkwitającego lub zamierającego uczucia autor nie maluje, będąc wiernym swojemu pociągowi do kreślenia zewnętrznych jedynie rysów; to też w miłości bohaterów jego niema prawie wcale pierwiastku dramatycznego. Mężni, śmiali w boju, umiejący przebywać dalekie przestrzenie bez zmęczenia, bohaterowie ci są dziwnie słabi pod względem umysłowym, dziwnie niezaradni w usuwaniu przeszkód, dziwnie niezręczni w objawianiu swych uczuć. Sympatyą jednają sobie tylko odwagą, prawością i młodością. Kochają ich też wszyscy a mianowicie kobiety. O każdym możnaby powiedzieć to, co autor o Danielu powiedział: „Oj licha on narobił na Ukrainie! Zapytać dziewic a co one nagadają, to i wiekby nie wystarczył dudarzom na śpiewanie dumek o nim i po nim“. Wybranéj atoli ściśle dochowują wiary i na inne niewiasty już nie zważają.

Co do dziewic, zazwyczaj są to bierne istoty, obdarzone czułością i nieruchomością rośliny; skromność i towarzyska obłuda nie pozwalają im wyjawić swych uczuć inaczéj jak pomieszaniem lub rumieńcem; płacz, tęsknota, opór bierny jedyną są ich bronią wobec rodziców lub krewnych, zmuszających je do nienawistnych związków. Pod względem temperamentu można je podzielić na dwie grupy: melancholiczną i sangwiniczną. Dziewice pierwszéj grupy są nieśmiałe, niezaradne, myślące tylko o swoim kochanku; dziewice drugiéj — są wesołe, żywe, rozmowne, sprytne, otwarte, figlarne. Jako przykład kochanek melancholicznych

może posłużyć Joanna Lanckorońska, która cień woli objawia w tém tylko, że stale odmawia swéj ręki Samuelowi Gnoińskiemu i jest głuchą na przedstawienia jego popleczników a mianowicie stryja Marcina. Jednakże nawet i ten szczegół nie uwydatnia się silnie, gdyż nigdy nie widzimy Joanny w położeniu groźném, krytyczném; a wówczas gdy się w niém znajduje, jak np. przy porwaniu, autor rzuca zasłonę na sposób jéj zachowania się. Jeszcze słabiéj wystawione są pokrewne usposobieniem z Joanną dziewice: Anna Sapieżanka i Magdalena Chiczewska. Ta ostatnia nawet smutnym losem swoim (stryj zmusił ją zostać zakonnicą) nie budzi w nas sympatyi, z powodu chwiejności swego charakteru i niezdecydowanéj barwy swych uczuć.

Dziewice sangwinicznego temperamentu (Rozalia Potocka, Joasia Chiczewska) nie grają ważniejszéj roli; są one tylko towarzyszkami i pocieszycielkami melancholiczek. Są to miłe figlarne dyabełki, rozjaśniające choć na chwilę ciemny widnokrąg duszy głównych bohaterek.

Czajkowski nie umie i nie lubi opisywać piękności kobiecéj. Rubaszna jego mowa nie posiada tych delikatnych akcentów, któremiby mógł zaznaczyć zarówno powab lica, jak i tkliwe serca upojenie. Osoby jego powieści wyrażają się nieraz, że trudniéj o dobrego konia niż o ładną dziewczynę; a zdanie to autor podzielać się zdaje. Stąd pochodzi w jego powieściach pobieżność i powierzchowność w kreśleniu miękkich rysów fizyognomii niewieściéj; stąd niejasność, niezdecydowanie, a nawet sprzeczność widoczna w przedstawieniu stanu ich serca. Wspomina on, że w sercu ich snują się i snują ciągłe tajemnice a nigdy wysnuć się nie mogą i na tém wspomnieniu poprzestaje, nie pragnąc nawet rozpocząć próby rozplątania pogmatwanéj przędzy owych tajemnic. Nie dziwmy się więc, że nie umiał nam przedstawić nawet najprostszych objawów sercowego dramatu;

nie dziwmy się témbardziéj, że chybił zupełnie, gdy chciał bardziéj zawikłane odwzorować stosunki.

Istotnie próbował raz Czajkowski odrysować typ namiętnéj, ognistéj, szalonéj miłości — w osobie Elżbiety Radziejowskiéj; zamiast typu jednakże dał nam tylko karykaturę. Słowa jéj i ruchy lepiéjby scharakteryzowały chorą na konwulsye niż zakochaną. Odpychana, pogardzana przez Samuela Gnoińskiego nie zdobywa się ani na chwilę na oznakę godności niewieściéj, która przecież nawet w zupełnie spodlonych duszach niekiedy się odzywa; niema w niéj ani jednego idealnego porywu, któryby jéj namiętność mógł uszlachetnić, uzacnić. Jestto furya ścigająca swoję ofiarę a nie kobieta chcąca odzyskać straconą miłość. Nie wzbudzając ani sympatyi, ani politowania, ani zgrozy, na pośmiewisko tylko się wystawia. Fałszywie przedstawiona pod względem historycznym, Elżbieta Radziejowska daleka jest również od prawdy artystycznéj.

Inną razą podjął się Czajkowski odmalować walkę dumy z miłością. Bezwątpienia Helena Wyhowska jest najlepszym materyałem na bohaterkę. Córka Bohdana Chmielnickiego, odziedziczyła po nim daleko sięgającą ambicyą i energią niepowszednią. Wyszedłszy za mąż za Daniela Wyhowskiego, w pierwszych chwilach małżeństwa zapomniała o wszystkich dumnych planach, stała się czułą i przywiązaną małżonką. Dopóki Daniel walczył za kraj, oddalona od niego marzyła jedynie o rychłym jego powrocie. Lecz podszepty złych ludzi obudziły żądzę uśpioną w jéj sercu; zaczęła przemyśliwać o czaplém piórze, godle władzy hetmańskiéj. Nie śmiała wprost powiedzieć mężowi: zostań hetmanem, albo przestanę cię kochać; lecz dawała mu nieraz poznać, że ona, córka hetmańska, nierada widzi czaple pióro na czapce kogoś innego a nie swego męża. Odbywała się w niéj walka pomiędzy chęcią zostania hetmanową

a obawą narażenia męża na niebezpieczeństwa, gdyby się chciał o tę godność pokusić; płacz i tęsknota, radość szalona i dumne marzenia zmieniały się po kolei w dziennym biegu jéj życia. Odjazd męża w poselstwie do króla Rzeczypospolitéj to ją rozkoszą, to smutkiem przejmował; raz bowiem sądziła, że ta podróż może o jeden stopień wyżéj męża posunąć; a drugi raz przypomniała sobie, że ona będzie jednoznaczną z ich rozłąką. To duma kobiety, to czułość żony brały górę w jéj sercu. Trwało to dotąd, póki mąż nie odjechał; od tego czasu oddała się jedynie ambitnym marzeniom. Zrazu pragnęła tylko, by brat jéj został hetmanem; a gdy się spełniło to pragnienie, już jéj zadowolnić nie mogło i dała się łatwo namówić do knowania zdrady względem własnego brata na rzecz męża. Atoli w bardzo krótkim przeciągu czasu nawet miłość dla Daniela wygasła tak, że gdy ten został zabity, nie tyle bolała nad stratą *męża*, ile nad stratą *narzędzia*, za pomocą którego władzy dobić się chciała. Żałowała jedynie, że nie jest mężczyzną i że niema w kozaczyznie zwyczaju, ażeby niewiasta mołojcom przewodziła. To też wprost przyrzekła rękę swą temu, kto jéj brata zabije; gdy jednakże ten wstąpił napowrót do klasztoru, z którego był wyszedł dla objęcia władzy, a hetmanem został Tetera, wyszła zań bez wahania.

Takie rysy mogły się złożyć na skreślenie wielkiéj, choć ujemnéj kobiecéj postaci; lecz Czajkowski nie potrafił ich zużytkować artystycznie; każdy rys występuje tu oddzielnie, sam w sobie, bez łączności z innemi, tak że Helena wydaje się raz rozpieszczoném tylko dzieckiem, drugi raz czułą żoną, trzeci — dumną hetmanówną, czwarty — krwi pragnącą wilczycą i t. d. Słowom jéj brak siły i wyrazistości, ruchom — pewności siebie. Krótka walka próżności z miłością, która mogła się stać przedmiotem scen wspaniałych, w powieści

Czajkowskiego przedstawia się zaledwie mimochodem jako rzecz podrzędnéj wagi. Bawienie się natomiast czaplém piórem, dobre w jednéj sytuacyi, występuje tu powielokrotnie, ze szczególniejszym naciskiem, jakby rzecz nadzwyczaj charakterystyczna i ważna. Drobnostki, wypierając z należnego miejsca momenta wielkiego znaczenia, rozpraszają wrażenie, jakieby pewna sytuacya wywrzeć mogła. Niezaradność słowa w ustach Heleny bywa nieraz tak wielką, żeśmy ją o nieprzytomność posądzić gotowi. Kiedy przychodzą do niéj z propozycyą zrzucenia Jana Wyhowskiego z hetmaństwa, Helena odpowiada frazesami bez żadnego znaczenia, bez żadnéj wewnętrznéj spójni, urywkowemi i niezdecydowanemi. Oczywiście frazesy takie mogą jedynie dowodzić, że Helena nie dorosła do wysokości swoich ambitnych planów, że jéj nawet brak warunków potemu. — Do jakiegoś czynu energicznego nigdy z jéj strony nie przychodzi; przez czas nawet dość długi znika ona z powieściowéj sceny. Wszystkie ważniejsze chwile w rozwoju opowiadanych zdarzeń obywają się bez niéj; widocznie więc zarówno w słowach jak i w czynach pozostaje o wiele niżéj od polotów wyobraźni swojéj. Jeżeli więc był w niéj materyał na bohaterkę, to materyał ten źle został obrobiony...

* * *

Takie są główniejsze postaci w powieściach Czajkowskiego. Oczywiście opuściłem bardzo wiele sylwetek podrzędnych, w kreśleniu których autor „powieści kozackich“ nieraz szczęśliwszym był aniżeli w malowaniu bohaterów i bohaterek. Taki np. poczesny impetyk jak komornik Drożewski, „tnę potnę“, taki pieczeniarz jak Żytkiewicz i t. p. są to figury bardzo udatnie i bardzo żywo narysowane. Ale nie szło mi o wyczerpnięcie wszystkich osób powieściowych, dla okazania talentu autora w całéj rzeczywistéj prawdzie;

szło jedynie o poznanie jego ideałów. Przegląd ich wypadł niezbyt pomyślnie dla Czajkowskiego; ideału, któryby nam odwzorowywał należycie przeszłość, choćby w pewnym tylko kierunku, nie znaleźliśmy; wolno nam jedynie było patrzeć na pojedyńcze tu i owdzie rozproszone piękne rysy, ładne sceny, drobne okruchy wielkich ludzi...

Świat szczególniéj kobiecy został upośledzony w powieściach Czajkowskiego. Nietylko historycznie prawdziwego typu niewiasty polskiéj, ale nawet ogólnego typu kobiecego, któryby przynajmniéj artystyczną miał wartość, w nich nie napotykamy. Niemożna wytłómaczyć autora szerokiemi horyzontami, które w utworach swoich ogarniał, boć i w tych szerokich horyzontach znaleźć się musi miejsce dla kobiety, mianowicie w tych czasach, które Czajkowski brał za tło swoich opowiadań. Brak studyów historycznych i psychologicznych z jednéj, a rodzaj talentu z drugiéj strony, nie pozwoliły Czajkowskiemu wznieść się na te wyżyny artystycznéj twórczości, na których przeszłość w żywych nam ukazuje się barwach, w całéj pełni życia, z całą rozmaitością charakterów, zarówno męskich jak kobiecych. Talent jego w przedstawieniu scen potocznych i komicznych rozwijający się potężnie, nie starczył na odtworzenie umysłów wielkich, namiętności głębokich i czynów wspaniałych. Urywkowy sposób tworzenia dał téż i kreacye fragmentarne.

1876.

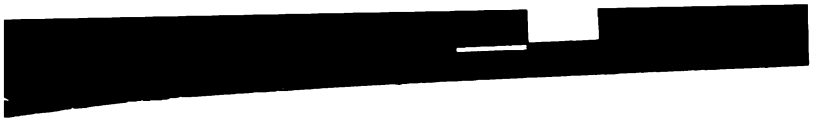

III.

HENRYK Hr. RZEWUSKI.

Było to na wiosnę roku 1839 czy 1840. Właściciel Cudnowa, kasztelanic witebski, przyjmował w uroczo położonym dworku swoim, na skałach nad rzeką Teterowem, grono literatów. Znajdował się tam Imćks. Ignacy Hołowiński, zajmujący się przekładem Szekspira; był Michał Grabowski, którego sławy krytycznéj nikt się jeszcze wtedy zachwiać nie ośmielił; był Józef Ignacy Kraszewski, młodzieniec dwudziestokilkoletni, ale już znany z płodności i talentu powieściopisarz; była panna Regina Korzeniowska, autorka atlasu historycznego, i parę innych osób mniéj naówczas znanych, jak Jaroszyński, dwu Budzyńskich. Okolica Cudnowa prześliczna, humory dobrze nastrojone, gospodyni domu, pani Julia z hr. Grocholskich, nader uprzejma; dwie córki młode i wesołe: oto czynniki, które się składały na uprzyjemnienie pobytu gościom zarówno utalentowanym jak i towarzyskim. Kilka dni przeszło wesoło na rozmowach i przechadzkach. Przedmiotu do gawędy i rozpraw brakować nie mogło; każdy z gości miał do zakomunikowania coś ze swoich nowych utworów; każdy był gorąco przejęty obudzającym się w kraju ruchem literackim; a gospodarz dowcipem swoim dodawał soli attyckiéj do wszelkiéj potrawy literackiéj... Ostatniego wieczoru, gdy przy kieliszku wina szampańskiego żegnano się w podwórzu, na niebie trysnęła niezmierna jasność... po ciemnym szafirze nocy przeleciał meteor ognisty, świetny, oślepiający i jakby

bicz skręcony jasną po sobie drogę zostawił. Wszystkich zjawisko to dziwnie uderzyło: meteor mógł zwiastować jakąś nową gwiazdę na widnokręgu piśmienniczym [1]).

Istotnie gospodarzem podejmującym literatów w Cudnowie, owym kasztelanicem witebskim, był Henryk hr. Rzewuski, autor „Pamiątek Imci Pana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego“, których dwa tomiki, wyszłe w r. 1839 w Paryżu, niesłychane oddawna sprawiły wrażenie. Hrabia Henryk przez te dwa tomiki (dwa następne wyszły dopiero w r. 1841) zyskał sobie odrazu, natychmiastowo daleko większe uznanie i o wiele wyższe stanowisko w świecie literackim aniżeli np. Kraszewski, który naówczas już od lat dziesięciu prawie rok po roku nowe książki wśród publiczności rozrzucał. Rzewuski wystąpił na widowni piśmienniczéj jako mąż 48-letni, z przekonaniami już ustalonemi, przynajmniéj do pewnego stopnia, z artyzmem tak rozwiniętym, że już mało co wyżéj wznieść go potém potrafił. Niepodobna go było przyjmować jako debiutanta w literaturze, ale jako skończonego mistrza. Tak go też przyjęto. Wkrótce atoli objawiła się dziwna w społeczeństwie naszém antypatya względem poglądów hr. Henryka. Czciło go jeszcze dosyć długo szczupłe kółko sympatyzujących z nim literatów; ale wśród masy oświeconych rosła niechęć, z początku do niektórych zdań tylko, a potém do całéj jego umysłowéj działalności. a nawet i do jego artyzmu. Nie zszedł on wprawdzie nigdy na stanowisko człowieka, którego się lekceważy; ale doczekał się silnych napaści piśmienniczych, wrzawliwéj niechęci, a nawet i wzgardy... Było rzeczywiście coś meteorycznego w pojawieniu się Rzewuskiego na horyzoncie literackim...

---

[1]) B. Bolesława w „Rachunkach“ za rok 1866. Powtórzono to we wstępie do „Próbek historycznych“.

Zamiast bezwzględnego uwielbiania lub bezwzględniejszego jeszcze potępiania tego zjawiska, możemy przypatrzyć mu się dokładnie, rozpoznać, jakiém ono było w istocie swojéj i dlaczego wywarło takie a nie inne skutki. Namiętności, które przed laty 30 lub nawet 20 nie dozwalały najbezstronniejszym nawet sędziom wziąć pod spokojną rozwagę pomysłów Rzewuskiego, dzisiaj przeszły w inną fazę albo też pod wpływem trzeźwiejszego poglądu na dzieje znacznie przycichły; ma się zatém możność analizy ścisłéj a nie gorączkowéj. Rzewuski był znakomitym pisarzem; jestto fakt, który zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy jego opinij uznają; należy mu się więc ocena zarówno szczegółowa jak beznamiętna, gdyż przez nią tylko można wniknąć w głąb talentu autora i w usposobienie społeczeństwa, które go wydało.

I.

Henryk Rzewuski urodził się w Sławucie na Wołyniu, w sam dzień ogłoszenia konstytucyi 3 maja 1791 r. Ojciec jego Adam Wawrzyniec, mówca i poeta, wnuk Wacława hetmana, również poety, a syn Stanisława Ferdynanda, konfederata barskiego, o którego niepospolitéj waleczności i chęci do bójek czytamy w „Pamiątkach Soplicy“, — był najprzód rotmistrzem kawaleryi narodowéj, potém posłował z województwa nowogródzkiego na sejm warszawski i grodzieński, gdzie często z mowami występował. Podczas sejmu czteroletniego, przeznaczony na posła do Danii, mianowany został kasztelanem witebskim. Ożenił się z Justyną Rdułtowską, podkomorzanką nowogródzką, wbrew woli matki, z domu księżniczki Radziwiłłównéj, która nigdy synowéj swojéj znać nie chciała. Był przeciwnikiem konstytucyi trzeciego maja; po upadku Rzeczypospolitéj został marszałkiem gubernialnym kijowskim i senatorem państwa rosyjskiego. Syn

jego Henryk jeszcze w pierwszym roku życia otrzymał patent na chorążego w regimencie Potockich i został kawalerem maltańskim przeoratu polskiego. Początkowe lata życia przepędził na Litwie u babki swojéj, rodzonéj siostry sławnego Tadeusza Rejtana, która innego języka prócz ojczystego nie znała. Najdawniejsze jego wspomnienia sięgały roku 1794, kiedy dońcy wpadli do wsi, w któréj mieszkał. Pomimo wątłego zdrowia był z niego chłopczyk gadatliwy i rezolutny bardzo; a w szóstym roku życia umiał już dobrze czytać z łaski pana Zar... krewnego babki a eleganta staropolskiego. Postać tego eleganta tak utkwiła w jego pamięci, że po latach 60 mógł nam dać dokładny jego obraz. Ubiór codzienny tego pana Zar... składały: kontusz rebarbarowy, żupan błękitny, pas lity srebrny, spinka brylantowa i buty ze sztylpami; dwa razy na dzień odmieniał koszulę; chałatu ani kapoty nie znał; jak tylko się przebudził, zaraz się ubierał jakby na galę. Do pasa tak był przywykł, że nie zasnąłby, gdyby ręcznikiem brzucha sobie nie opasał. Był to człowiek „trefny“, głęboki w nauce prawa, dobrze skoligacony, ale fałszerz dokumentów i krzywoprzysięsca. Bano go się jak ognia. Bywało, jak umrze jaki możny obywatel, on zaraz występuje z oblatą jego obligu na mniejszą lub większą sumę i pozywa jego sukcesorów, a że stawał z dokumentem, więc do przysięgi miał pierwsze prawo; wykonać zaś ją było dla niego wcale nie trudno. Przyszło do tego, że sukcesorowie zmarłego, dla umniejszenia sobie szkody, godzili się z nim pół na pół i uwalniali go od przysięgi. Późniéj mało było testamentów ludzi możnych, gdzieby nie było napisano: „W. Zar... komornikowi mińskiemu nie nie jestem dłużny żadnéj kwoty pieniężnéj, a jeżeliby po mojéj śmierci pokazał się u niego jaki mój oblig, oświadczam, że na nim podpis nie jest mojéj ręki...“ Wszakże

per fas et nefas zebrał do dwukroć stu tysięcy kapitałów, gdyż gospodarstwa nie lubił, a tylko po cudzych domach jeździł. Miał przecież tę cnotę, że dla krewnych i przyjaciół był wylany, a do babki Rzewuskiego miał szczególniejszy afekt. Taki to był nauczyciel elementarny sześcioletniego Henryka.

W roku 1796 przyjechała po niego matka. On ją przywitał grzecznym ukłonem, którego się wyuczył od pana Zar... i strojem swoim zachwycił: miał na sobie kontusik ponsowy z kołnierzem aksamitnym czarnym, haftowanym w kotwice, żupanik biały atłasowy, pasik złoty, szabelkę u boku i czapeczkę białą z czarnym barankiem, zwyczajnie jak chorąży w regimencie Potockich... Z matką wyjechał do Sławuty, majętności księcia Hieronima Sanguszki, wojewody wołyńskiego. W drodze widział i poznał ciotecznego brata matki, Dominika Jeśmana, burdę, kartownika i największego impertynenta... który krewnym niemało sprawił przykrości, ale umiał sobie radzić w najtrudniejszych położeniach. Towarzystwo Rzewuskich w Sławucie, gdzie Henryk przepędził lat 3, składali między innymi Hieronim Sanguszko i jenerał-gubernator bracławski Bergman, który z ojcem naszego kasztelanica żył w najściślejszéj przyjaźni [1]).

W r. 1799 oddano „chorążego regimentu Potockich“ do konwiktu księży karmelitów w Berdyczowie. Większa część profesorów tego konwiktu składała się z nauczycieli dawnych szkół, którzy stracili swe posady wskutek ich rozwiązania. Prefektem był Ryzatowski, niegdyś profesor języka łacińskiego w szkole żytomierskiéj. Profesorem języka i literatury polskiéj był Lewicki, dawniéj nauczyciel-adjunkt w szkole

---

[1]) Szczegóły powyższe znajdują się w „Pamiątkach kasztelanica W.“ drukowanych w Dzienniku Warszawskim roku 1851, Nr. 6—9.

niemirowskiéj, który później został profesorem nowozreformowanego uniwersytetu wileńskiego a zmarł dyrektorem liceum wołyńskiego. Język francuski i rysunki zostawały pod przewodnictwem Fayela, szlachcica-emigranta z Francyi. Fizykę wykładał Chaussier także emigrant, przed rewolucyą profesor téjże nauki w Pont à Mouson. Jak uczono w szkole berdyczowskiéj, nie wiémy; dowiadujemy się tylko, że zajmowano kasztelanica konjugacyami łacińskiemi i bajkami Fedra, że go przykładano do arytmetyki, do któréj był *tępy*, i do historyi świętéj, w któréj celował.

U karmelitów jednak niedługo zostawał Henryk; dobra zatém albo zła metoda nauczania niewiele na rozwój nauki jego wpłynąć mogła; a to tém bardziéj, że po kilku miesiącach pobytu w Berdyczowie zaczął zapadać na zdrowiu. Przyczyną tego miało być zdjęcie stroju staropolskiego. Dziedzicem Berdyczowa był książę Mateusz Radziwiłł, który utrzymywał dom już na stopie zagranicznéj. Kasztelanic bywał u niego co niedziela; otóż raz wśród zabawy syn Radziwiłła Oleś zdjął mu pas, a kiedy potrzeba było pójść do pokoju na obiad, nie mógł go wkoło siebie obwinąć a żaden ze służących téj sztuki nie posiadał; uciekł więc w krzaki i trzymając pas w ręku, płakał. Żadne perswazye, nawet matki, skłonić go nie mogły do porzucenia swéj kryjówki tak, że musiała użyć ręki; ale i ta nic nie pomogła; dopiero jenerał Zakrzewski zawiązał mu pas i do stołu zaprowadził, chwaląc chłopca, że nie chciał wejść do uczciwego domu w stroju zaniedbanym. Po tém zdarzeniu chodził już w kolecie i szarawarkach, zapuścił włosy, tak jak większa część uczniów, gdyż na 40 konwiktorów 2 czy 3 tylko chodziło w ubraniu staropolskiém. Zapuszczenie włosów było jednak dla niego szkodliwe — głowa pokryła się wyrzutami...

O wiele ważniejszym od nauki był wpływ religijny. Zewnętrzne obrządki religijne i wiara w rzeczywistość cudów, nietylko za dawnych czasów ale i w chwili spółczesnéj, stały się w usposobieniu i przekonaniu Rzewuskiego rzeczą tak nieoddzielną od jego wyznania, że je w praktyce wyżéj cenił niż same dogmata nawet. Wrażenia dziecięctwa były najsilniejszą podstawą dla przyszłéj jego teoryi religijnéj.

Niedługo po owym wypadku z pasem pojechał z ojcem swoim do Warszawy dla zasięgnięcia porady lekarskiéj u Bergonzoniego, Lafontaine'a i Gagatkiewicza. Tu poznał młodziutki Henryk rymopisa Bielawskiego i Tadeusza Czackiego. Oprócz téj porady, niebardzo skutecznéj podobno, wywiózł z Warszawy guwernera księdza, emigranta francuskiego, jeszcze młodego, ale wielce uczonego i zwolennika jezuitów. Nazywał się on l'abbé Garnier i był przez dwa lata w domu pani Kozietulskiéj, udzielając nauk początkowych jéj synowi Janowi, który się późniéj wsławił pod Samo-Sierra. Młody Henryk już nie wrócił do Berdyczowa, lecz został znowu u babki w Wołomeczce w Mińskiém. Tu odzyskał zupełnie zdrowie, przestał się jąkać — może z porady doktorów? Bynajmniéj — z łaski prostéj baby Janczewskiéj, którą za czarownicę uważano... Uczył się dużo a szczególniéj „pożérał książki francuskie“, wśród których naturalnie pisma pani de Genlis i Berquina pierwsze miejsce trzymały. Naukę dziejów czerpał z Millota, którego dziełko wówczas za klasyczne uchodziło; w wolnych chwilach odczytywał Liwiusza po francusku. Pod koniec roku 1800 zabrała matka na Ukrainę umiejącego mówić po francusku jakby rodowitym językiem... Pomimo jednak, że tak krótko bawił na Litwie, potęga wrażeń dziecinnych tyle miała władzy nad umysłem Rzewuskiego, że w 60-tym

roku życia czuł się „czystym“ Litwinem i mówił, że ktoby go nie miał za Litwina, tenby mu krzywdę wyrządził [1]).

Niewiadomo mi, jak długo l'abbé Garnier był przewodnikiem kasztelanica witebskiego i czy mu towarzyszył do Petersburga, gdzie tenże zostawał przez lat trzy w sławnym podobno na owe czasy instytucie wychowawczym księdza Nicole; nieznane mi są również szczegóły urządzenia tego instytutu; to tylko napewno można powiedzieć, że prowadzono w nim wychowanie w duchu ściśle katolickim. Na dokończenie edukacyi wyjechał Henryk do Krakowa, gdzie bawił w roku 1806 i 1807, zostając pod przewodnictwem uczonego niemca Kolmanhubera.

W całym przebiegu wychowania i wykształcenia naszego kasztelanica uderzyć musi ta szczególniéj okoliczność, że prócz krótkotrwałéj bytności w szkole karmelitów berdyczowskich nie pobierał nauki w żadnym zakładzie stron swoich rodzinnych. A wszakże wówczas stan szkół w prowincyach, zostających pod panowaniem rosyjskiém, rozwijał się świetnie. Zreorganizowany uniwersytet w Wilnie, liceum założone w Krzemieńcu miały znakomite siły naukowe i licznych słuchaczów. Leżało to atoli w usposobieniu wielu magnatów naszych, ażeby o ile można unikać instytucyj krajowych i szukać światła tam, gdzie tłum szlachty i nieszlachty szukać go nie mógł. Rachowano może na wielostronność ukształcenia, na otarcie się w świecie wyższym i porobienie znajomości odpowiadających świetnemu stanowisku, lecz w rezultacie otrzymywano ogładę salonową i brak systematycznéj nauki; umysł młodzieży nasiąkał mnóstwem wiadomości powierzchownych i nieprzetrawionych, a metody naukowéj nie nabierał wcale. A nadto wykształcenie fran-

[1]) „Wspomnienia z XVIII wieku“ w Dzienniku Warszawskim, r. 1851, Nr. 110—117.

cuskie i ściśle katolickie było wówczas w modzie. Arystokraci nasi, zapatrując się na szlachtę francuską, która tłumnie do Polski się cisnęła, widziała w oświacie francuskiéj i zachowywaniu praktyk religijnych katolickich najważniejsze dźwignie zatrzymania swego wysokiego stanowiska, a zarazem najdzielniejszy środek odgrodzenia się od mas „półukształconych“ a przejętych duchem encyklopedycznym, duchem niewiary i sceptycyzmu. Reakcya religijna przeciw filozofii XVIII stulecia zaczęła się z początkiem naszego wieku coraz silniéj uwydatniać. Już nietylko duchowni tacy np. jak Barruel, ale i świeccy wydali wojnę „bezbożnym“ zasadom Woltera, d'Alemberta, Diderota i całéj falangi ich zwolenników. Po mglistych i deklamacyjnych utworach Chateaubrianda, który ze zwolennika Cabanisa przedzierzgnął się w obrońcę „ducha chrystyanizmu“, zaczęły wychodzić dzieła Bonalda i de Maistra, które bez deklamacyj, drogą rozumowania, chciały nietylko naprowadzić na tor prawdy katolickiej, lecz nadto wmówić w umysły, że nie było piękniejszéj chwili w dziejach ludzkości, nad wieki średnie. Równocześnie podnosili ciż autorowie pierwiastki arystokratyczne do znaczenia naturalnych przedstawicieli i przewodników każdego narodu i przez to zyskiwali sobie zwolenników w sferze tych, którzy do przewodniczenia mieli pewne pretensye.

Że Adam Wawrzyniec Rzewuski należał do téj sfery, o tém wątpić niepodobna. Nie chciał więc oddawać swego syna ani do gimnazyum krzemienieckiego, choć je ufundował JW. Tadeusz Czacki, ani do uniwersytetu wileńskiego, choć to była naczelna instytucya naukowa dla całéj Litwy i Rusi; wolał go oddać w opiekę naprzód księdzu Garnier, potém księdzu Nicole, a wreszcie niemcowi Kolmanhuber, a to dlatego zapewne, że już wtedy przebąkiwano sobie, iż zarówno Krzemieniec jak i Wilno oddychają duchem libe-

ralizmu... Trudno nie zauważyć, że późniejsza niechęć Henryka Rzewuskiego do szkoły krzemienieckiéj i uniwersytetu wileńskiego w znacznéj części w pierwiastkowém jego wychowaniu ma swe źródło, tak samo jak widoczny w pismach jego brak systematyczności, któréj przez dalsze studya nigdy już nie nabył.

Bądź co bądź 17-letni Henryk, ukończywszy swe urzędowe niejako wykształcenie, wrócił do kraju. Opowiadają, że przypadkowo przybył do miasteczka Litynia, gdzie trafił na zebranie szlachty. Ta, pomna „zasług“ ojca, wybrała młodego kasztelanica *surrogatem* (zastępcą) do sądu ziemskiego. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego wszedł nasz „chorąży“ do służby wojskowéj w armii, naprzód do sztabu jenerała Kamińskiego a następnie, przeszedłszy do ułanów [1]), odbył kampanią 1809 roku, tę „kwiecistą tryumfalną przechadzkę dzieci wracających w rodzinne zagrody“, jak ją nazywa Aleksander Fredro, który również w drugiéj jéj połowie brał udział. Dodawszy jeszcze Kazimierza Brodzińskiego, który podobnie jak Fredro, od kampanii austryackiéj rozpoczął swój żołnierski zawód, by go dopiero po upadku Napoleona zakończyć, otrzymamy trzy nazwiska pisarzów w różnym stopniu znakomitych, co chrzest ognia odebrali w 1809 r., podczas gdy Cypryan Godebski do kresu swego życia wtedy dobiegł, poległszy w bitwie

[1]) K. W. Wójcicki zarówno w Bibliotece War. (1866, II, 155) jak i w wielkiéj Encyklopedyi Orgelbranda podaje z notat Rzewuskiego wiadomość, że tenże służył w 9 pułku ułanów, ale takiego numeru nie było wcale w wojsku Ks. Warszawskiego w 1809, ani w początku ani nawet w końcu kampanii, jak to przekonać się łatwo z wykazu pułków w „Rysie historycznym kampanii 1809 r.“ w Przeglądzie Europejskim (1862 tom II, str. 366, 684), u Skarbka, we Wspomnieniach Fredry.

pod Raszynem. Henryk Rzewuski nie miał jednak w sobie wojowniczego ducha, gdyż po skończeniu kampanii austryackiéj, dosłużywszy się stopnia porucznika, wziął dymisyą i wrócił w strony rodzinne.

Od téj chwili rozpoczyna się życie bez wytkniętego celu, przepędzane w ustawicznych niemal podróżach, które dowodziły i ducha żądnego rozmaitości i umysłu żywego i nudy nieodstępnéj. Rzewuski, jak wielka liczba naszéj młodzieży arystokratycznéj, nie wiedział poprostu co począć ze swojemi zdolnościami i ze swoim majątkiem. Tradycya domowa przekazywała im wspomnienia wysokich urzędów, piastowanych przez ich przodków jeszcze przed laty kilkunastu; mówiła im o wielkiém znaczeniu magnatów w Rzeczypospolitéj, przypominając, że byli „królewskiemi dziećmi...“ Wychowanie zagraniczne, które odbierali, nie mogło im dać poznać zmienionych w kraju stosunków i nie przygotowywało bynajmniéj do spełnienia jakichś posług obywatelskich, coby z dawniejszemi tradycyami zaledwie słabe miały podobieństwo. Co więcéj sądzono, że wraz z reakcyą religijną, musi nastąpić podobna reakcya społeczna i polityczna, która wszystkie dawniejsze stosunki, ruchami rewolucyjnemi wzburzone, lub rozerwane, nanowo przywróci... Lata mijały, wiele się rzeczy zmieniało; ale stary porządek przeszedł już w dziedzinę faktów minionych. Małe wykształcenie polityczne, a wielkie pretensye społeczne nie dozwalały wielu naszym historycznym rodom widzieć jasno. Mielić oni wprawdzie przed sobą takie wzory jak Czartoryskich, Ossolińskich, Czackich, co wśród zmienionych okoliczności potrafili wybrać dla siebie sferę pożytecznéj działalności już to na polu wychowania publicznego już też w piśmiennictwie; ale były to wzory zbyt mozolne do naśladowania... Dawniéj nie potrzeba było tylu zachodów, mozołu i pracy umysłowéj, ażeby zająć wydatne

w społeczeństwie stanowisko. Jakżeż więc mogły możne rody odrazu przywyknąć do trudów i ciężkich poświęceń dla doścignienia tego, co poprzednio majątkiem tylko i umiejętném zaskarbieniem popularności osiągnąć się dawało?...

Były wprawdzie i inne środki pożytecznéj pracy dla kraju, np. zajęcie się rolą i losem włościan; lecz ród „królewiąt“ nie miał ku temu ani usposobienia, ani uzdolnienia i cały trud około zarządu majątkiem rządcom i dzierżawcom zostawiał. Za czasów Napoleońskich służba wojskowa, dając możność szybkiego odznaczenia się, ściągała dość liczny zastęp młodzieży arystokratycznéj, ale nie ze wszystkich stron dawnéj Rzeczypospolitéj. Za to w niektórych okolicach młodzież weszła na ślizką drogę dworszczyzny nowego pokroju... Zawód atoli wojskowy nie trwał długo, a dworszczyzna była już symptomatem życia bez celu. Dla wielkiéj więc części młodzieży bogatéj, a rodem znakomitéj, pozostało bagno życia ze wszystkiemi jego zaraźliwemi wyziewami. Nuda pchała do gonienia za rozrywkami i zmuszała do ciągłego włóczenia się po Europie...

Henryk Rzewuski, który nie darmo był krewnym sławnego emira Wacława, co się błąkał po pustyniach Arabii i gruchał w namiocie lady Estery Stanhope, — nie mając przed sobą żadnego programu postępowania, a nie czując wielkiéj skłonności do wojaczki, nie mógł oczywiście wysiedzieć na miejscu. To téż ledwie powrócił w strony rodzinne, zaraz się zaczął w podróż wybierać. Wyjechał do Szwajcaryi i tam, zapewne nie bez wycieczek do inszych krajów sąsiednich, przebył ośm miesięcy. Wracając do domu w roku 1811, przejeżdżał przez Kraków, gdzie nie zamierzał bawić dłużéj nad dni kilka. Ale ten stary gród — jak powiada — wówczas był tak wesoły, tak pełen nadziei, że nosił na sobie urok młodości. Był to rok pełen spokoju; a Kraków wskutek kampanii 1809 r. przyłączony został do Księstwa

Warszawskiego. Nowe życie wstąpiło w jego mieszkańców. Dwudziestoletni kasztelanic od tygodnia do tygodnia odkładał swój wyjazd tak, że całą zimę w Krakowie przepędził. Zajmujący jest zarys ówczesnego salonu, podany nam przez Rzewuskiego. „Trudno było znaleść towarzystwo lepiéj dobrane; kobiéty były piękne i starannie wychowane, obywatele gościnni i poważni, młodzież waleczna i obyczajna, uczeni towarzyscy i bez pedantyzmu, urzędnicy ludzie dostatni, dobrze urodzeni, służyli dla wywiązania się z obowiązków obywatelstwa, a nie dla chleba; księża pobożni bez fanatyzmu. Prawdziwie Kraków był rajem w owéj porze; a jak się w nim bawiono! Pełno było domów otwartych, gośćmi jak nabitych, gdzie *jedli, pili i tańcowali* do upadłego. Wyjąwszy piątki i soboty codzień gdzieś bal, a w niedziele w *szaréj kamienicy*, kasyno. Gdybym dożył lat przedpotopowych, nigdybym zapomnieć nie mógł, ile to chwil przyjemnych przepędziłem w domu wówczas prefekta krakowskiego Wodzickiego, męża tak słusznie słynnego z nauki, światła i cnót; albo u jenerała Mokronowskiego, owéj relikwii dawnego honoru, którego żona dowcipem i wdziękami przypominała świetne wykształcenie Wersalu; albo u Włodzimierza Potockiego, tego bohatera w kwiecie młodości zmiecionego; albo u Michałowskich, gdzie każde słowo wyrzeczone nosiło piętno dowcipu i gdzie tyle szczegółów nasłuchałem się od Markowskiego o życiu prywatném cesarzowéj Józefiny, a tyle ciekawych spostrzeżeń filozoficznych od Jacka Przybylskiego; albo u jenerała Kniaziewicza, żywéj historyi legionów, quorum pars maxima fuit, albo u pani Bzowskiéj, w któréj domu tak wdzięcznie się objawiała poczciwa staropolska obyczajność“ [1]).

Wszystkie głośne zabawy przerwał adwent, gdyż kar-

[1]) „Nie bajki“. Petersburg 1851, str. 1, 2.

ność praktyk kościelnych istniała w Krakowie w całéj sile. Aż do Bożego Narodzenia zatém trzeba było zapomnieć o balach i kasynach, a wynaleść inny rodzaj zabawy. Posłuchajmy, jak go opisuje Rzewuski. „U pani Grodzickiéj, siostry tego sławnego Jabłonowskiego, przezwanego *Murzynkiem*, który zginął wydzierając Murzynom zbuntowanym Haiti, jednéj z najrozumniejszych dam, jakie mnie w ciągu mojego życia spotkać się zdarzyło, zbierano się na *sekretarza*. Niema gry, jeżeli towarzystwo jest dobrane, gdzieby dowcip więcéj się mógł objawiać. Jenerał Weissenhof, Włodzimierz Potocki i sama gospodyni (Grodzicka) szczególnie się odznaczali w tych szermach umysłowych. Często obok wytrysku dowcipu, myśl głęboka jawiła się samorzutnie; często w formie przyzwoitego żartu, młodzieniec ostrą naukę odbierał w odpowiedzi damy na nieco zuchwałe pytanie. Oprócz tych gier bywały inne mniéj pracowite dla umysłu a nie mniéj wesołe. Z kolei po domach, które między siebie porozbierały dni tygodnia, wystawiono *szarady w pantominach*, w których nieraz Kitel rubasznym dowcipem serdecznie całe towarzystwo rozśmieszał, — albo téż *wypadki historyi kraju*; nawet nie gardzono *ślepą babką*, *gotowalnią*, *cenzurowanym*. Bawiono się dobrze, bo wszelka miłość własna, chęć zacierania innych i zdradliwa złość towarzyska były wygnane“.

Jenerałowa Mokronowska, córka księcia wojewody wołyńskiego, umiała wielce ożywiać owe niewinne zabawy i raz podała projekt, żeby każdy z gości opowiadał coś takiego, coby jeszcze w książkach nie było zapisane, już to z własnego, już téż z obcego życia. Wówczas to opowiadano sobie cudowne historye o djabłach i upiorach, o karlikach wychodzących z pod podłogi, o brylantach wielkości talerza, i tym podobne, co Rzewuski późniéj pomieścił w swoich „Nie-bajkach“. Z tych opowiadań możemy wno-

sić o poziomie umysłowym osób, które wówczas w Krakowie ton nadawały. Nie będzie podobno rzeczą zbyteczną, gdy tu przytoczę charakterystykę osób biorących udział w wykonaniu projektu jenerałowéj Mokronowskiéj, charakterystykę podaną przez Rzewuskiego. Dopełnimy sobie tym sposobem ogół towarzystwa, z którym kasztelanic nasz zapoznał się w Krakowie r. 1811. Był więc przedewszystkiém pan Soplica, cześnik parnawski, którego umysł niewycieńczony czytaniem, ale pokrzepiony doświadczeniem, miał wszystkie cechy świeżości; był mało co młodszy od niego kolega w konfederacyi barskiéj Wojciech Morsztyn; był daléj Józef Sierakowski, mąż wielkiéj nauki, niegdyś sekretarz poselstwa polskiego w Sztokholmie, Grodzicki, radca prefektury, małżonek owéj gościnnéj damy, u któréj grano w sekretarza, pełen dowcipu i „niespodzianości“; ksiądz łańcucki, infułat Morżanowski, najmilszy i najweselszy kapłan; Wężyk, spadkobierca majątku i rękopismów Kołłątaja; Kuropatnicki, kasztelanic bełski, niegdyś rotmistrz kawaleryi narodowéj, który wszystkie towarzystwa uprzyjemniał słodyczą obyczajów i wdzięczną gawędą; Popiel, świeżo wrócony do rodzinnéj ziemi z wojny hiszpańskiéj; Klonowicz, który przed rewolucyą dwadzieścia kilka lat służył w wojsku francuskiém, jedyny Polak, co do Koblencyi emigrował, wierny przysiędze, jaką był wykonał królowi; co w nim było osobliwszego, oto, że nie cierpiał Napoleona, bo go miał za przywłaszczyciela praw Burbonów do tronu francuskiego i o to się ciągle sprzeczał z rodakami. Był to wielce miły staruszek; usta mu się nie zamykały, kiedy o Wersalu mówił, a zwłaszcza o piękności Maryi Antoniny, a co dziwniejsza, chociaż całą młodość przepędził we Francyi monarchicznéj, chociaż jego zdania polityczne były niezgodne z opinią, poślubioną w naszym kraju: na wszystkie wszakże wypadki europejskie patrzał ze stanowiska pol-

skiego, co mu dawało urok najśmieszniejszéj oryginalności, A pomiędzy damami wzrok pomimowoli zatrzymywał się na pani Grodzickiéj, Michałowskiéj i Mokronowskiéj [1]).

Po kilkomiesięcznym pobycie w Krakowie, gdzie się zapoznał, jak wiemy, z tylu przedstawicielami wieku XVIII, przebył Rzewuski pięć lat przeszło w kraju. Niewiadomo, jak się zachował wobec kampanii 1812 roku i jakie wogóle były jego zajęcia przez ten przeciąg czasu, bardzo ważny zarówno dla narodów europejskich jak i dla rozwoju młodzieńczego umysłu; to tylko pewna, że nieraz zwiedzał Petersburg. Dopiero po upadku Napoleona i ustaleniu się św. przymierza, wyjechał kasztelanic witebski w roku 1817 znowu za granicę. Wówczas to zwiedził Niemcy, Francyą, Włochy, Anglią i Turcyą. Najdłużéj bawił w Paryżu, gdzie przez lat trzy (do roku 1822) uczęszczając na kursa wydziału filozoficznego, prawa i literatury, słuchał słynnych wykładów Cousina i Villemaina. Nie samo przecież uzupełnienie braków dawniejszego wykształcenia było celem jego pobytu w nadsekwańskim grodzie; porobienie znajomości w wyższym świecie paryskim zajmowało go również. Od niego samego dowiadujemy się, że w r. 1821 zawiązał ścisłe stosunki z kilku członkami ciała prawodawczego, zpomiędzy których wymienia barona Turckheim, deputowanego z Alzacyi [2]). Przytoczyć tu także potrzeba jako rys dodatni, że nie zapomniał odwiedzić w Paryżu swego niegdyś guwernera l'abbé Garnier i z uczuciem wdzięczności złożył wizytę pani de Genlis, któréj pisma tak wiele chwil młodości jego uprzyjemniły i nazawsze miłe o sobie zostawiły wspomnienie.

Pierwsza podróż włoska przypada na rok 1822. Z jéj

---

[1]) Nie-bajki, str. 3.

[2]) W przypiskach do „Łaski i przeznaczenia", tom II, 99.

szczegółów znany mi jest jeden tylko, że w Palermo zwiedził Rzewuski szpital szalonych, gdzie z wielkiém podziwieniem ośmiu ich tylko znalazł, a między niemi jednego-jedynego furyata [1]).

W rok potém wrócił do kraju, lecz na jedném miejscu długo siedzieć nie mógł; czczość życia, brak zajęcia, przykre stosunki krajowe wypędzały go z okolic rodzinnych; jakoż już w r. 1825 widzimy go towarzyszem Mickiewicza w kilku wycieczkach po Krymie. Krótkotrwała ta znajomość z niezbyt jeszcze głośnym naówczas poetą, którego poezyj zapewne Rzewuski jeszcze nie znał, nie mogła wywrzéć żadnego nań wpływu. Czas dopiero późniejszy zbliżył ich do siebie i wywołał u Rzewuskiego niekłamane dla mistrza uwielbienie, któremu bardzo długo a może nawet do śmierci wiernym pozostał. W tym samym roku utracił ojca, który umarł w Pohrebyszczach na Wołyniu. W dwa lata potém ożenił się z Julią hrabianką Grocholską i wyjechał z nią do Petersburga, gdzie się często z Mickiewiczem spotykali [2]). Było wówczas w stolicy cesarstwa grono Polaków, którzy częściowo lub całkowicie stali się z języka i ducha pisarzami rosyjskimi; pomiędzy nimi wybitne miejsce zajmowali Tadeusz Bułharyn, Józef Sękowski i Józef Przecławski. Kółko to, w którém i Mickiewicz się obracał podczas pobytu w Petersburgu, częste zwodząc spory, mianowicie z Józefem Sękowskim, łączącym dowcip z zarozumiałością, oddziałało bezwątpienia znacznie na ustalenie się poglądów

[1]) Tamże, str. 100.

[2]) Wiadomość podana w „Kursie literatury polskiéj“ Nehringa, jakoby Mickiewicz improwizował Samuela Zborowskiego na obiedzie u hr. Henryka Rzewuskiego, jest mylna; improwizacya ta odbyła się u Adama Rogalskiego, jak czytamy w Urywku z Pamiętników M. Malinowskiego w „Kronice Rodzinnéj“ z r. 1875.

Rzewuskiego, wyrobionych już kierunkiem wychowania i sposobem myślenia rodziny.

Drugim ważnym faktem z pożycia w Petersburgu było zbliżenie się z mistykami. Reakcya religijna, przechodząc różne fazy, nie mogła się zatrzymać przed tajemniczemi granicami krainy duchów; nie mogła pominąć milczeniem ważnego pytania o stosunku téj krainy z globem ziemskim. W rozmaitych sferach, rozmaicie na to pytanie odpowiadano. Umysły trzeźwiejsze poprzestały na zaznaczeniu istnienia jakiegoś tajemniczego związku, nie wdając się w opisy szczegółów i w ocenę mniemanych faktów, dowodzących niby naocznie, jakiego to rodzaju stosunki łączą ludzi z duchami. Umysły atoli żywsze, z silniejszą wyobraźnią, nie mogły traktować téj sprawy na chłodno; brały ją do serca, miewały objawienia, doświadczały cudów i starały się wyrwać zobojętniałych z letargu duchowego i ukazać im rzeczy nadzwyczajne. Sfery arystokratyczne i rządowe w cesarstwie lgnęły do mistycyzmu, zwłaszcza od czasu zbliżenia się baronowéj Krüdener do cesarza Aleksandra I (w r. 1814), który tak szczérze wierzył w jéj objawienia i wyższe natchnienie, że nieraz podobno łzami się zalewał, gdy słyszał o nieszczęściach grożących światu. Spółcześnie z baronową działały na wrażliwy umysł cesarza odwiedziny kwakrów, z którymi samotnie długie nieraz godziny na modlitwie i rozmowie spędzał. Dążność, protegowana u góry, rozpowszechniała się wśród tych sfer, które wyczekują tylko wskazówki, ażeby pójść za nią już to szczérze, już téż obłudnie. Po śmierci cesarza Aleksandra I mistycyzm, nie podsycany zachętą, gasł powoli, ale w duszach kilku Polaków znalazł jeszcze bardzo wiele palnego materyału.

Henryk Rzewuski miał sposobność wcześniejszego niż kto inny zapoznania się z mistycznym kierunkiem, gdyż od lat niemal dziecinnych spotykał się z ludźmi, co żyli pra-

wie całkowicie w świecie tajemniczym, zaziemskim. Jeszcze w roku 1805 w domu Augusta hrabi Ilińskiego poznał *Grabiankę*, możnego niegdyś z urodzenia i majątku obywatela, który opuściwszy kraj dla uprawy nauk tajemniczych, został mistrzem loży illuminatów w Awenionie. Tam wysokiemi cnotami tyle był sobie zjednał szacunku, że nawet wśród najkrwawszych scen rewolucyi, uniknął prześladowania. Dopiero Napoleon zmusił go szukać opieki u cesarza Aleksandra. Podczas pobytu Rzewuskiego w konwikcie księdza Nicole, Grabianka, świeżo z Francyi przybyły, był podobno, jak to mówią, na rękach noszony. W roku 1814 widywał Rzewuski w towarzystwach petersburskich *Poszmana*, polaka, zawołanego mistyka i mistrza filozofii hermetycznéj. Dowiedziawszy się, że hr. Henryk przybył z Wołynia, dopytywał się go Poszman o Franciszka Hińcza, szanowanego powszechnie obywatela, z którym utrzymywał listowne stosunki i mówił mu niektóre o sobie szczegóły. Nauki jednak swojéj nie chciał rozgłaszać i nie miał zwolenników, lubo bywał w znakomitych domach petersburskich. Posiadał on, jak mówi Rzewuski, tajemnicę alchemików wieków średnich, możności przemienienia złota w płyn chłodny. Powołany od Waleryana Strojnowskiego, wówczas senatora cesarstwa, który w bardzo podeszłym wieku zabierał się do stanu małżeńskiego z młodą dziewicą, tym swoim złotym płynem wrócił mu poniekąd młodość, bynajmniéj nie narażając jego zdrowia, gdyż Strojnowski po tém zdarzeniu żył jeszcze lat kilkanaście w pełnéj czerstwości...

Zapoznał się daléj Rzewuski w Petersburgu ze Studzińskim, a zaprzyjaźnił się ze sławnym Oleszkiewiczem, z którym codziennie rozmawiał, nieraz do późnéj nocy, sam na sam i z rozrzewnieniem przypomniał sobie „sesye oleszkiewiczowskie“, do których bywał przypuszczany. Na jednéj z nich czytał Studziński swoję rozprawę: *O stosunkach*

znaku naszego zbawienia ze wszystkiemi naukami ludzkiemi, pismo, jak twierdzi Rzewuski, głębokie, wielce zajmujące i pełne widoków nowych. Oleszkiewicz, podług Rzewuskiego, był to umysł intuicyjny, czujący wstręt do wszelkich formuł umówionych, a naukę swoję kładł pod stopy krzyża. Wnioski jego zawsze niespodziane, często trafne, wydawały się niejednemu dziwaczne dlatego, że do ich ogłoszenia nie używał Oleszkiewicz żadnéj metody. I tak np. oddawał się pracowicie zoologii, ale bynajmniéj nie sposobem naukowym, rozważając jedynie stronę *moralną* zwierząt, o któréj cuda umiał opowiadać. Utrzymywał nawet, że koń, zwierz jego ulubiony, tłómaczy myśl swoję czémś podobném do mowy i że on doszedł do zrozumienia téj mowy. Razu jednego, Rzewuski, przechadzając się z nim w nocy po ulicach miasta, był świadkiem, jak koty z rozmaitych domów do niego się zbiegały... Rzewuski pobierał, że tak powiem, formalną naukę filozofii mistycznéj od Oleszkiewicza i wymienia pięciu obywateli, którzy z nim razem brali w niéj udział. A co do głębokich myśli, jakie miał rozwijać Oleszkiewicz w rozmowie i pismach, przytacza przykład Mickiewicza, co go umiał zrozumieć, „kiedy myśl jednego z celniejszych ustępów swojéj epopei (Pana Tadeusza) o *matecznikach* wyczerpnął z rozmowy, jaką miał z nim o skonie przyrodzonym zwierząt“ [1]).

Lekceważenie rozumu, wiara w potęgę *intuicyi* i w stosunki ciągłe świata duchowego ze światem ludzkim były bezwątpienia bezpośrednim skutkiem obcowania ze Studziń-

---

[1]) Mnóstwo innych interesujących a w każdym razie bardzo charakterystycznych szczegółów o wymienionych tu mistykach i niektórych innych podaje Rzewuski w dziełku p. n. „Teofrast Polski“ w tomie I od str. 206—241. Są to cenne kartki, mogące posłużyć do zobrazowania jednéj ze stron umysłowości naszéj w pierwszych 30 latach XIX stulecia.

skim, Oleszkiewiczem, Poszmanem i innymi mistykami różnych odcieni. Wczesne zapoznanie się z pismami Józefa de Maistre'a i Bonalda dało pewną niby większego znaczenia podstawę luźnie zbudowanym gmachom mądrości nadziemskiéj.

W roku 1829 nastąpił obowiązkowy niejako wyjazd młodego małżeństwa za granicę. Blizko cztery lata przepędziło we Włoszech, zjeżdżając co zimę do Rzymu, gdzie towarzystwo polskie zbierało się zazwyczaj w domu hrabstwa Ankwiczów przy ulicy Mercede. Najbardziéj może ożywiona a dla przyszłego zawodu literackiego kasztelanica stanowcza była zima z r. 1830 na 1831. Bawili wówczas w Rzymie prócz wielu innych: Mickiewicz i ks. Stanisław Chołoniewski, z Rzewuskim spokrewniony, Piotr Aigner sławny swojego czasu architekt, Stefan Garczyński, wówczas bardzo mało znany ale gienialny młodzieniec. Nie potrzebuję się rozszerzać nad określeniem bogactwa, rozmaitości i powabu rozmów, jakie w tak dobraném towarzystwie prowadzono. Dla Rzewuskiego, ożywiającego zebrania ostrym, sarkastycznym dowcipem, zima spędzona wśród takiego otoczenia podwójne miała znaczenie: zapoznał się przedewszystkiém dokładnie z nową tak zwaną romantyczną polską poezyą i odebrał pierwszy impuls do czynnego wystąpienia na arenie literackiéj. Kasztelanic witebski, otrzymawszy wychowanie francuskie i przebywając zazwyczaj w kołach scudzoziemszczonych, nie miał zapewne ani czasu ani sposobności do poznania nowych utworów literatury krajowéj. Kilkakrotne zetknięcie z Mickiewiczem, mianowicie w Petersburgu, gdzie wieszcza naszego spotykały ciągłe owacye, musiały go już bezwątpienia ochłodzić względem czczonych mistrzów francuskich i wskazać obficie bijące źródło świeżych natchnień; ale dopiero ściślejsze zbratanie się z przedstawicielem nowéj literatury dało mu poznać całe jéj bogactwo

i wpłynąć na zmodyfikowanie sądu o polskiém piśmiennictwie, które może za zupełnie niegodne bliższéj uwagi poczytywał. Że tak być mogło, że przypuszczenie moje nie jest pozbawione pewnéj podstawy, można się przekonać z następnéj okoliczności. Hrabstwo Ankwiczowie, których ukształcenia zwykłego w wyższych warstwach towarzyskich niepodobna podejrzewać, dowiedzieli się o wielkim poecie litewskim dopiero w roku 1829. A skąd? — wcale nie z gazet polskich, ale z listu znajoméj swojéj ze Lwowa — pani Puszetowéj [1])... Życie hrabstwa Ankwiczów, jak ich wychowanie, w głównych rysach było tożsamo co i hrabiego Henryka; tak samo bez celu, tak samo w ciągłéj podróży dla zabicia godzin, długich niezmiernie. Niema przecież żadnego powodu przypuszczać jakiegoś wyjątkowego zainteresowania się piśmiennictwém polskiém w hrabi Henryku dlatego tylko, że późniéj został znakomitym pisarzem.. A przypuściwszy, że jego stosunek do literatury polskiéj niczém się nie różnił od obojętności większéj części rodzin magnackich, pojmiemy ten widoczny brak znajomości dawnych autorów polskich, jaki widzimy w pismach hr. Henryka i ten nieumotywowany a zgryźliwy sąd o działalności Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskich, który zapewne na podstawie przemowy Mickiewicza „do krytyków i recenzentów“ i ustnych jakichś oskarżeń wydał...

Z drugiéj strony Rzewuski zagrzany zapałem, jaki umiał wkoło siebie rozniecać Mickiewicz, powziął myśl przyłączenia się kiedyś do szczupłéj liczby pisarzów polskich, ażeby tym sposobem spełnić obowiązek obywatelski a może stanąć na czele inteligencyi krajowéj, kiedy nie można było osiągnąć stanowiska na czele narodu. Istnieje dwojaka wersya sposobu powstania sławnych „Pamiątek

---

[1]) „Biblioteka Warszawska“, 1871, I, 451.

Soplicy". Powszechnie opowiadają, że Mickiewicz słysząc Rzewuskiego mówiącego o typowych postaciach dawnéj Rzeczypospolitéj, tak był zachwycony malowniczością osób i talentem mówcy, iż zachęcił go do spisania swych opowieści, temi słowy: „Pisz, jak mówisz, a będziesz pierwszym autorem Polski". Sam atoli Rzewuski trochę inaczéj rzecz tę opowiada. „W roku 1830 — mówi on — znajdując się w Rzymie, zbliżyłem się do kilku rodaków uczonych, znajdujących się w témże mieście i otworzyłem z nimi towarzyskie stosunki. Pokój, w którym świat zostawał a którego przerwy nic zwiastować nie mogło, dozwalał nam swobodnie oddać się naukom. Ułożyliśmy między sobą w bibliotece watykańskiéj dawnéj polskiéj szukać pamiątki. Przyszła mnie natenczas myśl żartobliwa podkraść się pod styl staroświecki, by kilka obrazów świeżo utworzonych napisać dla rozrywki towarzystwa jako wypis ze starego rękopismu. Uczeni rodacy poznali się na żarcie, ale te obrazki, które nigdy do druku przeznaczone nie były, poprzepisywali między sobą" [1]).

Jakkolwiek rzecz się ma z pobocznemi okolicznościami, niezawodném jest w powyższém oświadczeniu to, że Rzewuski w roku 1830 pisarzem jeszcze być nie zamierzał. Mogła mu przemknąć myśl, że kiedyś nim zostać może; ale samo dziewięcioletnie zapomnienie o rękopiśmie „Pamiątek" świadczy dowodnie, że autorstwo nie nęciło go wcale naówczas.

Przebywszy podczas wypadków roku 1831 we Włoszech i spędziwszy następną zimę w Rzymie, już bez Mickiewicza, ale w towarzystwie księdza Lacordaire, księdza Lamennais i hrabiego Montalemberta, powrócił wreszcie Rzewuski w roku 1832 do kraju i pierwszy raz podobno

[1]) „Tygodnik Petersburski", 1840, Nr. 75.

pomyślał o obowiązkach obywatelskich nie podług normy XVIII stulecia, ale wśród zupełnie prawie zmienionych stosunków. Brat jego Adam był w armii rosyjskiéj; on sam przyjął wybór szlachty powiatu żytomierskiego na marszałka, którym był przez lat cztéry, co mu tém łatwiéj przychodziło, że Cudnów, miejsce jego zamieszkania, zaledwie o mil kilka był oddalony od Żytomierza. Wówczas to przypatrzył się zblizka szlachcie wołyńskiéj i zbadał tajemnice życia tamecznego obywatelstwa. Wnioski, jakie z kilkoletniéj obserwacyi wyniósł, były dla szlachty nadzwyczaj niepochlebne, a kiedy je ogłosił w pierwszym tomie „Mieszanin“, wywołały okrzyk boleści i oburzenia pełen. Niepodobna mi tu wchodzić bliżéj w rozbiór słuszności lub niesłuszności zarzutów zrobionych przez Rzewuskiego szlachcie wołyńskiéj, témbardziéj, że nie mam prócz prostych zaprzeczeń lub oburzeń, dostatecznéj liczby faktów, ażebym ówczesny stan społeczny Wołynia sam mógł nakreślić.

Tymczasem zaś, dla charakterystyki Rzewuskiego, wypada tylko poznać, jak téż jemu stan ten się przedstawił i jak go on sobie tłómaczył. Otóż on zauważył w swojéj prowincyi straszny upadek ducha obywatelskiego, serwilistyczne usposobienie wśród tych, co powinni byli stać na straży godności narodowéj, wyjałowienie umysłów młodzieży, bawiącéj się w furmanów i facyendarzy; nizki, rozpaczliwy stan oświaty w sferach niby wyższych, brak przekonań i brak charakterów. Wybory na urzędników ziemskich, zostawione w ręku szlachty, wydały mu się podobnemi do starożytnych saturnalij. „Nigdzie świetniéj — powiadał — nie mogłaby się okazać całkowita powaga godności obywatelskiéj, a nigdzie śmieszniéj i nikczemniéj nie zdradza się *chorowitość ducha* i *demoralizacya publiczna*. Prawdę powiedziawszy, roztropniejsi i możniejsi obywatele, zniechęceni niebezpieczeństwem znajdowania się choć chwilowego wśród

zgrai źle wychowanéj i namiętnéj, po większéj części uchylają się od wyborów, gdzie wedle ich mniemania nie mogą pochlebiać sobie, iż mieć będą stanowcze wpływy. Mało jest takich, co wierni swojemu powołaniu, czują, że nie godzi się opuszczać swoich ziomków dla oszczędzenia swojéj miłości własnéj, i że są wypadki, w których obywatel jest obowiązany narazić się na nieprzyjemności najwięcéj dotkliwe, chociaż nawet bez rękojmi, że odrazu z tego poświęcenia wywiąże się pomyślny skutek. *Sobkostwo* ludzi roztropnych, choć złém mniéj widoczném, nie jest mniejszém od zapamiętałości półgłówków, którzy owładli wybory". Kandydaci zaś na marszałków lub wogóle urzędników ziemskich, to albo ludzie z zaszarganém imieniem lub fortuną, albo spekulanci na liwerunki, albo niesumienni i lękający się wykrycia nadużyć sędziowie, albo puste głowy, co się chcą tytułem lub krzyżykiem podnieść w opinii krajowéj. Jakżeż ci ludzie, którzyby nie powinni mieć ani jednego głosu za sobą, dochodzą jednak do upragnionego celu? Oto zyskują sobie przedewszystkiém krzykaczów wyborowych, nalewają i nadziewają im kiszkę, rozpuszczają plotki i potwarze na mężów wyższego urodzenia i wykształcenia, starają się być popularni, mieć dobrego kucharza, całować bracią szlachtę w oba policzki, dużo obiecywać każdemu, zadłużać się a żyć wystawnie i w końcu zostają prezesami, marszałkami itd. Głupota łączy się tu z krzywoprzysięstwem, brak ukształcenia walczy o lepsze z poziomemi namiętnościami [1]).

Późniéj pisząc „Pazia złotowłosego", Rzewuski jeszcze bezwzględniéj i jeszcze namiętniéj osądził swoich spółobywateli w obrazie „Arcypelagu Skotostańskiego" [2]). Mie-

[1]) „Mieszaniny obyczajowe", tom I, str. 35 53.

[2]) Trzy ustępy poświęcił tu autor skreśleniu stanu tego arcypelagu, tom I, str. 261—320.

szkańcy tego „arcypelagu“ odznaczali się mianowicie długiemi uszami i kto je miał dłuższe, tém większego doznawał poważania. Ażeby pozyskać ich ufność, dość było „wyzuć się z wszelkiéj osobistéj powagi, z pierwszym lepszym ulicznikiem się bratać, wszelkiéj poufałości mu z sobą pozwalać, a nadewszystko mieć długie uszy“. Kalif nadał obywatelstwu ważny przywiléj w utworzeniu komisyi do podania żądań obywateli do tronu i różnych projektów, z których mógłby się dowiedzieć o potrzebach poddanych swoich; ale ten przywiléj nie wydał żadnego pomyślnego skutku, gdyż „odkąd go posiada Skotostan, te komisye nigdy się nie zdobyły na jakiś roztropny projekt, odnoszący się do rzeczywistych potrzeb kraju, ale tylko same bzdurstwa układały, które na żadną uwagę więcéj nie zasługiwały“. Kto tylko wystąpi przed nimi z roztropną radą, Skotostańczycy zaraz go znienawidzą i spotwarzą, a tych jedynie słuchają, co ich namiętnościom pochlebiać umieją. Jakkolwiek Babakan, urzędnik rządowy, nie ma prawa rozkazywać pasiwańtuchom (marszałkom) Skotostanu, to przecież ci nie śmieją nic przedsięwziąć bez jego zezwolenia. Owszem wszyscy obywatele Skotostanu, jakkolwiek względem siebie zuchwali, są względem Babakana i jego zaufanych podli do takiego stopnia, że jeden drugiego przed nim oskarża. Nic więc dziwnego, że ci obywatele mogli wysłuchać bez oburzenia następnéj mowy Babakana na wyborach: „Mości panowie! Wiem, że jesteście dla mnie niechętni, ale ja z tego drwię, bo mnie nie na to do was posłano, żebym się wam podobał, ale żebym was rozumu nauczył. Wy jakimi jesteście, takimi i zostaniecie, ale wasi potomkowie błogosławić będą moję pamięć, bo jeżeli zadaję sobie pracę wami rządzić, nie mogę w tém mieć innego widoku, tylko żeby waszych potomków uszczęśliwić, bo cóż innego mogłoby mię skłonić do opuszczenia tak miłego towarzystwa

stolicy, żeby się nudzić między wami w Panaryi, gdzie nie mam z kim żyć. Jestem bogatszy niż którykolwiek z waszych najmożniejszych obywateli; żaden z was nie ma żony tak pięknéj jak moja, ani pałacu takiego jak mój w stolicy; a to wszystko opuściłem, żeby waszego narodu następne pokolenie uszczęśliwić. Między wami jest wiele *osłosłuchów*; ich rozum szanuję i jestem dla nich życzliwym, dopóki będą mi posłuszni; ale zapowiadam, że jeżeli nie będą postępować po mojéj myśli, choć oślich uszów wiele, a u mnie tylko jeden róg bawoli, ja tym rogiem wszystkie te uszy przybiję do ściany. Widzicie, że wam się tłómaczę ze szczerością; a wy co na to?" W odpowiedzi na to zapytanie z różnych stron sali dał się słyszeć krzyk uwielbienia, ale z grupy osłosłuchów, gdyż ci co mieli uszy zwyczajne, w głębokiém pozostawali milczeniu. Cytrynka, przyszły pasiwańtuch, unosił się nad wymową Babakana. „Czy uważasz — odzywał się do swoich stronników — jak nasz satrapa i mądrze i miłosiernie przemówił, szkoda, że nie powtórzył tego, co powiedział".

A jednak ci Skotostańczycy tak niedołężni i tak nikczemni, są z natury waleczni, jak tego dają dowód w wojsku i w obcych krajach; toż samo powiedzieć można o ich rozumie, bo i ten na wierzch występuje, skoro tylko *przestają oddychać w atmosferze głupoty*. Ledwo się przetrą między obcymi, w zupełnie innych ludzi się przekształcają; z głupców, grubianów i tchórzów robią się światli, grzeczni, waleczni; nawet te długie uszy, z których się chlubią w Skotostanie, tracą, opuszczając zwykłe swe otoczenie... Co więcéj, nawet w samym kraju mało między nimi takich, którzyby, pojedyńczo brani, nie mieli zdania o rzeczach najzdrowszego, pojęcia o potrzebach swojego kraju najwłaściwszego, wiele światła i wiele nauki; ale gdy ci sami *zbiorą się w masę*, najsromotniejszych głupstw się do-

puszczają, które sami opłakują, jak tylko się rozejdą. Na wyborach Bóg wie, jakie niedorzeczności wygadują; prześladują tych, co prawdziwy okazują rozum; ale ledwie się zjazd rozwiąże, sami żartują z tego, co dopiéro z takim zapałem robili, gdyż rozum w okamgnieniu im powrócił. Ta masowa głupota, ta niewolnicza uległość względem satrapów stąd podobno pochodziła, że Skotostańczycy oddawna już przestali wybierać na pasiwańtuchów takich, co mają zręczność, stosunki w stolicy, zasługi w państwie i tę szlachetną, a nierzekomą odwagę, która nietylko daje się pogodzić z wiernością dla najwyższéj władzy, ale owszem służy jéj za rękojmią...[1])

Takiém wydawało się Rzewuskiemu społeczeństwo, wśród którego żył. Ukochać go serdecznie oczywiście nie mógł, usprawiedliwić nie umiał lub nie chciał, z lekceważeniem więc a nawet pogardą patrzał na tłumy, czując nieporównaną swą nad niemi wyższość. Przeszłość niedawna, którą poznał z opowiadań i żywych okazów, już przez to samo, że była odległą, przedstawiła mu się w świetnéj aureoli, zaćmiewającéj zupełnie obecność. Zwrócił więc wzrok swój w chwile ubiegłe i z lubością przypatrywał się widziadłom pamięci i wyobraźni. Spróbowawszy przez lat cztéry służyć społeczeństwu czynném wmieszaniem się w jego interesa, doznawszy zapewne wielu niepowodzeń, przypuściwszy, że społeczeństwo to nie ma już poczucia samoistności w sobie i wskutek tego nie umie ocenić samoistności jednostek wznoszących się ponad nie urodzeniem i rozumem; zraził się do niego, wycofał swoję osobistość z grona osłosłuchów, ażeby się oddać rozpamiętywaniu dzieł przodków tego wyrodnego pokolenia.

Ówczesna atmosfera duchowa sprzyjała wyrobowi ta-

[1]) „Paź złotowłosy,“ I, 275, 276.

kiego usposobienia. Panującą wprawdzie myślą chwil owych był zwrot do badania tak zwanéj „literatury kopalnéj“ w pieśniach i podaniach ludu, ale z tym zwrotem łączył się prawie nierozerwalnie kierunek historyczny. Od końca wieku zeszłego, w kierunku tym szło coraz więcéj ludzi; po Naruszewiczu i jego dopełniaczach, po Czackim, Ossolińskim nastąpił Lelewel wraz z nową metodą poszukiwania. Wydawano dokumenta, dyaryusze, pamiętniki; ukazał się okurzony z długoletniego pyłu Pasek. Prace poważne poprowadziły pod wpływem Waltera-Skotta do utworów lżejszéj treści: romanse historyczne stały się modne. Ścisła krytyka dziejowa musiała ustąpić miejsca poetycznemu uwielbieniu przeszłości.

Przyszło nawet do tego, że niektórzy widzieli poezyą jedynie w odtwarzaniu oblicza przeszłości. Z tém bezwzględném uwielbieniem dla form minionych, musiała się w końcu połączyć dążność do życzenia sobie powrotu tych form nietylko w ich pierwiastkach dodatnich, ale i ujemnych, których krytycznie nie rozbierano. Pierwotny romantyzm wskrzesił u nas również tę cześć dla przeszłości, nadając uczuciu i wyobraźni przewagę nad rozumem, ale właśnie dlatego był on zbyt kapryśnym w swoich upodobaniach, ażeby trzeźwiejsze umysły mógł zadowolnić. Jeżeli np. w utworach swych zbliżali się romantycy do pojęć religijnych, robili to więcéj dla podniesienia w pomysłach swoich strony uczuciowéj i fantastycznéj, niż dla propagowania zasad wiary. Dopiero po roku 1831 pojęcia wypiastowane przez de Maistre'a i Bonalda, a przyjęte w niektórych rodach magnackich, zaczęły powoli przenikać do innych sfer, zdając się zapowiadać reakcyą w łonie samego społeczeństwa. Romantyzm i powieści dziejowe utorowały drogę poglądom, jeżeli niezupełnie reakcyjnym, to przynajmniéj bardzo do nich zbliżonym, a wy-

padki krajowe w niektórych mianowicie punktach naprowadzały na myśl o ich praktycznéj użyteczności...

Rzewuski zanadto był wielkim panem, ażeby się poświęcić badaniom pieśni i podań ludowych, lecz natomiast zarówno urodzeniem, wychowaniem, jak i doświadczeniem życiowém był nader skłonny do poświęcenia się rozpatrywaniu przeszłości. Umysł jego żywy i niecierpiący spokoju zwrócił się do piśmiennictwa. Przypomniał sobie, że niegdyś przed dziesięciu laty był twórcą, czuł, że ma dosyć siły i talentu, ażeby nie pozostać w tłumie piszących: spodziewał się zapewne, że może stanąć na czele. Tym sposobem uczyniłby zadość swoim wyobrażeniom rodowym o przeznaczeniu arystokracyi: nie mogąc być pierwszym w życiu politycznem, stałby się pierwszym w literaturze. Wydrukowane bez jego wiedzy „Pamiątki Soplicy“, które wznieciły zapał i najpochlebniejsze o autorze wywołały sądy, dowiodły mu, że w jego nadziei nie było zbyt wielkiéj nierozropności.

II.

„Pamiątki“ były utworem swobodnego, ubocznemi względami nie skrępowanego i nie skrzywionego artyzmu: a miały w sobie i świeżość i powab nowości. Istniały już wprawdzie i przedtém próby odtworzenia niektórych stron życia polskiego w XVIII stuleciu, w jego prawdzie i z pewnym rodzajem miłości dla niego; ale były to tylko próby jedynie. „Dwaj Sieciechowie“ Niemcewicza, jako praca dorywcza, pomimo pięknych i charakterystycznych szczegółów, mogła się poprostu uważać za wskazówkę, że wiek XVIII da się przedstawić trochę inaczéj, niż go sobie wyobrażali czytelnicy „Przypadków Doświadczyńskiego“ lub też „Pana Podstolego“. „Listy Elżbiety Rzeczyckiéj“ a zwłaszcza „Dziennik Franciszki Krasińskiéj“ (przez Tańską) już nam dawały

poznać kilka postaci, lekko wprawdzie ale niemniéj udatnie narysowanych. Lecz i tu nie znajdowano tych rysów śmiałych, tych barwnych a nieraz trywialnych wyrażeń, które wybitną cechą naznaczały naszę burzliwą, sangwinicznego temperamentu szlachtę.

Badania téż historyczne nie miały najmniejszéj sposobności dostarczenia umysłowi innego pojęcia o społeczeństwie polskiém, niż je wypowiedziało stronnictwo reformy, które, zarzucając zwolennikom dawnego porządku rzeczy zamiłowanie anarchii, a wstręt do silnéj władzy państwowéj, w ich obyczajach upatrywało zabytki barbarzyństwa wieków, które się ani z oświatą europejską ani z nowemi potrzebami kraju zharmonizować nie mogły. Ogół więc inteligentny patrzał trzeźwo choć jednostronnie na niedawne dzieje swego narodu, widział wielkie wady rządu i ważniejsze niedobory charakteru społecznego; był téż całkowicie po stronie reformatorów, po stronie konstytucyi 3 maja, a przeciwko tym, których Zabłocki w „Sarmatyzmie“ wyśmiał.

„Pamiętniki Paska“ (1836 r.) pierwsze podobno usposobiły przyjaźniéj inteligencyą dla żywiołu staropolskiego. Pijatyki, burdy, ciemnota, zabobony, niezaradność w życiu obywatelskiém, nieszczęścia nawet krajowe wydały się mniéj wstrętne i mniéj bolesne, kiedy je słyszano opowiadane z werwą i swobodą dotąd niepodejrzywaną nawet w dawném naszém piśmiennictwie. Dążność ówczesna w literaturze do szukania barw jaskrawych, do wydobywania na wierzch cech miejsc i czasu, spotęgowała oczywiście wrażenie, jakie z czytania „Pamiętników Paska“ odbierano. Utwór ten znalazł niesłychaną liczbę czytelników i wydania jego następowały jedne po drugich; naśladowań, nieraz bardzo lichych, nie brakowało.

W trzy lata potém ukazały się „Pamiątki Imci Pana Seweryna Soplicy“. Autor ich nie należał bynajmniéj do

naśladowców Paska, gdyż, jak wiemy, pisał je o wiele dawniéj przed ich wydaniem, bo jeszcze w roku 1830; ale szczęśliwym instynktem trafił na jedyną drogę, która mogła dzieło jego do przybytku chwały zaprowadzić. Stanął na stanowisku człowieka spółczesnego opowiadanym wypadkom i miłującego aż do bałwochwalstwa swoje społeczeństwo a przedewszystkiém swoje czasy. Ta miłość, tak niezbędna dla artysty chcącego natchnąć czytelników lub widzów sympatyą dla swoich ideałów, kazała Soplicy pamiętać o wszystkich szczegółach, o wszystkich nawet drobnostkach czasów minionych, a każdemu jego słowu nadawała cechę głębokiego, niezmyślonego przekonania, że wszystko było najistotniejszą prawdą.

Takiego starca opowiadającego z miłością o swojéj młodości i o osobach, z któremi żył „po bratersku", słucha każdy z uszanowaniem i najmniejszém nawet słówkiem powątpiewania lub szyderstwa nie chciałby zamącić spokoju i pogody jego umysłu. Imci Pan Seweryn Soplica ani na chwilę nie tai się ze swém zamiłowaniem do dawnych czasów; wszystko w nich daleko rozsądniejszém, lepszém i świętszém... Chociaż bowiem nie uczono naówczas tylu wymyślnych nauk, co późniéj w uniwersytecie wileńskim lub w liceum krzemienieckiém, wiadomości przecież, jakich młodzieniec u ojców jezuitów nabywał, skierowały jego umysł wprost ku pożytkowi życiowemu lub ku natchnieniu duszy do spraw niebieskich; a wskutek tego czyniły ludzi praktycznymi i dzielnymi synami ojczyzny. Obyczaje były tak doskonałe, że je tylko uwielbiać i naśladować wypada; bo chociaż kto popełnił występek nawet, nigdy zatwardziałym nie bywał i uczyniwszy pokutę nagradzał skrzywdzonych, oczyszczał plamy swego sumienia i honoru poświęceniem jakiém niezwykłém, jak Bielecki, Kurdwanowski, Leszczyc lub Ciechanowiecki. Ci tylko, co liznęli oświaty za-

granicznéj, francuskiéj i we fraczek się przebrali, byli niegodziwcami i zdrajcami. Fraczkowi we wszystkich brudnych sprawach rej wodzili, a „jeśli się uwikłał w paskudztwo jaki nieopatrzny kontuszowy szlachcic, zawsze go do tego namówił frakowy dworak, pełen poloru i oświaty". Z fraczkowemi przyszedł do kraju „przebrzydły zagraniczny rozum", zburzył dawny gmach publicznego wychowania na Alwarze jak na skale oparty, a zaprowadził towarzystwo ksiąg elementarnych...

Religia tego starca była zbiorem formułek zewnętrznych; zasadzała się na chwaleniu Boga końcem ust, na klepaniu mechaniczném przepisanych pacierzy i odbywaniu praktyk religijnych. Wierzył on ślepo i bez najmniejszego rozbioru w to, co mu ksiądz mówił, i w to, czego nie mówił, a co wśród ciemnoty i braku ukształcenia jako zabobon do umysłu jego przystęp znalazło. Nadzmysłowe zjawiska, prognostyki, zamawiania, czary, były dla niego taksamo artykułem wiary, jak i dogmata przez Kościół do wierzenia podane; o tajemnicach wiary nie rozumował; a wszelkie w tym względzie pokuszenia, nietylko za zbyteczne, ale poprostu za szkodliwe uważał. Mówić pacierze i przerywać je dla zrobienia jakiéjś śmiesznéj uwagi, lub naganienia służącego, nic a nic nie ujmowało podług niego skuteczności modlitwie i zasługi modlącym się. Kiedy znany gwałtownik i rozpustnik starosta kaniowski, słuchając w kościele kazania, w którém ksiądz wyrzucał mu jego występki, nie brał przymówek do siebie i tylko oczy mrużąc, głową kiwał i w piersi bił się kułakiem, Imci Pan Seweryn Soplica budował się tém i wielkie powziął *uszanowanie* dla pana starosty, że tak *poczciwie* wierzył... Istotnie pan starosta gorliwie się modlił, bo sto rózeg kazał dać jednemu ze swoich paziów za to, że ziewnął raz podczas antyfony... Wołodkowicz, według księcia Panie Kochanku i naturalnie według Soplicy, zasłużył sobie

na miłosierdzie boże za to, że trzech heretyków w Słuczynie nawrócił, podczas kiedy czwarty *uporny* pod batogami umarł...

A jakie pojęcie religii, takie samo musiało być i moralności. Imci Pan Soplica w każdém opowiadaniu swojém wynosi pod niebiosa potęgę moralną swoich współczesnych, sprawiedliwość sędziów, czystość dziewic, uczciwość we wszystkich rzeczach prywatnych, a narzeka na czasy późniejsze, kiedy się rozprzęgły węzły rodzinne, kiedy sędzia sumienny nie więcéj ważył od zaprzedanego i podłego, kiedy całe wogóle społeczeństwo zepsute było powszechnie... Powierzchownie rzeczy biorąc, zarówno Soplica jak szlachcic polski wogóle z jego opowiadań, to osoba niemal święta; ale przyjrzawszy się téj świętości bliżéj, postrzeżemy na niéj ślady zgnilizny moralnéj. Rozporządzać arbitralnie wolą dziewic w najważniejszéj nieraz sprawie ich życia, w sprawie małżeństwa, jest dla niego rzeczą zwykłą i tak moralną, że nie przypuszczał nawet, iż ktoś mógł ją inaczéj oceniać. Bronić złéj sprawy, którą za taką uważamy w głębi sumienia, nie może się podług niego za grzech poczytywać, jeżeli to sprawa chlebodawcy magnata; bo „czyj się chleb jé, tego bronić trzeba". Jakoż opinia pod tym względem była bardzo łaskawa dla wszystkich klientów; bo gdy raz Soplica stawał wbrew swemu przekonaniu przeciw Tryznie w sprawie księcia Radziwiłła; to pan Tryzna nie miał mu tego za złe, i gdy się wszystko skończyło, nie przestał go zaszczycać swoją przyjaźnią, a może i podwoił dla niego szacunek, „widząc, jak dla wywiązania się swojemu panu i dobroczyńcy, *z własnego przekonania uczynił ofiarę*". A kiedy to uparte przekonanie koniecznie się chciało objawić i zmusiło Imci Pana Seweryna do kilku słów nieufności w prawność sprawy, i kiedy plenipotent księcia powiedział mu: „W C. Pana rzecz atentować i bronić sprawy księcia, a nie

jéj przyganiać i za to jesteś *płatny*"; — to pan Soplica przyznał, że mu temi słowy *zamknięto gębę*... Ulegać woli magnatów było dla niego obowiązkiem sumienia, tak że kiedy książę Karol chciał kogo forsować na urząd, wszelkie sprzeciwianie się jego woli uważał za chęć *wichrzenia*. I to usposobienie było tak powszechne, że kiedy książę prowadził Rejtana na pisarstwo ziemskie, nikomu przez myśl nie przeszło, ażeby ktokolwiek mógł z nim o ten urząd emulować... Dlaczego? Oto dlatego, że „zwykle u nas wybory były *jednomyślne*", jak naiwnie objaśnia Imci Pan Cześnik Parnawski...

Zresztą uniewinnianie zbrodniarzy i zawieszanie sądu o naturze ich czynów z téj racyi, że największy zbrodniarz może zostać świętym, jak to wyraził pan Soplica, mówiąc o Wołku, wynikało z zacierania się zasad moralnych w sercach tych gorliwych niby katolików, którzy ciągle mieli na ustach słowa: poco nam sądzić cudze postępki, poco wchodzić w głąb sumienia i roztrząsać sprawy bliźnich; niech każdy siebie tylko pilnuje a innych niech poleci *Opatrzności Boskiéj*... Że z takiego postępowania mógłby powstać zupełny brak opinii i zupełna poniewierka moralności, o tém pan Cześnik ani pomyślał, bo wogóle wyciągać wnioski ze zdań przechodziło granice jego inteligencyi.

Jako szlachcic polski, szanował Imci Pan Soplica swój klejnot nadewszystko i zachowanie jego w nieskażoności uważał za najkardynalniejsze prawo narodu; stąd łączył się z chórem całą piersią krzyczącym przeciwko nobilitacyom udzielanym przez króla Stanisława; stąd nie cierpiał dorobkiewiczów i mieszczan. Najmocniéj wierzył w równość szlachecką, chociaż i sam i jego spółcześni wyrażali bałwochwalcze niemal uszanowanie dla panów, padając im ciągle do nóg, całując w stopy i kolana, nie śmiejąc odjąć szabli u stołu bez ich zezwolenia, nie ważąc się mieć zdania od-

miennego od poglądów tego, któremu służyli. Imci Pan Cześnik szeroko rozprawia o szlacheckiéj równości, ale jest pokornym służką naprzód Ogińskiego a potém Radziwiłła, na którego „często patrzał a nigdy bez strachu, choć go z serca kochał“, któremu przy każdéj ważniejszéj okoliczności padał do nóg i kolana całował i któremu nigdy w niczém się nie sprzeciwiał. Charakterystyczną zarówno dla samego Soplicy jak dla całéj szlachty, rozprawiającéj o równości jest historya poróżnienia się Leona Borowskiego z księciem Radziwiłłem. Skarżył się książę Panie Kochanku, że choć go Borowski *ukrzywdził* t. j. odwołał się od jego sądu do sądów krajowych, nikt się za nim nie ujął. Wszyscy Albeńczycy — mówił — moje folwarki za bezcen trzymają, słudzy się panoszą i to całe ich przywiązanie. „Te słowa wnętrzności nam przeszywały jakby nożem — opowiada Soplica — bośmy i pana Leona szczerze kochali pomimo jego dziwactw. On będąc w największych względach u księcia, nietylko że żadnemu z nas nie był na przeszkodzie, ale owszem każdemu pomagał, za każdym mówił i prosił, tylko za sobą nigdy. Z drugiéj strony nasze obowiązki dla księcia były *święte*: my chleb *jego jedli* i *smaczny* i gdyby pan Leon nie przeprosił księcia, *radzi nieradzi musielibyśmy* się z nim rozprawić; bo sławy *swego pana* od napaści bronić trzeba...“ Tak przemawia szlachcic równy wojewodzie, kandydat do korony... I taki szlachcic sądził, że kiedy jaki magnat nazwał go „panem bratem“ i przypomniał znane przysłowie o równości, to w tych słowach nie było ani obłudy, ani ironii! Zapewne, że powątpiewanie musiało się niekiedy zakradać do umysłu jego; ale wtedy miał na pogotowiu usprawiedliwienie swego dworackiego sposobu myślenia w sylogizmie: magnat służy Rzeczypospolitéj, więc szlachcic, służąc magnatowi, służy zarazem téjże Rzeczypospolitéj...

Dla Imci Pana Soplicy ideałem obywatela musiał się

stać oczywiście książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński; naprzód dlatego, że u niego miał chleb, a powtóre z powodu jego rutynicznéj pobożności i pijackiéj popularności u szlachty. Podług niego był to wzór doskonałości zarówno pod względem umysłu, jak i obyczajów. Wszystkie jego słowa warte były „być wyrytemi na kamieniu“, a wszystkie jego postępki dowodziły chrześcijańskiéj pobożności, wspaniałomyślności duszy, czułości serca i nieskazitelnéj cnoty, zarówno w prywatném jak w publiczném życiu. Lubił więc sobie przypominać pan Cześnik tego wielkiego męża, który „jak zaczął ryczeć, to się lasy kołdyczowskie zatrzęsły“, który poufale a nawet grubiańsko z Panem Jezusem rozmawiał, który się bał upiorów i z „bernachem“ dla wszelkiego bezpieczeństwa sypiał. Lubił go sobie wystawiać jadącego w koszuli tylko i w hajdawerach na wierzchu beczki z winem i odtykającego czop dla gardzieli braci szlachty i kpającego tychże braci najordynarniejszemi wyrazami... ale zawsze „z dobrego serca“... Lubił rozpowiadać o jego waleczności, o wielkiéj przyjaźni dla Wołodkowicza, o niezmiernem poświęceniu dla kraju i o sejmikowych burdach... I nic dziwnego! Imci Pan Soplica o sprawach ogólnych kraju wiedział niewiele i zbytecznie się niemi nie interesował; był przedewszystkiém synem swojéj prowincyi i człowiekiem dbałym o przysporzenie majątku i zaszczytów swemu domowi. Jeżeli uczestniczył w konfederacyi barskiéj, to głównie jako sługa J. W. Ogińskiego, a potém J. O. księcia Radziwiłła; jeżeli wspominał o wielkich ludziach, którzy w obronie kraju stawali, to na pierwszym planie zawsze stawiał swoich pryncypałów, a potém swoich spółpowietników. Dla niego zawsze sprawy własnéj prowincyi a nawet interesa jego chlebodawcy miały większą wagę, aniżeli losy całego kraju. Gdyby mu ktoś zrobił taki zarzut, niewątpliwieby się nań oburzył z całą prostoduszną gorącością, ale w po-

stępowaniu swojém nie zaprowadziłby zmiany. Oburzenie jego byłoby wylewem patryotycznych frazesów i żywego temperamentu, nie zaś ujawnieniem przekonań głębokich; bo ten człowiek wychował się i wyrósł wśród otoczenia, ciągle mającego na ustach maksymy ogólnego dobra, ale po większéj części upatrującego to ogólne dobro w zadosyćuczynieniu najbliższym, częstokroć najlichszym, własnym interesom. Imci Pan Cześnik Parnawski nie był lepszym, ani gorszym od mnóstwa jemu podobnych; w jego duszy panował ciasny egoizm, ale panował bezwiednie; nie było w nim tedy obłudy, kiedy mówił o dobru ogółu: bo on najświęciéj był przekonany, że broniąc swojéj własnéj sprawy, albo téż sprawy księcia wojewody, upomina się zarazem o zachowanie „kardynalnych praw“ swego narodu. Mówił więc téż nieraz i o całym kraju; pragnął jego dobra, ale w głębi duszy bezwiednie był tylko obywatelem województwa nowogródzkiego i poplecznikiem kaprysów i zachceń, pijactwa i sobkostwa księcia Karola. Był on z téj saméj gliny, co ci z ówczesnych panów, których tak dosadnie charakteryzuje ksiądz Marek w swojéj rozmowie sennéj z aniołem. Byłem — mówił anioł — u Radziwiłła, wojewody wileńskiego. Mówiłem, błagałem: jedź do Warszawy! zajmij się rządem! cała Litwa twoja! ratuj kraj!... Aż płakał, tak się rozczulił: ja z torbą pójdę — powiedział — a niech kraj będzie cały. Ale tu nie idzie o ofiary z majątku, lub narażenia życia: siedź w Warszawie i zajmij się rządem... Cóż on na to? *Panie Kochanku* ja będę w Warszawie rządził, a mnie Pan Michał Rejten w Nalibokach wszystkie moje niedźwiedzie wybije... Udałem się do wojewody kijowskiego — mówił anioł daléj — pan obszernych włości i coby je chętnie dla ojczyzny poświęcił; ale *uczciwszy usty*, jakże tu siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł po kilka dni ciągle z panem miecznikiem Ciesielskim pić w Szorsztynie,

kiedy pani wojewodzina myśli, że mąż folwarki objeżdża... Byłem u marszałka Mniszcha. Nie może! kocha ojczyznę, ale— *świnia bura*, rządząc niemożna mieć procesów; a jakże żyć bez codziennych konferencyj z jurystami?.. A pan Wielopolski, krajczy koronny? Kocha ojczyznę ale — *bała bała*, jak zasiądę się w Warszawie, kto będzie dyspozytorów co sesyi do roboty napędzał? A Pan Krakowski? *Moja panno*, niechno się obmuruję w Białym Stoku, to i o kraju pomyślę. A książę Sanguszko, starosta czerkaski? *Mospanie* ja będę siedział w Warszawie, a moje stado w Sławucie sparszywieje... Słowem wszędzie znalazł anioł „przebrzydłe domatorstwo, nałogowe lenistwo...“ A kiedy ksiądz Marek opowiadał to swoje widzenie wobec wszystkich wyliczonych tu panów, cóż oni zrobili? Ani się obrazili na kaznodzieję, ani się zapierali swoich wad; ale przy swoich nałogach nazawsze pozostali, chociaż dla kraju, jak mówili, ostatnią-by kroplę krwi oddali. Zwyczajnie — poczciwi ludziska, powtarzający machinalnie wielkie słowa, ale strasznie... rozleniwieni...

A jak nałogów zaciągniętych z młodości nie mógł się pozbyć Imci Pan Soplica za pośrednictwem choćby najognistszych frazesów, tak też luk rozumu swojego nie potrafił zapełnić bardzo obszerném doświadczeniem. Człowiek, co od książek stronił, co buchalteryą i inne nauki za rzecz nieprzystępną dla szlachty uważał, co całą akademią odbył na dworach Ogińskiego i Radziwiłła, nie mógł oczywiście ani widzieć jasno wad rządu i społeczeństwa, ani ocenić dążeń reformatorów, ani też nabyć konsekwencyi we własnych myślach i zdaniach. Do jego ciasnéj głowy nie miały przystępu dowodzenia rozumowe, gdyż zapełnił ją już dawno przesądami. Polityka jego ograniczała się do studyowania słów księcia Karola; kiedy ten był przeciwnikiem króla Stanisława, to i on go nie cierpiał; a potém gdy zgoda

między księciem a królem nastąpiła, on nie miał ani słowa przeciwko temu, a nawet przyznawał, że słuszność była przy tych, którzy dawny porządek zmienić chcieli. Targowicę „obrzydłą“ przeklinał, ale zwolennikiem ustawy 3-go maja nie był, choć znowu dziedzictwo tronu za rzecz pożyteczną dla kraju poczytywał, na *nierząd dawniejszy* nieraz się skarżył i o polepszeniu bytu włościan wspominał;— Pawlika i Wołka nawet usprawiedliwiał, a fraczkowym ani jednego dobrego czynu nie przyznał, jakkolwiek przecież wiedział, że ci fraczkowi mieli przodków kontuszowych, co ich wychowali...

Z całą tą jednak niekonsekwencyą i z całym zasobem nałogów był przecież Cześnik Parnawski doskonałym wyobrazicielem dość znacznéj części społeczeństwa polskiego w XVIII stuleciu; a mając niepospolity dar opowiadania, wielką zdolność obserwacyjną i plastyczną, tak doskonale umiał przedstawić podobnych do siebie ludzi, tak wybornie władał charakterystycznym i barwnym językiem, że jego opowieści zwłaszcza wtedy, kiedy się po raz pierwszy pojawiły, nie mogły się nie podobać. Trzebaby przytoczeniami zapełnić całe stronice, ażeby dla nieznających „Pamiątek“ udowodnić bogactwo barwy i dobitność szczegółów; potrzebaby własnemi słowy Pana Cześnika określić każdą z postaci, ażeby dać poznać talent charakteryzowania osób za pośrednictwem wyrazów. Rubaszność a nieraz trywialność wyrażeń była naówczas wielką nowością, która nam, dziś żyjącym, po tylu utalentowanych i niezdarnych naśladowaniach już się przejadła. A takie figury junaków, jak Franciszka Dzierżanowskiego, Bartłomieja Chodźki, Sawy, Pawlika, Wołka, Stanisława Rzewuskiego, albo opojów i łgarzów jak księcia Karola, Leona Borowskiego, Mikołaja Potockiego, albo organisty jak stary Ryś, lub eleganta, jak Ryś młodszy; to były prawdziwe wzory plastyczności, które później już to sam

Rzewuski, już to inni na rozmaity sposób przerabiali. Kipiało w nich życie, zacieśnione wprawdzie w małém kółku, ale zawsze odcechowane oryginalném piętnem, a przedstawione zapomocą tak prostych środków, że prawie żadnego trudu nie zdawały się zadawać swojemu twórcy. W zakresie palestry, dworactwa, burd sejmikowych, junakieryi i facecyj obraca się pan Cześnik Parnawski ze swobodą największą i z niezachwianą lubością; mniéj już życie obozowe pociąga go ku sobie, a wielkie sceny dziejowe przypominają mu retorykę i wywołują z ust gorące wprawdzie, ale zbyt napuszone frazesy, jak np. w obrazie Tadeusza Rejtana.

Kobiety, które według niego powinny być cnotliwe i posłuszne, nie mogły odgrywać w jego „Pamiątkach“ żadnéj wybitnéj roli: występują one miejscami jako skromne, potulne lub też próżne istoty, bez własnéj woli i zdania. Ponieważ silne namiętności nie należały do składowych pierwiastków duszy naszego Cześnika, niema więc w „Pamiątkach“ dramatyczności; a tam, gdzie ona sama wspomnieniu się narzucała, została sprowadzona na poziom anegdoty, jak to widnieje w „Klasztorze Surlańskim“, w historyi Leszczyca, Wołka i Pawlika... Formalistyczne i nizkie pojęcie religii poprowadziło do płaskiego prawie ale może najprawdziwszego zrozumienia i wystawienia postaci księdza Marka.

W téj ograniczonéj sferze występujący ludzie są nakreśleni rysami śmiałemi, grubemi a wielce barwnemi. Ponieważ dusza tych ludzi była, że tak powiem, na końcu języka i nie ukrywała w sobie żadnych tajni, rysy przeto grube bez cieniowania mogły ją wybornie odmalować. Przedstawił się więc czytelnikom mały światek postaci, które już w rzeczywistości zaginęły, odtworzonych w sztuce z całą potęgą artyzmu prostego wprawdzie, ale dzielnego. A nadto Rzewuski, przedziwnym taktem wiedziony, włożył odrobinę ironii we wszystkie prawie swoje „Pamiątki“. Téj ironii nie

mógł oczywiście w wielkiéj podać dozie, gdyżby zepsuł z gruntu główną figurę swego utworu, Imci Pana Seweryna Soplicę; ale ją uczynił prawie niedojrzaną, przez co tém większą estetyczną rozkosz sprawił ukształconym czytelnikom. Istotnie, ci czytelnicy mogli w tym razie patrzeć na wszystkie przesuwające się przed niemi obrazki, jako na utwory rodzajowego malarstwa, przedstawiające ludzi bardzo poczciwych, bardzo zabawnych i bardzo... głupich. Ten uśmiech ironiczny, który, o ile wiem, pierwszy zauważył Waleryan Wróblewski [1]), a który się niejako unosi ponad „Pamiątkami“, czy on był uśmiechem magnata dworującego sobie z braci szlachty, czy też uśmiechem człowieka naukowo i artystycznie ukształconego, co z pobłażaniem patrzy na entuzyazm Imci Pana Cześnika dla księcia Karola; uśmiech ten w każdym razie dziś jeszcze bardziéj niż dawniéj się uwidocznił, i sprawia, że ogromną większość „Pamiątek“ za istotnie artystyczne obrazki uważać musimy. Z tym uśmiechem na ustach nie potrzebujemy się zżymać na wszystkie niedorzeczności, jakie wypowiada Pan Cześnik, na oczywistą nieraz nieprawdę jego relacyj i uwag, na jego umysłową i sercową ciasnotę, na całe wogóle ubóstwo myśli, jakie w „Pamiątkach“ znajdujemy, bo wszędzie czujemy się wyżsi od opowiadacza; wszędzie mamy przed sobą figury bardzo dobre i bardzo pocieszne.

Dla tych, co „Pamiątki“ w 1839 r. i kilku następnych latach czytali, były one nietylko artystyczném odtworzeniem kilku typów niedawnéj przeszłości, lecz nadto jeszcze czémś więcéj. Jedni bowiem uważali je za świetną rehabilitacyą zniesławionego przez reformatorów i satyryków Sarmatyzmu z drugiéj połowy XVIII wieku; za nieodpartą, bo na faktach ugruntowaną odpowiedź na zarzuty, jakie partyi konserwa-

[1]) Athenaeum J. I. Kraszewskiego, rok 1846.

tywnéj robiono; drudzy zaś — za wierny obraz niektórych stosunków polskich z końca zeszłego stulecia, za szczątki wspomnień zarówno żywych jak prawdziwych. Ci drudzy widzieli już wtedy, że Soplica i nie mógł i nie umiał obrazować *wszystkich* stron życia, bo ma wzrok za tępy i umysł zbyt słaby. Stanisław Ropelewski, pisząc piękny artykuł o tych „pamiątkach“ i oddając im niezmierne pochwały, nie tai przecież i usterek, a o horyzoncie umysłowym cześnika parnawskiego powiada: „Jeśli się autor uprze widzieć i sądzić w osobie Pana Soplicy, a z niéj nie zrobi allegoryi, ale zachowa jéj rzeczywistość szlachcica XVIII wieku, będzie przywiedziony koniecznie do ubogiego, jednostronnego widzenia, przed którém ujdą co zacniejsze postacie, bo też górują daleko nad ocznym promieniem palestranta“. Bądź-co-bądź jednak i Ropelewski nawet sądził, że przez Soplicę dzisiejsze pokolenie wyrzekło swój ideał onegdajszych swych ojców i że „z jego ręki każdy już może familijnemi portretami ubrać ściany swojego domu“; nie podejrzywał zatém w niczém wiarogodności „Pamiątek“. A inni poprostu głęboko w nią wierzyli, ogólnikowemi zaś pochwałami, które w superlatywach wyrażano, sprawili to, że wkrótce zaczęto uważać „Pamiątki“ za dzieło stanowiące nową epokę w rozwoju naszéj literatury najnowszéj. Utrzymywano, że po pseudoklasycznéj i romantycznéj poezyi, nastała epoka literatury czysto narodowéj, a za pierwsze dzieło w tym kierunku poczytywano „Pamiątki“; za pierwszego autora — Henryka hr. Rzewuskiego. Michał Grabowski miał „Pamiątki“ za „bodaj czy nie najgienialniejszy utwór polskiego pisarza“[1]) a o *nowéj* epoce literatury tak opowiada: „Kiedy przed dwoma zaledwie laty (t. j. w r. 1840) hr. Henryk Rzewuski odsłonił przede mną swoję bogatą tekę; kiedy mi przeczytał kilka

[1]) „Korespondencya literacka“, 1843, tom II, 177.

rozpraw filozoficznych, kilka wyjątków z dzieła o dawném prawodawstwie, kilka *pamiątek*, zostałem niewypowiedzianie zdumiony. Nie nowe to bowiem tylko utwory ujrzałem, ale utwory całkiem nowego ducha i początku. Rzecz szczególna! Czego nie wyjawiał ani romantyzm, ani klasycyzm, ani literatura stanisławowska: *tu dopiero odzywała się żywa i szczera tradycya narodowa.* Tamto były literatury, które starano się rozkrzewić w kraju; tutaj zdawało się, że oto dopiero *naród swój byt, samego siebie*, objawić w literaturze usiłuje. Patrzyłem na autora *Pamiątek*, jako na pierwszego żywego gienialnego *Polaka*, którego mi się widzieć zdarzyło. Dawne ukształcenie, odrębny charakter narodowy, nasz sposób widzenia i czucia *raz pierwszy* znajdowały mowę i plastyczną formę sztuki. Ten rodzaj cudu stawał się za pomocą nieprzerwanych podań familijnych, które posiadał w wielkiém bogactwie hr. Henryk Rzewuski, a których nie miał nikt z tych, co dotąd chodzili około literatury, a mianowicie poezyi...“ [1]).

Nie tu miejsce wchodzić w wyjaśnienie powodów, które skłoniły Grabowskiego do wydania tak dziwacznego sądu zwłaszcza wobec istnienia już „Pana Tadeusza“, do tak nadmiernego przechwalenia i „Pamiątek“ i Rzewuskiego; przytoczyłem jego zdanie jedynie dla charakterystyki poglądów pewnéj grupy inteligentnych ludzi, którzy około roku 1840 i dalszych rej wodzili na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie w sprawie oświaty powszechnéj. Grupa ta była oczarowana świetnością talentu nowego pisarza i na wszystkie tony pochwały jego wyśpiewywała.

W innych stronach entuzyazm był mniejszy, ale podziw dla talentu prawdziwego i dla nowości „Pamiątek“ wyrażał się głośno i dobitnie. Jakiś tylko młody krytyk na-

---

[1]) „Koresp. literacka“, 1843, t. II, str. 221—222.

zwał utwór Rzewuskiego „chudemi wspomnieniami, przechowanemi lepiéj w pamięci narodu“; lecz głos jego nie znalazł oddźwięku wśród ogółu. Ogół ten, kochający wszystko, co przypominało przeszłość, zwłaszcza kiedy to przypomnienie pojawiło się w formie tak stosunkowo nowéj a tak wyrazistéj, odczytywał „Pamiątki“ z nadzwyczajném zajęciem. Cechy powierzchowne jaskrawo odmalowane wrażały się w pamięć i rozbudzały fantazyą; brak głębokiéj analizy psychologicznéj i szerokiego poglądu na dzieje, nietylko nie przeszkadzały, ale owszem pomagały rozpowszechnieniu się dzieła, bo bądź-co-bądź, publiczność ówczesna więcéj jeszcze niż dzisiejsza nie lubiła pracować przy czytaniu własnym umysłem, a więc nie pragnęła żadnych głębokości i subtelności. A gdy nadto o przeszłości opowiadał nie żaden sceptyk lub pesymista, lecz człowiek całą duszą kochający swój czas i swoich spółbraci; kiedy ten opowiadacz „dobrze tuszył“ o swojém społeczeństwie i nie poczytywał go wcale za umarłe, lecz za omdlone tylko; kiedy o przyszłości mówił z ufnością i nadzieją: to niepodobna się dziwić, że go słuchano z uwagą i wdzięcznością: z uwagą, gdyż mówił zabawnie, przytaczał mnóstwo dykteryjek, anegdot i facecyj; z wdzięcznością, gdyż niczém nie chciał zasmucić słuchaczów; a jeżeli wzdychał za dawnemi czasami i obecne ganił... no, to może tam miał i racyą. Publiczność nie mogła przecież rozsądzać, czy była prawda rzetelna w opowiadaniach Soplicy, czy téż nie, kiedy nawet krytycy o téj prawdziwości albo milczeli, albo téż za niezawodną ją podawali. Publiczność robiła swoje: czytała to, co jéj zachwalono i co jéj do gustu przypadało, a czytała tak skwapliwie jak „Pamiętniki Paska“. Istotnie, od czasu pierwszych wydań żarówno Pamiętników Paska jak i Pamiątek Soplicy, aż do obecnego roku, pojawiły się pierwsze w 13, drugie w 10 edycyach....

Sprawa wiarogodności „Pamiątek“ nadeszła dopiéro późniéj, kiedy cokolwiek ochłonięto z zapału. Wówczas to Stanisław Rejtan, daleki krewny Rzewuskiego, pod pseudonimem Wady ogłosił w Athenaeum Kraszewskiego papiery nibyto Ambrożego Wejłły, w których sprostował znaczną liczbę omyłek w „Pamiątkach“ nietylko podrzędnego, ale nawet głównego znaczenia [1]). Wówczas to publiczność się dowiedziała, że np. tragiedya śmierci Wołodkowicza wcale nie tak tragicznie wygląda; że sławiony przez Soplicę bohater Karol Radziwiłł nie mógł się nawet utrzymać na koniu, jeżeli dwu ludzi wierzchowca nie trzymało, że polował tylko na niedźwiedzie w klatce będące; że był opojem i rozpustnikiem itp. Wówczas téż J. I. Kraszewski ze szczerością sobie właściwą, odwołuje swoje chórowe niegdyś uwielbienie dla Pamiątek Soplicy, kilkakrotnie powtarzane, a natomiast, jakby dla zaprowadzenia równowagi, zanadto surowe o nich zapisuje zdanie: „Pamiątki — powiada — pełne są omyłek wyrzeczonych z taką pewnością, iż ledwie się kto znajdzie, co się ich domyśli, co je przeczuje. Dalecy jesteśmy od ujmowania talentu niepospolitego autorowi, co z opowiadań i wspomnień potrafił *sklecić* Soplicę, ale widzi się nam, że przyszłość nie potwierdzi o nich sądu zbyt pochlebnego, jakiśmy wszyscy w pierwszéj chwili wydali“.... Przyszłość nie miała potrzeby wchodzić w zbyt ścisły rachunek z utworem, który za odgłos tradycyi w pewnéj grupie społeczeństwa przechowanéj, a więc jednostronnéj i bardzo często mylnéj, uważała, a oceniła natomiast jego artystyczne zalety. Papiery Ambrożego Wejłły są cenne jako surowy materyał, jako drugi świadek, i w historyi obyczajów bezwątpienia uwzględnione być muszą, ale na ocenę

[1]) Athenaeum 1845, zeszyt 6, 1846, zeszyt 2.

artystycznéj strony „Pamiątek“ wpłynąć nie mogły. Jakoż, już po ogłoszeniu „papierów Ambrożego Wejłły“ napisał w témże Athenaeum [1]) bardzo trafną i niekiedy głęboką krytykę „Pamiątek“ Waleryan Wróblewski, który znając wszystkie omyłki dziejowe, w nich zawarte, dzieła nie lekceważył bynajmniéj. Radziwiłł np. według Wróblewskiego, był to prawdziwy, nawet w wieku XVIII, archeologiczny szczątek zdziczałości, ciemnoty i opilstwa narodu; a przecież postać jego w „Pamiątkach“ uważa za „zaszczyt sztuki polskiéj“. Dlaczego? Bo „poeta przyjmuje cnoty, dostojeństwo i okazałość, ród wysoki; podoba mu się szczególniéj popularność u szlachty swoję wolność miłującéj; próżność i łgarstwa bierze na swój gieniusz; jedno będzie prawém przeświadczeniem o rzeczywistéj wartości, drugie stanie się dowcipem, ledwie nie wieszczym duchem poety“. To znaczy, że dla takiego szlachcica, jak pan cześnik, książę mógł istotnie być ideałem. Sympatyą dla osób występujących w opowiadaniu tłómaczy duchem religijnym, jakim ono jest przeniknięte. „Temu to promieniowi wiary winniśmy, że rzeczywistość tak wadliwa jak szlachcic polski owéj epoki zewnątrz religii uważany, jeżeli nie wraża dla siebie poszanowania, to przynajmniéj nie przejmuje wstrętem; owszem, przywiązujemy się do niego jak do czegoś bardzo poczciwego, potrzebnego nam w domu i *do zabawy*. Poeta *uciechę niegdyś wyłączną samych magnatów* dał na użycie powszechnosci krajowéj“....

Wróblewski sąd swój o „Pamiątkach“ podawał za odgłos zdania ogółu czytającego i miał podobno słuszność. Publiczność, przypatrując się obrazkom z ubiegłéj przeszłości, bawiła się; ale nie wyciągała z nich nauki moralnéj; doznawała zadowolnienia estetycznego, ale z „Pamiątek“ nie chciała się uczyć dziejów...

[1]) Rok 1846, zeszyt 6, str. 201—229.

Inaczéj sądził sam autor: on i naukę moralną i kurs historyi odnajdował w swoich „Pamiątkach“; bo jakkolwiek uważał je za „pisemko żartobliwe“, sądził przecież, że w żarcie więcéj wypowiedział prawdy, niż kto inny na seryo. A ponieważ zaraz po ogłoszeniu „Pamiątek“ nikt téj prawdy z nich nie wyciągał, postanowił sam ją dla użytku publicznego wyciągnąć i komentarzami opatrzyć.

III.

Zaraz po złożeniu urzędu marszałka, Rzewuski zabrał się do głębszych studyów nad dziejami cywilizacyi wogóle, a polskiéj w szczególności. Za źródło swych poszukiwań, miał, jak sam powiada, „roczniki, *kompilacye*, kroniki, latopisy, a szczególniéj prawa“. Owocem tych badań były dwa dzieła, przygotowane do druku już w r. 1840: jedno miało napis o *Cywilizacyi w ogólności*, czy też *Historya cywilizacyi* i składało się z dwu wielkich tomów; drugie zaś określało „Stosunek literatury do historyi narodu,“ a zaprzątało się przeważnie narodami zachodniemi, ledwo wspominając o Słowianach [1]). Oba te dzieła nie wyszły w pierwotnéj swéj formie i w całéj obszerności. Z pierwszego sam autor wygotował wyciąg, który pojawił się dopiéro po jego śmierci p. n. „Próbki historyczne“; z drugiego zaś posiadamy bardzo charakterystyczną przedmowę i określenie zasadniczéj myśli dzieła. Głównem spostrzeżeniem, którego Rzewuski w dziele swém dowodził, było, że literatura raptownie zjawiona jest świadectwem skonania jakiéjś świetnéj *formy politycznéj*, *że duch narodu nie może rozrabiać* poezyi swojéj razem *wnętrznie* (w historyi i obyczajach) i *przedmiotowie* (w literaturze), i że idziemy ciągle do jakiegoś *postępu moralnego*, którego świadectwo literatury rozmaitych okresów

[1]) „Tygodnik Petersburski“ r. 1840, Nr. 78.

przynoszą... W przedmowie, stosując poglądy swoje do politycznego stanowiska Rosyi, starał się je poprzeć dobitnym a bardzo blizkim przykładem. „Być może — powiedział — że najpotężniejszy naród słowiański, Rosya czuje się być upokorzoną, spoglądając na literaturę ościenną; może jéj uczone syny wmawiają sobie, że jéj naśladowniczy wierszopisowie stanowią literaturę ojczystą, zagranicznym w niczém nie ustępującą. Obraziłby mocno ten, coby im chciał dowieść, że ani literatury, ani poezyi pisanéj jeszcze nie mają; a właśnie *pysmićby się* powinni ze swojego niedostatku, bo nadto rozrabiają poezyą w swoim bycie, by ją mieli oderwaną od siebie!“ Tu następuje porównanie z Rzymianami, którzy w czasie wielkości politycznéj nie posiadali również literatury pisanéj. „I rosyjska poezya — mówi daléj Rzewuski — nadto jest żywotną, by się dała ścisnąć pędzlem i piórem. Rozproszenie obłąkanego motłochu jedném spojrzeniem najwyższego władcy narodu; dobycie dziewiczego Erywanu; obóz rosyjski, rozłożony u nóg téj góry, skąd po potopie Noe pierwsze przymierze zaprzysiągł z panem natury; poddanie się szczątków Warny; przejście nieprzebytego Bałkanu; wspaniałomyślne przebaczenie naślednikowi Kabilów, dane im u bramy przelękłéj stolicy: — oto są epizody wielkiéj epopei panowania Najjaśniejszego monarchy... a te epizody dzielnie przeniosą się na papier w odległéj przyszłości, wtedy kiedy naród utraci zdolność odnowienia ich w rzeczywistości. Każda wielka i obfita literatura, raptownie zjawiona, jest cyprysem zdobiącym grobowiec albo samego narodu, albo przynajmniéj formy politycznéj, która temu narodowi żywotność poetyczną zabezpieczała... Im więcéj ciało polityczne będzie trupem, tém silniéj literatura wzmagać się będzie, aż doszedłszy do pewnego zakresu, raptownie umilknie. Dopiero język, który w niéj przemówił, skrystalizuje się w formie

statecznéj i stanie obok tylu innych języków uczonych, zasłużonych, lecz martwych“ [1]).

Za taki cyprys, zdobiący grobowiec, poczytywał Rzewuski i literaturę polską sobie spółczesną, jak to wyraził w artykule rozpoczynającym pierwszy tom Mieszanin obyczajowych p. n. „Przyszłość“.

Piśmiennictwo krajowe, rozwinięte bujnie, posiadające świetną poezyą, nie miało, według niego, żadnego wpływu na społeczeństwo, nie objawiało miłości dla położenia spółczesnego, żyło bez nadziei w przyszłość, sięgając jakichś dawnych pamiątek, dawnych podań, wszystkiego tego, co już nie jest i ożywiając to wszystko jakimś sztucznym żywotem. Utwór ten różnorodnych umysłów bez porozumienia się ich ze sobą, bez hartu opinii publicznéj, bądź skrzywionéj, bądź nawet nie istniejącéj, okazywał jednak w sobie coś jednolitego: jakieś poetyzowanie żalu, smutku, złowieszczbnego przeczucia. W długotrwałe istnienie takiego piśmiennictwa Rzewuski nie wierzył, owszem prorokował, że po tém wysileniu nastąpi milczenie, dopóki nie wejdzie w skład „obcych mu dotąd żywiołów intelektualnych“. Wówczas znowu przemówi, ale już językiem innym. A język dawniejszy rodzinny, przybrawszy ostateczną formę, stanie obok sanskryckiego, greckiego, celtyckiego, rzymskiego...

Jeżeli się zapytamy o przyczynę wyrośnięcia na naszym gruncie owego smutnego cyprysu, który miał wkrótce przejść do muzeum archeologicznego, Rzewuski nam odpowie, że ją widzi w odrzuceniu przez naród swojéj żywotnéj formy

[1]) „Tyg. Petersburski“, 1840, Nr. 78. Też same myśli rozwinął Rzewuski w „Mieszaninach obyczajowych“, Tom I, str. 18—21, Tom II, str. 58—79; a wspomniał kilkakrotnie w innych miejscach np. w „Listopadzie“.

politycznéj. „Formą żywotną narodu polskiego — powiada Rzewuski — była federacya szlachty, posiadającéj zbiorowe pełnowładztwo, którego cząstkę zwierzała dożywotnio obranemu królowi, bez wyzucia się jednak z najobszerniejszéj jego części, a tę część sprawowała przez siebie w porządku zwyczajnym w czasie elekcyi królów i na sejmikach relacyjnych i wyborczych, a niekiedy nadzwyczajnie, zawiązując konfederacye. Nie zapobiegła ta forma uszczerbkom, których ta rzeczpospolita szlachecka doświadczyła w ostatnich dwu wiekach... ale że była żywotną, tego dowód oczywisty w tém, że kiedy naród od niéj odrzekł się uroczyście, w kilka chwil potém z rzędu żyjących został wymazany“ [1]).

Mając takie przekonanie o stanie swego społeczeństwa i o znaczeniu literatury ojczystéj, Rzewuski musiał się pogodzić z istniejącym porządkiem politycznym i chciał przekonać swoich spółobywateli, że i oni toż samo zrobić powinni, zaniechawszy myśli o przyszłości i zbrzydziwszy sobie wszystkie tajne towarzystwa. Sądząc nadto, że nadeszła właściwa pora do rozkrzewienia w kraju zasad konserwatywnych i usposobienia religijnego w duchu Bonalda i de Maistra, zachęcany przez przyjaciół, którzy upatrywali w nim pierwszorzędnego filozofa i poetę zarazem, zamyślił pokazać zwierciadło swemu społeczeństwu i dołączyć kilka rad w sprawie dalszego postępowania. Przybrawszy więc pseudonim *Jarosz Bejła*, wydał 1 tom „Mieszanin obyczajowych“. Był to zbiór obrazków obyczajowych, charakterystyk rozmaitych osobistości z życia wziętych, tudzież rozpraw filozoficzno-moralnych. Obrazki obyczajowe i charakterystyki przedstawiały stan pojęć i usposobień moralnych na Wołyniu w tak ujemnych rysach, że potrzeba sięgnąć pamięcią do „Wiadomości Brukowych“, wydawa-

[1]) „Próbki historyczne“, str. 34, 35.

nych przed laty przez Towarzystwo Szubrawców, ażeby odnaleźć równie dosadne i równie zgryźliwe.

Nieuctwo szlachty, gonienie wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi sposobami za zdobyciem mamony, brak sądu i opinii publicznéj, chaos w przekonaniach, mierność zarozumiała, sobkostwo i rozpusta: oto wyrazy, które w każdym obrazku albo jaskrawym oświetlone blaskiem, albo z naciskiem wypowiedziane, miały zastosowanie względem tych osobników, co składały szlachtę wołyńską... Wszystkie te zarzuty wyrzeczone tonem człowieka, który słów swoich nigdy nie cofa i jest przekonany o swojéj wyższości nad całym osądzonym tłumem, zarówno urodzeniem jak wychowaniem. Nie dosyć na tém. Bejła uogólnił swoje spostrzeżenia nad jedną prowincyą i zastosował je do całego narodu, mówiąc mu wprost: jesteś trupem, który toczy obrzydliwe robactwo, nazwane pokątnemi stowarzyszeniami, chcącemi napróżno zatrzymać żywot społeczny, ulotniony z dostojnego ciała. Z początku robactwo to było foremniejsze, bo wylęgłe w świeższym rozkładzie organizmu; ale w następnych przeobrażeniach, ród po rodzie coraz więcéj się każąc, doszło do ostatecznych krańców obrzydliwości. Z początku byli Filareci, Promieniści, potém związki patryotyczne, kosynierzy, Templaryusze, a nakoniec Skórkowi i Baragoli, których nazwiska najlepiéj wyrażają cele i dążności: pierwsze nazwisko jest godłem bydlęcia, drugie posługacza żydowskiego: — już więcéj zniżyć się nie można...[1])

Młodzież nie służy, bo albo jest niezdatna albo krnąbrna; nie pracuje, bo się pracy wstydzi; nie myśli, bo nie odebrawszy dobrego wychowania, nie ma o czém myśleć. Więc próżnuje, a nie mając nawet o czém próżnować, bo u niéj „stan obyczajowy jest po większéj części odbiciem stanu

[1]) „Mieszaniny obyczajowe“, I, 21, 22.

kieszeniowego", chodzi w kożuszku lub chałaciku, bo trzeba fraczynę oszczędzić; hasa na szkapie, bo nie ma zaco nabyć porządnego konia; beczy wszeteczne i obraźliwe piosenki pod oknami możniejszych obywateli, ażeby ci „odczepnego" jaki obiadek zafundowali lub pożyczyli jaką dukacinę na wieczne nieoddanie; jeździ co jarmark do Berdyczowa, ażeby jakiemu niedoświadczonemu frycowi wetknąć jaką chabetkę, a tym sposobem uchwycić faktorowego dla pokrycia „swoich Niderlandów"...

Starsi obywatele i urzędnicy, to próżniaki także, tylko wykwintniejsi, a samochwały jakich mało. Ażeby ich umysłowość poznać, dość będzie zgłębić sławny projekt zniesienia rekruckiego poboru, wypracowany przez hr. Wszędobylskiego. Cesarz chiński, według hrabiego, chcąc mieć Europejczyków naprzeciw Anglii, ofiaruje dać 24 Chińczyków za jednego naszego; jak wiecie, jemu o Chińczyków nie trudno... Potrzeba więc złodziejów i włóczęgów z turm do Chin odsyłać. Co za wielka rzecz w roku po dziesięć tysięcy takich ptaszków do Kiachty dostawić, a tak w ciągu roku przybędzie państwu 240.000 Chińczyków chłop w chłopa. Projekt ten dawnoby już był wszedł w wykonanie, ale cóż? hr. Wszędobylski dodał do niego uwagę, żeby dla dostawienia włóczęgów z więzień do Kiachty, do pięciu po jednym szlachcicu przeznaczyć; a ta posługa, żeby jemu i jego familii służyła za dopełnienie niedostatecznych dokumentów legitymacyjnych. Ponieważ heroldya utraciłaby tym sposobem wszelkie dochody, więc wysokie osoby smażą sobie głowy, jakby téj niedogodności zaradzić...

Tak zwana inteligencya nie o wiele wyżéj stała w rozwoju umysłowym od ogółu obywatelskiego. Oto np. p. Trojnicz, poeta romantyczny, objaśnia zgromadzonym słuchaczom jeden ustęp z nowéj rozprawy filozoficznéj „Platona" litewskiego, p. Floryana Bochwica. Idzie o wyjaśnienie zda-

nia, że *duch*, będący ogniwem stworzenia ze stwórcą, objawia naturę. P. Trojnicz powiada: „Uważa pani: muszą być na świecie ogniwa, inaczéj wszystko upadłoby z pieca na łeb. Uważa pani: nietoperz jest ogniwem łączącém ptaki ze zwierzętami. Otóż i Bóg potrzebuje ogniwa. Jeszcze gminniejszego użyję porównania: szewc tworzy buty, uważa pani; jakieś ogniwo łączy szewca z butem: oto *prawidło*, nie jego twór, owszem obcy jego kunsztowi, bo stolarskiéj roboty... Tak Bóg, uważa pani, jednoczy się ze stworzeniem swojém przez ducha człowieczego, który nie jest od niego stworzony. Tak tedy, uważa pani, Bóg jest tym szewcem, świat butem, a dusza ludzka — prawidłem [1]).

A jeżeli się znajdują prawdziwie oświeceni ludzie, jak: Grabowski, Kefaliński, Kraszewski, Jankowski, to żyją żywotem ekscentrycznym, między sobą szukając ściślejszych stosunków, uchylając się stopniowo od społeczeństwa, które ich nie rozumie a które samo dla nich coraz mniéj zostaje zrozumiałém [2]). Bo myślą społeczeństwa tego rządzi nie opinia, ale traf ślepy i dziwaczny; bo w wielu zboczenia są nadto wielkie, a rozsądku nadto mało [3]).

Szeregi prawdziwéj starodawnéj szlachty przerzedziły się a z niemi razem i cnoty obywatelskie. Choroba facyendarstwa, wszczepiona przez Ponińskiego, wywłaszczyła trzy czwarte części dawnych dziedziców, których miejsce zajęły „tłumy posługaczów ekonomicznych i dworskich, przekupnych jurystów, awanturników wszelkiego rodzaju, czasem nawet podejrzanego szlachectwa“. Ci ludzie, mieszkający teraz w pięknych domach, nie mogąc częstokroć dziada swojego ukazać, obcy krwią naszym dawnym obyczajom,

[1]) „Mieszaniny obyczajowe“ I, 110.
[2]) Tamże, str. 18.
[3]) „Mieszaniny obyczajowe“ I, 122, 124.

które im przypominają nikczemność ich początków, radziby nasze pamiątki, nasze wyobrażenia, nasze nazwiska zagrzebać w zapomnieniu. Oto jest źródło lekceważenia wiary, braku życia społecznego, tego rodzaju podłości, która nie wyłącza niekiedy najwyuzdańszéj zuchwałości, dziwactwa wyborów, stopniowego niknienia oświaty i ukształcenia, niestałości opinii, oszczerstwa publicznego, grubiaństwa i głupoty młodzieży [1])...

Urojono sobie powszechnie, że przez szkołę krzemieniecką oświata znacznie się podniosła na Wołyniu; jestto fałsz — mówi Bejła. Tylko w wydziale matematycznym wyszli z niéj ludzie biegli; — ale celujący w tym wydziale, gdy po większéj części służą bądź w wodnéj komunikacyi, bądź w departamencie górniczym, bądź w wojsku, do składu obywatelstwa nie wchodzą. Obywatele zaś na wsi mieszkający, nie powiem, że nic nie umieją, bo mogliby, przekonawszy się o tém, czegoś się jeszcze nauczyć, ale właśnie posiadają tyle wiadomości, ile potrzeba, aby utworzyć społeczeństwo najzarozumialsze i najniedorzeczniejsze, jakie tylko być może. Kogoż znajdziesz ze szkoły krzemienieckiéj, coby znał język łaciński, prawo, ekonomią polityczną, filozofią historyi, jakąkolwiek naukę moralną; ale prawie każdy z nich doskonale umie *trzy pierwsze lekcye* każdéj nauki i tym szermuje językiem. Tak obfity zasób intelektualny daje mu prawo o wszystkiém sądzić, wszystkiemu przyganiać, stanowić samowładnie o rzeczach i ludziach. A że po większéj części towarzystwa nasze są napełnione podobnemi istotami, człowiek, skończywszy swoje wychowanie przyzwoicie, gdy się znajduje między nimi, jeżeli jest towarzyskim, rozmowy swoje musi zniżyć do tonu żartobliwego; bo w rzeczy saméj niema z kim poważnie mówić [2])...

[1]) Tamże, str. 150, 151.

[2]) „Mieszaniny obyczajowe“ I, 126, 127.

Istotnie Bejła trzymał się przeważnie w swych „Mieszaninach“ tego tonu żartobliwego: szydził, narzekał, przeklinał, ale zdrowéj rady, któraby pomogła do wybrnięcia z błota moralnego i pomroki umysłowéj, bardzo skąpo udzielał. Przedewszystkiém chciał bezwątpienia poprawy, tego niepodobna zaprzeczyć, lecz jakiemi do niéj dojść drogami, o tém napomykał niewyraźnie. Pragnął, ażeby społeczeństwo przestało się zajmować kwestyą form politycznych, żeby wyrugowało z głowy swojéj myśl, jakoby swobody publiczne zawisły od form politycznych. Podług Bejły, *każda* forma polityczna wspiera, zasłania dobrych i spokojnych, i gdzie jest moralność, tam téż panuje wolność. Święty Paweł, który żył pod panowaniem Nerona, uświęcił przecież władzę cezarów pogańskich, ogłaszając, że ona pochodzi od Boga, przyczém wyrzekł: gdzie jest duch boży, tam jest i wolność. Dopiero gdy ludzie ducha bożego przygaszą, gdy opuszczą zuchwale drogę, która jest im wskazaną jako jedynie do szczęścia nawet doczesnego prowadzącą: wtedy zastanawiać się zaczynają nad formami politycznemi, usiłując w ich urządzeniu znaleść tę błogość życia, która tylko moralném ulepszeniem indywiduów się zabezpiecza, a literaci „podpalacze“, formułę wynajdując powszechnemu stęsknieniu, występują z nową ewangielią wśród gnijącego społeczeństwa. Stąd zamieszki, rzezie, świętokradztwa, złupienia, poczém naród jakby przebudzony ze snu gorączkowego, poznaje zapóźno, że był oszukanym i że jeszcze mniéj mu pozostało swobód, niż kiedy rozpoczynał swój *zbrodniczy* zawód [1]). Potrzeba zatém, zarzuciwszy wszelkie demokratyczne mrzonki, skupić się około téj garstki dawnych rodów, znających podania narodowe i przechowujących cnoty starożytne, gdyż oni jedni potrafią wytworzyć

[1]) „Mieszaniny obyczajowe“ I, 128, 129.

silną opinią w kraju i przyczynić się do podniesienia stopnia moralności i oświaty.

Co do téj oświaty, trzeba wiedzieć, że „premissa wszystkich nauk“ znajdują się w religii, że zatém jawne wyznawanie zasad téj religii i zastósowanie ich do wszystkich nauk jest najtrwalszym fundamentem ukształcenia. Wątpienie o dogmatach wiary, chwytanie się nowości, jest najstraszniejszym grzechem, bo grzechem intelektualnym, pychą rozumu. „Kto się unosił nad odłączeniem nauki od religii, nad tém, jak to mówiono w zeszłym wieku, *sekularyzowaniem nauki*, nie widział w swojém zaślepieniu, że jéj zadawano cios śmiertelny i że gdyby nie jakaś reakcya chrystyanizmu w czasie więcéj do nas zbliżonym i która codziennie zyskuje w przestrzeni; te nauki, z których się pysznimy, już w tym ruchu *wstecznym*, co go im nadał wiek XVIII, byłyby może znikły, tak jak te, które kwitnęły w Bagdadzie i Kordubie niegdyś, chociaż myślano także, że są nieśmiertelne“ [1]). Środkiem do poznania rzeczy ziemskich jest doświadczenie, *rozumowanie*, ale szczególniéj intuicya. Filozofia, jako korona wszystkich nauk, jako uzupełnienie wykształcenia, powinna się opierać na objawieniu. Bejła wskazuje imiennie Bonalda, de Maistra, Lamennais, Baadera, jako mężów, pragnących uchrześcijanić filozofią świecką, dodając podpory racyonalne prawdom objawionym, i życzy sobie szczerze, ażeby ich przykład u nas naśladowano, tak jednakże, ażeby podstawą badań filozoficznych były, prócz wiary objawionéj, żywioły narodowe, zawarte np. w prawodawstwie i w dziejach krajowych. Każdy bowiem naród ma swoję własną filozofią podmiotową („podwnętrzną“, jak powiada Bejła), wyrażającą się w jego mowie, obyczajach, dziejach itd.; ażeby więc utworzyć filozofią przedmiotową,

[1]) Tamże, str. 220.

„potrzeba się doskonale wsłuchać w tony ducha narodowego, a wzbogaciwszy swój umysł wynikami badań cudzych, wynaleść *nową metodę*, stosowną do sił umysłowych naszego języka i naszego ukształcenia moralnego“ [1])...

A jak przykłady życia moralnego, tak i ukształcenie umysłu znajdują się najczęściéj w „szczątkach rodów historycznych“. To też chcąc poznać dzieje jakiéjś prowincyi, a zatém i kraju, należy się udać do Jełowickich, Cieszkowskich, Steckich, Hulewiczów, Załęskich, Miączyńskich, Rohozińskich, Omiecińskich, Czackich, Ledóchowskich itd. i zapytać się o dzieje ich rodzin; w podaniach bowiem przechowuje się najlepsza i najbardziéj na uwagę zasługująca część historyi narodowéj.

Otóż i wszystkie rady, które Bejła w I tomie „Mieszanin“ społeczeństwu swemu podał. Nazwawszy je strupieszałém, zarzuciwszy mu ciemnotę i niemoralność, napisał króciutką, w pewnych kołach dobrze zresztą znaną receptę, i odszedł z uśmiechem szyderczym na ustach...

Społeczeństwo bardzo mało troszczyło się o receptę, gdyż albo ją znało, albo też poczytywało za wielce niedokładną, a nawet niewłaściwą; oburzyło się natomiast na dyagnozę swego stanu. Powstała wrzawa, jakiéj oddawna już w świecie literackim i towarzyskim nie słyszano. Obywatele wołyńscy wrzeli z gniewu za to, że ich spółziomek odważył się rzucić potwarz, jak powiadali, na umysłowość i moralność ich prowincyi, i nie mogli znieść spokojnie zarzutu, jakoby ich szlachectwo było nader niepewne i opierało się na „kłamliwych dokumentach“ [2]). Trzeba przytém pamiętać, że szlachectwo dawało jeszcze naówczas pewne przywileje w państwie, że oburzenie się zatém szlachty wo-

[1]) „Mieszaniny obyczajowe“ I, 191—203.
[2]) „Mieszaniny obyczajowe“ I, 152.

łyńskiéj miało za podstawę nietylko urojone sponiewieranie zacności rodu, ale nadto rzeczywistą obawę wobec poszukiwań heroldyi w tych właśnie czasach, kiedy się bardzo pilnie i bardzo podejrzliwie przypatrywano dowodom przedstawianym przez „urodzonych“. To téż zakończenie artykułu „Szlachectwo“ najwięcéj wywołało protestów, najgłośniéj potępione i za najszkodliwsze nawet pod względem praktycznym uznane zostało [1]). W odwet za „skalanie gniazda“, powyciągano o Bejle rozmaite plotki, potwarze, skandale; paszkwile o nim krążyły z rąk do rąk.

Drugim punktem obrażenia było lekkomyślne odezwanie się o szkole krzemienieckiéj w 10 lat po jéj zamknięciu. Uczniowie szkoły téj ujęli się za jéj sławę i nie szczędzili przycinków temu, który śmiał dziełu Czackiego przyganiać. Było to nader korzystną dla historyi oświaty naszéj okolicznością: w odpowiedzi na zarzuty Bejły, ukazało się kilka ciekawych dokumentów (listy Czackiego itp.) i kilka barwnych wspomnień, którychbyśmy może inaczéj nie posiadali. Walka o liceum krzemienieckie przedłużała się lat kilka; brali w niéj udział: Gustaw hr. Olizar, Karol Kaczkowski, Tytus Szczeniowski, J. I. Kraszewski, Szymon Konopacki i inni. Rozpisywano się o tém przeważnie w „Athenaeum“ i w „Gwiaździe“ kijowskiéj (od r. 1845 do 1849). Rzewuski obstawał zawsze przy swojém; a gdy mu przytaczano imiona światłych obywateli, uczonych i literatów, którzy wyszli ze szkoły krzemienieckiéj, zbywał dowody te konceptami. Karol Kaczkowski np. w „Odpowiedzi na list kwestarza Somnambula“, umieszczonéj w Athenaeum z r. 1845, wymienił 65 nazwisk wsławionych krzemieńczanów. Rzewuski pod pseudonimem Petroniusza Tetery drwiąc zarówno z Kaczkowskiego jak i ze szkoły krzemienieckiéj, radził do owych

[1]) „Pomieszanie Jarosza Bejły“, str. 41.

65 doliczyć jeszcze trzech braci Kutasińskich, z których jeden założył fabrykę cykoryi itd. [1]).

Trzeci punkt najważniejszy dotyczył strupieszałości społeczeństwa, o któréj Bejła mówił w artykule „Przyszłość"; ale punktu tego, stanowiącego bezwątpienia przedmiot skarg i ubolewań ustnych, mimochodem tylko dotykano publicznie. Kontrast zdań, wypowiedzianych w tym artykule, z temi, pełnemi ufności w żywotność społeczeństwa, jakie odczytywano w „Pamiątkach Soplicy" był zarówno rażący, jak bolesny. Raził on w autorze, dowodził bowiem chwiejności zdań w kwestyi najważniejszéj dla społeczeństwa; bolał czytelników, przed którymi roztaczał się widok na ruiny indywidualności narodowéj...

„Tygodnik Petersburski" był najważniejszym wówczas organem literackim na całą Litwę, Podole, Wołyń i Ukrainę. Wszyscy więc oburzeni śpieszyli z protestami swemi do jego redaktora, Józefa Przecławskiego, który się cieszył wtedy sławą głębokiego myśliciela i wytrawnego publicysty. Ponieważ jeszcze w roku 1841 Przecławski nie zdecydował się był stanowczo, do jakiéj ma należeć szkoły filozoficznéj i na jakim stanąć gruncie w niektórych kwestyach społecznych; ponieważ drukował artykuły Mieczysława Przeździeckiego, przesiąknięte heglizmem, i rozprawki Rzewuskiego, tchnące dogmatycznym katolicyzmem: więc dawał z początku miejsce „najważniejszym", jak utrzymywał, ocenom „Mieszanin"; przysyłano ich bowiem takie mnóstwo, że wszystkie ogłaszać było niepodobieństwem. Opozycya zatém przeciwko poglądom, zawartym w „Mieszaninach", mogła się do pewnego stopnia wyrazić w „Tygodniku Petersburskim"; ale ostatecznie pochwała ich utrzymała się na wierzchu.

---

[1]) „Tygodnik Petersburski", r. 1845, Nr. 76.

Pierwszy o „Mieszaninach“ odezwał się w „Tygodniku“ Józef Ignacy Kraszewski, który poznawszy je w rękopiśmie, nazwał „przewybornym zbiorem najświeższych, najśmielszych i najżywszych myśli, tudzież najżywszych, pełnych dowcipu obrazków“ [1]). Następnie przemówił o nich „Czytelnik“, który pisząc zresztą w duchu religijnym, powstając przeciw artykułom: *Przyszłość*, *Obmowy*, *Szlachectwo* (w obronie Wołynian), *O Poezyi narodowéj*, *Bardowie polscy*, tak charakteryzuje ich ogół: „Prawdziwa to mieszanina dobrego i złego, najzdrowszych uwag i najfałszywszych sofizmatów, religijnéj oświaty i zardzewiałych przesądów, głębokiéj nauki i naiwności dziecinnéj, chrześcijańskiéj pokory i pogańskiéj pychy, powagi i trywialności, jak gdyby ciągle przeplatały zdania swoje te dwie osoby, które autor tak zręcznie do przedmowy swojéj wprowadza; *Angelo i Diavolo*“. (Tygod. Petersburski 1841, N. 65).

Po tym artykule krytycznym i opozycyjnym wystąpił urzędowy krytyk „Tygodnika“ Michał Grabowski, który wyraziwszy zgóry że ogół wyobrażeń i ducha „Mieszanin“ całkowicie podziela, przemówił w szczególności ostro przeciwko panteizmowi, liberalizmowi, stowarzyszeniom tajnym,

[1]) „Tyg. Peters. 1841, N. 26. B. B. w „Rachunkach“ za rok 1866 opowiada, że gdy Rzewuski w imię cudnowskiego zjazdu, o którym na początku wspomniałem, odezwał się do swoich przyjaciół, ażeby go bronili przeciwko napaściom z powodu „Mieszanin“, Kraszewski odmówił, „czego mu nie darowano nigdy“. Wiadomość ta częściową tylko zawiera prawdę. Kraszewski istotnie po nazwaniu Mieszanin przewybornym zbiorem rozumu i dowcipu, zmienił wkrótce zdanie i naprzód półsłówkami (w N. 87 Tyg. Peters. z r. 1841) a później otwarcie przeciw Bejle zaczął występować tak, że w r. 1845 (w Athenaeum, w zeszycie 6, str. 123) wyrzekł: Na stronę „niefortunnych Mieszanin nic świadczyć, nic uniewinnić ich nie może“, — ale pierwotnie, kiedy jeszcze nie znał oburzonego głosu opinii, tak bezwzględnym sędzią nie był...

pochwalił artykuł o Szlachectwie, rozprawiał z namaszczeniem o arystokracyi, potępiał demokracyą: słowem napisał całkowitą apologią utworu Bejły, a o nim samym wyroczniowym stylem takie słowa wygłosił: „Poznajemy (w nim) człowieka z gieniuszem, nauką, rozumem, silną i oświeconą wiarą, z gorliwością istotną o dobro ziomków, ale śmiałą, nieoszczędną, prawie namiętną, z najrzadszemi przymiotami ale i *nie bez niejakich słabości ludzkich*“ [1]). Zaraz po pierwszym artykule Grabowskiego pojawiła się w „Tygodniku“ rzecz pochwalna bezimiennego, który akcentując „wrażenie uwielbienia“ i t. p., jakiego Mieszaniny powodem się stały, protestuje nieśmiało przeciw myśli Bejły o „literaturze pogrobowéj“ [2]).

Od tego czasu „Tygodnik Petersburski“ zaczął coraz wyraźniéj popierać przekonania Rzewuskiego, Grabowskiego i Hołowińskiego i stał się organem konserwatyzmu i ścisłego katolicyzmu. Jak dawniéj Kraszewski, tak teraz Rzewuski został dla Józefa Przecławskiego wyrocznią. Już w N. 58 z r. 1841 Rzewuski, rozszerzając swoje poglądy na dziełko Bochwica: „Obraz myśli mojéj“, o którém kilkakrotnie w „Mieszaninach“ z przekąsem mówił, wydrukował artykuł wprost przeciwny artykułom, dawniéj w „Tygodniku“ przez Mieczysława Przeździeckiego, a nawet przez Michała Grabowskiego napisanym. Opowiadał tu Rzewuski, że przeczytawszy „Obraz myśli“, udał się do jakiegoś kapłana, który cytatami z Pisma św., Ojców Kościoła i soborów dowiódł, że dziełko Bochwica, „zbiór przytaczań“, nie opiera się na nauce chrześcijańskiéj. Kto był ten kapłan, łatwo domyśleć się z późniejszego przypisku Ignacego Hołowińskiego do odpowiedzi Grabowskiego, który z pochwalnego zdania o „Obra-

[1]) „Tyg. Petersb.“ 1841, N. 93, 94, z r. 1842 N. 3, 4, 12 i 13.
[2]) Tamże, rok 1841, N. 97.

zie myśli“ chciał, ale nie mógł się wobec swoich katolickich przyjaciół usprawiedliwić [1]). Otóż wydawca „Tygodnika“, Józef Przecławski, pomieściwszy replikę Rzewuskiego, dodał od siebie przypisek, w którym oświadczył, że „po przytoczonych powagach“ *niemożliwém* jest umieszczenie odpowiedzi Rzewuskiemu w „Tygodniku“, że zatém z artykułem treści opozycyjnéj zwrócić się należy do *innego pisma.*

A w dalszym ciągu wyraził swą najzupełniejszą zgodę na poglądy religijne Rzewuskiego: „Od lat 1800 i więcéj — pisał — nie godzi się już mieć innéj nauki *o wszystkiém* jak tę, którą Mistrz nam objawił, a natchnieni przez niego do ostatka rozwinęli... Rozum jest wiedzą rzeczy ludzkich, wiara wiedzą rzeczy boskich. Wiara jest wyższym stopniem, jest nadziemskiém przedłużeniem rozumu... Misya i sfera działania rozumu zawiera się w rozwijaniu i stosowaniu do życia społecznego pewników, miłosiernie na ten padół przyniesionych...“ Niedługo potém *à propos* Bochwica, Hołowiński jeszcze dobitniéj i zwięźléj swoje stanowisko i zarazem stanowisko „Tygodnika“ określił. „Wiara — powiedział — jest skarb najdroższy i żadne względy talentu nie mogą uniewinnić dzieła jéj zasadom przeciwnego; lepiéj daleko, żebyśmy nic nie umieli, niżbyśmy dali się pozbawić prawd żywota... Szanujemy filozofią, ale wtedy, kiedy jest służebnicą wiary, kiedy nie podciągając pod rozbiór przechodzących jéj siłę prawd, zajmuje się jedynie rzeczami podległemi rozumowi [2]).

Tak więc około „Tygodnika Petersburskiego“ ugrupowało się grono, które wywiesiło chorągiew katolicyzmu:

---

[1]) „Tyg. Petersb.“, 1842, N. 8. Grabowski poddał się sądowi dwu tak znakomitych dla niego powag, jak Rzewuski i Hołowiński, i nie śmiał już zdania swego bronić („Korespondencya literacka“ M. Gr. Tom I, 143).

[2]) „Tygodnik Petersburski“, 1842, Nr. 8.

w pojęciach społecznych trzymało się zasad zachowawczych, a nawet wstecznych, gdyż występowało w obronie przywilejów; w pojęciach zaś literackich najbardziéj się wprawdzie rozchodziło, gdyż jedni potępiali i klasycyzm i romantyzm, drudzy stawali w obronie romantyzmu, ale zgadzało się w jedném, t. j. w uwielbieniu Soplicy. Do pierwszych rozkrzewicieli tego kierunku, których wymieniłem, przystąpił wkrótce Ludwik Sztyrmer, jako krytyk i powieściopisarz; a poza łamami „Tygodnika“ wspierali go swemi pismami ksiądz Stanisław Chołoniewski i były ksiądz unicki Placyd Jankowski. Kraszewski, który do roku 1842 należał do tak zwanéj „koteryi Tygodnikowéj“, wkrótce uległ ostréj krytyce ze strony Sztyrmera i powoli zaczął się od „Tygodnika“, gdzie go już z pewną niechęcią przyjmowano, odsuwać.

Przeciwko téj reakcyi katolickiéj zaczęła się skupiać opozycya. Młodzież uniwersytecka w Petersburgu oczywiście nie sympatyzowała z tendencyami „Tygodnika“. Studyując filozofią Hegla, jakkolwiek nie wyrzekała się religii chrześcijańskiéj, nie chciała jednak poddawać się wyrokom „powag“ i owszem pragnęła wiedzy niezależnéj od wiary — chociaż ostatecznie zgodnéj z nią w najistotniejszych punktach. Jak wszędzie i zawsze, tak i wśród młodzieży uniwersyteckiéj były rozmaite prądy i dążenia: jedni odsuwali się daléj od religii, drudzy tylko hierarchii poważali się robić zarzuty; wogóle jednak nie mogli się zgodzić na zdanie, że lepiéj jest nic nie umieć, niż się w poglądach swoich różnić od Rzewuskiego, Hołowińskiego, Przecławskiego i t. d. Nie mogę tu szczegółowo scharakteryzować pojedyńczych osobistości z opozycyi, gdyż życie Polaków w uniwersytecie petersburskim bardzo mało jest znane: a o opozycyi wnioskuję głównie z późniejszych artykułów Alberta Gryfa, Zenona Fisza i kilku innych współpracowników „Gwiazdy“ kijowskiéj. Dlatego téż niepodobna mi nic określonego na

teraz powiedzieć o przekonaniach społecznych téj młodzieży: to pewna przecież, że powiew demokratyczny, wiejący od zachodu, przedzierał się do jéj umysłu. Młodzież ta atoli, z początku nieśmiała, tuliła się pod skrzydła uwielbianych powag: tak np. Jan Barszczewski, wydając swoję „Niezabudkę“, starał się o powieści Sztyrmera; Romuald Podbereski, ogłaszając „Rocznik literacki“, prosił o artykuły Sztyrmera, Michała Grabowskiego, Ignacego Hołowińskiego, Kraszewskiego, czém mu później koterya Tygodnikowa szyderczo dopiekała. Nie ustaliwszy jeszcze zdań swoich, nie chciała wprost wystąpić przeciw uznanym powagom, i zapewne w rozmowach tylko, w wierszach ulotnych charakteryzowała uszczypliwie tych, co stali na świeczniku. Znany jest urywek takiéj charakterystyki, przytoczony przez Jankowskiego:

Michał Grabowski, mąż bez namiętności,
I Jarosz Bejła strasznéj żarliwości,
Akefaliński[1]), nicownik Szekspira,
Kraszewski brzmienny jak eolska lira
I grecki *Mikros*[2]) a po polsku mały
I dwaj Przeździeccy — oto hufiec cały[3]).

Prawdopodobnie z natchnienia tegoż kółka młodzieży wyszedł list „Podolanina“ (podobno Zenona Fisza) o Mieszaninach, przesłany do „Tygodnika“. Podolanin ostro powstawał na Bejłę, a powodzenie jego Mieszanin przypisywał złośliwości i „kąsaniu“ ludzi, w końcu nadmieniając, że *mówią* o „Tygodniku“, jakoby był zbiorem wzajemnych pochwał dla Kraszewskiego, Grabowskiego, Hołowińskiego i Rzewuskiego. Z odpowiedzi wydawcy, który list Podola-

[1]) Ktoś doradzał Hołowińskiemu, żeby się przezwał *Akefaliński* (to znaczy bez głowy), dodając, że tak mu lepiéj będzie do twarzy. Hołowiński miał na to rzec z uśmiechem: „Cóż to za obiecujący chłopczyna! I dowcip i erudycya!“

[2]) t. j. Przecławski.

[3]) „Pamiętniki Elfa“ (II, 208, 9).

nina umieścił zapewne dla zachowania pozoru bezstronności, poznajemy mimochodem ruchliwość bezimiennéj zdaje się opozycyi. „Niema poczty — powiada Przecławski — żeby (wydawca „Tygodnika“) nie odebrał pism wielu, gdzie *w najdotkliwszy sposób* starają się go *ubodnąć*. Że tym sposobem *zginąć* można, to wiem i na to przygotowany jestem, ale i to wiem i czuję, że idąc za przekonaniem, pełnię świętą powinność; od niéj nic mię odstręczyć nie zdoła; mogę się mylić, ale nie wejdę nigdy w żaden kompromis z mojém sumieniem“ („Tyg. Petersb.“ 1842, N. 10).

Opozycya więc filozoficzno-społeczna w czasie ukazania się Mieszanin istniała w zachodnich guberniach cesarstwa, ale nie miała jeszcze odwagi wystąpić z odkrytą przyłbicą. Spostrzeżenie Hołowińskiego, że „u nas zima *niedowiarstwa* już przechodzi, wiosnowy deszcz świętéj łaski zraszać zaczyna, kwiatki pobożności ukazują się, a czas śpiewania nądchodzi“ o tyle tylko jest słusznem, o ile odnosiło się do niedowiarstwa wolteryańskiego; traciło zaś swoję prawdziwość w zastosowaniu do pragnień wiedzy niezależnéj od wiary. Pragnienia te istniały w sercach młodzieży i w parę lat potém głośno się objawiły. Tymczasowo zaś w guberniach zachodnich starsze pokolenie zaprotestowało przeciwko całości Mieszanin i ich chwalcom przez usta Gustawa hr. Olizara, który w „Pomieszaniu Jarosza Bejły“, zmyślił powiastkę, jakoby zakwestyonowany utwór powstał z bezładnego zestawienia przez sekretarza Szpakiewicza dwu oddzielnych rękopismów: dawnego, pisanego przez Bejłę w czasie zupełnego zdrowia umysłowego i nowszego, który w czasie gorączki niebezpiecznéj powstał pod jego dyktowaniem. Była to ocena łagodna i żartobliwa, któréj autor starał się nakłonić Rzewuskiego do porzucenia paradoksów i namiętnego, stronniczego zapatrywania się na swoje społeczeństwo. Silniéj i bezwzględniéj na przesądy kastowe

Rzewuskiego napadł Tytus Szczeniowski w „Bigosie hultajskim“.

W Królestwie Polskiém opozycya przeciwko Mieszaninom była o wiele śmielsza. Tu jedni uważali to dzieło za tak nędzne, że je kilku słowami oburzenia radzili odsądzić od wszelkiego znaczenia naukowego, bo słabość dobrych jest złych śmiałością i mocą [1]; drudzy zaś, dobrze obeznani z naukami filozoficznemi i społecznemi [2] uznali w Bejle człowieka niewykształconego systematycznie, naukowo nieodrodzonego, który przecież już postradał bezpośredniość czucia, a brak zasad i systemu zastąpił hipotezami i paradoksami. Zarzucano mu z całą możliwą naówczas jasnością i dobitnością brak wiary w społeczność i wskazano, jak niedorzecznem i jak zgubném było mniemanie, że indywiduum może dojść najwyższego szczebla doskonałości, bez względu na swoje otoczenie; zauważono, że kto niszczy wiarę w społeczność, ten napróżno zachęca indywidua do wysokich celów, których nie będzie *gdzie* urzeczywistnić.

Streszczona tu recenzya pierwszego tomu „Mieszanin“ przez Felikska Zielińskiego, zrobiła wielkie wrażenie, szczególniéj w zachodnio-południowych prowincyach cesarstwa, t. j. tam, gdzie opozycya nie miała ani dosyć odwagi ani dosyć swobody do ogłoszenia swoich poglądów. Recenzyą Zielińskiego przepisywano i rozpowszechniano tym starodawnym zwyczajem myśli i zdania, podzielane przez ludzi młodych i postępowych...

Jeżeli tedy Rzewuski sądził wraz z koteryą Tygodnikową, że nadeszła pora reakcyi religijnéj i politycznéj i że tryumf zapewnić jéj zdoła kilku artykułami, to się grubo

---

[1]) „Przegląd Naukowy“, 1843, II, 269.

[2]) „Biblioteka Warszawska“ 1842, I, 427—435. Recenzya Feliksa Zielińskiego.

pomylił. Właśnie wtedy, kiedy ze swemi „Mieszaninami“ wystąpił, zaczęły się do nas przedostawać idee filozoficzne i społeczne, zarówno niezgodne z pojęciami XVIII wieku, jak i z poglądami reakcyonistów. Filozofia Hegla, uległszy znacznym modyfikacyom, miała u nas dość licznych zwolenników, filozofujących co prawda każdy na swój sposób, ale jednozgodnie walczących przeciw „powadze“, a idee demokratyczne, potęgowane ówczesném położeniem ludu, znajdowały gorących zarówno apostołów, jak wyznawców i męczenników. Do tych dwóch charakterystycznych cech ówczesnego ruchu umysłowego, przyłączywszy dążności emancypacyjne kobiet, które pragnęły nauki poważnéj i swobodniejszego położenia prawnego, będziemy mieli najogólniejszy zarys dążeń naszych postępowców.

Reakcya zatém religijna i społeczna, która istotnie zarówno w reszcie Europy kontynentalnéj, jak i u nas wzmagała się na siłach, czego dowodem były pisma w duchu zachowawczym i religijnym, nie mogła przecież liczyć na natychmiastowe i bezwzględne zwycięstwo, lecz musiała się do walki przygotować. Przyjęcie, jakiego doznały „Mieszaniny“ wśród publiczności i w niektórych organach prasy, mogło było ostrzedz Rzewuskiego i koteryą Tygodnikową, że świętować dnia tryumfu jeszcze nie wypada.

Los, który spotkał drugi tom „Mieszanin“ (1843) jeszcze dosadniejsze dawał ostrzeżenie. Tylko przyjaciele Rzewuskiego z Tygodnika zostali mu wierni; ale nikt z postronnych nie zgłosił się z artykułem krytycznym do pisma, które jawnie wzięło stronę autora i przegrodziło się murem, niedostępnym dla opozycyi. Pogardliwe milczenie, przerwane tylko „*Recydywą* Jarosza Bejły“, napisaną przez Gustawa Olizara, było z jéj strony jedyną odpowiedzią w guberniach zachodnio-południowych; w Królestwie przeciwnie. „Przegląd Naukowy“ nazwał poglądy Bejły „zgniłemi i *wszete-*

cznemi“ (zapewne *wstecznemi*); a Feliks Zieliński w „Bibliotece Warszawskiéj“ wytknął spokojnie wszystkie sprzeczności i wszystkie nieloiczności, jakich się dopuścił Bejła, gardłując w sprawie arystokracyi i lekceważenia form politycznych; tak, że w końcu mógł powiedzieć słówko o „naukowéj nicości“ podobnych jak Bejła mężów [1]).

Zupełnie nieznanych myśli drugi tom „Mieszanin“ nie przynosił, były tu tylko rozwinięte obszerniéj poglądy z pierwszego tomu, ale w tém rozwinięciu nierachowanie się ze słowami posunął Bejła do ostatecznych granic. Opozycyą oburzać przedewszystkiém musiały takie np. zdania o demokracyi: „Bohaterowie Koliszczyzny byli ścisłymi demokratami: biegli łupić i zarzynać tych wszystkich, co mając coś do stracenia, już nadto byli arystokratami, by aż do ich szajki się poniżyć“. „Ścisły demokrata jest ten, co pragnie równego podziału własności i to co lat kilka powtórzonego, zaburzenia powszechnego, wywrotu położenia towarzyskiego wszystkich, bezkarności dla rabunku i wszelkich zbrodni. Zasada ścisła demokracyi jest *zbrodnią*; ta zasada umiarkowana jest *absurdum* logiczne, bo jakże miarkować to, *co jestestwa nie posiada?* Jeżeli dom poprawy jest *jedyną odpowiedzią*, na którą zasługują demokraci ściśli, szpital dla szalonych jest jedyną odpowiedzią dla tych niby umiarkowanych demokratów... Jeżeli pragną, żeby wszyscy członkowie zbiorowego ciała byli we wszystkiém *równi w obliczu prawa*, aż do tego stopnia, by nie wchodząc w różnice stanów i położeń towarzyskich, *na te same wykroczenia jednę naturę kar wszystkim przeznaczyć*: pod formułą bezstronnego wymiaru sprawiedliwości bezwzględnéj okazałaby się rzeczywiście najokropniejsza niesprawiedliwość [2]).

---

[1]) „Biblioteka Warszawska“, 1843, III, 168—179

[2]) „Mieszaniny obyczajowe“, II, 8—15.

Drażniona takiemi posądzeniami demokracya, która dążyła przedewszystkiém do polepszenia doli ludu, a nie do niwelacyi społecznéj, widząc nadto, że najsłuszniejsza i przez wszystkie ucywilizowane narody przyjęta zasada równości wobec prawa, została przez autora podeptana — w teoryi: nie dała się przebłagać talentem Rzewuskiego i coraz większą czuła ku niemu niechęć. Niechęć ta jednak wybuchnęła z całą możliwą wtedy otwartością dopiero z powodu przypisków do „Listopada“ i innych obszernych artykułów Rzewuskiego i koteryi petersburskiéj, pomieszczanych od roku 1845 w „Tygodniku“. Wypada nam tedy zapoznać się z dziejami powstania owego najznakomitszego niewątpliwie utworu hr. Henryka.

IV.

Już Imci Pan Soplica, pisząc w r. 1840 swą pamiątkę o „Stanisławie Rzewuskim“, obiecywał rozpowiedzieć dzieje porwania króla Poniatowskiego. Jakoż niedługo potém, w początkach roku 1842, na kontraktach kijowskich usłyszał szczupły światek literacki pierwsze rozdziały „Listopada“. Kontrakty były nadzwyczaj ożywione. Wzajemne niechęci pomiędzy literatami nie rozwinęły się jeszcze. Kraszewski, „promieniejący sławą młodzieniec“, jak go wówczas nazwał Grabowski, zjechał tam po raz pierwszy i przywiózł ze sobą rękopism Mindowsa, odczytując go w szerszych i szczuplejszych kółkach, czém obudził prawdziwy dla siebie entuzyazm. Audytoryum składało się z księdza Hołowińskiego, hr. Olizara, Świdzińskiego, hr. Tomasza Potockiego, Aleksandra Przeździeckiego, Konstantego Podwysockiego i Karola Drzewieckiego; później słuchali wyjątków: Michał Jezierski, książę Henryk Lubomirski i Henryk hr. Rzewuski. Rzewuski z kolei miał odczytać początek nowego swego dzieła. Jeżeli mamy zaufać wspomnieniom B. Bolesławity, miało to być po sutym obiedzie czy śniadaniu u autora „Pana Podstolica“, Edwarda

Tomasza Massalskiego. Słuchacze byli dosyć pomęczeni, Rzewuski czytał monotonnie; a Michał Grabowski, dzierżący berło krytyki, znużony zdrzemał się. Był to sen złéj wróżby, którego Rzewuski nie dostrzegł szczęściem... Grabowski, tłómacząc się niejako z téj słabości, miał szeptać pocichu, że Listopad nie dorównywa Soplicy, że jest nieco nudny... Cokolwiek zresztą było po obiedzie u Massalskiego, wiemy napewno, co wkrótce po kontraktach napisał Grabowski o tém czytaniu do swego korespondenta w Warszawie, Janiszowskiego. „Wątpliwości niema — donosił mu — że będzie to dzieło wysokich zalet, lubo z pierwszych rozdziałów widzieć można, że nie będzie to żywy, dramatyczny romans w rodzaju Waltera Scota, ale na szerszą miarę *pamiątka* starego szlachcica. Rozwinięcie charakterów jest doskonałe, z głęboka wyprowadzone, a nie z powierzchności schwycone, jak zwyczajnie, i spodziewać się należy, że na owe ciekawe w tym czasie rozdwojenie narodowych obyczajów nie mało światła spłynie“ [1]).

Nie prędko jednak doczekała się publiczność całości Listopada. Oprócz zajęć literackich: przygotowania do druku drugiego tomu „Mieszanin“ i wileńskiego wydania „Pamiątek“, zabrały Rzewuskiemu wiele czasu kłopoty gospodarskie. Jeden z „podradczyków“ podobno dróg bitych w cesarstwie, zachwiany w interesach, potrzebował mieć kaucyą dla załatwienia swoich operacyj. Hrabia Henryk, który zawsze podobno potrzebował pieniędzy, mając pozorną pewność co do wypłacalności spekulanta, złakomiony dobrym procentem zgóry opłaconym, dał na kaucyą obszerne lasy cudnowskie. W pół roku czy prędzéj petersburski podradczyk zbankrutował.., lasy zasekwestrowano na rzecz skarbu. Dla uratowania tak znacznego kapitału trzeba było pocho-

[1]) „Korespondencya literacka“, I, 101.

dzić w Petersburgu. Przez wpływy brata, hr. Adama, jenerała w wojsku rosyjskiém, żonatego z Rosyanką, udało się podobno spłatę długu rozłożyć na raty... mimo to straty poniósł hr. Henryk znaczne [1]). Potrzeba życia salonowego, stosunki familijne, skłoniły Rzewuskiego do zamieszkania w Petersburgu, nawet po skończeniu interesu. Bawił tu lat cztery: bywał na dworze cesarskim, bawił się w salonach i pisał. Tu dopiero w roku 1845 skończył „Listopada". Z początku miał zamiar wydać go odrazu w książce, ale potém uległ namowom Józefa Przecławskiego i zaczął ogłaszać naprzód częściowo w „Tygodniku Petersburskim", który w ten sposób po raz pierwszy u nas utwór powieściowy wielkich rozmiarów w łamach swoich pomieścił; — a potém z odbitki ułożono trzy tomy.

„Listopad" nie mógł liczyć na powszechnie i jednomyślnie przychylną ocenę. Koterya Tygodnikowa przesadzała naturalnie możliwe pochwały; ale zraziła ona już zanadto wielu, ażeby nie zaoponowano wyraźnie zarówno przeciw autorowi powieści, jak i przeciwko jego chwalcom. Stosunki między „Tygodnikiem" a Kraszewskim były od lat kilku wielce naprężone. Uwielbiany niegdyś pisarz dostawał teraz coraz częściéj krytyczne a często drwiące przypiski do swych artykułów; Ludwik Sztyrmer nazwał jego Akta Babińskie „małym szpargalikiem wielkiego pisarza i może pierwszą u nas spekulacyą literacką człowieka z talentem" itp. Sam Rzewuski w przedmowie do drugiego tomu „Mieszanin" mówiąc o krytykach tomu pierwszego, zestawił wszystkie, choćby troszeczkę tylko nieprzyjazne razem i pomiędzy niemi pomieścił artykuł Kraszewskiego, zarzucając im *niesumienność*. Kraszewski nawzajem zaczął umieszczać w swojém „Athenaeum" niezbyt miłe dla Rzewuskiego do-

[1]) B. B. w „Rachunkach" za r. 1866.

kumenta o szkole krzemienieckiéj i o „Pamiątkach Soplicy“; a zaledwie się ukazały pierwsze rozdziały „Listopada“, wyprawił list do „Biblioteki Warszawskiéj“ z następném ich ocenieniem: „W *Tygodniku* poczęto drukować romans autora *Pamiątek Soplicy*, p. t. *Listopad*. Sądzić o nim z początkowych rozdziałów nie byłoby sprawiedliwie; ale to, cośmy czytali, daleko stoi *nawet* od Soplicy; pełno jest sofizmatów (w przypiskach ich najwięcéj) i stylem objawia *zupełną nieznajomość* języka. Są tam tak dziwne słów rzędy, składnie i całe frezesy a nawet *przypadkowanie czasów*, że się mimowolnie człek uśmiecha, myśląc, jak téż to być może *żeby talent nawet gramatyki nie nauczył, kiedy się kto sam uczyć nie chce*. W innych utworach tegoż pisarza przekonać się łatwo, że talent *nie uczy także historyi...*“[1])

Nietaktowne to wystąpienie z uwagami krytycznemi zaraz po rozpoczęciu „Listopada“ i nieszczęśliwy *lapsus calami* o *przypadkowaniu czasów* stały się wyborną dla „Tygodnika Petersburskiego“ sposobnością do zapomnienia o swych niegdyś entuzyastycznych względem Kraszewskiego uniesieniach i do obniżenia skali jego znaczenia tak artystycznego, jak moralnego nawet. Ironia, sarkazm albo poprostu brzydkie insynuacye pojawiają się we wszystkich niemal artykułach o dziełach Kraszewskiego, zwłaszcza gdy ten napisał „Malepartę“ i dał w swojém *Athenaeum* przytułek „Papierom Wejłły“, wyświecającym błędy „Pamiątek Soplicy“. Wtedy to Rzewuski, co przed kilku laty napisał uwielbiającą recenzyą „Witoloraudy“ a dzieła jéj autora stale dotąd wszystkim do studyowania polecał, radził Kraszewskiemu, żeby napisał biografią do zbiorowych dzieł Karola Kaczkowskiego, obrońcy szkoły krzemienieckiéj, używając „téj nadzwyczajnéj erudycyi, któréj dał dowody w *Studyach* i *Wędrówkach*

[1]) „Bibl. Warsz.“, 1845, IV, 175, 176.

literackich; téj sumienności, którą się odznacza *Historya m. Wilna;* téj twórczości i życia tak hojnie rozlanych w *Mindowsie* i *Witoldowych bojach;* tego interesu i świadomości wyższego towarzystwa, które uwielbiamy w *Księżniczce Słuckiéj* i *Czterech Weselach;* téj soli attyckiéj, która tak uprzyjemnia czytanie *Latarni Czarnoksięskiéj;* nakoniec téj oryginalności cechującéj *Świat i Poetę, Bladą Dziewczynę* i *Podróż do Jedyssanu* [1])... Niedługo potém „Papiery Wejły“ zaliczyła koterya Tygodnikowa do literatury brudnéj, potwarczéj i wspomniała o naśladownictwie szalonéj, często „zapłaconéj“ literatury francuskiéj itp. Doszło do tego, że Kraszewski zarzucił wydawcy Tygodnika (z powodu umieszczenia recenzyi „Witoldowych bojów“) *niesumienność*, a wydawca odpowiedział, że zarzut ten, raz zrobiony, nie *upada;* odparty bowiem oczywistością, odskakuje on podług niezłomnych praw dynamiki i trafia w tego, co go rzucił [2]).

Wyprawa atoli Kraszewskiego przeciwko „Listopadowi“ na tém się nie skończyła. Dostał on na niego broń daleko donośniejszą, jak mu się zdawało, niż niefortunne „przypadkowanie czasów“... W liście do księdza Stan. Chołoniewskiego wyraził swoje wątpliwości co do sposobu, w jaki Rzewuski przedstawił w Listopadzie *pobożność* jenerała Kunickiego. Ksiądz Chołoniewski był przedmiotem uwielbień w koteryi Tygodnikowéj: podzielał z nią główne zasady, walczył przeciwko prądom wieku, podnosił znaczenie religii dla rozwoju społecznego. Jego „Sen w Podhorcach“ chłostał nielitościwie objawy rozbujałéj fantazyi romantycznéj i uwielbienie namiętności; jego „Dwa wieczory Starościny Olbromskiéj“ wyśmiewały pokuszenia „czystego rozumu“ celem zachwiania wiary i zepchnięcia jéj z przewodniego stanowiska

---

[1]) „Tygod. Petersb.“ 1845, Nr. 76.
[2]) „Tygod. Petersb.“ 1846, Nr. 13.

w rozwoju ludzkości; były zatém przekleństwem rzuconém na filozofią niezależną od religii i na jéj wyznawców. Zdanie więc Chołoniewskiego o pobożności jenerała Kunickiego mogło mieć niemałe dla pognębienia koteryi Tygodnikowéj znaczenie. Kraszewski otrzymawszy na list swój obszerny wywód, wogóle dla Rzewuskiego nieprzychylny, posłał go do „Biblioteki Warsz.“. Ks. Chołoniewski pobożność jen. Kunickiego nazwał „nabożeństwem *babki kruchcianéj*, nieumiejącéj swego katechizmu“ i dowodził tego zdania cytatami z Pisma św. Ale to była rzecz mniejszéj wagi, chodziło tu głównie o poglądy Rzewuskiego, o jego wstręt do wszelkiego rozumowania, o ślepą wiarę i machinalne spełnianie praktyk religijnych. Ksiądz Chołoniewski więc większą część swego artykułu poświęcił dowodzeniu, że nauka nietylko nie osłabia wiary, ale dzielnie posługuje ku jéj wzmocnieniu, że rozum ludzki jest tak samo darem Boga jak wiara, że go zatém lekceważyć nie godzi się. Zarzucał przytém Rzewuskiemu „nieopatrzną gorliwość“, która dla mniemanego zwycięstwa wiary, duch ludzki na kalectwo i niecnotę skazuje, a nie dozwalając przystępu rozumowi do świątyni pańskiéj, tém samém *ciężką wyrządza krzywdę* religii Chrystusowéj“. W końcu przypomniał „naukę kościoła Jezusa Chrystusa, który z nieba przyniósł na ziemię światło wiary, nie żeby *przygasić*, lecz żeby mocniéj *rozpłomienić* pochodnię rozumu i do wyższéj potęgi go podnieść“; przypomniał daléj, że „światło to oświeca każdego człowieka, na ten świat przychodzącego, ale *człowieka* tylko, istotę bowiem ziemską skazaną na *bezwładność rozumu*, pozbawioną prawego użycia onego, obdarzać nazwą człowieka nie podobna“ [1]).

Artykuł księdza Chołoniewskiego sprawił bezwątpienia pewne zamieszanie w koteryi Tygodnikowéj; dawniejszy sprzymierzeniec zdawał się przeciwko niéj obracać; a gor-

[1]) „Biblioteka Warsz.“ 1846, II, 451—478.

liwość głównego jéj przewodnika nieopatrzną, krzywdzącą kościół nazywał... Nie mogło to być rzeczą zbyt przyjemną ani dla Rzewuskiego ani dla jego zwolenników; niespodziewany więc atak postanowiono odeprzeć bezzwłocznie. Rzewuski napisał „kilka słów odpowiedzi“ i przesłał je do Warszawy, tj. tam, gdzie atak przypuszczono. W Warszawie dogorywał wtedy organ poświęcony sprawom religii pod redakcyą Eleonory Ziemięckiéj; nazywał się „Pielgrzymem“. Redaktorka, jakkolwiek nie należała bynajmniéj do rzędu katolików potępiających rozumowanie, przez grzeczność zapewne pomieściła owe „Kilka słów odpowiedzi“ i przez grzeczność również nie dodała żadnego do nich przypisku. Rzewuski całą swoję odpowiedź utrzymał w subtelnie ironicznym tonie i przyznając się pozornie do małego zasobu nauki, nie pominął ani jednéj sposobności, ażeby wykazać zarówno Kraszewskiemu jak Chołoniewskiemu albo niestosowność albo niegruntowność ich postępowania i zarzutów. Zakwestyonowawszy delikatnie „prawowierność autora Ostatniéj z książąt Słuckich“ a udanie się po radę do księdza Chołoniewskiego i ogłoszenie jego rozumowań naznaczywszy ironiczném piętnem „kroku prawdziwie chrześcijańskiego:“ zrzucił przedewszystkiém z siebie ciężar téj myśli, że go osądził *teolog*, stawiąc go ze sobą na równi jako „beletrystę-amatora“ i odmawiając Chołoniewskiemu władzy ferowania wyroków. Dla zaspokojenia swoich spółwyznawców oświadczył, że nim się odważył puścić w obieg swoję powieść, nie omieszkał radzić się petersburskiego fakultetu teologicznego, azalić jako człowiekowi świeckiemu przez niewiadomość nie zdarzyło się popełnić czegoś przeciwnego wierze, i otrzymał poświadczenie, iż jego pisemko jest w najlepszym duchu obmyślane. A w dalszym ciągu zbijał dosyć szczegółowo wywody księdza Chołoniewskiego, powtarzając ciągle, że „jasne pojęcie“ nie jest koniecznym warunkiem

wiary i że nauka w całéj powszechności tego wyrazu nie jest, nie powinna być dla wszystkich. Cytaty zaś z Pisma ś. przez ks. Stanisława zrobione obracał na swoję korzyść, dowodząc, że niektóremi z nich zasłaniali *kacerze* swoje inowacye... W końcu dał naukę moralną i Bibliotece i księdzu Chołoniewskiemu, mówiąc, że czas użyty na wyśledzenie niektórych wyrażeń nie dość ściśle określonych, pisarza jakkolwiek słabego, wszakże katolickiego, mógłby być korzystniéj nierównie obrócony na pogromienie pisarzów słynniejszych, już nabierających niemało wziętości w teraźniejszém pokoleniu, a których książki powstają przeciwko najżywotniejszym zasadom naszéj wiary [1]).

To swobodne odsunięcie powagi kapłana, będące miniaturowém odbiciem wyrazów oburzenia de Maistra na papieża Piusa VII, kiedy ten koronował Napoleona, nie mogło już wywołać odpowiedzi ze strony Chołoniewskiego i nie przyczyniło się do sprowadzenia nieporozumień w kółku petersburskich konserwatystów... gdyż rychła śmierć oponenta przerwała wszelkie możliwe rozprawy i swary.

Jeżeli jednak do rozdwojenia w kółku zachowawczém nie przyszło; to natomiast drużyna młodych postępowców w guberniach południowo-zachodnich wzrosła, wzmocniła się i z pewną już samowiedzą swego położenia wystąpiła do boju w imię filozofii niezależnéj, i w imię poglądów demokratycznych. Antoni Sowa (Żeligowski) wydał głośny w swoim czasie poemat „Jordan"; petersburska młodzież zamierzyła wydawać nowe pismo p. n. *Gwiazda*, ażeby przeciwdziałać napaściom na rozum. W ogłoszeniu o tém nowém wydawnictwie, podpisaném przez Zenona Fischa, brzmiał już wyraźnie ton opozycyjny względem wszystkich zakamieniałych zachowawców wogóle a Rzewuskiego wszczególności.

[1]) „Pielgrzym" 1846, III, 189—204.

Postanawiając założyć nowy organ peryodyczny, przychylali się jego fundatorowie, jak powiedziano w prospekcie, „do rady kilku osób, dla których literatura nasza nie jest jeszcze martwą cyfrą w rzędzie innych literatur; którzy nie zgadzają się jeszcze na to (a na co już zgodziło się wielu), iż *lepiéj stać z opuszczonemi rękoma*, bezczynnie nade drogą, patrząc obojętnie na ogólny ruch i *postęp oświaty*, niżli odważyć się iść równolegle z niemi po swéj własnéj drodze...[1]) Pomimo tego tonu wszakże nie odważono się jeszcze pomijać firmy tak wówczas wziętéj jak Rzewuskiego i poproszono go o artykuł. Rzewuski nadesłał do Gwiazdy „Wyjątek z mojéj podróży do Włoch“, gdzie nie zaniedbał wyrazić swoich arystokratycznych opinij w sposób zarówno oryginalny jak bolesny dla takich demokratów, jakimi byli młodzi wydawcy i spółpracownicy nowego pisma. „Niechby kto pokazał podkowę — pisał tu między innemi — a złożył niezaprzeczone dowody, że ona była przybitą do kopyta rumaka Chodkiewicza w dniu, kiedy on gromił Szwedów pod Kircholmem: ta podkowa natychmiastby nabrała nadzwyczajnéj wartości i ceny; — a *potomek tegoż Chodkiewicza*, krew krwi i kość kości jego, nie miałby ceny wyższéj od téj, co ją mają wszyscy inni ludzie *gminni?* Przyznam się, że tego i nie rozumiem i nigdy rozumieć nie będę“ [2]).

Wprawdzie w następnym roku Albert *Gryf* w drugim numerze „Gwiazdy“ wykazał, że hrabia nie rozumie rzeczy bardzo prostéj, bo opierającéj się na różnicy martwego przedmiotu od osoby żywéj; — ale w pierwszym numerze nowego pisma nie śmiano uwagi téj zrobić. Zrobiono natomiast inne przez usta obdarzonego niepospolitą werwą pisarską Alberta Gryfa (Antoniego Marcinkowskiego), który

---

[1]) Ogłoszenie w „Tyg. Petersb.“ 1845, Nr. 65.
[2]) „Gwiazda“ 1846, str. 67.

w listach do Benedykta Dołęgi (Jakóba Jurkiewicza) śmiało wystąpił naprzód przeciw ciasnym empirycznym poglądom estetycznym Michała Grabowskiego, a potém przeciw przypiskom do „Listopada“. Gryf wyznawał, że „z grona osób zajmujących się u nas piśmiennictwem, *najwięcéj go zawsze pobudzał do myślenia* hr. Rzewuski, jakkolwiek jego zdania niezawsze podzielać mógł i jakkolwiek w każdym prawie jego artykule znajdowało się coś, o co powadzić się z nim musiał.“ I w „Listopadzie“ tedy uważał wiele myśli niezgodnych nietylko ze swojemi myślami, ale nadto z dziejami ludzkości. Zaczął więc wytykać te błędy, uzasadniając zarzuty swoje albo rozumowaniem, albo faktami... We wszystkiém zaś, co pisał, chodziło mu o przywrócenie należnych praw „samodzielności rozumu“ i filozofii swobodnie badającéj prawdę, bez więzów „jezuityzmu“ i wszelkiéj chińszczyzny. Radził zatém Rzewuskiemu, żeby przezwyciężył swój wstręt do filozofii i „raczył choćby za użyciem jakiego eliksyru przeciw ckliwości, zbliżyć się niekiedy do niéj; ona bowiem jako umiejętność ścisła uczy najlepiéj *gruntownego rozumowania*, które, że każdemu, zwłaszcza dla publiczności piszącemu na wiele i bardzo wiele przydać się może, o tém nikt nie wątpi“ [1]).

Cztery listy Alberta Gryfa, w pierwszym numerze „Gwiazdy“ zamieszczone, były prawdziwym manifestem młodzieży postępowéj. Cześć dla filozofii i swobodnego rozumowania, uwielbienie dla Trentowskiego, spółczucie dla ludu: oto główne punkta tego manifestu. Nie był on ani dokładnym, ani nawet zasadniczo umotywowanym, gdyż powstał przypadkowo z powodu luźnych artykułów i uwag, znajdujących się w „Tygodniku Petersburskim“. Ponieważ

[1]) „Gwiazda“ 1846, str. 242.

nie określał dokładnie swego stanowiska w kwestyi religijnéj, podawał zachowawcom broń w rękę, któréj użyć nie zaniedbali. Wszyscy młodzi postępowcy gubernij południowozachodnich, o ile z ich pism wnosić można, nie schodzili bynajmniéj ze stanowiska chrześcijańskiego; ale odebrawszy wykształcenie filozoficzne w duchu Hegla, chcieli naukę chrześcijańską podług własnego wykładać rozumu... Ta właśnie okoliczność zgubiła ich w opinii zachowawców. Wydawca „Tygodnika", Józef Przecławski, z sarkastycznym uśmiechem opowiedział w swém piśmie, jak niedowarzeni młodzieńcy nie mogąc ujrzeć artykułów swoich, a chcąc koniecznie doczekać się druku, założyli pismo jak „z nieustraszonością kominiarza poszli daléj po drabinie filozoficznéj naszego czasu", jak *zawiało* na nich potrosze Heglem, wpadło w rękę coś Trentowskiego, jak nadto niby umyślnie dla uzupełnienia ich edukacyi, Dumas, Sue, Sand napisali kilka bardzo złych książek, z których oni mądrość swą czerpali. Fischowi nie darował nawet grubiańskiego przygryzku, że w nim zaszła „metamofoza prowentowego na gwiazdowego pisarza..."

Ignacy Hołowiński zaś, kończąc swój artykuł przeciwko Trentowskiemu wymierzony: „O stosunku bezpośredniéj filozofii do religii i cywilizacyi naszéj", zarzucił Gwiazdarzom rozpowszechnianie bezbożnych doktryn, dążących do obalenia kościoła i to pod obłudną pokrywką jego dobra, gdy dochód z pisma swego na odbudowanie kościoła Niemenczyńskiego przeznaczyli; poczém dodał melancholicznie: „Co się tyczy naszéj w tych stronach nowéj opozycyi, niech nie rozpacza: ze śmiercią tych kilku u nas piszących wszystko ogłuchnie a prowincye nasze staną się tém, czém pragną ci nowi mędrcy, t. j. słabém, śmiesznem echem i niezręcznem po-

drzeźnianiem tego, co *w innych stronach* piśmiennictwa naszego prasy wytłoczą“ [1]).

Po takiém przyjęciu opozycyi przez zachowawców, nie można było rzeczywiście myśleć o zgodzie. Redakcyą „Gwiazdy“ objął Jakób Jurkiewicz, człowiek już niemłody, ale pełen zapału, nie bogaty ale niezależny i umiejący cenić swą niezależność, bez wydatnego stanowiska w społeczeństwie, bo był małoznaczącym urzędnikiem w Kijowię, ale nieposzlakowanéj prawości i zacności serca, niezbyt utalentowany, rubaszny wielce, ale śmiały i dosyć ukształcony. „Gwiazda“ zaczęła odtąd wychodzić w Kijowie i w każdym z trzech tu wyszłych numerów zawierała przeważną liczbę wycieczek przeciwko koteryi Tygodnikowéj. Najdzielniejszym zapaśnikiem swobodnego rozbioru był tu przez dwa lata Aleksander Gryf, który brał po kolei w swoje obroty to Rzewuskiego, to Grabowskiego, to Hołowińskiego, to nawet Kraszewskiego, który zresztą u Gwiazdarzy aż do czasu jego pogodzenia się z Tygodnikiem Petersburskim w końcu r. 1848 wzbudzał szczerą sympatyą i niedwuznaczne uwielbienie. Pijetyzm, jezuityzm, konserwatyzm pod jego barwném a giętkiém piórem wiły się jak węże oplatające swemi skrętami społeczeństwo, nie dozwalając mu ani swobodnie oddychać, ani iść naprzód. Obok Alberta Gryfa grupowali się Benedykt Dołęga (Jurkiewicz), Zenon Fisch, Karol Kaczkowski, Józef Percell i inni. Pisma Rzewuskiego ulegały tu krytyce szczegółowéj wprawdzie, ale dorywczéj; śmiano się z paradoksów, zbijano fałszywie przytaczane fakta, wytykano błędy w kompozycyi, lecz nie ogarnięto jednym rzutem oka wszystkich jego poglądów i nie poddano ich wyczerpującéj analizie. Toż samo powiedzieć można i o in-

[1]) „Tygod. Petersb.“ 1846, Nr. 86.

nych wydawnictwach opozycyi, a mianowicie o Lewiathanie Alberta Gryfa i o Pamiętniku naukowo-literackim Romualda Podbereskiego.

Opozycya zamanifestowawszy swoje *veto* na przekonania kółka konserwatystów, nie miała dosyć spójności ani wśród członków swoich, ani nawet w każdym z nich oddzielnie. Postępowcy pragnęli ulepszeń we wszystkich stosunkach społecznych, ale nie umieli sformułować swych żądań w całości, a co więcéj, w niektórych punktach byli chwiejni i widocznie przebywali jeszcze okres walk wewnętrznych z samymi sobą. Filozofia Trentowskiego, którą z początku powitali chórem uwielbienia, powoli ulegała krytyce niektórych samoistniejszych umysłów i nie mogła naturalnie zgromadzić pod swoim sztandarem rozproszonych po labiryntach umysłowych braci. Religia chrześcijańska, w któréj się wszyscy wychowali, stanowiła zawsze tło ich myśli, ale pod rozmaitemi kształtami się im przedstawiała; jedni trwając przy dogmatach i praktyce, chcieli tylko ostro występować przeciwko hierarchii duchownéj i potępiać jéj nadużycia; drudzy praktyki religijne za zbyt rutyniczne poczytując, pragnęli wielbić Boga „w duchu i w prawdzie“; inni wreszcie nie życzyli sobie walki w kwestyach religijnych wogóle, lecz dążyli do zastosowania ideału chrześcijańskiego w życiu. Gdy do pierwotnych wpływów wychowania przyłączyło się następnie po lutowéj rewolucyi paryskiéj działanie reakcyi, umysły najgwałtowniejsze przed kilku laty, które najgłośniéj w imię filozofii bezpośredniéj występowały, naprzód zakazały sobie przemawiać publicznie, a potém z zupełnie przeciwnemi dały się słyszeć przekonaniami. Ten tak odważny i na nic nie zważający Albert Gryf, przybrawszy drugi pseudonim (Antoni Nowosielski), poddawał w kilka lat potém pisma swoje filozoficzno-krytyczne pod cenzurę duchowną i na cały głos wołał o szkodliwości filozofii bezpo-

średniéj wogóle a Trentowskiego wszczególności. Za nim, jak wierny satelita poszedł Zenon Fisch. Jeden tylko Jakób Jurkiewicz (Benedykt Dołęga) nie zmienił swego stanowiska, nie połączył się z tymi, przeciwko którym dawniéj walczył i w rzadko przerywaném milczeniu dobiegł kresu dni swoich.

Opozycya nie wytrzymała próby czasu, nie miała więc widocznie silnego gruntu w swojém społeczeństwie i pod parciem wpływów otoczenia musiała uledz, spaliwszy kilka świetnych fajerwerków myślowych. Działalność jéj jednak nie może się uważać za zupełnie bezskuteczną; w połączeniu bowiem z innemi czynnikami przyczyniła się do zdyskredytowania jednostronnego a raczéj krańcowego kierunku konserwatywnego, jaki przedstawiała koterya Tygodnikowa a mianowicie Henryk hr. Rzewuski.

V.

Już to samo, że „Listopad“ pobudził tyle umysłów niepospolitych do zastanowienia się nad poglądami w nim zawartemi i wywołał ruch krytyczny oddawna niepamiętny, nadaje mu znakomitą wartość dziejową; gdyż silnie nakreśla jego stanowisko w rozwoju naszéj literatury powieściowéj i czasowéj. Gdyby jednakże tę tylko wartość posiadał, nie potrzebaby było po tém, co się powiedziało, dłużéj się nad nim rozwodzić. Ale „Listopad“ był jeszcze i to przedewszystkiém utworem sztuki, pierwszą znakomitą próbą przedstawienia dziejów wewnętrznych społeczeństwa naszego w wieku XVIII za pośrednictwem rozległego powieściowego obrazu. Rzewuski nie zadowolnił się kreśleniem sylwetek, lecz chciał je w ruch wprawić i zarysy ich wśród działania wydatniejszemi uczynić.

W „Listopadzie“ stają przed wyobraźnią naszą dwa żywioły cywilizacyi polskiéj XVIII stulecia: żywioł staropol-

ski, oparty silnie na religii i tradycyach domowych, i żywioł reformatorski, który chciał zaprowadzić nieodzowne zmiany zarówno w ustawie politycznéj jak i w obyczajach. Z prawdziwie artystycznym rozmysłem ugrupował Rzewuski przedstawicieli obu tych czynników życia społecznego. Na pierwszym planie postawił dwu braci Strawińskich, którzy wśród odmiennych wychowani stosunków, odmiennych też nabrali nawyknień i przekonań... Ludwik wykształcony na dworze króla Stanisława Leszczyńskiego w Lunevillu, następnie oficer w wojsku francuskiém, późniéj piękny i powodzeniem cieszący się kawaler na dworze wersalskim; musiał oczywiście zostać zwolennikiem nowych idei i patrzyć zgóry na zbyt prostackie i zbyt anarchiczne stosunki krajowe. Był to umysł bystry i widział dokładnie chociaż przez szkło przekonań swoich, rzeczywisty stan umysłów w kraju, a w listach swoich, pisanych dowcipnie, umiał wykazać całe bogactwo swego daru spostrzegawczego i swego żartkiego rozumu. Skłonność atoli do dowcipkowania i szydzenia, połączona z pewną lekkomyślnością, nie dozwalała mu zająć się naseryo sprawami kraju; znał jego niebezpieczeństwo, ale na środki zaradcze nie chciał się zdobywać, woląc używać niż leczyć, bawić się niż suszyć mózg rozmyślaniem. Chwytał w lot śmieszności prowincyi i potrafił je bardzo zręcznie przed innemi opisać; ale działaczem społecznym przy owéj lekkomyślności i braku energii zostać nie mógł. Szlachetność jego była nieskazitelna, honor nieposzlakowany, ale w rozumieniu ówczesnych reformatorów luźność obyczajów nie robiła plam na honorze a bałamucenie płci pięknéj blaskiem sławy okrywało postać uwodziciela. Uwodzicielem jednak Ludwik nie był; on tylko pokochał narzeczoną brata, nie chcąc stawiać zapór popędom swego serca, lecz pokochawszy nie porzucił jéj, owszem poślubił. Umiejętność życia, elegancya we wszystkich ruchach i pozach

czyniły z Ludwika ulubieńca salonów i zjednywały mu natychmiastowo przyjaciół. Piękne to ciało i bystry umysł, odznaczające wykwintnego salonowca, nie wytworzyły wielkiego obywatela; wina to po części autora, po części zaś moralnéj strony bohatera. Autor nie postawił go na stanowisku takiém, któreby mu pozwoliło czynność swoję na obszerniejszą skalę rozwinąć, nie wprowadził go ani na sejm ani na pole walki i całą jego działalność zacieśnił do komnat dworskich i podróży po kraju. Z drugiéj strony brak hartu duszy nie dozwalał Ludwikowi do rozwinięcia nawet w tym zakresie jakiéjś potęgi moralnéj, któraby go odcechowała jako bohatera w życiu prywatném; a gdy przyszła nań chwila niepowodzenia, nie potrafił znieść jéj z godnością, lecz upadłszy na duchu, samobójstwem zakończył. Było to zjawisko świetne, ale nikłe, jaśniejące blaskiem powiewnym, ale nie mające w sobie niewyczerpanego źródła żywotności.

Brat jego Michał jest już naszym dobrym znajomym. W „Pamiątkach Soplicy“ widzieliśmy jego pierwowzory zarówno w samym opowiadaczu, jak i w licznych sylwetkach, które tam autor przedstawił. Odziedziczywszy po ojcu charakter stały i poważny, odebrawszy staropolskie wykształcenie w konwikcie oo. jezuitów nieświeskich, odbywszy praktykę u rejenta, został naprzód jurystą, potém żołnierzem a zawsze sługą Radziwiłłowskiego domu. Dla niego wszystko co stare, tém samém dobre i szacowne było; w obronie starego porządku rzeczy stawał ochoczo do walki, ilekroć patron jego Radziwiłł dawał mu w tém przykład. Pobożność jego szczera, ale głównie na wykonywaniu zewnętrznych praktyk religijnych zasadzona. Sumienny w wysokim stopniu, nie chciał korzystać z gniewu ojca na swego brata i podzielił się z nim majątkiem, chociaż na mocy testamentu sam go mógł zagarnąć. Uczucie swoje skrywał głęboko w sercu, nie okazując po sobie, że ma serce tkliwe

i stałe; gdy go narzeczona dla brata porzuciła, zniósł tę smutną niespodziankę z rezygnacyą, ale już nie szukał dla siebie towarzyszki życia, a Zosi nietylko nie nienawidził, lecz jéj z całego serca przebaczył. W ofierze temu, co za swój obowiązek poczytywał, przyniósł własne życie bez ostentacyi i deklamacyi, prawdziwie po bohatersku. Od ogółu szlachty wyróżniała go małomówność i brak téj rubasznéj fantazyi, co to wszystko łatwém do wykonania widzi; w postępowaniu owszem swojém i słowach kieruje się rozwagą i trzeźwym rozsądkiem. Stąd też występy jego na scenie powieściowéj nie mogą wywołać efektu; znajdują one tylko ciche i spokojne uznanie jako coś szlachetnego i poczciwego, ale dosyć pospolitego. Sama śmierć tylko wzrusza głęboko i jedna dla niego uwielbienie. Jako obywatel ma on obszerniejsze pole działalności niż brat jego: będąc jednakże ręką tylko magnata a nie samoistną głową, miesza się pod względem obywatelskim z tłumem szlachty posłusznéj na skinienie Radziwiłła Panie Kochanku... W rozprawy i kombinacye polityczne nie wdając się, słucha jedynie tego, co mu przywiązanie do domu patrona podszeptuje. „W moich postępkach — mówił on — *nigdy* nie mam obyczaju *brać rzeczy na rozum*; robię, co mi każe sumienie, a *na przyszłość się nie oglądam*, robię, co Bóg każe, a na niego najlepiéj złożyć staranie“. Był to zatém człowiek uczciwy i szlachetny, ale krótkowidzący, w życiu prywatném mógł być wzorem, w życiu publiczném — tylko ofiarą. Jak cechą ujemną Ludwika nazwać musimy brak hartu duszy, tak wadą Michała jako działacza społecznego była bierność.

Obok tych dwu naczelnych postaci ukazują się na drugim planie z jednéj strony król Stanisław Poniatowski i dwór jego, a z drugiéj książę Karol Radziwiłł ze swymi klientami. Król Stanisław jest eleganckim, wykształconym wielbicielem sztuk i kobiet pięknych, ale lekkomyślnym i słabym rządcą

poddanych; książę Karol jest cudackiém bożyszczem Litwy, kapryśném i fantastyczném dziwowiskiem, któremu poczciwa i dobrze karmiona szlachta z rozwartemi przypatrywała się ustami, mając szable w pogotowiu; bożyszcze to miało bezwątpienia pewne przymioty, ale nie obfitowało w zapasy rozumu a okiem wodziło tylko po granicach nieświeskiego państwa.

W rozwinięciu tego drugiego planu przedstawił autor grupy pomniejsze, z właściwą charakterystyką osób pojedyńczych. Więc po stronie króla Stanisława zarysował parę intrygancką: szambelana Gintowta i kasztelanową inflancką; po stronie księcia — jenerała Kunickiego, wzór pobożności staropolskiéj, która nie rozumowała, ale klepała modlitwy ziewając, a przysłuchiwała się kazaniom drzemiąc, i Zosię, wzór posłusznych i niewinnych dziewcząt, które dawszy się nawet porwać popędowi namiętności, umieją ją utrzymać na wodzy, krzepiąc się religią, rezygnacyą i poddaniem się woli Opatrzności. Rozumie się, że obok nich istnieje jeszcze cały chór postaci na dwie rozdzielony części. Z tego chóru oryginalnością wydobywają się dwa głosy duchownych: bernacha Kleofasa i księdza Prospera. O. Kleofas to ksiądz staropolski obfitujący w dykteryjki, w rubaszne porównania i dowcipy, poufały z panem Bogiem i świętymi, niewdający się w głębokie rezonowania, ale mający na zawołanie jakiś tekst z Pisma św., którym przeciwników z łatwością pokonywa. Ksiądz Prosper jest już kapłanem nowszego pokroju; znając pojęcia spółczesne walczące przeciw wierze, nie może się ograniczyć cytowaniem Pisma św., lecz musi sięgnąć po skarby wiedzy i zastosować je do obrony religii, wchodzi on w kompromis z naukami i obyczajami świeckiemi i gotów tłómaczyć niektóre ustępy Pisma św. w sposób allegoryczny a nie literalny. Jeżeli jednak w niektórych punktach jest wyrozumiały, w innych przestrzega przepisów wiary z całą

ścisłością, a modlitwy jako mechanicznego klepania pacierzy pochwalić nie może. Jestto ksiądz wyższego świata, rozmowny i gładki, ale lubiący mówić o ważności swego kapłańskiego powołania i przypominać przytomnym, że on długie i głębokie studya teologiczne odbywał... Anegdotki allegoryczne, pewne świątobliwe pozowanie, zapuszczanie się w kwestye subtelne i kazuistyczne, brak szczerości — oto zasadnicze cechy księdza Prospera.

Na ostatnim wreszcie planie umieścił autor podrzędne powieściowe figury: trefnisia Wazgirda, którego poetą narodowym nazywa, wiernego sługę Skołubę, odznaczającego się bezgranicznem, ślepém przywiązaniem do pana, przebiegłością i rozumem praktycznym w sprawach codziennego życia, a wreszcie cyniczną parę szynkarzy Jewkę i Kieścia. Wszystkie te postaci kreślone są rysami większéj dosadności aniżeli nawet aktorowie naczelni, tak że ich miejsce w wyobraźni czytelnika jest stale zapewnione. Szczególniéj udał się Skołuba, sprytny wyżeł rodzaju ludzkiego, tak doskonały, że Rzewuski chcąc późniéj podobną istotę przedstawić w dalszych powieściach, musiał się powtórzyć, a tak naturalny, że niepodobna nie uwierzyć w jego istnienie.

W rysunku charakterów Rzewuski był mistrzem: wszystkie jego osobistości są plastyczne, pełne życia i ruchu, a wielce przedmiotowe tak, że zdają się oddzielać od fantazyi pisarza i przeniesione na papier, byt samoistny prowadzić. Wiemy np. aż nadto dobrze, po któréj stronie zostaje sympatya Rzewuskiego, gdyż nie zapomina nas o niéj powiadomić w przypiskach; a mimo to w obrazie samym, kiedy się go rozważa bez objaśniających komentarzy, osoby tak są samoistne, że z ich słów, fizyognomii i czynów możemy zupełnie odmienne niż autor wyciągnąć wnioski i własne podłożyć tłómaczenie pod tekst oryginalny. Sam Rzewuski w przedmowie do „Listopada“ kładzie wyraźny na-

cisk na to, że chciał być zupełnie bezstronnym i przedmiowym. „W obu stronach — powiada — zachowałem równą szlachetność uczuć i postępków; w téj walce opinij, jak w jednym, tak w drugim obozie zapaśnicy są pełni przymiotów; żadną obłudą kunsztu nie chciałem popierać zasad, do których czuję się być skłonnym“. Autor uczynił nawet więcéj, niż obiecał: nie same bowiem cnoty, ale i wady w bohaterach swoich wyraźnie dał poznać. Jeżeli strona reformatorska w życiu obywatelskiém grzeszy lekkomyślnością i niewłaściwą oceną ludzi, których pragnie przemienić, to strona zachowawcza natomiast razi nas ciasnotą pojęć i brakiem prawdziwego zapału dla sprawy, którą za świętą uważała. Sam Michał nie pokładał żadnéj ufności w skuteczny rezultat walki i przygotowany był jedynie i wyłącznie do cierpienia, do rezygnacyi. Jakiekolwiek więc byłyby uczucia osobiste i przekonania społeczne czytelnika, zawsze w obrazie osób występujących w „Listopadzie“, będzie zmuszony podziwiać pewność i trafność rysów. To oddanie osobistości artystycznych jako istot istniejących same przez się, bez podpory autorskich poglądów, stanowi największą zaletę powieści Rzewuskiego.

W kompozycyi autor „Listopada“ nie okazał natomiast wielkiéj potęgi. Środkiem, do którego zbiegają się wszystkie efekta powieściowe, jest z początku Zosia, potém konfederacya barska. Tym sposobem „Listopad“ rozpada się jakby na dwie części, pod względem artystycznym dość luźno spojone. Pierwsza część jest przeważnie natury prywatnéj, druga — publicznéj. Zosia, jako panienka nie odznaczająca się niczém od tłumu panienek pobożnie po domowemu wychowanych, choć niewiele budzi interesu, wplątawszy się jednak w sprawę dramatyczną z powodu miłości do niéj obu braci, przedstawia w każdym razie możność skupienia około niéj całéj grupy obrazków, mających być odbiciem

dwu stron społeczeństwa. Ale od czasu jak wyszła za Ludwika, przestaje już być węzłem powieściowym, schodzi na plan dalszy, gdy tymczasem konfederacya barska, a mianowicie jeden jéj epizod, myśl porwania króla i próba jéj wykonania, staje się głównem ogniskiem ruchu. To rozpołowienie intrygi, którą można było ściśle zjednoczyć, psuje harmonią całości artystycznéj, gdyż pozbawia ją jedności, podtrzymywanéj jedynie tożsamością osób wchodzących do pierwszéj i drugiéj części, nie zaś zogniskowaniem ich około téj saméj sprawy.

Sposób opowiadania Rzewuskiego odznacza się swobodą i rozległością: ale brak mu dramatycznéj żywości. Ponieważ niema nigdzie powtarzania; ponieważ ciągle spotykamy sceny, przedstawiające nową stronę charakteru osób powieściowych; opowiadanie ciągnie się powoli wprawdzie, ale bez rozwlekłości. „Listopad“ jestto powieść naśladująca pochód poematów epicznych: zarys zwyczajów i obyczajów, fizyognomij, słów i czynów gra w niéj rolę przeważną; gdy tymczasem akcya rozwija się wspaniale, ale zwolna, nie budząc gorączkowego oczekiwania, lecz spokojne zadowolenie z widoku ludzi zajmujących swoją osobistością, nie zaś okolicznościowemi, niezależnemi od ich woli wypadkami.

Autor „Listopada“ nie lubi analizować głębi duszy, ale zna doskonale wszystkie jéj poruszenia i zamiast rozprawiać o tajemnicach psychicznych *a parte*, wydobywa je na wierzch o tyle, o ile w rozmowie, w liście lub w czynie uwydatnić się mogły. Metoda ta postępowania możeby nie wystarczyła, gdyby szło o zobrazowanie tak zwanych charakterów nadzwyczajnych, głębokich, niezrozumiałych dla tłumu; ale osobistości, które Rzewuski wprowadził na widownią w „Listopadzie“, nie należą do téj kategoryi. Nietylko bowiem natury tak proste jak Michał i jemu podobni, ale nawet o wiele rozleglejszego umysłu ludzie, jak brat jego, nie posiadały téj niezmierzonéj otchłani, którą odkrył dopiéro Faust i poe-

mata Byrona, i mogły być w zupełności zrozumiane i odczute bez potrzeby osobnych rekomendacyj ze strony autora.

Scenowanie w romansie nie jest rzeczą tak podrzędną, jak myślą niektórzy, co lubią urywkowemi, nierozwiniętemi scenami operować; rozumiał to wybornie Rzewuski i każde zebranie kilku osób, każde wystąpienie pojedyńczéj na widowni powieściowéj umiał wyzyskać szeroko, nie chcąc ani na chwilę przerywać sceny dla rzekomego podtrzymania interesu. A jak świetne są te sceny! Jaka barwność i charakterystyczność rozmowy! Jaki dowcip w ustępach przedstawiających ludzi dowcipnych! Jaka naturalność w pozach i sytuacyach! W listach i rozmowach starosty wieluńskiego (Ludwika) znać istotnie wychowańca Lunewillu i bywalca w Wersalu; tak samo jak w gadaninie księcia Karola, Wazgirda, Skołuby itp., jakąś jędrną rubaszność i przyjemną pełność, która przecież nie przeradza się w jałowe gawędziarstwo. Dyalog na dworze króla i w salonach warszawskich cechuje żywość i dowcip. Nawet braki talentu Rzewuskiego wyszły na dobre osobom przezeń stworzonym. Rzewuski nie umiał przemawiać językiem serca; a kiedy chciał odmalować namiętne wybuchy miłości, wpadł w deklamacyjną i nieznośną patetyczność. Otóż patetyczność ta, która nas razi w miłosnych rozmowach i w niektórych monologach „Zamku Krakowskiego“, zupełnie jest na miejscu w „Listopadzie“, kiedy przemawia Ludwik do Zofii i nawzajem. Albert Gryf gorszył się temi dyalogami. „Trudno doprawdy uwierzyć — pisał — jak mógł Starosta wytrwać w serdecznéj swojéj inklinacyi ku pannie, która jak lalka wyuczona, ciągle jeno zdobywa się na sentymentalne: *ach! ach, niestety? okrutny! wzdrygnąłbyś się życie mi odebrać, a nierównie większą krzywdę chcesz mi wyrządzić. Ach Ludwiku, cóż chciałeś wyrzec!!* itp. Wieluński snać podrzeźniając jéj, mówi tymże tragicznym tonem: *Ach Zofio! utapiasz*

puginał w serce moje! i tym podobne niedorzeczności. Następnie Zofia w desperackim stanie częstuje go moralną nauczką: *miłość twoja nie oparta na szacunku jakąż rękojmię trwałego szczęścia-by mi dała?* daléj woła w ekstazyi: *broń mię ode mnie saméj, weź w opiekę sławę moję.* Z taką kochaną oszalećby przyszło! I Ludwik ją wykrada. Ludwik? ów lew Wersalu? a co dziwniejsza tak się zakochał w Zosi, że ją wychwala szczerze, nie żartem wychwala z rozumu!! Już to jedno dowodzi, że musiał się zakochać szalenie“ [1]). Istotnie, gdyby w romansie jakim z wieku np. XVI, albo z czasów dzisiejszych wystawiono parę kochanków tak gruchającą jak wyżéj, uśmiechnęlibyśmy się z naiwności autora, któryby sądził naprawdę, że istotnie w podobnych słowach rozmawiano. Atoli zważyć potrzeba, że akcya „Listopada“ odbywa się około r. 1771, tj. w czasie, kiedy Nowa Heloiza Roussa przebiegła wszystkie kraje Europy i zaszczepiła gust do słów tragicznych, do wykrzykników, do tego nadmiaru uczucia, który nie mógł płynąć spokojnie, ale wylewał się po brzegach i prądem swoim zmiatał placówki rozsądku. Ta patetyczność jest rzeczą tak naturalną w ówczesném wyższém społeczeństwie, że bez niéj nie możnaby było mieć należytego pojęcia o kolorycie jego rozmowy. Ale może Zosia, wychowana po staropolsku, powinna była zachować większe umiarkowanie? Trudno rzecz tę stanowczo rozstrzygnąć, gdyż nie wiemy, czy Zosia czytała Nową Heloizę, czy nie; w każdym jednak razie staropolskie wychowanie płci niewieściéj nie wykluczało czytania romansów, a choćby z Koloandra i Leonildy mogła się Zosia wytartych dziś a wówczas świeżych jeszcze wyuczyć frazesów. Ażeby słusznie ocenić owe rozmowy, należy pamiętać o sentymentalném usposobieniu wyższych warstw społecznych, naszki-

[1]) „Gwiazda“ N. 2 (r. 1847) str. 239.

cowaném w pierwszych rozdziałach „Przypadków Mikołaja Doświadczyńskiego“, a tak jaskrawo odbitém w sielankach Karpińskiego... Również naturalną wydaje mi się rzeczą, że Ludwik, ów lew Wersalu pokochał się w skromnie wychowanéj panience, gdyż przesycony zapachami sztucznych kwiatów, które dość długo w konwencyonalnym świecie podziwiał, musiał zostać odurzony wonią prostego, ale naturalnego kwiatka swéj ziemi rodzinnéj; zakochanie się, zabawa w sielankę nie przesądza jeszcze przyszłości i nie wiadomo, czyby Ludwik długo był wiernym swéj Zosi, gdyby dłużéj z nią pożył... Rzewuski, przedstawiając patetycznie miłość w „Listopadzie“, nie zwracał może uwagi na wyszczególnione tu okoliczności; ale idąc za właściwym sobie trybem tworzenia scen miłosnych, który gdzieindziéj byłby wadliwy, w tym właśnie utworze okazał się najskuteczniejszym i najlepiéj artystycznie obmyślanym.

Czy Listopad daje nam zupełnie wierny i zupełnie dokładny obraz społeczeństwa naszego w drugiéj połowie XVIII stulecia? Gdyby tak było w rzeczy saméj, to utwór ten nabrałby niezmiernéj doniosłości — stawałby na równi z epopejami. Tak jednakże nie jest: nie przedstawia on nietylko wszystkich stron życia społecznego, ale nawet nie wyczerpuje w ograniczonym okresie całości stanu moralnego i politycznego.

Waleryan Wróblewski zarzucał Rzewuskiemu, że nie wystawił szlachcica niezależnego, nie będącego w usługach magnata, a powtóre wychowańca szkół Konarskiego, któryby był pobożny jak jenerał Kunicki, a nienawidził anarchii, i stał się przez to przedstawicielem dążeń reformatorskich w duchu swojskim na podstawie tradycyi. Według niego bowiem „gdyby druga połowa młodzieży polskiéj, w XVIII wieku nie była w ręku jezuitów, można było dokonać reformy politycznéj i odrodzić się życiem miejscowéj swojszczyzny, bez

przyzywania w pomoc zagranicznego apostolstwa“ [1]). Ale Wróblewski nie podał przykładu takiego reformatora i sądził, że należałoby go stworzyć siłą wyobraźni... Istotnie, starosta wieluński nie zawiera w sobie tych cech, jakie można upatrzyć w kilku przedstawicielach kierunku reformatorskiego (Andrzéj Zamojski, Stanisław Małachowski); ale jako charakterystyka przeciętnego ogółu jest trafna, cokolwiek tylko za pochlebna. Wogóle mówiąc, obraz przedstawiony w Listopadzie nie zawiera zepsutych, zgangrenowanych żywiołów społeczeństwa polskiego; zbyt słabo piętnuje domatorstwo i egoizm tłumu szlacheckiego; nie daje nam postaci ludowych a pierwiastek mieszczański w wyrzutkach tylko społecznych maluje; dlatego też zupełnie trafnym i zupełnie dokładnym nazwać się nie może. Co więcéj rozważany nawet w swoim ściśle określonym zakresie, jak go autor pomyślał, zbyt widoczną wykazuje jednostronność na korzyść życia prywatnego. Stosunki polityczne zbyt tu są ogólnikowo i jakby mimochodem skreślone (być może bez winy autora) a odnoszą się przeważnie do spraw wewnętrznych; stosunek zaś kraju naszego do mocarstw ościennych, działalność sejmów, agitacya stronnictw są zaledwie dotknięte. Nie jestto więc „objawienie“ przeszłości całkowitéj, jak głosili bezwarunkowi chwalcy, ani też utwór bez inwencyi, jak twierdził w pierwszym zapale oburzenia Albert Gryf; ale jest to piękny, pełen plastyki obraz *niektórych* stron życia społecznego w drugiéj połowie XVIII wieku, obraz wykonany ze znakomitym talentem co do charakterów i scen pojedyńczych, z mniejszym — co do układu całości czyli kompozycyi artystycznéj; i jako taki pierwsze miejsce wśród tego rodzaju utworów literatury zajmujący — z powodu swéj chronologicznéj pierwszości.

---

[1]) Athenaeum J. I. Kraszewskiego, rok 1846, tom 6-y str. 247.

W dalszych powieściach historycznych zalety nie zwiększały się, a wady kompozycyi i dziejowego poglądu występowały jaskrawiéj. Charakterystyka mianowicie drugorzędnych postaci prawie zawsze mistrzowska, koloryt wieku nieraz chybiony, wypadki dziejowe dowolnie przeinaczone, a układ całości nierównomierny, nieskoncetrowany i luźny.

Pokazało się to zaraz w najpierwszym po Listopadzie utworze — w „Zamku Krakowskim“. Waleryan Wróblewski, rozbierając rodzaj talentu Rzewuskiego, wyraził powątpiewanie, czy on zdoła się popisać w obrazie innego wieku jak XVIII; „im się bowiem daléj posuwamy w naszę przeszłość, tym szlachta staje się niepodleglejszą a tém samém nie tak w humorze poety, nie taka, jakąby rad stale widział“ (Ath. 1846, VI, 226). Rzewuski, jakby dla przekonania, że powątpiewanie to było niesłuszne, odrazu przeniósł się do wieku XVI i za przedmiot swojéj powieści wybrał temat, który niegdyś wywołał świetną improwizacyą dramatyczną Adama Mickiewicza. Osnową bowiem „Zamku Krakowskiego“ jest historya Samuela Zborowskiego, młodzieńca odznaczającego się gwałtownością i popędliwością, ale obdarzonego wielkiemi przymiotami ciała i duszy. Uciekłszy dla uniknienia niemiłego małżeństwa na Ruś między kozaków, walecznością swoją sprawił to, że został wybrany ich atamanem. Razu pewnego ocalił od napaści i rozboju synowicę księcia siedmiogrodzkiego, Stefana Batorego, ku któréj namiętną przejął się miłością... Wówczas w Polsce po śmierci ostatniego Jagiellończyka wybrano na króla Henryka Walezyusza, który urządził świetny turniéj rycerski pod Krakowem. Na tym turnieju Samuel został zwycięscą, ale przez brak panowania nad sobą obraził Tęczyńskiego. Powstała stąd obustronna niechęć, któréj skutkiem było wydobycie oręża wobec króla i zabójstwo Wapowskiego, co z rozkazu

króla chciał rozlewowi krwi zapobiedz. Samuela skazał król na wygnanie i pod karą miecza niewolno mu było pokazywać się w kraju. Wówczas bohater ten udaje się na dwór Batorego i usiłuje pozyskać serce Gryzeldy, owéj synowicy księcia, którą z pierwszego wejrzenia pokochał, ale napróżno wzajemności się dobijał. Tam bezczynnie rok cały strawił. Tymczasem w kraju zaszły ważne zmiany. Henryk uciekł do Francyi a na jego miejsce obrano Stefana Batorego. W poselstwie do niego z oznajmieniem elekcyi znajdował się między innymi Jan Zamojski, coraz większego wpływu wśród szlachty nabierający, i u Stefana Batorego całą ufność pozyskał. Wielkie wypadki dziejowe (wojna z Moskwą) powołały do broni wszystkich prawych obywateli. Samuel za namową krewnych swoich i Zamojskiego udał się razem z innymi na plac boju i świetnemi odznaczył się czyny. Ale po skończonéj wyprawie chciał koniecznie powrócić do kraju, tém bardziéj gdy się dowiedział, że Gryzelda wyszła za Zamojskiego. Odtąd przejął się nienawiścią dla tego męża i pomimo ostrzeżeń, za radą zdradliwego niemca Winrycha, przyjechał do Krakowa i publicznie Zamojskiego znieważył. Ten puścił mimo siebie urazę a nawet, chociaż jako starosta krakowski miał prawo uwięzić i skazać na śmierć Samuela, starał się go skłonić do ucieczki. Napróżno. Winrych sprowadza podstępem Zborowskiego do pani Wapowskiéj, która go oddaje w ręce sprawiedliwości. Zamojski musiał spełnić wyrok, ale przed ścięciem starał się i uzyskał przebaczenie niewładnącego sobą awanturnika.

Jak widzimy, świetna to była treść zarówno pod indywidualnym jak i ogólnym względem. Charaktery osób, położenie ich, pierwsza w Polsce elekcya, walki protestantów z katolikami, świetna wojna na północy — to znakomity materyał nietylko do powieści historycznéj, ale i do epopei. Rzewuski w bardzo małéj mierze materyał ten zużyt-

kował. Utwór jego jest opowiadaniem, swobodnie treść rozprowadzającém, ale nie romansem skupionym około jakiéjś idei wielkiéj lub niepospolitego charakteru. Brak mu skupienia, w którémby się zestrzeliwały wszystkie rozproszone promienie wypadków dziejowych. Charakterystyka tylko udała mu się wybornie; ale w podrzędnych przeważnie postaciach. Humiecki, Zdora, Falendysz — oto figury pełne życia, pełne plastyki. Zamojski natomiast wygląda sztywno, a rysunek jego przedstawia się niewyraźnym, jakby czémś przysłoniętym. Gryzelda, pomimo niektórych rysów charakterystycznych jako to: odwaga i determinacya; jest zanadto bierną istotą jak na bohaterkę romansu. Samuel nawet zostaje w cieniu; i tylko jego niepomiarkowaną gwałtowność a żar uczuć widzieć możemy na scenie; co więcéj, nie brak mu śmiesznéj melodramatyczności z powodu, że autor namiętne wybuchy tylko w sposób deklamacyjny oddawać umiał.

Waleryan Wróblewski chciał widzieć w „Zamku Krakowskim“ zamiar wykazania, że idea protestantyzmu nie była zgodna z duchem narodu, gdyż politycznie rozrywała państwo, a moralnie zarażała wewnętrzną żywotność społeczeństwa. W tym celu podniósł postaci Marcina Zborowskiego, starego Zdory i Ezechiela do godności przedstawicieli idei protestanckiéj. Ezechiel n. p., według Wróblewskiego, to rycerz swojéj epoki; potém jestto duch niepodległy, wolniejszém wychowaniem szkół protestanckich bardziéj jeszcze urosły: i nakoniec jestto żołnierz z rzemiosła nie zaś z obywatelskiego powołania, co mu się także na karb protestantyzmu położyć może; jestto jeden z tych, którzy powiadają lub niebawnie powiedzą, że ojczyzna jest im namiot [1]).

---

[1]) Athenaeum 1848, III, 145–185, a mianowicie str. 180.

Rzewuski widział istotnie same ujemne strony w protestantyzmie i przekonanie swoje w rysunku charakterów uzmysłowił, ale zanadto słabo w całości utworu je uwydatnił, ażeby ono mogło mu nadać tak doniosłe znaczenie jak chce Wróblewski. Owszem, protestantyzm wchodzi do „Zamku Krakowskiego“ małą jedynie furteczką i nie sprawia w nim wielkiego ruchu. Prócz tego zanadto niedokładnie znał Rzewuski wiek XVI, ażeby się mógł pokusić o zobrazowanie prądów politycznych i moralnych, pobudzających świetne i różnobarwne życie tego stulecia. Do jakiego zaś stopnia Rzewuski nie liczył się ze ścisłością historyczną i spuszczał się na zawodną pamięć, dość odczytać wyliczenie dostojników Rzeczypospolitéj, zebranych u Marcina Zborowskiego, ażeby się o tém naocznie przekonać.

Dowolność w ustawianiu wypadków, w przemianie nawet wielkich zdarzeń dziejowych i wzajemnego stosunku osób do siebie jaskrawiéj jeszcze niż w „Zamku Krakowskim“ występuje w „Adamie Śmigielskim“ (1850) [1]). Treścią tego opowiadania są dzieje sławnego a śmiałego partyzanta, który usługi swoje najprzód Augustowi II, a potém Stanisławowi Leszczyńskiemu ofiarował. Otóż Rzewuski przedstawiając te dwie fazy zawodu partyzanckiego, wystawił Śmigielskiego poplecznikiem sprawy Augusta II wtedy właśnie, kiedy on już przeszedł do Stanisława Leszczyńskiego, a historyą jego stosunku do Józefa Potockiego, wojewody kijowskiego, całkiem w inném wystawił świetle, niż ją dzieje pokazują. Tak samo jak z głównym bohaterem, postąpił sobie z innemi osobami i zdarzeniami; u niego np. konfederacya sandomirska składa się z samych tchórzów,

[1]) Jestto czas napisania; z druku wyszedł r. 1851. Taż sama uwaga odnosi się do innych dat, które przy tytułach powieści kładę.

a nawet socyalistycznych wichrzycieli, w dodatku zaś popiera sprawę Stanisława Leszczyńskiego!... Na niewieleby się przydało, gdybym szczegółowo wytknął błędy historyczne, zawarte w „Adamie Śmigielskim“, boć go przecie nikt rozsądny za źródło swych pojęć dziejowych nie weźmie; ograniczając się zatém ową ogólną wzmianką o fałszywém świetle, jakie rzuca na czasy znanéj wojny północnéj, powiem słów kilka o budowie artystycznéj tego utworu. Układ jest wielce nierównomierny: do połowy bowiem opowiada Rzewuski o dzieciństwie i młodości swego bohatera, a treść główna rozwija się dopiero w drugiéj połowie. Charakter raźnego chłopca, zuchwałego młodzieńca i zdolnego dowódcy, jakim był Śmigielski, utrzymany jest znakomicie. Wojewodzianka Zosia, jak wszystkie postaci kobiece Rzewuskiego, jest figurą bladą. Inne główne postaci są zaledwie naszkicowane; poboczne natomiast, jako to: ojciec Śmigielskiego Zacharyasz, polak-tchórz, Dunikowski, rębacz zawołany i służbista, Kukawski, poeta nadworny kroju klasycznego, należą do najznakomitszych kreacyj naszego autora. Jak w życiu narodu widzi Rzewuski najlepiéj i maluje najtrafniéj stronę domową, obyczajową, a poczęści wojskową, nie umiejąc wznieść się do obrazowania wielkich stosunków politycznych; tak téż w rysunku postaci, w ich charakterystyce, niższe umysłowo osobistości lepiéj mu się udają od wyższych.

Budowa artystyczna „Rycerza Lizdejki“ (1851) ma mniejwięcéj ten sam charakter co i budowa poprzednich utworów. Rozpada się ona na dwie połowy: w pierwszéj (aż do wyjazdu Haraburdy z Odyńcem w drogę ku Dolskowi i pobytu ich na dworze Dorohostajskiego) istnieje ciąg nieprzerwany; druga natomiast jest mozajką kilku epizodów (obóz Lizdejki, bitwa pod Potuszą, opowiadanie Eleonory o miłości swojéj dla Gaskolda, wyratowanie jéj przez tegoż z rąk kozaków,

zemsta Dorohostajskiego), mozajką niezbyt artystycznie wyglądającą, gdyż znać w niéj niczém niespojone szpary. Główną, panującą osobistością, jest gościnny po staropolsku, ale dziki, w końcu z honorem nawet mijający się Dorohostajski. Jestto prawdziwe arcydzieło charakterystyki; w szczupłych ramach obecnego studyum niepodobna mi przytoczeniem szczegółów udowodnić tego twierdzenia; ale kto odczyta ją w utworze, zgodzi się z niém bezwątpienia. Znaczenie oryginalności téj postaci o tyle się tylko osłabia, że już Radziwiłł Panie Kochanku w „Pamiątkach“ miał wiele do niéj podobieństwa. Ostatni tylko rys: sproszenie gości do zamku, pomiędzy którymi była jego córka, i wysadzenie ich podłożonym prochem w powietrze, przy czém oczywiście i sam zginął, jest niezgodne ani z charakterem polskim wogóle, ani szczegółowo z przeszłością samego Dorohostajskiego; podstęp, proste oszukaństwo, dobrze naprzód obmyślane, są to rzeczy niedające się pogodzić z temperamentem sangwinicznym lub cholerycznym. Gdyby Dorohostajski, niechętny połączeniu córki z Lizdejką, albo zabił nieproszonego konkurenta, albo nawet córkę zamurował, łatwiéj to barbarzyństwo z jego strony możnaby pojąć niż długo w cichości knutą zdradę... Obok charakterystyki Dorohostajskiego postawić można świetnie wykonany obraz dworu Bogusława Radziwiłła, gdzie poznajemy po mistrzowsku odrysowanych dworzan: Haraburdę, Oskierkę, a mianowicie Odyńca, chociaż postać-to po raz trzeci już modelowana; Odyniec bowiem jest z temperamentu, wychowania i charakteru bratem Wazgirda (w „Listopadzie“) i Ezechiela Zdory (w „Zamku Krakowskim“). Joś Dreczkier jest również nieporównany. Rzewuski, powodowany zapewne delikatnym taktem artystycznym, nie naśladuje zepsutego żargonu żydowskiego, zachowując jedynie charakterystyczny wykrzyknik: aj waj! charakter jego zato, rozum, przebiegłość, bojaźliwość umiał

dokładnie uwydatnić. Lizdejko natomiast i Gaskold to konwencyonalne typy zacnych kawalerów, stałych kochanków, dzielnych, cnotliwych, zaparcia pełnych młodzieńców.

W „Zaporożcu“ (1853) nakoniec budowa artystyczna prawie już nie istnieje. Rzewuski, wybrawszy sobie za osnowę powieści treść w wysokim stopniu interesującą i dramatyczną: powikłanie spraw familijnych w trzech rodach: Sołomereckich, Kierdejów i Skoropackich, powikłanie mające swe źródło w miłości, nietylko że nie umiał téj osnowy zdramatyzować, lecz ją pozbawił niemal wszelkiego zajęcia, wskutek wadliwego układu części i wskutek obrania za bohaterów postaci takich, które zaledwie trzecio-rzędną odgrywaćby mogły rolę. Więcéj niż trzecią część całego utworu zajmują „Pamiątki Koszowego“ opowiadające szeroko dzieje, które już minęły dawno przed zaczęciem właściwéj powieści; a jakkolwiek „pamiątki“ wzięte same w sobie stanowią najlepiéj prowadzony ustęp, to wszakże psują harmonią całości. Właściwa zaś osnowa rozsnuta została powoli i bardzo niedbale. Opowiadanie ociężałe, opisowość konwencyonalna zastępują tu zupełnie akcyą, sprawiając, że treść dramatyczna schodzi do znaczenia rozwałkowanéj anegdoty. Obraz siczy zaporoskiéj, którą zamieszkują „złodzieje i rozbójnicy“ pozbawiony jest wszelkiego uroku poezyi a co do realnéj swéj strony nie przedstawia żywiołów innych prócz tych, które już z „Pamiątek Soplicy“ poznaliśmy. Bohater nominalny Jakób mógłby zostać wysoce dramatyczną postacią. Gdyby nosił nazwisko swego prawdziwego ojca, byłby skazany na nicość polityczną i społeczną, gdyż nie byłby szlachcicem. W obronie tego bytu musi się dopominać o podstępem zdobyte nazwisko człowieka, którym pogardza, i choć niesłusznie, ale prawnie otrzymać cel swoich dążeń. Taka postać, nie będąc sympatyczną, byłaby przecież oryginalną i potężną... Rzewuski atoli zrobił

z niéj istotę, która, prócz odwagi osobistéj raz okazanéj, nie ma innych przymiotów okrom zalety ślepego posłuszeństwa ciągle zmieniającym się opiekunom. Ponieważ zaś do odwagi bohaterów Rzewuskiego przywykliśmy, nie mamy już dla Jakóba ani jednego wykrzyknika podziwu, ani jednego wyrazu uwielbienia... Mniemany brat jego, August Kierdej, którego z początku Rzewuski przedstawia jako „drugi tom" ojca, po niedostatecznie umotywowanéj metamorfozie, staje przed nami jako tradycyjny przedstawiciel szlachetności, poświęcenia i przyjaźni, prawiący nudne i znane wszystkim frazesy.

Ze wszystkich figur „Zaporożca" najudatniejszą jest bezwątpienia rejent Bołsunowski. Prawda, że to kopia Seweryna Soplicy, ale wykonana przez mistrza. W każdym jego ruchu, w każdém słowie znać służbistę, który wszystkie uczucia osobiste gwoli panu swemu umie przytłumić, dopóki pan ten nie „skrzywdzi" go wreszcie. Wówczas staje się zaciętym jego nieprzyjacielem, jak poprzednio był chytrze pokornem i posłusznem jego narzędziem. Jestto wzór XVIII-wiekowego jurysty, któremu nie o zgodę waśniących się stron, nie o wygraną nawet, ale o popis w palestrze chodziło. Bogobojny i „uczciwy", doprowadzał do nędzy swoich klientów, byleby na swojém postawić; przywiązany do swego pana, nie waha się dopuścić podstawienia aktu, który wszystkich zbrodni w powieści stał się pobudką. Wierne skreślenie obrazu społeczeństwa polskiego za Augusta II i III nie było widocznie zamiarem autora. Towarzystwo stołeczne, jego obyczaje i zabawy, reduty i maskarady: to raczéj miniatura tego, co spółcześnie było w Wersalu, albo przynajmniéj tego, co późniéj za Stanisława Augusta naśladowano w Warszawie, niż odtworzenie zwyczajów za czasów saskich. Postać pani Krajewskiéj, kochanki a jak Rzewuski utrzymuje żony Augusta II, z początku tryskająca

paryskim dowcipem i będąca odblaskiem dam paryskich, potém blaknie i miesza się z tłumem pań i panów z towarzystwa prowincyonalnego, które w „Zaporożcu“ niczém zgoła nie różni się od tego, jakie w różnych historycznych powieściach Rzewuskiego spotykamy. Prawdziwość zaś dziejową można ocenić z tego jednego faktu, że Rzewuski robi hetmanem zaporoskim Skoropackiego wtedy, kiedy nim był Daniel Pawłowicz Apostoł.

* * *

Do malowania stosunków spółczesnych nie miał Rzewuski ani pociągu ani zdolności. Sam on wyznawał, że z wielkiém upodobaniem czytał romanse wystawiające współczesną obyczajowość, ale nie miał zamiaru powiększać ich liczby, nie umiejąc patrzyć na teraźniejszość, gdyż „organ widzenia jego umysłu“ był takiéj natury, że przedmiot, na który patrzy, powinien być nieco oddalony, żeby został przezeń schwycony. Był on według własnych słów z rodzaju tych dalekowidzących, co dla czytania zmuszeni są pismo od oczu przedzielać jakąś przestrzenią, bez czego litery mieszają się, plączą przed nimi tak, że ich rozpoznać niepodobna [1]).

A powtóre, ażeby dobrze przedstawić współżyjących, potrzeba ich kochać, choćby „sercem gryząc“; gdyż inaczéj postaci wszelkie albo manekinami albo karykaturami będą. Tymczasem Rzewuski, rozmiłowany w staroszlacheckiéj Rzeczypospolitéj, nie miał nietylko sympatyi dla swoich spółziomków w czasach rozbicia politycznego, ale nawet nie okazywał dla nich pobłażania. Nie było zarzutu, którymby spółczesnych swoich nie znieważył. W naszym wieku, według niego, panowała pedantyczna ciemnota; w żadnym

[1]) Przedmowa do „Adama Śmigielskiego“.

okresie naszych dziejów ignorancya nie była tak rozpowszechniona jak w niniejszym[1]). Brak religii, upadek moralności miał być powszechny. Do zepsucia serca, do płytkości pojęć, najczęściéj się łączy jakaś bezczelność, jakaś grubiańska zarozumiałość, a te naszym towarzystwom przypadkowo zebranym dają jakąś barwę gminną, którą zaledwie w najodleglejszym steku stolic znaleśćby można[2]). Pycha z chciwością połączona przygłusza u nas wszystkich zdolności moralne i umysłowe; a nieposkromiona tą przyzwoitością, do jakiéj się nawykło żyjąc w dobraném towarzystwie, okazuje się u nas w całéj swojéj obrzydliwéj nagości. Nasi urzędowi sędziowie spraw honorowych, gdyby poza obrębami naszéj biednéj społeczności ważyli się pokazać w domu człowieka prawdziwie wyznającego przesądy honoru, ten niezawodnie kazałby ich wytrącić za drzwi, przez swoję liberyą, ich przytomność uważając za zniewagę szlachetnego domu[3]). Niechno kto zacznie objeżdżać domy nasze, a wkrótce przekona się, że ani jeden nie znajdzie się obywatel taki, któregoby w jakim domu nie wystawiono ledwo że nie jak ostatniego złoczyńcę. Obmowy i oszczerstwa w naszéj społeczności mają cechy zupełnie odmienne od tych, które można dosłyszeć w innych. Jedni drugich ciągle szarpiąc, sami ściągnęliśmy na siebie powszechną wzgardę obcych; bo jakże mogą nas szanować, kiedy sami nie szanujemy siebie? „Jesteśmy na ziemi jedynym narodem, gdzie opinia powszechna najmniejszego niema znaczenia, tak dalece, że jeżeli na kogo u nas wrzeszczą, to samo za nim już przemawia“ [4]). Kobiety tylko zachowały jeszcze wiele wdzięku: to téż kto nie szanuje, nie ubóstwia kobiet, ten

[1]) „Teofrast polski“, I, 13, 169.
[2]) Tamże, I, 72.
[3]) Tamże, I, 84, 114.
[4]) Adam Śmigielski. Przypisek do str. 28 (wyd. Lewentala).

nie wart sam szacunku; najdelikatniejsze uczucia serca i umysłu będą dla niego zawsze obce. Płeć piękna jest jedyną dźwignią cywilizacyi [1]). Ale i one, na wzór francuskich, zanadto wcześnie zaczęły się emancypować i przez to wszelki wpływ utraciły. A skoro tylko mężczyźni przestali się lękać kobiet, anarchia opanować musiała koniecznie salon; tym sposobem powróciliśmy do barbarzyństwa [2]). Jawią się już i u nas baragołki, choć tylko między dziewczętami bez żadnego wychowania, które ani mają przystępu do wyższego towarzystwa prowincyi, ani się o niego starają [3]).

Wszystkie te zdania wypowiedział Rzewuski, mając głównie na widoku Wołyń; lecz się wyrażał tak ogólnikowo, jakby je do całego społeczeństwa stosował. Zresztą dla usposobienia tak namiętnego, jakiém się odznaczał Rzewuski, wszystko to było jedno: powziął wstręt do spółczesnych, więc ich malować nie lubił; a jeżeli dla zakomunikowania nauki moralnéj chwycił za pióro, to pod niém powstawały po większéj części karykatury, albo zanadto blado, albo zbyt jaskrawo zarysowane. Zamiast pisać dzieje swoich spółczesnych, pisał na nich paszkwile. Rzeczą jest prawie zupełnie pewną, że wszystkie szkice zawarte w „Mieszaninach“ i „Teofraście“ są wzięte z rzeczywistości; — a jednak wydają się nienaturalne, sztywne, nieżywe. Takim szkicem są: „Oryginały czyli wieczór literacki“, takim „Szarmant prowincyi“, takiemi obrazki zwolenników „mamony“, takim portret „pasibrzucha“ i „gospodarza samochwała“ — w „Mieszaninach“. Następnie, kreśląc karty „Teofrasta polskiego“, sądził może, że prześcignie Labruyèr'a, ale w gruncie rzeczy wtedy tylko z talentem rzecz swoję prowadził, gdy mu się o przeszłości

---

[1]) „Teofrast polski“, II, 198.
[2]) Adam Śmigielski. Przypisek do str. 230, 231.
[3]) „Teofrast polski“, II, 191.

mówić zdarzyło; wizerunki nowoczesne są bezbarwne i nudne, a niekiedy w gorączce paskwilicznéj skreślone; wybornym jest Rzewuski, gdy mówi o pieczeniarzu Przyszychowskim, albo o szulerach i kartownikach takich, jak: Poniński, Miączyński, Lulewicz, Hadzkiewicz, Gurowski, przezwany *Koko*, biskup Massalski, ksiądz Sierakowski, Holm, Walicki itp., albo o awanturnikach: Wolskim, Michale Dzierżanowskim, albo wreszcie o mistykach: Grabiance, Studzińskim, Oleszkiewiczu, Poszmanie, Peszyńskim, Strzyżewskim. Wszystkie te bezpretensyonalne opowiadania mają, prócz zalet pisarskich, wartość niemałą jako materyał do historyi obyczajów naszych z ostatniego stulecia i początku bieżącego. Materyał ten, jako oparty na osobistych a dość późno spisanych wspomnieniach, tudzież na podaniu ustném, musi oczywiście uledz ścisłéj krytyce, zanim posłuży do ułożenia obrazka dziejowego; ale bynajmniéj nie zasługuje na lekceważenie lub zapomnienie, w jakiém dotychczas pozostawał.

Sylwetki z czasów nowszych są karykaturami osób rzeczywistych. Wiemy przynajmniéj o kilku napewno, że miały na celu szykanę spółobywateli Rzewuskiego. Zaraz pierwsza sylwetka „Wolnomyślenie w religii“ w postaci pana Siepaka przedstawia Alberta Gryfa, który autorowi „Listopada“ wiele niemiłych słów powiedział. Do rysów cechujących Gryfa dodał kilka z osoby Benedykta Dołęgi wziętych i utworzył figurę dość lichą i trywialną. Jego pan Siepak „prawem postępu“ miał poznać, że dla demokraty intelektualnego pracowite studya pisarzów starożytnych i swojskich wzorów są wcale niepotrzebne; że energia mowy i wyrażeń znajduje się wyłącznie w gminie, jako podstawie całkowitéj ludzkości. Co szczególniéj za oryginalnością umysłu jego przemawia, to zręczność, z jaką kojarzy okresy z szynkowni wydobyte z wyrazami scyentyficznemi nowszéj szkoły

filozoficznéj. Jestto jakoby przymierze zawarte w ścisłym pocałunku między Trentowszczyzną a szynkownią itp.

O „Matce Kościoła“ pisze B. Bolesławita w „Rachunkach“ za rok 1866, że była to znana na Ukrainie pani, ultrakatoliczka, trochę za dramatycznie występująca w roli nawracającego apostoła... W jéj portrecie więcéj jest rozumowania niż rysunku. Podobnie w obrazku „Gbur“ pan Tupajło, „poczciwy człowiek“, plotkarz, obmówca nieokrzesany, gardzący konwencyonalnemi przepisami i nie przebierający w słowach, jestto, jeśli się nie mylę Tytus Szczeniowski, autor „Bigosu hultajskiego“, jeden z najostrzejszych krytyków „Mieszanin“. Inne sylwetki jako to: *Dewotka wyniosła i popędliwa*, *Pyszno-skąpski*, *Dorobnik możny i pysany*, *Rozpusta zmysłowa*, mają bezwątpienia za podstawę jakieś osoby żyjące za czasów Rzewuskiego, który choć wyrzucał społeczeństwu swemu obrzydliwą skłonność do plotek i potwarzy, sam nie umiał się wyzwolić z téj wady. Wartość ich artystyczna jest nader mała; przedstawiają one postaci wymuszone, wykrzywione, z mimiką i słowami przesadnemi i często nienaturalnemi. Dowcipne jakieś słówko, zręczne porównanie, rys trafnie przypadkowo podpatrzony — oto wszystko, co pod względem estetycznym może zajmować. Są one nadto dowodzeniem jakiegoś twierdzenia, właściwego Rzewuskiemu; byłto jeden powód więcéj do ich naciąganych sytuacyj; paradoksa bowiem, wypowiedziane przez autora, musiały bądźco-bądź znaleść sprawdzenie w jakimś obrazku z życia wziętym.

Podobne przyczyny działały na unicestwienie artystyczne takich utworów jak: „Zawód sprawiedliwego, kolenda teologiczno-mistyczno-komiczno-dramatyczna“, w któréj Rzewuski podrzeźniając dawne allegoryczne dyalogi, chciał wystawić nicość ludzkiego rozumu zarażonego pychą wobec tajemnic wiary i podniesienie tegoż przez *Łaskę*; albo „Den-

tysta, powieść głęboko filozoficzna mogąca służyć za dowód, że i my w psychologii, estetyce i historyozofii niepoślednie zajmujemy miejsce, ułożona za pomocą przyjaciół przez *Wojciecha Rybkę*", będąca szykaną utworu Alberta Gryfa, jak się zdaje, gdzie między innemi Rzewuski radzi „młodym literatom", ażeby chcąc go krytykować a nie umiejąc, udali się wprost do niego, a on rad będzie pożartować z siebie „tyle nażartowawszy się z innych aż do naprzykrzenia"[1]).

Chęć upamiętnienia wrażeń doznanych w Petersburgu podała Rzewuskiemu myśl napisania „Pazia Złotowłosego czyli Wieczorów sułtana", który był już skończony 1847 r.[2]), choć wyszedł dopiero w r. 1857, z dodaną świeższéj daty przedmową i z przeróbkami może, naprzód w czasopiśmie „Świt" a w rok potém w osobnéj odbitce we 2 tomach we Lwowie. Wszystkie tu opowiedziane wypadki mają niezaprzeczone piętno rzeczywistości i dlatego zapewne podał je autor w obsłonce allegorycznéj. Kiedyś w nieoznaczonym czasie niewolnik *Lechistanu* opowiada znudzonemu sułtanowi Damaszku przygody swego życia: jak się pokochał w córce znakomitego pana, jak zwiedziony przez guwernantkę panny, nie chcąc się z nią żenić, musiał siedzieć w więzieniu, z którego bez pomocy czarownicy, co ją był poprzednio od szubienicy odwiązał, nie wyszedłby pewnie; jak następnie w zaczarowanym pałacu jadł i pił a nie mógł się nasycić; jak

---

[1]) Oba te utwory znajdują się w drugim tomie romansu „Łaska i przeznaczenie" od str. 115—201. Samego romansu „Ł. i prz." nie rozbieram, gdyż wiadomo już dzisiaj, że jestto dziełko Kaliksty z hr. Rzewuskich księżnéj *Teano;* a Henryk Rzewuski jest tylko jego wydawcą, komentatorem, a może i tłómaczem.

[2]) „Przegląd Naukowy" w Warszawie wychodzący, pisze 10 maja 1847 r. „W Petersburgu *wyszedł już: Paź Pierścionowłosy* przez Henryka Rzewuskiego". Wiadomość (zresztą fałszywa) o *wyjściu* świadczy przynajmniéj, że rękopism był już gotowy.

wahał się pomiędzy cnotą a występkiem i jak się dał pociągnąć ułudom nieprawości.

Następuje daléj opis pobytu pazia w Felistanie, gdzie wszyscy oddawali się rozpuście i stawali się kotami, w Kuhurze poznał żony oszukujące mężów i mężów oszukujących żony z najczulszemi oznakami wzajemnéj miłości, w Serendybie, gdzie obdzierano podróżnych a pieniądze przegrywano w karty, w Skotostanie, gdzie ludzie szczycili się z długich uszu, w Heliostanie, gdzie panował dziwny zwyczaj poświęcania dziewictwa panien kapłanom słońca itd. Rzewuski nie chciał widocznie malować dokładnie charakterów, ale starał się nagromadzić jaknajwięcéj awantur, przypominających niekiedy powieści tysiąca i jednéj nocy, awantur, których główną treścią jest lubieżność, przewrotność, szulerstwo i upodlenie moralne społeczeństwa. Starał się okrasić te awantury przydatkami fantazyi: nie brakuje więc tu ani jazdy po powietrzu, ani olbrzymich ptaków, których zoologia nie zna, ani kamieni, które posiadacza czynią niewidzialnym, ani dziwnych obyczajów, ani niespodziewanych przemian. Wszystkie te atoli sztuczki nie mogą zastąpić kardynalnego braku plastycznych charakterów i naturalnego obrazu społeczeństwa. Wszystko tu trąci przesadą, razi rubasznością a nawet wstrętnością obrazów i wyrażeń. Nauka nawet moralna, którą chciał dać Rzewuski społeczeństwu, staje się niezrozumiałą z powodu, że allegorye są nieraz tak niejasne, iż niewiadomo, jaki nadać im wykład. Jestto słowem powieść zszyta z mnóstwa epizodów, a pod względem artystycznego wykonania przypominająca raczéj filozoficznolubieżne utwory zeszłego stulecia, niż romanse dzisiejsze.

Inny wreszcie charakter mają „Nie-bajki“, drukowane w „Tygodniku Petersburskim“ z r. 1849 i 1850 oraz osobno w r. 1851. Propaguje w nich autor mistycyzm i to mistycyzm w najelementarniejszéj i najśmieszniejszéj zarazem for-

mie. Prócz pierwszéj powiastki, w któréj Imci Pan Cześnik swoim zwyczajem gawędzi o księciu Karolu, jakto on „zwietrzył siermięgę zpod karmazyna“ i nie chciał mieć z p. Kwitkiewiczem przyjaźni; reszta jest zbiorem anegdot o duchach pokutujących, o djabłach płatających figle pijakowi, o cudownych doktorach, o weselu karlików, którzy podarowali srebrny talerz pani Woroniczowéj, o żydku przez niemczyka w nieznane strony porwanym itp. Do téj saméj kategoryi policzyć należy zamieszczone przy romansie „Łaska i Przeznaczenie“ urywki p. n. „Stanisław Otwinowski“ i „Jedno wspomnienie mojéj młodości“. Wszystkie te drobnostki są liche pod względem stylu a co do treści, to choć autor uroczyście zapewnia o autentyczności owych cudownych wydarzeń, my uważać musimy niektóre z nich za niezły materyał dla badań psychologicznych, gdyż podają dość szczegółowo opis okoliczności zewnętrznych i usposobień wewnętrznych, przez co czynią możliwém wyjaśnienie nadzwyczajnych widzeń dość zwyczajnym sposobem; inne, nie posiadające powyższych zalet, możemy poprostu za rzeczy bez użytku poczytać. Do pierwszego działu liczę mianowicie: „Upominek duchów“, „Ja gorę“ i „Jedno wspomnienie z mojéj młodości“; — do drugiego resztę.

Dążność, którą w tych powiastkach przeprowadzał Rzewuski, łączy się ściśle z jedną stroną jego przekonań i w jéj rozbiorze znajdzie swe wyjaśnienie.

VI.

Przekonań swoich nigdzie Rzewuski nie sformułował systematycznie, nawet w tych dziełkach, które z tytułu swego i pozoru naukowego zdawały się jakiegoś metodycznego ładu wymagać; lecz wypowiadał je okolicznościowo, aforystycznie, już to w przypiskach do romansów, już to w artykułach, umieszczanych w „Tygodniku Petersburskim“, już

to w „Wędrówkach umysłowych“ i „Próbkach historycznych“. Z powodu tego rozproszenia trudno niezmiernie uchwycić całość systemu; a trudność ta większą się jeszcze okaże, kiedy zważymy, że chociaż Rzewuski zaczął wypowiadać poglądy swoje w wieku już zupełnie dojrzałym, bo w 50 roku życia, ulegał przecież wrażeniom, odbieranym od osób i zdarzeń — mniéj od książek, i skutkiem tego w niektórych punktach, dosyć ważnych niekiedy, zdanie swoje przemieniał. Niepodobna mi przedstawiać szczegółowo wszystkich przejść tego umysłu potężnego, ale jednostronnego i upartego, a próbując zeszkicować ogół przekonań Rzewuskiego religijnych, filozoficznych i społecznych, o zmianach nawiasowo tylko będę mógł wspomnieć.

Podstawą wszystkich poglądów Rzewuskiego jest uznanie objawienia za źródło wszelkiéj wiedzy. Przez objawienie atoli rozumie on nietylko zasady zawarte w Starym i Nowym Zakonie; lecz nadto prawdy, udzielone przez Boga pierwszemu człowiekowi w raju: „Nic nowego niema na świecie, bo suma ogólna prawd była dana ludzkości w chwili jéj stworzenia. Prawda zupełnie nowa pod względem absolutnym, jako rzecz jedynie ludzka, byłaby bezsensem; gdyż musiałaby być chyba objawieniem wyższéj niżeli cała ludzkość potęgi“ [1]). Tworząc świat, Bóg stworzył pewną sumę materyi, ale stworzył téż i pewną sumę *intelektualności*. Materya nie może się powiększać w masie, toż i intelektualność. Obie się przerabiają, przekształcają, ale suma zawsze ta sama. Rozum ludzki odkrywa, wynajduje; ale *nic nie tworzy*; a kiedy mu się zdaje, że tworzy rzecz, właściwie *tworzy* jéj nazwisko lub określenie, a często przypomina sobie to, co kiedyś wiedział [2]).

Prawdę poznajemy za pośrednictwem *objawienia, po-*

[1]) „Teofrast polski“, II, 98.
[2]) „Głos na puszczy“, 1847, str. 62.

dania i intuicyi. Objawienie wskazuje nam prawdy najważniejsze, bo dotyczące naszéj wieczności; podania są źródłem wszystkich bez wyjątku nauk i kierownikami życia historycznego; intuicya wzbogaca umysł każdego pojedyńczego człowieka szczegółowemi wiadomościami. Przyjąwszy pojęcie objawienia za rzecz powszechnie znaną, poczytuje Rzewuski za takąż pojęcie *podania* i *intuicyi*; dlatego téż nigdy ich należycie nie określił, mając wstręt do wszelkich orzeczeń; — oprócz więc takich ogólników jako te: *podanie* przechowuje słowo, dane ludziom od wyższéj istoty; *intuicya* jest ogniwem łączącém świat widomy i skończony z światem niewidomym i wiecznym [1]), nie dowiadujemy się nigdzie dokładniejszych objaśnień o tych dwu środkach poznania.

Przez podanie można rozumieć cały zasób doświadczeń dziejowych, już to praktyką życia przekazywanych od pokolenia do pokolenia, już zapisanych w książkach. Tak szerokie pojęcie podania usprawiedliwiałoby do pewnego stopnia przyjęcie go za środek poznania, jakkolwiek nie orzekałoby jeszcze nic o jego wartości; ale Rzewuski okazuje niechęć do książki, gdyż sądzi, że podanie nie da się ująć w martwe szeregi liter i ażeby je poznać, potrzeba być wtajemniczonym do wierzeń narodowych. Każdy bowiem naród ma własne podania, których zastosowanie w praktyce stanowi o jego żywotności.

Intuicya zdaje się być równoznaczną z siłą twórczą w człowieku, to jest poprostu fantazyą albo natchnieniem. Mówi téż często Rzewuski o *doświadczeniu i badaniu faktów*, ale tam jedynie, gdzie zbija powagę rozumowania; tam zaś, gdzie zasady swoje wyłuszcza, najczęściéj mówi o objawieniu, podaniu i intuicyi. Rozum oczywiście zupełnie Rzewuskiemu do uzyskania wiedzy niepotrzebny, bo ro-

[1]) „Głos na puszczy“, 1847, str. 62.

zum umie tylko niszczyć, a nic zbudować nie potrafi, bo rozum jest chwiejny i sam sobie zaprzecza; bo rozum najloiczniéj może dowieść fałszu; bo każdemu rozumowaniu można przeciwstawić rozumowanie wprost przeciwne. Rozum indywidualny jest niczém; stąd wynika walka Rzewuskiego z racyonalizmem.

Pogarda rozumu nie odnosiła się u naszego autora tylko do tak zwanych „nadużyć rozumu“, to jest do swobodnego roztrząsania wierzeń religijnych; ale była wprost zaprzeczeniem jego praw we wszystkich dziedzinach ludzkiéj wiedzy. Objaśnienie zasad wiary przez teologów katolickich uważał jedynie za uleganie słabościom ludzkim. „Jeżeli są rozumowania w teologii — powiada — nie są one żywotną i konieczną częścią teologii; są raczéj skutkiem *natury intelektualnéj* rodu ludzkiego, lubiącéj w każdym przedmiocie używać swojéj zdolności; ale ten skutek jest *wypadkowy*, bo teologia w najżywotniejszéj swojéj części, nietylko że *nie potrzebuje rozumowania, ale go nawet odpiera.* Część rozprawcza nauki boskiéj jest *świadectwem boleści*, co ich stowarzyszenie chrześcijańskie doświadczało od ludzi przewrotnych, zmuszających kościół do rozpraw, kiedy jego powołanie jest nauczać i kazać“ [1]). Dlatego téż wyrzuca Rzewuski kościołowi wieku IV i kilku następnych, że wdał się w objaśnianie aż do drobiazgowości świętych ksiąg obudwu Zakonów; że nie starał się tyle wyciągać następstw moralności praktycznéj z tych tekstów „czasem ciemnych ale zawsze poważnych“, ile kusił się dostępném uczynić dla umysłu to, co tylko wiarą pochwycone być może; że zamiast przywabiać do wiary zaludnienia pogańskie, może do niéj tęskniące, rzucał we własném społeczeństwie „jakby na pastwę lekkomyślnéj ciekawości“ to, co świętém milczeniem

[1]) „Mieszaniny obyczajowe“ II, 140, 143.

uczczone być powinno. „Użyciem filozofii pogańskiéj do wykładu rzeczy chrześcijańskich, wprowadzeniem ducha sofistycznego w łono prawdy, odmieniono właściwe stanowisko wiary, przenosząc ją na pole rozprawcze; a najeżając swoje wykłady wyrazami nieznanemi dotąd, a tém samém pobudzającemi rozprawy nieskończone, ledwo że nie zamieniono w naukę subtelną i zawiłą téj religii, która ucieka od zarozumiałéj mądrości świata... Myśleć można, że między tylu rozlicznemi przyczynami skonania państwa rzymskiego pod ciosem podwójnym koczowniczego barbarzyństwa północy i islamizmu, niepoślednie trzyma miejsce *ergotyzm teologiczny*, który *zaraziwszy duchowieństwo*, rozprzestrzenił się i w stanie świeckim społeczeństwa, *osłabiwszy duchem rozprawczym jedność i zgodę* stowarzyszenia chrześcijańskiego“ [1]).

Jeżeli użycie rozumu zupełnie uległego ortodoksyi i szukającego jedynie objaśnienia szczegółów, bez myśli nawet walczenia z nauką kościoła, tak dalece nie podobało się Rzewuskiemu, że je za zgubne poczytywał; to trudno się spodziewać, ażeby dla rozumu, badającego zjawiska wszechświata czyto bez zwracania uwagi na prawdy wiary, czy też zgodnie z wiarą, mógł być względniejszy. Wszakże w ocenie poglądów Rzewuskiego na nauki i literaturę trzeba koniecznie mieć na uwadze różnicę rozumu indywidualnego od rozumu ogólnego, różnicę, którą Rzewuski uważa za istotną, choć jéj nigdzie dokładnie nie określa. Rozum *ogólny* możnaby poczytywać za rozum całéj ludzkości, o ile się on wyraża w jéj życiu praktyczném, w religii, polityce i t. d. Rzewuski atoli uważał „ludzkość“ za abstrakcyą, któréj nie odpowiada żadna rzeczywistość. „*Człowiek i ludzkość* są rzeczy oderwane, nie mające i nie mogące mieć żadnéj rzeczywistości. Nie możemy sobie wyobrazić człowieka samego

[1]) „Próbki historyczne“, str. 30, 31.

w sobie... ten wyraz *człowiek* wtedy tylko pobudzi w naszéj intelektualności jakieś pojętne uczucie, kiedy on stanie przed nią w postaci szpetnéj, nadobnéj, zdrowéj, chorowitéj; a jako istota społeczna będzie Grekiem, Arabem, Angielczykiem, Chińczykiem itd. Bo każda rzecz jedynie przypadłościami swojemi ma styczność z naszym umysłem; a właśnie ani człowiek, ani ludzkość ich nie mają. A więc są to fantazmata istniejące tylko w rozumowaniu, ale nie rzeczywiste jestestwo... Duch ludzkości jest tylko fikcyą, bo jest rzeczą oderwaną“ [1]).

Oprócz indywiduów istnieje tylko *naród*, a istnieje nie abstrakcyjnie, ale rzeczywiście. Duch narodu nie jest fantazmatem, nie jest chimerą; ale najrzeczywistszą rzeczywistością. Prawda nawet nie jest w indywidualizmie człowieka, ale w jego społeczności. Stąd każda nauka, mająca w sobie element prawdy i żywotności, musi być narodową. Jeżeli więc mówi się o rozumie *ogólnym, powszechnym, społecznym*, potrzebaby przezeń pojmować rozum narodowy, objawiający się w prawodawstwie, układzie politycznym, obyczajach, podaniach, przypowieściach i pieśniach gminnych. Twierdzenie atoli takie, jakkolwiek wypowiadane kilkakrotnie w „Wędrówkach umysłowych“, napotyka w innych pismach Rzewuskiego trudności, których nigdy nie usunął. Tak np. jak pogodzić z pojęciem nauki narodowéj i rozumu narodowego u ludów Europy spółczesnéj fakt przejęcia głównych zasad życia religijnego, politycznego, naukowego i artystycznego od Żydów, Greków i Rzymian? Sam Rzewuski nie mógł nie zauważyć tak wielkiego faktu i nie troszcząc się o pogodzenie go z ideałem nauki narodowéj i rozumu narodowego, zapisał o owych trzech narodach następne zeznanie: „Bezwątpienia żywioł religijny pierwszych, estetyczny drugich, prawny trzecich teraz jeszcze jest *ka-*

[1]) „Teofrast polski“, I, 19. „Wędrówki umysłowe“, II, 86—88.

mieniem zasadniczym cywilizacyi europejskiéj i każde nieroztropne usiłowanie, aby te żywioły zboczyć od ich pierwiastkowego kierunku, zdradzone zostało *jakiémś nadwątleniem w moralności prywatnéj i ukształceniu publicznem*“ [1]).

Jeżeli nie będziemy zważali na te trudności, to łatwo nabierzemy przekonania, że Rzewuski powstawał na rozum indywidualny, rozumu zaś narodowego był czcicielem. Pamiętać przytém należy, że w początku swego publicystycznego zawodu nie występował on bezwzględnie przeciw rozumowi, który owszem *potężnym* nazywał, ale odmawiał mu niektórych własności; twierdząc np. że „w uporządkowaniu państw okazuje się najsłabszém narzędziem“ [2]). Wypowiadając to zdanie miał zapewne Rzewuski na względzie tych doktrynerów politycznych, którzyby chcieli reformować społeczeństwo kilku pociągnięciami pióra.... Z czasem atoli rozum ludzki stracił u niego coraz bardziéj na wartości, a to głównie z powodu rozpowszechnienia się w kraju doktryn filozoficznych, wykładających chrystyanizm po swojemu.

W roku 1841 do 1843 jakkolwiek był przeciwnikiem filozofii niemieckiéj, jakkolwiek nazywał ją *okropnym* panteistycznym systematem, nie odmawiał jéj przecież niektórych zalet. Owszem nazywał go „jednym z najwyższych pomników intelektualności ludzkiéj, oddanéj saméj sobie, bez wyższych posiłków“; a zpomiędzy prawd niezaprzeczonych, przez ten „okropny systemat“ wykrytych, unosił się nad zasadami historyozofii, które „naukę dotąd domniemawczą zamieniły w naukę ścisłą i dokładną“, a *estetykę* Kanta poczytywał za największy dar, jaki sztuka otrzymać mogła od filozofii [3]). W roku 1847 zmienił już to przekonanie, a historyozofią niemiecką za zupełnie błędną poczy-

[1]) „Mieszaniny obyczajowe“ II, 60.
[2]) Tamże, str. 163.
[3]) Tamże, I, 13, II, XXIII.

tywał, przenosząc nad nią pogląd Bossueta; dla Kanta zaś, „stwórcy estetyki, miałby większy szacunek, gdyby mu pokazano choć jednego kunstmistrza wyrobionego przez jego szkołę“ [1]); ale natomiast *logikę* Hegla uważał za „najszacowniejszy a może jedyny szacowny utwór dzisiejszéj filozofii niemieckiéj“ [2]). Prawdopodobną jest rzeczą, że zarówno Hegla jak innych filozofów niemieckich znał nasz autor tylko z drugiéj ręki, najpewniéj z pism Wiktora Cousina, i mało zastanawiał się nad streszczeniem ich poglądów, gdyż inaczéj byłby spostrzegł, że logika Hegla zawiera zasady wszystkich innych części jego filozofii i że kto ma uznanie dla „logiki“, nie może bez sprzeczności z samym sobą pogardliwie mówić o konsekwencyach z niéj wyciągniętych... To też niedługo potém w polemice z Walerya-nem Wróblewskim odrzucił zupełnie i potępił *racyonalizm powszechny*, szanując jeszcze atoli racyonalizm w *naukach* [3]). W następnych latach nie było już ani jednego zarzutu, któregoby czy racyonalizmowi wogóle czy też racyonalizmowi w naukach nie zrobił, w sposób najdotkliwszy. „Rozumowanie jest żywiołem śmierci, bo wtedy tylko się zjawia, kiedy natchnienie znika. Rzecz tak pewna, że filozofia nic praktycznie dobrego nie stworzyła dla społeczeństwa, lubo zawsze miała niepospolitą zdolność do osłabienia wiary w to, co było rzeczywiście dobrém i żywotném... Filozofia, że pod żadnym względem do niczego praktycznego zastosować się nie daje; że ma wstręt przyrodzony do czynu, że się zjawia tylko w ciałach zbiorowo *zgrzybiałych* tak jak podagra w zużytém ciele starców; że stawi zapory natchnieniu, które jedno może odmłodnić zestarzałe ciało polityczne, filozofia, mówię, jakkolwiek sama sobie nie oszczędza po-

[1]) „Głos na puszczy“, str. 36—40, 24.
[2]) Tamże, str. 5.
[3]) „Tygod. petersb.“ 1847. Nr. 60.

chwał, jest tylko *pozornie uczoném nicestwem*... Filozofia dzisiejsza, wzgardzona od wszystkich wielkich narodów a uprawiana z zapałem u takich tylko, które się stały ich pośmiewiskiem, jest zbiorem okresów i formuł bez rzeczy, bez ducha, bez dodatniéj siły“ [1]). Filozofia, która myśli, że jakakolwiek prawda socyalna, bądź absolutna, bądź nawet *względna* może wyjść z jéj koła; że dano jest umysłowi pojedyńczemu ją utworzyć i tę nowość zastosować do bytu praktycznego, popełnia więcéj niż błąd, więcéj nawet niż *świętokradztwo*, bo przywłaszcza sobie władzę, któréj sam Bóg nigdy nie chciał używać...[2]). Racyonalizm jest zabójcą odwagi fizycznéj i moralnéj; jestto rzecz tak pewna, że nie było przykładu, ażeby racyonalista kogoś nastraszył...[3]). Filozofia obnaża duszę z jéj dziewictwa, niszczy zapał... Zabija wszelki zaród poezyi... Okresy, w których racyonalizm otrzymał powszechną ufność, zawsze poprzedzały okresy zwycięskiego barbarzyństwa [4]).

Nie myślę wyczerpywać całéj litanii złorzeczeń, przekleństw i wyroków rzuconych na biedny racyonalizm; dość otworzyć którąkolwiek z książek, od r. 1843 przez Rzewuskiego wydanych, ażeby się spotkać nie z jedném ale z kilkoma. W miarę zaś jak papiery rozumu spadały u Rzewuskiego, podnosiła się wartość uczucia, natchnienia, pobożności, cnoty. Kiedy jeszcze w r. 1841 „brak erudycyi“ za wielką wadę Bochwicowi poczytywał, filozofią za konieczny pierwiastek rozwoju literatury uważał a poetom uczyć się kazał; to późniéj, nietylko utrzymywał, że poeta obejść się może bez nauki, ale nawet w innych zawodach większy nacisk położył na cnotę, pobożność niż na ukształcenie

[1]) „Wędrówki umysłowe“ I, 90—91.
[2]) „Wędrówki umysłowe“, I, 152.
[3]) „Adam Śmigielski“ Przypisek do str. 46 (wyd. Lew.)
[4]) „Głos na puszczy“, 13, 34, 25.

umysłu. „Zdrowy rozsądek — mówił — łatwo się przekona, że do *zawodu sądowniczego* nauka jest *niczém*, a cnota przysposabiająca serce do przyjęcia wyższych natchnień — wszystkiém... Pierwszy warunek lekarza nie tyle nauka anatomiczna, patologiczna, kliniczna — ile pobożność i wielka miłość bliźniego, które go przysposabiają do wyższych natchnień, bez czego niemasz prawdziwego lekarza...[1]). Ekonomia polityczna jest fikcyą, fakultety prawa żadnego praktycznego prawnika wykształcić nie są zdolne... Filozofia jest tylko *rozciąglejszą gramatyką* i pod tym jedynie względem może się nazwać nauką; kiedy te szranki przechodzi, przestaje być nauką a zostaje marzeniem[2]). Wódz, polityk, prawodawca tak samo jak poeta są pierwszowzględnemi utworami Boga i tylko przez natchnienie, przez objawienie nabywają potęgi potrzebnéj do kierowania wojskiem, krajem, stosunkami ludzkiemi lub prawdą i pięknem. Im człowiek otrzymuje większy udział intuicyi, tém bliższy jest swojego Stwórcy. Im więcéj zaufał logice ludzkiéj, tém będzie słabszym, i dlatego żaden umysł logiczny nigdy nic wielkiego nie uskutecznił. Najwięksi ludzie są i byli zawsze bohaterowie i poeci, ludzie natchnienia, a ich wystąpienie dowodziło czerstwości ciała społecznego albo przynajmniéj rychłego przebudzenia czerstwości w niém uśpionéj; gdy tymczasem filozofowie, ludzie rozumowania, jawiąc się tłumnie, są niewątpliwą oznaką rozkładu ciała społecznego...[3]) Nauka stanu jest jak poezya: dla niéj tchnienie jest wszystkiém, a metody, prawidła — niczém. Żadna wielka instytucya zarówno religijna jak polityczno-społeczna nie da się racyonalnie wytłómaczyć. To téż to, co się nie da rozumowo wyjaśnić, zasługuje na największe uszanowanie i uwielbienie...

---

[1]) „Głos na puszczy“, str. 23, 70.
[2]) Tamże, str. 87.
[3]) „Wędrówki umysłowe“, II, 72, 73.

Rzewuski nie należał do liczby tych, którzy się lękają niepopularnych wyrazów. Wiedział, że jego pogardę dla nauk książkowych a cześć dla ślepych instynktów nazwą obskurantyzmem; nie oburzało go to bynajmniéj. Wiedział, że odrzucając rozum, musi wziąć w opiekę przesądy i zabobony; — i wyrazy te sam wypowiada z całym dla nich szacunkiem. Z początku wprawdzie uważał przesądy i zabobony za rzeczy niezawsze do pogardzenia, sądząc, że w pewnéj tylko klasie np. w arystokracyi, mogą być pożyteczne, gdy tymczasem rozlane na masy mogą się stać szkodliwemi [1]); ale potém zniósł wszelkie ograniczenia i odważnie w obronie przesądów wystąpił. Przesądy zachowują narodowość — mówił [2]) — tylko narody zgrzybiałe a tém samém wydziedziczone z przyszłości są od nich wolne; kiedy owszem narody trwałe, potężne, pełne ducha i zapału są zawsze skłonne nietylko do przesądów, ale nawet do zabobonów. Przesąd szlachecki pokazywał się silniejszym nawet od głosu *wiary* [3]). Wielcy podstawiacze narodów, co ich gieniuszami zowiemy, nietylko nie byli racyonalni, ale nawet podzielali czasem najgrubsze przesądy swoich gminów — i to im krzywdy nie przynosi... Półmędrek, uprawiacz książkowego rozumu, wolny od przesądów, ani z gminem, ani z gieniuszem nie ma styczności. Zresztą co jest przesąd, zabobon? Jest to rzecz tak elastyczna, tak podmiotowa, że jeżeli często przesąd i zabobon uchodzą za prawdę, to jeszcze się częściéj zdarza napotykać umysły, dla których prawda jest przesądem i zabobonem. Racyonaliści w tym względzie bynajmniéj nie stoją wyżéj od ludzi prostodusz-

---

[1]) „Mieszaniny obyczajowe“ II, 17, 29.
[2]) „Wędrówki umysłowe“ I, 68, 69.
[3]) „Teofrast polski“, II, 130.

nych: najwygodniéj mieć za fałsz wszystko to, czego się nie rozumie...

W każdéj zatém nauce musi być koniecznie strona *mistyczna*, gdyż w przeciwnym razie musielibyśmy poprzestać na samych analizach, a tym sposobem nauka byłaby zanadto ograniczoną. Zdobylibyśmy się na jakieś formuły, dostateczne dla umysłów poziomych; ale skądżebyśmy otrzymali wielkie metody naukowe? Wielkie metody czyli systemata naukowe *(sic)* nie za pomocą wydoskonalonych narzędzi ani potęgą analizy, ale siłą twórczą gieniuszów zdobyte zostały; a te gieniusze, opierając się na jakichś analogiach *naposór* wcale nielogicznych i dopełniając prawa *tajemnicze* własnéj swojéj natury, zgadywały prawdę, *ale jéj nie udowodniały* środkami w zwykłém rozumowaniu przyjętemi... Gdzie tylko zachodzi twórczość, tam już niema premis i konsekwencyi, ale *czysta intuicya*, która sama się przez się usprawiedliwia a nie potrzebuje rozumowania. Teologia ma swoję część mistyczną. Czyż elektryczność i magnetyzm racyonalniejsze są od wyśmiewanego *flogistonu*?... Czyż głęboki matematyk zaprzeczy, że w *stosunkach cyfr* jest coś mistycznego? Czy metoda homeopatyczna, która urzeczywiściła w medycynie tyle zadziwiających wypadków, nie wykrywa jakiéjś analogii mistycznéj między niektóremi ciałami anorganicznemi a symptomatami niemocy? Nawet filozofia Hegla w zasadzie swojéj jest mistyczna [1]).

Wypowiedziawszy atoli jakby jednym tchem wszystkie znane sobie ślady mistycyzmu, Rzewuski, który z natury odznaczał się trzeźwym polskim rozsądkiem a w mgliste krainy fantazyi wzlatywać nie lubił, poprzestał na owém wyliczeniu, a w innych pismach swoich mówił tylko o przeczuciach, o snach wieszczych, o kartach tajemniczych,

[1]) „Teofrast polski“ I, 189—192.

o figlach djabłów. A mówił to w sposób zazwyczaj tak rubaszny i tak jowialny, że mistycyzm jego pozostaje ostatecznie w formie najelementarniejszéj, najpierwotniejszéj, nie ogarniającéj bynajmniéj wnętrza ducha ludzkiego, i raczéj bawi, do śmiechu pobudzając, niż wzrusza i na błędne manowce naprowadza. W ogólnéj zasadzie był Rzewuski mistykiem według normy de Maistra; ale w szczegółach, w praktyce przedstawia się tylko jako polski zabobonny jowialista, doprowadzający wiarę w rzeczy nieprawdopodobne do stopnia niedorzeczności — na złość niedowiarkom, którzy się wszelką rubaszną fantastycznością gorszyli.

Ta głęboka pogarda dla indywidualnego rozumu i ta bezwarunkowa admiracya podań wraz ze wszystkiemi ich błędami i zboczeniami stanowią źródło, z którego wszystkie odnogi przekonań Rzewuskiego wypłynęły.

Na wzór Bonalda i Baadera, głęboko przejęty ideą grzechu pierworodnego, do niego całą historyą ludzkości odnosi, z niego wszystkie konsekwencye wyprowadza. Przed upadkiem człowiek był nieomylny w tém wszystkiém, co go zachować mogło. Gdy się rozrodził w towarzystwo po grzechu pierworodnym, popadł w błędy i niedorzeczność; ale cząstka jakaś praw poprzednio od Boga otrzymanych przechowywała się podaniem i skutki swoje objawiała w różnych długotrwałych instytucyach. Każdy człowiek, mocą łaski boskiéj, mógł być przypuszczony do udziału w téj cząstce prawd, jeżeli życiem zepsutém a co gorsza *pychą rozumu* — największym grzechem jaki tylko istnieje — dobrowolnie nie pozbawił się tego dobrodziejstwa. Wszakże składem podań pierwotnym były w każdym narodzie pewne stany, które w członkach swoich ciągle się odradzając, przekazywały prawdy objawione z pokolenia do pokolenia. Rzewuski nie wskazuje tych stanów szczegółowo u wszystkich narodów; ale wspomina jedynie o izraelskim. U tego na-

rodu przechowywaczem podań był naprzód patryarchat, potém synagoga. Gdy kościół chrześcijański został założony, do niego przeszedł prawem spadku skarb tajemnic. Tu atoli rozróżnia już Rzewuski dwa rodzaje podań: religijne i polityczno-społeczne. Kościół przechowuje podania religijne, arystokracya zaś, którą autor za coś zupełnie odrębnego od patrycyatu np. rzymskiego uważa, stoi na straży podań polityczno-społecznych [1]). Jak zatém we wszystkiém, co się tyczy wiary, potrzeba być ślepo posłusznym kościołowi, tak samo w rzeczach dotyczących społeczeństwa, należy się poddać kierownictwu arystokracyi, która sama tylko nietylko mądrość społeczną posiada, ale nadto ma możność urzeczywistnienia téj mądrości. Stosunek tych dwu rodzajów podań jest taki, że tajemnice religijne jako potrzebne każdemu człowiekowi do zbawienia, są wszystkim znane; tajemnice zaś społeczne kryją się w inicyacyi, do któréj tylko znakomite rody są przypuszczone. Podania te są rodzajem talizmanu, który w rodach arystokratycznych z rąk do rąk przechodzi [2]).

Czém w kościele są kacerstwa, tém w społeczeństwie wszelkie reformy. Rzewuski jest nieubłaganym przeciwnikiem wszelkich zmian nietylko w rzeczach głównych, ale i w podrzędnych nawet. Ideałem jego społecznym i religijnym są wieki średnie w tym ich okresie, kiedy się obie władze: kościelna i świecka równoważyły, każda przebywając w granicach sobie właściwych. Jakkolwiek bowiem Rzewuski usprawiedliwia te chwile, kiedy kościół w sprawy polityczne się mieszał, i okazuje uwielbienie dla łagodzącego wpływu biskupów i papieży, nie waha się przecież utrzymywać, że „chwila, w któréj idąc za popędem serca i ludu władcy

[1]) „Wędrówki umysłowe“, II, 180, 189 i w bardzo wielu innych miejscach wszystkich pism swoich.

[2]) „Wędrówki umysłowe“, I, 22.

świata zabezpieczyli zwierzchnikom duchownym stowarzyszenia chrześcijańskiego *jakiś udział we władzy politycznéj*, położywszy koniec cierpieniom wyznawców krzyża, była *poniekąd wsteczną* co do czynności kościoła. W miarę wzrostu potęgi politycznéj kościoła prawdziwe apostolstwo upadało, a upadku tego ustanowienie kongregacyi *de propaganda fide*, aczkolwiek wiekopomny świadek gorliwości papieżów, wynagrodzić nie może“ [1]). Kościoła zadaniem jest przechowywanie podań religijnych, nie zaś rządzenie poddanymi. W wiekach średnich podział władzy pomimo niektórych zboczeń był najwłaściwszy. „Nieszczęśliwy wynalazek“ druku i protestantyzm zawieruszyły ten piękny porządek: po epoce organicznéj nastąpiła epoka krytyczna, która nic zbudować nie potrafiła. Jeżeli od tego czasu cywilizacya nie podupadła; jeżeli narody nie stały się dzikiemi: winnismy to dwu czynnikom, które nie uległy rozkładowi t. j. kościołowi i arystokracyi. Konserwatyzm, będący żywiołem obu tych czynników, okazuje się dla Rzewuskiego jedynym środkiem zabezpieczenia bytu społecznego.

Stąd naturalna niechęć względem nowatorów. Rzewuski pogardzał wszelką nowością, wszelkim wymysłem indywidualnym, któryby nie wyrastał z pnia narodowości, któryby się nie opierał na podaniach narodu i pod tym względem żadnego innego wyłączenia nie przypuszczał prócz „pierwszowzględnego działania samego Boga“. Rzewuski, co „ducha ludzkości“ nazywa chimerą, wymysłem filozofów XVIII wieku, wierzy najmocniéj, że *naród* ma duszę czyli ducha, który jest jestestwem rzeczywistém, a nie fenomenem tylko, jak się zdaje „płytkim i błahym umysłom, nie mającym pojęcia o tém, co się odbywa poza krańcami świata cielesnego“ [2]). Tym duchem narodowym zdaje się być ary-

[1]) „Próbki historyczne“, 6, 27, 28. 2 st.
[2]) „Wędrówki umysłowe“ II, 85.

stokracya; gdyż Rzewuski powiada: „Ci, co mówią: chcemy narodu, ale precz z arystokracyą, sami nie wiedzą, co mówią: bo jeżeli duch narodu istnieć nie może bez ciała narodowego; jeszcze mniéj ciało narodowe istnieć może bez ducha narodowego“ [1]).

Z takiego pojmowania zasady arystokratycznéj nie mogło nie wyniknąć gwałtowne oburzenie na demokracyą. Rząd demokratyczny, gdyby mógł być urzeczywistniony, byłby takiéj natury, że wszyscyby rozkazywali, a niktby nie był do posłuszeństwa obowiązany; alboby wszyscy rozkazywali, a znowu wszyscy spełniali ten rozkaz: byłoby to więc *absurdum*[2]). Przykład Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnéj nie ma u Rzewuskiego żadnego znaczenia; bo tam „niema ani kunsztu, ani literatury, ani poezyi, a jeżeli jest tam wielka moralność prywatna, społeczność jéj demokratyczna jest w wielu względach niższa i nieraz co do prawości widoków swojéj polityki zewnętrznéj ustąpić musi *każdéj* monarchii *czystéj* i arystokratycznéj“. „Ameryka — mówi daléj Rzewuski — jeszcze nie ma ani podań ani historyi; wszakże jéj założyciele współcześnie z nami żyli; skądżeby się mogło *wyrobić żywotne przedstawienie tego, co nie jest?* Ale i tam już powstają żywioły arystokracyi, zwłaszcza w południowéj części téj federacyi“ („Wędr. umysł.“ II, 191). Rzewuski widocznie zapomniał, że według jego teoryi ciało narodowe nie mogło żyć bez ducha narodowego, że zatém konsekwentnie powinienby był odmówić życia Stanom Zjednoczonym, kiedy się w nich ów duch narodowy dopiero zaczynał wyrabiać. Rzewuski chcąc wszelkiemi środkami zdyskredytować demokracyą, nie wahał się przypisywać jéj podstępnie wszystkich radykalnych reform i pomieszać ją z furyeryzmem i komu-

[1]) „Wędrówki umysłowe“, str. 184.
[2]) „Mieszaniny obyczajowe“ II, 6, 7.

nizmem; nie wahał się mówić o „literatach podpalaczach“ u nas, gdzie ruch demokratyczny miał na celu głównie jedno: polepszenie bytu włościan...

Ludy są zawsze małoletnie i dlatego muszą być podległe. „Chrześcijanin, który wyznaje pełnowładztwo ludu, chociażby był kapłanem czy biskupem, jest apostatą a nawet bluźniercą, bo odgania Boga z ziemi do nieba... Pełnowładztwo narodowe jestto ateizm praktyczny, bo pełnowładztwo jest nieodłączne od nieomylności; a przyznać ludowi nieomylność, jestto przyznać jemu bóstwo, jestto cofnienie siebie do obalonego pogaństwa“ [1]). Rządu reprezentacyjnego Rzewuski cierpieć nie mógł: nazywał go urzędową gadaniną, która nawet wymowy nie zdołała wyrobić a czynów, zgoła [2]). Wyrabianie przedstawicieli narodu jest niedorzecznością, gdyż każdy naród ma właściwą i najgodniejszą siebie reprezentacyą w swoich rodach arystokratycznych. Jedna tylko Anglia, „któréj konstytucya wyrobiona duchem wieków średnich jest najmniéj uległą duchowi niniejszego okresu“ [3]), zasłużyła sobie u Rzewuskiego, jak późniéj u Kaczkowskiego, na stateczne uwielbienie. Naśladować jéj atoli nie radzi, mówiąc zresztą dosyć słusznie: „Chcesz, żeby twój naród był tém, czém jest angielski, nie imaj się pióra i papieru; ale stwórz w nim te cnoty, te nałogi, te podania, to uszanowanie cudzéj własności, to położenie gieograficzne, te pamiątki historyczne, te wypadki, te obyczaje, które sprawiały, że naród angielski jest tym a nie innym narodem, a wtedy tożsamość premissów wywoła sama z siebie podobieństwo w konsekwencyi“ [4]). Wogóle naród chcący wprowadzić do siebie formy polityczne innego narodu jest równie

[1]) „Wędrówki umysłowe“, II, 255, 6.
[2]) Tamże, str. 31.
[3]) Tamże, przypisek do str. 31.
[4]) Tamże, str. 64.

nieroztropny, jak człowiek pojedyńczy chcący przyswoić sobie konstytucyą fizyczną innego człowieka [1]).

Wychodząc z bardzo słusznego przekonania, że prawa są wytworem obyczajów narodowych (wbrew doktrynerom politycznym XVIII w. a zgodnie ze szkołą historyczną), nie umiał Rzewuski ocenić wpływu praw na obyczaje.

Teorya bezwzględnego postępu jest bajką; postęp jeżeli istnieje, to się objawia jedynie w zastosowaniu zasad chrześcijańskich do praktyki życia, nie zaś w ulepszeniu zasad, teoryj religijnych, społecznych lub produkcyj dzieł wielkich. Cywilizacya współczesna owszem chyli się ku upadkowi; niema już ani takich obyczajów, ani takich nauk jak dawniéj; degradacya moralna i umysłowa jest cechą naszego wieku. „Podania i wiara narodów“ nie są przyjazne przemysłowi, który się dziś tak rozwielmożnił. Wedle biblii przeklęty od ojca Cham był twórcą przemysłu. „Ewangielia świadczy, jak nienawidzeni byli faryzeusze a pogardzeni publikanie; — faryzeusze, publikanie to jest filozofowie i bankierowie, owi bohaterowie naszego czasu“ [2]). Wiadomo, jak zaciętym przeciwnikiem dorobkiewiczów był Rzewuski. Społeczeństwo stoi „duchem ofiary“ a do tego ducha żaden parweniusz podnieść się nie może.

Pogląd historyozoficzny na rozwój ludzkości nie mógł się nigdy w umyśle Rzewuskiego ustalić z tego głównie powodu, że, jak wiemy, ludzkość poczytywał tylko za abstrakcyą. Mówił niekiedy o prawach konieczności rządzących dziejami; ale częściéj wspominał o łasce, sprawiedliwości i Opatrzności boskiéj; twierdził nawet, że „miłość, wiara i nadzieja zawiesić mogą *prawa* przyrodzenia...“ (Miesz. II, 112), Jakkolwiek był przeciwnikiem zasady: siła przed prawem,

[1]) „Próbki historyczne“, 38.
[2]) Tamże, str. 44, 45.

utrzymywał przecież, że *każdy* fakt dokonany jest w sobie *jakąś prawdą absolutną*... (Przypisek do „Łaski i Przezn." II, 101. „Wędrówki umysłowe" *passim*). Posępna doktryna de Maistra o ekspiacyi grzechów przez cierpienia znalazła w nim gorliwego wyznawcę. Człowiek w szeregu istot stworzonych jest najnieszczęśliwszym, bo pragnąc ciągle szczęścia, nigdy go tu na ziemi osiągnąć nie może, a wszystkie niepowodzenia swoje własnéj jedynie przypisać musi niegodziwości. „Jest pewna suma niedoli będąca udziałem całéj ludzkości; ale repartycya téj sumy pomiędzy jéj członkami wymierza się wedle praw, których sprawiedliwość stanie się dla nas widoczną aż w dniu sądu ostatecznego, a dziś jest pokryta tajemnicą, nie mogącą być w całkowitości odsłonioną". To wszakże pewna, że szczęście i utrapienia ziemskie są prawie zawsze *w stosunku odwrotnym* przewinień i zasług członków społeczeństwa [1]). Ażeby przynajmniéj w przyszłém życiu szczęśliwą dolę ludziom przygotować, należy na ziemi surowo karać ich przewinienia. Rzewuski więc jest wielbicielem kary śmierci; a wszelkie środki ścieśniające swobodę myślenia i działania za rzecz konieczną dla zbawienia uważa; stąd pochwała inkwizycyi św., kongregacyi indeksu, cenzury i t. d. Cierpienia bowiem są nieomylną drogą prowadzącą człowieka do szczęśliwéj wieczności...

Jedyną dźwignią cywilizacyi jest chrystyanizm; nie przeszkadza to jednakże Rzewuskiemu podziwiać cywilizacyi greckiéj i rzymskiéj a nawet twierdzić, że „pod względem twórczości *nasza* cywilizacya, poddawszy się racyonalizmowi, porównania wytrzymać nie może *nawet z cywilizacyą pogańską*" [2]) — choć zresztą gdzieindziéj narzeka autor na to, że „papląca Grecya" stojąc na czele cywilizacyi, *bałamuciła*

---

[1]) „Wędrówki umysłowe" II, 85.
[2]) Tamże, str. 184.

całą starożytność [1])... Taż sama sprzeczność daje się widzieć w uznaniu wyższości cywilizacyjnéj Maurów nad chrześcijanami w pewnym okresie czasu, a twierdzeniem, że cywilizacya poza obrębem chrześcijaństwa istnieć nie może.

Zastosowując powyższe poglądy do Polski, rozciągnął dla niéj Rzewuski okres średnich wieków aż do panowania Stanisława Augusta. Do tego czasu Polska rozwijała się na podstawie podań ojczystych, wierną była swéj konstytucyi; reform nie przyjmowała lub je odrzucała; rosła w potęgę, dobre obyczaje, właściwą sobie i odrębną literaturę (nawet w drugiéj połowie XVII i pierwszéj XVIII stulecia), brzydziła się analizą, nie lubiła badać tajników natury, we wszystkich naukach szukała tylko pożytku. Odkąd zaś naruszyła kardynalne prawa swéj narodowości, podpadła losowi wszystkich chcących reformować się narodów, zaprowadziła powierzchowne i zgubne wychowanie, ustanawiając komisyą edukacyjną w miejsce zniesionych szkół jezuickich, które same tylko odpowiadały duchowi narodu [2]); zbrzydziła sobie religią przodków, zaczęła mędrkować, zcudzoziemczyła literaturę, naśladując pismo naśladowane [3]); wlazła po pas w kałużę rozpusty, a co najgorsza ośmieliła się zmienić swą konstytucyą w dniu 3 maja 1791 r. — i zniknęła z karty europejskiéj [4]). Ażeby dowieść, że dawne prawa polskie lepsze były od kodeksu Napoleona, napisał Rzewuski osobną broszurę p. n. „O dawnych i teraźniejszych prawach polskich“ (Kraków 1855), w któréj po wstępie ostrzegającym, że wszystkie nauki wyżéj stały dawniéj niż teraz, starał się

---

[1]) „Mieszaniny obyczajowe“ II, 6, 7.

[2]) „Wędrówki umysłowe“ I, str. 78. Przypisek do „Zaporożca“ IV, 77.

[3]) Przedmowa do „Łaski i przeznaczenia“.

[4]) „Próbki historyczne“, 35. Obrona Targowiczan w różnych pismach, począwszy od „Mieszanin“.

na 134 stronach wykazać, że „ani kodeks francuski, ani zmałpowanie systemu pruskiego o hipotekach, co do skutku nic tak zbawiennego dla kraju nie obmyśliły, czegoby znaleźć nie można w Statucie Litewskim i w konstytucyach zawartych w Voluminach Legum“ (str. 27).

Dziś naród polski już nie istnieje politycznie i może się tylko w literaturze objawiać; ażeby zaś literatura ta była żywotna, musi się oprzeć na podaniach, a zatém być organem religii i arystokracyi; jedne bowiem podania mogą zachować żywotność w ciele umarłém politycznie; jedna tylko szlachta jest podporą narodowości, nikt bowiem nie nazwie obywatelem kraju tego, co nie posiada własności ziemskiéj, choćby nie wiem jak rozprawiali teoretycy o korzyściach handlu i przemysłu [1])... Dla chrześcijanina każda forma rządowa zarówno będzie opiekuńczą i ojcowską („Mieszaniny“ II, 124).

Pomieszanie dwu sfer: wiary i wiedzy; pogarda dla rozumu indywidualnego a przecenienie znaczenia podań, polegające na sofizmacie, jakoby połączenie zwodniczych indywidualnych rozumów mogło wydać rozum doskonały, albo też na przypuszczeniu nieudowodnioném, że zbiór ludzi może mieć skład prawd, z którego żadnemu pojedyńczemu człowiekowi nic się drogą naturalną nie dostaje: — oto źródło główne poglądów Rzewuskiego. Źródła tego Rzewuski nie odkrył sam, lecz przyszedł już do odkrytego i zarówno zasadę ogólną jak i wszystkie ważniejsze szczegóły z niego zaczerpnął. Oprócz Francuzów: Bonalda, Lamennais'ego, de Maistre'a, starsi od Rzewuskiego, ale spółcześnie jeszcze z nim żyjący Niemcy: Baader, Schelling (z ostatniego swego okresu), jakkolwiek w wielu punktach z sobą niezgodni, w rzeczy głównéj t. j. w uznaniu mistycznego środka po-

[1]) „O dawnych i teraźniejszych prawach“, str. 58.

znania w jedno godzili. Z Polaków Mickiewicz, tak samo jak Rzewuski, który się na jego powagę lubił powoływać, teoryą swego mistycyzmu z pism owych filozofów wyciągnął i nawet w niektórych szczegółowych punktach do tych samych co Rzewuski doszedł wniosków. Pominąwszy bowiem naukę o „intuicyi“ jako źródle dzieł wielkich i prawdziwego poznania, tudzież przekonanie o konieczności „ofiary“, gdyż to są pojęcia zasadnicze u wszystkich owych filozofów, znajdziemy u Mickiewicza tę samę co u Rzewuskiego cześć dla starodawnych ustaw polskich, toż samo pojęcie o kardynalnych prawach Rzeczypospolitéj, toż samo potępienie działalności sejmu czteroletniego... (kurs II, lekcya 17) Rzewuski nie przejął bezwątpienia tych zasad z pism Mickiewicza, gdyż je wypowiedział wprzód, zanim mógł czytać „prelekcye“ miane w Collège de France, rozwinięcie ich atoli późniejsze w „Wędrówkach umysłowych“ zawdzięcza tym właśnie prelekcyom. Bardzo być może, że początek tych zasad i wspólne oddziaływanie na siebie odnieść należy do pobytu Rzewuskiego i Mickiewicza w Rzymie.

Ażeby zrozumieć możność pogardzania rozumem indywidualnym, pamiętać wypada dwa ważne względy: po 1-sze że wszystkie zbrodnie teroryzmu we Francyi przypisywano właśnie temu rozumowi, które to przekonanie było najsilniejszą podporą reakcyi religijnéj na początku naszego stulecia; a po 2-gie że bankructwo filozofii Hegla, która podpadła najrozmaitszym wykładom w nieprzyjaznych sobie obozach, wzbudzało nieufność do badania samoistnego rozumu, niekierowanego wskazówkami wiary, lecz owszem usiłującego téj właśnie wierze drogę pokazywać. Kierunek mistyczny z różnemi odnogami jużto w zamglonéj krainie fantazyi, już téż w dziedzinie ortodoksyi nastręczał się skołatanemu umysłowi ludzkości jako środek zbawienia; to téż chwyciły się go umysły niecierpliwe, niespokojne, obdarzone wysoką fantazyą lub

żądne oryginalności... Dziś kierunek ten ma dla nas znaczenie historyczne tylko, choć trudno zapewnić, że nigdy już nie opanuje umysłów. Jakąkolwiek możnaby przywiązywać cenę do tego znaczenia, błędem wszelako byłoby mniemać, że poglądy owe są wyrazem nauki kościoła katolickiego. Tak nie jest. Rzewuski należał do tak zwanéj w katolicyzmie szkoły *tradycyonalistycznéj*, któréj założycielem był Bonald. Szkoła ta, któréj myśl zasadnicza polegała na pogardzie rozumu ludzkiego, doprowadziła do tak niebezpiecznych konsekwencyj, że w łonie samego kościoła powstało przeciw niéj oddziaływanie. Już za czasów kształcenia się Rzewuskiego wykazywano i filozoficzną i teologiczną niewłaściwość téj doktryny, a jakkolwiek przetrwała ona z niektóremi ważnemi modyfikacyami do niedawnych czasów a może i do dziś dnia; to wszakże teologowie katoliccy najostrzéj przeciw niéj występują. Nie wdając się tu w dziejowe szczegóły, dość będzie dla uwydatnienia tego faktu przytoczyć wymowne słowa księdza Maret z dzieła „O godności rozumu ludzkiego i potrzebie objawienia boskiego“[1]). „Skoro indywiduum — powiada on — zna tylko przez nauczanie i świadectwo ludzkie, prawidło jego sądów leżeć będzie koniecznie w świadectwie i opierać się jedynie na powadze zewnętrznéj. Skoro nie mam sam z siebie żadnego światła, żadnéj widoczności, jeżeli nie chcę zostać w zupełnym idyotyzmie, muszę się bezwarunkowo spuścić na to, co mi inni powiedzą. Spuszczać się na świadectwo, na nauczanie innych — oto cała moja mądrość, oto cały rozum mój. A ponieważ nauki, jakie słyszę około siebie, są często sprzeczne ze sobą i zupełnie przeciwne; ponieważ rozmaite świadectwa nie zgadzają się z sobą, muszę więc albo w nic nie wierzyć, niczemu nie ufać, albo oprzeć się na najwyż-

[1]) W tłómaczeniu polskiém Eleonory Ziemięckiéj, str. 249—251.

széj powadze... Ale po jakichże znakach ją poznamy, jakież będą jéj cechy? Chcąc je poznać, systemat nie pozwala uciec się do zasad, które człowiek znajduje w sobie: to byłoby nielogicznem ze względu na założenie. Ponieważ wszystko pochodzi od zewnętrznéj powagi, ona więc powinna udowadniać się sama, być nakaźną sama przez się. A gdzież jest ta powaga?... Czyż umieścimy ją w sądzie powszechnym? Ależ sąd powszechny jest sumą sądów wszystkich. Położymyż najwyższą powagę w rodzie ludzkim? Ale jakżeż rozpoznać jego świadectwo? Gdzież znajdziemy sposób najpewniejszy tłómaczenia tradycyi, skoro światło *jest w nich, nie zaś w nas* podług systematu? A potém czyż nie wiemy, iż dla wielkiéj liczby ludzi cały rodzaj ludzki zawiera się w ich rodzinie, w małém gronku indywiduów; mająż oni ślepo poddawać się nauczaniu, jakie odbierają od swoich rodziców, od otaczającego ich społeczeństwa? Taką zasadą uświęcilibyśmy wszystkie błędy i wszystkie szaleństwa ludzkie; człowiek nie miałby żadnego środka do ich uniknienia".

W dalszym ciągu dowodzi ks. Maret, że tradycyonalizm nietylko niezgodny jest z nauką kościoła, ale nawet jest dla niéj niebezpieczny...[1]) U nas nie rozbierano szczegółowo tradycyonalistycznych doktryn Rzewuskiego ani z punktu widzenia nauki niezależnéj, ani téż ze stanowiska katolickiego; jeden tylko Tyszyński poruszył z powodu przypisków do „Listopada" kwestyą „bierności" w życiu społecznem i, pozostając na gruncie katolickim, dowodził autorowi, że nauka jego nie zgadza się z nauką kościoła, który zaleca miłość i czynność, że brak tych dwu czynników w jego utworach jest największą ich wadą[2]). Inni pojedyńcze tylko wybierali

[1]) „O godności rozumu ludzkiego", cała lekcya XIV.
[2]) „Rozbiory i krytyki" I, 416, III, 329—342.

kwestye np. arystokracyi i demokracyi, walcząc przeciw opiniom Rzewuskiego. Publiczność zachowywała się prawdopodobnie obojętnie, gdyż tych książek, w których był zupełny wykład doktryn (*Głos na puszczy*, *Wędrówki umysłowe*) zapewne nie czytała; ale kiedy Rzewuski sformułował je dobitnie w artykule dziennikarskim, okazała do nich wsręt w sposób rzadko u nas praktykowany. Mówię tu o artykule „Cywilizacya i religia".

VII.

Jakie powody skłoniły Rzewuskiego do zamiany Petersburga na Warszawę, nie wiemy. Chęć większego znaczenia na mniejszym świecie nie wydaje się dostateczną, ażeby mogła zdecydować do zamieszkania wśród ludzi małoznanych, wśród stosunków znacznie odmiennych od tych, jakie były w stolicy cesarstwa.

Bądźcobądź miał Rzewuski w Warszawie stanowisko dość wpływowe, ale nie bardzo zazdroszczone. Był urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy księciu Paskiewiczu, namiestniku Królestwa; z każdym prawie rokiem dosługiwał się nowych rang i tytułów: w roku 1852 z asesora kolegialnego został „radcą dworu"; w rok potém otrzymał znak nieskazitelnéj służby za lat 20; a w końcu tytuł rzeczywistego radcy stanu. Charakterystykę ówczesnego sposobu życia Rzewuskiego podaje nam bardzo pobieżnie B. Bolesławita w słowach następnych: „Dnie zbiegały na obiadach, przejażdżkach, śniadaniach proszonych, wieczorkach przyjacielskich, na zamku i po różnych kątach. Wszędzie chwytano ten dowcip chodzący, którym każde towarzystwo rade się było polukrować, choćby zeń (*sic!*) potém po cichu szydziło. Mało czasu znużonéj głowie zostawało na to kapłaństwo, do którego duch był nieprzysposobiony. Znać też to na wszystkich pismach hrabiego, coraz słabszych, a już

jednostajnością wyczerpania dowodzących". Charakterystyka ta co do życia salonowego w Warszawie wogóle dosyć trafna, co do Rzewuskiego, który siódmy krzyżyk zaczął, przybywając do Warszawy, zbyt zamaszystą się wydaje: trudno staremu żyć jak młody hulaka... Łatwiéj go już sobie wystawić jako człowieka znużonego życiem, przygnębionego położeniem dwuznaczném, a dumnego przecież, i z powodu téj rodowéj i osobistéj dumy pokrywającego rany serca dowcipem szyderskim, zgryźliwym, nie oszczędzającym ani pojęć ani ludzi, do jakiéjbykolwiek należeli kategoryi.

W początkach pobytu Rzewuskiego w Warszawie zdawało się, że nowe wstąpiły weń siły. Widząc doskonale, jak po rewolucyi lutowéj roku 1848, po chwilowém zwycięstwie dążności liberalnych, reakcya zyskuje coraz silniejszych popleczników i na coraz większe rozszerza się przestrzenie, osądził po raz trzeci, że pora dla przeprowadzenia jego przekonań w kraju naszym nareszcie nadeszła i... po raz trzeci popełnił omyłkę.

Wyjednawszy sobie zasiłek rządowy, Rzewuski założył w początkach roku 1851 „Dziennik Warszawski", pismo codzienne, poświęcone polityce, rzeczom społecznym i literaturze. Od „Gazety Warszawskiéj" i „Codziennéj" odróżnił się „Dziennik" większym formatem, lepszym papierem i drukiem; a pod względem wewnętrznym odznaczył się skrzętném gromadzeniem materyałów do obrazu przeszłości, odszukiwaniem wzmianek i artykułów o sprawach polskich w gazetach zagranicznych, śledzeniem ruchu literatur słowiańskich, ściąganiem za pośrednictwem korespondentów prowincyonalnych wiadomości o stanie kraju. Wszystkie te ulepszenia nadały „Dziennikiwi" prawa do zaszczytnéj wzmianki w dziejach naszéj prasy peryodycznéj, gdyż choć nieprędko, bo w 2 lata dopiero, wywołały przecież reformę w obu „Gazetach" i stanowią „okres" w rozwoju naszego dzienni-

karstwa. O ile w zaprowadzeniu tych ulepszeń czynnym był sam Rzewuski, a o ile jego spółpracownicy, trudno wiedzieć z powodu braku szczegółów o urządzeniu „redakcyi“ Dziennika. Bartoszewicz, rozpowiadając o wpływie „Dziennika“ na reformę gazet, wprost odmawia Rzewuskiemu téj zasługi, mówiąc, że on tylko „założył i zgubił pismo“ [1]); a przyznaje ją innym, nie chcąc zapewne przez skromność siebie samego wymienić. Trzeba bowiem wiedzieć, że Rzewuski potrafił pozyskać dla Dziennika dzielnych spółpracowników, pomiędzy któremi pierwsze bezwątpienia miejsce zajmował Julian Bartoszewicz, tak samo jak Rzewuski zwolennik jezuitów, katolik ścisły, chociaż o wiele trzeźwiejszy w zapatrywaniu się na przeszłość, a o wiele wszechstronniejszy w poglądzie na znaczenie nauki. Drugi młody naówczas spółpracownik nie miał jeszcze przedtém sposobności czy chęci wypowiedzenia swych przekonań: był to Wacław Szymanowski, urzędowy feljetonista Dziennika. Atoli oprócz tych dwu Rzewuski potrafił przyciągnąć do siebie ludzi, którzy dawniéj wprost jemu przeciwne wypowiadali przekonania. August Wilkoński, znany demokrata, znękany nieszczęściami, pomimo niechęci i wahania się, dał się przecie zaprządz do rydwanu arystokraty. Fryderyk Henryk Lewestam, dawny zwolenik filozofii niemieckiéj, został krytykiem en chef w piśmie, którego redaktorem był najzawziętszy nieprzyjaciel téj filozofii. Powoli i dawni petersburscy i kijowscy oponenci Rzewuskiego, demokraci i niezależni filozofowie, skłoniwszy głowę przed cenzurą duchowną, zostali przyjaciołmi Dziennika. Mówię tu o dawniejszym Albercie Gryfie, który teraz w nowéj skórze przezwał się Antonim Nowosielskim, i o Zenonie Fischu, który się na Tadeusza Padalicę przechrzcił.

---

[1]) „Historya literatury polskiéj“ 1861, str. 574.

Rzewuski przekonawszy się, że naczelnicy lub rzecznicy postępu tak łatwo przygarnąć się dali, wnioskował dosyć zasadnie, że w społeczeństwie, którego oni byli przedstawicielami, znajdzie odrazu wyznawców; że przekonania liberalne, demokratyczne, filozoficzne widocznie nie puściły korzeni w grunt umysłowy kraju; że dość rzucić silną garścią ziarna reakcyi, ażeby przyjęły się i zakiełkowały. Niedługo więc czekając, zaraz w 20 numerze nowego „Dziennika" siejbę rozpoczął. W feljetonie pojawił się wtedy początek obszernego artykułu, pisanego zwykłym trybem Rzewuskiego rozciągle i kołowo, p. n. „Cywilizacya i religia". W nim wyszedłszy z ulubionego sobie aksyomatu, że sam naród jest *bierny* i że zawsze mniejszość prowadzi masy, oraz zastrzegłszy każdemu swobodę wypowiadania przekonań, jeżeli te nie są przeciwne ani moralności wogóle ani porządkowi ustanowionemu w jego społeczeństwie: wypowiedział wyraźnie i dobitnie, że „chrystyanizm a rozum ludzki, na stopniu, jaki zajął, są nieprzyjaciele nieubłagani" i skarcił duchownych, chcących wiarę z rozumem pogodzić. Ówczesny „powrót do religii" uważał za czysto utylitarny, dowodząc, że ludzie kierowali się zasadą: „wierz w tajemnice wiary, ażeby twojéj ziemskiéj ojczyźnie dobrze się działo", i twierdząc, że prawdziwa reakcya chrystyaniznu wtedy dopiero nastąpi, kiedy ludzie uczeni będą gotowi zaofiarować nauki i rozum wierze. Czując pogardę dla rozumu ludzkiego samego w sobie, ganił teologów, którzy bronią rozumu jako daru bożego. „I rozum dyabelski — pisał — jest darem bożym potężniejszym niż ten, co był dany człowiekowi; a jednak zawierzenie jemu jest drogą prowadzącą do wiecznego zatracenia". A chcąc dotykalnie usprawiedliwić swoję pogardę dla rozumu i zaznaczyć, że ona nie sprzeciwia się nauce kościoła, pytał teologów: „Gdyby jaki król katolicki wydał rozkaz, żeby wszystkie szkoły zamknięte

zostały, wszystkie drukarnie pokruszone, wszystkie książki popalone i dał temu przyczynę, że gardzi rozumem ludzkim a tylko boskiego chce się trzymać, czyby kościół miał prawo za to go wykląć? Takiego czynu zapewne *pod względem ludzkim* pochwalić nie można, ale gdzie tu jest kacerstwo?“...

Cywilizacya wogólności rozwija się w trzech peryodycznie pojawiających się cyklach. W pierwszym panuje poezya, wyrażająca czerstwość moralną społeczeństw; w drugim — nauki, w trzecim zaś — filozofia, która zapowiada upadek cywilizacyi. Czas, w którym to pisał Rzewuski, był podług niego chwilą panującéj filozofii. „Jako dziennikarstwo — powiada — wywłaszczyło literaturę, tak racyonalizm wkrótce wywłaszczy nauki; filozofowie dziś składają masę liczebnie silniejszą niż ludzie specyalnie uczeni, filozofia — to *caput mortuum* każdéj cywilizacyi“. Już niema dzieci; jeszcze trochę cierpliwości a doczekamy się „filozofów z mlecznemi zębami, ale potężnych w argumentowaniu“...

Człowiek, jako człowiek, jest zawsze kłamcą, bo gdyby prawdę mógł z samego siebie wydobyć, nie byłby istotą *uszkodzoną* (przez grzech pierworodny). Humanizm zboczył kierunek cywilizacyi chrześcijańskiéj; istotném nieszczęściem dla społeczeństw europejskich było wynalezienie w Amalfi kodeksu Justyniana. Twórcą panteizmu jest dyabeł, który nęcił pierwszych ludzi obietnicą: *eritis sicut dei*. Dziś kiedy panteizm stał się wyznaniem znacznéj liczby inteligencyi, potrzeba wybór zrobić pomiędzy katechizmem a filozofią. Albo idea chrześcijańska i wszelka tradycyjna wygaśnie w rodzie ludzkim a społeczeństwa się rozprzęgną pod ciosem racyonalizmu; albo dzisiejsza cywilizacya zasypaną zostanie ze swojemi fenomenami lemieszem chrześcijańskim, który ją wskrzesi pod innemi zupełnie warunkami. Wyznając, że trzeciego rozwiązania nie pojmuje, Rzewuski z całą

powagą i pewnością siebie przepowiada niedługie już przyjście Antychrysta, który uosabia panteizm.

Chrystyanizm — mówił Rzewuski — podniósł ignorancyą ledwo że nie do zaszczytów cnoty; dla chrześcijanina szaleństwo krzyża jest mądrością, a mądrość ludzka — szaleństwem. Chrystyanizm nakazuje posłuszeństwo a nawet miłość dla istniejącego rządu, bez względu na jego naturę i sposób, w jaki jest sprawowany. Chrystyanizm potępia bogactwa, więc *ekonomia polityczna* powinna być wykorzeniona z prawdziwego nauczania chrześcijańskiego".

Pomijam tu mnóstwo kwestyj, znanych nam już z powyżéj przedstawionych poglądów Rzewuskiego, témbardziéj że się nasz autor ciągle powtarza. Wybiorę tylko kilka charakterystycznych ustępów, jaskrawo malujących coraz zacieklejszy konserwatyzm redaktora „Dziennika". W miarę nawet jak ogłaszał swój obszerny artykuł, stanowiący poprostu rozprawę w formie gawędziarskiéj, zapalał się coraz bardziéj — i coraz gwałtowniéj na cywilizacyą nacierał. Streszczając swoje „*credo* polityczne, które wyznaje bez zarozumienia", wygłasza: 1) że rozum ludzki nie wpływał niczém na utworzenie ciał politycznych i narodowości; 2) że ludzie w urządzeniu państw lubo działają, są tylko okolicznościami, narzędziami Boga, o ile ich działanie jest prawe; 3) że konstytucya żywotna, bez któréj nie może być żadnego narodu, nie jest dziełem ludzkiém; 4) że władza wszędzie jest bezzależna w najwyższém swojém wyrażeniu, lubo nie wszędzie a nawet nigdzie nie działa w pełności swojéj mocy; 5) że żadne nadużycia władzy w rzeczach wyłącznie ludzkich do oporu podwładnych upoważnić nie mogą; 6) że takowy opór zawsze większe klęski przynosił społeczeństwu niż te, z których usiłowało się uwolnić; 7) że dogmat pełnodzielności (wszechwładztwa) ludu jest tylko ubóstwieniem indywidualnego rozumu, a więc bałwochwalstwem nie mo-

gącém nie ściągać kar *znieważonego* Boga, który jeden jest tylko pełnodzielnym; 8) że narody lubo posiadają siłę, postępują jednak historycznie jedynie przez *władzę widomą*, i że siły ludzkie same z siebie nie utworzą władzy, która jest delegacyą Boga i bez jego pomocy jest nicestwem[1])... Do tych ośmiu punktów *credo* politycznego należy jeszcze dodać 9 bardzo ważny, który w inném miejscu Rzewuski tak sformułował: „Rząd jest wyrażeniem społeczeństwa, ale nie jego twórcą, ani nawet dźwignią, która może być wyłącznie tylko w idei czystéj, niepodległéj materyalnemu mechanizmowi; bo gdyby żywotna idea narodu mogła się rozwijać jedynie przez rząd; ta idea musiałaby zgasnąć koniecznie w społeczeństwach, które utraciły możność mienia właściwych rządów“... Punkt ten z powodu nieokreślonéj przez Rzewuskiego różnicy między rządem i władzą, zostaje w kolizyi z punktem ósmym, był jednakże, jak się zdaje, wypowiedziany z celem pogodzenia autora ze społeczeństwem, dla którego pisał...

Porozumienie to jednak było niemożliwe z powodu mnóstwa innych wyrzeczeń, które Rzewuski w kształcie aksyomatów politycznych nieulegających zaprzeczeniu wypowiedział... Obok potępienia filozofii, oświaty, zasad liberalnych, bił jeszcze redaktor „Dziennika“ w imię religii i honoru szlacheckiego na industryalizm, na zajęcie się powiększaniem dobrobytu krajowego. Ponieważ wynalazki i wszelkie ulepszenia w kulturze są dowodem „zwątlonéj wiary“ i ponieważ wszelkie przewroty fizyczne i kataklizmy przyrodzone zawsze za poprzedniczkę swoję mają „jakąś perturbacyą moralną;“ sądził więc, że wiara jedynie i pobożność zdołają podźwignąć dobrobyt. „Gdyby naród zawsze się stosował do woli Boga i z nią współdziałał, nie do-

[1]) „Dziennik Warsz.“ 1851, Nr. 45.

świadczałby klęsk fizycznych i meteorologicznych a ziemia obficiéjby mu rodziła przez ten jego wpływ moralny, niż przez te wszystkie mądre wynalazki agronomiczne, którym tyle ufają, któremi jednostki się wzbogacają a seciny z głodu umierają". Obrona przywileju łączyła się tu z obelgą rzuconą przemysłowcom i kupcom. Tylko Bóg tworzy szlachcica; szlachectwo może być zniszczone samobójstwem, ale nigdy przez obcą siłę. Szlachcic skalany szalbierstwem, lichwą, zapieraniem się wierzeń ojczystych, podłością, przekupstwem, nawet oddaniem siebie *profesyom poniżającym*, przy najpiękniejszym przywileju urzędowym przestaje być szlachcicem i swoję degradacyą moralną przekazać może potomstwu... Nasza teraźniejsza cywilizacya widocznie schyla się ku upadkowi, bo oprócz industryalizmu już żadnemi innemi fenomenami się nie objawia; a właśnie industryalizm jest nadto materyalny, ażeby ożywić skrzepłe żywioły moralne narodów: mamy tego dowód na Chinach.

W końcowym wreszcie ustępie swego artykułu zgorączkowany Rzewuski wylał całą swą żółć na nienawistną sobie spółczesność. „Cywilizacya tegoczesna — pisał — jest skażona; rozum ludzki, który ją wyrobił, jest nikczemny; społeczeństwo powinnoby się z pod niego wyłamać, innego przewodnika szukając, chociażby ten krok miało opłacić kosztem nauk, kunsztów, przemysłu i *powrotem do barbarzyństwa*"... Zawód sądowy stał się dziś przedmiotem pogardy, chociaż upatrzyć można jeszcze mężów najrzadszych cnót, którzy dla dobra ziomków jemu się poświęcili... Trzeba dziś odwagi, ażeby stawać w obronie władzy, gdyż nazwą to jurgieltnictwem, podłością. „Skoro idee chrześcijańskie w obliczu rozumu ludzkiego już niczém inném nie są tylko teoryą, nic dziwnego, że kto się odezwie z miłością dla wła-

dzy, spowodowaną miłością dla Boga, który nas pod nią usadowił, uchodzić musi za nikczemnego obłudnika“ [1])...

Już pisząc ostatnie ustępy, wiedział zapewne Rzewuski, że artykuł jego zrobił na społeczeństwie jak najgorsze wrażenie. Ze szpalt samego „Dziennika“ dowiedzieć się o tém niepodobna, gdyż tam znalazła się jedna tylko nieśmiała odezwa, starająca się obronić ekonomią polityczną od zarzutu niemoralności (Nr. 65); żadnego zresztą innego śladu niezadowolenia publiki lub polemiki dziennikarskiéj nie spotkać. W innych pismach nie starano się oponować. Ogół atoli uczuł się dotkniętym do żywego; kilkuset naraz abonentów, jak powiada B. B., odesłało ostatnie numera „Dziennika“ oświadczając, że nie życzą go sobie odbierać... Tenże autor upatruje w tym fakcie, oprócz innych, objaw także „współzawodnictwa dziennikarskiego“, ale domysłu tego żadnym faktem nie stwierdza... Istotnym powodem oburzenia ukształconego ogółu zdaje się być naprzód „credo polityczne“ Rzewuskiego, a mianowicie niektóre jego punkta, drażniące niezagojone blizny; powtóre zaś usposobienie ówczesne wogóle. Była to chwila reakcyi względem dziesięciolecia poprzedniego, ale reakcyi spokojnéj, półśrodkowéj. Żadnéj krańcowości wówczas nie lubiono: nienawidzono demokracyą i filozofią z powodu niedawnych ekscesów ludowych, ale téż nie sprzyjano arystokracyi i ultramontanizmow', do których jeszcze nie przywyknięto. Złoty środek, szara mierność — oto były ideały ówczesne. To społeczeństwo, które z entuzyazmem przyjęło „Pamiątki Soplicy“, gdzie występowali ludzie o średniéj umysłowości, o ciepłém sercu i o połowicznéj cnocie, nie mogło sympatyzować z jaskrawo krańcowemi zasadami obskurantyzmu i ultramontańskiego legitymizmu... tak samo zupełnie jak niechętnie

[1]) „Dziennik Warsz.“ 1851, Nr. 52.

a czasami z oburzeniem słuchało rzadkich zresztą natenczas odgłosów myśli swobodnéj, demagogii lub wątpliwego chrześcijaństwa. Społeczeństwo lubiło środek: było chrześcijańskiém, ale po staremu, t. j. z pewną dozą wolnomyślności, zwykle nieszkodliwie żartobliwéj; było szlacheckiém, ale bez wyłączności, owszem w duchu konstytucyi 3 maja; było żądném oświaty, ale łatwéj, podawanéj w formie powieści, gawędy; nie chciało tedy pójść za Rzewuskim, który apodyktycznością swoją raził przyzwyczajone do równości szlacheckiéj umysły. Rzewuski wołał: „Jeżeli moje *credo* ma być potępione od cywilizacyi, nic innego stądbym nie wnioskował, tylko to, czego jestem pewny i bez tego, że między chrystyanizmem a cywilizacyą jest rozbrat i że między niemi trzeba koniecznie zrobić wybór"; — społeczeństwo zaś potępiło credo Rzewuskiego, ale mimo to ani cywilizacyi ani religii się nie wyrzekło.

Rzewuski też ze swojéj strony, jakkolwiek utrzymywał, że konserwatyści są skłonni do ustępstw, sam stał niewzruszony przy swoim odosobnionym sztandarze, którego nie przyjęła nawet spółczesna filozofia katolicka u nas, reprezentowana przez Tyszyńskiego, Jakubowicza, Ziemięcką i redaktorów „Pamiętnika religijno-moralnego"... Widząc zagrożony upadkiem „Dziennik", nie zasilał go już rozprawami, ale pisał w nim jedynie wspomnienia swego dzieciństwa i powieści. Jako człowiek niezmiernie wrażliwy, nie darował jednak ani publiczności, ani szczególniéj literatom polskim wzgardliwego przyjęcia, jakiego doznał jego artykuł: gorycz zawodu wylewał w przypiskach. Wprawdzie już dawniéj nieco, pisząc przedmowę do swego „Teofrasta", nazwał literacką działalność pisarzów „krakaniem wron", wśród których on się zjawia jako „*perturbator chori*;" wprawdzie już wtedy wzgardliwie spoglądał na spółczesne piśmiennictwo polskie, mówiąc, że żadnemu z autorów, sie-

bie nie wyłączając, nie zdaje się, żeby z jego pisma jakiś rzeczywisty pożytek mógł spłynąć na towarzystwo: bo gdyby tak myślał, toby nie pisał oryginalnych tworów, aleby przekładał pisma za granicą w różnych czasach wydane na swój rodowity język; gdyż cokolwiekby napisał, to samo już tam oddawna nierównie lepiéj było napisane; — w każdym atoli razie, nie oszczędzając siebie, łagodził przykrość wymówki. Teraz zaś zajął osobne stanowisko, a na resztę patrzał naprzód z politowaniem, uważając literaturę polską za wierne naśladowanie albo karykaturę niemieckiéj i francuskiéj, poczytując w przeciągu czasu od 1847 do 1852 dwie tylko sceny z powieści Kraszewskiego „Dziwadła“ i całą „Kollokacyą“ Korzeniowskiego za wzorowe; potém przestał czytać polskie książki, ulegając, jak mówił, radzie swego lekarza karlsbadzkiego, uczonego Hlawaczka, który mu zapowiedział, żeby *nudoty* wystrzegał się jak morowego powietrza; w końcu odradzał obywatelom na wsi mieszkającym czytanie utworów literatury krajowéj.

W roku 1855 ubolewał nad „jałową płodnością naszych literatów“, a obraz naszéj ówczesnéj oświaty w następnych zawarł słowach: „Jesteśmy pogrążeni w jakiéjś niemocy intelektualnéj, która się ciągle wzmaga, a to nas doprowadzi do stanu barbarzyństwa, *bo nie chcemy na nią przyjąć lekarstwa żadnego.* Póki nie przyznamy się do téj gorzkiéj prawdy, póty nie staniemy na równi z ościennemi narodami, bo kto uznaje *swoje nicestwo*, już tém samém wielki krok robi do bytu. Zarozumiałość nigdy do czegoś dobrego nie doprowadziła. Im *bezczelniejsze* pochlebstwo jakiś piśmidlarz nam sypnie, tém większéj nabywa u nas wziętości; tym sposobem coraz głębiéj zanurzamy się w *ciemnocie*, któréj skutki już zanadto są widoczne“ [1]). Jako pro-

[1]) „O dawnych i teraźniejszych prawach polskich“, str. 11—13.

rok złéj wróżby zapomniał w tym ferworze Rzewuski, że przed laty pięciu (w *Wędrówkach umysłowych*, w przypisku do „Łaski i przeznaczenia“ II, 109) uważał Europę za zgniłą; radząc teraz zatém dążność do zrównania się z „ościennemi narodami“ podług konsekwencyi dawnych poglądów swoich, doradzał zgniliznę...

Stanowisko swoje wobec ówczesnéj literatury oznacza jako zupełnie odosobnione i niezależne. „Do żadnéj koteryi nie należę — pisał — gdyż uległość nieprawa jest przeciwna mojemu przyrodzeniu. Oprócz *niektórych powieści* (zapewne Chodźki i Kaczkowskiego, których cenił, jak widzimy z przedmowy do „Pazia Złotowłosego“), *krakowskiego Czasu* i *Kuryera Warszawskiego* od dwu lat (a zatém od 1853), żadnego nowego pisma w ręku nie miałem. Jestem zupełnie niepodległy, honoraryów księgarskich nie pragnę, a jeszcze mniéj pochwał pospolitego gminu. Przeciwnie tak dalece *odi profanum vulgus et arceo*, że jeżeli coś z pism moich podobało się, to mnie nie pochlebia, a owszem zraża, bo zaraz podejrzywam siebie, że jakieś nic do rzeczy musiało mi się wypsnąć... Jeżeli piszę, to jedynie, że przez to dopełniam prawa mojéj natury i *chociażbym miał być jedynym czytelnikiem własnych pism*, dlategobym nie przestał pisać... Dziennikarstwem zaprzestałem się trudnić, *uciekam* od obcowania z literatami. Noga moja nie postała na żadném posiedzeniu uczonych. Na zabawy publiczne nie uczęszczam. Domom prywatnym się nie naprzykrzam mojemi nawiedzinami. Z nikim nie emuluję, nikomu nie stoję na zawadzie. Na *wszelkie potwarze* jestem obojętny. Przestaję na stosunkach z krwią moją, która mi tyle pociechy przynosi, i *na szczupłéj liczbie* przyjaciół, którzy o mnie nie zapominają, a z którymi *jedynie* rozmawiam *na seryo*. Zresztą nietyle zmarnowałem moję młodość, żebym na starość sam sobie nie umiał wystarczyć. Pozostaję więc w najpomyślniejszych

warunkach do ogłoszenia tego, co poczytuję być prawdą. Bo to przynajmniéj wątpliwości nie ulega, że ani przyjaciel, ani nieprzyjaciel nie powie, bym taił prawdę, lub przeciwko mojemu przekonaniu z czémś się odezwał dla przymilenia się, czy to publiczności, czy jakiéj koteryi“ [1]).

Pojawiły się nakoniec w 1856 i 1857 r. ośmio tomowe (w 2 oddziałach) „Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego“. Publiczność i literaci podejrzywali Rzewuskiego, że on sam jest ich autorem; w każdym zaś razie widzieli, że on podzielał poglądy Michałowskiego i chwalił jawnie tego egoistę, epikurejczyka, serwilistę i oszczercę... Tu się znalazły pochwały dla ludzi potępionych przez opinią; a obelgi miotane na jéj ideały; tu czytała publiczność, że ci, co przeprowadzili ustawę 3 maja, byli to wychowańcy bilardów i kawiarń, którzy się dopuścili „oczywistéj zdrady“; tu znalazła się przeprowadzona w praktyce zasada: *ibi patria ubi bene*; tu nie szczędzono Polakom najdotkliwszych wyrzutów. Z pomiędzy mnóstwa tego rodzaju okazów, przytoczę jeden tylko, który może najmniéj oburzył, ale w którym zjadliwość doszła wysokiéj subtelności. „Żeby Kopernik żył dotąd, ale żeby opinia polityczna skłoniła go do konfederacyi targowickiéj, a zawakowała późniéj jakaś główna katedra astronomii, na któréjby mógł siedzieć tylko profesor *przez nas* wybrany, a na kandydatów do niéj podano naszego wielkiego Kopernika i np. pana Kilińskiego; oczywiście temu ostatniemu obserwatoryumby zostało powierzone“ (Oddz. II, tom II, str. 5).

Rzewuski zaś sam od siebie w przypisku, jakby żegnając się z piśmiennictwem polskiém, oświadczywszy, że już od dwu lat zgórą żadnéj polskiéj nowości nie miał w ręku, tak zakonkludował: „Ale, że każdemu wolno mieć własne a nie pożyczone zdanie, *bez wahania się* powiem

[1]) „O dawnych i teraźn. prawach polskich“, str. 11 – 13.

braci szlachcie na prowincyi zamieszkałéj, że woleliby czas obrócić na polowanie, lub na rozmowę z chłopami, niż na czytanie *jakiegokolwiek* utworu teraźniejszéj polskiéj literatury, bo więcéj z tamtych się nauczy. Literatura nasza *już się przeżyła* tak dalece, że lubo masa piszących o dziesięćnasób się powiększyła, jednak od lat *blisko dwudziestu* (a zatém od r. 1837), żadne nie wyszło pismo *w kraju*, któreby zasłużyło dojść do potomności. Jakąż może być zaleta literatury, która się ścisnęła wyłącznie w powieściopisarstwie!... W każdym zagranicznym romansie więcéj jest przyzwoitości, fantazyi, a nawet myśli, niżeli *we wszystkich powieściach połączonych* teraźniejszéj polskiéj literatury“ [1]).

Powiedziawszy takie *vale* literaturze polskiéj i ogłosiwszy w „Świcie“ lwowskim swego „Pazia złotowłosego“, dlatego, że Galicya jest „niezawodnie najwięcéj oświeconą“ ze wszystkich części dawnéj Polski, wyjechał Rzewuski w r. 1857 do swego Cudnowa, skąd już ani razu do publiczności się nie odezwał. Zawiedziony i schorzały przebył tu czas niemiłych mu bezwątpienia reform, czas uwłaszczenia włościan i zniesienia ostatka przywilejów szlacheckich; widział w Europie naukę tryumfującą, zasady liberalne powracające do dawnego znaczenia... Wszystkie te fakta musiały nań boleśnie oddziaływać. Gdy w roku 1864 odbył ostatnią swą podróż dla poratowania zdrowia, widziano go w Dreźnie bezwładnego, śpiącego, ocykającego się chwilowo tylko, dowcipnego jeszcze chwilami, ale „czkawką“ dawnego dowcipu[2]): był już ruiną człowieka. Powróciwszy do swego miasteczka, zmarł w dwa lata potém 28 lutego 1866 roku.

VIII.

Natura umysłowości Rzewuskiego nie jest tak łatwa do zobrazowania, jakby się na pozór zdawać mogło. Niepodo-

[1]) „Pamiętniki“ B. Michał.“ Od. II, tom I, str. 149, 167, 168.
[2]) B. Bolesławita w „Rachunkach“ za r. 1866.

bna o nim powiedzieć poprostu, że to był umysł ciasny, obracający się w kole zakreślonem promieniem pewnéj niezbyt głębokiéj doktryny; że to było serce zgorzkniałe, pojone żółcią nieprzyjaznych warunków życia, że to był zakuty w zbroję przesądów arystokrata, który nie mogąc przewodniczyć swemu społeczeństwu, drwił z niego zawsze a niekiedy niém pogardzał. Bezwątpienia było coś z tego wszystkiego w duszy autora „Mieszanin obyczajowych“ i wydawcy „Pamiętników Michałowskiego“; ale też było zarazem coś lepszego i coś głębszego. Należał on do téj kategoryi ludzi, co to nigdy wypowiedzieć siebie w całości nie mogą i częstokroć lepszą cząstkę chowają w serce głęboko, serdecznym przyjaciołom ukazując ją niekiedy, albo nawet nie ukazując nigdy nikomu. Pozorna jego otwartość i szczerość nie może nas złudzić: zdradza się on nieraz jedném słówkiem a częściéj jeszcze subtelną ironią, która powiada, że pod otwarcie i szczerze wypowiedzianemi słowami, kryje się jeszcze treść jakaś, słowa te dopełniająca i modyfikująca... Rzewuski był z rodu ludzi przywykłych do czynności, miotanych żądzą działania i to — działania świetnego, wynoszącego jednostki nad poziom gminu; a ponieważ żądzy téj nie mógł zaspokoić w tych sferach, które za jedyne pole rozwinięcia sił wskazywało mu wychowanie i podanie, zwrócił się z *konieczności* do literatury. Uważając atoli pismo za *nicestwo*, nie mógł w autorstwie znaleźć zupełnego zaspokojenia; totéż rzucał się w różne strony, próbował rozmaitych stosunków, szukał coraz nowych sposobów, ażeby nie zostać maszyną do pisania, lecz mężem kierującym jeżeli nie losami, to przekonaniami spółziomków. Nie szczęściło mu się ciągle — prawie zawsze popełniał omyłki: bo nie znał dokładnie swego społeczeństwa i nie kochał go prostodusznie, traktując je jako małoletnie, narzucając mu despotycznie swoje wyroki, drwiąc z niego boleśnie. Szedł przebojem z dumnie

podniesioną głową, z szyderstwem na ustach, zapominając, że nie talent, ale dobroć zyskuje współczucie. Kochał on jednakże przez czas pewien społeczeństwo swoje po swojemu, to jest tak, jak kochają tyrani, widząc szczęście podwładnych w wypełnieniu swojéj woli. W latach 1840–1848 był on zdaje się takim, jakim odmalował pisarza wogóle w swoim *Głosie na puszczy*: „Wyraziciel piśmienny swojéj społeczności musi w sobie rozwinąć wszystkie żywioły w niéj istniejące. I pod tym względem nic z jego strony ani *powinno ją obrażać*, ani téż rzeczywiście obraża. Musi być on jak ona istotą cierpiącą, gniewliwą, często przesadną w swoich wyobrażeniach. Czasem użalać się będzie, że jego pióro nie jest jeszcze przewodnikiem zdolnym do wyprowadzenia wszystkich goryczy, któremi jego serce jest przepełnione! Czasem rzuci jéj coś ostrzegawczego i choć jest ciemnym, *nie chce być wyrozumiałym*, że go odgadnąć nie może. Wtedy sarkastycznem szyderstwem zacznie *dręczyć tych, za których chętnieby swój żywot położył.* Czasem łzami się zalewa i siebie i swoję społeczność przeklina, bo czuje, że obojgu *czegoś nie dostaje*. Szuka ratunku a *znaleźć go nie może.* Jęczy pod ciężarem i własnych i społeczności swojéj przewinień, szuka ochłody, rzuca się *wściekle* na jakąś jednostkę niewinną, którą *nielitościwie* piórem krzyżuje, a *wyrzuty sumienia nowe powody niepokoju przynoszą jego sercu.* Miłuje swoję społeczność nad wszelkie wyrażenie, a *bez przestanku szuka z nią zaczepki.* Nagany téj społeczności go gniewają, jéj pochwały nie mniéj go oburzają. Nie może żyć bez niéj; a z *nią żyć nie umie w zgodzie*; a pomimo to i on i jego społeczność kłócąc się z sobą ciągle, jednoczą się jakimś tajemniczym węzłem“ [1]).

Było w Rzewuskim jakby dwie osobistości: jedna polska — otwarta, rubaszna, trywialna nawet; druga francuska,

[1]) „Głos na puszczy“, str. 111, 112.

ale w tym rodzaju, który się u nas nigdy nie podobał, wyrobiona cudzoziemskiém wychowaniem, długim pobytem za granicą, szydercza, przepojona legitymizmem i tradycyonalizmem w duchu Bonalda, de Maistre'a. Pierwsza jednała mu sympatyą, zapewniała powodzenie jego opowiadaniom i żartom; druga odpychała od niego, bo naród ani legitymizmu francuskiego ani zasad de Maistre'a znać nie chciał. Utworem pierwszéj były „Pamiątki Soplicy", to też wzbudziły entuzyazm; typowym utworem drugiéj był artykuł: „Cywilizacya i religia", dlatego też został odepchnięty ze wstrętem.

Przekonania arystokratyczne łączyły się u Rzewuskiego z narodowością jak najściśléj i dlatego tyle o „podaniach" rozprawiał, że w ich zachowaniu widział jedyną rękojmię bytu społecznego. A ponieważ nie cierpiał półśrodków, posuwał więc zamiłowanie podań aż do pogardy wszystkiego, co się tylko reformą, ulepszeniem, postępem nazywało. Nie oddawał on czci bałwochwalczéj arystokracyi, jako arystokracyi, bezwzględu na jéj przekonania i życie; ale o tyle ją za zachowawczy i zbawczy pierwiastek społeczeństwa poczytywał, o ile wyznawała i wprowadzała w czyn swoje posłannictwo: o ile wykonywała cnoty, które Rzewuski za nieodłączne od jéj pojęcia uważał. W takiém uwielbieniu dla arystokracyi było bezwątpienia wiele dumy rodowéj, wiele przesądów kastowych; ale też — wiele siły przekonania.

Umysł Rzewuskiego był rozległy i głęboki; ale poddawszy się kierunkowi doktryny despotycznéj, wyłączającéj z zakresu prawdy bezwarunkowo wszystko, co się z nią nie zgadzało, został w rozwoju swym skrępowany. Wykształcony w dosyć dobréj szkole (Cousina, Villemaina, Niebuhra), wzbogacony mnóstwem wiadomości, które na własność swą obrócił, po pewnym dość długim zresztą okresie wychowawczym, bo do roku 1833 ciągnącym się, w późniejszym czasie pomimo ogromnéj wrażliwości, nic już nowego nie

asymilował, ignorując pogardliwie wszelki postęp w dziedzinie wiedzy. Jeżeli się zaś przypadkowo dowiadywał o jakichś nowych zdobyczach naukowych, gardził niemi, biorąc stąd jedynie pochop do szyderstwa i z saméj nauki i z ludzi jéj się poświęcających.

Umysł ten nie posiadał zdolności analitycznych i z tego głównie powodu uważał analizę za przeszkodę rozwinięcia sił twórczych, za rzecz ujemną. Ani w rozbiór psychologiczny i krytyczny, ani w rozumowanie wdawać się nie lubił; dowodzenie zaś jego nie było rzeczywistém dowodzeniem, ale stawianiem tylko niedowiedzionych twierdzeń. Miał zwyczaj powoływać się na fakta; wyrażenia takie jak: „żaden doświadczony tego mi nie zaprzeczy; nic tu nie mówię, czegoby nie potwierdziła historya“ i t. p. spotykają się w pismach jego filozoficznych na każdéj niemal kartce... Nigdzie jednak nie zastanowił się nad tém, że fakt każdy, choćby najpewniejszy, może ulegać rozmaitym wykładom, zarówno pod względem swego źródła jak i swoich wpływów; stąd téż fakta przezeń cytowane, w umyśle, nie składającym się z takich pierwiastków jak umysł Rzewuskiego, mogą zrodzić zupełnie inne wnioski aniżeli te, które autor z nich wydobył. A co do krytyczności, to Rzewuski patrzał jedynie na „wiarogodność świadka“ i wszystko, co mu taki świadek powiedział, za bezwarunkową prawdę przyjmował, choćby temu przeczył skład okoliczności, natura rzeczy, że już nic o pogardzonym rozumie nie wspomnę. „Wiarogodność“ zaś na „poczciwości“ zasadzał, tak, że wiarogodnym był u niego każdy poczciwota, choćby zresztą niedołęga umysłowy. Łatwowierność zatém brał nasz autor w obronę i sądził, że w wielkich i ważnych sprawach łatwowiernym być nietylko można, ale nawet potrzeba... (Przypisek do *Łaski* i *Przezn.* II, 103).

Pogardzając rozumowaniem, nie cierpiąc definicyi, nie krępował się w rozwijaniu swych myśli żadnemi metody-

cznemi prawidłami rozprawiania; lecz notował swoje uwagi, jak mu się same nawijały; szedł za swobodnym biegiem kojarzenia się wyobrażeń, które go nieraz na manowce i kołowania zaprowadzało. Stąd pisma jego filozoficzne czytają się z łatwością wprawdzie, gdyż nie przykuwają uwagi do jednego przedmiotu, rozrywając ją ciągle nowemi; — lecz umysłu, lubiącego ścisłość naukową, nigdy zadowolnić nie mogą. Co im nadaje znamię wybitne, to ta pewność siebie, z którą autor wszędzie występuje, wszystkie najwyższe kwestye poruszając. Umysł Rzewuskiego operował na szerokiéj przestrzeni, dotykał się najrozleglejszych zagadnień; a zawsze śmiało o nich decydował, mając odpowiedź na wszystko gotową. Odpowiedź ta była wprawdzie w ogólnych zarysach zawsze prawie ta sama; a ponieważ powtarzała się ustawicznie, nadawała więc sposobowi rozumowania Rzewuskiego cechę tautologiczną i stawała się powodem, że mu ciasnotę i płytkość pojęć zarzucano. Zarzut ten o tyle był słuszny, że Rzewuski podzieliwszy dowolnie wszystkie pojęcia i wszystkie zjawiska na *dodatnie* i *ujemne*, pierwsze uwielbiał a drugie, zamiast ze swego stanowiska krytykować, poprostu za *nicestwo* uważał. Był on pod tym względem równie jednostronnym, uznając intuicyą i podanie za jedyne źródła wiedzy, jak owi filozofowie XVIII wieku tak przezeń pogardzeni, co to uznawszy religię za utwór oszustwa kapłanów, nie chcieli zgłębiać nawet uczuć religijnych w duszy narodów...

Jako umysł wrażliwy, Rzewuski ulegał częstéj zmianie przekonań, mianowicie w kwestyach, które za mniéj ważne poczytywał; a zapalając się w dyskusyi, nieraz zachodził daléj, niż sam pierwotnie zamierzał. Zmiana atoli przekonań nie była u Rzewuskiego zupełnie bezświadomą, gdyż w takim razie musielibyśmy go uważać za zwykłego umysłowego niedołęgę; lecz wynikała z zasady, że żaden umysł wyższy nie jest *logiczny*, i była dowodem raz dumy pana

i człowieka twórczego, żartującego sobie z wysiłków logicznych tak zwanéj przezeń „trzody“ racyonalistów, a drugi raz wynikała z nacisku okoliczności, którym pomimo swéj dumy musiał hr. Henryk ulegać.

Ponieważ nie miał skłonności do krytycyzmu, opierał się Rzewuski w spostrzeżeniach swoich na analogii; ten kierunek umysłowy łącznie z naturą uczuciowości wyrobił w nim usposobienie do dowcipu, zazwyczaj z barwą sarkastyczną. Mnóstwo znamy jego zręcznych słówek, kalemburów, przycinków, przekazanych nam przez B. B. w „Rachunkach“, Wilkońską we „Wspomnieniach“ i innych. Najlepszego nie oszczędzał przyjaciela — krewnym nie darował, jeżeli mu tylko nadarzyła się sposobność do zjadliwego wyrażenia. Uczucia jego były silne a raczéj gwałtowne, ale wszystkie miały pobudki egoistyczne, chociaż Rzewuski tak często o duchu ofiary pisał... Stąd takie namiętności, jak: gniew, nienawiść, pragnienie zemsty, ambicyą, lubieżność umiał malować jaskrawo; ale w przedstawianiu tkliwego uczucia miłości, zachwytów mistycznych, poświęcenia się dla bliźnich lub dla kraju, stawał się zimnym, retorycznym, konwencyonalnym. Ażeby jednak odtworzyć objawy namiętności w całéj ich grozie, w całym ich przyrodzonym rozwoju, stawały Rzewuskiemu na przeszkodzie jego przekonania. Religijnemi prawdami przejęty, kierowany tą zasadą, że każdą złą namiętność przytłumiać należy, rzadko kiedy pozwolił jéj swobodnego biegu i starał się nieraz zgnieść ją w człowieku przez nią opanowanym za pośrednictwem wpływów wiary. Jeżeli wskutek takiego postępowania figury jego tém większéj barwy polskości nabierają, polskości powściąganéj wędzidłem religii; to tracą natomiast ogólno-ludzkie, czysto-przyrodzone znaczenie, jakie mają np. postaci Szekspirowskie. Usposobienie gwałtowne, ale przemijające, silne, ale na chwilę tylko, poparte teoryą zmian nagłych pod

wpływem błahych pobudek, sprawiło, że Rzewuski w rysunku nawet egoistycznie wielkich postaci nie był mistrzem.

Fantazya jego celowała plastyką nadzwyczajną w odtwarzaniu siły i zręczności fizycznéj, rubaszności, jowialności a także i satyrycznego dowcipu — obok umysłów i serc średnéj miary. Fantazya ta nie była we właściwém znaczeniu twórczą: była tylko dopełniającą, odtwarzającą. Odznaczając się nadzwyczajną „pamięcią artystyczną", umiała w każdéj chwili na zawołanie wystawiać sobie osoby i rzeczy dawniéj znane, czy to z widzenia czy ze słyszenia; umiała najdokładniéj zatrzymywać w sobie ich położenie, ruchy lub mowę. Lubowała się w rysach wyraźnych, grubych, jaskrawych; nie lękała się żadnych barw, choćby najbardziéj rażących; ale nie posiadała dosyć zdolności do pochwycenia subtelnych półcieni. Fantazya ta była w wysokim stopniu realistyczna; nie gardziła nawet trywialnością; ale miała swoje kaprysy, swoje wyłączności. Nie posiadała np. uczucia piękności przyrody, nie zachwycała się dziełami sztuki: zajmowali ją jedynie ludzie i te rzeczy, które z niemi całość niejako stanowili: ubiór, mieszkanie, pożywienie... Choć była silną, nie odznaczała się przecież ani ruchliwością ani płodnością. Postacie przez nią stworzone są pełne życia i naturalności: dziarskie, silne, odważne, dumne, albo pokorne, tchórzliwe, próżne; ale bardzo wielkie mają do siebie podobieństwo. U Rzewuskiego prócz może dwu postaci kobiecych, nie ma zresztą maryonetek, któreby się ruszały tylko za pociągnięciem powieściopisarskiego sznurka; owszem widzimy ciągle osobistości samoistne, mniéj lub więcéj od innych zawisłe, ale zawsze żywe, swobodnie się ruszające. Pierwowzory ich jednak znajdują się w „Pamiątkach Soplicy" i w „Listopadzie". Figury, które Rzewuski stworzył w późniejszych powieściach, są już albo powtórzeniem albo rozszerzeniem rysów, które w owych dwu utwo-

rach napotykamy. Wyjątek stanowią jedynie dwie postaci: Zacharyasz Śmigielski, tchórz staropolski, i pani Krajewska, lecz tylko w pierwszéj swojéj fazie, jako kochanka Augusta II. W szczupłém atoli kole swojéj fantazyi obracał się Rzewuski z nadzwyczajną swobodą i pewnością siebie, a jego skłonność do malowania osób śmiałych, odważnych, energicznych stanowiła, wraz z niektóremi podobnemi objawami u Korzeniowskiego, pewną przeciwwagę względem tego ckliwego rodu mazgajów, którego beatyfikacyą Kraszewski w powieściach swoich niezmordowanie przeprowadzał.

Brak głębokiego uczucia i wykształcenia artystycznego wpłynął szkodliwie na kompozycyą powieści Rzewuskiego. Ogólny układ ich jest zazwyczaj luźny; ześrodkowanie efektów do jednego punktu nigdzie niema miejsca. Obok tego zamiłowanie „naturalności“ posuwał nieraz Rzewuski aż do kopiowania rzeczy wstrętnych, obrzydliwych. Dodać atoli potrzeba, że cecha ta głównie pojawia się w „Paziu Złotowłosym“, a bardzo rzadko napotkać ją można w powieściach historycznych... Całą usilność swoję obrócił Rzewuski nie na staranną kompozycyą całości, ale na odrysowanie figur, pojedyńczych sytuacyj, a mianowicie na opowiadanie. Dar charakterystycznego opowiadania posiadał Rzewuski w wyższym stopniu niż którykolwiek z naszych powieściopisarzy. Pociągał on niém, przywiązywał uwagę czytelnika tak silnie, że brak analizy psychologicznéj łatwo mu się wybaczało. Dopiero przy końcu swego zawodu Rzewuski zasypiał niekiedy, mianowicie w „Zaporożcu“... Dyalog, oprócz niektórych scen miłosnych, jest zawsze charakterystyczny: kiedy przemawia osoba jowialna — jowialny; kiedy dowcipna — dowcipny; kiedy prostoduszna — naturalny i naszpikowany przysłowiami; kiedy namiętna — silny i energiczny...

Dla umysłów, szukających w powieści dusz wielkich,

namiętności silnych, inteligencyj potężnych albo też uczuć tkliwych, serc marzących, zachwytów mistycznych, utwory Rzewuskiego nie dadzą żadnéj karmi: bo odstręczą i odepchną je swoim trzeźwym, realistycznym, w ziemię wpatrzonym, środek lubiącym charakterem. Ale dla umysłów skłonnych raczéj do prozaicznego niż poetycznego na świat poglądu, lubiących rozpatrywać ludzi we wszystkich a więc i w niższych stopniach rozwoju; zachwycających się każdą byle plastycznie odtworzoną postacią: wszystkie powieści Rzewuskiego nie będą pozbawione interesu. „Pamiątki“ zaś i „Listopad“ dla każdego, ceniącego piękno, będą utworami pierwszorzędnéj wartości, wbrew zdaniu Kraszewskiego, który 15 marca 1856 roku odmówił znaczenia na przyszłość „Pamiątkom“, (jako zbudowanym na podstawie konwencyonalnéj i kłamliwéj, „Gawędy o literaturze i sztuce“, str. 64). Niemi rozpoczął on nowy okres w historycznem powieściopisarstwie naszém, okres, który dotąd trwa jeszcze.

Rzewuski miał wielką a dość rzadką u nas odwagę wypowiadania swych poglądów na rzeczy drażliwe a ważne; nie lękał się ani słów, ani sytuacyj, ani kwestyj, które u przeciętnéj publiki niechęć, strach albo wstyd obudzały. Przekonania swoje wypowiadał jasno, wyraźnie; bez względu na oburzenie, jakie mógł wywołać. Wśród społeczeństw stojących od nas wyżéj w oświacie, byłoby to rzeczą zwykłą, na którą się mało zwraca uwagi; gdyż tam raczéj brak lub niepewność przekonań staje się przedmiotem szyderstwa i chłosty; ale u nas, gdzie tyle ludzi poważnych, mających stanowisko w społeczeństwie, schodzi do grobu bez świadomości swoich przekonań co do kwestyj ogólnych, pisarz głoszący swoje poglądy śmiało i otwarcie, zawsze na uznanie zasługuje, bez względu na to, czy na te poglądy się zgadzamy, czy nie... Rzewuski parodoksami swemi obudzał drzemiącą w kraju umysłowość i wraz ze spółcze-

snymi filozofami, choć w całkiem przeciwnym kierunku, przerwawszy smutną, bezbarwnemi utworami beletrystyki miejscowéj odżywianą wegietacyą ducha, jaka po 1831 r. u nas zapanowała, przyczynił się do wywołania tego pełnego przeciwieństw i przez to tak świetnego ruchu literackiego, który nas tak czaruje w dziesięcioleciu od 1840 do 1850 roku...

1877.

IV.

ZYGMUNT KACZKOWSKI.

I.

Pierwsze dziesięciolecie drugiéj połowy XIX wieku z samego już początku naznaczyło się w dziejach cywilizacyjnego rozwoju Europy kontynentalnéj znamionami reakcyi zarówno w dziedzinie polityki, jak w sferach religijnych i społecznych. Ruchy rewolucyjne lat dawniejszych zgniotła zręczna ręka Ludwika Bonapartego, a wszechwładztwo ludu stało się stopniem, po którym idea monarchiczna, wznosiła się w coraz większe wyżyny. Teorye i mrzonki socyalistyczne straciły kredyt mas, znajdując jedyny przytułek w głowach zapalonych i ekscentrycznych. Reformy religijne nie znalazłszy ani gorliwych apostołów, ani fanatycznie posłusznych wyznawców, posłużyły wyłącznie do silniejszego ugruntowania wyznań dotychczas istniejących. Nawet naukę, tę wytrwałą pracowniczkę na polu ustalenia prawdy i przygotowania przyszłych ulepszeń, chciano zaprządz do rydwanu ówczesnych dążeń wstecznych; lecz to usiłowanie pozostało bez następstw. Literatura, przeżywszy świetne dni chwały, grzęzła w powszedniém błocie życia, kiedy-niekiedy tylko przypominając sobie, że niedawno cały świat ideałów w sobie mieściła. Praktyczna tylko strona rozwoju, rolnictwo, przemysł i handel, korzystając ze względnego w Europie spokoju, i wyzyskując, o ile się dało, chwile starć krwawych, rozwielmożniła się nie żartem, a wspomagana nowemi wynalazkami i odkryciami, olbrzymie czyniła postępy, darząc społeczeństwo zachodnie z jednéj strony dobrobytem, z dru-

giéj zaś... proletaryatem. Rozwój materyalny zyskał czasową przewagę nad rozwojem duchowym, który zaczął się czołgać przez lat kilka w żółwiéj skorupie zastoju, nie odganiając od siebie nawet i wstecznictwa.

Tak było w Europie, tak też po części i u nas, o ile naturalnie wielkie rzeczy dają się porównywać z małemi.

Po latach, w których się wyrobiły dwa dość wybitnie występujące kierunki: arystokratyczno-katolicki i demokratyczno-postępowy, nastąpiła chwila niezdecydowanych przekonań, chwila jakiéjś ugody zarówno niejasnéj w swych podstawach jak i nader chwiejnéj pod względem saméj budowy. Gorętsze żywioły postępowe wydalono z łona społeczeństwa; ci zaś, co w nich znajdowali karm' duchową, nauczeni smutnemi wypadkami, już to specyalnéj już też ogólniejszéj natury w roku 1846 i 1848, albo przycichli, albo wywiesili sztandar pojednania z biorącym górę prądem religijnym. Postępowe atoli usiłowania nie przebrzmiały bez skutku. Zdyskredytowały one przedewszystkiém kierunek wsteczny, tak że kiedy hr. Rzewuski, który w latach poprzednich z podniesioną głową i z wielką pewnością siebie wygłaszał swoje poglądy, założył „Dziennik Warszawski“ w celu szybszego ich rozpowszechnienia; to publiczność zaczęła sarkać i zmusiła autora „Listopada“ do złożenia redakcyi w inne ręce. Powtóre usiłowania owe tyle przynajmniéj podziałały na umysły, że „urodzony“ nie wstydził się imać przemysłu i rękodzieł, i że Korzeniowski w „Krewnych“ mógł bez zająknienia proponować podupadłemu obywatelowi uczenie się i praktykowanie stolarstwa.

Były to oczywiście bardzo drobne okruchy skutków, jakie sobie demokracya obiecywała po swojéj daleko sięgającéj działalności; zdyskredytowana atoli na czas jakiś smutnemi a krwawemi wypadkami, nie mogła się już spodziewać innych. Tym sposobem stało się, że w dziesięcioleciu

od 1850 do 1860 żadna krańcowość nie popłacała. Umysły pokochały środek wygodny dlatego właśnie, że w nim pełzły jaskrawe barwy przekonań, a ostre kanty stronnictw ścierały się.

Filozofią niezależną od wiary, reprezentowaną u nas głównie przez Trentowskiego, a podsycającą niegdyś ducha demokratycznego, filozofią, którą dawniéj zaszczycano szczegółowemi rozbiorami, wówczas przyjmowano szyderstwem, frazesami rzucanemi mimochodem, jakby od niechcenia, to w powieściach, to artykułach krytycznych i literackich. Filozofia katolicka natomiast, idąca ręka w rękę z teologią, zyskiwała coraz więcéj zwolenników. Trentowski w przeciągu lat dziesięciu odzywa się raz jeden tylko w „Tece Wileńskiéj“ na to tylko, ażeby doznawszy niemiłéj i wcale nie filozoficznéj odprawy zamilknąć aż do r. 1860. Zmieniony stan rzeczy uczuł on bardzo boleśnie i z namiętnością sobie właściwą pisząc w r. 1861 przedmowę do „Panteonu“, który wyszedł dopiero w kilka lat po jego zgonie, kreśli jaskrawy obraz smutnego upadku wyższych pojęć i głębszych badań. „Coraz okropniejsze położenie kraju — powiada — zwrot Europy całéj na piekielne manowce stare, muzułmanizm chrześcijański w zażartéj walce z oświatą chrześcijańską... wszystko to razem przyprawiło mię o dziesięcioletnią niemoc... Naród sam zwrócił się lewo w tył i pędził szybko, by kolej żelazna, ku XIII wiekowi, prześcignął wnet pod tym względem Zachód, który przecież stawiał potężny i w końcu zwycięski opór; że stał się coś na kształt Hiszpanii północnéj. Ustały u nas przeglądy, światłu, postępowi i umiejętności poświęcone, takie np. jak niegdyś Kwartalnik krakowski i Rok Poznański. Na miejscu ich królowały pisma w duchu i kierunku średniowiecznym, który wężową mądrością umiał nas wyprowadzić w las... Rzucano klątwy na filozofią, poniewierano rozum ludzki

i umiejętność niepodległą... potwarzano a nawet prześladowano uprawiaczów i przyjaciół światła. O, straszne było to dziesięciolecie!... Głos swobodniejszy i słowo oświecić kraj chcące nie znalazły przyjęcia w czasopismach. Dzieło filozoficzne szukało daremnie czytelnika, a więc i wydawcy. Powróciło się w najohydniejszy dawnéj upadającéj Polski czas, wyjąwszy chyba, że nie spalono Łyszczyńskiego i dano tak zwanemu makaronizmowi pokój! Było ognia wiarowego siła, a światło utaiło się tam i sam pod popiołem. Stany te bolały mnie mocno i nie mogły mi dopomódz do zdrowia. Potrzeba mi było wyczekiwać przyszłości lepszéj, albowiem dla chwil barwy takowéj pracować i pisać nie warto!" Wskutek takichto przyczyn najoryginalniejszy umysł filozoficzny polski musiał trawić się sam w sobie, nie mogąc przedstawić szerokiéj publiczności myśli i pragnień swoich.

Kremer i Libelt poświęcili swe prace estetyce, nie zaczepiając innych zagadnień z dziedziny „królowéj nauk".

Wielka masa dzieł teologicznych znacznego rozmiaru a popularnie pisanych, teraz bardzo chętnych znajdowało tłómaczów. Ks. Gaume, ks. Guillois i wielu innych weszli u nas na porządek dzienny. Wielka historya powszechna Cezara Cantu, napisana w duchu katolickim, została właśnie wówczas językowi naszemu przyswojona. Wymieniam tylko główniejsze fakta, nie mając bynajmniéj zamiaru wyczerpywać tak obszernéj kwestyi; dodam tylko jeszcze kilka słów obcych, ażeby pokazać, że już spółcześni uczuwali dokonywającą się zmianę. Oto jakie życzenia na rok 1851 składa historyograf demokracyi szlacheckiéj, Waleryan Wróblewski swym ziomkom w Athenaeum redagowaném przez Kraszewskiego, (zeszyt VI, str. 224 z roku 1850): „Unikajmy szaleństw socyalistów, bo one w niczém nie przypadają do naszego umysłu wychowanego w zdrowiu (?) i własném historyczném doświadczeniu, a mo-

głyby nam przyćmić nasze dobre u ludzi imię! Odrzućmy naukę filozofów niemieckich, bo nudna, ciemna, a w ostatecznym wypadku niepoczciwa. Nie wierzmy nadewszystko ich nieszczeremu słowu i obietnicom, bo jest to wierzyć w możebność pogodzenia ateizmu z wiarą, entuzyazmu z rachunkiem, jestto bratać odwiecznie niecierpiące się z sobą plemiona i ich żywotne interesa". Głos to bynajmniéj nieodosobniony; z takich i tym podobnych mógłbym porządny chór ułożyć.

Kwestya usamowolnienia włościan i emancypacyi kobiet, którą w poprzedniém dziesięcioleciu tak gorąco się zajmowano, doznała losu filozofii. Usamowolnienie włościan, obrabiane w książkach specyalnych, z ekonomicznego punktu widzenia, dopiero pod koniec chwili dziejowéj, o któréj mówimy, weszło napowrót na szersze pole dyskusyi w szpaltach dziennikarskich. Emancypacya zaś kobiet wyszydzona, wyśmiana, stała się straszydłem społeczném, o którém lękano się wzmiankować nawet. Nauki przyrodnicze nie były co prawda zaniedbywane, lecz w przeprowadzeniu ich szczegółów i w ogólnym na nie poglądzie trzymano się powag dawnych, a nowsze badania pomijano milczeniem. Cały np. ruch materyalistyczny, który taką wrzawę wzniecił wówczas w Niemczech a w znacznéj części i w innych krajach Zachodu, u nas nie odbił się ani sympatyczném ani antypatyczném echem; poprostu ignorowano go; wiedziały o nim zaledwie jednostki. Nowsze zdobycze gieologii i zoologii doszły do nas bardzo późno, bo w najbliższych nas dopiero czasach. Brak uniwersytetu jak w innych gałęziach wiedzy tak mianowicie w naukach przyrodniczych dawał się uczuć bardzo dotkliwie: odosobnił je od ruchu ogólno-europejskiego, przeciął dopływ nowych, ożywiających soków. Dzieła naukowe ukazują się sporadycznie, a wydawnictwa popularne przeżuwają tylko stary pokarm.

Strona głównie praktyczna tych nauk w zastósowaniu do rękodzieł, przemysłu i sztuki leczenia stała się przedmiotem dosyć pilnie badanym i rozpatrywanym. Realny kierunek wychowania w Królestwie sprzyjał temu nie mało. Nie wspominając o tak zwanych gimnazyach realnych, o instytucie agronomicznym, i o założonéj w roku 1857 akademii medyczno-chirurgicznéj, z własnych wspomnień przytoczyć mogę okoliczność świadczącą, że wykształcenie techniczne rozpoczynano wtenczas bardzo wcześnie. Przy ulicy Bednarskiéj istniała szkoła elementarna o dwu oddziałach. Otóż w drugim oddziale dzieci mniéj więcéj dziesięcioletnie uczyły się technologii i mechaniki, wykładanéj rozumie się bardzo przystępnie, chociaż niezbyt praktycznie; opowiadano tam np. o własnościach tlenu i azotu bez żadnych doświadczeń. Ile takich szkółek było wówczas w kraju, nie wiem, dość że istniały, i jakkolwiek wadliwie, rozpowszechniały przecież wiadomości realne, których wymagał podnoszący się przemysł.

Zniesiona w roku 1850 granica od cesarstwa, niedawno zbudowana kolej warszawsko-wiedeńska, urządzone statki parowe na Wiśle, ułatwiając komunikacyą, przyczyniały się do rozwoju handlu oraz bliższych stosunków z zagranicą. Dążność do polepszenia bytu materyalnego, krzątanie się około zakładania fabryk i udoskonalania rzemiosł, chociaż w porównaniu z europejskim ruchem na tém polu, równała się prawie pracy Robinsona; chociaż jako początkująca znajdowała poparcie u ludzi trzeźwo zapatrujących się na sprawy kraju, raziła przecież umysły sentymentalno-poetyczne, nie znoszące dymu fabrycznych kominów, a lubujące się w naszych błotach, jeziorkach, wybojach szosowych i tym podobnych arcypatryarchalnych zabytkach, które „ducha nie gaszą".

Z téj saméj dążności praktycznéj wyniknął w dziedzi-

nie umysłowéj prąd wychowawczy, który się uwydatnił w wydawnictwach książkowych i pismach peryodycznych. W drugiéj mianowicie połowie rozpatrywanego dziesięciolecia prąd ten nabrał pewnéj siły, wywołanéj poczęści zainteresowaniem się losem chorego Jachowicza. „Zabawy przyjemne i pożyteczne dla młodego wieku“ r. 1856 i 1857 Józefy Śmigielskiéj, „Rozrywki dla młodocianego wieku“ Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj od 1856 do 1860 r. oto tytuły czasopism poświęconych sprawie wychowania. Nowe wydanie dzieł Hofmanowéj r. 1857 świadczyło o zamiłowaniu w dawnych ideałach wychowawczych.

Możnaby tu jeszcze przytoczyć jeden, co prawda chorobliwy już objaw owéj dążności praktycznéj na polu polityki, objaw wyrażony w połowie przez niby-idealistów; lecz o téj smutnéj chwili naszych dziejów wewnętrznych wolę zamilczeć.

* * *

Typem panującym ówczesnéj chwili literackiéj była historya malownicza i beletrystyka.

Przeszedłszy przez rózgi doświadczenia krwawego, umysły szukały ukojenia w rozpamiętywaniu przeszłości. Chciano zapomnieć choćby na czas krótki tylko o niesmaku bieżącéj chwili i zanurzyć się w ożywczém źródle tradycyi, chciano sobie osłodzić przykrość położenia rzeczywistego przypomnieniem dawniejszéj sławy. Nie żądano ani demokratycznych, ani arystokratycznych, ani nawet czysto naukowych, objektywnych poglądów na wypadki dziejowe; pierwsze bowiem i drugie przy zmienioném usposobieniu nie mogły popłacać; do trzecich nie miano dostatecznego przygotowania. Przedstawić tedy przeszłość w obrazie żywym, taką, jaką była, a choćby nawet dobrze jéj pochlebić; zainteresować ubiorami, sprzętami życia domowego, ciekawostkami

archeologicznemi, rapsodami rycerskiemi, stało się przedmiotem pragnień czytelników i usiłowań autorów. — Zaczęto więc poszukiwania archeologiczne, ażeby zdobyć szczegóły zajmujące do tła obrazów. Komisye archeologiczne w Kijowie i Wilnie pomagały skutecznie do obudzenia zapału dla takich badań.

Zaczęto wydawać pamiątki historyczne, wizerunki królów i t. d. w przepysznych wydaniach, na które arystokracya kosztów nie skąpiła. Zaczęto malownicze opowiadania historyczne, życiorysy i t. p. Karol Szajnocha zachwycił wszystkich swojemi szkicami, swojém dziełem „Jadwiga i Jagiełło". Julian Bartoszewicz, choć z mniejszym talentem słowa, z niemniejszą jednak żywością i obfitością szczegółów pisał swoje życiorysy znakomitych mężów, swoje kościoły warszawskie. Obaj mieli gruntowną naukę; obaj badali źródła; lecz owoc swych moralnych trudów przywdziewać musieli w szaty malownicze, ażeby dzieła ich znalazły czytelników a zatém i pokup. Za nimi zdążali i inni.

Historya jednak była tylko przysmakiem; właściwy zasadniczy pokarm ogółu stanowiła beletrystyka. Były tego powody ogólne trwające do dziś dnia i szczegółowe będące sprężyną chwili ówczesnéj. O pierwszych nie tu miejsce rozprawiać; o drugich wspomnę pokrótce.

Przypomnijmy sobie, że dziesięciolecie od 1850—1860 stanowi drugą niejako dobę w rozwoju nowszéj poezyi naszéj, że wówczas rozwinęły się talenta nie powszednie, umiejące zyskać słuchaczy nawet po takich mistrzach jak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński. Na tę chwilę przypada druga faza talentu Wincentego Pola, który wystąpił jako wyłączny śpiewak szlacheckości w „Sejmiku w Sądowéj Wiszni", „Senatorskiéj Zgodzie", „Mohorcie", „Stryjance", a jako śpiewak ciasnéj lub przesądnéj religijności w „Czarnéj Krówce", „Wicie Stwoszu". Na tę chwilę również przypada działal-

ność poetycka Syrokomli, Deotymy, Lenartowicza, Mieczysława Romanowskiego, Henryka Jabłońskiego, Apolla Korzeniowskiego, Leonarda Sowińskiego, Brunona Bielawskiego, Platona Kosteckiego, że pominę wielu innych.

Tyle zdolności występujących na widownię w jednym czasie, musiało wywrzeć wpływ na publiczność, która, jak się zdawało, zobojętniała już na powaby poezyi. Istotnie dzieła owych twórców opiewające po większéj części przeszłość, trafiały wybornie w usposobienie czytelników, spragnionych takich obrazów. Nie wymagały one wielkiego natężenia umysłu, bo opowiadały wypadki łatwo zrozumiałe, wystawiały ludzi nie grzeszących zbytkiem inteligencyi, — nie wymagały również forsowania wyobraźni, gdyż same bardzo wysokim lotem się nie odznaczały. Jeżeli zaś czasem trudniejsze były do pojęcia (np. u Deotymy), to wynagradzały trud zadany umysłowi — nadzwyczajnością swojego powstania, improwizacyą. Wielka serdeczność, prostota a nawet rubaszna jowialność, cześć dla cnoty, uwielbienie dla przeszłości, rzewność i wiersz gładki, potoczysty: oto środki, któremi przeważnie szturmowały utwory poetyczne do serc czytelników. Takie środki skuteczniejsze nawet były od niesłychanéj potęgi fantazyi Słowackiego, od filozoficzno-socyalnych pomysłów Krasińskiego; niedziw więc, że ci, którzy się niemi posługiwali, otrzymywali nieraz zwycięstwo nad wielkimi mistrzami; zwycięstwo bez wątpienia ciche, nie ogłaszane przy dźwięku trąb i bębnów, nie przyznawane otwarcie, pomimo to jednak upajające duszę. Czytano więc poezye z rozkoszą, rozkupywano poemata bardzo szybko: tysiąc egzemplarzy Mohorta rozeszło się niemal odrazu: księgarze nietylko chętnie drukowali, lecz nawet nieźle płacili za wiersze: Syrokomla brał za każdy po 2 złote, Pol daleko drożéj.

Podobnie mniéj-więcéj rzecz się miała z powieścią.

I tu również obok dawniejszych uznanych już pisarzy ukazały się talenta młode, świeże, wróżące świetną przyszłość. Obok Kraszewskiego, Rzewuskiego, Korzeniowskiego, Chodźki, Józefa Dzierzkowskiego, wystąpili: Kaczkowski, Zacharyasiewicz, Łoziński Walery, A. Wilczyński, Miniszewski, Niewiarowski, Gregorowicz, Pług, a wreszcie Jeż. Wszystkie niemal stany: szlachta, duchowieństwo, urzędnicy, lud miejski i wiejski, bakuniarze (przemytnicy w Beskidach), znaleźli swoich malarzy, którzy ze szczególną drobiazgowością podpatrywali ich wady i zalety, ich przyzwyczajenia, miny, ubiór, i z serdeczną dobrodusznością, lub wcale nieszkodliwym humorem przedstawiali je w mniéj lub więcéj udatnych obrazkach i obrazach. Publiczność wdzięczna była za taką troskliwość i pobłażliwość zarazem i chętnie się podobnym obrazom przypatrywała.

Wówczas to powieść nabrała ogromnego znaczenia. Taki urzędowo-poważny człowiek jak Józef Korzeniowski nie wahał się na początku tego dziesięciolecia utrzymywać, że powieść pochłonie wszystkie inne rodzaje twórczości, nawet dramat, i w tém pochłonięciu nie upatrywał nic złego. Wprawdzie w kilka lat potém, Kraszewski, widząc niezdarne utwory swoich naśladowców, oświadczył, że jeżeli nie sama powieść, to przynajmniéj dotychczasowa jéj forma przeżyła się; że ówczesne utwory powieściowe wyglądają „jak kompozycye sławnych malarzy, litografowane na chustkach od nosa“; że żaden z nich ani o włos nie różni się od tysiąca pięciuset powieści i powiastek, których obfitość zagrażała potopem: ale Korzeniowski wystąpił w obronie powieści, mówiąc, że „każda forma jest dobra, gdy życiem natchnięta“ i na tém poprzestano. Kraszewski nie porzucił przestarzałéj formy i pisał daléj powieści tak samo, jak i inni autorowie. Powieść była niejako przedsionkiem poezyi, a poezya aureolą powieści.

Dziennikarstwo, które po założeniu „Dziennika Warszawskiego“, zaczęło się reformować, było doskonałym pośrednikiem pomiędzy powieściopisarzami a publicznością. Feljeton musiał być zapełniony poematem lub powieścią, a przedewszystkiém tą drugą formą elastyczną dającą się rozciągać do przyzwoitéj długości.

Współubiegano się więc o dostarczenie przyciągającéj prenumeratorów lektury, i pośrednio wprawdzie ale bardzo silnie wpływano na płodność twórczości autorskiéj. Z drugiéj strony dziennikarstwo zajmowało się nader gorliwie rozbiorem wychodzących powieści. Oprócz krytyków urzędowych, piszących recenzye w oznaczonym terminie, każda gazeta miała korespondentów na Litwie i Ukrainie, którzy prawie wyłącznie rozbiorem powieści się trudnili, tak że o jednym utworze w tém samém piśmie bywało po kilka krytyk i sprawozdań. Była wówczas moda listów krytycznych pisanych niby poufnie przez literatów do siebie, a drukowanych w gazecie; pisał więc Tadeusz do Antoniego a Antoni do Tadeusza, i znowu Tadeusz do Adama a Adam do Tadeusza; Michał (Grabowski) zaś, jak patryarcha całéj téj rzeszy krytycznéj, pisał do wszystkich. Były to po większéj części gawędy bez naukowego znaczenia, pisane lekko, czasami obrazowo, przystępne zatém dla ogółu czytelników. Nie szczędzono w nich kadzidła uznanym powagom, zarzuty obwijano w bawełnę; przekonań nie rozbierano gruntownie. Obrażały one jednakże niekiedy drażliwy ród poetów. Syrokomla, Pług zarzucali im poprostu stronność. Syrokomla radził Lesznowskiemu, ażeby zamiast pojedyńczych liter kazał poodlewać całe frazesy krytyczne takie np. „Ulubiony nasz autor (a zarazem spółpracownik „Gazety Warszawskiéj) udarował naszę literaturę“ i t. d.; albo też: „Ciekawi jesteśmy, co mógłby lepszego napisać autor, który pomimo

apoteozy Dziennika Warszawskiego“ i t. d.[1]). W tymże samym czasie (1855 r.) pisał Pług w „Gazecie Warszawskiéj“, że „na jeden sąd zdrowy a sumienny miewamy dziesięć namiętnych a uprzedzonych, na jedno zdanie wyrzeczone z powagą a namaszczeniem, dziesięć gwałtownych pamfletów lub panegiryków przyjacielskich“.

Nie wchodzimy w to, czy te skargi były słuszne czy nie, dość że istniały gawędy o literaturze poetycznéj i powieściowéj w bardzo wielkiéj ilości. Publiczność interesowała się niemi widocznie, gdyż w przeciwnym razie wydawcy nie byliby pozwolili zapełniać gazet drukiem niepoczytnym.

Wobec spółdziałania takich czynników jak: ilość talentów, poparcie prasy i smak publiczności, nie można się dziwić, że beletrystyka stała się najwybitniejszym i najdokładniejszym obrazem ówczesnego stanu literatury i oświaty narodowéj wogóle. Wszystkie inne działy piśmiennictwa musiały pożyczać barw od niéj, ażeby się upowszechnić wśród rozłakomionego na powieści ogółu czytelników.

II.

Wśród takiego powyżéj naszkicowanego stanu rzeczy, wystąpił *Zygmunt Kaczkowski*, jako nowy pracownik na niwie powieściopisarstwa. Dziennikarstwo ówczesne przyjęło go frenetycznemi oklaskami; publiczność z niepraktykowaném dotąd zajęciem czytała jego utwory, które w bardzo krótkim przeciągu czasu doczekiwały się przedruków. Posypał się prawdziwy grad recenzyj, ubiegających się o to jedynie, która lepiéj i silniéj zastosuje wyrazy „znakomitość“, „arcydzieło“ i t. d. do pism autora „Bitwy o Chorążankę“. Ktokolwiek wziął pióro do ręki, by napisać korespondencyą do gazet o czémbądź, choćby o burakach np., zawsze na Kaczkowskim skończyć musiał. Starzy nawet, zagorzali

[1]) List Syrokomli do Kraszewskiego (*Przegląd Europejski*, r. 1862, listopad, str. 356.)

klasycy, np. Kajetan Koźmian, Franciszek Wężyk, którzy nietylko lekceważyli takich autorów jak Korzeniowski, Kraszewski, lecz nawet w poufnéj korespondencyi obelżywemi obdarzali ich epitetami, podejrzywając o spekulacyą literacką, ci klasycy interesowali się mocno działalnością Kaczkowskiego, otaczali go niezmyśloną sympatyą i talent jego wysoko nad innych podnosili.

To niezaprzeczone powodzenie, które wstępnym niemal bojem potrafił sobie zdobyć Kaczkowski, musiało mieć oczywiście swoje przyczyny; a cokolwiekbyśmy powiedzieli o magnetycznym wpływie wywieranym przez talent na czytającą publiczność, z któréj naturalnie i krytyków nie wykluczam, zawsze to w zgodności ogólnego nastroju ducha społecznego z kierunkiem umysłowym i sferą działalności pewnéj utalentowanéj jednostki najgłówniejszego źródła wzajemnéj między nimi sympatyi szukać wypadnie. W przekonaniach Kaczkowskiego, w jego poglądach na przeszłość i życie spółczesne, w naturze jego talentu, w charakterze artyzmu odnaleźć musimy ten węzeł sympatyczny, który go uczynił odrazu rzecznikiem społecznym, wygłaszającym potrzeby, pragnienia i ideały inteligentnéj cząstki społeczeństwa w owéj chwili dziejowéj.

Kaczkowski, urodzony w roku 1826 we wsi Bereźnicy w Sanockiem, wychowywał się przeważnie w domu. Matka jego „była niewiastą cnót nieskalanych, charakteru anielskiego, cicha, spokojna, bez żółci, pełna miłości dla wszystkich, oddana jedynie życiu domowemu i rodzinie“. Ojciec, wyćwiczony w naukach realnych: górnictwie, mechanice i rachunkowości, niegdyś wojak napoleoński a następnie ziemianin, był człowiekiem „nader bystrego pojęcia, żartkiego dowcipu i wesołego temperamentu, wyobrażeń i form poniekąd bardziéj cudzoziemskich niż polskich“, co mu jednak nie przeszkadzało być wielkim miłośnikiem kraju. Nie stro-

niąc od zabawy i chętnie podejmując u siebie gości, nie był przecie hulaką i marnotrawnym; nie mogąc brać czynnego udziału w sprawach publicznych, zajmował się gospodarstwem i popierał życie umysłowe. Posiadał bibliotekę, prenumerował wszystkie niemal pisma peryodyczne polskie; „goście zaś przywozili ze sobą najnowsze książki a częstokroć i nieogłoszone jeszcze rękopisma znakomitych utworów". Zebrania w domu Kaczkowskich nie były zdaje się obrachowane wyłącznie na skonsumowanie pewnéj liczby potraw i napojów, jak niemniéj na grę w karty; lecz miały charakter bardziéj umysłowy. Rozprawiano tu o potrzebach kraju, o piśmiennictwie, czytano dzienniki, deklamowano poezye. Atmosfera literacka obejmowała Zygmunta już od samego zarania wieku.

Wielka pojętnośc, pamięć bystra, którą się młody Kaczkowski odznaczał, czyniła go wrażliwym na wpływy otoczenia. Przy gorliwości ojca, mając lat *cztery*, umiał już czytać po polsku i po francusku, umiał pisać i trochę rachować; a mając lat *siedm*, zdał egzamin z czterech klas normalnych tj. elementarnych, pisał poprawnie po polsku i po niemiecku, a w języku francuskim znaczne zrobił postępy. Nie mogąc wstąpić do gimnazyum z powodu młodocianego wieku, kształcił się daléj w domu pod kierunkiem ks. Pawła Żegiestowskiego, proboszcza obrządku unickiego, męża używającego wielkiego szacunku w okolicy, który uczył religii, łaciny i gieografii, oraz Józefa Niklewicza, krewnego matki Zygmunta, który miał od niego nauczyć się wszystkich innych przedmiotów z zakresu pierwszych klas gimnazyalnych. O ks. Żegiestowskim nie posiadamy bliższych szczegółów, któreby nam wyjaśniły tak jego metodę nauki jako téż jéj ducha. Przypuszczać tylko można, wnioskując z późniejszych przekonań Kaczkowskiego, że unita, trzymając się ściśle zasad wiary i jéj obrządków, nie wszczepiał w mło-

dziutkiego wychowańca ani bigoteryi ani fanatyzmu. Niklewicz zaś, człowiek jeszcze młody, wysmukły, wiotki, niezmiernie blady, zawsze zamyślony i rozmarzony, pomimo gruntownéj nauki, wcale na nauczyciela nie stworzony, oprowadzał Zygmunta przez całe dnie po Bieszczadach, przysiadał od chwili do chwili na karpackich polanach, wydobywał Byrona, Schillera, Goethego lub Mickiewicza, niekiedy zaś Kochanowskiego, Karpińskiego lub Kniaźnina i odczytywał na głos ulubione utwory, zalecając chłopcu powtarzać je za sobą. Śliczne, podbudzające fantazyą widoki górskie, prostota wdzięków i wspaniała groza przyrody, melancholia świata roślinnego, którego ruchów wiatr jest samowładnym panem, lot orła śmiało szybującego ponad wierchami, zgrabne skoki sarny lecącéj jak błyskawica ponad przepaściami, wesoły gwar ptastwa śpiewającego swe barkarole i hymny — na najobojętniejszego nawet wywierają wrażenie; a cóż dopiero na chłopca obdarzonego żywą wyobraźnią, wielką wrażliwością, rozkołysaną powiewem harmonii dźwięków!

Taki tryb wychowania trwał dwa lata; w dziewiątym roku życia wszedł do pierwszéj klasy gimnazyalnéj, a przy końcu kursu rocznego nietylko z pierwszéj, lecz i z drugiéj złożył egzamina; poczém ojciec oddał go do *konwiktu dominikańskiego* we Lwowie. O przebiegu nauk szkolnych niewiele wiemy; to tylko pewna, że wyższe klasy odbywał wraz z Janem Zacharyasiewiczem i Kornelem Ujejskim w Przemyślu, którego szkoła, przezwana liceum, była wtedy najświetniejszym zakładem naukowym średnim w Galicyi [1]).

[1]) „Biblioteka Warszawska“ 1860, tom I, str. 629 artykuł K. Estreichera. Wprawdzie W. Korotyński („Dzieła“ Kaczk. Tom XI, 254) wspomniawszy o konwikcie dominikańskim we Lwowie, nie objaśnia, gdzie wyższe klasy Kaczkowski ukończył, a o kolegowaniu z Zacharyasiewiczem i Ujejskim zupełnie milczy; ale rzecz to niezawodna, gdyż z ust samego autora „Ś. Jura“ ją słyszałem.

Z czasu nauki gimnazyalnéj zaznacza Korotyński dwa tylko fakta, które w młodym Zygmuncie przyszłego pisarza wskazują. Będąc w klasie piątéj, napisał Kaczkowski po łacinie rozprawę o Cyceronie, z któréj bardzo się cieszył owoczesny profesor retoryki Janowski, podając ją za wzór dla innych uczniów. W klasie szóstéj pojawiła się jego pióra satyra na wszystkich towarzyszów ławy szkolnéj, których opisywał w porządku alfabetycznym mieszaniną najrozmaitszych języków: polskiego, ruskiego, żydowskiego, niemieckiego, łacińskiego, greckiego, francuskiego, włoskiego i angielskiego. Koledzy autora wielce się cieszyli tym wybrykiem dobrego humoru; lecz nauczyciel, poznawszy satyrę, nie podzielił ogólnéj radości i strofował Kaczkowskiego publicznie przed klasą. W odpowiedzi na to strofowanie puścił Kaczkowski satyrę na wszystkich profesorów; a ponieważ przeważna ich liczba z Niemców się składała, napisał ją po niemiecku, przyczém sparodyował wiersz owego karciciela, ułożony na powitanie wizytatora szkół, biskupa. Grono nauczycielskie wielce się oczywiście zgorszyło postępkiem Kaczkowskiego; ze studenckiego figla zrobiono niemal „zdradę stanu“; ojciec młodego satyryka musiał go wziąć do domu.

Zapach atramentu pozostał i nadal miłym Kaczkowskiemu. Wszedłszy w roku 1842 na wydział filozoficzny w uniwersytecie lwowskim, napisał wierszem niemieckim, co wówczas było rzeczą dość zwyczajną u zdolnych studentów, tragiedyą w pięciu aktach. Czytano ją w kółkach akademickich i ogłoszono jéj autora za poetę. Prócz tego Kaczkowski przekładał na język polski Horacego, Wergiliusza i ułamki z Tacyta, a od czasu do czasu pisywał parodye wykładów prof. Tangla o estetyce, co bardzo bawiło spółtowarzyszów i obiegało z rąk do rąk jako przedmiot szczerego śmiechu.

W dwa lata skończywszy wydział filozoficzny, zapisał się Kaczkowski na prawny, lecz systematycznemi studyami

niewiele się już zajmował. Na wiosnę roku 1845 ustąpił mu ojciec Bereźnicę, a dodawszy mu babkę jego jako opiekunkę, zalecił zaglądać do Lwowa i uczyć się prawa, lecz także radził pilnować roli, „bo dla szlachcica nie masz nad pług stosowniejszego rzemiosła“. Lecz Zygmunt i jedno i drugie zalecenie spełniał niezbyt gorliwie; uśmiechały mu się przedewszystkiém powaby życia towarzyskiego. Szczegóły, podane przez Korotyńskiego, naprowadzają na domysł, że Kaczkowski tak odbywał wówczas studya uniwersyteckie jak Edmund, arystokratyczny bohater powieści p. n. „Dziwożona“. Zdaje się nawet, że ówczesne znajomości, stosunki i wypadki stały się tłem, na którém osnuty jest cały ten utwór. Gospodarstwo niewiele zajmowało Kaczkowskiego; w murach uniwersytetu bywał rzadko. Szczególną namiętność miał do koni, jak większa część synów szlacheckich. Na wsi trzymał ich tyle, ile stajnia pomieścić mogła; a jadąc do miasta, zabierał ze sobą tyle wierzchowców i powozowych, ile ich mógł utrzymać we Lwowie. Po całych dniach uganiał się na koniu lub w faetonie; wieczory zaś w mieście przepędzał wśród literatów lub innéj młodzieży na gorących rozprawach ze sfery piśmiennictwa lub zagadnień i reform społecznych, rozprawach, które tak świetnie w „Dziwożonie“ odmalował.

Wieczory w Zakładzie Ossolińskich niemało także zajmowały mu czasu. Tu zaznajamiał się z nowemi dziełami mistrzów słowa, tu wchodził w ten ruch naukowo-literacki, który tak dobrze do twórczości usposabia; tu widział, jak utwory pisarzy młodych, nieznanych znajdowały pochwałę i zachętę. Zebrania te licznie były uczęszczane, a Kaczkowski był ich „Benjaminem“, jak sam powiada. Wysmukły i blady, prawie z kobiecém obliczem, na którém wielkie, łagodne świeciły się oczy, stawał zwykle w jakimś skromnym kąciku, nie mieszając się do rozmowy starszych.

Czasami panie brały go między siebie i kazały deklamować wiersze Mickiewicza lub Krasińskiego. Stary Jan Nepomucen Kamiński, wysoce dla sceny krajowéj i dziennikarstwa zasłużony, pierwszy przepowiedział Kaczkowskiemu, że będzie coś z niego, bo „umie dobrze po łacinie i pisze poprawnie po polsku“: Henryk książę Lubomirski, ówczesny kurator Zakładu, szczególną miłością otaczał młodzieńca, a dyrektor Zakładu, Adam Kłodziński, zachęcał go do trzymania się téj instytucyi, mówiąc: „Tutaj dla takich wielka jest przyszłość, a takich, niestety, niewiele“.

Wówczas téż, t. j. w r. 1845 pojawiły się pierwsze próby pióra Kaczkowskiego zarówno prozą jak i wierszem. „Dziennik Mód Paryskich“, pismo dwutygodniowe wydawane od roku 1840 przez krawca Kulczyckiego pod redakcyą A. Bielowskiego, pomieścił w Nr. 16, 20, 24, 25 z roku 1845 i w Nrze 1 z r. 1846 następujące artykuły dziewiętnastoletniego Zygmunta: „Uwagi nad moralnemi chorobami: Gorączka dowcipowa, Parafianizm;“ „Tuz“ (powiastka), „O czém marzyć“ (wiersz), „Zapalenie szlachetnéj strony serca“...

O pewnych zasadach, o przekonaniach ściśle sformułowanych nie może być tu jeszcze i mowy. Kaczkowski nie należał do rzędu tych natur teoretycznych, które od najmłodszego już wieku szukają ściśle ustalonych poglądów i nad ich wyrobieniem usilnie pracują. Duch jego owszem skłaniał się ku praktycznéj stronie życia, a wrażliwość umysłu, żywość wyobraźni, łagodność, lecz przytém i pewna sprężystość charakteru sprawiały, że wszystkie ówczesne prądy nietylko wdzierały się bystrym nurtem w jego serce i głowę, lecz także i na postępki jego niemało wpływały. Stosunki domowe, oprócz ustalenia w Kaczkowskim cnót prywatnych, przyczyniły się wielce do zainteresowania go sprawami publicznemi, a między innemi i literaturą.

Przypomnijmy sobie, że czas wykształcenia Zygmunta przypadł na okres najwyższego rozkwitu poezyi polskiéj. Mickiewicz ukończył był właśnie świetnie poetyczny swój zawód, a słynął natomiast na Europę całą jako profesor literatur słowiańskich w paryskiém „Collége de France". Słowacki i Krasiński coraz to nowemi utworami, pełnemi blasków fantazyi lub myśli, walczyli o pierwszeństwo z uznanym już mistrzem litewskim. Zaleski, Goszczyński, Pol, każdy w odpowiednim sobie zakresie, zajmowali skromniejsze wprawdzie, niemniéj jednak wpływowe miejsce. Łatwo pojąć, że utwory takich poetów, z któremi Kaczkowski, dzięki literackiemu charakterowi zebrań domowych, rozprawom ze studentami i stosunkowi z Zakładem Ossolińskich, mógł się naświeżo zaznajamiać, były w stanie zarówno rozgrzać fantazyą jak i zwrócić umysł ku głębszym rozmyślaniom nad zagadnieniami społecznemi; mogły słowem pobudzić młodzieńca do szukania środków mających na celu jakieś nieokreślone przeobrażenie świata. Połączywszy bardzo wysoki nastrój naczelnych dzieł poetycznych z owych czasów ze znaną skłonnością młodych umysłów do zwyciężania trudności i przedsiębrania czynów olbrzymich, bez trudu wywnioskować będziemy mogli, że potrzeba było tylko jakiegoś impulsu, jakiegoś dokładniéj oznaczonego planu reformy, ażeby pociągnąć Kaczkowskiego, jak wielu innych młodzieńców, do działania w tym kierunku.

Taki dokładniéj oznaczony plan przedstawiał w sferze religijnéj mesyanizm, głoszony przez Mickiewicza z katedry paryskiéj, w sferze zaś społecznéj — propaganda demokratyczna. Lecz mesyanizm, ograniczony do bardzo szczupłéj liczby wyznawców, pomimo olbrzymiego talentu Mickiewicza, pomimo żarliwości kilku innych członków, nie miał dostatecznéj siły, ażeby wśród ogółu katolickiego zyskać wyznawców; reforma więc religijna dokonywała się w swych

szczupłych jedynie granicach. Inaczéj było z ideami demokratycznemi. Miały one grunt pewien w przeszłości narodu, a oprócz tego obiecywały polepszenie, którego wszyscy sobie życzyli. Ruch jednéj grupy społecznéj łączył się tu z ruchem ogólno-europejskim i znajdował bardzo licznych zwolenników. Pomimo ogromnych przeszkód ruch ten udzielił się i Galicyi, a wskutek tajemniczości dróg, któremi tam przechodził, działał na umysły o wiele silniéj, niż wówczas np. gdyby się był zupełnie swobodnie rozwijał. Ci, którzy się jego propagandą zajmowali, gotowi byli na śmierć; a to całemu ruchowi nadawało urok niewypowiedziany. Idea równości i uwłaszczenie włościan o tyle potężniéj wdrażała się w umysły, o ile środki do urzeczywistnienia jéj proponowane w wysokim stopniu były niebezpieczne. Złudzenia względem usposobienia ludu trwały jeszcze w głowach ówczesnych działaczy pomimo paru bardzo wymownych przykładów, które powinny były je stamtąd wyparować. Sądzono, że dosyć dać ludowi własność, ażeby go natychmiastowo, bez przygotowania, bez przejścia, na grono obywatelskie przemienić. Rozpatrując błędy przeszłości i chcąc je odrazu naprawić, nie zmierzono dostatecznie przepaści dzielącéj teoryą od praktyki, nie zrozumiano siły tradycyjnych przyzwyczajeń, nie wniknięto w powolny rozwój uczuć obywatelskich na drodze stopniowéj oświaty. Ówczesnych reformatorów społeczeństwa piekła, że tak powiem, sama myśl reformy; radykalne środki uważano za jedynie zdolne do jéj przeprowadzenia.

Kaczkowski dał się porwać ogólnemu prądowi umysłów młodych i niedoświadczonych. „Znano go z téj strony — powiada Korotyński — we Lwowie: znano w Tarnowskiém i Krakowskiém, w domu Wiesiołowskich, Tyssowskiego, Rejów, w towarzystwie Dembowskiego, Goslara, Gorzkowskiego i innych“. Zdaje się, że stosunek Karola w powieści „Roz-

bitek“ do ruchu demokratycznego w Galicyi przedstawia mniéj więcéj własny stosunek Kaczkowskiego. Tak jak Karol wierzył on w możliwość nagłéj przemiany ludu; tak jak Karol przejęty był dla niego najszlachetniejszemi uczuciami i pragnął jak najszybszéj reformy. Ojciec jego, znający trudności nagłych przełomów i ich niebezpieczeństwa, nie chciał opuszczać syna, a nie mogąc czy nie umiejąc powstrzymać go od wszelkiego udziału w przygotowującéj się sprawie, postanowił mu towarzyszyć. Szczegółów działań ówczesnych Kaczkowskiego nie znamy zupełnie; wiadomo zresztą, że ruch cały został zakończony w bardzo krótkim przeciągu czasu; lecz w sferach wiedeńskich umiano z niego korzystać i wywołując powstanie band chłopskich, potrafiono je zwrócić przeciwko ich własnym nieproszonym dobroczyńcom. Nastąpiła rzeź galicyjska 1846 roku. Kaczkowski wraz z ojcem, może ufni w uczucia wdzięczności ze strony ludu, pozostali w domu.

Jedna z band chłopskich, snujących się od dworu do dworu, uprowadziła ich ze sobą, odwiozła do Sanoka i oddała w ręce Niemców. Zakuci w kajdany i osadzeni w więzieniu zostawali czas jakiś w Sanoku, dopóki nie odesłano ich do Lwowa, gdzie przeszło dwa lata w celi więziennéj przesiedzieli, zagrożeni wyrokiem skazującym ojca na lat dwadzieścia fortecy, a syna na szubienicę. Tymczasem nastąpił rok 1848. Wypadki wiedeńskie skłoniły cesarza austryackiego do wydania patentów, nadających całéj Austryi rząd reprezentacyjny, i do ogłoszenia amnestyi dla skompromitowanych w wypadkach roku 1846. Kaczkowscy wyszli na wolność.

Dwa lata rozmyślań więziennych znacznie zmodyfikowały dawne wyobrażenia Zygmunta, rozwiały zupełnie marzenia o nagłym przełomie w sprawach społecznych, wykazały niewłaściwość środków, których dawniéj był zwolen-

nikiem. Przekonywa nas o téj zmianie późniejszy sąd Kaczkowskiego o propagandzie demokratycznéj. Tytułowa osoba powiastki „Kato“, napisanéj w 5 lat po wypadkach 1846, powiada o działaniach demokratycznych: „Będąc w Paryżu i wiedząc o wszystkiém, starałem się dotrzeć do jądra rzeczy, która tak śmiało wywiesiła sztandar z niezawodną obietnicą zbawienia... Tam przekonałem się, że ludzie, którzy się około téj zasady krzątali, była to młodzież zapalona, *zarozumiała i głupia.* Przyjdzie czas, kiedy wszyscy się o tém przekonają i moje zdanie potwierdzą“. O saméj zasadzie, którą ta młodzież zapalona, zarozumiała i głupia wyznawała, nie mówi Kaczkowski w tém miejscu ani słowa; lecz w dalszym ciągu powiastki znajduje się ustęp, potępiający ostatecznie cały ruch, a więc pośrednio i jego zasadę. Kaczkowski przedstawia chwilę poprzedzającą wybuch: „Zapusty owego roku (1846) były huczne i szalone; ścisk był na wszystkich zabawach. *Circenses*! — wołano zewsząd — *panem* miano dopiero jutro zawołać i to nie *panem quotidianum*, który ma sycić żołądki, lecz *panem*, który łaknącym i uciśnionym duszom miał przynieść oddech wolniejszy; jedni więc marzyli tylko swobodę, inni wolność, a jeszcze inni rozpustę i szaleństwo. Ot, różni różne mają zachcenia i wedle tych zachceń wyobrażają sobie przyszłość szczęśliwą. Tajemniczość jakaś, która wtedy była w powietrzu, o wiele podnosiła zwyczajny interes balów maskowych; tajemniczość owa była wprost przeciwną téj otwartości i szczerości, która we dwa lata później także przyszła z powietrzem; tajemniczość owa nakoniec uczyniła to, iż niekoniecznie potrzeba było iść na bal maskowy, aby maski obaczyć — cały świat był zamaskowany; jedni maskowali swą cnotę mniemaną, drudzy swą przeszłość może niebardzo czystą i cnotliwą. Oczekiwano czegoś, co miało przyjść i świat zadziwić; ogółem zaś nie wiedziano, co to

będzie to coś tyle oczekiwane i nie wiedziano, gdzie się pojawi: może w mieście, może na rynku, może w kościele, może nawet na reducie. Ciekawi a niecierpliwi zaglądali dziwaczniejszym maskom pod larwę, czy nie biją promienie od ich twarzy, i na plecy, czy nie mają tam skrzydeł ukrytych, i do ręki, czy nie mają w niéj... noża; uważano pilnie na każde słówko głośniejsze, badano je i roztrząsano, azali niemasz w niém objawionéj jakiéj politycznéj zasady; a często się zdarzało, iż powtarzano sobie jakieś nic nie znaczące słowa, wykładano je wedle natchnienia rozgrzanéj wyobraźni i przywiązywano do nich ewangieliczne znaczenie. Cóż to było? Oto duch unoszący się nad ziemią upuścił ziarnko aloesu; nasienie zeszło, wybujało w niezliczone lecz koszlawe gałęzie, na których wierzchu pokazał się węzeł zielony i zawinięty. Ludzie go obstąpili dokoła i niecierpliwie czekali strzału, aby rychło obaczyć, co téż wyjdzie z zawiązanego węzła! Prorocy mówili, że będzie kwiat, jakiego jeszcze nie widziała ziemia. Węzeł pękł i nie strzelił, lecz rozdarł się pomału, a z jego wnętrza, zamiast kwiatu, bluznęło trochę krwi i rozlało się po ziemi... Po takim wypadku w naturze roślinnéj, naturaliści zasiadają z księgami za stołem i badają przyczynę i dochodzą sumiennie, dlaczego jéj nie odpowiedział skutek; zaś po takim wypadku w świecie, ogrodnicy nikną z *horyzontu i z za morza się znowu odezwą, że to właśnie dobrze, że nie kwiat wytrysnął odrazu*, bo byłby słabym; lecz *ze krwi* dopiéro będzie kwiat; a kiedy ze krwi znów pokaże się kość i dym i ludzkie głupstwo i nic więcéj... to ogrodnicy znów z za lądów i z za mórz przyślą tylko *przekleństwo przeszłości* i nadzieję na przyszłość. Teraźniejszości, mówią oni, niemasz na świecie... A ta nędza, która jest w teraźniejszości?... *Oni nędzy nie znają!*"

Wszystkie więc mniéj więcéj zarzuty, które robili i robią konserwatyści ruchowi demokratycznemu, wszystkie prawdy i plotki, jego działań tyczące się, w obrazku powyższym zostały nie kategorycznie wprawdzie, lecz niemniéj wyraziście przedstawione. Jakie poglądy na miejsce dawniejszych wyrobiły się w Kaczkowskim, o tém pomówimy późniéj; teraz musimy się jeszcze przyjrzeć dalszemu trybowi jego wykształcenia tak w więzieniu jak i na swobodzie.

Przez pierwszy rok przeczytał on niemal całą wypożyczalnią książek Karola Wilda, złożoną z dzieł różnéj treści, przeważnie jednak beletrystycznéj, w języku polskim, niemieckim, francuskim i angielskim. Następnego roku przysłano mu z Zakładu Ossolińskich dzieła osnowy poważniejszéj, a głównie historycznéj przedstawiającéj dzieje XVIII wieku. Kiedy je poznał, wydawało mu się niepodobieństwém napisać o konfederacyi barskiéj, która go już wówczas zajmowała, coś więcéj nadto, co już było napisane; nie miał bowiem wówczas nawet pojęcia o wielkim zasobie źródeł rękopiśmiennych. Zarzuciwszy więc myśl pisania historyi, któréj doniosłości jeszcze nie pojmował, pisywał wiersze, które, rozchodząc się po Lwowie, robiły mu pewien rozgłos. Wyszedłszy z więzienia, wziął dość czynny udział w życiu publicznem. Mianowany przez Radę Narodową Centralną organizatorem gwardyi narodowéj konnéj sanockiéj, spełniał swoję czynność gorliwie. Kiedy Szajnocha wybrany przez tęż Radę delegatem na zjazd słowiański w Pradze Czeskiéj, nie przyjął mandatu, wysłano Kaczkowskiego. Praca literacka w „Dzienniku Mód Paryskich“, który od 27 numeru (czyli od 1 Lipca) przezwał się „Tygodnikiem Polskim“ i przeszedł pod redakcyą Karola Szajnochy, dopełniała miary działalności publicznéj dotychczas nam znanéj.

Kaczkowski jednak nie dzielił tego zapału, jaki od dnia 18 marca a szczególnie od 13 kwietnia (data zawiązania Rady Narodowéj) ogarniał niektóre warstwy ludu. Nie łączył się on wprawdzie z żywiołem arystokratycznym i reakcyjnym, reprezentowanym przez Towarzystwo Ziemiańskie; nie sympatyzował jednak w zupełności ze stronnictwem demokratyczno-postępowém. Zapatrywania swoje ówczesne tak nam opowiada w piśmie z epoki znacznie późniejszéj, bo z r. 1862: „Gdzieindziéj walka mogła równie wielkie jak i korzystne odnieść zwycięstwa; atoli co do naszéj prowincyi, każdemu trzeźwiejszemu oku musiało się już wkrótce okazać, że w jéj granicach tylko ta jedna idea, która natenczas była dojrzała do ciałowzięcia, idea *usamowolnienia wiejskiego ludu*, mogła z istotnym pożytkiem wejść w życie; wszystkie zaś inne, wśród niespodzianéj wolności, wyrodzonéj zbyt prędko w nieświadomą swych celów swawolę, zaczęły coraz mniéj odpowiednie rzeczywistym warunkom, co gorsza! coraz mniéj odpowiednie *naszym rodzinnym potrzebom*, przybierać dążności i kształty. Nie bezczynny w téj porze, lecz nie dzielący tego konwulsyjnego zapału, który nas tylko zzewnątrz ogarniał a wewnątrz żadnéj nie miał podstawy, spostrzegałem z boleścią, żeśmy się nietylko w dążeniach ogólnych dali porwać prądom nam obcym, ale co większa, że w naszych szczegółowych czynnościach brak znajomości tych niezliczonych doświadczeń, jakie na nas nasza ośmiowiekowa przeszłość przelała, niemal na każdym kroku uczuwać się dawał". (*Dzieła*, I, 4.)

Ze słów powyższych widać, że podczas gdy demokraci zarzucali Radzie Narodowéj zbyteczną powolność i oględną legalność, Kaczkowski oskarżał ją o radykalizm i nieuwzględnienie praw rozwoju historycznego. Czy zarzuty te już w r. 1848 jasno się w umyśle jego rysowały, czy też są wynikiem późniejszéj rozwagi i dokładniejszych badań, niepo-

dobna rozstrzygnąć z powodu braku odpowiednich dowodów. Musimy się więc zadowolnić jedynie zaznaczeniem faktu, że Kaczkowski dosyć chłodny brał udział w kilkomiesięcznych sprawach stosunkowo wolnéj Galicyi.

Wkrótce okoliczności znowu się zmieniły; wiatr konstytucyjny ustąpił miejsca gromom armatnim. Dnia 1, 2 i 3 listopada Hammerstein kazał bombardować Lwów i zmusił go do tak zwanéj „kapitulacyi", która położyła koniec wszystkim działaniom narodowym. Dnia 30 listopada Hammerstein ogłosił stan oblężenia, rozwiązał radę miejską konstytucyjnie zorganizowaną, nakazał powszechne rozbrojenie gwardyi i całéj ludności, zniósł Radę Narodową i wszelkie stowarzyszenia, wzbronił wydawania pism peryodycznych, ulotnych, lub plakatów, zabronił zgromadzeń po domach lub zbiegowisk na ulicach i t. p.

Kaczkowski musiał także kryć się przez kilka miesięcy po wioskach i dopiero pod koniec zimy 1849 roku mógł znowu zjawić się we Lwowie, w którym było pusto i smutno. Życie literackie wraz z politycznem obumarło; w Zakładzie Ossolińskich zbierano się wprawdzie bardzo licznie, brakowało atoli dawniejszego ożywienia. Podjazdowa walka przeciw kierownikom tego zakładu, podjęta przez młodzież jeszcze w roku 1842, coraz gwałtowniejszą się stawała. Zarzucano Kłodzińskiemu a potém Szlachtowskiemu powolność w katalogowaniu ksiąg i rękopismów, niewłaściwe ich układanie na półkach bibliotecznych, zaniedbywanie wydawnictw, brak starania około naukowego wykształcenia stypendystów Zakładu, brak ukształcenia specyalnego. Jak powiada Estreicher w życiorysie Szlachtowskiego [1]), nie chodziło tym gwałtownym głosom o dobro Zakładu, lecz o uzyskanie posady. W roku 1849 nurtowały one tylko pokątnie,

[1]) „Na dziś", 1872, t. II, str. 218.

nie mogąc się ujawnić w druku; lecz w roku następnym zaczęły się bardzo wyraźne manifestacye w szpaltach „Czasu“, „Gazety Lwowskiéj“ i pism niemieckich. Kłodziński znużony ciągłą szermierką, ukończywszy budowę gmachu bibliotecznego, złożył dyrektorstwo Zakładu w ręce kustosza Szlachtowskiego. Napady nie ustawały. Szlachtowski, chcąc zadość uczynić dopominaniu się o pismo, rozpoczął z dniem 1 kwietnia 1850 roku wydawnictwo „Pamiętnika literackiego“, który wychodził tygodniowo. W piśmie tém Kaczkowski wziął czynny udział, mieszcząc w niém kilkanaście artykułów wierszem i prozą.

W utworach wierszowanych („Niniwe“, „Herburt“, „Dwie gwiazdy“, „Zapomnieni“, „Sielanka“, „Dwa pokolenia“, urywek z dramatu), pisanych dość poprawnie ale bez szczególnego talentu, dodawał otuchy przygnębionym wtedy umysłom, albo przypominał im dzielność i sławę przodków, albo wysławiał cichy wieczór na wsi ożywiony myślami o losach kraju, albo przeciwstawił staropolską uczciwość i cnotę sfrancuziałym, zgnuśniałym i bezwstydnie cynicznym wyrodkom, albo wreszcie zbladłéj gwiaździe przesądów arystokratycznych kazał ustępować miejsca nowemu światłu poświęcenia i pracy:

My im pieśnią snu nie mącim,
My ich grobów nie potrącim,
Ale niechże oni, starzy,
Z grzechem tajnym u spowiedzi,
Z dumą rodu w czerstwéj twarzy,
Z naczelnictwem wśród gawiedzi,
Co ich święte imię kala,
Zdala od nas będą, zdala!
Zdala od nas starych światów
Widma śpiące i wybladłe,
Bo my zedrzem blask szkarłatów,
Groby wzruszym już zapadłe,
Zgruchotamy tarcze wasze,
Jeśli was stąd pieśni nasze,

Nie odtrącą jak mórz fala...
Zdala, duchy, od nas, zdala!...

Zpomiędzy utworów prozą pisanych wyróżnić należy powiastki („Braciszek", „Dziedzic Strwiążyka", ta druga niedokończona), recenzye i artykuły treści społecznéj. Powiastki to bardzo słabiutkie pod względem wykonania; są w nich już próby odmiennéj dykcyi dla przedstawienia różnych osób, są usiłowania w celu stworzenia charakterów i nakreślenia sytuacyj, ale to wszystko dopiero w zarodku. Recenzye natomiast i artykuły społeczne są pisane dzielnie i jędrnie, wykazują młodzieńca jasno i trzeźwo myślącego, który posiada już pewne wyrobione przekonania. Wykazuje śmiało a czasami w sposób cięty braki psychologiczne, artystyczne i myślowe w powieściach i poezyach ówczesnych, wielbi powieściopisarstwo francuskie i stawia je pod względem sztuki za wzór Polakom (w rozbiorze „Dzieci Miłości" Suego), od wszystkich a więc i od księży domaga się *du positif* (w artykule „O kazaniach i kaznodziejach"); wyroby ówczesnéj reakcyi katolickiéj wyśmiewa i potępia. Jest zwolennikiem stronnictw w społeczeństwie i poczytuje ich istnienie za objaw postępu („O walkach umysłowych") i pragnie, ażeby dzienniki i czasopisma poświęcone literaturze stale wyznawały pewne określone zasady i były ich wytrwałemi organami („O powołaniu pism czasowych"), byle tylko w walce z przeciwnikami zachować godność i wyrozumiałość, naśladując w tém parlament angielski; stronnictw pośredniczących nie cierpiał, uważając je za wsteczniejsze od konserwatywnych dlatego, że one obustronne siły osłabiają, chwilę starcia się odraczają, a więc i zbawienie, ze zwycięstwa téj lub owéj strony wyniknąć mające, choćby nazawsze odsuwają; — mistycyzm i mglista poezya prorocza miały w nim stanowczego przeciwnika („O przesadzie w poezyach"), gdyż wydawało mu się „bardzo naturalną rzeczą i przeznaczeniom

człowieka na ziemi wcale nie przeciwną, iżby ile możności prawdy z nieba wykradać i sprowadzać je na ziemię, nie zaś ziemskie myśli w niedostępne dla ludzi obwijać kształty i oddawać je niebu".

Zresztą występował Kaczkowski bardzo dowcipnie w obronie Zakładu i jego kierowników, czém narobił sobie wielu nieprzyjaciół, a przedewszystkiém poróżnił się z Szajnochą, który w sposób namiętny powstawał przeciw Szlachtowskiemu w „Tygodniku Lwowskim". Odtąd polemika o Zakład Ossolińskich przybrała formy gorszące. Kłodziński wystąpił w swojéj i swego następcy obronie, dowodząc, że w Galicyi niema zdolniejszego bibliotekarza nad Szlachtowskiego i oświadczając, że w całym tym zajadłym sporze idzie o przeprowadzenie zdania: *Ote-toi; je m'y placerai.* Takie postawienie kwestyi nie mogło zażegnać burzy, rozsrożyła się téż ona z jeszcze większą wściekłością. Wśród téj zawieruchy umarł kurator Zakładu, Henryk ks. Lubomirski, który nie zwracał uwagi na potwarze. Stosunki Szlachtowskiego z nowym kuratorem ułożyły się nienajlepiéj; natarczywość napadów dziennikarskich była wielka; a nowy kurator nie był spoufalony z zasługami bibliotekarza. Szlachtowski zrzekł się urzędu, który się dostał Augustowi Bielowskiemu (7 stycznia 1851 r.).

Wśród takich wypadków dojrzewał umysł Kaczkowskiego, który się zwrócił do badania historyi jako najlepszéj przewodniczki na drodze rozwoju społecznego. Zarówno w zamęcie politycznym jak i w nieumiarkowanéj polemice widział brak wyrobionych pojęć a zatém i trudność wzajemnego porozumienia się. Egzaltacya pomysłów wydała mu się i słusznie powodem niemożności chłodnego, rozumnego ocenienia tak teoryi jak i praktyki. W najbliższym wieku chciał szukać klucza do otwarcia podwojów tego chaotycznie pobudowanego gmachu wyobrażeń, jakie się w ówcze-

sném społeczeństwie rozwielmożniły. Z nowém zajęciem zaczął badać szczegółowo jeden epizod z dziejów zeszłego stulecia — konfederacyą barską. Zabrał się do drabowania rękopismów odnoszących się do tego czasu. Przedewszystkiém więc w bibliotece Zakładu Ossolińskich znalazł bardzo obfity materyał. Mianowicie „Collectanea“ Kuropatnickiego, obejmujące wszelkiego pochodzenia akta urzędowe, manifesty, protestacye, nominacye, rozkazy, recesa, dyaryusze, relacye, raporta, korespondencye dyplomatyczne, listy prywatne, gazetki pisane, paszkwile, pieśni nabożne, wojskowe i konfederackie, kwity, bony, rejestra, najprywatniejsze nawet notatki rodzinne, stały się dla niego głównem źródłem rękopiśmiennem do historyi konfederacyi barskiéj, a zarazem do historyi całéj drugiéj połowy XVIII wieku. Biblioteka Gwalberta Pawlikowskiego, archiwa różnych bogatych rodzin, Akta Bernardyńskie, papiery nadsyłane mu z domów szlachty uboższéj i tym podobne dokumenta pisane zaznajomiły go ze szczegółami, z drobnostkami nawet rodzinnego i społecznego żywota w zeszłém stuleciu.

Większa część źródeł, któremi się Kaczkowski posiłkował, dzisiaj znana jest uczonym już to ze studyów rękopiśmiennych już téż z niedawno drukiem ogłosznych wydawnictw; lecz na początku drugiéj połowy naszego wieku mało co o nich słyszano. Kaczkowski miał to szczęście, że był jednym z najpierwszych, którzy od druków już po części zużytkowanych zwrócili się do badań nad nieznanemi rękopismami.

Prócz tego zaciekania się nad duchem uwięzionym w martwéj literze, wsłuchiwał się Kaczkowski w żywe słowa tradycyi, uosobionéj w babce jego, urodzonéj jeszcze przed pierwszym rozbiorem z Dęborogów Bylczyńskich. W jéj pamięci żywo przechowały się podania nietylko z konfederacyi barskiéj, lecz także z czasów o wiele wcześniejszych.

„Obdarzona przytém — jak pisze jéj wnuk — niezmiernie zdrowym i względnie trafnym na rzeczy poglądem, umiała dziwnie jasno odsłaniać te węzły, jakiemi pojedyńcze rodziny pomiędzy sobą, a przez nie cały naród był powiązany i przez to oświecać ważniejsze krajowe wypadki; — a rzadki to był szczegół, dotyczący tamtoczesnych strojów, obrzędów i obyczajów, o którymby się nie można było od niéj z dokładnością objaśnić". Była to prawdziwa, żywa illustracya do wspomnień i wiadomości z dawnych czasów. Postać jéj odtworzył Kaczkowski nadzwyczaj zręcznie w babce Edmunda, jednego z bohaterów powieści p. n. „Dziwożona".

Lecz nietylko babka, ale i inni krewni; nietylko krewni, ale całe sąsiedztwo, zarówno szlacheckie jak i mieszczańskie obfitowało w mnóstwo wieści uprzytomniających chwile dawno ubiegłe. W ziemi sanockiéj kilka razy zawiązywały się większe i mniejsze konfederacye; w jéj górach częstokroć oddziały braci szlachty z innych okolic znajdowały schronienie; nagromadziło się więc w niéj wiele materyału podaniowego, które należało tylko zebrać i przenieść do pieśni lub opowiadania. Zresztą sama ta ziemia, oddzielona wieńcem gór od innych, pod względem sposobu życia i obyczajów, prawie do czasu zniesienia poddaństwa, nadzwyczaj małym, w porównaniu z epoką dawniejszą, uległa zmianom; bezpośrednie tedy wrażenia mogły ożywić i uplastycznić niewyraźne lub zatarte kształty podań.

Wszystkie zasłyszane w wieku pacholęcym opowiadania, które niezbyt zapewne zajmowały umysł karmiony częścią świeżemi wrażeniami życia, częścią wielkiemi tworami spółczesnéj poezyi, powróciły do pamięci Kaczkowskiego w godzinach samotności więziennéj i stały się przedmiotem długich rozmyślań. Teraz, kiedy go gwar życia nie dochodził, nauczył się cenić srebrne nici splątanego kłębka tradycyi, który rozmotać postanowił za pośrednictwem dokumentów

piśmiennych. Myśl ta osiadłszy w głowie, nie dała mu już spokoju, dopóki po trzech latach studyów nie doszedł do całych stosów notatek, odnoszących się do epok najrozmaitszych. Kaczkowski, rozejrzawszy się w nich, ostatecznie osądził, że pomimo wyczerpnięcia niemal wszystkich dostępnych mu źródeł, nie potrafiłby przecież napisać historyi konfederacyi barskiéj. Cóż więc było począć? Sienkiewicz, jeden z historyków ówczesnych, radził mu obrabiać materyały krytycznie i drukiem ogłaszać. Jakkolwiek rada ta była trafną w zasadzie, Kaczkowski nie poszedł za nią, z powodu, jak powiada, obojętności ogółu względem suchych wydawnictw źródłowych. Postanowił więc „podmalować tło do historyi“ i ogłosić cały cykl opowiadań i obrazków z wieku XVIII.

Taka była gieneza powieści historycznych Kaczkowskiego. Ogłaszając je, uległ on z jednéj strony parciu młodzieńczéj fantazyi swojéj, a z drugiéj ówczesnemu usposobieniu umysłowemu czytającego ogółu, który pragnął przedewszystkiém powieści i w niéj widział najwyższy stopień doskonałości literatury. Kaczkowski był jakby naumyślnie stworzony na powieściopisarza téj chwili. Ukształcenie jego estetyczne i społeczne przeszło w skróceniu te fazy rozwoju, jakie się w całém społeczeństwie wyraźnie odbiły; a ostateczny jego rezultat zgadzał się wybornie w ogólnych swych rysach z duchem, ożywiającym większość inteligencyi. Nie było więc dysharmonii pomiędzy dążeniami autora a usposobieniem otoczenia, do którego przemawiał; nie potrzebował zjednywać sobie uwagi słuchaczów drogą powolnéj pracy, lecz stanąwszy na właściwym gruncie, mógł być pewnym sympatyi. Zwrot do tradycyi i forma powieściowa — oto główna tajemnica sympatyi pomiędzy Kaczkowskim a ówczesną publicznością, sympatyi, wyjaśniającéj nam nagłe jego powodzenie.

III.

Wykazawszy, o ile się dało, na jakiéj drodze przyszedł Kaczkowski do zharmonizowania poglądów swoich z ogólném usposobieniem owéj chwili, w któréj wystąpił na obszerniejszą widownię literacką, wypada mi przypomnieć szczegółowe jego przekonania co do najważniejszych, bo zasadniczych kwestyj, mogących obchodzić człowieka i obywatela.

Nasamprzód tedy potrzeba pamiętać, że w powieściach Kaczkowskiego należy koniecznie rozróżniać sposób zapatrywania się Imci Pana Marcina Nieczui od sposobu zapatrywania się samego Kaczkowskiego. Jakkolwiek bowiem powieściopisarz otacza największą sympatyą pana skarbnikowicza; jakkolwiek nawet w niektórych razach zgadza się z nim najzupełniéj; to przecież nie zniósłby bezwątpienia spokojnie, gdyby się sferę jego pojęć starano zlać w jedno ze sferą pojęć Imci Pana Nieczui. Kaczkowski używał téj interesującéj figury jako doskonałego, a może jedynego środka artystycznego do przedstawiania wypadków XVIII wieku z barwą im właściwą, niestartą przez refleksye umysłu, wychowanego i wykształconego wśród innych warunków, a mianowicie wśród cywilizacyi nowoczesnéj. Z zastosowania tego artystycznego środka wyniknęły zalety i wady dzieł, o których późniéj pomówię; tu mi idzie tylko o zaakcentowanie różnicy pomiędzy umysłowością Nieczui a Kaczkowskiego.

Imci Pan Marcin Nieczuja jest religiantem staréj daty; dla niego obrządki kościelne, posty, biczowanie, odbywanie pieszych pielgrzymek do miejsc cudami słynących i tym podobne praktyki religijne stanowią grunt rzeczy i prawie zupełnie zastępują istotę uczucia religijnego i nauki dogmatycznéj. Nad dogmatami nigdy się nie zastanawia, bo to rzecz teologa; uczucia religijnego nie rozbiera, bo to prze-

chodzi zakres jego umysłowych zasobów; zwyczaje i ceremonie religijne spełnia sumiennie, bo do nich przywykł, ale ich doniosłości i właściwego znaczenia nie dochodzi, bo mu nikt drogi takiego dochodzenia nie wskazał, a sam ścieżek sobie torować nie potrafi. Krytyka Woltera i encyklopedystów, których nazwisko uszu jego doszło, nie mogła oczywiście wpłynąć na niego; lecz herezyj rozsiewanych przez tych szatanów lęka się, gdyż widział, że ci, co im posłuch dali, dziwnie obojętni byli na praktyki religijne. A jak był religijnym z przyzwyczajenia, tak też i uczciwie postępował naprzód z naśladownictwa, bo tak postępowali rodzice i wszyscy sąsiedzi, a potém z nawyknienia; pierwiastek rozumowy tak tu jak i tam nie gra roli najmniejszéj.

Imci Pan Marcin Nieczuja jest szlachcicem ceniącym swój klejnot herbowy na równi z uczciwością, nienawidzącym dorobkiewiczów, pomiatający żydowstwem i mieszczuchami, zaprzęgającym chłopa do roboty bez najlżejszego skrupułu, bez przypuszczenia, że inaczéj byćby mogło. Kiedy widzi zgrają spodlonéj szlachty, przywożącéj swoje żony i córki na dwór pijaka i rozpustnika, starosty bachatyńskiego, nietyle ubolewa nad brakiem poczucia godności własnéj, ile nad zhańbieniem szlachectwa. „Wolę — powiada — widzieć prostego chłopa pokalanego błotem jakiéj nieprawości, aniżeli szlachcica, który mi jest równy i *z dniem urodzenia swego namaszczony* na to, aby w obronie cnoty i uczciwości stawał, a gminowi przykładem był“. Wysokie to przekonanie o zacności stanu szlacheckiego ma swe dobre strony, o ile utrzymuje szlachcica na pewnéj wyżynie moralnéj; ale ma też i złe, gdyż naprzód czyni cnotę niejako monopolem szlachectwa, jakby jéj gdzieindziéj być nie mogło, a przynajmniéj nie bywało, a powtóre zacieśnia pogląd na ustrój społeczny.

Imci Pan Marcin Nieczuja patrzy na sprawy rzeczy-

pospolitéj z wysokości dachu swego dworka, uważając tradycyą rodzinną za jedyną busolę w żegludze po morzu wydarzeń, za jedyną pochodnię rozświecającą kręte zaułki labiryntu, jakim był ówcześnie gmach państwa. Historya jest rzecz dobra, ale nie dla szlachcica, który nie ma czasu na przerzucanie grubych foliałów i forsowanie sobie oczu nad rozpoznawaniem znaczenia szeregu czarnych znaczków; dla niego dosyć się wsłuchać w dźwięki głosu ludzkiego i bez trudu, przy lampeczce wina, dojść do takiego bogactwa pod względem rozumu politycznego, że wszystkie biblioteki razem pomieścićby go nie zdołały. Tradycya, rozumie się, rodów pokrewnych co najwyżéj, jest dla niego świętością, którą czcić, jest mądrością, którą uwielbiać i podług niéj kierować się należy.

Wszystkie te stosunki inaczéj się trochę przedstawiały samemu Kaczkowskiemu. I on uznaje religią za ostateczny motor spraw życia prywatnego i publicznego. Kto się uwalnia zpod jéj błogiego jarzma, ten traci grunt pod nogami, a cała jego działalność przyniesie zarówno dla niego jak i dla społeczeństwa bardzo gorzkie owoce. Ale ta religia nie zasadza się u Kaczkowskiego na zewnętrznych oznakach, szanowanych wprawdzie i zalecanych, ale nie poczytywanych za rzecz najważniejszą. Kaczkowski, jeżeli sam nie przeszedł, to był w każdym razie świadkiem religijnego sceptycyzmu; a świadomość zarzutów robionych dogmatom musiała go zwrócić do głębszego nad niemi zastanowienia się i wysunięcia kwestyj dogmatycznych na plan pierwszy. Nie stał się on wskutek tego tak zwanym ultramontaninem, lecz katolicyzm swój manifestował bardzo wyraźnie. „Pewną obojętność u pewnych ludzi dla pewnych *obrządków*“ uważał on nie za brak wiary w ich sercach, ale tylko za lekceważenie szczegółów, które w dzisiejszym rozumującym wieku bardzo dobrze może iść w parze z wielkiém

i głębokiém poszanowaniem dla saméj rzeczy. Lekceważenie takie poczytywał wprawdzie za złe, gdyż w artykułach wiary lub obrządkach kościelnych niemasz ani jednego szczegółu, któryby był niepotrzebnym, przyznawał przecież, że obojętność dla wiary zmniejszała się ciągle, co dawało nadzieję, iż cywilizacya oprze się z czasem i ufunduje na religii. Dziwiły go téż wszelkie stronnictwa religijne w kraju, w którym cała ludność jest jednego wyznania. Pragnął on gorąco, ażeby ogół zajął się w jakikolwiekbądź sposób sprawami religijnemi; lecz téż nie taił przed sobą niestosowności, wynikających z propagandy religijnéj za pośrednictwem ludzi świeckich. Najjaśniéj te swoje poglądy wypowiedział Kaczkowski w obrazie wykształcenia starego szefa, Mikołaja Niemiry, w powieści „Wnuczęta". W młodości swojéj, powąchawszy trochę prochu, udał się Niemira na jeden ze sławniejszych uniwersytetów niemieckich. Było to pod koniec wieku XVIII. „W Niemczech — powiada Kaczkowski — panował natenczas wielki ruch umysłowy. Kant zadziwiał świat myślący ścisłą anatomią ludzkiego rozumu, przelatywały jak błyskawice po Niemczech *gienialne* Fichtego broszury, zwracał uwagę myślących ludzi na Słowiańszczyznę głęboko myślący Herder, upajał głowy nieznaną dotąd filozofią natury *cudnie* marzący Schelling. Poezya niemiecka otworzyła już natenczas przed oczyma prozaicznynh Giermanów całe niebo idealnego świata; czterdziestu mistrzów poezyi siedziało już z nastrojonemi lutniami w rękach na niemieckim parnasie, a na ich tronie piorunowładny Goethe. Nie brakło i na twarzach, anielskim rozjaśnionych uśmiechem a łzy w oczach niosących, jak Richter, i na swawolnych duchach, rozbijających się po dzikiéj fantazyi światach jak Hoffmann i na podzwaniających ustawicznéj wesołości dzwonkami i silnym strzelających dowcipem Hipplach i Lichtenbergach. I tak cały ten dramat duchowy, wiążący

spokojną dotąd ziemię w jednym czasie z niebem i piekłem, odwalający ręką wszechmocną głazy grobowe i odrzucający mgły zasłaniające przed śmiertelnemi oczyma przyszłość, tryskający coraz to nowemi promieniami fantazyi i odkrywający nieznane dotąd ducha wiekuistego źródliska, przedstawił się tam w całéj swojéj wspaniałości i blasku". Niemira z łatwością się poddał temu czarującemu wpływowi nauki niemieckiéj: matematyka i gieometrya, historya i filozofia, polityka i poezya stały się dla niego przedmiotami, które począł uprawiać, nietylko z niezmordowaną pilnością, ale nawet z łakomstwem. W ten sposób wzbogacił swój umysł, lecz równoczenie poniósł wielkie szkody, gdyż przez „zbyteczne przywiązanie" do filozofii niemieckiéj i wskutek uwielbienia dla utworów Goethego, „które tak wysoko stawiają moc ludzkiego rozumu i tak jawnie prelegują pogaństwo", zachwiał się w wierze i został niedowiarkiem. „Jego rozum się burzył i buntował przeciwko odwiecznéj mądrości boskiéj, miotał się w niecierpliwości swojéj przeciwko tajemnicom religii, wybuchał śmiechem szyderczym przeciwko jéj obrządkom, a natrząsając się z rzeczy świętych, kłócił się ustawicznie z *sercem*, które, odrzucone i podeptane jak męczennik pierwszych wieków chrześcijaństwa z swych katakumb, rzewnym i przytłumionym głosem modliło się do Boga o pomoc w tém uciśnieniu". Wspomnienia wieku dziecinnego, wspomnienia cichych praktyk religijnych, jakkolwiek odnosiły chwilami zwycięstwo, nie zdołały jednak przytłumić głosu rozumu, analizującego wszystko. Niemira, jak wszyscy Słowianie, nie mógł się zadowolnić teoryą, nie mógł oddzielić przekonań rozumu i marzeń fantazyi od praktyki życiowéj. „Niemcy — powiada Kaczkowski — daleko z większém zajęciem jeszcze myśleli nad myśleniem, marzyli o marzeniu; a trawiąc tak życie

swoje nad dochodzeniem i zbadaniem procesu myślenia, byli tylko podobni do owéj małpy, która umiejąc już sama zgotować ziemniaki w garnku, wlazła na kuchnię i włożyła jeszcze swój własny ogon do garnka, aby umieć nietylko gotować ale i przez własne doświadczenie dowiedzieć się, jak się to właściwie gotuje". Niemira nie miał téj flegmy niemieckiéj; u niego każda myśl musiała się zamienić w plan jakiś dający się urzeczywistnić; takich planów co tydzień było po kilka i niewiadomo, jakby skończył ten myśliciel, gdyby nie wojny napoleońskie. Wśród bitew ustawicznych dokonało się jego nawrócenie. Zmienność losu, niepewność jutra, niebezpieczeństwo zagrażające każdéj chwili teraźniejszości, zwróciły umysł Niemiry w stronę rozmyślań o losie pozagrobowym człowieka i nasuwały wspomnienia dawnych modlitewek i innych aktów pobożnych. Wypadek jeden wreszcie, który on sobie objawem szczególnéj łaski boskiéj tłómaczył, uwieńczył dzieło przeobrażenia. Niemira miał bateryą swoją rozpocząć szarżę; przeżegnał się więc krzyżem świętym „a rozum ukorzył się przed temi słowami i jeszcze podparł sobą on święty i błogi spokój duszy, który po modlitwie nastąpił". Istotnie baterya Niemiry powstrzymała ostatni sukurs nieprzyjacielski i przeważyła los bitwy na szalę zwycięstwa; pan Mikołaj po bitwie rzucił się na kolana i ze łzami w oczach, a gorącą modlitwą na ustach powitał gwiazdę swojéj młodości — wiarę. „Odtąd — dodaje autor — ustały w nim wszystkie wewnętrzne waśnie i niepokoje, i odtąd stał się z pana Mikołaja człowiek silny rozumem i charakterem, ale głęboko religijny". Religijność ta nie ograniczała się jedynie na wewnętrznem uznaniu rządów Opatrzności i zupełnemu im poddaniu się: lecz występowała także zewnętrznie, bo chociaż Niemira nie był „za ustawicznem odmawianiem pacierzy" i wolał częste dobre uczynki niż częste modlitwy, uważał jednak, własnym

doświadczeniem nauczony, iż lepiéj jest wznosić się myślą ku Bogu, niż puszczać ją po ciemnych światach marzenia. We wszystkich téż wątpliwościach sumienia pan szef, jakkolwiek miał rozum silny, zdrowy i na książkach ćwiczony, uciekał się zawsze do Pisma Świętego, „a szukając tam czystego natchnienia serca i pomocy boskiéj, zawsze ją znachodził".

Psycholog, rozważając historyą Niemiry, zakwestyonowałby bezwątpienia tę łatwość i nagłość, z jaką się w nim dokonał przewrót umysłowy, z pewném niedowierzaniem oceniałby doniosłość skutecznéj pomocy bateryi pana szefa pod względem jego nawrócenia, dziwiąc się prostocie i naiwności środka apostolskiego. Dla Kaczkowskiego wątpliwości tego rodzaju nie istniały, a przynajmniéj występowały w zupełnie innéj postaci. Widząc w religii podstawę wszystkich spraw ludzkich i narodowych tak w życiu prywatném jak i publiczném: wierząc najmocniéj we wszechwładną jéj potęgę nad duszami nietylko wiernych ale i niedowiarków, Kaczkowski uważał za rzecz całkiem naturalną przebieg wypadków opisany w historyi pana szefa i wszystkich podobnych. Kiedy np. Hania (w „Dziwożonie"), dziewczyna prosta, niewymowna, niezbyt wysoko wykształcona, dla któréj wyrocznią jest katechizm i ksiądz proboszcz, rozmawia z Edmundem, człowiekiem, który zarówno teoretycznie jak i praktycznie przeszedł wszystkie niemal stopnie wykształcenia i doświadczenia, to Hania zbrojna prawdami religijnemi odnosi stanowcze zwycięstwo nad całą świecką uczonością, nad całym zasobem praktyki Edmunda. Dziwi to niejednego, jak Kaczkowski z całą świadomością mógł przypuszczać, ażeby ta domorosła katechetka mogła wywrzeć jakikolwiek wpływ na takich ludzi jak Edmund lub Kamil. O ciasnotę pojęć trudno autora pomówić; o chęć łapania czytelników na wędkę naiwności, również; omyłkę taką można sobie

jedynie wyjaśnić tém wysokiém przekonaniem, jakie Kaczkowski miał o wpływie wiary. Nie objawiając jéj w sposób demonstracyjny, Kaczkowski uczynił ją podścieliskiem wszystkich swoich poglądów zarówno psychologicznych jak społecznych i politycznych. Kto jest przekonany o nieomylności jakiegoś środka leczniczego, ten nigdy się nie zawaha przypisać jego przymiotom skuteczności jak najcudowniejszéj; jeżeli zaś ktokolwiek umrze po jego zażyciu, to wypadku takiego nie zapisze po stronie pasywów lekarstwa, lecz uważać go będzie za wynik nieumiejętnego obchodzenia się ze swoim zachwalonym środkiem.

Kaczkowski nie miał nic do potępienia w religijności polskiéj wieków dawniejszych, a na przyszłość widział zbawienie przedewszystkiém w powrocie niedowiarków na łono kościoła, w ożywieniu wiary wśród mas zobojętniałych, choć w gruncie poczciwych i oddanych praktykom pobożnym. Cześć dla religii rozciągnął i na jéj widomych przedstawicieli — na kapłanów. Księża, występujący w jego powieściach, są albo zupełnie wolni od słabostek ludzkich, celując wszystkiemi cnotami i darami Ducha Świętego, a więc i nadzwyczajną mądrością, albo téż ulegając pewnym bardzo niewinnym zresztą ułomnościom, bywają otoczeni mistyczną aureolą, która ich nad zwykłych śmiertelników wysoko wynosi, nie pozwalając zbyt ściśle rozbierać ich słów, uczuć i postępków. Najlepszymi reprezentantami księży pierwszéj kategoryi są: ksiądz Augustyn w „Dziwożonie“ i ks. Gwardyan we „Wnuczętach“; do kategoryi drugiéj zaliczyć wypada starego kapelana z „Braci ślubnych“. Inne zwyczajne indywidua ludzkie, przybrane w księżą sukienkę, doznają bardzo oględnego i bardzo pobłażliwego traktamentu.

Ale ci kapłani nie występują na szerokiéj widowni jako działacze społeczno-polityczni. Ich rola jest skromniej-

sza — zadanie insze. Nie na placach publicznych i nie na zgromadzeniach narodowych, lecz w kościele i w domach prywatnych spełniają oni swoje obowiązki. Nie marzą o przekształceniu z gruntu istniejących stosunków, nie rzucają się na przedsięwzięcia, przechodzące ich siły; lecz mądrém, pełném namaszczenia słowem uspokajają rozgorączkowane rozumy i fantazye, a serca przepełnione goryczą starają się skłonić do zapomnienia obelg i potwarzy, do zwalczenia pychy, do umiłowania wszystkich braci. Ksiądz Augustyn jest pod tym względem typem prawdziwie klasycznym. Przetrwawszy burzę młodości, która przypadła na chwilę chaotycznych dążeń w celu podniesienia ludu, uspokoił się u stóp krzyża, lecz nie zamarł dla spraw świata. Roztropność jego nie jest tak zwanym chłopskim rozumem, który najważniejsze nawet rzeczy, najgłębsze uczucia, najzawilsze kwestye lubi wyrównywać strychulcem najpospolitszéj prozy; rozsądek jego nie jest zimny a serce nie wyschło jak pergamin, lecz chociaż skrwawione, żywo pulsuje na wieść nieszczęścia lub radości. Jakże serdecznym jest jego stosunek do Kamila, zarówno w pierwszéj chwili rozbudzającéj się energii, jak po wycierpieniu tysiąca strasznych utrapień, po rozbiciu wszystkich marzonych niegdyś planów! On mu wymówek nie robi, nie naigrawa się z jego upadku, nie liczy wszystkich jego błędów; ale słowami pełnemi ciepła i zacnych przekonań stara się go naprowadzić na drogę nowéj a pomyślniejszéj działalności.

Innym jest kapelan z „Braci Ślubnych“, ten lekarz, cudotwórca i dobrodziéj pospólstwa. Ma on słabość do ptastwa, które szczególną otacza troskliwością, trzymając ten drobiazg u siebie masami; znać w jego sercu była jakaś próżnia, domagająca się zapełnienia; jestto rys buddyjskiéj prawie miękkości uczucia, widzącego w każdém żyjącém stworzeniu coś spólnego z istotą ludzką... Odznaczał się

on dobrocią i rozsądkiem; ale starość nie dozwalała mu brać czynnego udziału w życiu. Odcień mistycyzmu, niegdyś może bardzo słaby, jakimś wypadkiem spowodowany, powiększał się z dniem każdym, tak że starzec w końcu uczuł się powołanym do urzędu proroczego, oddalił się od ludzi, zbudował sobie chatkę w lesie, a opatrzywszy ją we wszystko, co mu się do pustelniczego życia wydawało potrzebném, kupił sobie kilka koszul włosiennych, kazał sobie uszyć suknię długą pielgrzymską z wiszącym kołnierzem, szablę do boku przypasał, kosztur długi wziął w rękę, ptaszki zabrał ze sobą i, albo przyjmował w swéj skromnéj chałupie pospólstwo garnące się do niego, albo też wychodził z lasu, nawiedzając wsie i dwory szlacheckie to jako lekarz, to jako prorok jakiś i błogosławiony.

Oto co myślą i czują, co robią i do czego dążą księża Kaczkowskiego, jako przedstawiciele religii w społeczeństwie; zakres życia prywatnego wystarcza dla nich zupełnie. Jeżeli więc autor pragnął podniesienia religijności w kraju, nie czynił z tego programu politycznego, nie opierał się na znaczeniu religii dla narodowości, i tém się różni od wielu dzisiejszych polityków; nie miał też na celu wywalczenia dla kościoła wpływu stanowczego na sprawy państwa przez utrwalenie władzy świeckiéj hierarchii duchownéj — i tym się różni od ultramontanów. Religią uważał jako węzeł łączący społeczeństwo przedewszystkiém pod względem moralnym i umysłowym wobec demagogicznéj i wolnomyślnéj propagandy; a ponieważ wzgląd ten uważał za zasadniczy w rozwoju społecznym, stąd też uczynił go podstawą tego rozwoju, nie zastanawiając się dokładniéj nad tém, jak na niéj da się zbudować gmach nauki, poezyi, przemysłu, ustroju społecznego i t. d.

Przeszłości naszéj był Kaczkowski czcicielem, ale nie bałwochwalcą; szczycąc się z synowską dumą jéj zaletami,

nietylko z goryczą wspominał jéj błędy, lecz je uwydatnić się starał dla przestrogi potomnych. Według niego idea samorządu narodowego wije się i wzrasta przez całe pasmo dziejów naszych. Miała ona swoję stronę ujemną, jak każda rzecz ludzka; albowiem zamiast przelać się w cały naród *od góry do dołu* i „udzielnością“ obdzielić wszystkich; zamiast utworzyć państwo zamieszkane przez samych obywateli udzielnych wobec prawa, wcieliła się w jednę tylko warstwę społeczną i utworzyła owo *fatalne wszechwładztwo szlacheckie*, które, mając kogo gnieść, a nie mając się kogo obawiać, musiało z czasem wyrodzić się w swawolę, wydało nareszcie *oligarchią*.

Tyle co do poglądu ogólnego na dzieje nasze. Co się tyczy wieku XVIII, który się stał wyłącznym przedmiotem jego historycznych obrazów, to Kaczkowski obok uwielbienia dla cnót domowych szlachty, dla jéj gotowości do ofiar na rzecz sprawy ogólnéj, nie żałuje téż wydatnych barw dla oddania jéj niesłychanéj ciemnoty. „Najdziwaczniejsze pojęcia — powiada — najgrubsza niewiadomość, najpotworniejsze przesądy i zabobony lęgły się po jéj rodzinach i domach jako posiew zwyczajny; a jak w tym wieku aż do pierwszych lat panowania Stanisława Augusta obiegała w Polsce prawie tylko sama fałszywa moneta, tak oprócz zacnych, lecz niebardzo siebie świadomych, uczuć obywatelskich obiegały prawie same fałszywe pojęcia i wyobrażenia“.

Jednym z licznych dowodów takiego stanu rzeczy jest fakt przezeń przytoczony, że wielu ze szlachty jeszcze na elekcyjnym dyplomie Stanisława Augusta i na manifestach konfederacyi barskiéj podpisywało się znakiem krzyża świętego. Nie oszczędza téż silnych razów zbyt licznym niegdyś rodzinom pieniaczów, wśród których możnowładcy zawsze znajdowali zręcznych sekretarzy, niezmordowanych totumfackich, „nieprzegadanych szczekaczy“. Z takich to rodzin

wyszła, wedle Kaczkowskiego, owa „haniebna agitacya“ przeciwko ustawom sądowym kanclerza Andrzeja Zamojskiego, które zaręczały pewne prawa cywilne i sprawiedliwość ludowi wiejskiemu.

Bezwzględnym więc wielbicielem starych złotych czasów Kaczkowski nie był; wadliwość pierwotnéj organizacyi państwa, rozprzężenie społeczne, przyćmienie światła i cnót publicznych widział dosyć jasno, może nie tak dokładnie jak my dzisiaj po tylolicznych poszukiwaniach i badaniach nad stanem wieku XVIII, ale zapewne o wiele lepiéj i dokładniéj niż wielu ówczesnych poetów, publicystów, a nawet historyków, którzy oślepieni kilkoma promieniami sławy wojennéj a zbici z toru uczuciową apoteozą upadku Polski, uwielbiali to, co potępienia godném było. Jego samego uderzał zapewne ten kontrast pojęć jego własnych z temi, które mógł wyczytać w dziełach i dziennikach; tak przynajmniéj wnieść można z jednego ustępu „Wnucząt“, w którym autor zastanawia się nad przyczyną chwalby dawnych czasów, a zauważywszy, iż najwięcéj szczegółów dziejowych znaleść można w historyi rodzin, tak się wyraża: „Zebrawszy wszystko, co się do historyi jednéj rodziny odnosi, można o członkach téj rodziny utworzyć sobie jak najdokładniejsze wyobrażenie, ale czy to wyobrażenie będzie prawdziwe, zachodzi wielka wątpliwość. Jeżeli bowiem zwracamy naszę uwagę na przeszłość jakiéj rodziny, to była to pewnie rodzina można i znakomita, a *ile* takie rodziny mogły w Polsce i jak dbały o swoje znaczenie i sławę, to rzecz wiadoma. Pomiędzy temi źródłami tedy niezawodnie nie znachodzi się nic, coby dawało świadectwo jéj stronom słabym, i jeżeli w testamencie nikt swych spadkobierców nie gani, jeżeli nowożeńcom nie wytyka nikt błędów, i w dedykacyi nie pisze wyrzutów; toż ksiądz, który miał pogrzebowe *kazanie*, był zapłacony przez familią, *dyaryusze* pisywał pań-

ski podwładny, a *relacyj wojennych* autorem nigdy nie bywał nieprzyjaciel. Daléj zaś idąc, trzeba powiedzieć, iż podczas kiedy wszystkie takie broszury, które mogły rzucać plamę na pojedyńcze familie, przez też familie były zawsze wyniszczone tak, że mało która nas doszła; toż i autorowie *herbarzów* oglądali się na możność rodziny i *kronikarze* nawet albo omijają całkowicie albo li z ostrożnością napomykają o tém, co odkrywało stronę ujemną rodzin możnych i znakomitych. Do nas tedy podochodziły tylko wiadomości o cnotach wielkich i zbrodniach wielkich, które nie mogły być ukrytemi; ale o słabościach ludzkich tamtych czasów, o ich grzechach małych wiemy zaledwie wogólności, a przy studyowaniu charakterów pojedyńczych ludzi, jeżeli nam jakiś akt sądowy albo list prywatny, albo zresztą zestawienie wydarzeń nie odkryje jakiéjś strony ujemnéj, nie możemy prawie dojrzéć niczego innego, prócz samych cnót wielkich, waleczności nieporównanych i olbrzymich poświęceń, — co wszystko jeszcze się staje o tyle wątpliwszém i na znaczne zmniejszenie zasługującém, ile że wiadoma rzecz jest, jak wszyscy starzy pisarze nasi byli rozmiłowani w sławie swego narodu, jakim zaszczytem było tę sławę w jakikolwiekbądź sposób powiększać i rozszerzać — i *jak duch panegiryczny* zawsze przeważał w literaturze“ (*Dzieła*, VIII, 316 i 317).

Kaczkowski, wyliczając przyczyny przesadnego wyobrażenia o wielkości przodków, zapomniał o braku statystycznych danych nietylko z czasów dawniejszych, lecz nawet z XVIII wieku, któreby najlepszy mogły nam dać obraz umysłowego i moralnego stanu społeczeństwa, a zapomniał dlatego, że kiedy dał do druku „Wnuczęta“ (1855), statystyka nie była u nas jeszcze tak modną nauką jak jest teraz. W każdym jednak razie wykazał inne przyczyny bardzo jasno i zrozumiale i tém dowiódł, że się wcale nie łudził

istnieniem tylko wielkich cnót i poświęceń w naszéj przeszłości, że się nie dał obałamucić dymowi kadzideł, który za jego czasów wznosił się tak potężnym słupem, zasłaniając rzeczywistą postać ludzi i rzeczy w XVIII mianowicie stuleciu. Uczuciowe poglądy na przeszłość rozumiał, ale nie został ich niewolnikiem; w ocenie dziejów wolał pójść za głosem rozumu, który, rozwiewając iluzye, uczy się zastanawiać i wyciągać korzyści nawet z tego, co już minęło.

Przy tym obrachunku z przeszłością, z konieczności rzeczy nastręczała się kwestya *tradycyi*, naprzód jako źródła naszych wiadomości historycznych, a powtóre jako drogowskazu przyszłego pochodu dziejowego.

Piękne i pouczające są słowa, któremi Kaczkowski określa znaczenie i ważność podań ustnych zarówno dla badań historycznych jak i dla życia; znać w nich głębokie wsłuchanie się i zrozumienie zarówno szczegółów jak i ducha ożywiającego opowiadania ludzi sędziwych, robiące na nim takie wrażenie, jakby widział przed sobą „jakiś dramat olbrzymi, w którym od głazów granicznych do puszcz niezbrodzonych, od pustych szlaków stepowych do miast rojących się ludem, od ludzi do potęg duchowych niewidzialnych dla oka, wszystko co żywe i martwe, tajemniczemi węzły w jednę całość złączone, przesuwa się nieskończonym korowodem przed nami i nas zabiera ze sobą“. Uznaniu temu atoli dla tradycyi, dla tego żywego ducha dawnych wieków, towarzyszy również rozum krytyczny. Kaczkowski wiedział dobrze, że tradycya nie jest historyą i że w ustném podaniu nie może się zawierać cała „nauka stanu“. Twierdził więc, nauczony doświadczeniem poprzedników, że ktoby ustnym tradycyom więcéj zawierzył niż książkom i źródłom piśmiennym, ten zamiast prawdziwych, poznałby bajeczne dzieje; a ktoby podług owych podań ustnych jedynie chciał wyznaczać kierunki myśli i pracy

w przyszłości, tenby trafił na manowce prowadzące ku przepaści. Starzy ludzie, którzy tradycye przechowują, choć czasem posiadają wiele nauki, są bardzo mało krytyczni, a przywiązując bezwarunkową wiarę do tego wszystkiego, co otrzymali z ust wiarogodnych wprawdzie, ale natchnionych umysłem niebadawczym, czasem w téjże skrzyni, wraz z wielkiemi i żywotnemi podaniami narodu z epok szczęśliwych i jędrnych, przechowują polityczne tradycye martwe, strupieszałe, bezużyteczne, z epok strupieszałych i martwych. W téj saméj bałwochwalczéj miłości pielęgnują podania społeczne, administracyjne, wojskowe, sądowe i inne, nie rozróżniając dość trafnie, co było złe, a co dobre, gdyż nawet wiedzieć nie chcą o tém, „że każdy naród, przenosząc byt swój z wieku do wieku, przenosi wprawdzie także swoje pojęcia i urządzenia, ale *na progu każdego wieku grzebie umarłe, a tylko żywe zabiera ze sobą*“. To téż w tradycyach wiele bywa „sprzętów spaczonych, wiele rupieci, które rdza zjadła“.

Jakąż więc rolę odgrywać ma tradycya w nauce historyi? Wedle Kaczkowskiego, trzy mamy drogi, na których przychodzimy do odgadnięcia i zrozumienia ducha przeszłości: albo przeczuwa go gieniusz swoją mocą cudowną, albo go zwolna odkrywa zdrowy rozsądek za pomocą mozolnéj pracy i długiego wczytywania się w źródła współczesne, albo go przekazuje w spuściźnie ustne podanie. Lecz największy gieniusz nie potrafi nic dojrzałego utworzyć bez wielkiéj pracy, a nawet gieniusz z nauką razem zawsze jeszcze chromać będzie w historyi, jeżeli nie chce albo nie może pokrzepić się przy źródle żywych tradycyj. Dopiéro te trzy środki w połączeniu dają nam możność odtworzenia przeszłości w całéj prawdzie i „od Tacyta aż do Thiersa nie było jeszcze żadnego prawdziwie wielkiego dziejopisa-

rza, któryby się był nie posługiwał temi wszystkiemi trzema środkami".

Jeżeli wyrażenie „gieniusz ze swoją mocą cudowną", które odpowiadało zamiłowaniu do hiperbol w tém otoczeniu, w którém się wykształcił Kaczkowski, zamienimy na „wyobraźnią dopełniającą, do wysokiego stopnia rozwiniętą"; jeżeli nadto dodamy jeszcze „krytykę podań za pomocą źródeł piśmiennych", omówioną przez autora w inném miejscu: to nie będziemy potrzebowali niczego więcéj prostować w zdaniach powyższych, ażeby się znaleść na stanowisku dzisiejszéj historyografii, w jego najogólniejszym wyrazie. Zostawałaby jeszcze tylko zasada przyczynowości wypadków dziejowych, podług któréj stałe skutki wypływają ze stałych przyczyn; ale zasadę tę można bardzo naturalnie wnieść jako element składowy do owego zdrowego rozsądku poddanego wpływom nowoczesnéj nauki. Możeby Kaczkowski przeciw prawom rządzącym dziejami zaprotestował w imię Opatrzności; a możeby téż uznał, że prawa takie nie są wcale sprzeczne z ideą Bóstwa, kierującego wszechludzkością, tak jak prawa uznane przez nauki przyrodnicze są nieraz pojmowane jako ustawy Wszechmocy.

Nie mogąc rozstrzygnąć tego dylematu na podstawie pism Kaczkowskiego dotąd ogłoszonych, muszę się ograniczyć na jego zaznaczeniu i przejść do określenia poglądów Kaczkowskiego na zadania teraźniejszości.

Hasłem jego w tym względzie, zgodnie z poglądami historycznemi, było umiejętne łączenie przeszłości ze zdobyczami cywilizacyi nowożytnéj. Ideały zatém wieków minionych nie miały nadal pozostać ideałami w całéj swojéj dawniejszéj formie, lecz winny były uledz zmianie stosownie do potrzeb i wymagań czasów obecnych. Ludzi marzących tylko o przeszłości przyrównywał do owych kwiatów zamyślonych i smutnych, które rosną na grobach i kwitną tylko

umarłym; jest w nich woń jakaś, jak gdyby zagrobowa, nadziemska, chwilami pełna najpiękniejszego uroku. Na dnie atoli przekonań takich ludzi widział poprostu martwy, drewniany i lodowaty sceptycyzm, który gdziekolwiek tylko się ruszy w teraźniejszości, prowadzi do takich samych zasad i czynów, jak „nagi i niczém nie upiększony realizm“. Powolny i spokojny rozwój wszystkich zasobów materyalnych i duchowych, rozwój, oparty na przeszłości, nie śpieszący się w odrzucaniu dawnych rzeczy i form dlatego tylko, że dawne, ani w przyjmowaniu rzeczy i form nowych dlatego tylko, że nowe: to była rada najogólniejsza, jaką ziomkom swoim podawał, przedstawiając im jako wzór do naśladowania szefa Niemirę, owego sceptyka filozofującego, który się w końcu stał głęboko-religijnym. Człowiek ten, pozbywszy się niewiary, składał jeszcze hołdy politycznemu marzycielstwu, snując codzień plany nowych wielkich przedsięwzięć. Trwało to póty, póki wojny europejskie, przez Napoleona wzniecone, nie skończyły się powszechnym pokojem i związkiem monarchów. Wówczas pan szef zrozumiał, że jest daleko więcéj małych a bliższych nas obowiązków, które pod groźbą następstw najgorszych wykonywać potrzeba pilnie i sumiennie; wówczas przekonał się, że napowietrzne latanie i „knowanie planów“ bez możności urzeczywistnienia ich, nie prowadzi do niczego i ledwo gołowąsym młodzieńcom przystoi. Skutkiem tego z całym zapałem rzucił się do gospodarstwa, wiele w niém robiąc ulepszeń, ale wiele także zachowując z dawnéj metody, dowodząc o każdym zostawionym szczególe cyframi, że jest lepszy od nowego wynalazku. Ze sługami zachował dawniejszy stosunek; dwór zostawił nietknięty; ale wymurował stajnię nową wedle nowszego smaku, a oficynę nawet bardzo ozdobną, mówiąc, że dwór dawny dla niego wystarcza, a syn postąpi sobie wedle swojéj potrzeby. Względność dla

przyszłego pokolenia posuwał do tego stopnia, że kiedy w podeszłym wieku przedsiębrał coś nowego, zawsze pytał syna o radę i jemu oddawał prawo ostatecznéj decyzyi. Nie zaniedbywał codziennie ćwiczyć swych sił fizycznych, które tym sposobem w stanie czerstwości i młodzieńczéj energii do późnych lat zachował, zapewniając zarazem umysłowi zupełną przytomność, a nawet pewną świeżość. Inteligencyi swojéj dawał pokarm zdrowy, odczytując tych autorów, którzy niegdyś silne na nim zrobili wrażenie, nie gardząc atoli nowymi; a trzymając gazety lubił zawsze wiedzieć, co się dzieje w krainach wiedzy. Świeże utwory historyczne sprowadzał zazwyczaj wszystkie i odczytywał z zajęciem; a kiedy widział się spowodowanym niedowierzać zdaniu autora uciekał się po staroświecku do starych kronik, które z pewną czcią przechowywał w swojéj bibliotece. Wątpliwości wszelkie, jak już wiemy, rozstrzygał za pomocą Pisma świętego. Pomimo to wysoko cenił rozum i brakowi „krytycyzmu“ przypisywał powolność w rozszerzaniu się oświaty i uformowaniu się *jakiéjś dzielnéj opinii publicznéj* w naszém społeczeństwie. Powstawał też ostro przeciw tym krzykaczom, którzy rozwodzili się nad przewagą zimnego wyrachowanego rozumu nad sercem, i twierdził, że serce, choć niewykształcone, a może nawet zepsute, króluje u nas, nie dając przyjść do głosu rozumowi. „Taka organizacya nasza — powiadał — daje nam zapewne niezaprzeczone świadectwo, że jesteśmy materyałem, z którego przy szczęśliwych okolicznościach cośby być mogło; ale tymczasem nic z nas nie jest; chodzimy po omacku i łamiemy częstokroć karki na takim kamyku, który nawet przy krótkim wzroku łatwo było ominąć“.

Pan szef tedy siedział na ziemi, odziedziczonéj po przodkach i starał się ją utrzymać w najlepszym stanie, przyjmując z wyników postępu te tylko, które uważał za dobre, a zachowując wiele doskonałych choć starych zwy-

czajów. O szerszych horyzontach politycznych w ówczesnych stosunkach społecznych nie mógł marzyć; całą więc usilność swoję położył w tém, ażeby nietylko nie uszczuplić, „lecz nadto powiększyć spuściznę naddziadów“. Że to stanie na straży ziemi nie było skutkiem egoistycznych tylko popędów, mających na celu zapewnienie sobie dobrobytu, lecz że miało znaczenie głębsze, narodowe, to nie ulega wątpliwości. Kaczkowski kładzie na ten fakt nacisk osobliwy, a myśl swoję rozwija bliżéj, występując przez usta Tadeusza Niemiry przeciwko szlachcie trawiącéj czas i mienie po wielkich miastach. „Kto ma ziemski majątek — powiada tu — ten nietylko go ma na to, ażeby zeń ciągnął dochody, ale żeby także wypełniał powiązane z nim obowiązki. A obowiązkami temi są najprzód opieka nad kilkuset albo kilku tysiącami dusz ludzkich... daléj są to obowiązki względem naszego sąsiedztwa, obowiązki dobrego przykładu, wzajemnéj pomocy, wzajemnéj narady nad dobrem powiatu i zresztą wzajemnéj rozrywki; a nakoniec są to obowiązki względem roli saméj i was samych, którzy powinniście téj roli, która was żywi, pilnować własném swém okiem, bo wy macie obowiązek w takim samym stanie oddać ją dzieciom waszym, w jakimeście ją odebrali po ojcach“. A tymczasem dzieje się inaczéj. We wsiach duszą i drą chłopów ze skóry komisarze i ekonomowie, frymarczą na różne sposoby z żydami, okradają właścicieli i zostawiając klątw gromadę na ich sumieniu, zakupują majątki w ich sąsiedztwie i urągają im jeszcze. Właściciele zaś z połową możliwych dochodów siedzą w mieście, marnotrawiąc czas na lichéj, jeżeli nie grzesznéj rozrywce i bez żadnego poważnego zajęcia, wystawiają żony na ciężkie próby, które, jak się to pokazuje z doświadczenia, zanadto są ciężkie na słabe ich charaktery; podają córkom sposobność patrzenia na zepsucie obyczajów, na bezwstyd i plugastwa, sposobność wyuczenia się zawczasu

różnych wybiegów i intryg, które się im przydają potém, kiedy są już zamężne... Z takiego trybu życia wynika ruina majątkowa i nuda, każdą radość zabijająca.

Pilnować więc roli — to pierwszy obowiązek obywatela; drugim — jest posiadanie jakiegoś specyalnego wykształcenia. Kaczkowski wybornie podpatrzył i trafnie wskazał jednę z największych wad naszego narodowego wychowania t. j. niepohamowany jakiś pociąg do uniwersalności. Powstaje téż przeciw niéj z całą siłą rozumowania.

„My wszyscy — powiada — na nasze nieszczęście, jesteśmy szlachtą i chcemy wiedzieć wszystko; puszczamy się więc już zaraz z młodu kilkunastoma drogami odrazu i nie doszedłszy nigdzie, wracamy nazad, a powróciwszy, powiadamy z miną filozofów: mądrość światowa jest głupstwem. Taka metoda wychowywania i kształcenia się nie prowadzi nas oczywiście do czego innego, jak tylko, że po skończeniu całkowitéj edukacyi właściwie nic nie umiemy, przez resztę życia już niczego się nie uczymy, nie zostajemy specyalnie niczém, a wśród tego uczuwamy coraz większą czczość w sercu, coraz większy chaos w umyśle, coraz mniejszą świadomość siebie w naszém sumieniu i nakoniec przestajemy być nawet samymi sobą... Gdyby każden z nas prócz szlachectwa obrał sobie jakąś profesyą, to aniby się nam świat wydawał tak zupełnie znikomym, ani życie taką nędzotą, ani mądrość ludzka tak głupią, anibyśmy znali owe czczości i nudności serca, ani owe gorączki umysłu, które sprowadzają nam choroby moralne, albo rodzą w nas żądzę zmieniania światowego porządku, i stawania się fałszywymi prorokami albo nieproszonymi zbawicielami ludzkości... Gdybyśmy ciągle i pracowicie coś produkowali ze siebie, nabralibyśmy znaczenia w sobie i poza sobą, wyrobilibyśmy sobie cywilizacyą swojską, rodzimą i nią bylibyśmy więcéj warci na świecie, niżeli tém, że jesteśmy encyklopedycznemi

zbiorami wszystkich cywilizacyj europejskich. A moglibyśmy to zrobić, gdybyśmy tylko chcieli, bo na zdolnościach wcale nam nie brakuje. Ale brak chęci, wstręt do jednostajnéj i wytrwałéj pracy i początkowe wychowanie nasze stoi nam na przeszkodzie". (*Dzieła* VIII, 110 i 111).

A więc, kiedy społeczeństwo straciło dawne wielkie znaczenie; kiedy na wielkiém polu polityki nic zdziałać nie może; kiedy musi żyć w sferze zaciśniętéj pod wszystkiemi względami: nie powinno upadać na duchu, rozpaczać, wegietować lub marzyć lekkomyślnie; lecz przeciwnie, należy mu umieć zapełnić dni swego życia cichą, drobną ale użyteczną pracą. Nie ranga jenerała, ale służba prostego szeregowca winna być jego ambicyą. Idea pracy organicznéj, wewnętrznéj, wypowiedziana była tym sposobem przez Kaczkowskiego dosyć wyraźnie i dobitnie, zarówno we „Wnuczętach", jak w „Dziwożonie" i „Rozbitku". W zakresie trudów, materyalnego bytu dotyczących, rozwinął szerzéj myśli o jednéj tylko dziedzinie pracy organicznéj — o rolnictwie; o przemyśle, rękodzielnictwie i handlu nie rozpowiadał wcale. Nie chcemy z tego powodu oskarżać autora o ciasnotę pojęć, a przycinki wypowiadane przez niektóre dodatnie skądinąd osoby jego powieści przeciw mieszczanom wogóle, a dorobkowiczom w szczególności, wolimy tym osobom tylko przypisać, a nie samemu Kaczkowskiemu. Mając na oku głównie szlachtę i wieś, znając jednę i drugą wybornie, nie zapuszczał się w społeczne badania natury ogólnéj i wolał ograniczyć sferę swego obrazowania, niż obrabiać to, z czém stykał się rzadziéj. Programu społecznego nie pisał, tylko powieści, nie mógł więc oczywiście wypełnić ram jego z całą dokładnością. Czuł jednakże potrzebę nieodzowną wciągnięcia w zakres twórczości artystycznéj mieszkańców miast i miasteczek, i potrzebę tę wypowiedział w r. 1862 t. j. po skończonym jak naówczas zawodzie powieściopisarskim, dobi-

tnemi słowy: „Szlachta się kąpie w powieściach o swoich dawnych cnotach i obyczajach; nie masz już prawie ani tak wielkiéj, ani tak małéj sprężyny w jéj dziejach, którejby nie poruszono; azaliż choć cokolwiek zrobiono ku temu samemu celowi dla mieszczan i rzemieślników? A przecież to jest *pars magna* naszego ogółu, i ona nie potrzebuje się wzorami cnót zapożyczać u innych, i ona ma pełną skarbnicę swojéj przeszłości, z któréj wiele da się wydobyć“. Autor miał w tym ustępie na uwadze głównie historyą, to prawda; ale to samo dowodzi właśnie, że nie lekceważył sobie pierwiastku mieszczańskiego i traktował go na seryo. Kaczkowski nie wyszedł pod tym względem poza ogólniki; nie oznaczył ani stosunku mieszczaństwa do szlachty, ani jego obowiązków w czasach dzisiejszych, ani ważności różnych działów przemysłu i handlu; w każdym jednak razie idea pracy drobnéj a wytrwałéj i do téj nieobrobionéj klasy mieszkańców zastosować się daje.

Już z tego planu działania w teraźniejszości łatwo wnieść można, że Kaczkowski był stanowczym nieprzyjacielem radykalizmu. Chłodny i rozważny we wszystkich innych kwestyach, wybuchał gniewem niepohamowunym przez usta dodatnich swoich figur, ilekroć przyszło mu mówić o działaniu propagandy demokratycznéj w kraju naszym. Nie było ani jednego słowa oburzenia, którémby nie napiętnował postępowania demokratów czy demagogów; nie było gromu, któregoby na nie nie rzucił. Przyznał wprawdzie raz, że pomiędzy zwolennikami teoryi demokratycznéj znajdowały się znakomite zdolności, nieprzełamane cnoty, wielka otwartość serca, nieustraszona odwaga cywilna, ale uczynił to raz jeden, jakby przymuszony, i zastrzegł natychmiast, że wszyscy „dla miłości świętéj teoryi umieli sobie wszystkie niedostatki, częstokroć występki, a czasem nawet zbrodnie przebaczać“. Zresztą zarzucał téj doktrynie bezbożność, zerwanie z dzie-

sięciowiekową historyą narodu i potoki krwi niewinnie przelanéj.

Doktryny arystokratycznéj, wyzyskującéj zasługi wiekowe na rzecz znaczenia przewodniego w czasach obecnych, nie uznawał również, ale był dla niéj z większém uszanowaniem, z większą pobłażliwością. Ponieważ opierała się na przeszłości, ciągnąc z niéj soki pożywne, ponieważ nie splamiła się krwią ludzką i wiele tylko papieru zmarnowała, ponieważ odznaczała się łagodnością i elegancyą form, przebaczał jéj błędy, jéj „martwe przesądy“ daleko łatwiéj, daleko chętniéj aniżeli szorstkim, rubasznym, grubijańskim i nieubłaganym demokratom. Zasługi historyczne miały dla niego urok wielki, który mu zasłonił oczy na takie fakta jak: dobrowolne zejście z pola, brak inicyatywy, zcudzoziemczenie, po części nawet serwilizm, fakta świadczące przeciwko arystokracyi w tych czasach, kiedy się rozgrywał dramat powieściowy Kaczkowskiego. Autor nie widział ich lub nie chciał widzieć; pojedyńczy objaw pożytecznéj działalności brał za charakterystykę całéj klasy i tym sposobem zbyt surowy dla biedaków pracujących o chłodzie i głodzie gdzieś na poddaszach, był zbyt pobłażliwym dla tych, co w złoconych pałacach, w paryskich hotelach, w rzymskich willach lub na pokojach królów i książąt gnuśne pędzili życie.

Można nie zgadzać się na idee głoszone przez demokracyą, można nawet potępiać środki, których się chwytała dla przeprowadzenia swych planów; ale niepodobna zaprzeczyć, że oni własną krew za myśli swoje przelewali, że wierzyli przynajmniéj szczerze w to, co głosili. Że pomiędzy niemi byli kuglarze szafujący cudzém życiem na rzecz własną, nikt nie zaprzecza; ale historya, wskazując postaci szlachetne, nie pozwala na traktowanie ogółu jako szajki nikczemników.

Zresztą, ażeby słusznie ocenić zapatrywanie się Kaczkowskiego na tę kwestyą, potrzeba sobie przypomnieć, że

wyrażenia: arystokracya i demokracya przedstawiają pojęcia bardzo elastyczne, dające się rozciągać i ściągać stosownie do chwilowéj potrzeby, mianowicie u nas, w czasach dzisiejszych. Przez arystokracyą rozumieć można wszystkie szlachetne i wielkie pierwiastki ustroju społecznego, z któremi inne powoli asymilować się powinny; ale téż można rozumieć pretensye bez siły, zarozumiałość bez zdolności, przestarzałe przywileje bez obowiązków, naczelnictwo bez podwładnych. Podobnież i w demokracyi można upatrzéć zarówno ideę równości wobec prawa, dążenie do braterstwa nietylko w niebie ale i na ziemi, pragnienie samodzielności dla wszystkich; jak niemniéj chęć zrównania całéj ludzkości strychulcem zwierzęcych popędów, chęć obniżenia wysokich ideałów społecznych na rzecz mało rozwiniętych indywiduów, chęć zdeptania cywilizacyi przeszłości dla zaprowadzenia urządzeń tchnących dzikością i t. d.

Stąd téż z biegiem czasu, kiedy bolesne wspomnienia wieku młodzieńczego zacierały się, Kaczkowski łagodniał w swych napadach na demokracyą, a raczéj demagogią, a za to goręcéj powstawał przeciw tym arystokratom, wierzącym w krew, którzy „znając dążenia postępowe, nie mogą się z niemi pogodzić, nie mogą działać pożytecznie“. W „Rozbitku“ nazywa zasadę arystokracyi i demokracyi po prostu „ciasną“; a za wzór, z któregoby Polacy mogli odnieść wiele korzyści, podaje Anglią. Do końca jednak swego powieściopisarskiego zawodu pozostał zaciętym nieprzyjacielem rewolucyi, zalecając powściągliwość i pracę powolną. Słusznie utrzymywał, że na wybuch jakiś gwałtowny, na poświęcenie się dorazowe, na wojnę choćby śmiertelną, stać nas było każdego czasu; ale obaczyć przed sobą cel jakiś daleki, dążyć do niego wytrwałą pracą całych pokoleń, poświęcać się jednemu celowi codzień przez całe życie, nigdyśmy nie umieli („Rozbitek“, III, 8).

Najdobitniejszym wyrazem tych przekonań jest „kronika rodzinna“ p. n. „Żydowscy“ (r. 1860), która wywołała gwałtowną opozycyę ze strony radykałów, pragnących jakiegokolwiek ruchu, choćby ten ruch miał nas zabić, zarażających nas „pijaństwem serca i szaleństwem sumienia“ (II, 258).

I tu wszelako Kaczkowski nie jest bynajmniéj przeciwnikiem zmian i reform, tylko pragnie je dokonywać z rozwagą i umiarkowaniem. „Ruch — powiada — rzecz pożądana! główny-to warunek postępu i życia. Ale ruch ruchowi nierówny. A kiedy się kędyś zrobi ruch nadzwyczajny, każdy człowiek roztropny pyta dzisiaj przedewszystkiém, z jakich ten ruch wypływa źródeł, jakiemi jest obudzony środkami i do jakich zmierza celów. Kiedyśmy ufni w żywotność naszych dziejowych tradycyj i w jedność natchnień narodu, wierzyli ślepo, że każdy ruch u nas może tylko z jednego wypływać źródła i do jednego zmierzać celu; nigdyśmy o to nie pytali i szliśmy za każdym ruchem, choćby na śmierć lub męczeństwo; ale odkądeśmy się przekonali po dwakroć, iż już i u nas zdarzają się ruchy, z rozmaitych wypływające źródeł, rozmaitymi obudzane środkami i do rozmaitych służące celów; odtąd się zawsze i bardzo pilnie o to pytać powinniśmy — i będziemy...“ (II, 243, 244). Ideałem jego był wtedy Dobiesław Żydowski, człowiek wszechstronnie wykształcony, idealista w głębi duszy, ale realista w obieraniu środków prowadzących do celu, który przefrymarczoną przez brata wieś dziedziczną odkupił, porządnie zagospodarował, sąsiadom pomagał i do zajęcia się sprawami publicznemi ich przygotowywał. W zasadach był on najczystszym demokratą i co do różnic pomiędzy ludźmi „trzymał się ściśle tego, czego uczy nas anatomia: jeden człowiek jest jako drugi“. Wolności i swobód pragnął jaknajobszerniejszych, uwielbiał republikę; a nim się ta forma ustali, był za nieu-

stającą opozycyą przeciw wszystkiemu, co temu stoi na drodze. Ale w zastosowaniu tych zasad robił ustępstwa i wielkie. I tak np. wedle jego teoryi należałoby pielęgnowanie ducha i spraw narodowych wyrwać z rąk ludzi tych, którzy się tém zajmowali dotychczas, a którzy mają zamało ognia i zapału dla pojęć nowszych, i należałoby ich całkiem odsunąć na stronę i zastąpić innymi — a tu tymczasem właśnie tych ludzi odsuwać nie można, bo oni są jeszcze zawsze głównem narodowego ducha objęciem, jego wyrazem i siłą, a niemasz, ktoby ich godnie zastąpił. Wedle jego teoryi należałoby wszystkie dotychczasowe powagi obalić, zmiąć i pogrzebać, bo się zużyły, ociężały, odpoczywają w spokoju i martwy spokój rozszerzają około siebie — a tu tymczasem właśnie tych powag obalić nie można, choćby tylko dlatego, iż są skarbnicami naszych duchowych prac i zasobów, ściągają przez siebie ku nam poszanowanie u obcych i są naszą chwałą, naszym zaszczytem, naszą reprezentacyą nazewnątrz...“ (II, 198, 199). I to umiarkowanie właśnie różni go od zapalonych demagogów, których tu uosobił Kaczkowski w Walentym Wichrze, człowieku obdarzonym „sercem wulkaniczném“, „ognistą fantazyą“, a więc też „dziwnie niespokojnym umysłem“, co pędził na rumaku swych mrzonek, nie chcąc go wcale okiełznać.

Z tym poglądem na kierunek spraw politycznych łączy się ściśle ocena naszéj poezyi „romantycznéj“ i — tak zwanéj romantycznéj. Kaczkowski nie rozróżniał faz literackich w latach od 1820—1850, lecz cały rozwój poetyczny téj chwili dziejowéj za coś jednostajnego i jednorodnego uważał. To też grom, jaki rzucił na romantyzm, w części tylko da się usprawiedliwić, t. j. o tyle, o ile padł na utwory istotnie wybujałe, nierachujące się z rzeczywistością, marzycielskie i egzaltowane. Jako nieprzyjaciel egzaltacyi, nadmiernego wrzenia uczucia i zbyt lotnego bujania fantazyi,

dążenia do przewrotów wszelkiego rodzaju, przyznawał wprawdzie, że nowa poezya nasza „rozbudziła śpiącą duszę narodu“; ale dodawał zaraz, że „kto kielich nią napełniony wychylił do dna, dostał zawrotu głowy, który się z czasem zamienił w *szaleństwo*“; utrzymywał, że lekarstwo było dobre, ale oskarżał lekarzy o to, że zapomnieli podać przepisu, jak go należało używać. Porównanie to niewłaściwe, a oskarżenie niesłuszne. Poezya nie jest i być nie może programem politycznym, obrachowanym na pewną tylko chwilę; niepodobna więc szukać w niéj lekarstwa na choroby społeczne. Powtóre, poeci nie są pedagogami, żeby wydzielali porcye nauki i porcye poezyi dla swoich wychowanków. Jak uczeni podają wyniki swoich badań bez względu na to, czy kto się nie stanie bezbożnym wskutek przejęcia się ich zasadami; jak inżynierowie budują koleje bez względu na to, że ktoś może się rzucić na szyny i życie stracić: tak i poeci wyśpiewują swoje ideały bez obawy, żeby im ktoś miał wyrzucać szaleństwo tego, kto w ich utworach znalazł truciznę. Od społeczeństwa zależy przyjęcie lub nieprzyjęcie ideałów poety; od społeczeństwa zależy pochwała ich lub nagana; społeczeństwo też samo winić wypada, jeżeli niekorzystny wybór zrobiło. Poezya, a wogóle literatura, jest pewnego rodzaju pedagogią, ale pedagogią dla dojrzałych, jest działaniem samodzielnych osobistości na inne mniéj lub więcéj samodzielne osobistości; winić więc jednę stronę o zły wpływ, a rozgrzeszać drugą ze złych postępków nie jest bynajmniéj rzeczą sprawiedliwą. Wiem ja, że w przyczynowym łańcuchu wypadków poezya jest jednym z potężnych ogniw; ale nie należy zapominać, że nie stanowi całego łańcucha. Kto o tém zapomina, ten dopuszcza się niesprawiedliwości, tak jak Kaczkowski zarówno w ustępie powyższym jak i w następnym: „Romantyczna poezya wyrządziła wiele złego naszéj wielkiéj rodzinie. Rozpasanie się

jéj z wszelkich form stałych, do któréj ją doprowadzili niezdarni uczniowie, sprowadziło za sobą takież samo rozpasanie się zdań i umysłów. Gdybyśmy byli poszli tą drogą daléj, bylibyśmy przyszli ostatecznie do tego, że społeczeństwo nasze byłoby się zamieniło w *wielki dom obłąkanych*... Życie nasze upłynęło w poetycznym pijaństwie, a ślady naszego pochodu krwią się oznaczyły niewinną". A przecież „rozpasanie się zdań i umysłów" zawdzięczamy nie tyle rozluźnieniu form poetycznych, ile brakowi gruntownéj nauki i anormalnemu stanowi politycznemu; a brak gruntownéj nauki był skutkiem braku uniwersytetów albo ich ślimaczemu żywotowi; co zaś do anormalności stosunków, o tém nie ma co i wspominać.

A jak był Kaczkowski niesprawiedliwym dla romantyzmu wogóle. tak też bardzo jednostronnie ocenił i dwu wielkich poetów: Mickiewicza i Słowackiego. Mickiewicza nazywa przez usta ks. Augustyna „poetą, który wiele pieśni zwodniczych naśpiewał", przyznając mu, że dał oddech, czucie i życie całéj młodzieży, marzącéj o przekształceniu świata; a ustęp z Ody do młodości, w którym się te trzy wiersze zawierają:

> I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
> Jeżeli poległém ciałem,
> Dał innym szczebel do sławy grodu —

piętnuje cechą fałszu, choć każdy widzi, że bez usposobień i uczuć oddanych w tych wierszach, nie można marzyć o postępie, który się natężeniem wszystkich sił zdobywa. Słowackiego poprostu nazywa poetą-szaleńcem, dyszącym krwawemi wybuchami ostatecznéj rozpaczy.

Są naturalnie pewne niezgodności pomiędzy pojęciami o poezyi dwu dodatnich osób „Dziwożony", gdzie pogląd na romantyzm się mieści; ale niezgodności te dowodzą jedynie, że Kaczkowski nie był jeszcze wówczas przyszedł do

jakiegoś stanowczego zdania w téj ważnéj kwestyi. Tu podałem pogląd na romantyzm zamieszczony przy końcu powieści, ponieważ tam wypowiedziany został nie w sprzeczce z kimś drugim, ale jako prawda zdobyta długiém a nawet krwawém doświadczeniem.

Potępiając przesadę w pojęciach, nie cierpiąc ani apoteozy zbrodni, ani apoteozy jakiéjś jednostronnéj lub względnéj cnoty; słowem strzegąc się ostateczności, Kaczkowski chciał przedstawiać ludzi w całéj ich prawdzie i naturalności. Nie wabiło go jednak sentymentalne napawanie się łagodnemi uciechami, chociaż uznawał, że one więcéj zadawalniają wyobraźnię. Pójść pod strzechy prawdziwych ludzi, i powtórzyć w duszy rozmowę serc młodych, zespolonych miłością; rozdawać ślubne obrączki stęsknionym za sobą kochankom; zasiąść z gołąbkowatym staruszkiem pod lipą w dziedzińcu, pociągnąć z nim lipca starego, który księcia Józefa pamięta, pogawędzić z nim o mroźnéj Berezynie i gorącéj Hiszpanii; zmówić cichy paciorek za dusze zmarłe, kiedy na Anioł Pański zadzwonią w niedalekim kościołku; pobłogosławić z nim syna wyjeżdżającego po milionową sukcesyą; pójść za nim poważnego poloneza na wnuczki weselu; ucałować rączki ukochanéj babuni, któréj obraz już znika ze ziemi, potrzymać z nią do chrztu dorodnego prawnuczka, przysłuchać się jéj rozmowie z wąsatym panem rotmistrzem i sędziwym plebanem; rzucić wzrok niekiełznany na szerokie niwy podolskie, na łany złotą falujące pszenicą, na łąki kwietne i gaje zielone, dworki jak śnieg bielutkie, chatki wiejskie otoczone sadami; napoić piersi świeżém powietrzem górskiém; spieczone usta ochłodzić wichrem pędzącym od Ukrainy; podsłuchać dumek lecących gdzieś do góry powietrzem [1]) — to są bezwątpienia rzeczy

[1]) Dzieła VII, 294.

bardzo piękne, bardzo miłe, bardzo powabne dla fantazyi, ale wyłączne ich malowanie, jak to było zwyczajem w naszéj powieściowéj literaturze, nie odpowiadało, zdaniem Kaczkowskiego, zadaniu pisarza w czasach ówczesnych. Dlaczego? — „Bo nie ten jest dobry gospodarz pomiędzy nami, który z okna swego pałacu patrzy tylko w piękne *kląby* swojego ogrodu, który nagradza sługi przynoszące mu *dobre nowiny*, a bije w gębę tych, którzy go ostrzegają, że chwast obsiada pszenicę albo zaraza wkradła się do obory; ale ten, który sam we wszystkie kąty swego gospodarstwa zagląda, wszystkie role obchodzi, nie ominie żadnéj stajenki, a chwasty w pszenicy i choroby pomiędzy dobytkiem własnemi obejrzy oczyma i czémprędzéj o skuteczne postara się środki. Bo nie nam to dziś piękne kląby roztaczać sobie przed okna, *nie nam pochlebne pokazywać sobie zwierciadła*, abyśmy się w nich przeglądali z rozkoszą i cieszyli się twarzy nienaszych widokiem; nie nam to *kadzić sobie nawzajem* za te okruszyny cnót, które się jeszcze jako tako u nas uchowują; nie nam się wznosić w owe napowietrzne krainy eterycznego marzenia, w których rajskiéj rozrywki szukają szczęśliwe, zepsute lub strupieszałe narody. Przetrzeć nam trzeba dobrze oczy nasze zamglone; *zajrzeć w rzeczywistą głąb' naszy*, przypatrzyć się zblizka tym wszystkim zgniliznom i rakom, które toczą naszego ducha, przedstawić żywcem wszystkie nasze błędy, występki, szaleństwa; a wykazawszy jasno nieominione ich skutki, uderzyć silnie jak gdyby zabójczym toporem w samo źródło choroby... ten jest nasz obowiązek i ten spełniać sumiennie powinien każdy, któremu Pan Bóg dał siły potemu!“

Wysokie więc i bardzo ważne stawiał sobie Kaczkowski zadanie, chcąc oderwać powieść od rozpatrywania drobnostek życia codziennego, a wznieść ją ku sferze wielkich zagadnień społecznego rozwoju; chcąc z dziedziny sie-

lanki przejść do potężnego gmachu epopei; chcąc raz już skończyć z rutyną zadyszanych pochwał i nieśmiałéj nagany, ale smagać biczem Eumenidy wszystkie zdrożności, krajać nożem anatomicznym wszystkie chorobliwe narośle. Wybrał sobie powieściopisarz stanowisko publicysty raczéj, dopatrującego się potrzeb społecznych i dającego na nie lekarstwo, niż artysty, lubującego się we wszystkich objawach natury i życia ludzkiego, byleby w tych objawach była jakaś strona piękna, którąby mógł pochwycić i przedstawić. Stanowisko takie nie jest oczywiście jedynie dobre, ale w pewnych położeniach społecznych zasługuje na wysokie uznanie, a autor, który je zajął — na prawdziwą wdzięczność.

* * *

Gdyby mi przyszło w krótkiém wyrażeniu skupić charakterystykę poglądów społeczno-politycznych Kaczkowskiego, miałbym jedno tylko do rozporządzenia, a mianowicie: konserwatyzm umiarkowany. Trzyma się on przeszłości, ale nie gardzi i nie poniewiera nabytkami czasów nowszych, każąc przyswajać sobie to, co w nich jest dobrego; zachowuje zatém przeważnie bierne stanowisko. Na tém stanowisku można nic nie stracić, ale niepodobna przysporzyć bogactw do ogólnéj skarbnicy cywilizacyjnéj. Kaczkowski twierdzi wprawdzie, że stać nas na wyprodukowanie własnéj kultury, nie podaje jednak środków takiéj produkcyi, ponieważ nie rozwija przed nami swego zapatrywania się na te organa społecznego ustroju, które służą do przeprowadzenia postępu. Wskazał on z naciskiem pracę organiczną w małém kółku, radził się pozbyć butnéj myśli, żeśmy się wszyscy wielkiemi ludźmi porodzili: lecz to są tylko środki ochronne zabezpieczające od strat. O przemyśle i o nauce — o tych dwu czynnikach głównych postępowego *zwiększania* sił ma-

teryalnych i duchowych, głucho u niego. Doradza wprawdzie specyalne wykształcenie; ależ i ten środek podniesienia umysłowości, jakkolwiek niezmiernie ważny i dziś jeszcze niezbędny, służy również tylko do przyswojenia biernego nabytków cudzych, nie zaś do spotęgowania sił własnych. Poddając naukę pod kontrolę teologii, osłabia jéj energią i czyni ją niezdolną do kroków samodzielnych; milcząc o przemyśle lub kramarstwem go nazywając, nie wzmacnia podwalin, na których dzisiejsza kultura się wznosi.

Takie są braki teoretycznego poglądu Kaczkowskiego, braki ważne, ale nie umniejszające wielkiéj zasługi zalęcania pracy cichéj, drobnéj i wykształcenia specyalnego. Zasługa ta pozostanie przy nim jako przy pisarzu i obywatelu; podnosimy ją téż i akcentujemy.

Lecz Kaczkowski był przedewszystkiém powieściopisarzem, tj. artystą wcielającym swe pomysły w pewne kształty sztuki; wypada więc zbadać, o ile zdołał poglądy teoretyczne, wypowiadane przy sposobności, zużytkować na rzecz artyzmu; o ile osoby, przezeń do życia powołane, odtworzyły plastycznie to, co było przedmiotem myślowego uogólnienia abstrakcyi.

IV.

Artystyczna działalność Kaczkowskiego ma dwie odrębne strony, które się wyraźnie zarysowały z samego zaraz początku i późniéj z małemi zmianami stale się uwydatniały w jego utworach.

Kaczkowski rozpoczął swój zawód powieściopisarski na większą skalę od dwu powiastek, jednéj spółczesnéj („Kato“) i jednéj historycznéj („Bitwa o chorążankę“), drukowanych tego samego r. 1851 w feljetonie „Czasu“. Pierwsza nie zrobiła żadnego wrażenia; druga stała się fundamentem niezmier-

néj wziętości i popularności pisarza. Cóż było przyczyną tak wielkiéj różnicy w powodzeniu dwu utworów jednego autora?

W „Katonie“ wyprowadza autor na scenę siebie samego i swojego znajomego, do którego czuł szczególną sympatyą czy pociąg, będący magnetycznym objawem, z wielkiego przeciwieństwa usposobień wynikłym. Ten znajomy imieniem Adam, był to człowiek nadzwyczaj zimny: oko jego nie znało łzy, pierś nie wydawała ani jednego westchnienia, a serce „było kawałkiem głazu, potrzebnym do obiegu krwi w jego ciele“; odznaczał się natomiast wielkim rozumem, charakterem niewzruszonym, posiadał wiele wiadomości, lecz lubił sofizmata; cnoty przestrzegał ściśle, ale nikomu nie dał wglądać w swoje uczynki; jego słowo a czyn to było prawie wszystko jedno; jak co raz powiedział, z pewnością dotrzymał. W młodości już lubował się w groźnych zjawiskach przyrody, w tragicznych ustępach dziejów, w utworach przedstawiających ludzi dzielnych zarówno w cnocie jak i występku. Miał on brata, miękkiego i mazgajowatego, którego chciał wszelkiemi sposobami zahartować: raz zamknął go w trupiarni, co sprowadziło nań długą chorobę; drugi raz rozłączył go z kochanką, co go unieszczęśliwiło na całe życie. Kochankę tę zdołał zjednać dla siebie — i to było może jedyne uczucie, jakiego zaznał w swém życiu; lecz gdy jego miejsce w sercu płochéj, a raczéj zepsutéj panny zajął oficer od dragonów, stłumił w sobie miłość, oficera w pojedynku ranił i poszedł na wojnę. Kochanka obu braci wyszła za oficera od dragonów, lecz wkrótce z nim się rozstała i prowadziła życie swobodne, wyłudzając pieniądze nawet od pierwszego swego amanta, mazgajowatego Adasia, aż wreszcie zestarzawszy się i zbrzydłszy, w nędzy umarła. Pan Adam, Katonem dla surowości swojéj przezwany, odbywszy nieszczęśliwie zakoń-

czoną kampanią, prowadził życie wędrowca, włócząc się po obcych krajach, starając się zabić wspomnienie nawet miłości i wożąc ze sobą wszędzie nieodstępną nudę. W roku 1846, będąc przytomnym konaniu dawnéj swéj ulubionéj, rzucił na pogrzeb paczkę banknotów i wybrał się natychmiast przez Francyą do Stanów Zjednoczonych.

Pomysł nie był zły. Przeciwstawienie dwu charakterów: energicznego i miękkiego, rozsądkowego i uczuciowego, czynnego i marzycielskiego, było przedsięwzięciem godném sił artysty, było zadaniem wielkiéj wagi psychologicznéj i społecznéj. To jedno; a powtóre odmalowanie kobiety, która skutkiem swego temperamentu i skrzywienia czy złamania pierwszego silniéj rozbudzonego uczucia nie umie okiełznać ani fantazyi, ani zmysłów i przekracza granice uczciwości, dawało tyle materyału do sytuacyj zajmujących i ciekawych, do kolizyj w wysokim stopniu dramatycznych, że powieściopisarz obdarzony talentem mógłby stworzyć z Kamilli obraz pierwszorzędnéj wartości artystycznéj. A jakie wyborne tło dla tych trzech głównych postaci. Jakże szeroki widnokrąg roztacza się przed artystą i przed czytelnikami! Ileż wspomnień, ileż myśli wywołuje ten szesnastoletni przeciąg czasu.

A więc i pod względem psychologicznym i pod względem artystycznym i pod względem społecznym pomysł był doskonały. Ale zepsuło go wykonanie. Kaczkowski ujął swój utwór w formę opowiadania, w formę świeckiéj spowiedzi naczelnego bohatera. Stąd poszło, że tylko jednego Katona widzimy w całéj pełni; gdy tymczasem inne osoby, a przedewszystkiém brat Adaś i Kamilla są zaledwie cieniami. O całym przebiegu wypadków dowiadujemy się ogółowo tylko i to jednostronnie, bo z ust interesowanego, patrzącego przez pewien pryzmat, który nie służy do patrzenia wszystkim. A przytém tło czasu narysowane blado, a raczéj

zaznaczone jedynie; rok 1846 występuje wprawdzie wyraźniéj, lecz służy wyłącznie do wypowiedzenia kilkunastu sarkazmów przez Katona. W tych sarkazmach jest bezwątpienia wiele pokarmu dla myśli, ale bardzo mało dla fantazyi, która potrzebuje malowideł barwnych i żywych, nie zaś dyskusyj abstrakcyjnych.

Słowem „Kato“ był suchém opowiadaniem, ale nie obrazem, a nawet nie obrazkiem.

Inaczéj w drugiéj powiastce. „Bitwa o chorążankę“ była obrazkiem barwnym, żywym a tak plastycznym, jak gdyby się na osoby tu przedstawione patrzyło własnemi oczyma. Za motyw do niego obrał sobie Kaczkowski pewien rodzaj antagonizmu i nieprzyjaźni, jaka oddawna istniała między Sanoczanami i Przemyślakami — rzecz w gruncie błahą ale bardzo charakterystyczną. Przemyślanin pewien (Niezabitowski) wybrał się w konkury do panny chorążanki, o którą się starał Sanoczanin Żurowski. Wlazłszy między szlachtę sanocką, która się tęgo biła i tęgo piła, wystawił się na mnóstwo przekąsów, lecz umiał je zręcznie odpierać. Gdy go więc zbić z pantałyku nie było można, a pannie wpadł w oko, postanowiono za zgodą gospodarza *spoić* go i tém skompromitować wobec panny. Nastąpiła pijatyka; Niezabitowski dotrzymywał placu bardzo długo tak, że musiano użyć podstępu, ażeby go winem oszołomić i z nóg zwalić! Gdy się to stało, zaniesiono go rozebranego do pokojów niewieścich, przyczém jeden odpalony konkurent włożył swojéj niegdyś bohdance żabę pod kołdrę. Nastał huczek wśród narodu niewieściego; Niezabitowski z Żurowskim poszli na szable i Przemyślanin szpetnie został porąbany. Lizał się parę tygodni, wreszcie zatęsknił do domu i w towarzystwie Imci pana Nieczui pojechał do Przemyśla. W drodze napadli na konwojującego obdarci Przemyślanie i gonili go aż do miasta, tak że ten musiał się skryć w kla-

sztorze oo. reformatów. Nastąpiło wyjaśnienie i zobopólna zgoda: „Pijatyka i gawędka trwała aż do świtania — mówi opowiadający — śród któréj ku zadziwieniu memu przekonałem się, że w Przemyskiém tak samo piją jak u nas“. Było tego kilka tygodni.

W téj powiastce Kaczkowski wystąpił nie jako myśliciel, lecz jako malarz; nie dbał o myśl — a jeżeli dbał, to ją starannie ukrył — lecz o przedstawienie barwnego obrazka z przeszłości. Zamaskował się więc pod postacią opowiadającego, który był spółczesny wypadkom i ze spokojném sumieniem, z myślą dziwnie pogodną, z pobłażliwością braterską opowiadał o zabawnéj awanturze. A przytém odrysował kilka postaci tak charakterystycznych, tak prawdziwych, tak zajmujących *zewnętrznością* swoją, że się czyta powiastkę z zajęciem niekłamaném. Wszystka ta szlachta, jednéj chwili gotowa się bić i całować, pijąca na zabój i nie myśląca o reszcie, spokojna i krotochwilna, jakby za najlepszych czasów, nie przedstawia żadnego rozdźwięku, żadnéj dysharmonii i zachwyca pełnią swojego życia. I szczegółowo: ten Niezabitowski, układny konkurent, tęgi pijus, wyborny rębacz, honorowy kawaler, i ten Deręgowski, który tak był wysoki, że kiedy z równym sobie wzrostem panem Edmundem Chojnackim wzięli się za ręce, to pomiędzy niemi fura siana przejechać mogła, i ten Żurowski, któremu srodze żal było Niezabitowskiego, chociaż się cieszył, że go porąbał, i Błoński i Nieczuja i starszy klasztoru: toć to tak żywo, tak artystycznie oddane postaci, że zdają się mówić, pić i chodzić przed nami. A też szaraki, co w Niżankowcach napadły na Nieczuję, toż to chór tak doskonały, że ledwie kilka takich można w naszych powieściach naliczyć.

Że pod tą powierzchownością zdrową, wesołą, zadowolnioną świeciło się próchno moralne, o tém wówczas, gdy „Bitwa o chorążankę“ wyszła, może nikt nie pomyślał.

Że pijacy i rębacze, chociaż w gruncie ludzie poczciwi, byli bardzo złymi obywatelami, jeżeli po roku 1772 lepszego zajęcia nad pijatyki i burdy wymyśleć nie mogli, to nie wchodziło w rachubę. Że inteligencya tych ludzi równała się zeru, a może i ilości ujemnéj, że serce ich obejmowało bardzo mało przedmiotów godnych kochania, a wola była w uśpieniu, o tém późniejsi dopiero zaczęli przebąkiwać!

Kaczkowski nie wglądał w głąb tych ludzi, których malował, nie robił żadnych refleksyj, nie wdawał się w żadne rozumowania; chwytał tylko rysy powierzchowne, zewnętrzne, łatwo wpadające w oczy i łatwo zrozumiałe. Tego właśnie pragnęła publiczność, któréj nie zastanawiać się, lecz bawić się chciało. Autor trafił w jéj gust, zyskał popularność, a zachęcony powodzeniem, porzucił na czas jakiś myśl pisania powieści spółczesnych i oddał się z całym zapałem przedstawianiu obrazków przeszłości.

Obok szlachty wesołéj i zadowolnionéj, tęgiéj do kieliicha i korda, któréj pełno w jego powieściach, zaczął, zawsze pod maską nieczujowską, opowiadać o innych ludziach i o innych kierunkach. Zaraz w „Kasztelanicach Lubaczewskich“ oprócz pijatyk i bijatyk, oprócz serc skłonnych do gniewu i miłości, oprócz łbów podgolonych, a niezasobnych w inteligencyą, przedstawił stosunek magnata do szlachty i napływ wyobrażeń zagranicznych do mózgów szlacheckich, dwa przedmioty, do których nieraz Kaczkowski powracał, uwydatniając je w scenach lub charakterach.

Wiadomo, że stosunek magnatów do szlachty przedstawiano u nas jako pełen uroku, piękna i cnoty zabytek patryarchalny. Magnat miał być ojcem, starszym bratem czy głową rodziny, a szlachta rodzeństwem związaném węzłami miłości braterskiéj i uszanowania dla starszych. Wielbiciele téj społecznéj budowy, zaślepieni niektóremi jéj bardzo nieznacznéj dobroci stronami, uważali za zbyteczne za-

stanowić się, że ona mogła mieć ważne znaczenie w czasach pierwotnych, w czasach nierozwiniętéj kultury i nierozgałęzionych stosunków; lecz w w. XVIII była już ruderą, któréj fundamenta spróchniały a ściany popękały. Innemi słowy, magnat w XVIII w. stał się oligarchą używającym szlachcica za narzędzie do przeprowadzenia swoich planów; szlachcic zaś za łyżkę barszczu robił, co mu kazano. Demoralizacya, upadek istotny, nie na frazesach zasadzającéj się miłości kraju, brak słusznego wymiaru sprawiedliwości, poniżenie godności obywatelstwa, przekupstwo — oto niektóre objawy owego sławionego stosunku z czasów patryarchalnych. Buta szlachecka objawiała się tylko tam, gdzie nie było uszu magnackich; a gdy się te pojawiły, „uniżony sługa“ ze skóry „równego wojewodzie“ wyłaził i utożsamiał sprawę jakiegoś magnata z losami Rzeczypospolitéj.

Kaczkowski nie należał bezwątpienia do grona wielbicieli tego nieszczęśliwego stosunku; przemawiając atoli przez usta wychowańca wieku XVIII, nie mógł się wyrazić o nim dosyć stanowczo. W zdaniach Imci Pana Marcina Nieczui o Józefie Ossolińskim, który w ziemi sanockiéj chciał rej wodzić, widać niejednostajność, że nie powiem sprzeczność. W „Kasztelanicach Lubaczewskich“, opowiadając o tém, jak JW. Józef Ossoliński zapraszał okoliczną szlachtę co niedziela „na gorzałkę i śliwki suszone“, nie pozbywa się lekkiéj ironii, kiedy wspomina o szlachcie. „Nie jeden z tych — powiada — którzy już w godzinę potém u żyda za stołem *psy wieszali* na wszystkich wojewodów na świecie, nizko mu się kłaniał do kolan i takie wyrazy kładł na swe usta, *których wcale nie miał w swém sercu*“. Wojewoda bowiem miał na butę szlachecką niejedno lekarstwo: posiadając dzierżawy do rozdania, których nie żałował uboższym, i gotowe grosiwo w skarbcu, które łatwo przechodziło do rąk szlachty na wieczne nieoddanie, i stadko

bydła i koni rozlicznych, bogactw niemało, z których okruchy mogły stanowić fortunę dla szlachcica siejącego lichą owsinę. Natychmiast jednak, wykazawszy w ten sposób zupełną zależność szlachty od wojewody, Imci pan Nieczuja żałuje ironii i rzecz całą zbywa ogólnikiem, że po wszystkie czasy w Rzeczypospolitéj przy zamożnych żywiła się chudzina, i że korzyści materyalne wielki wpływ mają na najbujniejsze nawet umysły.

W „Mężu Szalonym“ już dowiadujemy się, że taż szlachta sanocka, mając *pewien respekt* dla wojewody, za nic sobie ważyła jego senatorską purpurę i nawet przy zdarzonéj okoliczności dała mu dotkliwie to lekceważenie poczuć, kiedy na zamek jego napadła i zburzyć chciała, z powodu niedorzecznéj burdy przy kościele o pierwszeństwo dla powozu. Nie przeszkodziło to atoli wcale, ażeby taż szlachta, bijąca się za honor ziemi sanockiéj, nie opuściła uszu na głos księdza Kalasantego, który ją nazwał tłumem podłym i plugawym, pijanicą obrzydłym i kosterą przeklętym, buntującym się przeciw bogatszemu bratu, rzucającym się „świętokradzką ręką“ na zamek wspaniały Wojewody. Gorzkie, chociaż karczemne słowa ks. Kalasantego, są prawdziwą chłostą dla téj szlachy, pozbawionéj i własnéj godności i własnego zdania; ale włożone w usta kaznodziei, karcącego błędy ludzkie z urzędu i przesadzającego z urzędu, nie wpływają oczywiście na istotę sądu Nieczui o swojéj braci.

W „Gnieździe Nieczujów“ znowu znajdujemy „głębokie przekonanie“ o „poczciwości wojewody“ u wszystkiéj szlachty. Tu Imć pan Nieczuja nie żałuje barw jasnych do odmalowania sceny patryarchalnéj, w któréj sędziwy ojciec jego uważa sobie za wielki honor pokłonić się głęboko wojewodzie, upaść do nóg wojewodzinie i prosić o błogosławieństwo dla swéj córki idącéj za mąż. Tu również opisuje

Imć pan Marcin w mowie Wojewody i ojca swego stosunek magnatów do szlachty w jak najsympatyczniejszych wyrazach. Od niepamiętnych czasów — mówi Ossoliński do Ślaskiego — twoja rodzina, trzymając się z moim domem za ręce, płynie przez fale tego wspaniałego strumienia, który nazywamy historyą. Moi przodkowie, wyniesieni szczęściem i pracą, stanęli wyżéj od twoich, ale pomimo to Nieczujowie nie pozazdrościli im nigdy fortuny ni sławy, bo mając tego i owego po kęsie, wiedzieli, że *medium tenuere beati*. I płynęli tak razem, w niefortunnych razach ratując się wzajem, tamci tych *groszem i ziemią*, ci zaś tamtych *przyjaźnią, poświęceniem i męstwem*. Co im Pan Bóg przeznaczył w przyszłości, jest zakrytém przed ludzkiemi oczyma, a czas dzisiejszy, w którym losy ludzkie dziwnemi zaczynają chodzić drogami, i w takiéj Rzeczypospolitéj, w któréj każdemu szlachcicowi otwarta stoi droga do najwyższych państwa zaszczytów, a nakoniec w czasie, w którym mokotowskich podstarościch wnukowie osiadają na tego starożytnego narodu tronie, nikt nie może zaręczyć za to, azali wnuk wojewody wołyńskiego nie zasiądzie kiedyś u twojego wnuka senatora na łaskawym chlebie“... Opowiadający czuł pewną przesadę w powyższéj oracyi i zauważył, że nie była mówioną z wiarą w to, co wygłaszała; ale nie chciał bynajmniéj wystawiać Ossolińskiego jako politycznego komedyanta, któremu z roli wypadało odzywać się właśnie tak a nie inaczéj. Owszem, odmalował nam w dalszym ciągu wojewodę wołyńskiego, jako pełnego czułości ojca, nie zapominającego wprawdzie o swojéj powadze, lecz szczerze do swojéj rodziny, tj. szlachty od siebie zależnéj przywiązanego. To téż w odpowiedzi Imć pana Nieczui Ślaskiego widać całą uniżoność, połączoną z czcią dla senatora Rzeczypospolitéj. Nie pragnie on, aby jego potomstwo dorobiło się nagle znakomitéj fortuny, gdyż Rzeczpo-

spolita *nie miała* nigdy wielkiego *z dorobkiewiczów pożytku*; chociaż nie zrzeka się wyższych miejsc w państwie, kładąc jedynie za warunek, żeby się ich dosłużyli synowie z orężem w ręku. Następnie bardzo przykro mu się robi, że oddaje córkę nie za „wiernego sługę“ Ossolińskich. A jednakże ten pan skarbnik był jeszcze stosunkowo dosyć niepodległym, łask bowiem nie potrzebował; cóż dopiero dziać się musiało z innymi, którzy czy z biedy, czy z interesu u pańskiéj klamki wisieli... Takiéj szlachty nie przedstawia nam Imci pan skarbnikowicz, a mówiąc raz epizodycznie w „Swatach na Rusi“ o tałałajstwie składającém towarzystwo starosty bachtyńskiego, u którego szaraki jadły i piły wraz z żonami i córkami na rzecz prowizyi kapitałów u niego ulokowanych, podejrzywa ich szlachectwo, a głównego ich przedstawiciela Ostrowskiego wyraźnie już o pochodzenie *mieszczańskie* obwinia, przytaczając nawet rodowód. Inną znów razą stronników tylko tak zwanéj familii czarno przedstawia; czyni to jednakże zawsze bardzo oględnie i w bardzo krótkich rysach, jakby się lękał przedstawić stosunki owe w całéj ich naturalnéj szkaradzie, któréjby cień i na niego, jako na szlachcica, spadał poczęści. Ulegał on pod tym względem, jak pod wielu innemi, staremu przesądowi, wedle którego odkrywanie ran społecznych dla nabrania rzetelnéj wiadomości o stanie narodu, a więc o jego zdrowiu i słabościach nazywało się „kalaniem własnego gniazda“, przesądu, dla którego złudzenie, chociaż do zguby wiodące, milszém było od prawdy gorzkiéj wprawdzie i smutnéj, ale zawsze prawdy, mogącéj dopomódz do wybrnięcia z nieszczęśliwego położenia.

Wpływ cywilizacyi francuskiéj na polską w w. XVIII rozmaicie u nas był oceniany. Jedni widzieli w nim same pierwiastki szkodliwe, dążące do wynarodowienia kraju i zaszczepiania w nim bezbożności; drudzy wskazywali z uwielbieniem

ogólne podniesienie poziomu oświaty, wytępienie zabobonów, przygłuszenie fanatyzmu, jako jego skutki; inni jeszcze uznając go za rzecz pożądaną w zakresie nauki i przemysłu, nie mogli darować zaprowadzenia konwencyonalnych i ciasnych formułek i pojęć do literatury. W miarę jakeśmy się oddalali od zeszłego stulecia, liczba jego wielbicieli zmniejszała się, a liczba przyganiaczy i potępicieli rosła. Kiedy Kaczkowski zaczął pisać swoje powieści, ogół inteligencyi jak najsroższéj się przeciw zepsuciu, bezbożności, płytkości XVIII wieku uzbroił, i rzadko kto śmiał wspomnieć nie już wielkie jego zasługi, ale nawet przymioty prywatne, że tak powiem, cechujące ludzi w duchu jego wychowanym, a więc waleczność, honorowość, oczytanie, zdrowy sąd o rzeczach. Wówczas unoszono się nad „Wąsami i Peruką“ Korzeniowskiego, utworem koniec końców słabym, pomimo niektóre piękne ustępy, napchanym komunałami, pozbawionym głębszéj myśli; a unoszono się dlatego, że przeciwstawił strój narodowy — francuskiemu. Powierzchowność znaczyła wówczas więcéj niż rozwój ducha. Jakkolwiek bowiem nie da się zaprzeczyć, że zewnętrzne oznaki (np. strój) przyczyniają się do zaakcentowania odrębności narodowéj, nikt przecież nie będzie chciał utrzymywać, że Polak bez wąsów nie może być dobrym Polakiem; do czego właśnie zdawał się pić Korzeniowski.

Kaczkowski kilkakrotnie przedmiot ten podejmował a zawsze w sposób potępiający wpływ francuski, nie dlaczego innego zapewno, tylko dlatego, że przemawia w duchu Polonusa, który jakkolwiek umiał mówić *po francusku*, zapewne nigdy nie zajrzał do dzieł filozofów, polityków i ekonomistów XVIII wieku; a o całym ruchu cywilizacyjnym wiedział tylko z posłuchu, jak ten szlachcic Rzewuskiego, który krytykował Woltera, nie czytając go, lecz z opowiadania cudzego dowiedziawszy się o kilku szczegółach z dzieł jego.

Najpierwszą figurą sfrancuziałą wyprowadzoną na scenę przez Kaczkowskiego był jeden z kasztelaniców lubaczewskich *Kasper*. Mieszanina to rozmaitych uczuć i pojęć, która nawet przy wybuchu nie sprawia wielkiego hałasu. Sentymentalny jak średniowieczny trubadur, wykształcony na rozmaitych zagranicznych filozofach, lubił muzykę, sprowadzał do swego dworu Czechów i Cyganów, ucząc ich grać, wyprawiał serenady pięknościom magnackim, przyczém raz skonfundowano go z kretesem, podstawiwszy pannę służącą zamiast panny wojewodzianki. Piorunował czasami przeciw przywilejom szlacheckim, mówiąc o prawach mieszczan i włościan, co sprawiało, że szlachta, nietylko oburzała się na niego, ale nawet pieniła się ze złości; wytykał błędy konfederacyi. Przytém bezbożnikiem nie był; bić się w pojedynku nie wzdragał, w walce o niepodległość Stanów Amerykańskich brał udział. Następnie był z Robespierrem w przyjaźni i stał się jakobinem; ale jedyny czyn jego opowiedziany szczegółowo przez Imci Pana Nieczuję, było rzezanie kozikiem po szyi Niemca, którego *ktoś inny* na ziemię powalił.

Drugą figurą jest „Bartek“ w „Braciach ślubnych“. Powieść ta nie należy wprawdzie do cyklu opowiadań Nieczui; pomimo to jednak nie ma w niéj żadnego rysu, któryby wskazywał nowe drogi w artyzmie Kaczkowskiego; możemy ją więc traktować na równi z owym cyklem. Bartek tedy — to przedewszystkiém powierzchowność różniąca się od podgolonych Polonusów, to strój francuski ze wszystkiemi jego szczegółami, to, słowem, małpiątko naśladujące wszystkie miny i ruchy ucywilizowanego świata w peruce. A potém jest to typ równoznaczny z honorem, z odwagą w pojedynku, z lekkomyślnością w obyczajach, a mianowicie w stosunku z płcią piękną. Występuje on jako człowiek prywatny lubiący się bawić, bałamucący cudze żony, dbały

o swój strój, ale przy tém wszystkiém zręczny, honorowy i o tyle o ile uczciwy. Taka postać ani grzeje, ani ziębi, a śmiech, który wzbudza wśród szlachty, jako odnoszący się jedynie do zewnętrzności, jest tylko krotochwilą ludzi poczciwéj ale słabéj głowy. Nieposzanowanie VI przykazania piętnuje go wprawdzie dosyć silnie; ponieważ jednak zdarzało się ono i wśród tych, którzy peruki nie nosili (przykładem Michał Strzelecki w „Mężu szalonym“); ponieważ nadto schwytany na gorącym uczynku Bartek zginął w pojedynku: niepodobna tego „nieposzanowania“ uważać za cechę Kaimową, któraby z zepsutego jegomości robiła np. interesującego zbrodniarza, albo reprezentanta zgubnego wpływu cywilizacyi francuskiéj. Rozważany jako osobistość niepretensyonalna, pospolita nawet, przedstawia się Bartek bardzo dobrze; jest naturalny i niekonsekwentny zarówno w słowach jak i w postępowaniu, o ile na to pozwalały dość ciasne granice jego powieściowéj roli.

Ze wszystkich wymienionych dotąd kategoryj postaci zasługuje na szczególną uwagę przedstawiciel osób wiekowych *Wit* w „Murdelionie“. Kilkodziesięcioletni ten starzec, znękany nieszczęściami, z osłabionemi zmysłami, z przytępioną bystrością umysłu, ożywia się pod wpływem starego węgrzyna i umie świetnie opowiadać o swoich latach dziecinnych, o swojéj młodości i kłopotach późniejszych. Kiedy mu przyjdzie bronić honoru domu, wyrasta z niego bohater. Doświadczony w szkole życia, zna słabości ludzkie i umie z nich korzystać z łagodnym sceptycyzmem. Nie liczy wiele na krótkotrwałą życzliwość ludzi i zapał chwilowy; ale dla podbudzenia łechciwéj próżności, potrafi podbijać, jak to mówią, bębenka i dostarczać napoju, któryby zapał mógł podtrzywać. Surowy i energiczny, przebiegły i zręczny, umie trafić do wszystkich umysłów panów braci i do swo-

jego wózka ich zaprządz. Każdy patrząc na niego powie z pewnością: dzielny staruszek!

Świat kobiecy obraca się na szczupłém terytoryum w Nieczujowskich powieściach i małoznaczącą odgrywa na niém rolę. Nie będziemy się temu dziwili, jeżeli zważymy, że Imci pan Marcin Nieczuja uważał miłość przedślubną nie za objaw bożego natchnienia, lecz za produkt krwi ludzkiéj, produkt nerwów albo rozpalonego mózgu, nazywał ją żądzą tylko, namiętnością albo marném, upornem zachceniem. Zapatrywał się więc na miłość z punktu jedynie kaznodziejskiego, a nie psychologicznego. Nie mógł się zatém lubować w szczegółowym opisie jéj symptomatów, jéj wielkości i małości, jéj natchnień i kaprysów, słowem całéj skali jéj siły. Kobieta więc, będąc podług jego pojęcia takiém stworzeniem boskiém, które dopiero od czasu związania rąk stułą nabiera przymiotów oślicy Balaama t. j. zaczyna przemawiać, nie mogła być przedmiotem jego szerokich opowiadań. Mógł wprawdzie mówić o niéj jako o żonie i matce, ale jakoś mu to z toku rzeczy nie wypadło; a wspominając nawiasowo o paru matronach, wystawia je w postaci szkiców rysunkowych, w których główniejsze tylko kontury oznaczono. Młode dziewczęta tedy pozostają w cieniu. Powód „Bitwy o Chorążankę“ np. t. j. sama chorążanka nie została wcale opisaną i nie przemawia ani słowa. Teresa w „Kasztelanicach“, Anusia w „Swatach“, Jadwisia, siostra Nieczui są to sylwetki, którym dobrze przypatrzywszy się, można rozróżnić rysy łagodne, postawę szlachetną, ruchy spokojne, pokrywające usposobienie bierne, serce tkliwe, cnotę rutyniczną, zwyczajową; ale nie są to żadne bohaterki ani pół-bohaterki.

Trochę dokładniéj wycieniowane są: Zosia w „Murdelionie“, Julia i Barbarka w „Braciach ślubnych“; one też stanowią trzy odrębne typy kobiecości. Zosia — to dziewczyna

hoża i zdrowa, z pojęciami gospodarskiemi, sięgającemi tylko do granic dworu i plebanii, z pewnym niejasnym odcieniem poetyczności w *sennych widzeniach*... Rozsądna, miła, wesoła, podobać się może każdemu, a Nieczui wpadła w oko na seryo i zburzyła dawniejszy spokój jego serca. Zosia zdobywa się nawet na krok dość śmiały w stosunkach domowych szlachty polskiéj XVIII wieku: pisze list do ukochanego Marcina i to... bez wiedzy matki. W liście niema żadnych czułości, to prawda; ale już sama odwaga zrobienia „kroku nagannego“, jak list swój nazywa, dowodzi w niéj jakiegoś elementu inicyatywy, przynajmniéj w sprawach serca. Ale na tym nagannym kroku działalność jéj się kończy; odtąd powierza całą rzecz rozumowi i odwadze Marcina, jak niemniéj Bogu lub losowi, gdyż pod tym względem pojęcia jéj, jak zresztą całego otoczenia, w którém żyje, nie były zbyt jasne. Historya jéj niedługa. Wyszedłszy po wielu zwalczonych trudnościach, w przełamaniu których sił swoich nawet nie próbowała, za Imci Pana Nieczuję, żyła przez rok, jak każda młoda gosposia: odwiedzała z mężem sąsiadów, trudniła się gospodarstwem, miała szczególnie staranie o ogródku — i była szczęśliwa. Po roku, dawszy życie dwojgu istot, zmarła.

Julia odznacza się również biernością, ale ma odcień odróżniający ją stanowczo od Zosi. Julia jest melancholiczną marzycielką. Zawiedziona w miłości (kochanek o niéj zapomniał), cierpiała wiele, łudziła się długo, tak że mogła być obawa o jéj zdrowie i rozum. Naczytawszy się romansów, które podsycały jéj już i tak bujną fantazyę, daleka była od rozumienia świata rzeczywistego i jego stosunków i żyła życiem mary w ciało przyodzianéj. To téż nie sprzeciwiała się silnie, kiedy jéj rodzice kazali wyjść za niekochanego i niekochającego, który z przesadnie zrozumianego tylko obowiązku przyjaźni poślubić ją zapragnął. Była dla

niego cichą i potulną żoną, ale marzyła ciągle i gotową była uciec się do czarów, byle odzyskać dawną utraconą miłość. Ciało nie mogło wytrzymać udręczeń moralnych i uwolniło wprędce ze swoich więzów tę duszę cichą i pokorną.

Barbarka jest istotą zupełnie inną. Żywa, wesoła, kapryśna, samowolna, lubi nad wszystkiemi przewodzić i jedynie fantazyom własnym dogadzać. Lubi zajęcia męskie: jeździ konno, strzela zające, w słowie i ruchach niczém się nie krępuje, ani obecnością ojca, ani ludzi obcych. Poróżniwszy się o jakąś drobnostkę z kuzynem sfrancuziałym, jakby jemu na złość, wychodzi za mąż za człowieka łagodnego i spokojnego, ażeby go osiodłać. Osiodłała go też wybornie; rządzi nim i domem według swojéj woli i przy sposobności romansuje z owym kuzynem. Trwało to czas jakiś, czas w powieści dosyć długi, póki mąż podburzony przez przyjaciela nie pokazał się mężczyzną i schwytawszy ją na schadzce z Bartkiem, nie wtrącił do domowego więzienia, w którém kilka dni tylko chorując, umarła.

Oto trzy wybitniejsze postaci młodych kobiet, wszystkie trzy w kwiecie wieku na śmierć przez autora skazane. Powieściowe ich życie niewiele mieści w sobie faktów, a obracając się wśród najpospolitszéj pospolitości, do ważnych uwag nie przedstawia pola.

Z kobiet starszych trochę ujemnéj natury wyborna jest pod względem charakterystyki artystycznéj *ochmistrzyni* w „Murdelionie“, osoba gadatliwa, pozornie moralna, czuła na brzęk monety i dla niéj poświęcająca swój obowiązek czuwania nad młodą powierzoną sobie osobą.

Takie są mniéj więcéj *normalne* osobistości, które upatrzył Kaczkowski w społeczeństwie polskiém XVIII wieku i przedstawił w powieściach włożonych w usta Nieczui, tudzież w „Braciach ślubnych“, które się niewiele od nich różnią. Obok atoli tych postaci, występują tu jeszcze mniéj

zwykłe, mniéj pospolite, wyjątkowe. Do nich przedewszystkiém policzyć należy Starostę Bachtyńskiego w „Swatach na Rusi“, pana z panów, dziwaka nad dziwakami, hulającego przez sześć dni w tygodniu a ostro pokutującego dzień jeden, trzymającego kapelę z Cyganów, których nie odziewa dlatego, ażeby się nie porozbiegali, podejmującego na swym dworze tłum szlachty z żonami i córkami, którzy w ten sposób odjadają i odpijają prowizyą od kapitałów, u starosty lokowanych. Starosta Bachtyński śmiało stanąć może obok znanego w beletrystyce naszéj Starosty Kaniowskiego, z którym go łączą wszystkie rysy oryginalnego dziwactwa.

Drugą postacią oryginalną jest Murdelio. Charakter to gwałtowny, ambitny, umysł szeroki i świetny. Namiętności, podniecone wychowaniem źle pokierowaném przez francuskich metrów, wybujały w nim nad miarę, a nie trzymane w karbach, prowadziły nietylko do wybryków, nietylko do szaleństw, ale i do zbrodni. Sumienie, głuszone systematycznie, odzywało się w nim tylko chwilami, ale na postępowanie wcale nie wpływało. Posiadając zdolności, które go mogły zrobić wielkim, zużytkował je na czyny dosyć powszednie podówczas: na hulankę, rozpustę, pijatykę, na zrywanie sejmów, trzęsienie trybunałami; na zajazdy, porywanie niewiast; na wypędzanie i wieszanie dzierżawców, niechcących ustąpić z jego majątków, obdłużonych przez guwernerów. Pokochawszy pannę z dobrego szlacheckiego gniazda, przycichł na chwilę; ale gdy stary Wit na zbyt długie wystawiał go próby, zhardział nanowo, kochankę porwał i zawiózł na swój zamek. Gdy mu ją odebrano, ze złości i zmartwienia zachorował, a potém szalał jak dawniéj. Panna wyszła za mąż, lecz wkrótce owdowiała; chciał ją poślubić, lecz ona, choć go kochała, jak się pokazuje późniéj, zapamiętale, niewiadomo dlaczego (spokój bowiem dziadka Wita nie mógł być dla niéj bardzo drogim), każe

mu czekać lat dziesięć. Murdelio czeka... przywdziawszy habit franciszkana, pod którym wedle przysłowia, nie zawsze dusza mnicha siedzi. Murdelio hula i pije przy sposobności, jak smok bajeczny, a otoczony obłokiem tajemniczości, uważany przez niektórych za wcielonego djabła, płatając niespodziewane figle, miewa gwałtowne sceny ze swą dawną kochanką, którą wreszcie porywa; a oblężony w zamku broni się zajadle. Nie mogąc podołać sile przemagającéj, ucieka, a raczéj znika tajemniczo, poczém znów mnichem zostaje i umiera. Że fantastyczna obsłonka otaczająca Murdeliona jest tylko formą, w któréj mógł go zrozumieć płytki Imć Pan Nieczuja — to się samo przez się rozumie. Umysł jego zabobonny nie mógł przypuścić, żeby taki niezwykły charakter miał być przymiotem czysto ludzkim, bez przymieszki siły szatańskiéj. Uderzony jego niecodziennym pokrojem, uwierzył gadaninie pospólstwa i takim Murdeliona przedstawił, jakim go pojął. A ponieważ postać ta zrobiła na nim wielkie wrażenie; ponieważ wplotła się w jego sercową historyą: opowiadał o niéj z zamiłowaniem, z dokładnością i szczegółowością, z wyrazistością i plastycznością taką, że pomimo braki psychologiczne (dziesięcioletnie czekanie z racyi czterdziestoletnich oczu) Murdelio pozostanie kreacyą, najżywiéj malującą się w naszéj wyobraźni, najdłużéj w niéj goszczącą; a jakkolwiek niesympatyczną, nie pozbawioną przecież pewnego uroku, mianowicie pod względem artystycznym. „Murdelio“ bowiem jestto powieść, w któréj artyzm Kaczkowskiego wzniósł się najwyżéj.

Trzecią osobistością zasługującą na wyróżnienie jest „Kitajgrodzki“ czyli „Mąż Szalony“. Przedstawia się on jako człowiek nieszczęśliwy w miłości. Ubóstwiał swoję małżonkę, a gdy ta uciekła z jakimś niemieckim jenerałem, z rozpaczy został wojownikiem i pod imieniem „Rudego Sokoła“ był postrachem hajdamaków. Odznaczywszy się męstwem i ro-

zumem, otrzymuje godność starosty samborskiego, żeni się po raz drugi, a miłość do żony objawia w niespokojnéj, podejrzliwéj zazdrości, która niewinną z początku istotę na myśl przeniewierzania się naprowadza. Gdy się nieszczęście stało, Kitajgrodzki wpada w furyą, nie karze jednak winnych, lecz mści się na ich narzędziach, na pannie służebnéj, która została wyświeconą z grodu, i na żydzie, spalonym na stosie. Kiedy żona osiadła w klasztorze, Kitajgrodzki wpada w lekkie obłąkanie, objawiające się w egzaltowanéj pokucie religijnéj i ciągłéj myśli o zamordowanych ofiarach. I w obłąkaniu tém jednak staje się pożytecznym, uśmierza bowiem waśń dwu rodzin i do walki w sprawie ogólnéj zagrzewa. W jednéj z bitw umiera. Charakter ten, mający wiele stron artystycznych, nie został należycie wyzyskany przez Kaczkowskiego pod względem analizy psychologicznéj i dlatego nas razi.

O dwu kobietach, które się stały powodem wielu awantur i nieszczęść w życiu Murdeliona i Kitajgrodzkiego, nie można wiele powiedzieć. Stolnikowa Strzegocka występująca z początku jako pełna taktu matrona, miłująca dziadka i prowadząca dom wzorowo, już w opowiadaniu Murdeliona przedstawia się jako kobieta lekkomyślna i płocha; potém, każąc dziesięć lat czekać kochankowi, daje dowód jakiegoś niezrozumiałego kaprysu; ostatecznie gdy ją z zamku Murdeliona oswobodzono, gniewa się na swoich obrońców, że jéj z ukochanym mieszkać nie pozwolili. Jestto szkatuła sprzeczności, kilku otworami opatrzona.

Anna jest taką drugą szkatułą. Ograniczona, uparta a z gwałtownemi popędami, nie chciała pomimo próśb Strzeleckiego, błagać matki, żeby jéj nie wydawano za Kitajgrodzkiego; a potém, choć zapewniała o swéj uczciwości, choć cierpiała nad swoją słabością, nie mogła się jéj oprzeć i przyjmowała u siebie potajemnie dawnego kochanka, na-

rażając swe sługi na katusze. Oswobodzona przez śmierć męża, znowuż nie chce iść za Strzeleckiego i zostaje zakonnicą... Do takiéj szkatuły trudno dobrać klucza... a zresztą niema podobno poco się fatygować.

Niemożnaby sobie wytłómaczyć całego zajęcia, jakie budziły powieści nieczujowskie, gdybym nie wspomniał, że w wielu z nich nie charaktery główne, które były chybione, nie budowa całości, która była wielce luźna, ale figury podrzędne, wybornie narysowane i dobrze utrzymane, przywiązywały do siebie czytelnika. W „Braciach ślubnych“ takiemi figurami są: ksiądz-prorok, szachraj-kauzyperda Dzianott, przebiegły i zręczny totumfacki Grott. W „Mężu Szalonym“, Handzia, Jarwan, Samojło więcéj nas interesują, aniżeli sam Kitajgrodzki. — W innych powieściach, w których charaktery naczelne istotnie odpowiednią odgrywają rolę, postaci drugorzędnego znaczenia swojém wykończeniem, doskonale wypełniają całość, służą do skupienia efektów w głównem ognisku. Widzimy to mianowicie w Murdelionie, o którym Michał Grabowski powiedział, że „nietylko w powieściach polskich, ale w najlepszych zagranicznych, trudno o szykowniejszą budowę, o większą jedność, która bądźcobądź jest konieczną w organicznym utworze“ [1]). Zarówno pan Błoński, jak Lgocki, Zuzia, szlachta oszmiańska, Jur z Borowiczek, Gintowt, misyonarz, pan Fredro, jak inni są tak żywi, tak naturalni, że się mimowoli przypomina „Odyseja“ albo „Pan Tadeusz“ — nie pod względem pomysłu wielkiego, ale pod względem plastycznego przedstawienia pojedyńczych postaci i połączenia ich w ruchome grupy. Dodajmy do tego wszystkiego sceny wszędzie ożywione, charakterystyczne opisy zaślubin, odpustów, narad, zabaw zapustnych, rozmów, burd;

---

[1]) „Gazeta Codzienna“, 1854, N. 259. List V.

a z tych elementów, przy jakiéj takiéj fantazyi dopełniającéj, potrafimy sobie uprzytomnić to ruchliwe, gwarne, ochocze, chociaż nieraz pospolite i tępe umysłowo grono ludzi, których historyą Kaczkowski czarował spółczesnych. Potrafimy również zrozumieć jednogłośne niemal uwielbienie krytyków, którzy zaczęli o wiele wyżéj stawiać Kaczkowskiego od Rzewuskiego.

Zpomiędzy wielu sądów o nieczujowskiéj seryi opowiadań, podniosę dwa tylko, z których jeden wyszedł od człowieka, rządzącego się głównie uczuciem i fantazyą, a drugi od znawcy wytrawnego, kierującego się przeważnie rozumem. Padalica Tadeusz (Zenon Fisz) tak pisał o Kaczkowskim w porównaniu z Rzewuskim *à propos* „Męża Szalonego“: „Rzewuski dał nam wielkiéj wartości typy polskie, odwzorował zdolnie kilka historycznych postaci; ale obrazy jego były jeszcze za *sztywne* i przy wypełnianiu ram powieściowych dorabiały się często *figurami podrzędnéj wartości*. Rzewuski był przedewszystkiém malarzem *typów narodowych*; wydzielał je z epoki danéj jak cegiełki z ogólnéj społeczeńskiéj budowy i zdawał się nie pojmować, że pod cechami charakterystycznemi ludu, czy plemienia, skrywały się jeszcze cechy człowiecze namiętności, uczuć i cały labirynt tajemnic duchowych, które wiek nasz dopiero studyować zaczął, skąd już tysiąc wziął obrazów i jak tajemnic oceanu zgłębić, ani wyczerpać nie zdołał. Pierwszy Kaczkowski przy malowaniu naszéj przeszłości, dopełnił w tym sposobie jéj obrazy i w ramy obyczajowe potrafił ustawić człowieka, jakim musiał być w istocie człowiek. Co lekceważył Rzewuski i za podrzędne miał zadanie: to Kaczkowski zrobił pierwszym celem prac swoich, a form narodowych użył jak draperyj do wykończenia całości. Rzewuski w romansach swoich był *gienialnym plastykiem*, nic nadto. Jego figury *mechanicznie* zdały się wypełniać swoje role; *oblicza* miały *piękne ale bez wyrazu*; na

nich powtórzyła się, że tak powiem, *idea piękności greckiéj* (!). Kaczkowski nie gardząc najmniéj metodą swojego poprzednika, potrafił nadto takie postacie natchnąć *moralném życiem* (?); na miejsce typów *ogólnych* (?) porysował ludzi, wykończył ich oblicza, studyował wyraz każdego; stąd obrazy jego zyskały na potędze moralnéj i duch ludzki wyraził się w tém dziele“ [1]).

Następujący sąd Tyszyńskiego Aleksandra sprostuje w niektórych szczegółach zdanie Fisza, a w główném orzeczeniu nawet mu zaprzeczy, zdaniem mojém bardzo słusznie; chociaż ton pochwalny i w nim przeważa: „Opowiadania Nieczui nie tém tylko się różnią od opowiadań Soplicy, iż bohaterką ich główną w miejsce litewskiéj, jest szlachta sanocka, ale też tém, iż w miejsce określeń figur odosobnionych, dają obraz w *złączeniu ich*; iż są opisem nietyle tych figur, ile raczéj *stosunków, zwyczajów, obyczajów*, słowem domowego towarzystwa ich wieku; iż za przedmiot opisów tych obierają nie jednostki w kraju głośniejsze, lub jakim szczególnym przymiotem odznaczone, lecz zwykłe; i że słowem dają nam w ten sposób obrazy powieściowe, *o stopień bliższe ogólnéj domowéj historyi danego kraju*, lub rzec można, *fragmenta historyi* o stopień do przedstawienia obrazów zwykłych krajowych posunięte. Kaczkowski nie dał nam jeszcze utworu tego rozmiaru i téj zasługi, jak jest *Listopad* [2]); lecz użyty i przestrzegany wiernie we wszystkich jego po-

---

[1]) „Gazeta Warszawska“, 1855, N. 47.

[2]) Michał Grabowski przeciwnie uważa Murdeliona za utwór większéj wartości, niż „Listopad“. Oto jego słowa: „Możemy powiedzieć, że do Murdelia nie mieliśmy *nigdy* powieści historycznéj w całości dobréj. *Listopad, Zamek Krakowski* pomimo miejsc nieporównanych, mają drugie taksamo *niedostatecznego tchu poetyckiego*, jak i *Pamiętniki ks. Jordana*. „Gazeta Codzienna“, 1854. List III, N. 132—137).

wieściach kształt autobiografii w samych opisach, uwagach, ustępach, monologu autora, znosi wszelką nitkę związku jego ze społecznością i obraz dany wyłączniéj (niż nawet w owéj ostatniéj powieści) jako idący z wieku innego, nam przedstawia“ [1]).

Sądy te przytaczam dla charakterystyki czasu, ale rozbierać ich nie będę; czytelnicy z mojego przedstawienia elementów składowych powieści nieczujowskich sami mogą wywnioskować, o ile podzielam je lub odrzucam. Dodać więc tylko muszę, że wśród chóru uwielbień, odezwał się głośniéj jeden tylko dysharmonijny akord z ust Lucyana Siemieńskiego, który zastrzegając ogólnikowo, że w utworach Kaczkowskiego jest więcéj zalet niż wad, obszerny artykuł poświęcił na wykazanie uchybień przeciw tradycyi i prawdzie historycznéj, tudzież na ironiczne przedstawienie treści „Murdeliona“ i wyszykanowanie jego usterków psychologicznych. Występuje tu także przeciwko „kompromitującym eksklamacyom“ uwielbienia, które autora nie uczą, a nawet nie tłómaczą natury jego utworów. Najważniejszy zarzut, jaki robi Kaczkowskiemu, jest ten, że w jego powieściach prócz wzmianek o konfederacyi barskiéj, wszystko obraca się w kole pospolitych pijatyk, burd jarmarcznych, zjazdów, procesów, konkurów, wykradzeń i t. p. Siemieński zwrócił jego uwagę na tę okoliczność, że jest jeszcze strona wyższéj tradycyi, sięgającéj w głębszą przeszłość, wyprowadzającéj na widownią figury na pół historyczne, charaktery szlachetnie wzniosłe, umysły widzące szerzéj i daléj, trzymające ster pojęć i ducha publicznego [2]). Zarzut ten niewłaściwie rozwinięty wskazaniem Senatorskiéj zgody, Sej-

[1]) „Biblioteka Warszawska“, 1854, tom I, str. 381.

[2]) W „Czasie“, 1854: przedrukowano to w „Kilku rysach z lit. i społecz.“, 1859, t. I, str. 169—212.

miku w Sądowéj Wiszni Pola, jako przykładów wyższéj tradycyi, niewłaściwiéj jeszcze zakończony optymistyczném zdaniem o społeczeństwie polskiém XVIII wieku, dotykać mógł Kaczkowskiego w jednym tylko punkcie, t. j. w obraniu Nieczui jako osoby, opowiadającéj wypadki. Gdy się jednakże przyjmie Imci pana skarbnikowicza za narratora, niepodobna mu robić zarzutu, że opowiada o rzeczach małych, o zajazdach, pijatykach i wykradzeniach, gdyż jego umysł nie był zdolny wznieść się wyżéj, a istotną zasługą Kaczkowskiego jest właśnie to, że bardzo rzadko dał się porywać prądowi własnych myśli i przekraczał baryery inteligencyi nieczujowskiéj. Gdyby Siemieński zastosował zarzut swój tylko do „Braci Ślubnych“, w których sam autor uległ pod naciskiem długiego przyzwyczajenia i zasklepił się dobrowolnie w ślimaczéj skorupie pojęć szlachcica XVIII w., łatwiéjby się nań można było zgodzić; gdyż, jakkolwiek nie możemy rozkazać malarzowi szkoły niderlandzkiéj, żeby malował sceny historyczne, wolno nam przecież wyrazić zdanie, że wolimy „kazanie Skargi“ od obrazka przedstawiającego „gęsi zarznięte“.

Nie mając tedy pretensyi do autora „Ostatniego z Nieczujów“ — za to, że opowiadał nam o wypadkach małéj wagi, że przedstawiał życie domowe zamiast publicznego; cenimy jego drobne obrazki, cenimy takie piękne malowidło jak „Murdelio“ i zaznaczamy ich wartość artystyczną. Zanotujemy tylko fakt, że Nieczuja nie mógł dać nam obrazu całego społecznego i politycznego życia narodu; że nie potrafił go ocenić jak się należy, gdyż zbyt ściśle zrósł się ze swém otoczeniem, pełném przesądów i ciasnych pojęć.

Kaczkowski uczuł to sam. Wróciwszy z podróży za granicę odbytéj w r. 1855 dla wypoczynku po natężonéj pracy powieściopisarskiéj, która fizycznie wielce go osłabiła, zaczął powoli Imci pana Nieczuję usuwać na bok, zostawiając tylko starą zasłużoną firmę; zaczął go edukować w szkole

większych wypadków, a w końcu całkiem się z nim rozstał i na własną rękę zawód swój prowadził.

Obce uwagi, własne rozmyślanie, dokładniejsze a naoczne rozpatrzenie się w stosunkach zagranicznych, rozmowy ze znakomitościami polskiemi i francuskiemi w Paryżu, rozszerzyły widnokrąg poglądów Kaczkowskiego, naprowadziły go na myśl malowania wypadków ważniejszych niż dotąd; spowodowały pewną zmianę w artystyczném odrobieniu, chociaż nie zmieniły *radykalnie* jego oceny przeszłości.

Wprawdzie Imć Pan Nieczuja, który tak swobodnie i tak wesoło rozprawiał o hulankach i pijatykach szlachty sanockiéj po roku 1772, już w „Hołobuckim Staroście“ gorzkiemi zalewa się łzami ze współczucia lub wstydu nad aktorami, którzy natenczas role odgrywali w ognisku kraju, w Warszawie; wprawdzie wyznaje tu z boleścią, że naród, który przez wiek cały zaniedbał się w naukach i wszelkiéj nowszéj oświacie, w pojęciach swoich i obyczajach *zakamieniał* i nietylko do przyjęcia, ale nawet do zrozumienia jakichkolwiek nowości nie był zgoła przygotowany; wprawdzie twierdzi, że czasy Stanisława Augusta przedstawiają obraz straszny i przerażający: — lecz przyczynę złego widzi jedynie i wyłącznie w „szale pijanym, w którym zdecydowano odrazu, że wszystko jest niepotém i że potrzeba koniecznie nowości“. Francuszczyzna tedy, peruka i fraczek, były winne temu, że zwodzicielstwo obrzydłe nazwano galanteryą, przeniewierstwo żony — intrygą, utrzymywanie metresy — rozrywką; że libertyna i niedowiarka nazywano mocną głową lub filozofem; że te czasy, w których wszelka moralność podkopana została do gruntu, a najohydniejsze zepsucie wszędzie bujało, mianowano epoką powszechnego progresu i przeobrażenia. Francuszczyzna téż, fraczek i peruka były winne, że ładu w kraju nie było, że administracya dóbr koronnych zostawała na łasce bylejakich indywi-

duów, że straszliwa możność przekupywania dostojników Rzeczypospolitéj stawała się rokrocznie jeszcze straszliwszą... Jedyny pierwiastek zdrowy miała stanowić szlachta, żyjąca po staroświecku, nie mieszająca się do spraw krajowych. Dziwno tylko, że ta poczciwa szlachta tak sprywatniała, tak się zadomowiła, że tylko lamentować umiała nad okropnością położenia... Takie jednostronne i płytkie przeciwstawienie dwu światów czytamy w „Staroście Hołobuckim“. Obrazy zepsucia, lekkości obyczajów, przeniewierstwa, szachrajstwa w modnym i eleganckim świecie, i na dworze królewskim przemagają oczywiście, lecz na czytelniku obznajmionym z dawniejszą i spółczesną Kaczkowskiemu beletrystyką, nie robią żadnego prawie wrażenia, jako rzeczy znane. Ciche domowe życie ziemiańskie i historya zajazdu natomiast, przez samego Kaczkowskiego były poprzednio daleko plastyczniéj, daleko wyraziściéj przedstawione, ażeby słabe odbicie ich w „Staroście“ mogło się podobać. — Podniesienie tedy jednego ze szczegółów zarządu krajem — nadanie starostwa za zbiory biblioteczne i archeologiczne, starostwa, które potrzeba było siłą komu innemu odbierać; stanowcze wskazanie słabości władzy wykonawczéj: oto jedyna zasługa téj powieści. Charaktery nie przynoszą żadnych cech nowych; są poprostu zwykłemi komunałami, w które beletrystyka nasza obfituje podostatkiem.

W „Grobie Nieczui“ obrany został czas może najciekawszy pod względem społecznym i psychologicznym (1793—1797). Dawny porządek rzeczy łamał się a powstawał nowy już nietylko co do zewnętrznych życia warunków, lecz co do idei i całego niemal duchowego rozwoju. Wielkie wypadki na Zachodzie stają się tłem, na którém uwidoczniają się stosunki krajowe. Partye konserwatystów i postępowców wszelkich odcieni, a mianowicie radykalnych, silną ze sobą staczają walkę. Naród zaczyna poczuwać możność pochodu

o własnych siłach; — lecz samolubne knowania lub apatya arystokracyi, nędzny stan ludności wiejskiéj i t. p., stają na zawadzie. Parokrotne zrywanie się do walki, utworzenie legionów były dowodem gorączki umysłów nie liczących się z rzeczywistością, ale były zarazem szkołą szerszych poglądów wytworzonych przez rewolucyą francuską. Lepiéj zapewne było pozostać w kraju i pracować na przyszłość; ale wybierając z dwojga złego, lepiéj już hartować ciało i dosługiwać się sławy wojennéj, niż próżnować, uwodzić wiejskie dziewczęta, szachrować końmi, upijać się, grać w karty — jak to było późniéj.

Kaczkowski nie przedstawił nam ruchu postępowego w teoryi i praktyce krajowéj. W „Grobie Nieczui", Staszic np. ani razu nie wchodzi na scenę, Hugo Kołłątaj zaledwie wzmiankowany; inni sławni działacze z nazwisk tylko znani. Całe młodsze pokolenie uosobione wyłącznie w Rudnickim i Flawiuszu, dwu postaciach uczciwych, szlachetnych, ale zaplątanych w drobne życia prywatnego przygody, nie wypowiadających nawet swoich zdań o narodzie i państwie. Wojenka natomiast zagraniczna została z predylekcyą przedstawiona. W niéj dwaj dawni przeciwnicy, Rudnicki i Flawiusz podają sobie ręce jak serdeczni przyjaciele. „Połączył ich — objaśnia autor — tylko trud krwawy, praca i poświęcenie się dla jednéj wspólnéj a *tak wzniosłéj idei*, że wobec niéj zniknęły i musiały zniknąć wszystkie te drobnostkowe różnice uczuć i myśli, które w nieszczęściu i w *bezczynności* urastają do rozmiarów przepaści; ale wspólném natchnieniem nikną zupełnie, tak jak w wieku dojrzałym nikną dziecięce wspomnienia". Dla owéj wzniosłéj idei każe Kaczkowski Imci Panu skarbnikowi podzielać choć w części, a nawet, mówiąc wogóle i nie zwracając uwagi na niektóre tylko *słowne* zastrzeżenia, — w zupełności nadzieje i dążenia młodéj gieneracyi. Kontuszowego Polonusa pasuje Ka-

czkowski w końcu dzieła na prawdziwego bohatera, który odbył wszystkie kampanie od 1797 do 1813 roku i stał się równym wszystkim wojennym znakomitościom owego czasu. Tak więc osoby występujące w „Grobie Nieczui“ podnoszą się lub rehabilitują tylko na wojnie. Jestto dla nich jedyna jeszcze forma, w któréj się mogą, a raczéj umieją odznaczyć. Wewnętrzna organiczna praca, któraby za pośrednictwem uwłaszczenia włościan, wykształcenia mieszczaństwa, podniesienia wszystkich gałęzi produkcyi i przeróbek przemysłowych, rozszerzenia i spotęgowania wiedzy, dążyła ku lepszéj przyszłości, jest rzeczą dla nich zupełnie nieznaną; w „Grobie Nieczui“ niema o tém ani słowa. Idea ta, wznioślejsza podobno od chwalonéj przez Kaczkowskiego, nie stała się jeszcze wówczas popularna; to prawda; ale istniały już głosy, przemawiające za nią — choćby w książkach i postępowaniu Staszica, Czackiego i kilku innych.

Stosunek życia prywatnego do publicznego dobrze przedstawił Kaczkowski na początku powieści. Smutek a nawet rozpacz przygnębiła skarbnika po bolesnym końcu wypadków 1794 r. Odosobnił się od ludzi, nie chciał przyjmować nikogo, popadł w czarne rozmyślania i krzepił się jedynie modlitwą i słowy Pisma św. Cóż go pobudza do wejścia napowrót między ludzi? Stosunki życia codziennego — wydanie za mąż siostrzenicy. A potém? Potém już odzywa się w nim chęć do życia, do pracy; ale umysł, przywykły do zapasów wojennych, widzi tylko jeden-jedyny środek zapełnienia próżni wewnętrznéj — walkę na miecze. Podobny proces duchowy zachodzi w Rudnickim i Flawiuszu. Inne osoby, albo mają cechy dodatnie tylko w życiu prywatném, albo też odznaczają się niezaradnością, plotkarstwem, kaprysami, żądzą hołdów i pochlebstw. Świat kobiecy zupełnie bierny. Z kilku młodych dziewic, jedna Melania tylko zyskuje sympatyą czytelnika swoją szlachetno-

ścią, swoim heroizmem — choć tylko w zakresie życia prywatnego. Ze starszych niewiast zasługuje na uwagę kasztelanowa kamieńska, dawna polska matrona: rubaszna, poczciwa i szanowna. Dwie podkomorzyny, lwowska i sandomirska, z których pierwsza jest skąpa i plotkarka, a druga gadatliwa, kapryśna i niezdecydowana — są to figury podrzędne wybornie traktowane, ożywiające jednostajność życia salonowego, z którém nas zapoznaje Kaczkowski.

Tak więc i w „Grobie Nieczui“ drobne sprawy codzienne stoją na pierwszym planie, a z wielkiemi wypadkami dziejowemi mimochodem niejako dopiero przy końcu powieści się zapoznajemy. Obraz, choć namalowany z talentem, oczywiście traci na tém bardzo wiele, ponieważ zamiast być historycznym, staje się w znacznéj części rodzajowym tylko, a to tém bardziéj, iż stosunki, w nim przedstawione, mało co się różnią od stosunków dzisiejszych, albowiem Kaczkowski nie usiłował już tu uwydatniać kontrastu pomiędzy starym trybem życia a nowym, jak to było jeszcze w „Staroście Hołobuckim“, ani kontrastu pojęć przestarzałych szlacheckich z nowemi ideami; lecz powlókł wszystkie osoby wraz z ich poglądami szarym, jednostajnym pokostem salonowym, który jest charakterystyczną cechą ludzi, zakrywających starannie wszystkie ostre kanty swego umysłu, ażeby tylko żyć ze sobą w jakiéj-takiéj, choćby pozornéj zgodzie.

Dopiero w „Annuncyacie“ wszedł Kaczkowski na szerszą arenę dziejową. Konfederacya barska, któréj poprzednio podnosił pojedyńcze jeno momenta („Bitwa pod Widawą, pod Domaradzem“) wydobyła się teraz na plan pierwszy, chociaż nie w głównych przedstawicielach swoich, lecz tylko w jednym z podrzędniejszych działaczy. Jeneralność, zarząd występuje raz tylko na scenę widomie; późniéj słyszymy tylko o niéj jako o tajemniczéj władzy, niepozbawionéj

wprawdzie pewnéj siły, niezbyt jednakże energicznéj. Józef Bierzyński, człowiek zdolny, zręczny, mężny, ale przejęty widokami ambicyi osobistéj, nie słucha rozkazów Jeneralności i na własną rękę wojnę prowadzi. Nie przebierając bardzo w środkach, staje się potężnym; gromadzi około siebie oddział ludzi bezwarunkowo sobie posłusznych; odnosi świetne zwycięstwa; wsławia się po całéj Polsce. Naraz rozkłada się obozem blizko zamku kasztelana i długie trawi tu miesiące bezczynnie, zalecając się tylko córce pana zamku, Annuncyacie, z którą go dziecinna jeszcze łączyła znajomość. Sądził, że dość już odniósł zwycięstw, dość przykładów męstwa na swojéj twarzy zapisał, by kasztelan zgodził się na oddanie mu córki za żonę. Kasztelan jednak dziwił się bezczynności Bierzyńskiego i oczekiwał od niego większych dowodów poświęcenia dla sprawy. Bierzyński tymczasem już wstąpił na pochyłość, po któréj mógł się stoczyć w przepaść: rozkazy Jeneralności lekceważył i prowadził układy z Wesslem w celu otrzymania od króla jakichś dóbr za odstąpienie sprawy konfederacyi. W tym czasie zaszła bitwa, która się fatalnie dla Bierzyńskiego skończyła; duma jego została zgruchotana, urok wojennéj sławy prysł. A gdy wszyscy ludzie odbiegli od niego, gdy nie znalazł ani jednéj duszy, któraby w „Złotym kluczu“ spółczuciem dla niego biła; wtedy bohatér nasz ukorzył się i chcąc zrehabilitować honor swego imienia, skażonego potępiającym wyrokiem Jeneralności, zaczął pracować pocichu pod zmienioném nazwiskiem dla dobra konfederacyi. Powstał jako rycerz nieznany z zakrytą przyłbicą i odznaczył się w wielu bitwach. W ostatniéj gdy się miał rozstać z życiem, zapewnił się na wieczność całą o miłości Annuncyaty.

Taki bohater pozostawia nas obojętnemi i nie może się bynajmniéj przyczynić do utrwalenia uroku, jakim dawniéj konfederacyą barską otaczano; ale téż autorowi wcale

o to nie szło. Osądził on, że urok ten polega w części na złudzeniu, w części na projektach, które mieli przywódcy konfederacyi, w rzeczywistości atoli, w czynach widział jasno słabość, brak jedności, brak sił, brak istotnego na rozumnéj ocenie okoliczności opartego zajęcia się sprawą ogólną. To więc, co mogło dodać uroku — Jeneralność — pozostawił w półświetle; a wszystkie promienie artystycznego słońca skupił na jednostce zdolnéj wprawdzie, lecz nieumiejącéj zużytkować zdolności swoich na rzecz podjętéj sprawy: jednostki ambitnéj, lecz bardzo mizerne ambitnemu usposobieniu stawiającéj cele; jednostce mężnéj osobiście, umiejącéj dowodzić małym oddziałem, lecz dalekiéj od powzięcia i przeprowadzenia wielkiego planu. Kaczkowski pisząc „Annuncyatę", odrzucił już w znacznéj części Nieczujowskie poglądy na konfederacyą i na szlachtę ówczesną. Postać téż Bierzyńskiego wystawia jako jednookiego wśród ślepych. „Pomiędzy szlachtą ówczesną — powiada — umiejącą czyny spełniać, ale rzadko się *zastanawiać* nad niemi, umiejącą czuć głęboko i żywo stanowiące o sprawie publicznéj zdarzenia, ale *nie znającą się* wcale na tém, co jest *polityczna rozwaga*, Bierzyński zajaśniał jak lampa oliwna". Mówiąc o dworszczyznie, szeroko i długo opisuje jéj butę, ambicyą niepohamowaną, połowiczność cnót itp.; zalety jéj wzmiankuje króciutko, a wkońcu powiada: „My sami nawet, mówiąc przez usta którego z tamtowiekowéj szlachty, unosiliśmy się z miłością nad temi patryarchalnemi akademiami młodzieży (jaką znajdowała na dworach wielkich panów), wyliczając wszystkie niezliczone ich cnoty i ani myśląc o wadach. Byłato jednak połowa prawdy, która mogła wystarczyć gdzieindziéj, lecz nie wystarczy tam, gdzie koniecznie idzie *o całą*". Oto jest słowo zagadki. Kaczkowski chciał w „Annuncyacie" powiedzić całą prawdę i dlatego wy-

brał na jednego z przedstawicieli konfederacyi — Bierzyńskiego...

Annuncyata sama jakkolwiek z powodu swéj kobiecości nie mogła się tak uwydatnić jak Bierzyński, przewyższa go jednak pod względem moralnym. Jestto dziewica dzielna, jeden z najpiękniejszych charakterów nietylko w powieściach Kaczkowskiego, lecz w całém naszém powieściopisarstwie. Ukształcona, zakreślająca okiem swego ducha szerokie koło wyobrażeń, bolejąca nad nierównością stanów, jest energiczną i śmiałą. Gdy Bierzyński przeniewierzywszy się sprawie konfederacyi, osiadł na „Złotym kluczu“, nie chciała temu uwierzyć a uwierzywszy, miłość swoję stłumiła i wówczas dopiero pozwoliła uczuciu zapanować w swém sercu, gdy się przekonała, że jéj ukochany na dobrą drogę powrócił. Nie była to marzycielka jak Julia np., ani *hic mulier* jak Barbara, ale był to anioł cierpliwości na ziemi, duch pokoju i zgody, kobieta z całym urokiem kobiecości, ale z umysłem jasnym i silnym, z charakterem hartownym. Jeden tylko rys rażący dopatrzyć w niéj można: oto brak zdecydowania się w stanowczych chwilach, a mianowicie przéwaga, którą na nią wywierały tak liche osobistości jak Gałecki lub ksieni i to w przedmiocie dla niéj najważniejszym, bo względem Bierzyńskiego. Dopiero w scenie przedostatniéj z ksienią, kiedy wysyła służącą Martę z pieniędzmi dla zrehabilitowanego Bierzyńskiego, pokazuje się dziewicą samodzielną, nie kokietującą z niebem, ale śmiało do życia się wydzierającą.

Około tych dwu głównych postaci, które nie skupiają w sobie akcyi, lecz na dwie połowy je rozdzielają, grupuje się kilka osób wybornie narysowanych. Stary kasztelan Mączyński, starosta Gałecki, stolnik Szadkowski są to osobistości oryginalne, tchnące życiem, wysoce plastyczne. Szlachetny Lenartowicz należy już do mniéj udatnych, gdyż przed-

stawiony zbyt blado, dopiero przy końcu mężem się okazuje. Pierwiastek grubo komiczny, uosobiony w kapitanie Wścieklicy i jego Jukundzie, rozśmiesza na chwilę, lecz w końcu niesmak po sobie zostawia. Pierwiastek ludowy z naciskiem wprowadzony dla wskazania dwu prądów przeciwnych: apatyi, patrzącéj tylko własnych korzyści najbliższych, i szczerego zajęcia się sprawami kraju w oświeconym synu apatycznego ojca, nie wywiera wpływu na przebieg wypadków i mimo staranie autora nie zwraca na siebie uwagi.

Układ artystyczny bardzo wiele pozostawia do życzenia. Szkicowość, luźność a skutkiem nich brak jednego punktu, około którego skupiałyby się wszystkie sytuacye i wypadki, oto wada najgłówniejsza, będąca źródłem wielu innych. Sceny więc następują po sobie dowolnie, nie zaś z konieczności; niema między niemi innego związku prócz spółczesności lub kolejności; jedna nawet (scena rozmowy króla z Wesslem) jest zupełnie zbyteczna; w innych słyszymy po trzykroć o tym samym wypadku. Chwila, w któréj Annuncyata dowiaduje się, że Bierzyński osiadł na Złotym kluczu wybornie naszkicowana, ale tylko naszkicowana; prawdziwy artysta wyzyskałby ją daleko silniéj. Pomimo jednak te usterki więcéj w „Annuncyacie“ życia, więcéj figur oryginalnych, aniżeli np. w „Grobie Nieczui“; natomiast o wiele mniéj aniżeli np. w „Murdelionie“. Refleksye zajmują tu zbyt dużo miejsca i szkodzą a nie pomagają rozwojowi akcyi. Styl téż nie ma téj barwności i oryginalności co w Nieczujowych opowieściach. W miarę rozszerzania się historycznych poglądów, w miarę przewagi wielkich idei dziejowych nad drobnostkami życia, artyzm Kaczkowskiego słabł i malał. Wprawdzie już dawniéj, bo w „Mężu Szalonym“ a szczególniéj w nieskończenie nudnych „Braciach ślubnych“ dawały się czuć ważne braki w układzie i usze-

regowaniu wypadków; ale w nich małoznaczność wypadków nie kazała umysłowi naszemu domagać się czegoś więcéj nad galerye malowniczych obrazków. Gdy atoli treść powieści nabierała wagi, pragnęliśmy, ażeby słowo wyrównało czynom. Tymczasem stało się inaczéj. Bezbarwność i komunalność wyrażeń i uwag, luźność scen, brak skupienia efektów zwiększały się zarówno w „Staroście Hołobuckim“ jak w „Grobie Nieczui“ i „Annuncyacie“. Ta ostatnia powieść czyta się bezwątpienia daleko przyjemniéj niż „Mąż Szalony“ lub „Bracia ślubni“; lecz tę własność zawdzięcza bohaterce swojéj i niektórym charakterystycznym postaciom, nie zaś artyzmowi scen i stylu. „Annuncyata“ z tego względu zajmie drugie miejsce zaraz po „Murdelionie“; ale pomimo większego swego znaczenia nie odbierze mu pierwszego.

Wreszcie doszedł Kaczkowski do zupełnego bankructwa pod artystycznym względem w powieści „Sodalis Marianus“, któréj bohater jest słabą kopią Józefa Bierzyńskiego, Wiszowaty — Męża szalonego a inne osobistości są takiemi lichotami, że o nich długo mówić nie warto. Toż samo powiedzieć można o układzie, zachowującym formę kronik i o bezbarwném scenowaniu.

V.

Ten sam objaw ujrzymy w powieściach spółczesnych.

Już w „Katonie“ zauważyliśmy przewagę refleksyj nad obrazowością, rozumowania — nad kreśleniem postaci pełnych, żywych, plastycznych. Powróciwszy po kilku latach do odtwarzania spółczesnych stosunków w powieści, Kaczkowski poszedł tą samą drogą, co i w „Katonie“. Umysł jego opanowały ważne kwestye: związek teraźniejszości z przeszłością, kierunek demokratyczny i arystokratyczny, znaczenie i wpływ poezyi zwątpienia na społeczeństwo, program

pracy organicznéj na dziś. Myśli te nie opuszczając go ani na chwilę, sprawiły, że poczuł wstręt do przedstawiania drobnych wypadków życia codziennego, małych intryg i komeraży, lichych śmieszności i lichych cnót, zawodów miłosnych powszedniéj duszy i dziecinnych boleści rozpieszczonego próżniaka; a przemyśliwał nad tém, jakby owe kwestye palące przed czytelnikami rozwinąć w sposób o tyle przynajmniéj zajmujący, żeby się od nich nie odwrócili ze wstrętem. Powziął tedy zamiar odmalowania w powieści nie małostek indywidualnych, ale wielkich prądów społecznych, o ile się one oczywiście w pewnéj grupie indywiduów uwydatnić dadzą. Kaczkowski już w roku 1854 zaczął drukować swą „Dziwożonę“, w któréj zamiar swój urzeczywistniać rozpoczął, drugi zaś wielki utwór „Wnuczęta“ wyszedł w Petersburgu w r. 1855; a napisany był także w roku poprzednim, jak o tém wiemy z ówczesnych doniesień dziennikarskich. Należy więc Kaczkowskiemu przyznać w zupełności samoistność wielkiego pomysłu, w którym chciał objąć i przedstawić najwydatniejsze grupy społeczne w czasach siebie najbliższych, chciał zrobić bilans stron dodatnich i ujemnych w gospodarstwie narodowém, ażeby ludzie przyjrzeli mu się dokładnie i przedsięwzięli jakieś usiłowania w celu zaradzenia złemu.

W „Dziwożonie“ starał się przedstawić dwa typy młodzieży przed r. 1846, „typy tych sławnych marzycieli społecznych, którzy za młodu obiecywali tak wiele, którzy tyle niezaprzeczonych posiadali zdolności; którzy wszyscy, jeżeli zawczasu z błędnego koła niewczesnych sporów o *cacze teorye* lub *martwe przesądy* nie wyleźli — i nic zgoła nie ziścili i sami się zmordowali“. Obrazy ich pochwycić i postawić na drogach przyszłych pokoleń jako drogoskazy odwracające ich kroki od zdradliwych topielisk serca i rozumu — oto, wedle wyznania samego Kaczkowskiego, cel jego

powieści. Usiłował być bezstronnym i zarówno demokratycznéj jak arystokratycznéj partyi jednakową sprawiedliwość wymierzyć. Usiłowania te jednak, widoczne w wyrażeniach, pochodzących od autora, nie były dość silne, ażeby się odbić artystycznie w przedstawionych postaciach. Kamil Łaski, reprezentant idei demokratycznéj, jestto młodzieniec zapalony, wichrowaty, nierozważny, dla marnéj demonstracyi narażający całą niemal przyszłość swoję, w wyrażeniach niewybredny, gryzący: dotąd bardzo dobrze i na taką charakterystykę godzimy się chętnie. Ale Kamil uczucie „umieścił w mózgu“, nie zdolen jest kochać prawdziwie, serdecznie, tylko fantazyować w miłości i w przyjaźni, patrzeć jedynie własnego zadowolenia... Przymioty te napotykały się bezwątpienia w niejedném indywiduum; ale indywiduum to mogło być zarówno demokratą jak arystokratą. Gdyby Kamil nie miał być „typem“, nie potrzebowałbym i przeciwko temu protestować; atoli według zapewnienia Kaczkowskiego, to typ naprawdę, to przedstawiciel wielkiéj masy młodzieży, więc protestować muszę, gdyż przypomniawszy sobie choćby tylko Konarskiego i Wiśniowskiego, widzę w charakterystyce nieprawdę. Niedosyć na tém. Postępki Kamila są zawsze występkami; gdy tymczasem czyny Edmunda, przedstawiciela arystokracyi, rozważnego i salonowo ukształconego, czyny choćby najbrzydsze są tylko zapomnieniem się. Gdy Kamil podejrzywa np. jest nikczemnikiem: gdy Edmund nazywa go *niczém*, *synem pogańskim*, *zdrajcą*, *łajdakiem*, postępuje słusznie i ma jeszcze do niego urazę. Kamil, który miał zawsze plany wielkie obejmujące całe społeczeństwo, jest w każdym kroku niepraktycznym, zraża się lada przeszkodą, rozczarowywa się natręctwem i oszukaństwem chłopów, nie może pracować w małym zakresie. Jest waryatem, który poznawszy całą nikczemność kobiety nie może się od niéj oderwać; pomimo doświad-

czenia nabytego za granicą, pomimo wielkiego rozwinięcia umysłu daje się złapać jak wróbel na plewy i robi „dziwnie głupią minę“, gdy mu dawna kochanka Adela pocałunku odmawia. Skończył na tém, że wziął ślub z 28-letnią pięknością, jak ona sama liczyła; i gdyby nie to, że najdziwniejszym w świecie wypadkiem „dziwożona“ Adela jadąc w tym samym powozie co Kamil nie podruzgotała sobie w jarze pogańskim kości, byłby został *szczęśliwym* jéj małżonkiem. Kamil pomimo upadku był zupełnie zdrów i tegoż jeszcze wieczora pojechał na Zachód a z Paryża napisał do opiekuna list, w którym go żegna nazawsze a ojczyźnie swojéj srogie posyła przekleństwo.

Autor tak dalece upośledził Kamila, że mu nawet odmówił zgrabnych ruchów i pewności siebie. Że Kamil w początku powieści jest nieśmiały i niezgrabny, pojmujemy to doskonale; nie żył on bowiem na wielkim świecie, a pogrążony w marzeniach życia wewnętrznego, nie miał sposobności ani czasu do nabierania gracyi. Ale od tego czasu upłynęło lat blisko 12; Kamil przeszedł wiele przygód, bywał w świecie, wykształcił się w Paryżu, miał stosunki z eleganckim stanem bogatego mieszczaństwa; a jednak wobec Edmunda i Adeli jest tak samo nieśmiałym i niezgrabnym jak przed laty 12...

Kamil tedy skończył na przekleństwie. A Edmund? Edmund zażywszy niezbyt edenowych rozkoszy z Adelą, która go oszukała dla jakiegoś huzara, zmarnowawszy majątek na podróże dla rozrywki lub zabicia nudów i na zbudowanie pysznego pałacu; słowem przepędziwszy młodość bez żadnéj myśli o całości społeczeństwa; staje się ideałem, powraca na łono religii, żeni się z Hanią biedną (tj. pozbywa się przesądów) i pracuje na roli jak najzacniejszy, najrozumniejszy obywatel. Idee więc arystokratyczne

torują „ścieżki pańskie“, a demokratyczne wiodą do znienawidzenia kraju...

Dla demokratów nie był Kaczkowski łaskawszym i we „Wnuczętach“. Przedstawił tu *Drabika*, człowieka propagującego teorye o równości stanów, o potędze ludu; wywnętrzającego się z wielką miłością dla chłopów a ciągnącego z nich lichwę; samoluba i epikurejczyka, dbającego przedewszystkiém o trzos i podniebienie, używającego swych zdolności na matanie różnorodnych intryg, w których widzi jakąkolwiek korzyść dla siebie; człowieka słowem popisującego się wielkiemi frazesami, a podłego we wszystkich postępkach.

Późniéj Kaczkowski widział dwa tylko sposoby, złączone zresztą ze sobą ściśle, mogące wykierować demokratę na pożytecznego członka społeczeństwa: religią i pożycie wśród *szlachty z dobrego gniazda*. Pierwszy sposób zrobił z księdza Wikarego w „Stachu z Kępy“ zapalczywego trochę ale szlachetnego i gorliwego propagatora oświaty wśród ludu, oświaty, kontrolowanéj wprawdzie przez dziedzica, niemniéj jednak zbawiennéj. Drugi sposób powołuje Stefana (w „Bajroniście“) dziecię wieśniacze na małżonka arystokratycznéj panny i właściciela znacznego majątku; a demokratycznemu doktrynerowi Skibie w „Rozbitku“ każe się ciągle wyszlachetniać i niezmordowaną pracą wetować szkody, zadane gospodarstwu szlacheckiemu niedojrzałemi lub zgubnemi ideami. Najlepszą z tych postaci jest bezwątpienia Skiba, którego portret wykończył Kaczkowski we wszystkich prawie szczegółach. Najzacniejszemi przejęty uczuciami, wszystko widzący jasno w teoryi, umiejący wytłómaczyć sobie każde zjawisko, jest niedołężnym w praktyce do najwyższego stopnia. Byłto czysty teoretyk, zmuszony okolicznościami do praktycznéj pracy na roli; popełniał w niéj ciągłe błędy, lecz miał tyle odważnéj szczerości, że

się przyznawał do pomyłek, a tyle cierpliwéj energii, że nie rzucał raz rozpoczętéj roboty, ale poprawiał ją, modyfikował dopóty, póki jéj należycie nie wykończył. Gdy i wówczas jeszcze nie odpowiadała celowi, rozpoczynał nanowo. Naraziwszy swojemi teoryami dom, w którym był nauczycielem, na wielkie, okropne straty w 1846, wszystkie siły wytężał, byle je choć w części naprawić. Smutne tedy doświadczenie przyłączyło się tu do wpływów życia szlacheckiego, ażeby charakter Skiby podnieść i uszlachetnić; nie rugując jednak w gruncie z jego głowy demokratycznych przekonań.

Obecnie w sprawie przekształcenia charakterów uznajemy za najważniejsze doświadczenie, o którém Kaczkowski mimochodem tylko wspomniał, a które najlepszym jest próbierzem praktyczności pomysłów; dodajemy nadto ścisłą wiedzę, która wszelkie ekscentryczności, wszelkie jednostronne zapatrywania wygładzić umie. Kładziemy téż szczególny nacisk na wiedzę, gdyż ona jedynie potrafi do ładu doprowadzić straszliwy chaos pojęć, wśród społeczeństwa naszego panujący.

We „Wnuczętach“ wystawił Kaczkowski powolne osłabianie się siły ducha i energii życiowéj w trzech po sobie następujących pokoleniach. Najstarsza gieneracya uosobiona w Demborogu, zapalonym arystokracie, człowieku uczciwym, ale przesądnym, niegdyś tęgim żołnierzu, który widział czasy wielkich powszechno-dziejowych wypadków. Tém wszystkiém był dawniéj: w powieści występuje to jako impetyk, to jako tetryk, dożywający ostatnich chwil swoich w gadatliwości nieskończonéj, a powtarzającéj ustawicznie jednę tylko zwrotkę o upadku młodego pokolenia. Widzi on ruinę majątkową, ale jéj nie umie zaradzić inaczéj jak ucieczką do skarbu zostawionego przez przodków dla użycia w wypadkach nadzwyczajnych; a gdy skarbu tego nie znalazł,

ginie. Druga figura przedstawiająca najstarszą gieneracyą, szef Niemira, używający ogromnego poważania, nie mający wielkiego afektu do herbu, lecz zważający pilnie na dobre gniazdo, nie sprzeciwiający się wprawdzie wprost miłości syna, ale kładący nacisk na posłuszeństwo winne ojcu, — pozostawiony został na boku.

Drugie pokolenie przedstawia już większe zepsucie, większe samolubstwo, a w najlepszym razie brak celu życia i zatém idące próżniactwo. Najsympatyczniejszą w tém pokoleniu osobistością jest Tadeusz Niemira, synowiec szefa, trochę Cyrulik sewilski a trochę Don Kiszot. Rozum ma niezmiernie trzeźwy, w wielu kwestyach dobrze widzący; charakter — szlachetny i energiczny. Nie ma jednak przed sobą nic, do czegoby się silnie przywiązał; stąd jego dalekie podróże po Europie, Azyi i Afryce, stąd szukanie ciągłéj zmiany i gorączka ruchów. Gdy się znajduje w kraju, jest wujaszkiem całego świata, ale nie widać wcale, żeby się majątkiem i poddanemi swemi zajmował choć trochę. Umysł to koniec końców tak kapryśny i niejednolity jak historya powszechna prawd i błędów ludzkich, ceni na równi Woltera i księdza Chołoniewskiego, Schillera i traktat o fabrykacyi wódki; nieporządna i niesystematyczna lektura odbiła się w urządzeniu mieszkania i w postępowaniu. Radząc wszystkim jak najlepiéj, sobie samemu pomódz nie potrafił.

Racibor, znany z nieszczęśliwéj miłości, smutku i szlachetności, zasypany śniegiem wówczas gdy dla poratowania rodziny Demborogów wiózł pieniądze, jest figurą mającą wszystkie rysy dodatnie, ale bardzo bladym pociągnięte kolorem.

Amilkar, syn starego Demboroga jest znudzonym i znarowionym angielszczyzną egoistą, marzącym jedynie o używaniu, niedbającym o jutro, projektującym tysiąc rzeczy na

godzinę. Zadłuża się ciągle a o spłacie długu ani myśli; gotów córkę poświęcić, ażeby komfort sobie zapewnić.

Obok téj nadętéj próżności staroszlacheckiéj staje godnie próżność świeżego pokroju — pan baron, zdzierający trzy kapelusze rocznie na wsi a 52 w stolicy na grzeczne ukłony dla wszystkich, a szczególniéj dla tych, co mają tytuły książąt i hofratów. Jest on jednakże czémś zawsze zajęty: oprócz spekulacyj handlowych i pieniężnych, gospodaruje wzorowo, a nawet trudni się cudzemi interesami; ma zaszczyt być członkiem kilku gospodarskich towarzystw, kilku banków, towarzystw uczonych, miłosiernych a w różnych ochronkach i kasach dla zapomagania ubogich jest nawet prezesem. Wszystkich tych szczegółów dowiadujemy się z rekomendującéj go charakterystyki; lecz w akcyi występuje tylko jako nadęty, niezgrabny i śmieszny egoista; a jak zapewnia szef Niemira, — najpodlejszy-to szachraj.

Najmłodsze wreszcie pokolenie nietylko już nie ma celu życia, ale skarlało zarówno fizycznie, jak moralnie i umysłowo. Niedołężny, niezaradny, wrażliwy syn szefa Adaś, nie może postawić kroku bez cudzéj porady. Papinkowaty Lolo jest maminym synkiem bez hartu ducha, bez woli, powiedziećby nawet można, bez mózgu. Są to wprawdzie chłopcy grzeczni, ogładzeni, cnotliwi; umieją się nawet pojedynkować; ale do działania jakiegobądź zupełnie niezdolni. A ten który jest do niego zdolny, Edward, dorobkiewicz, wnuk kuchty-złodzieja, należy do kategoryi ludzi bez sumienia. Nieszczególna to zresztą zdolność. Intrygant nibyto przebiegły, we własne łapie się sieci; zaślepiony namiętnostką, poświęca dla niéj, niewiadomo poco, i swój egoizm (wystawia się bowiem na upokorzenia) i majątek i stosunki. Nibyto wykształcony, a największe popełnia omyłki w zarządzie domowym, zaprowadza reformy gospodarskie, które go rujnują, daje się oplątać nietylko Drabikowi, nietylko Kopyt-

kiewiczowi, ale nawet Ernestynie, istocie nerwowéj i ekscentrycznéj.

Albo bierność albo podłość — oto cechy młodego pokolenia galicyjskiego przed 1846 r. wedle Kaczkowskiego. Skutkiem tego majątki upadały i z rąk szlachty przechodziły na własność przekupniów, niezwiązanych z ziemią żadnemi węzłami. I tu jak co do demokracyi powiedzieć można, że tak było w pojedyńczych wypadkach, ale że straszny i przerażający stan umysłów i nagromadzonych bogactw nie mógł charakteryzować ogółu. Kaczkowski był przeciwnikiem dorobkiewiczów jak wszyscy ówcześni powieściopisarze; widać to ze sposobu, w jaki wystawia barona i Edmunda. Nie zastanowił się więc nad tém, że bez idei dorobku niema właściwie cywilizacyi; gdyż (mówiąc tylko o jedném jéj szczególe) wszystkie rody znakomite dorobiły się kiedyś znaczenia i majątku. Że dorobek ten zawdzięczały mieczowi lub dyplomacyi, to w niczém nie zmienia kwestyi. Różnica czasów dostatecznie usprawiedliwia różnicę środków. Dorobek z szydła czy z łokcia równie jest dobrym, równie szlachetnym, chociaż niekiedy nie tak wzniosłym jak dorobek z miecza, byle tylko człowiek pozostawał tym samym, tj. cnotliwym. Bardzo często tak nie jest, gdyż człowiek zajęty zbieraniem grosza, staje się nieczułym samolubem, albo przebiegłym szalbierzem. Ale zważmy także, że długa niewola włościan była skutkiem przewagi oręża, a ucisk i nadużycia, któremi wojownicy sławy się dobijali, mogą być na równi postawione ze zdrożnościami nowożytnego przemysłu i handlu. Jeżeli więc szlachcie dzisiejszéj jako ogółowi nie wytykamy gwałtu, zapomocą którego przodkowie jéj doszli do majątku; nie wytykajmy podłości i szachrajstwa *ogółowi* dorobkiewiczów. Nie przeszkadza to jednak artyście wystawiać ludzi złych i zepsutych,

nie przeszkadza moraliście gromić błędy i zdrożności, byle obaj, opierając się na faktach pojedyńczych, nie uogólniali ich i nie nadawali im znaczenia reguły powszechnéj. Statystyka kryminalna przekonywa nas, że tylko pewien procent społeczeństwa należy do liczby większych i mniejszych zbrodniarzy; nie bądźmyż surowsi od nieubłaganych cyfr i nie zarzucajmy zbrodni tym, którzy ulegają tylko słabościom, nie nazywajmy grzechem tego, co jest tylko śmiesznością; a prawda i sprawiedliwość nic na tém nie ucierpi.

W „Bajroniście“ marzycielstwo bezcelowe i bezczynne zostało osmagane. Epoka, w któréj bajronista Miron żył i mógł działać od r. 1825 - 1837, była najświetniejszą chwilą rozkwitu i wzrostu poezyi narodowéj. Kaczkowski nie dotknął téj myśli ani jedném słowem; o zasługach tylko Brodzińskiego niby nieocenionych należycie napomknął przez usta Mirona kilka nieumotywowanych ogólników, że „jego zasługi przeszły dzisiaj w wielkiéj części na jego następców, którzy z jego puścizny zręczniéj a może i głośniéj umieli korzystać“, że główna idea nowego zwrotu w poezyi w Brodzińskim tylko była całkiem czysta i swoja; a u późniejszych, choć niezawodnie wznioślejszych i większych twórców jest już połowa prawie naleciałości obcych i że tylko nieznajomość poetów angielskich i niemieckich może nie widzieć tych strumieni uczucia i myśli, które z gór obcych przeprowadzono w rzek naszych koryta. Szczególne to i doprawdy zadziwiające zamiłowanie bajronisty w utworach spokojnego wsi śpiewaka! Trzeba do tego dodać, że słowa powyższe pisał Miron już po wydaniu „Pana Tadeusza“.

Miron był naturalnie potomkiem starożytnéj rodziny. Dzieckiem odznaczał się dziwną fantastycznością, duszą pełną przeczuć i widzeń cudownych. Wychowanie odebrał staranne i z pozoru bardzo systematyczne. Ojciec jego,

człowiek zasad surowych, z początku arystokrata, później wraz z przemianą na chrześcijańsko-postępowego odznaczający się pobłażaniem, nie wywarł nań żadnego wpływu. Toż samo Chrewta, ideał żelaznéj konsekwencyi i wytrwałości, nieposzlakowanéj uczciwości i wielkiego hartu duszy, umysłu szerokiego i trzeźwego, pomimo że się zajmował edukacyą Mirona, żadnego ze swoich przymiotów i zasad w nim nie zaszczepił. Jeden tylko łzawy guwerner de Toutrien przelał nań swą uczuciowość, która się zamieniła następnie w kapryśną żądzę hołdów pod działaniem utworów Byrona. Kaczkowski więc, jak się zdaje, uważa oględne i systematyczne wychowanie za rzecz bardzo małéj wagi w ukształceniu duszy człowieka, gdyż tylko usposobienie naturalne i atmosfera duchowa czasu może mieć pod tym względem według niego decydujące znaczenie, tak jakby edukacya nie była jednym z przejawów atmosfery duchowéj.

Jako młodzian, Miron jest próżniakiem, marzycielem, pochlebcą w razie potrzeby: ma być dowcipnym, lecz ani w rozmowach, ani w listach jego dowcipu nie widać; co więcéj grzeszy nawet brakiem przenikliwości, jak się to pokazuje z rozmowy z senatorową, która potrafiła weń wmówić, że tylko sposobem próby obrała go za cel swoich zapałów... Lubi się bawić w jakiémkolwiek towarzystwie i wszystkich kocha z początku; a dziecinna miłość dla Minki w ogniu bojowym z r. 1831 zupełnie się wypaliła. Zawód ogólny dotknął i jego, chociaż doprawdy trudno zgadnąć, dlaczegoby w nim mianowicie doszedł do punktu, w którym się rozpacz poczyna. Że miał serce czułe a umysł fantastyczny, to prawda; ale i to także prawda, że był lekkomyślny i samolubny; a na takie natury tylko zawody osobiste oddziaływają. Potrzeba mieć jawnych lub urojonych nieprzyjaciół, ażeby z podobném do Mironowego uspo-

sobieniem zostać bajronistą. Tymczasem jedyny Mirona osobisty zawód stanowi nieszczęśliwa miłość dla Talii; lecz on, co parę innych miłości tak lekceważył, nie mógł się ugiąć pod jego ciężarem; témbardziéj, że jak się późniéj przekonywamy, cenił w Talii tylko wdzięki zewnętrzne nie zaś przymioty duszy. O Mironie i wszystkich jemu podobnych umysłach mówi Chrewta: „Ci ludzie rzuceni są na tę ziemię tak jak losy fantowéj loteryi rzucone do urny. To jest *nihil*, mości dobrodzieju. Przy niektórych loteryach nihile są ozdobione daleko piękniéj niżeli losy wygrywające — on należy do takiéj loteryi: ozdoby z wierzchu, ale pusto we środku. Jestto beczka, która jest pełna różnego złocistego rupiecia, ale ta beczka nie ma ani dna ani wieka; co dzisiaj wrzucisz wiekiem, dnem do jutra wyleci i nie zostawi po sobie śladu. Jestto zresztą kocioł z gorącą wodą, pod którym pali się ustawicznie; cokolwiek weń wrzucisz, będzie się zaraz gotować, ale też i rozgotuje się zawsze na miazgę i wyparuje za dobę“. Otóż taki charakter, pozbawiony zdolności do jakiegokolwiek czynu, trawi się wewnętrznie, ubiega się za uciechami, czuje nudę okropną, tuła się bezcelowo po całym świecie, nigdzie ani spokoju, ani pokarmu dla duszy znaleźć nie mogąc, zgrywa się, goni marę dawnéj miłości i zrobiwszy w końcu dobry uczynek, umiéra.

A. E. Koźmian nie widzi w Mironie istotnego bajronisty. „Młodzież — powiada — na którą duch Byrona wpłynął, inną była; nie była ona wcale marzącą jak Miron na zamku, romansową i kochającą, jakim się okazuje w salonach lwowskich; lecz była pełna dumy, goryczy, niepokoju ducha, pełna szyderstwa i żalu do świata“[1]). Istotnie, zdaje

---

[1]) „Dziennik Warszawski“, 1856, Nr. 57. Korespodencya „Znad Bystrzycy“.

mi się, że Kaczkowski popełnił omyłkę. Miron jego nie jest reprezentantem całego byronowskiego kierunku, lecz jednostką mierną, albo co najwięcéj średnich zdolności, która jedynie przez kaprys autora musiała nosić cierniową gieniuszu koronę. Bardzo to trudno przedstawić poetę, którego dzieł nie znamy, który był zatém poetą tylko dla małego kółka znajomych i przyjaciół. Potrzeba wszystkie okoliczności jego życia tak dokładnie obmyśleć, ażeby prawda wewnętrzna jego natury, a więc, jeżeli nie gienialność, to wielki talent przynajmniéj — nie stanęła w kolizyi z tém prostém pytaniem: gdzież są owoce sławionego gieniuszu, czy talentu?.. Nie może tu być oczywiście mowy o samém tylko tak zwaném usposobieniu poetyczném, które bywa udziałem ludzi, z wierszami nic nie mających spólnego, ale o rzeczywistéj poetycznéj działalności, która nie mogła, lub nie chciała występować na zewnątrz.

Chwila ta, w któréj tworzył Kaczkowski, jako odznaczająca się przewagą beletrystyki w literaturze, obfitowała w powieści, przedstawiające poetów i artystów. Kraszewski pisał swoję „Powieść bez tytułu“, Korzeniowski „Garbatego“, Morzkowska „Nowego Gladyatora“, Niewiarowski „Laokoona“, że pominę kilku innych pisarzy o wiele mniejszego talentu, znaczenia i wpływu. Podnoszono nieznanych artystów do ideału, opisywano ich walki wewnętrzne i rozterki z otaczającym światem, zimnym, egoistycznym a czasami brudnym; wieńczono laurami nikomu nieznane talenta z takim entuzyazmem, z jakim nikt nie wieńczył znanych powszechnie. Pośród nich odznaczył się wielką szlachetnością i tęgością charakteru „Garbaty“ Korzeniowskiego; inne były to mniéj więcéj patologiczne objawy słabości, niedołęstwa, a jeden nawet — zepsucia. Wszędzie atoli rozbiór duchowéj, wewnętrznéj istoty tych artystów był powierzchowny i płytki, albo téż tak mglisty, niejasny i niekonsekwentny, że ni-

kogo nie mógł przekonać o ich gienialności a nawet o wielkim talencie, lecz tylko — z wyjątkiem „Garbatego“ — o płaczliwéj lub butnéj pretensyonalności.

Kaczkowski nie był szczęśliwszym od swoich poprzedników i następców w skreśleniu i umotywowaniu wewnętrznéj natury bohatera; lecz wskutek przewagi wyższego nastroju nad drobnostkami salonowemi i wskutek odmalowania kilku oryginalnych figur, takich jak Chrewta i Regimentarz, nadał swojemu utworowi cechę wyróżniającą go od wszystkich innych tego rodzaju. Inne (a mianowicie Kraszewskiego), przewyższają go w szczegółach życia potocznego, w rysunku postaci średniéj, albo żadnéj inteligencyi; lecz pod względem tonu całości, muszą mu ustąpić.

Pomijając „Stacha z Kępy“, jako utwór mniejszéj wagi, w którym Kaczkowski zalecał wieśniakom słuchać pana i plebana a nie piąć się do wyższego stanu; pozostaje mi powiedzieć słów kilka o „Rozbitku“. Wszystkie żywioły, składające tę powieść, znane są z poprzednich utworów. Główny bohater Karol, który słuchając nauk doktrynera demokratycznego Skiby, brał udział w zwichniętym a zużytkowanym przez rząd austryacki ruchu roku 1846, przebywszy dwa lata więzienia, nie staje się wprawdzie zwolennikiem zasad ściśle arystokratycznych, ale szuka podstawy w rozwoju szlachetczyzny i pracę organiczną na roli, zalecaną w „Dziwożonie“ wprowadza w praktykę. To też dom w Zawisłowczu był wzorem dla innych. „Na dnie ich życia siedziała skrzętna, wyrachowana praca; lecz nad nią unosił się uszlachetniony duch ludzki w całéj swojéj swobodzie i wspaniałości“.

Przedstawicielem arystokracyi niepoprawnéj, pogrążonéj w przesądach, choć uczciwéj i szlachetnéj, jest hrabia Izydor, który zna dobrze dążenia postępowe, ale nie może się z niemi pogodzić i żyć. Stąd istnienie jego jest szere-

giem nudów nieznośnych. Wierzy on w „krew“, choć oczywiście najnowszéj teoryi dziedziczności nie zna, a gdyby ją znał, to pewnieby potępił jako owoc postępowych teoryj. Wie, że zginąć musi, lecz się tém wcale nie zraża i przyjmuje ten cios jako przejściową fazę zmiennego losu; do pracy wśród zmienionych warunków, do pracy drobnéj, mrówczéj nie czuje ni siły, ni nawet pociągu. Woli się we wspomnienia dziejowe zawinąć i z godnością rycerza, choć nie z jego walecznością i energią, czekać przeznaczenia.

O świecie kobiecym w spółczesnych powieściach Kaczkowskiego mimochodem tylko wspomniałem, gdyż on istotnie w wielkim jego bilansie społecznym nie stanowi znacznéj pozycyi. Jako istoty bierne służą kobiety albo własnym jedynie namiętnościom, albo téż stają się nagrodą szlachetnych mężczyzn; same przez się nic nie znaczą. Dzielą się one na dwie wielkie grupy: zalotnych intrygantek i truś niewinnych. Pierwowzorem pierwszéj grupy jest Kamila w powiastce „Kato“; bliższe jéj określenie podał Kaczkowski w Adeli („Dziwożonie“). Jestto rozpustnica, myśląca wyłącznie o dogodzeniu zmysłom i zachciankom, jestto intrygantka zręczna i bezczelna. Tegoż samego rodzaju jest baronowa we „Wnuczętach“; a starszą odmianą — marszałkowa w „Dziwożonie“, senatorowa w „Bajroniście“ i inne.

Drugą grupę reprezentuje Hania w „Dziwożonie“, istota cicha, skromna, niewinna, ale zarazem gąska parafialna bez szerszych myśli i uczuć gwałtowniejszych. Jéj odmianę stanowią: Mania we „Wnuczętach“, Hermina w „Bajroniście“, Józia w „Rozbitku“. Cechą ich najogólniejszą — mdła uczuciowość i słaba inteligencya.

Odrębne miejsce zajmuje Talia, która przedstawia ten sam typ, co Melania w „Grobie Nieczui“: zręczna, salonowo wykształcona, dobra muzyczka, pełna uczucia, ale ostatecznie słaba, bez żadnéj energii, jak to się najlepiéj okazuje

w scenie z mężem, gdy ten zastał ją razem z Mironem. Emancypacyjne do pewnego stopnia idee przedstawia Ernestyna we „Wnuczętach"; cała jéj jednak emancypacya zasadza się na pogardzie opinii światowéj i na wyrzącém, niespokojném uczuciu.

Wogóle można zauważyć, że postaci kobiece nie mają u Kaczkowskiego dobitnéj charakterystyki; autor, zdaje się, tak jak jego Miron, uważa kobiety za wieczne zagadki i nie sili się wcale na wyjaśnienie ich natury. Nie lubując się wcale w przedstawieniu namiętności, nie mógł też rozwinąć przed nami obrazu ani jednéj istoty niewieściéj ze świata spółczesnego, któraby żywą plastyką wrażała się w naszę pamięć i silny w niéj ślad pozostawiła. Jako moralista, nie widział Kaczkowski potrzeby wprowadzania kobiety w świat samoistnéj działalności; idea też pracy kobiecéj nie pojawiła się u niego wcale. Tylko w rodzinie, tylko z mężem stanowi kobieta, według niego, jakąś pozycyą w bilansie społecznym.

Wielka doniosłość kwestyj podjętych przez Kaczkowskiego w powieściach spółczesnych, zaszkodziła ich stronie artystycznéj. Refleksye, rozumowania, rozprawy na temat abstrakcyjny zajmują w nich miejsce naczelne; charaktery zaś, sceny, akcya nieśmiało się ruszają, jakby zawstydzone swą rolą. Takie obszerne utwory, jak „Dziwożona" lub „Wnuczęta", które w pierwszém wydaniu po cztery spore tomy obejmowały, są osnute na treści powieściowéj nadzwyczaj szczupłéj, dającéj się opowiedzieć w krótkości. To więc, co rozwlekłością nazywamy, oczywiście musiało tę malutką treść rozdąć do żądanych rozmiarów. Szerokie, drobnostkowe, a suche zazwyczaj opisy miejscowości, mieszkań i osób; powtarzanie kilkakrotne relacyj o tymże samym wypadku; dysputy nie zostające w bezpośrednim stosunku z główną powieści osnową, a przeciągane aż do znużenia:

oto środki, za pomocą których dokonywało się owo rozdymanie. Powtóre Kaczkowski, zaprzątnięty abstrakcyjnemi myślami, nie przywiązywał wielkiéj wagi do kreślenia charakterów, które miały być tylko uosobieniem pewnych idei i przekonań lub ich braku. Cóż go obchodziły szczegóły charakterystyczne, będące wynikiem duchowego ustroju *jednostki*, kiedy mu szło przedewszystkiém o odmalowanie a raczéj odrysowanie *ogółu?* Z téj saméj przyczyny nie obmyślał należycie scen, lecz je zupełnie przygodnie, jak mu się same nastręczały, przedstawiał. Pod względem korzystania z nich miał on bezwątpienia więcéj rozwagi, aniżeli najlepsi nawet nasi powieściopisarze; ponieważ jednak brakło mu talentu umiejętnego zużytkowania szczegółów charakterystycznych, scenowanie jego jest raczéj nużące, niż ożywiające, trwa bowiem długo, a nie przedstawia dla imaginacyi koniecznéj świeżéj karmi. Brak żywotności w przedstawianych figurach sprawia, że i sceny martwemi się wydają, tak że np. we „Wnuczętach“ dwie tylko pozostają w umyśle: scena czytania testamentu i otwarcia skarbu, tudzież scena śnieżnéj zawiei i śmierci Racibora. W tym samym mniéj więcéj stosunku wyrazistości znajdują się sceny w innych powieściach spółczesnych Kaczkowskiego.

Potrzecie układ powieści powiększéj części jest wadliwy. Przerywanie opowiadania i nawracanie ku niemu po pewnym przeciągu czasu, w którym mówiło się o czém inném; brak proporcyi pomiędzy pojedyńczemi częściami i nieumiejętność w skupieniu efektów: są to wady najogólniejsze powieści Kaczkowskiego ze stosunków spółczesnych, wady obniżające a nawet unicestwiające interes i wrażenie, jakie utwory jego z powodu myśli przewodnich wywrzeć były mogły. To téż nigdy one nie miały takiego powodzenia jak opowiadania Nieczujowskie i podlegały mniéj więcéj surowéj krytyce. Spółcześni nie umieli zazwyczaj ocenić

ważności przedstawionych przez Kaczkowskiego kwestyj; żądni byli natomiast ładnych obrazków; ponieważ ich nie znajdowali, lekceważyli zatém utwory, które artystyczną obsłonką gardziły. Najmniéj zarzutowi temu mógł podlegać „Bajronista“; w nim bowiem dyskusye wynikały z saméj natury bohatera, a prócz tego nie brakowało oryginalnych i nieźle utrzymanych charakterów, które się w odpowiednich scenach ukazywały. Sytuacye, co prawda, są powszednie; a co więcéj jednostajne, gdyż składa się na nie życie domowego zacisza, bal, gra w karty, pojedynek; ale téż znajdują się rzeczy malownicze a nowe: np. jazda Mirona na koniu po galeryach zamkowych. Najsłabszym artystycznie jest „Rozbitek“, w którym niepodobna nawet dopatrzyć jakiegoś porządnego układu. Ażeby dać pojęcie, jak się Kaczkowski zaniedbał w artyzmie, dość przytoczyć, że w połowie trzeciego tomu, t. j. już przy końcu powieści sam oświadcza, iż charakteru bohaterki głównéj, Józi, jeszcze nie znamy i wtedy dopiero przedstawia nam dzieje jéj rozwoju. Mało co lepiéj wyszedł na staranności autora bohater Karol. I tak „Rozbitek“, utwór Kaczkowskiego dojrzały pod względem *myśli i przekonań*, przedstawia się nam jako wyborny okaz *suchot artystycznych*.

VI.

Od roku 1860, kiedy się po raz pierwszy ukazali „Żydowscy“ [1]), Zygmunt Kaczkowski zaprzestał pisać powieści,

[1]) Wydanie książkowe téj „kroniki rodzinnéj“ wyszło dopiero w r. 1872 (Lwów, nakład F. H. Richtera, 2 tomy). Autor, pisząc słówko wstępne do téj edycyi, dobrze scharakteryzował jéj publicystyczne tylko znaczenie, a w końcu nawet zauważył, „że gdyby to wszystko wykreślił, co mu się dzisiaj wydaje przestarzałém lub źle napisaném, z całéj książki zaledwieby kilkanaście kartek zostało“. Sąd to zbyt surowy, samemu jedynie autorowi dozwolony.

a nawet, wyjąwszy okolicznościowe we własnéj obronie wystąpienie w r. 1866 („Rewolucyjne sądy i wyroki"), zupełnie zerwał z piśmiennictwem. To też interesujący się rozwojem literatury naszéj niezmiernie byli zaciekawieni, gdy „Gazeta Polska", w r. 1878 obudziwszy z długoletniéj drzémki literackiéj głośnego niegdyś powieściopisarza, ogłosiła, że zacznie drukować nowy jego utwór pod dość zagadkowym napisem: „Graf Rak". Istotnie ciekawą było rzeczą, jak się przedstawi umysł niepospolity po 18 latach trudów, cierpień, radości, a wogóle doświadczeń wszelakiego rodzaju; jak patrzyć będzie na zmienione pod bardzo wielu względami stosunki społeczne; jak traktować zechce ten świat wyobraźni, te kształty, duchem artysty i myśliciela do życia powoływane, które tyle szlachetnych rozkoszy ludziom przynoszą...

Gdy po długiém oczekiwaniu ukazały się pierwsze numery z „Grafem Rakiem", można było wprawdzie zauważyć, że autor widocznie jest zmęczonym, znużonym, wychłodłym, ale zarazem niepodobna było nie przyznać, że myśl jego rozpatruje się w widnokręgach szerokich, szerszych nawet od tych, jakie dawniéj ogarniała; że talent jego skupił się i ześrodkował, pozbywając się rozwlekłego gawędziarstwa o rzeczach powszednich, a potęgując treściwe, faktyczne niemal przedstawianie osób i wypadków. Rozpoczęcie powieści było zajmującém i efektownem, pomimo, że autor na efekt wcale się nie wysilał, opowiadając sposobem prostym to, na co patrzył. Ta scena pełna tragiki, w któréj wśród obozu, rojącego się od ludzi, wystąpił ojciec zrozpaczony, wołając o synów swoich, co wbrew jego życzeniu do armii włoskiéj się udali, i ten drugi człowiek obojętny, szyderczy, co z ironią na rozpacz jego patrzał, ta scena, powiadam, należy do najświetniejszych, jakie Kaczkowski kiedykolwiek utworzył. A dla ocenienia jéj pamiętać trzeba, że to się dzieje podczas przygotowującéj się

wojny Włochów z Austryakami, że potém indywidualne cierpienia, indywidualne uczucia łączą się tu misternie z cierpieniami i uczuciami ogólniejszego znaczenia; stąd wrażenie potęguje się, bo scena owa porusza najróżnorodniejsze, a przytém najdźwięczniejsze struny serca...

W miarę atoli, jak powieść rozwijać się zaczęła, przestała zajmować; od chwili, w któréj „Graf Rak“ wdał się w rozmowę z autorem a za jego pośrednictwem z czytelnikami, ujawniły się dawne braki talentu Kaczkowskiego. Autor wziął do obrobienia temat wielki i ważny, pojął go głęboko i zasadniczo: i wpadł w najsuchszy, jak tylko można, dydaktyzm. Wykład astronomii pozytywnéj i hipotetycznéj, prowadzony bezwątpienia z talentem, zapełniał po kilka numerów z rzędu i stanowił bądź-co-bądź twardy do zgryzienia orzeszek — nietylko dla mlecznych, ale i dla dojrzałych zębów. Zapewne, wykład ten miał swoje znaczenie w powieści, nie był wtrącony bezcelowo, nie rozpływał się w rozumowaniach oderwanych, lecz szedł z biegiem akcyi — do pewnego stopnia przynajmniéj; mimo to przecież, zarówno pod względem artystycznym jak i filozoficznym, za chybiony poczytanym być musi.

Pod względem artystycznym ma on charakteryzować osobę główną w powieści, „Grafa Raka“. Człowiek ten — to typ najnowszy w społeczeństwie europejskiém, jakiego ani starożytność, ani średnie wieki, ani nawet pierwsza połowa stulecia naszego nie znały. Niezmiernie bogaty, znający mechanikę stosunków ludzkich na wylot, zwłaszcza w zakresie przemysłu i handlu, lubiący żyć z komfortem, wierzący wyłącznie tylko w potęgę rozumu, a lekceważący porywy serca i fantazyi, ukształcony w wysokim stopniu — a w dodatku specyalista. Tak jest, specyalista; nie ma on wprawdzie stopnia doktora, nie czyta prelekcyj na żadnym uniwersytecie, nie nurza się w pyle książkowym i owszem,

żyje i używa życia; a pomimo to zna jednę naukę doskonale, stosunkuje się z ludźmi uczonemi całéj ukształconéj Europy i w razie potrzeby mógłby zastąpić jakiego docenta. Nie mogąc wśród olbrzymiego rozgałęzienia drzewa umiejętności w naszych czasach oddać się naukom wszystkim, wybrał dla siebie z taktem nietylko wielkoświatowym, ale i filozoficznym naukę, która od epoki Kopernika zrobiła przewrót we wszystkich naukach nietylko przyrodniczych, ale i historycznych, naukę najbardziéj skończoną z pomiędzy nauk przyrody — astronomią. Zna on w niéj najnowsze rezultaty i teorye, a idea walki o byt, przeniesiona z ziemi na niebo, stanowi oś, około któréj wszystkie jego rozumowania się obracają...

Dotąd wszystko jest w porządku. Powieściopisarz stworzył postać nową, oryginalną, pełną prawdy, mogącą zainteresować nawet najwybredniejszy umysł w naszéj mianowicie literaturze, gdzie taki rozpaczliwy brak charakterów wyższych czuć się daje. Jest to figura znakomita, pod pewnym względem — nawet skończona. Ale cóż? Postać ta w pomyśle i w kilku scenach prezentująca się wyśmienicie, staje się nudną przez maniacką niemal żądzę produkowania swéj wiedzy astronomicznéj wobec czytelników. Że tak w rzeczywistości bywa, że istotnie człowiek zamiłowany w nauce, napotkawszy powolnego słuchacza, który go choć trochę rozumie, wypowiada głośno swe myśli, to jeszcze nie racya, ażeby te głośno wypowiedziane myśli powtarzać w utworze artystycznym. Charakterystyka bowiem człowieka wskutek tak rozwlekłego traktowania zamiast stawać się wyraźniejszą i dobitniejszą, rozpływa się we mgłę, bo się staje tautologiczną. Artystycznie rzecz biorąc, daleko lepiéj przedstawiłby się nam „Rak“, gdyby więcéj działał i gdyby to, co mówi, miało cechy ściślejsze, bardziéj skoncentrowane,

słowem — gdyby rozmowa nie przemieniała się w rozprawę.

Pod względem filozoficznym astronomia „Grafa Raka“ miała przy współudziale krytycznym autora i życia dowieść niesłuszności pretensyi nauk przyrodniczych wogóle, a astronomii w szczególności do przepisywania trybu postępowania istotom ludzkim, miała być obroną wolnéj woli, cnoty, sprawiedliwości i wszelkich zresztą pojęć i uczuć, składających się na wytworzenie moralności wśród ludzi. Kaczkowski poszedł za dość pospolitym dzisiaj poglądem, jakoby zdobycze nauk przyrodniczych, wykładane materyalistycznie, stanowiły bezpośrednią przyczynę tak zwanego materyalizmu praktycznego, którego naczelną zasadą jest interes własny, jakiemikolwiek środkami, byleby tylko prawnemi, poszukiwany i osiągany. Tymczasem jest w tém dość gruba pomyłka. Jeżeli bowiem wogóle oskarżanie nauk teoretycznych o złe skutki praktyczne jest niezbyt uzasadnioném, to co do teoryj materyalistycznych wszczególności pamiętać trzeba, że zwolennicy ich od najdawniejszych czasów zalecając jako cel życia — rozkosz, użycie itp. nie sformułowali go przecież w postaci interesu osobistego. Wiadomo przecież, że pierwszy Adam Smith, bynajmniéj nie materyalista, nietylko formułę ową wypowiedział, ale co ważniejsza za podstawę ekonomiki ją przyjął. Odtąd aż do najnowszych czasów, ekonomika to, a nie nauki przyrodnicze lub materyalizm teoretyczny, zbudowała cały system postępowania społecznego, wyłącznie na interesie własnym oparty. Jeżeli zaś niektórzy materyaliści w naszéj epoce przyjęli tę formułę, to ulegli tylko silnemu prądowi, datującemu bezwiednie i praktycznie od chwil niepamiętnych, a świadomie i teoretycznie od końca zeszłego stulecia; zatém mając już robić zarzut jakiéjkolwiek nauce teoretycznéj, prędzéj możnaby się z nim zwrócić do ekonomiki niż do

astronomii. Dzisiaj i w ekonomice zaczynają się spostrzegać uczeni, że za podstawę nauki wzięli niedowiedzione przypuszczenie, że głównie dla największego uproszczenia badań przyjęto jeden tylko z czynników woli ludzkiéj, ale, że w rzeczywistości dzieje się inaczéj, bo tam biorą udział wszystkie jéj czynniki...

Z historycznego więc punktu widzenia Kaczkowski nie ma słuszności, przedstawiając nauki przyrodnicze jako źródło materyalizmu praktycznego; walczyć atoli mógł na gruncie dzisiejszych stosunków, i tak też zapewne pojął swoje zadanie. Ale i tu w rozumowaniach okazał się słabym i o ile zna dobrze astronomią, o tyle psychologią, do któréj w latach dawniejszych miał wstręt wielki, dość powierzchownie obejrzał. Przez cały ciąg opowiadania zbiera się na odpowiedź swemu astronomowi; ale zawsze coś jéj przeszkadza, a gdy ją wreszcie mógł wygłosić, ograniczył się na tym jedynie aforyzmie, że nie można stosunkami natury martwéj mierzyć stosunków ludzkich, bo ludzie „mają od natury wyryte w swém przyrodzoném uczuciu i w swojém sumieniu całkiem inne filozoficzne zasady“. W tém właśnie sęk. Astronom nie był przecież tyle naiwnym, ażeby bez żadnych danych miał utożsamiać stosunki ludzkie ze stosunkami martwéj natury, tylko robił to dlatego, że je najściśléj ze sobą jednoczył. Zdaniu Kaczkowskiego o przyrodzonych uczuciach moralnych mógł „Graf Rak“ przeciwstawić wprost przeciwne zdanie i poprzeć go tysiącem argumentów, a że tego nie zrobił, to już tylko dowodzi wielkiéj grzeczności... dla autora powieści.

Właściwą odpowiedź dało naszemu astronomowi dopiero życie samo, wykazując wyraźnie, że oprócz interesu dobrze zrozumianego, który według teoryi miał kierować wszystkiemi bez wyjątku postępkami ludzkiemi, istnieją jeszcze sprężyny inne, biorące swą siłę z bogatéj w namiętno-

ści natury ludzkiéj. „Graf Rak“ jestto natura pozbawiona z pozoru wszelkich uczuć; nie wzrusza go ani straszna rozpacz ojca, który widzi naprzód synów nieposłusznych swéj woli i idących na wojnę przeciw państwu przez siebie obsługiwanemu, a potém dowiaduje się o ich okropnéj śmierci; nie rozrzewnia go boleść matki tych synów, która dostaje łagodnego obłąkania; on we wszystkich tych wypadkach dostrzega jedynie stronę korzystną dla siebie, jakby z danych okoliczności zrobić najszerszy użytek... Co więcéj, człowiek ten nie troszczy się ani o wychowanie swéj córki, którą powierza opiece mieszczan paryskich, ani o jéj los; gdy ją wykradł syn owych miejskich opiekunów, mechanik, nie martwi się tém wcale, nie myśli biedz w pogoń, idzie mu tylko o to, czy fabryka jego idzie dobrze bez nadzoru mechanika, a przekonawszy się, że tenże zostawił zastępcę, o nic już nie dba, będąc zadowolonym, że miał tak przezornego... zięcia. A przecież i ten zimny, wśród gwiazd, liczb i fabryk żyjący astronom ma także jednę stronę, która go łączy ze wszystkimi śmiertelnikami, kocha żonę, ubóstwia ją, nie przypuszcza ani na chwilę, żeby mu niewierną być mogła, otacza ją zbytkiem najwyszukańszym, okazuje dla niéj posłuszeństwo niemal dziecinne wraz z ślepém dziecinném przywiązaniem. W tém jedném uczuciu nie powodował się on własnym dobrze zrozumianym interesem: w tém jedném uczuciu okazywał się człowiekiem, całkowitym, rzeczywistym, a nie abstrakcyą, mniéj lub więcéj ułomną. To téż, gdy dowiaduje się niespodziewanie o jéj niewierze, gdy słyszy przyznanie się otwarte z własnych jéj ust, traci przytomność umysłu, pozbywa się chłodnéj krwi i staje się zwierzęciem, żądnym krwi na chwilę. Ale nie na tém koniec. On tak ślepo kocha swą żonę, że przebaczyłby jéj wszystko, byleby nadal żyć z nim chciała; — i umiera wtedy dopiero, gdy się dowiaduje, że go porzuciła...

Przeciwieństwem „Raka“ jest... Raczek, jak go autor, może za humorystycznie trochę, tytułuje. Młodzieniec ten, to typ polskiego sangwinicznego usposobienia wśród szlachty: przystojny, zręczny, zdrowy, rumiany, uczuciowy, łatwo ulegający silnym wrażeniom, a zatém zmienny w przedmiotach uwielbienia i miłości, żądny czynu nie tyle dla idei jakiéjś, ile dla zużytkowania nadmiaru sił żywotnych, a zatém znajdujący się wszędzie, gdzie można rycersko się popisać; szlachetny we wszystkich innych względach prócz spraw miłosnych; obdarzony rozsądkiem chłopskim czy szlacheckim, ale nie rwący się do nauki, ruchliwy, ale nie wytrwały. Autor młodzieńca takiego bardzo wysoko ceni i spodziewa się z niego doskonałego gospodarza i obywatela; każe mu przechodzić różne życia koleje, ażeby nabrać doświadczenia; pozwala mu nawet kochać się w żonie krewnego swego, „Grafa Raka“, i stać się *pośrednią* przyczyną jego gwałtownéj śmierci; wyprowadza go ze wszelkich kłopotów i zawikłań po żołniersku rozcięciem węzłów a nie ich powolném rozplątywaniem, uszczęśliwia go wreszcie ręką ukochanéj dziewicy i daje do zrozumienia, że odtąd jego ulubieniec pójdzie drogą prostą i spełni jego o nim marzenia... Gdyby autor artystycznie tylko postać tę traktował, gdyby ją przedstawiał jako jeden z okazów polskiéj natury; łatwoby mi było uznać w niéj piękną, jakkolwiek wcale nie nową, bo wprost niby z „Pana Tadeusza“ przekopiowaną kreacyą; ale ponieważ oprócz artystycznéj przyjemności, Kaczkowski chce jeszcze dać naukę moralną, to zauważyć muszę, że ideałowi jego nic a nicby nie zaszkodziło trochę nauki, trochę rozwagi „Grafa Raka“.

W tych dwu postaciach streszcza się główna myśl, a zarazem główna osnowa powieści; pomiędzy niemi rozgrywa się dramat wewnętrzny, któremu nie brak ani tragicznych, ani komicznych momentów. Dramat ten atoli,

prócz chwil kulminacyjnych, ukryty jest przed oczyma czytelników; muszą go oni sami sobie w wyobraźni wypełnić, muszą jego perypetye własném sercem odczuć, bo autor dziwnie niezręcznie, jak na doświadczonego pisarza, użył w tym utworze formy pamiętnikowéj, przedstawiającéj to tylko, na co autor sam patrzał, co sam słyszał i czego doświadczył. Skutkiem téj formy powieść pozbawioną została analizy psychologicznéj i tego artystycznego zaokrąglenia, jakieby otrzymać mogła, gdyby przedstawione w niéj osoby żyły niejako wobec wszystkich i we wszystkich chwilach, a nie wobec autora w pewnym danym momencie. Kaczkowski, dla zachowania prawdopodobieństwa, to się rozstaje ze swojemi osobistościami na czas dosyć długi, to rysuje je tylko z wierzchu, o ile w pewnéj sytuacyi mu się przedstawiły, to słucha opowiadania o zaszłych w czasie jego niebytności wypadkach. Podróżuje wprawdzie dużo, znajduje się i we Florencyi i w Wiedniu i w Paryżu i w wielu innych miejscach, ażeby módz jak najwięcéj o bohaterach swoich opowiedzieć, ale koniec końców przedstawia nam ich urywkowo tylko, nie daje nam historyi ich umysłu i serca, ale fragmenta, że tak powiem, statystyczne. W końcu występuje nawet z roli, i ostatnią scenę, jednę z najlepszych, w któréj się rozstrzygają losy bohaterów, musi opowiedzieć na wzór wszystkich powieściopisarzy, jako nieobecny, ale wszechwiedzący obserwator — z głębi swojéj wyobraźni. To wypadnięcie z roli psuje harmonią całości, i robi uszczerbek w kompozycyi.

Opowiadanie całe trzymane jest w tonie trzeźwym, chłodnym, niemal sprawozdawczym; a wierność w relacyi zdarzeń posunięta do tego stopnia, że dosyć długie nawet rozmowy podawane są w języku francuskim, jeżeli w nim były prowadzone, z odcieniami nawet dyalektycznemi. Zachwytów, uniesień, poetycznych opisów niema tu wcale;

refleksyj nawet własnych autora prócz tych, jakie w rozmowie z „Rakiem“ wypowiada, brak zupełnie; jest to rys stanowczo odróżniający dawne powieści Kaczkowskiego z epoki spółczesnéj od utworu, o którym mowa.

Życie, jakie autor przedstawia, nie ma nic prawie spólnego z tém, które stanowi zwykły temat powieści naszych. Jesteśmy prawie ciągle wśród sfer arystokratycznych dawnego i nowego pokroju; dyplomaci, jenerałowie, ekscelencye, bankierzy przesuwają się przed naszemi oczyma, czasami tylko ustępując miejsca mieszczaninowi paryskiemu i jego żonie, albo wojskowemu niższéj rangi, który zapomniał po polsku, a po francusku się nie nauczył.

Polacy, tu występujący, przedstawiają się jako napół, albo zupełnie wynarodowieni; myśli ich i dążności są ogólno europejskie, nie mając w sobie żadnéj cechy odrębnéj. Wyjątek stanowi młody Raczek i ojciec „Grafa Raka“, w którym autor dał nam poznać dawnego znajomego z jego poprzednich powieści, tj. człowieka zacnego, rubasznego, trochę zabobonnego, nie cierpiącego zagranicy i lubiącego wychodzić z trudności sztuką krzyżową.

Jeżeli teraz zsumujemy wszystkie wrażenia, jakich doznajemy, czytając „Grafa Raka“, i jeżeli je porównamy z temi, które z dawniejszych powieści, malujących epokę spółczesną, na nas działały: to nie trudno będzie spostrzedz znaczną pomiędzy niemi różnicę. Wprawdzie jak tu tak i tam jest jakaś ogólna tendencya, nadająca utworowi artystycznemu pewne znaczenie publicystyczne; wprawdzie jak tu, tak i tam ludzie są przeważnie argumentami dla dowiedzenia tezy, a nie istotami żyjącemi same przez się w całém bogactwie (lub ubóstwie) natury swojéj; — ale w dawniejszych powieściach autor siedzący wśród społeczeństwa swego brał pod rozwagę objawy grup całych, gdy tymczasem w utworze obecnym zastanawia się nad wypad-

kiem pojedyńczym, nad *jednostkami* w ścisłém znaczeniu wyrazu; boć taki Rak nie przedstawia nam jakiegoś ogólnego typu Polaków żyjących za granicą, ale jest indywiduum, które wśród szczególnych jedynie okoliczności wykształcić się mogło. Jeżeli dawniejsze powieści były patologią społeczeństwa, to ta jest patologią jednostek. Z tego punktu patrząc na ten utwór, nie będziemy się nawet sprzeczali o to, czy Kaczkowski właściwą nadał rolę zwolennika nauk przyrodniczych człowiekowi już w wieku, który wykształcenie swoje ukończył dawno przed rokiem 1860; bo chociaż ruch przyrodniczy na ogół nasz mianowicie, dopiero około tego czasu działać zaczął; to jednostki mogły się nim zajmować o wiele wcześniéj. Z tego też punktu „Graf Rak", nie stanowiąc artystycznie pięknéj całości, zasługuje na uwagę jako popularny rozbiór kwestyj bardzo pobieżnie i nadzwyczaj powierzchownie w beletrystyce naszéj uwzględnianych, choć one, wpływając na umysły spółczesnych, wyrabiają w niém powoli nowe postaci, zasługujące na odtworzenie w sztuce. „Graf Rak", chociaż nie zadowolni poczucia estetycznego, chociaż podjętéj kwestyi nie rozwiązuje, może jednak w umyśle czytelnika wiele, bardzo wiele myśli obudzić, a to jest podług Montesquieu'go niemałą zaletą książki...

W pięć lat potém ogłosił Kaczkowski satyrę polityczno-społeczną p. n. „Teka Nieczui. Posłanie Imć Pana Nieczui do Małych Polaków i Czerwonych Rusinów, a które też i Wielcy Polacy na czas sobie czytać mogą, dla zbudowania i krotochwili". (Tom I, Paryż, 1883, str. 304). Wrócił tu znowuż nasz autor do formy Nieczujowego opowiadania, którą dawniéj władał tak znakomicie, ale swego Imć Pana Marcina podkształcił jeszcze więcéj, niż to było w ostatnich powieściach chwili poprzedniéj. I nic w tém nie ma dziwnego. Nieczuja nie przemawia tu już do nas z tego,

ale z tamtego świata, gdzie żyje i rozmawia z najznakomitszymi mężami XVIII i XIX stulecia: Krasickim, Kołłątajem, Niemcewiczem, Koźmianem, Mickiewiczem, Lelewelem i wielu, wielu innymi, którzy gorąco kochając ojczyznę, bardzo pilnie przypatrują się temu, co się tam dzieje na ziemi i o wszystkich sprawach ważniejszych szerokie z sobą toczą rozprawy. Nieczuja, jako był człek ciekawy zawsze, tak też i w raju wielce uważnie przysłuchuje się naradom tylu głów senatorskich albo i lepszych niż senatorskie. Więc oczywiście, bawiąc w tak dobraném gronie, nabrał i lepszego niż dawniéj rozumienia rzeczy i głębszego nad każdą zastanowienia. A mimo to nie chce on sam bezpośrednio zabierać głosu w sprawach ważnych, lecz tylko pragnie być sprawozdawcą z tego, co widział i słyszał; spisuje więc dokładny raptularz z kilku posiedzeń, na których owi sławni mężowie roztrząsali położenie Galicyi od czasów konstytucyjnych, a zwłaszcza też zachowanie się stronnictwa krakowskiego, Stańczykami przezwanego. Teka Nieczui jest jakoby równoważnikiem Teki Stańczyka.

Jak widzimy, forma obmyślona przez Kaczkowskiego do przeprowadzenia gruntownéj krytyki polityczno-społecznéj, była nadzwyczaj wdzięczna dla człowieka z talentem; usuwając bowiem suchość zwykłego rozumowania, nadawała ruch i rozmaitość, wprowadzała niemal akcyę w sferę roztrząsań, a przytém dozwalała malowniczemi opisy miejscowości i osób dostarczać karmi wyobraźni. I nie można powiedzieć, żeby Kaczkowski nie wyzyskał tak szczęśliwie obranéj formy. Teka Nieczui czyta się z zajęciem wielkiém prawie jak powieść; a są w niéj obrazy tak wspaniałe i piękne, że równych im mało jest w naszéj literaturze. Całość atoli nie robi na czytelniku prawdziwie artystycznego wrażenia; znajdują się w niéj bowiem cząstki nieskładne

i niesforne, które ją paczą a nawet w niektórych miejscach rozbijają. Wprowadzając na scenę osobistości znane z historyi, potrzeba było koniecznie zachować ściśle znany ich, a ostatecznie na ziemi wyrobiony charakter; potrzeba im było takie tylko w usta wkładać słowa, jakie się z ich przekonaniami, które za życia poznać dali, zgadzają. A tymczasem Kaczkowski bardzo sobie dowolnie pod tym względem postąpił. O wierną charakterystykę wielkich postaci, które wprowadził, niewiele się troszczył, a co do ich poglądów. to niekiedy przyznawał im takie, jakich oni nigdy nie głosili, bo były ich usposobieniu i przekonaniom przeciwne. Nic tu nie nada tłómaczenie, iż w tamtém życiu zmienić się mogli, bo to byłaby fantastyka całkiem w poważném dziele niewłaściwa. I sama miejscowość, w któréj osoby owe rozprawiają, nie ma ściśle oznaczonego charakteru; stąd też i zmiany tam zachodzące wydają się zupełnie dowolnym a nawet kapryśnym wymysłem autora.

Tyle co do formy, a co do treści, to spotykamy znane już nam poglądy Kaczkowskiego, zastosowane do tych okoliczności politycznych, wśród których znajdowała się Galicya. Jako wróg oligarchii, bardzo surowo osądził Stańczyków wogóle i poszczególe, zarzucając im, bez obwijania w bawełnę, iż gwoli własnym interesom dopuścili się podczas wojny wschodniéj r. 1876 – 1878 denuncyacyi względem własnego społeczeństwa. Jako gorący patryota potępił działalność Zmartwychwstańców, jako przekładających interesa władzy kościelnéj nad sprawy i dobro kraju. Jako obywatel pragnący wszystkie siły zaprządz do pracy wspólnéj, krytykuje postępowanie Polaków z Rusinami w Galicyi a za jedyny środek zażegnania burz przyszłych podaje przyznanie Rusi tych wszystkich praw, jakie Polacy posiadają, kładąc bardzo silny nacisk na konieczność innego, serdecz-

niejszego zachowania się szlachty względem ludu ruskiego. Jako realista postępowy uważa wywieszenie u nas sztandaru zachowawczego za bezsens, bo to, co jest do zachowania na prawdę, jako to język, ziemię i wiarę ojców, zachowuje jak kto może, najmniéj zaś dzisiejsi konserwatyści, co język kaleczą, wiarę udają a ziemię sprzedają; niedbalstwo zaś tradycyjne, lenistwo, ciemnotę ludu, niegospodarstwo, próżność rodową, niezdatność do handlu, nieudolność w przemyśle — to wszystko nie konserwować, ale wykorzeniać coprędzéj należy.

Autor obiecał, że w miarę potrzeby dalsze tomy Teki wydawać będzie; ale dotychczas potrzeby takiéj widać jeszcze nie dojrzał; zabrał natomiast głos w kwestyi literackiéj i sam wrócił do tworzenia powieści historycznych.

W r. 1884, gdy powieść Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“ wyszła w osobnéj odbitce, Kaczkowski w szeregu listów do A. Z. napisał bardzo obszerne i bardzo szczegółowe nad nią uwagi. Pod względem objętości przypominała ta praca młodzieńczy list tegoż autora o „Deotymie w Krakowie“, ale pod względem nastroju była od niego całkiem odmienna. Gdy w owym liście sypał same hiperboliczne pochwały, tu mówiąc ze szczerém ale rozważném uznaniem o znakomitym talencie młodego powieściopisarza, wytykał równocześnie wielkie wady zarówno w pomniejszych jego nowelach jak i w „powieści z dawnych lat“. Nie na miejscu-by tu było powtarzanie zarzutów szczegółowych co do układu, opisów i charakterów, ale niepodobna nie wspomnieć o zarzucie ogólnym. Największym błędem powieści „Ogniem i mieczem“ jest, zdaniem Kaczkowskiego, brak w niéj myśli dziejowéj; ciało historyi odtworzone tu zostało pięknie, niekiedy wspaniale, ale ducha w niém niema. Uzasadniając doniosłość tego zarzutu, Kaczkowski uogólnia swe wyma-

gania od powieściopisarza historycznego w słowach następujących [1]).

„Zapewnie, że nie każdemu jest dane, kto wziął pióro lub pędzel do ręki, objąć całą ideę dziejową i ożywić jéj duchem obraz przedstawionéj epoki; ale zawsze mamy prawo wymagać, abyśmy widzieli przynajmniéj usiłowanie, ażebyśmy przynajmniéj spostrzegli zrozumienie najwyższéj dla historycznego powieściopisarstwa zasady, a zasadą tą jest: iż właściwém zadaniem historycznego poety nie jest to, ażeby tę lub owę dobę dziejową w jéj odosobnieniu wiernie odtworzył, ale przeciwnie, aby przedstawił, jak duch dziejowy, jak gieniusz narodu się w danéj epoce i w danych wypadkach wyraził. Jedném słowem dziejowa myśl powinna być celem, a epoka środkiem, a nie odwrotnie. Takie pojęcie zadania poety, pracującego na polu historyi, jest bezwątpienia nowszych czasów nabytkiem. Wiek dziewiętnasty ducha dziejów tak dobrze odsłonił, jak archeologowie powygrzebywali guziki i sprzączki najdawniejszych kaftanów rycerskich. Dzisiaj téż słusznie się wymaga od powieściopisarzy historycznych odtworzenia przedewszystkiém ducha dziejów, a obraną przez nich epokę uważa się tylko jako miejsce i środek, w którym i zapomocą którego ten duch ma się wyobrazić przed nami. Przed laty trzydziestu pojęcia te znajdowały się jeszcze zaledwie w stanie przeczucia, lecz dzisiaj stały się już udziałem umiejętnéj krytyki u wszystkich oświeconych narodów, dowiedlibyśmy zatém tylko, iż nie dotrzymujemy kroku postępowi oświaty ogólnéj, gdybyśmy ich nie uczynili także naszą własnością".

Takie względem innych stawiając wymagania, usprawiedliwiał się Kaczkowski ubocznie z braków powieści swych dawniejszych, ale zarazem poddawał się ciężkim wa-

[1]) Zob. „Wędrowiec", 1884, Nr. 42.

runkom na wypadek, gdyby się napowrót wziął do uprawy téj niwy od tak dawna przez siebie zarzuconéj. Jakoż wieść, iż Kaczkowski pisze powieść z czasow Jana Sobieskiego obudziła wśród inteligencyi bardzo poważne zainteresowanie, gdyż każdy był ciekaw, czy i o ile krytyk Sienkiewicza uczynił zadość wielkiemu zadaniu, które powieściopisarstwu historycznemu naznaczył.

Gdy się oczekiwany ciekawie, „Abraham Kitaj“ drukować zaczął, nie potrafił zająć uwagi czytelników w takim stopniu, w jakim interesowały powieści Sienkiewicza; nie można w nim było odnaleść ani téj plastyki charakterów, ani téj barwności kolorytu, ani tych szczegółów zajmujących, co w utworach Litwosa, a tok opowiadania bywał nawet niekiedy nudnie kronikarskim. Wybrawszy temat opowieści z téj chwili dziejowéj, w któréj Polacy po raz ostatni za bytu Rzeczypospolitéj zabłysnęli wielkim czynem dziejowym na widowni europejskiéj gromiąc Turków pod Wiedniem, nie mógł oczywiście autor pominąć faktu tego milczeniem, ale zamiast użyć całego swego talentu na jego zobrazowanie, wolał go przedstawić sucho i bezbarwnie, topiąc go tym sposobem w morzu drobiazgów życia rodzinnego i towarzyskiego. Tym sposobem ominął samochcąc sposobność ujęcia sobie czytelników, za pośrednictwem przemówienia do ich serc i wyobraźni wspomnieniem świetnych czynów przeszłości.

Ale tu właśnie następuje pytanie, czy Kaczkowski nie zrobił tego naumyślnie. Wszak nie wszystko co jest poczytne i popularne, już przez to samo za doskonałe uznane być winno, wszak nie wszystko, za czém ogół przepada, na uczczenie głębszéj uwagi zasługuje. Może autorowi chodziło o dokonanie zadania donioślejszego niż rozciekawienie czytelników lub schlebianie ich upodobaniom?... Może w myśl swojéj teoryi powieściopisarstwa historycznego pragnął przedstawić przedewszystkiém ducha dziejów z całą możliwą do-

kładnością, a chcąc tego dopełnić nie mógł opisami wiktoryi wiedeńskiéj nadać większego znaczenia, niż je miała w rzeczywistości?

Jakoż jeżeli z tego punktu widzenia rozejrzymy się w „Abrahamie Kitaju“; to nas owo kronikarskie przedstawienie zwycięstwa pod Wiedniem razić już tak bardzo nie będzie. Zwycięstwo to jak meteor zalśniło na chmurném niebie Rzeczypospolitéj, ale ani chmur, coraz większemi zastępami zbierających się, nie rozproszyło ani témbardziéj słońca lepszéj przyszłości nie ukazało. Ani przez króla ani przez naród nie było ono wyzyskane pod względem politycznym, ani zewnętrznie, co do stanowiska Rzeczypospolitéj wobec potęg europejskich, ani wewnętrznie co do urządzenia skarbu, wojska i wymiaru sprawiedliwości. Jak przed niém tak po niém Polska była już czémś bardzo mało znaczącém w Europie, a we wnętrzu swojém też same miała czynniki rozstroju, tylko że się one z każdym lat dziesiątkiem powiększały. Gdyby Kaczkowski uczynił był zwycięstwo wiedeńskie środkowym punktem powieści, to niewątpliwie mógłby artystycznie podnieść ją znacznie, a przytém połechtałby przyjemnie uczucia dumy narodowéj; aleby się był minął z prawdą historyczną i nie odtworzyłby owego ducha dziejów, co za przedniejsze zadanie utworu takiego poczytywał. W niczém nie ujmując doniosłości samemu faktowi, wolał jednak obok niego postawić dalsze trzy niepomyślne wyprawy przeciwko Turkom z jednéj strony, a z drugiéj odmalować rozmaite choroby, na które Rzeczpospolita cierpiała. Obok dzielności i odwagi w boju, obok szlachetności charakterów, przedstawił więc niekarność, prywatę, samowolę, nieradność społeczeństwa, a przedewszystkiém słabość siły wykonywawczéj, która sprawiała, że postanowienia i wyroki były przedmiotem naigrawania się większych i mniejszych łotrzyków.

Na tak zrozumianém tle czasu, daje się dopiero należycie zrozumieć awanturnicza historya Abrahama Kitaja.

Ten mieszaniec z ojca Polaka, matki Węgierki, ochrzczony Abrahamem, na pamiątkę oszukaństwa ze strony teścia względem zięcia, wychowany po śmierci rodziców przez kasztelana Fredrę, już młodzieńcem zdradzał namiętne a burzliwe usposobienie, kiedy się puszczał w zaloty do żony swego opiekuna. Rozstawszy się z nim, przebył szkołę życia w rozmaitych okolicach kraju i zagranicy, wyćwiczył się w rzemiośle wojenném, wypolerował w formach towarzyskich, nauczył się mówić kilkoma językami, wygimnastykował umysł, nabył takiéj zręczności i układności, że, gdy tylko chciał, potrafił nawet najrozważniejszych wywieść w pole i przychylnie do siebie usposobić... Wędzidła religijne i moralne pozrywał, w Boga nie wierzył, a za jedyne prawo etyczne poczytywał siłę i własne zachcianki. A miał tych zachcianek sporo, gdyż pragnął, ażeby wszyscy i wszystko według jego woli się układało. W wyprawie wiedeńskiéj wziął udział, i zaraz w pierwszém natarciu tak się odznaczył, iż zwrócił na siebie uwagę króla, nie tém, żeby karnością celował, bo przeciwko niéj zgrzeszył, ale tém, że się na niebezpieczeństwo rzucił z lwią odwagą. Miał on już po odniesioném zwycięstwie ułożony plan połączenia się z Węgrami i natarcia na Niemców, chciał plan ten osobiście królowi przedstawić, ale gdy go kasztelan Fredro do Sobieskiego nie dopuścił, zawrzał gniewem i okazał niebawem, że gotów działać na własną rękę. W nieszczęśliwéj bitwie pod Parkanami, gdy inni uciekali, i on uciekał także; ale na wspomnienie, ażeby pozostał przy królu, odpowiedział wobec Jana III, że gdy króla zabiją, to Polacy wybiorą sobie innego, a gdy jego samego zabiją, to go król nie wskrzesi — i sunął daléj. Nie myślał on jednakże jeszcze opuszczać obozu polskiego, ale gdy zwierzchnik zwlókł

odpowiedź na jego pytanie, czy może wrócić pod chorągiew, oddał się całkiem pomysłom swojéj fantazyi. W drugiéj zwycięskiéj bitwie pod Parkanami już udziału nie wziął, a zebrawszy obfite łupy, o które zawsze nadzwyczaj chciwie się ubiegał, pociągnął do kraju. Na granicy Węgier i Polski stoczył w obronie swych łupów utarczkę z bandą rozbójników, herszta ich, żyda Wulfa, powiesił, a osiadłszy w swym majątku, zaczął się rozglądać po sąsiedztwie, starając się przedewszystkiém afekt Krzysi Borawskiéj, narzeczonéj swego brata, który dostał się do niewoli tureckiéj, ku sobie zwrócić i znacznym jéj posagiem fortunę swoję podeprzéć. Tak zręcznie i tak uniejętnie sprawą tą się zajął, że zjednał sobie ze wszystkiém i Krzysię i jéj matkę, a nawet jéj ojca odludka, który rojąc reformy Rzeczypospolitéj, nie rymujące z usposobieniem braci szlachty, za waryata był przez nią podawany. Przed matką, córką, roztaczał swoje bogactwa, czém ujmował ich oczy i wyobraźnię, oraz znajomość świata i układność towarzyską, czém podbijał ich serca. Wobec ojca rozwijał poglądy, jakby z głowy Borawskiego wyjęte, wykazując potrzebę uczynienia z ludu polskiego potęgi politycznéj, którąby można było przeciwstawić samolubnéj i niekarnéj szlachcie i tym sposobem dojść do utrwalenia rządu silnego. I byłby osiągnął cel swój łatwo, bo już wszyscy uważali jego brata za przepadłego, a Krzysia całą duszą lgnęła ku niemu, gdyby nie ta niesforna fantazya, która go unosiła niekiedy poza granice przez rozum wytknięte. Raz zachciało mu się wobec Borawskiego usprawiedliwić opryszków przez postawienie na równi ich grabieży z postępowaniem rycerzy na wojnie, a wyciągnięty przez swego rozmówcę na słowa, przyznał się, że w Boga nie wierzy, i że za jedyne prawo uważa siłę. Wtedy odludek, który nie był wprawdzie religiantem i ze świętych podżartowywał nawet potrosze, ale który wiarę w Opatrz-

ność i w moc zasad moralnych uważał za fundament uspołecznienia, odnalazł w sobie duży zapas energii i nietylko odprawił przewrotnego Abrahama ze swego zacisza, ale nadto powrócił do dawno opuszczonego dworu, gdzie żona z córką przebywały. Postawił straż i nie dozwolił przestąpić wrót swoich temu, co miał się niebawem z jego Krzysią małżeństwem połączyć. A gdy brat Abrahama Rafał potrafił uciec z niewoli i przybył do kraju, zakrzątnął się coprędzéj Borawski, by Krzysia wyszła za niego. Zakipiała wtedy krew w Kitaju i pobudziła do zerwania ze społeczeństwem uczciwém. Już on i dawniéj miał bandę z rozmaitych włóczęgów złożoną, z którą łotrował po Węgrzech, ale teraz ją zwiększył, werbując do niéj nawet szlachtę chodaczkową i zaczął palić wsie, miasteczka, ażeby się zemścić na tych, co mu byli wstrętni, lub też z łupów nagromadzić takie bogactwa, któreby mu starczyły na utrzymanie poważnéj siły zbrojnéj i zapewnienie sobie tym sposobem bezkarności. Wobec takiego szlacheckiego opryszka okazuje się w całéj smutnéj okazałości bezradność społeczeństwa i niemoc urzędu. Napróżno kasztelan Fredro zbiera szlachtę, by obmyśliła środki zapobieżenia dalszym pożogom i rabunkom; za środkami takiemi są ci jedynie, w sąsiedztwie których najbliższém zdarzyły się owe klęski; inni zaś daléj mieszkający nietylko o zebraniu siły zbrojnéj nie myślą, ale jeszcze przedrwiwają zbyt wielką płochliwość kasztelana. Gdy zaś przekonano się, że sprawcą nieszczęścia jest Abraham Kitaj, to tylko mała garsteczka ludzi z różnych powodów, najczęściéj osobistych, nieprzyjaźnie względem niego usposobiona, myśli o pozbyciu się łotra i oddania go w ręce sprawiedliwości. Gdy wskutek zeznania samego króla o obrazie majestatu przez Abrahama, został wyjęty z pod prawa ten, co praw nie szanował, wyrok pozostał tylko wyrokiem, z którego Kitaj się naigrawał. Ogół szlachty nie myślał

o ściganiu brata szlachcica, w obawie utraty swojéj
wolności. Trzeba szczęśliwego wypadku na to, żeby
ham został schwytany, gdy w zameczku granicznym
stępnie zdobytym kapitan Mleczko, który z Kitajem odd
miał napieńku, beczułkę prochu zapalił. Związany, odsta
do starosty sanockiego, który miał także złość do Kit
szpetne pokiereszowanie mu syna, już ma być stracon
i tu się okazuje nieudolność w wymiarze kary. Sku
braku dozoru i niekarności służby zamkowéj, Abr
z więzienia wychodzi sobie swobodnie przy pomocy
bandy, a kat ścina głowę jakiemuś żydowi... I za kil
milknie nawet wieść o Abrahamie. Nie próżnował o
dnak. Udał się na Mołdawię i tam po swojemu po
traktował. Gdy Sobieski odbywał wyprawę wołoską,
zdobycia tronu dla królewicza Jakóba, znalazł się Kit
tyłach wojska polskiego, hetmaniąc uzbrojonemu oddzia
nie zależąc od nikogo, oddawał on niemałe usługi w
gdyż dzielnie prażył Tatarów, ale też dbał o swoje int
bo niemniéj dzielnie łupieżył. Zdawało się, że Kitaj
się owemi usługami zrehabilitować w oczach szlachty,
to nie był rozbójnik zwyczajny, tylko szlachcic z g
fantazyą. Już król zwrócił uwagę na niego, i już się
ham zbliżał do króla, ale zawsze po swojemu z butą
cesowo, gdy mu znów jak po zwycięstwie wiedeńskiém
telan Fredro stanął na zawadzie, powiadając mu, żeby
słał swą asystencyą i wprzód się opowiedział komu n
ażeby audyencyą u króla uzyskać. Niecierpliwy Abr
buchnął obraźliwą przymówką i nastąpił pojedynek,
zginął nie od miecza, ale z ręki tego, któremu młodzie
chciał żonę zbałamucić.

Taki to okaz rozbujałego indywidualizmu i nie
znanéj swobody wysunął Kaczkowski na plan pie
swego utworu, ażeby uwydatnić ten najsilniejszy

wiastek rozkładowy, jaki się we wnętrzu Rzeczypospolitéj znajdował. Wobec tego zgubnego pierwiastku, inne z dobrych i wpływowych stają się obojętnemi, w działaniu swém nieskutecznemi. A jest ich niemało, bo powieściopisarz chciał wszechstronnie obraną przez siebie chwilę dziejową odmalować. Jest tu Sobieski, żołnierz nie mający sobie równego w swoim czasie, wódz znamienity, a często nawet miewający pomysły natchnione, ale nieudolny mąż stanu, czasem zręczny w kabałach, ale nie posiadający ani umiejętności badania przyczyn, ani daru przewidywania odległych wypadków, ani stałości w raz powziętych zapatrywaniach, do tego próżen wszelkiéj organizatorskiéj zdolności! Jest tu Borawski, człowiek z umysłem jasnym i głębokim, który widział dokładnie złe nurtujące w Rzeczypospolitéj i podawał zbawienne środki do zapobieżenia mu, środki takie, jakie statyści wieku XVIII wygłosili następnie, ale będąc w poglądach swoich osamotnionym, ogłoszony za waryata, nie oddziaływał na ogół i tylko w rozmowach prywatnych opinię swoję wypowiadał. Jest tu i szlachcic rycerz, Rafał Kitajgrodzki, który może być uważany za przedstawiciela młodzieży szlacheckiéj, bijący się dzielnie, nie myślący wiele, niedbający o wygody, ale téż nie pragnący żadnych zmian w ustroju Rzeczypospolitéj. Gdy za młodu trochę sobie krwi upuści, osiada na roli, gospodaruje i staje się potém podobnym do Fredry, dobrego człowieka, dobrego sąsiada, powolnego królowi, gdzie idzie o sprawy kraju, ale nie garnącego się ku niemu z własnéj chęci i o reformach nie myślącego. Jest tu jeszcze jeden młodzieniec szlachecki należący do rodzaju domatorów, co lubią wygódki i chętniéj jeżdżą karetami niż wierzchem, co na wyprawy wojenne się nie kwapią, lubo ostatecznie do wojenki wstrętu wielkiego nie czują, i gdy już koniecznie potrzeba, to się bić będą odważnie. Jego oj-

ciec, starosta sanocki, lubi hulać i weselić się, a urzędu swego niezbyt pilnować. Gdy mu dokucza podagra, sprasza dwunastu bernardynów, i każe im śpiewać pieśni nabożne, a przytém pić wino, przekonany jest bowiem, że jak bernardyni, naśpiewawszy się, nalawszy winem, już chodzić nie będą mogli, to on wtedy wstanie i rzeźwo się rozrusza, jakby podagry nie miał nigdy. Jest i biskup i władyka, jest kapitan zameczku granicznego, i kilku sług starych szlacheckich, są żydzi, jest kozak; słowem jest taka obfitość osób i sytuacyj możliwych, że gdyby Kaczkowski chciał był wszystkie należycie rozwinąć, treści wystarczyłoby mu na parę dużych tomów. Ale powieściopisarz wolał być zwięzłym, by tém wydatniéj owa myśl dziejowa tj. smutny stan Rzeczypospolitéj w końcu wieku XVII wystąpiła na jaśnią. Pomylił się. Gdyby był artystycznie swe zadanie rozwinął; gdyby był wprowadzone osoby i zdarzenia nie po kronikarsku zbywał, ale je malował naprawdę: to wówczas myśl dziejowa, którą chciał wyrazić daleko widomiéj niż obecnie stanęłaby, przed wyobraźnią i rozumem czytelnika, tak że autor nie potrzebowałby w epilogu pisać do niéj komentarza. Komentarz to dobry i rozumny, ale w utworze artystycznym mniéj właściwy.

Co się tyczy języka i stylu, to Kaczkowski ściśle wykonywał to, co w krytyce Sienkiewicza jako wymaganie postawił. Powiedział on tam słowa następne: „Mnie się zdaje, że odtwarzanie języka wieku w tekscie powieści nietylko nie jest potrzebném, bo przecież dzisiejszym językiem można daleko dokładniéj opowiedzieć, jak się te rzeczy działy i wyglądały, niżeli niedostatecznie wyrobionym językiem dawniejszych wieków, ale jest także zasadniczo niedopuszczalném, bo w takim razie powieść z tych wieków, które nie pozostawiły po sobie pomników językowych, byłaby niemożebna, kiedy tymczasem pewnie nikt nie zaprzeczy,

iż może się zjawić pisarz, który doskonałą powieść napisze z czasów Bolesławowskich lub Kaźmirzowskich. Język współczesny wiekowi może w opowiadaniu tekstu tylko tam być użytym, gdzie ten tekst opowiada człowiek wiekowi współczesny. Natomiast koniecznością jest odtwarzać język wieku w dyalogach, o ile jest to możebne, bo inaczéj w prawdopodobieństwo tych dyalogów trudnoby było uwierzyć". Jest maleńka wprawdzie sprzeczność w argumentowaniu powieściopisarza, ale nie podnosząc jéj, należy stwierdzić fakt, że „Abraham Kitaj" pisany jest wogóle językiem właściwym Kaczkowskiemu, z bardzo rozważném użyciem archaistycznego ubarwienia, że rozmowy są charakterystyczne zarówno w języku jak i w stylu, ale zarazem dodać, że w rozmowach tych tak samo pragnęlibyśmy widzieć więcéj barwności, jak w opowiadaniu zdarzeń więcéj artyzmu. Najnowsza powieść Kaczkowskiego historyczna odznacza się nadzwyczaj szerokim i wielostronnym poglądem na dzieje, tak podobnie jak ostatnia jego powieść spółczesna „Graf Rak" celowała głębokiém wniknięciem w stosunki spółczesne; ale zarówno jednéj jak i drugiéj zabrakło téj werwy i tego ożywienia, téj plastyki i tego artyzmu, jakiemi w pierwszych swoich Nieczujowskich opodaniach zdobył sobie autor sławę przebojem. Dawniéj był lepszym artystą niż myślicielem, dziś lepszym myślicielem niż artystą.

VII.

W odpowiedzi na pytanie: dlaczego tak jest, znajdzie się także i ogólna charakterystyka umysłu Kaczkowskiego.

Rozum jego jest jasny, trzeźwy, szerokie obejmujący widnokręgi; nie lubi zatém rzeczy i scen zawiłych, tajemni-

czych, mistycznych, mglistych, napuszonych, nienaturalnych; nie lubi paradoksów błyskotliwych, sytuacyj zbyt naprężonych, usposobień przepaścistych. Uznaje on, że w dawnych czasach potrzebny był mistycyzm, a może nawet konieczny; „ale dzisiaj nadeszły czasy inne a z niemi i inne potrzeby. Jasność w pojęciach, przejrzystość uczuć i wyrazistość wszystkich kształtów, w jakie duch ma ubierać swoje utwory — owóż dążność i potrzeba dzisiejszéj epoki. Wszelka mglistość, cudowność, mistyczność, stają się dzisiaj tylko przeszkodą w rzeczach wiary, *prawie niczém* w obliczności rozumu, a rzeczą niezajmującą, bo już bardzo zużytą, a nawet nadużytą w krainie sztuki“ [1]).

Trzymał się więc Kaczkowski ziemi i w sfery eteryczne nie wzlatywał; mglistość, mistyczność i cudowność stanowczo i doraźnie potępiał, chociaż nie umiał tych pierwiastków *naukowo* ocenić, jak się należy. Brak mu potemu subtelności i przenikliwości, które nie zawsze chodzą w parze z jasnością i trzeźwością umysłu. Stąd wynikają te rysy powierzchowne, któremi lubił przeszłość malować; stąd rubaszność w charakterystyce, w scenach a nawet w stylu; stąd brak dowcipu, zastępowanego zazwyczaj przez staropolską jowialność, któréj najlepszym przykładem jest popielcowa oracya w „Murdelionie“, lub grubo-płaski niemiecki komizm. Najlepsze téż, jak już wiémy, są te ustępy w powieściach Kaczkowskiego, w których występują ludzie nie wielkiéj inteligencyi, którzy się w żadne subtelności nie bawią, rzną prawdę, jak się im widzi, biją się zamaszyście, modlą się po staremu, nie wchodząc w analizę ani modlitw, ani uczuć, ani postępków swoich. Powtóre wyborne są zawsze poglądy na pewne kwestye obchodzące ogół społe-

[1]) „Deotyma w Krakowie“, Warszawa 1854, str. 82.

czeństwa; można się z nich bowiem bardzo wiele nauczyć, chociaż się ich podzielać nie będzie, ponieważ przedstawiają dużo materyału do myślenia, zgromadzają razem dużo stosunków, nad któremi zastanowić się warto.

Analiza natomiast psychologiczna jakiegokolwiek głębszego charakteru, uwydatnienie dowcipu w osobach, które autor dowcipnemi chce zrobić, zawsze bardzo wiele pozostawia do życzenia. Kaczkowski nie widział, zdaje się, tych braków w swoich powieściach, a co więcéj badania psychologiczne, któreby im choć w pewnéj części zaradziły, poprostu lekceważył. Podług jego zdania „szkoda nawet czasu na psychologiczne rozprawy". Na tém polu - powiada — „rozum ludzki *dawno już* dotarł do dna, a nie znalazłszy *nic na niém* (sic) pozostawił wprawdzie pobudowane przez siebie teorye, ale sam w nie nie wierzył" [1]). Któż dziś ośmieli się twierdzić razem z Kaczkowskim, że tajemnice psychiczne zostały wyczerpane do dna, a raczéj, że w nich nic niema do wyczerpania, ponieważ one wiadome są tylko Bogu? Któż podzieli jego wstręt do rozpraw psychologicznych, dla których nowa nastała epoka? Nie waham się twierdzić, że Kaczkowski dlatego tylko gardził badaniami psychologicznemi, że ich nie znał, że się niemi nie zajmował, i gdyby je był studyował, zostawiłby nam daleko dokładniejsze, żywsze i barwniejsze portrety osobistości spółczesnych, w których różnorodne wpływy wyżłabiają brózdy duchowe, załamy i skazy, niepodobne do pojęcia bez należytego rozbioru psychologicznego. Gdyby je był studyował, uznałby, że uczucie, namiętność, stanowiąc podstawę ludzkiéj działalności, są siłami, które i sztuka przedewszystkiém uwzględniać musi; a przekonanie takie zmusiłoby go do bliższego zastanowienia się nad elementem prawie zupełnie upośledzonym

[1]) „Rozbitek" 1861, t. III, 215.

w jego powieściach. Gdyby je był studyował, to zamiast maryonetek, w które obfitują jego romanse spółczesne, mielibyśmy prawdziwych ludzi, żyjących życiem indywidualném sobie właściwém, samoistném, a nie pożyczoném, odbitém, sztuczném.

Fantazya Kaczkowskiego szła bezwarunkowo pod komendę rozumu: trzymała się jaknajbliżéj ziemi, lubowała się w rysach grubych, prostych i jasnych, z należytą precyzyą odkreślonych. Taki stosunek fantazyi do rozumu był zaletą, o ile nie dozwalał jéj puszczać się samopas, i broić niedorzeczności w awanturniczych wyprawach do krain nadzmysłowych, ale krył téż w sobie i wady, które się w artystycznym układzie powieści, w obrobieniu charakterów i scen na niekorzyść sztukmistrza uwydatniły. Fantazyi brakowało swobody, brakowało tych drgnień namiętnych [1]), w których ona daje poznać swoję potęgę, brakowało barw wyrazistych, brakowało ciepła. Kaczkowski nie dawał się porywać namiętności, nie chciał być krańcowym w żadnym kierunku, starał się zachować złoty środek i chwalebne umiarkowanie. Ale nie posiadając w arsenale umysłowym broni przenikliwości i subtelności, uczynił ten złoty środek pospolitym, a czasami trywialnym, a to chwalebne umiarkowanie — niezdecydowaną niezaradnością. W pierwszych chwilach powieściopisarskiego zawodu, kiedy był jeszcze bardzo młodym, zwróciwszy się ku przeszłości XVIII wieku, pokochał ją całém sercem pomimo jéj wad; nie pragnął nic jéj wyrzucać, lecz chciał ją jedynie odtworzyć taką, jaką się w umyśle jego przedstawiała. Było to zadanie czysto artystyczne bez żadnéj myśli ubocznéj, bez chęci moralizo-

---

[1]) Jakie znaczenie dla fantazyi ma uczucie i namiętność, starałem się przedstawić w „Genezie fantazyi“. Warszawa 1873, str. 77—88.

wania i wpływania na opinią publiczną. Ponieważ obrał sobie za opowiadacza jednostkę mierną pod każdym względem; ponieważ chwytał tylko rysy powierzchowne; ponieważ dla przedstawienia rubaszności ojców nie potrzebował szczególnéj finezyi i dowcipu; ponieważ wreszcie z prawdziwą namiętnością wpatrzył się w oblicze wieku zeszłego: wywiązał się z zadania znakomicie w kilku obrazkach mniejszych i w jednym większym — „Murdelionie". Inne utwory z tego czasu, chociaż mniéj zadowalniają pod względem budowy całości, mają świetne ustępy pod względem artystycznym, choć pod względem myśli są nijakie.

Późniéj chciał Kaczkowski rozszerzyć widnokrąg swoich powieści, wprowadzając w nie żywioł badawczy; chciał wyjaśnić przyczyny różnych zjawisk przeszłych i spółczesnych; chciał wniknąć głębiéj w istotę chorób narodowych, ażeby zwrócić na nie uwagę ogółu. Cel czysto artystyczny ustąpił miejsca tendencyi społecznéj; moralizowanie stało się rzeczą główną, a obrazowanie — podrzędną. Szczegółowa obserwacya charakterów, przypatrywanie się im z miłością i zajęciem, studyowanie ich ciała, szat i duszy uważał teraz Kaczkowski za trud niezbyt wielki względnie do obszaru i znaczenia myśli, które wśród publiczności rozpowszechnić przedsięwziął. Tak było przedewszystkiém w przedstawieniu stosunków spółczesnych. Kaczkowski wystąpił jako myśliciel-satyryk; a satyryk mało dba o wierne, plastyczne odmalowanie ludzi, gdyż mu chodzi głównie o napiętnowanie jakiéjś przywary, wady lub zgubnych przekonań, które powiększa a niekiedy karykaturuje. Autor nie szukał już wzorów na ziemi, w swojém otoczeniu; ale myśli własne, poglądy na społeczeństwo — przyoblekał w ciało. A ponieważ nie posiadał silnéj fantazyi; ponieważ na ludzi patrzył z groźbą a nie z miłością; ponieważ przedsięwziął zajrzeć głębiéj w duszę człowieka, a nie miał do tego do-

statecznych danych, którychby mu badania psychologiczne dostarczyć mogły; tworzył więc rzeczy pod względem artystycznym wielce słabe. Natury jasne, proste, których cały umysł i całe uczucie były, że tak powiem, na wierzchu, jak dawniéj tak i teraz wybornie się prezentowały; lecz natury powikłane, chaotyczne, głębokie, wypowiadające daleko mniéj niż myślą i czują, posiadające w sobie materyał na ludzi wielkich, czy w zbrodni czy w cnocie, takie natury jak Kamila, Mirona, Chrewty, Anuncyaty, Grafa Raka, Abrahama Kitaja i t. d. zostały narysowane albo blado, albo ułamkowo, albo szkicowo tylko. Umysł Kaczkowskiego, pomimo swe braki, potrafił je zapewne ocenić, jeżeli je uznał godnemi wprowadzenia w świat artystyczny; ale fantazya przywykła do nizkiego lotu nie dotrzymała kroku umysłowi i chociaż starała się być mu posłuszną, nie zdołała przecież wzmocnić swych sił i podążyć za nim w równéj odległości.

Obok pomysłów niewielkiéj wagi wysoki artyzm; obok tematów znakomitéj doniosłości obrobienie artystyczne niezadowalniające: oto rezultat dwu sił umysłowych — rozumu trzeźwego i fantazyi jemu podległéj. Czyżby to miało dowodzić, że pomysły, wznoszące się nad poziom życia codziennego, nie mogły być przedmiotem działalności artystycznéj? Nie, bezwątpienia. Historya literatury przedstawia nam przykłady, dowodzące, że bywało inaczéj; przyczyny szukać musimy tylko w umyśle powieściopisarza. Potrzeba mieć rozum bardzo głęboki i bardzo subtelny, fantazyą bardzo żywą i bardzo potężną, ażeby stworzyć arcydzieło. Nie każdemu takie dary dostają się w podziale.

Atoli obok gieniuszów istnieją talenta różnego rodzaju, które tworzą *częściowe* tylko piękności. Do tych talentów pierwszego rzędu należy bezwątpienia Kaczkowski. Nie można o nim zapewne powiedzieć, żeby w jego powieściach historycznych odbite było *całkowite* życie wieku XVII; bo

tego żaden dotychczas romansopisarz dokonać nie potrafił; lecz nie można również twierdzić, żeby wszystko, co zrobił, było chybioném. Mało też kto zgodzi się ze zdaniem Kraszewskiego, który we dwa lata po Siemieńskim, powtarzając jego zarzuty, powiada, że w Kaczkowskim „razi co chwila jakaś komedya i maszkarada, a przez aktora przegląda świeżuteńki i młodziuchny *człowieczek*;“ a już z niesmakiem chyba odczyta się wyrok proroczy, że wizerunek przeszłości nie przyjdzie nam „przez pióro młodzika, który zadania potężne ma sobie za igraszkę i pisze *po studencku* (!!) ćwiczenia na dane tema“ [1]). Sam Kraszewski, który tak absolutny ferował werdykt, czyż dał nam marzony przez siebie wizerunek przeszłości?.. Nie, tak surowy bezwzględnie nie jestem i w każdym razie przyznam Kaczkowskiemu zasługę odwzorowania *kilku stron* zajmujących ubiegłego stulecia w sposób prawdziwie artystyczny, w całém piękném znaczeniu tego wyrazu, którego nieraz nadużywamy, który jednak w umysłach ukształconych blasku swego nie stracił.

A co się tyczy powieści spółczesnych Kaczkowskiego, to wyznać należy, że w dziesięcioleciu od r. 1850 do 1860 bardzo mało pojawiło się utworów, któreby tak silnie *pobudzały do myślenia* jak one. Kto pojmuje doniosłość tego zdania, temu nie trzeba objaśniać szeroko wartości zasług, położonych przez człowieka, który takie utwory napisał. Spółcześni nie ocenili należycie téj strony powieści Kaczkowskiego: późniejsi nie zabierali się zbyt skwapliwie do ich czytania; do krytyki zatém należy tę właśnie stronę zaakcentować. Wszystkie kwestye podjęte przez Kaczkowskiego w powieściach spółczesnych dzisiaj jeszcze są żywo-

[1]) „Gawędy o literaturze i sztuce“ J. I. Kraszewskiego. Lwów 1857, str. 65 i 75.

tne i albo w téj saméj, albo w zmienionéj nieco formie, przeszły obecnie do szpalt czasopiśmiennictwa. Ażeby tylko dać jeden przykład, dość wspomnieć, że Kaczkowski wśród rozbawionéj i łakociami powieściowemi zepsutéj publiki, ośmielił się wprowadzić nanowo do romansu ideę pracy wewnętrznéj, drobnéj, mozolnéj, powolnéj, ale krzepiącéj siły społeczeństwa. A przecież obecnie, po latach kilkunastu, wrócono do téj idei w dziennikarstwie i powieści, jakby do czegoś zupełnie nowego. Podobnie rzecz się ma z wielu innemi kwestyami, o których poprzednio mówiłem [1]). Że nie wszystkie podniesione przez siebie wątpliwości zadowalniająco zwalczył; że przyczyny nieszczęść podał czasami nietrafnie; że w poglądzie na ustrój społeczny nie zawsze był sprawiedliwym: to nic a nic nie uwłacza zasłudze, że o *ważnych* przedmiotach mówił, że chciał przerwać drzémkę umysłową, w któréj społeczeństwo było pogrążone, że podsuwał mu temata do rozwagi. Jak wiadomo, nikt jeszcze nie wynalazł *panaceum* na wszystkie choroby społeczne; nikt sposobu istotnego uszczęśliwienia ludzi nie wskazał; pomimo to jednak nikt ku temu celowi dążyć nie przestał. Stosunki społeczne należą do najbardziéj złożonych i najbardziéj zawikłanych; nic więc dziwnego, że dotychczasowe usiłowania celem uregulowania ich ku powszechnemu zadowolnieniu nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Ażeby je uregulować, potrzeba je poznać i zbadać. Pierwszym krokiem do ich poznania jest zwrócenie na nie powszechnéj uwagi. Kaczkowski zrobił ten krok i to mu się liczy za znakomitą zasługę.

---

[1]) Kto prócz pomysłów ogólnych, chciałby poznać mnóstwo zdań trafnych Kaczkowskiego, rozrzuconych tu i owdzie w powieściach, może je znaleść choć w części zebrane razem w czasopiśmie „Rodzina“, rok 1866, str. 367, 368, 380—384, 399, 400.

Słowem, jeżeli Kaczkowski nie wniknął głęboko w naturę ludzką, to przynajmniéj objął okiem obszerne koło pojęć i pomysłów; a stworzywszy „Murdeliona“, zdobył sobie zaszczytne miejsce nietylko wśród naszych myślicieli, ale i w gronie naszych artystów.

1876—1879—1886.

V.

JAN ZACHARYASIEWICZ.

Taż sama okolica kraju i taż sama chwila dziejowa, co na Kaczkowskiego, oddziaływała i na Zacharyasiewicza, ale odmienne usposobienie przyrodzone i odmienne życia wypadki inaczéj ukształtowały umysł obudwu.

Zacharyasiewicz urodzony w Radymnie 1825 roku, z rodziców niezamożnych, wcześnie musiał myśleć sam o sobie i wcześnie zaznał wszystkich goryczy i cierpień, na jakie narażało młodzież ówczesne położenie polityczne Galicyi za rządów Metternichowskich, kiedy każde zebranie liczniejsze już o knowanie spisków posądzano. Ze szkoły w Przemyślu musiał się przenieść za jakieś patryotyczne przekroczenie przepisów wraz z innymi kolegami do twierdzy w Spielbergu, gdzie przez dwa lata (1842—1844) przesiedział, kształcąc się daléj na książkach niemieckich. Gdy z więzienia go uwolniono, przybył do Lwowa i tu wszedł do grona młodzieży uniwersyteckiéj, czczącéj entuzyastycznie poezyę i próbującéj sił swoich w literaturze. O atmosferze tu panującéj daje nam pojęcie obrazek skreślony przez samego Zacharyasiewicza w kilka lat potém: „Ludziom dojrzałym wiekiem i rozumem śmieszne wydałyby się postawy i giesta młodych literatów, którzy nieraz, bez ratunku i przebaczenia, potępiali dzieła mężów będących w wysokiéj u narodu opinii; gdy przeciwnie każdy z grona wychodzący artykulik, skreślony pobieżnie i dorywczo, obsypywany był

oklaskami, przerywany podziwem i głosami, które tylko jego korzystną widziały stronę. Głównym powodem téj korupcyi w osądzie własnym była obecność i znajomość autorów, którzy wbrew powszechnéj w tym względzie regule, żyli między sobą w najściślejszéj przyjaźni. Gdy tym sposobem cel naszych ćwiczeń był chybiony, wnieśliśmy ustawę, aby artykuły nie były odczytywane przez pisarzy, tylko przez innych, zachowując co do autora jak najściślejsze incognito. Odtąd powstały w gronie silniejsze utarczki, większe spory, które choćby tylko pod względem dyalektyki korzystnie na grono wpływały“ [1]). Duch w tém kółku był szczerze i zapalczywie demokratyczny; zachęcano się wzajemnie do czynu, do pracy dla ludu. Z natchnienia kółka tego powstały zapewne takie najdawniejsze, z r. 1845 utwory Zacharyasiewicza, jak przekład piosnki rusińskiéj „Do księżyca“ [2]), dokonany wierszem zręcznym i językiem barwnym, albo też takie jak „Wykład dziejów polskich dla dzieci od lat siedmiu do dwunastu“ (Lwów, pod pseudonimem M. Łomży). Jak się zachowywał Zacharyasiewicz podczas bolesnéj pamięci wypadków r. 1846, nie wiemy; ale to pewna, że jeden z owego grona, podobno Maurycy Sikorski, który potępiał lirykę czysto-uczuciową, a zagrzewał najżarliwiéj do czynu, przemawiając formułami Edwarda Dembowskiego, zginął podczas téj strasznéj zawieruchy.

W pamiętnym roku 1848, który tyle świetnych nadziei narodowych i postępowych obudził, a tak je sromotnie przy końcu zawiódł, staje Zacharyasiewicz wraz z swym przyjacielem Karolem Widmanem, na czele czasopisma radykal-

[1]) „M. S. Ustęp z życia mało znanych ludzi“ (w „Nowinach“ 1854, Nr. 25.)

[2]) Wydrukowany w „Pamiętniku literackim“, Lwów 1850, str. 349, 350.

nego „Postęp“, które przeciwnicy z obozu ziemiańskiego o skłonności socyalistyczne głośno oskarżali. Tu oprócz prac drobniejszych mieści rozprawkę o „polityce ruskiéj i narodowości ruskiéj“. Po kilku miesiącach bojowania teoretycznego, gdy „Postęp“ nie mógł się nadal utrzymać, jego redaktorowie chętnie zgodzili się na propozycyę Eugieniusza Chrząstowskiego i Henryka Sucheckiego przemienienia go na „Gazetę powszechną“ a wywieszenie sztandaru wszechsłowiańskiego. Ale i ta Gazeta istniała niedługo i nie miała czasu wyjaśnienia swego obszernego programu [1]). W roku następnym przez kilka tygodni redagował Zacharyasiewicz „Tygodnik Polski“, przemieniony już poprzednio przez Szajnochę z dobrze znanego w dziejach literatury galicyjskiéj „Dziennika mód paryskich“.

Niebawem atoli wskutek coraz silniejszéj reakcyi rządowéj nietylko byt czasopism postępowych był zagrożony, ale i wolność osobista pisarzy. Redaktor „Tygodnika Polskiego“ został wzięty do więzienia, osadzony w fortecy Theresienstadt i skazany na powtórne studya literatury niemieckiéj wyłącznie.

Po dwu latach wypuszczony, przybył do Lwowa i wziął udział w słabo tętniącym ruchu literackim, reprezentowanym tam najprzód przez „Nowiny“ a następnie przez „Dziennik literacki“. Obu tych czasopism został Zacharyasiewicz gorliwym spółpracownikiem w dziale poezyi i powieści. Odtąd zaczęła się jego nieustająca dotychczas działalność, którą naszkicować zamierzam.

I.

Zacharyasiewicz jest marzycielem-realistą.

Czy można marzyć, a jednak mieć poglądy realne;

[1]) Władysław Zawadzki. „Rok 1848. Dziennikarstwo w Galicyi“, Lwów 1878, str. 64—69, 97—100, 110—112.

czy można pojmować potrzeby rzeczywistości, a jednakże marzyć? oto pytania, które każdemu zapewne przyszły na myśl po przeczytaniu powyższego frazesu. Chcąc na te pytania odpowiedzieć, możnaby się wdać w rozprawy filozoficzne i, rozebrawszy logicznie i dyalektycznie wyrazy i pojęcia, koniec końców usprawiedliwić swoję opinią. Byłaby-to przecież droga trochę zmudna i trochę (może nawet zanadto) ckliwa i sucha. Życie nam daje zdanie, życie powinno je zrozumiałém uczynić. Szukajmy więc rozwiązania zagadki w życiu, w faktach.

Czas pierwszych prób literackich Zacharyasiewicza, czas zatém odbierania najliczniejszych i najbardziéj pamiętnych wrażeń, przypada na ową epokę w rozwoju naszego piśmiennictwa, kiedy wielkie gieniusze, wypowiedziawszy tajniki serca swojego i umysłu, prawie zupełnie zamilkły, kiedy myślami ich karmił się drobniejszy naród poetów, naśladujący zazwyczaj to, co najmniéj na naśladowanie zasługuje. Był wówczas w modzie tak zwany *romantyzm*. Co on oznaczał, skąd powstał, jakie były fazy jego rozwoju, nie tu miejsce rozprawiać: dosyć napomknąć, że poruszył on w duszy ludzkiéj strunę sercową i strunę fantastyczną, łączącą się wówczas po większéj części z akordami wiary katolickiéj. Uwielbiał naturę, nienawidził konwenansów, gorzał miłością do idealnych księżniczek i do zwykłych kawiarek, nastrajał lirę na ton wysoki, pospolicie płakał, a przynajmniéj wzdychał. Trwało to już dosyć długo. Naturalnie musiało nastąpić przesilenie. Pogardzając rzeczywistością, którą *zimną*, *lodowatą* nazywano, niepodobna było pogodzić *myśli* z *życiem*, albotéż *słów* z *myślą*; należało zostać albo mizantropem, albo obłudnikiem. Jedno i drugie są to ostateczności, na które ludzie nie tak łatwo się decydują. Wybrano drogę pośrednią i zaczęto *szydzić* i z rzeczywistości i z ideałów. Pomyślcie sobie, czytelnicy, niezliczone

kombinacye z łez, przekleństw, westchnień, szyderstwa, cynizmu, nabożnéj kontemplacyi, pogardy i udanéj dewocyi, wyrzeczenia się świata i marności jego, oddawania się na fale losu itd., itd., a będziecie mieli jaki-taki obraz różnorodnych kierunków w ówczesnych spacerach na przejrzystym Pegazie po górach Olimpu, lub po najzwyklejszych żwirówkach. Szukano jakiegoś wyjścia z tego melancholiczno-dusznego światka, który się wytworzył w przeciągu lat kilkunastu, dzięki pędowi naśladowczemu, jaki wywołują po sobie ludzie, którym „w kolébce jasna gwiazda świéciła“. Dokąd wyjście miało zaprowadzić, mało kto wiedział; szukał go jednakze każdy, bo nie mógł już dłużéj wytrzymać.

Zacharyasiewicz był poetą. Śpiewał czule, tęsknie i melancholicznie. Kiedy-niekiedy pieśni swoje kończył gorzkim uśmiechem ironii. Uśmiech ten nie był łagodny i pobłażliwy, jak uśmiech męża, przypatrującego się dziennym zabawom, lecz zgryźliwy i boleśny, bo ranił przez odbicie samego pieśniarza. Boleśnie go uderzała dysharmonia, jaką znajdował pomiędzy młodocianém marzeniem, a zawodami w życiu, na każdym kroku spotykanemi. Miał do rozporządzenia słowa, więc mścił się słowami na innych i na sobie.

Gdy kreślił los „Artysty“ (w *Nowinach* 1854, Nr. 33), utożsamiał niewątpliwie z nim i swój własny. Jestto tedy istota, któréj tłumy nie rozumieją; radzi mu więc autor, by strzaskał gęśl złotą, „bo niema dziś orłów nieścigłego lotu i ludzi, coby twych pieśni słuchali“:

Czy znacie życie artysty?... O ludzie
Z stępioném czuciem, w przesyceniu, w znudzie...
Aby ogarnąć zmysłami to morze,
Trzeba zawiele czuć, cierpieć zawiele,
Oddychać niebem, w nieba pierwowzorze,
Trzeba wycierpieć piekło w własném ciele...
Dziwny on człowiek, kochanek-szyderca,
Szuka dwóch tonów do akordu serca,

Dwóch ócz z płomienia promienistéj tęczy,
By się w nich przejrzał i zrozumiał siebie,
Aby gdy czucie do syta go zmęczy,
Ssał rozkosz nieba i spoczął w jéj niebie...

Z bolesną i przejmującą ironią woła do dusz tkliwych i namiętnych: „Nie wierzcie w serce“ (*Nowiny*, 1854, Nr. 44), bo:

Robota serca wątła i nietrwała...
Wiatr ją rozwieje silniejszym podmuchem;
Dzieło rozumu, jak niezłomna skała,
Urąga burzom, silne świata duchem.
Budujcie twierdze z cegiełek rozumu,
Serce oddajcie w dziedzictwo dla tłumu.
. . . . . .
Błogo zmysł buja z więzów wyzwolony
Z kwiatka na kwiatek jak motyl jaskrawy,
Urodą, łzami kwiatów niewzruszony,
O, jaki błogi ten żywot bezłzawy!
Z łez wyzwoleni, w uczuć poniewierce,
Nie wierzcie w serce, o, nie wierzcie w serce!...

W sonecie „Tęsknota“ podaje przyczyny swego smutku: tęskni, bo już w kolebce doznał zawodu, bo mu tęsknotę niebo przekazało, bo go bolą cierpienia rodaków; słowem tęskni za życiem, co gdzieś w niebo uleciało i „już mu tak dobrze tęsknić duszą całą, jak wam o szczęściu marzyć i śnić śród drzew chłodu“.

W innym sonecie „Jest niebo“, powiada, że wierzy w istnienie nieba, bo są w mękach Łazarze weseli, bo są nadzy w żywota śrzeżodze, co prześladowanie na siebie przyjęli, jest niebo zmiłowania, ukojenia i pokoju, bo jest żal głęboki, są zawody; pociecha tylko w przyszłéj niebios zapłacie.

W „Gońcu“ (*Nowiny*, 1854, Nr. 46), parafrazie Mickiewiczowskiego Farysa, mglistemi obrazami stara się oznajmić, że niesie wieść jakąś wielką, że pędzi w step, gdzie

ory. A gdy mu któryś z towarzyszy poetów, w wierszu „Do Gońca“ (*Nowiny*, 1854, Nr. 50) wyrzucał niejasność celu jego podróży na step, by tam z echem rozmawiać, odpowiedział w „Powrocie“ (*Nowiny*, 1854, Nr. 60), że jako smutny dążył na step, gdzie milczenie i smutek głęboki, że był-to szał młodości dzikiemi myślami wywołany, gdy nikt mu nie mówił: wróć; lecz że płomienia duszy i step nie stłumił; lubéj nie było, tęsknota, jak jad piekący, paliła mu piersi, bo „zrodzon do pracy, nieczynnie tak żył“. A ponieważ gonitwa bez celu przyniosła mu wstyd, więc powiada, że duch jego wzleciał aż na Golgotę, a wtedy upadł przed krzyżem, a krzyż go pogodził z ziemią i z niebem, wzmocnił go, odrodził, wskazał drogę ze stepu marzeń do siedziby ludzi rzeczywistych:

Poszedłem tym szlakiem: dziś pośród was stoję.
Tu koniec, panowie, początek był tam...
Początek na boje, a koniec na znoje:
I w bojach i w znojach, o! szczęście nie moje;
Nie marzę, nie roję, bo szczęście — to kłam!

To wyrzeczenie się marzeń i rojeń było naturalnie chwilowém tylko, ale sprawiło, że 30-letni już wtedy poeta zaprzeczył romantycznéj teoryi miłości i zwrócił się do wskazówek rozumu. W jednéj z najwcześniejszych swoich powiastek, osnutéj na częściowych wspomnieniach z pobytu w fortecy, p. n. „Gwiazda, epizod z życia wygnańca“ (*Nowiny*, 1854 od Nr. 68) wypowiedział on te bardzo znamienne słowa: „Niech mówią, co chcą, poeci i powieściopisarze, którzy uczuciom bezwzględnie wieczność i nieśmiertelność przypisują; ja jednak mówię wam szczerze, że takowe zawisły od wpływów, które je zasilają lub zupełnie niszczą. Każda wyższa potęga ducha objawia się w świecie zmysłowym przez pewne medium, zmysłom podpadające, które ją przez nie istocie ducha udziela. Obcowanie zatém

duchów zawisło zawsze od jakiegoś czynnika napół-zmysłowego, a bezwzględnie tychże porozumienie i wzajemność bez pomocy takich czynników obejść się nie może". Równocześnie zaś prawie z tym protestem antyromantycznym. w sonecie „Do myśli" (*Nowiny*, 1854, Nr. 52) wysławia błogie skutki, jakie ona nań wywarła:

Bądź pozdrowiona myśli! W żywota szarudze,
W bezużytecznéj z losem i z ludźmi szermierce,
Walcząc z rozumem świata o wiarę i serce,
Gdym się zakrwawił w swojém, zobojętnił cudze,

Tyś mi wzeszła; jam przejrzał i w nowéj żegludze,
Jak Kolumb tobą silny, choć niebo w rozterce,
Nowego lądu widzę zielone kobierce,
Za nim oto i serce skołatane trudzę.

Bądź-że mi wierną, myśli!... a ja ci poświęcę
Wszystko moje, prócz serca, wszystkie życia chwile,
I wszystkie zmysły ciała i *żale w piosence*.

Tylko ty mnie nie zawódź przez zawodów tyle...
Oblubienico moja, bądź mi wierną w męce,
A kiedy się wypełni, świeć na méj mogile.

Nie należy zapominać, że oprócz stosunków krajowych, działały jeszcze na Zacharyasiewicza wpływy postronne, wpływy poezyi i cywilizacyi niemieckiéj. Zacharyasiewicz nie pozostał obcym temu działaniu. Wielką część ironiczności, jaką w jego pismach znajdujemy, zawdzięcza on synom Germanii, a w jego manierze pisarskiéj odbijają się bardzo wyraźnie zalety i wady spółczesnego mu powieściopisarstwa niemieckiego. Nie mówię tu oczywiście o naśladownictwie surowém. Zacharyasiewicz jest zanadto umysłem oryginalnym, ażeby się miał ślepo poddawać i ulegle słuchać rozkazów obcego talentu. czy gieniuszu. Owszem jako dowód prawdziwego uznania zaznaczyć tu muszę, że Zacharyasiewicz potrafił przejąć się potrzebami najbliższemi,

obchodzącemi ogół kraju, albotéż część jego, i w tym kierunku siły swoje zużytkowywał. Powiedziałem to jedynie w celu naszkicowania mniéj więcéj główniejszych warunków, wśród których Zacharyasiewicz się rozwijał i działał.

Tak więc, po jednéj stronie — stał smutek i pragnienie ideałów, po drugiéj — rozczarowanie, sarkazm lub dążenie do trzeźwych realistycznych poglądów. Czy przejdziesz na tę, czy na ową stronę, zawsze w życiu napotkasz przeszkody, czyto w postaci ludzi rzeczywistych, czytéż idei społecznych, domagających się urzeczywistnienia, przeszkody nie pozwalające ani na filozoficzny spokój, ani na bezmyślną apatyą. Smutek jest, jak powiadają estetycy, pierwszym stopniem do świątyni poezyi prowadzącym, ale w życiu najczęściéj napotyka uśmiech politowania, albotéż drwiny. Sarkazm jest bezpłodny; wszystko burzy, a nic postawić na miejsce zwalisk nie może, choćby już nawet z tych samych zwalisk. Wtedy powstają owe połowiczne natury, nie mogące się ani wyrzec wypieszczonych ideałów, anitéż zerwać z rzeczywistością, która bądźcobądź podstawę ich bytu materyalnego i duchowego stanowi. Szukają więc drogi pośredniéj i oczywiście znajdują, drogowskazy bowiem ku niéj na wszystkich rozstajach się napotykają. Marzenia pozostają gdzieś w głębi, mówi się nawet o nich z przekąsem; ale przy lada sprzyjającéj okoliczności wypełzają ze swego zacisznego kącika i, choć słabym głosem, domagają się zaprzeczonych im na chwilę praw bytu. Fantasmagorye, uczuciowe obrazki, sny cudowne, widzenia halucynacyjne grają wówczas w utworach znaczną rolę, chociaż autor nie spostrzega tych mimowolnych zapomnień. Większa część bohaterów Zacharyasiewicza choruje na *marzycielstwo*, z którego *życie* ma ich wyleczyć. Powieść podług Zacharyasiewicza to *patologia* ludzkiego społeczeństwa i indywiduów. Bierze się chorego jakiegokolwiek, stawia się go w warunkach

trudnych do pokonania, nie odpowiadających pierwotnym wyobrażeniom niedoświadczonego młodzieńca, i każe mu się działać. Oczywiście taki człowiek po większéj części działa bardzo niewiele, leży w łóżku, przyjmuje *biernie* wrażenia zewnętrzne i w końcu przekonywa się, że jest Donkiszotem, że trzeba zacząć życie nanowo, na innéj podstawie, na przekonaniach, dokładniéj licujących z wymaganiami społecznemi. Jeżeli bohater nabrał tego przekonania, powieść się urywa, bo pacyent staje się zdrowym i szczęśliwym, a szczęśliwi historyi nie posiadają...

Czy Zacharyasiewicz jest zawsze rozumnym i doświadczonym lekarzem, czy czasem nie daje kartki wyjścia ze szpitala zaledwie napół uzdrowionym, a może nawet chorym? to możnaby wykryć i sąd swój usprawiedliwić w rozbiorze pojedyńczych powieści. Tu ogólnie można tylko powiedzieć, że wyroki jego przez połowę zaledwie dałyby się za prawdziwe uważać. Zacharyasiewicz ma w sobie samym pierwiastek marzycielski, nie zdoła więc, pomimo najlepszych chęci, innych marzycieli dobrze zbadać i zdrowe rady im przepisać. Wskażę tu tylko jeden fakt, spośród wielu innych. W jednéj z najlepszych powieści, która Zacharyasiewiczowi sławę zrobiła, dając go poznać szerszemu kołu publiczności, w powieści „Na kresach“ bohater Jerzy, marzyciel, lekarz, chce coś robić dla swego społeczeństwa; porzucił wawrzyny poetyckie, wyuczył się medycyny i pomiędzy ludem zamierzył apostołować, prowadząc go na drogę oświaty, wyrywając chwasty przesądów i zabobonów. Chęci dobre, myśli nawet bardzo praktyczne i wielkie, ale najmniejszéj zdolności do ich przeprowadzenia. Przez większą część książki Jerzy choruje, apostolstwo mu się nie udaje, miłość go zawodzi, bo ją złożył w ręce wietrznicy kokietki, od jego szpitala wszyscy stronią, medycyna jemu samemu tylko na coś się zdała. Taka jest kolej krótkiego

jego, niby czynnego, a w gruncie najzupełniéj *biernego* zawodu. Cóż mu autor robić każe? Czy otrząsłszy się z niedorzecznéj miłości i nabrawszy większego doświadczenia w postępowaniu z ludźmi, tj. jak w tym przypadku, z wieśniakami, ma daléj mężnie postępować ku wielkiemu celowi podniesienia oświaty? Nie! autor każe mu jechać do Rzymu i tam zostać księdzem. Czy Zacharyasiewicz wyleczył swego bohatera z choroby marzycielstwa?... Zacharyasiewicz nie zrobił tego z wielkiego nabożeństwa, z *dewocyi*, sam bowiem w „Sierocie wielkiego świata“ odmalował szkodliwy, ba, zgubny nawet wpływ tego nienaturalnego wykrzywienia moralności publicznéj, w postaci intryganta, bigota, który wszystkie szkaradzieństwa swoje popełniał ze słodziutką miną, z rękami na piersiach skrzyżowanemi, w imię Boga i religii. Nie, Zacharyasiewicz kazał Jerzemu zostać księdzem z tego marzycielskiego przekonania, że jako ksiądz, potrafi lepiéj wpływać na lud, niż jako lekarz. Zapewne, można działać w różnych kierunkach i różnemi drogami. Autor zapomniał tylko o téj okoliczności, że jego bohater nie posiada warunków do działania, ani w tym, ani w tamtym stanie. Potrzeba go było nauczyć *wogóle* działać, a późniéj dopiero kazać mu wybierać zawód specyalny. Powieściopisarz zaniedbał tego uczynić i pozostawił zagadkę nierozwiązaną. Jego Jerzy może być takim samym dobrodusznym księdzem proboszczem, wypatrującym pomocy w chwilach krytycznych od belki swojego pułapu, albo od tabakierki, którą obraca w rękach, jakiego odrysował Zacharyasiewicz w téjże saméj powieści. Autor nie wyleczył chorego, tylko go w inną wpędził chorobę.

II.

Przy téj sposobności zaraz nadmienić wypada, że tendencya powieści, „Na kresach“ jest ze wszechmiar godną

uznania i wypowiedziała myśli, mające wielką doniosłość *praktyczną*. Dziwnie to brzmi w zestawieniu ze wzmiankowanym dopiero co *marzycielstwem*, ale tak być musi w duszy marzyciela-realisty. Zacharyasiewicz pierwszy podniósł groźną dla nas kwestyą giermanizacyi, i to specyalnie na ziemi wielkopolskiéj, pierwszy dosadnie wykazał środki, jakiemi posługiwała się — i niezaradność obywateli, którzy własnowolnie oddawali ziemię przodków w ręce nienawistnych przybyszów. Z tego powodu powieść ta, napisana 1860 r., i dziś ma wielkie swoje znaczenie dla każdego, kto śledzi postępy niemczyzny w Wielkiém Księstwie, a po części i w Królestwie. Doczekała się ona drugiego wydania (w „Bibliotece pisarzy polskich“ Brockhauza); zalecamy więc ją naszym czytelnikom z całego serca. Znajdą oni tam wypowiedziane pięknie myśli o obowiązkach społecznych, o przeciwdziałaniu zgubnym wpływom, o naszych prawach i niestety! o naszéj niemocy. Jeżeli wskazałem ujemną w niéj stronę, to jedynie w tym celu, ażeby oddzielić pierwiastek marzycielski od realnego, widząc w pierwszym przeszkodę do urzeczywistnienia drugiego. Kto chce działać, musi jasno widzieć wszystkie rzeczy przed sobą, musi odrzucić obsłonki, wstydliwie zakrywające wnętrze bolesnéj rany i sięgnąć aż do gruntu, ażeby nie popaść w niekonsekwencye i nie spotkać straszydeł, tamujących swobodny. choć powolny pochód ku upragnionym celom.

U Zacharyasiewicza, nietylko w téj jednéj ale we wszystkich powieściach, łączy się węzłem małżeńskim, nader niespójnym, trzeźwy rozsądek ze wspomnieniami „pięknych dni w Aranjuez“ i tworzy ów niewyraźny koloryt powieściopisarskiego nieba, które uśmiechami swemi rozprasza tę pochopność do czynu, jaką groźby jego z początku w nas podniecały. Poprzedziwszy tym ogólnym spostrzeżeniem wszystkie nasze uwagi, możemy już w dalszym

ciągu rozpatrywać tylko *dodatnie* poglądy socyalne naszego powieściopisarza, który od czasu napisania „Na kresach“ i równie doniosłego znaczenia „Ś. Jura“ na coraz szerszą skalę płodność swoję zakreślał.

Powieść „Ś. Jur“ i spowinowacona z nią pod względem treści „Jarema“ porusza agitującą się już od lat kilkudziesięciu, a wówczas najgroźniéj występującą tak zwaną kwestyą *rusińską* w Galicyi. Hasłem autora, jak i wszystkich dobrze myślących, jest zgoda oparta na historycznych podstawach spólnego żywota, który, przechodząc obecnie w inne fazy rozwoju, nie powinien kłócić mieszkańców jednéj ziemi, ale w zogniskowanéj sile światła i ciepła zagrzewać do czynów wywalczających sobie przyszłość. W podobnych sferach, obraca się również powieść „W przededniu“, przedstawiająca w sposób dosadny rwanie się ustawiczne przedsięwzięć w zakresie pracy wewnętrznéj, a to z powodu ciągłego wyczekiwania jakichś wielkich zdarzeń, które położenie nasze do gruntu zmienić mają.

Wszystkie wspomniane dotąd utwory miały szerokie koło czytelników, którzy ujrzeli w ich autorze człowieka umiejącego zaobserwować ważniejsze sprawy, zajmujące ogół, i usiłującego sprawom tym, za pośrednictwem popularnego traktatu, nadać jakiś oznaczony, a czasami dobrze obmyślany kierunek. Do tegoż samego kręgu policzyć należy mniéj znaną i mniéj czytaną powieść: „Marcyan Kordysz“ (1865). Przebijała się tu myśl, która dopiero w lat kilka potém znalazła dalszy rozgłos i stała się tematem mnóstwa, jeżeli nie powieści, to przynajmniéj mniéj lub więcéj wyrozumowanych artykułów. Marcyan Kordysz, to typ wielkiéj liczby jednostek, napotykanych u nas dość często, których spłowiałe młodociane ideały niezdatne są już do niczego, chyba do „łatania starzyzny“. Umysł ich, pozbawiony ożywiającego tchnienia teraźniejszości, nurza się

czasami w bezdniach monomanii. Jak takie umysły powstają, Zacharyasiewicz stara się wytłomaczyć w następujących słowach: „Ty nie wiesz, mój Stefanie, co to są dzieje narodu, lub całego świata. Otóż w tych dziejach pojawiają się, od czasu do czasu, pewne prądy czyli burze, które wprowadzają w życie jakąś wielką myśl. Ludzie zazwyczaj nie są świadomi téj myśli; lecz, gdy wejdą w prąd téj wielkiéj myśli, stają się jéj narzędziem szlachetném. Myśl ta przelatuje, jak wielka błyskawica, a zostawia za sobą mogiły i gruzy. Ci zaś, którzy z téj wielkiéj błyskawicy w *życie codzienne* spadną, gdy błyskawica ustanie, są podobni do węgli spalonych, które na ognisku zostają. Nie mogą się pozbyć świadomości, *czém dawniéj byli*, i to jest ich nieszczęście. Z *rzeczywistością pogodzić się nie mogą*, bo ich dusza żyła inném, podniosłém życiem. A Kordysz należy do tych ludzi“. Ten wstręt do życia codziennego, to ciągłe, uparte przebywanie w sferze wysoko mierzących ułud, ta arystokracya pragnień, usuwa zpod nóg ludzi podobnych wszelki grunt, podstawę wszelką. Marnieją oni i giną, nie mogąc rozróżnić „czasu wojny od czasu pokoju“. A wszakże, powiada Zacharyasiewicz, lepiéj poprzestać na niższéj sferze działalności, aniżeli piąć się na wyższe szczeble, bez żadnéj dla kraju korzyści. Marzenia bezpłodne, nie dające się urzeczywistnić, nie doprowadzą do żadnego dodatniego rezultatu, pracą tylko możemy dobić się do jakiegoś stanowiska.

Wychodząc z tych ogólnych maksym, Zacharyasiewicz w rok potém przedstawił szczegółowy wypadek, więcéj mający przykładów w życiu codziennem, a wykazujący, że mniejsza sfera działania nieraz korzystniejszą bywa, aniżeli szeroko wydęte bańki iluzyi. W powieści „Po ślubie“ jest epizod dość stosunkowo obszerny opisujący dzieje pewnéj jednostki z ludu. Człowiek ten miał zdolność do muzyki, był w gronie rodziny aniołem opiekuńczym, aniołem har-

monii i szczęścia. Polubił go „pan“, właściciel wioski, łożył na jego wykształcenie, puścił w świat, zapoznał z lakierkami, białym krawatem i frakiem. Wraz z przemianą zewnętrzną, nastąpiła wewnętrzna. Z prostego, lecz serdecznego grajka, który jako organista, dajmy na to, mógłby był oddać wielkie usługi dla swojéj wioski, wyrósł głupio melancholiczny, niezgrabnie natchniony, salonowy egzekutor, będący maszynką do rozweselania, używaną w potrzebie, odsuwaną na bok, wobec innych zajęć. Zamiast sympatyi, zyskiwał uśmiech politowania: zamiast zadowolnienia wewnętrznego, doznawał ustawicznych upokorzeń; zamiast wdzięcznéj pamięci, przemijające oklaski. Człowiek serdeczny stał się nieznośnie sentymentalnym; człowiek naiwny stał się śmiesznym. Na taki obrazek możnaby odpowiedzieć innym, któryby przekonał, że nieraz znów mężowie z ludu stawali się najznakomitszymi przedstawicielami obranego przez siebie wyższego zawodu. Zarówno jedno, jak drugie miałoby względną prawdę za sobą. Natura umysłu Zacharyasiewicza, wahająca się pomiędzy marzeniem i rzeczywistością, w najlepszych pomysłach pozostawia ślady niepewności. Niepewność ta wynika stąd, że przekonań swoich Zacharyasiewicz nie formułuje dokładnie i wszechstronnie. Tożsamo spostrzeżenie zastosować można i do innych pięknych utworów, w których jakąś myśl trafną i rozumną, jakieś wielkie zagadnienie społeczne nasz autor poruszył.

W „Czerwonéj czapce“ (1869, przezwanéj także „Nemezys“) przedstawił w sposób zajmujący i malowniczy ciekawy i ważny proces przetwarzania się Niemców osiadłych w Polsce na krajowców, jeżeli już nie w pierwszém to przynajmniéj w drugiém pokoleniu. Charakter sympatyczny mieszkańców, atmosfera ciepła i serdeczna domu polskiego, tradycye narodowe, ofiarność i gotowość do poświęceń, przytém śmiałość i brawura młodzieży, urok niewiast dzia-

łają tak przemożnie na synów Giermanii, mających w duszy ziarna szlachetności, że potomkowie zagorzałych biurokratów przejmują się uczuciami gnębionych i w ich sprawie gotowi piersi nastawić. Podobnyż wpływ na młodego urzędnika ze strony kobiét polskich powtórnie odmalował Zacharyasiewicz w „Polskiéj miłości“ (1885).

W „Zakrytych kartach“ (1874) miał autor pomysł szeroki i wspaniały: miłość Andrzeja Poboga i Julietty złączoną z interesem majętności polskich przechodzących w ręce Prusaków, przyszłość kraju w powiązaniu ścisłém z losem jednostek wydatnych. Andrzéj to postać wielce piękna, idealizmem trochę przeniknięta, w sprawach publicznych, o ile zapewnia powieściopisarz, samoistna i energiczna, ale w sprawach domowych miękka, niezdecydowana. Trochę nieprawdopodobném jest, iż pochodząc z rodziny znakomitéj ma tak mało krewnych (stryj Benedykt i ubogie ciocie); a sympatya dla niego i ocena tragiki jego położenia utrudniona jest z powodu ogólnikowego i niezbyt jasnego przedstawienia interesów, których w radzie państwa bronił. Julietta, artystka życia wielkoświatowego, zamiłowana w sztuce, poezyi, aksamitach i atłasach, ale szczera. W przeprowadzeniu sytuacyj panuje tu wielka luźność; zamiast spójnéj kompozycyi mamy tu galeryę obrazów, nieraz (mianowicie na arenie wiedeńskiéj) zupełnie z sobą niepołączonych, a często rozwlekłych, powtarzanych, podmalowywanych i zacieranych. Brak siły sprawia, że sytuacye tragiczne nie są utrzymane w grozie należytéj. Najlepsze psychologicznie są ostatnie sceny, kiedy Julietta umie odnaleść na czas jakiś poezyę w zajęciach domowych, ale nie może w tém usposobieniu wytrwać z powodu długiego przyzwyczajenia do zupełnie innego trybu życia; i kiedy Andrzéj, lubo zakochany, uczuwa gorycz na wspomnienie, że przywykł do szerszych horyzontów i że ich pośrednio pozbawiła go ukochana. Pod wzglę-

dem społecznym obraz Galicyi byłby wybornym, gdyby Zacharyasiewicz wprowadził był jeszcze parę czynników ważnych, jakoto Rusinów, Żydów w innym niż lichwiarki charakterze, wreszcie dziennikarzy. Ale i tak jak jest powieść „Zakryte karty“ silne wywiera wrażenie, będąc uplastycznieniem spostrzeżenia, które autor w następne ujął słowa: „Jesteśmy często za skrajnym postępem, kruszymy *słowem* zapory wiekowe, przesądy i uprzedzenia, a w życiu stawiamy te zapory starannie wkoło siebie, aby się do nas zbyt blizko nikt nie przedarł i nam w przesądach naszych nie ubliżył. Schlebiamy demokracyi i głosimy jéj zwycięstwo, a z oburzeniem odpychamy od córki młodego człowieka, który tylko dyplom pracy ma w ręku i czepiamy się klamki pańskiéj, bo ona daje nam stosunki z rodami uprzywilejowanemi!... Wychodzimy z ojcowskiéj zagrody, jak ongi Donkiszot w pełnéj zbroi, aby na szerszym zagonie obowiązków publicznych walczyć i kruszyć kopie; a tymczasem ta ojcowska zagroda zapada się za nami w ruinę, gad i płaz wciskają się przez szczeliny muru, a sama ruina staje się siedliskiem złych ludzi, którzy z niéj coraz szersze w społeczeństwo zapuszczają zagony! Mówimy wiele o pracy i oszczędności, tworzymy spółki i domy handlowe, a tymczasem zdobyte w tych spółkach pieniądze rozrzucamy po zagranicy, otaczamy się zbytkami i w końcu kończymy likwidacyą niebardzo dla nas zaszczytną! Uznajemy pracę ducha, podnosimy ją czasem do apoteozy, a książki tymczasem pleśnieją na półkach księgarskich i idą wkońcu do antykwarza, aby potém przekupkom służyć do zawijania pieprzu. Słowem pojmujemy i czujemy to wszystko, co tylko wyższa cywilizacya społeczeństwu dać może; a w domu tymczasem ograniczamy się wyłącznie na artykułach komfortu i zbytku, bo te tylko uważamy za miarę naszéj sytuacyi społecznéj“ (t. I, 221, 222).

„Zły interes, powieść ze studyów wiedeńskich“ (1876) wybornie maluje tę nienasyconą gorączkę złota, jaka do najszpetniejszych prowadzi zboczeń i występków, gdy opanuje organizm ludzki, gdy zajmie wszystkie jego nerwy. Wyżera ona wszystkie szlachetniejsze uczucia, wypacza charaktery, a życie czyni albo snem trwożnym albo orgią. Taki dorobkiewicz-bankier, aspirujący do znaczenia w świecie za pośrednictwem pozyskania ręki księżniczki, wskutek tchórzostwa, do którego piśmiennie się przyznaje na placu pojedynku, pozbawia się nazawsze spokoju, a wskutek krachu widzi się zmuszonym do wypicia trucizny. Taki zrujnowany książę, który frymarczy cnotą i szczęściem córki dla podtrzymania swych finansów, również blizkim jest już zupełnego spodlenia i upadku i tylko autorowi podobało się uratować go za pośrednictwem tradycyi... Pod wpływem rozkładowego oddziaływania téj fatalnéj gorączki zepsucie i sceptycyzm zakrada się i do serc niewieścich, co autor illustruje następnym drobnym, ale wymownym przykładem: Dwie kobiety idąc zamąż postanawiają corok pójść w dzień zaduszny na grób artysty, którego niby kochały gorąco, a który zginął w pojedynku, częścią z prywatnych, a częścią z publicznych pobudek, jako przeciwnik zjednoczenia Niemiec pod hegemonią pruską. Zaraz w pierwszą rocznicę obie o postanowieniu zapominają; jedna strofowana przez męża spełnia ten dobrowolnie na się przyjęty obowiązek, a druga, któréj dzień ten również przypomniał mąż, posyła tylko na grób wieniec z białych kwiatów...

* * *

I w opowiadaniach swych historycznych podnosi autor niekiedy kwestye ważne, lub uczucia rozpalające serca ogółu ku wyżynom wielkim i szlachetnym. Nie posiada wprawdzie nasz powieściopisarz téj znajomości dziejów w szczegółach

obyczajowych i myślowych, jaką się odznaczył rówieśnik jego Kaczkowski; Zacharyasiewicz bowiem ani przedsiębrał nigdy głębszych studyów historycznych, ani też w talencie swoim nie ma téj wyobraźni sympatycznéj, co się umie przenieść w czasy ubiegłe i żyć życiem inném niż teraźniejsze, gdyż się zanadto zżyła z teraźniejszością. W każdym atoli razie umie on odczuć i zrozumieć zarówno idee jak i dążenia potężne i jakkolwiek nie potrafi odmalować tła wiekowego z całą szczegółowością i malowniczością, zdoła jednak wywołać silne wrażenie w sercach, malując wielkie i wstrząsające do głębi katastrofy, na jakie naród był narażony.

Rozpoczął od drobnych obrazków, przedstawiających życie dwu poetów XVI stulecia: Janickiego i Klonowicza („Dwaj lutniści“ 1857), pisał następnie takie niebardzo udatne anegdoty z wieku XVIII jak „Fałszywy król“, ale wkrótce już utworzył powiastkę, która jeżeli nie wykonaniem to myślą piękną zwróciła na siebie powszechną uwagę. Powiastka ta miała napis „Konfederat“ (1861), a przedstawiała rozbudzenie się w sercu mieszczanina Radysza uczuć patryotycznych, które go skłoniły do zdobycia sobie podstępem papierów szlacheckich, ażeby módz walczyć w szeregach konfederacyi barskiéj. Po pięcioletnich zgórą bojach, dosłużywszy się stopnia rotmistrza wraca do swéj siedziby, gdzie zostawił szlachcica Popiela, którego papiery zabrał, wymógłszy na nim słowo szlacheckie, że pozostanie w jego domu aż do jego powrotu. Ponieważ Radysz żywot rycerski prowadził jako Popiel; zasługa więc i zaszczyt spada na tego szlachcica, który przez ów okres pięcioletni zastępował miejsce Radysza bednarza. Nie chce on przyjąć zaszczytów bez zasługi, ale gdy jego starania o uszlachcenie Radysza na zasadzie służby rycerskiéj nie odniosły skutku, odpłacił się Radyszowi szczerą przyjaźnią a w testamencie

zapisał synowi słowa następne; „Pamiętaj, żeś Marcin Popiel, rodu królewskiego. Życie twoje i mienie należy do Rzeczypospolitéj. Hasło Popielowe jest: Jezus, Marya, Józef — pal i wal! A gdy brat nieszlachcic chce koło ciebie stanąć, to mu się posuń i uściśnij jak brata. Tylko wszyscy razem, co jednym mówimy językiem, jesteśmy coś warci i czegoś możemy dokazać. A gdy się podzielimy, to nas zgniotą jak dziurawe orzechy. To miéj na pamięci. Amen".

Większe powieści historyczne Zacharyasiewicza („Marek Poraj" 1867, „Chléb bez soli", „Noc królewska" 1872) osnute są na smutném tle czasów Stanisława Augusta i rozbiorów Rzeczypospolitéj. Głębokie uczucia narodowe, wywołane strasznemi katastrofami, obok obrazów lekkomyślności lub zaprzaństwa obudzają w duszy czytelnika silne oddźwięki, lubo artystyczna strona utworów rzadko kiedy zadowalnia. Myśl i uczucie potężne zasłaniają brak doskonałości pod względem piękna...

III.

Nie zawsze atoli poruszał się Zacharyasiewicz w tych podniosłych sferach, do których wprowadza za sobą społeczna jakaś idea, dobro ogółu mająca na oku. Owszem większą część pism swoich poświęcił Zacharyasiewicz sprawom powszednim, codziennym, obowiązującym równie silnie do noszenia krawatu jak do wykonywania katechizmowych przepisów. Pod skrzydła swojéj powieściopisarskiéj opieki wziął on całą czerń jednodniowych bohaterów — Leonów i Stefanów, Agatonów i Prosperów, słowem owych Pawłów i Gawłów, którzy w różnych metamorficznych kształtach śpiewają lub płaczą, skarżą się lub dumnie potrząsają głową, myślą lub wegietują przez jeden, dwa lub trzy tomy, ażeby koniec końców ulecieć do nieba lub stanąć przed

ołtarzem. Cały ten świat *małoludów*, od którego nikt z nas pod karą posądzenia o niezrozumiałość, wyłączać się podobno nie może, ma swoje interesa, żyje i krząta się jak może, znajduje też swoich Homerów lub Wergiliuszów przynajmniéj. Rzecz to powszechnie znana, na którą skarżą się tylko wygwizdani na scenie życiowéj pesymiści. Pytanie więc, jak się Zacharyasiewicz z powołania swego — piewcy małoludów — dotąd wywiązywał?

Któż śmiałby zaprzeczyć, że w sprawach tego małego światka, najważniejszą rolę odgrywa tragiedya, albo co częściéj komedya miłości, téj pospolitéj, a jednak miłéj czarodziejki, co wywołuje wykrzykniki, spazmy i pocałunki?... Od takiego lub innego określenia jéj przymiotów, od takich lub innych sytuacyj, w jakich ją słuchacz znajduje, zależy zaciekawienie i wartość utworu jéj poświęconego, utworu jedynego, który większość czyta od jednéj okładki do drugiéj. Można twierdzić napewno, że Zacharyasiewicz specyalnie i to z wielkiém zamiłowaniem traktuje wspomnianą dopiero co kwestyą. W powieściach jego znajdujemy szczegółową, drobiazgową nawet dyagnozę miłości wogóle i serca kobiecego wszczególności. Nie jest on ani zbyt zapalonym chwalcą cnót niewieścich, ani téż zbyt gorzkim szydercą. Zarówno jasne jak i nieco przyćmione strony „pań rodu ludzkiego“, starannie bywają zbierane w jeden artystyczny bukiet światła lub cieniów. Ubóstwia on miłość prawdziwą i już to w długo-okresowych dytyrambach, już w zwięzłych refleksyach, już téż w całéj treści utworu przeprowadza spowszedniałą już trochę, ale niemniéj przeto wielką myśl, że miłość tylko może sprowadzić na ziemię szczęście ulatujące gdzieś od ludzi coraz daléj i daléj w niedojrzane obszary. Miłość coraz rzadsza na świecie, zastępuje ją zamiłowanie bogactw, blasku, wygód życia, zaszczytów, włączając w to naturalnie wyłączną miłość siebie, depczącą szczęście i ży-

czenia innych, byle swoim zachciankom dogodzić. Oschłość serca, zmartwiałość, nudy, niezdolność do czynnego życia, oto główniejsze cechy dzisiejszéj młodzieży. Zacharyasiewicz jest zwolennikiem cichego, spokojnego uczucia. W historyi jego bohaterów i bohaterek powtarza się nieraz taki wypadek: Bohater poznaje jakąś skromną panienkę w zaciszu wiejskiém, budzi w niéj serdeczny ku sobie pociąg i z jakiéjkolwiek przyczyny oddala się od niéj, szukając w świecie szerokim mary szczęścia, goniąc poomacku za ideałami. Po wielu próbach, które moralnie go męczą i przygnębiają, „zawiedziony i rozczarowany“ wraca do owego wiejskiego ustronia, znajduje tam zadumaną i tęskniącą Zosię czy Julkę, znajduje także gotowego drużbę — i co za tém idzie, gotowy ołtarz i gotowego księdza. Długo błądził „burzami życia miotany“ i wreszcie kotwicę zarzucił tam, gdzie pierwszego niezapomnianego doznał wzruszenia. Bo iluzye stanowią połowę życia ludzkiego, pokazując w dali za zasłoną urojone widziadło, którego rzeczywistość jest tuż przed nami. „Jeżeli miłość — powiada Zacharyasiewicz — nie ma głębszych podstaw; jeżeli się nie zrodziła w duszy, jeżeli nie wiążą jéj *wyższe przymioty kobiety* — to musi w takim razie rozwiać się, jak nikną i rozwiewają się mgły jesienne pod okiem słońca. Cały ten sztuczny blichtr i szych czernieje przy świetle dziennem; a wtedy zdarza się, że *wielbiciel sam sobie nie wierzy*, aby go kiedykolwiek coś podobnego zajmować mogło“. Wyleczenie się z owych złudzeń stanowi oś obrotową większéj części powieści Zacharyasiewicza. Oczywiście, co tu powiedziałem o mężczyznach, stosuje się również i do kobiet, chociaż w szczuplejszym zakresie. Kobiety bowiem są albo bezdusznemi lalkami, albo wyrafinowanemi kokietkami, albo też silnie kochającemi od początku do końca idealistkami. Wyjątki zdarzają się dość rzadko, zwłaszcza kiedy się bierze pod uwagę średnią miarę

wykształcenia kobiecego, jaka zazwyczaj w utworach Zacharyasiewicza przeważa.

Obok téj idealno-uczuciowéj lub wyrachowanéj strony serca kobiecego pojawia się u naszego powieściopisarza od czasu do czasu bunt przeciw postawionym zgóry wzorom i kobieta staje się zmysłową marzycielką. Nudzi ją życie powszednie, mierzone godzinami śniadania, obiadu i kolacyi, chciałaby pomarzyć, pobujać — mając lat czterdzieści parę. „Ach, wy mężczyźni, nie znacie kobiet — powiada jedna z nich. — U was kobieta powinna być *dobra* na pierwsze wejrzenie, *dobra* po ślubie, zawsze *dobra*, nieznośnie *dobra* — aż do śmierci... Kobieta powinna być jak *kameleon*; powinna się mienić w tysiączne barwy, powinna niepokoić was i dręczyć niepewnością aż do ostatka. Tylko taka kobieta może być kochaną i pożądaną całe życie, bo dobra, wiecznie jednako dobra kobieta staje się u was sprzętem domowym, którego jesteście najspokojniejszymi aż do znudzenia właścicielami". Gdyby to zdanie wyszło z ust samego Zacharyasiewicza, uważałbym je zapewne za karygodną herezyą; — w ustach kobiety żądnéj wrażeń, było bardzo trafném spostrzeżeniem, bo malowało wewnętrzny stan jéj duszy. „Była ona już wprawdzie dawno za progiem owych lat gorących, w których serce kobiety z gorączkową namiętnością chwyta ostatni puhar rozkoszy i uniesień, zanim ją zmarszczki i włos biały lodowym okryją całunem; ale silna jéj wyobraźnia umiała tak żywo reprodukować obrazy młodości, że samo wspomnienie napawało ją połową rozkoszy, jakich używała za lat młodszych. To odziewanie ubiegłego życia było dla niéj dzisiaj jedyném zajęciem, jedyną namiętnością, któréj oddawała się z zachwyceniem. Zdawało się, że w tych ekstazach traciła połowę swego wieku, stawała się dziecinną, płakała z nadmiaru rozkoszy jak młoda dziewica, czując pierwszy uścisk

miłosny". Była to chwila, w któréj wymagania wieku skłaniały ją do dewocyi.

Kobiety Zacharyasiewicza zachowują się zupełnie *biernie*, — jeżeli oczywiście manewrów kokietek w celu pozyskania sobie mężów nie będziem uważali za dotykalny objaw samodzielności. Poddają się one wszystkim wpływom i okolicznościom bez śladów słabego nawet przeciwdziałania. Są cnotliwe ale cnotę swoję zawdzięczają po większéj części temu tylko szczęśliwemu składowi rzeczy, że nie znalazły na swojéj drodze żadnego silniejszego umysłu, któryby im ścieżkę niesławy różanemi usłał liśćmi. Bywa też jeszcze inny stosunek. Kobieta chyli się już ku pochyłości moralnéj, ale zrządzeniem losu (nie własnym namysłem i to istotnie godne uwagi), widzi przed sobą jakąś zaporę, która przyśpieszony jéj krok powstrzymuje. Taką zaporą jest np. obowiązek matki, podsuwany jak w teatrze maryonetek w postaci małéj córeczki przez rozsądnego męża („Zakazane owoce") przed oczy bałamucącéj się żony. Córki, posiadające nawet z pozoru bardzo głębokie uczucia, idą nie za poszeptem serca, ale za poszeptem dumy lub mamony, za poszeptem ciotek i babek, arystokratek i dewotek. Co większa, uważają się za zupełnie niewinne, jeżeli skłamią swemu sercu, jeżeli prawdę życia przefrymarczą za szychową ułudę. Nie poszanowanie to woli rodziców, nie głębsza jakaś idea powoduje ich do takiéj obłudy, ale poprostu brak energii, brak woli. Sądzimy, że po podobnéj utracie bohaterowie zbyt długo płakać nie będą.

O ile wiemy, Zacharyasiewicz raz jeden tylko usiłował przedstawić kobietę, wyzywającą świat do walki, własnemi środkami rozszerzającą sobie zakres działalności — i kobietę tę postawił tak nizko, że żadna nie zechce w jéj ślady wstępować. Mówimy tu o „Człowieku bez jutra". Paulina „zawiedziona w miłości" daje się wykraść jakiemuś

porucznikowi, po to tylko, ażeby spalić za sobą okręty, to jest nie módz nigdy wracać do małéj mieściny, gdzie dla jéj ducha nie było dostatecznie szerokiéj areny działania. Skompromitowana dobrowolnie, musiała zapomnieć o przeszłości i nowy gmach życia w wielkiéj stolicy budować. Nie wzięła się bynajmniéj do pracy, więc została przyjaciółką barona i wielu innych. Zacharyasiewicz miał zapewne na myśli wybryki emancypacyi i postać taką na szykanę jedynie przed czytelnikami na świat wyprowadził. Głębszéj w tém myśli, np. protestacyi przeciwko ruchowi, jaki wśród dzisiejszéj gieneracyi kobiet się rozpoczął, trudno się dopatrzyć, zwłaszcza kiedy pomyślimy, że parę lat przedtém, w powieści „Po ślubie“, Zacharyasiewicz w dorywczych aforyzmach sam dobitnie wykazywał potrzebę wyższego wykształcenia i rozszerzenia zakresu pracy kobiecéj. Trudno zapewne od marzyciela-realisty wymagać stałych i ściśle określonych przekonań, bo może się tłómaczyć wymaganiami artystycznemi, koniecznością wprowadzenia jakiegoś nowego żywiołu do powięści i t p., w każdym jednak razie świadczyć to może o niechęci lub niemożności sformowania przed sobą samym kwestyi, którą się mimochodem potrąca.

Popatrzywszy z innéj strony na ten sam przedmiot, do podobnegoż dojdziemy zdania. Pomyślał raz Zacharyasiewicz o stworzeniu *ideału* polskiéj dziewicy i napisał *Wiktoryą Reginę*. Miała ona wielu czytelników i wielokrotnym ocenom była poddana. Przedstawiono tu kobietę szlachetną, piękną, wykształconą, imponującą i chciano udowodnić jéj gotowość do poświęcenia się. Kochała ona pewnego letkiewicza, który oczarowany jéj urokiem i olśniony jéj nauką, zaczynał przemieniać swe życie. Na nieszczęście kochał on poprzednio inną i w wielkim smutku ją zostawił. Wiktorya Regina dowiedziawszy się o tém, zrzeka się swéj

miłości na rzecz owéj pierwszéj kochanki swego wielbiciela. A sama? — sama idzie za drugiego (hr. ***). Gdzież tu poświęcenie? To ogólny zarzut, jaki powieści téj robiły kobiety. My dodamy drugi. Zacharyasiewicz wystawił Wiktoryą Reginę jako postać wystrzelającą wysoko nad poziom wszystkich otaczających ją. Zapewne; ale któż byli ci otaczający? Wujaszek czy stryjaszek, mało różniący się od monomana, i letkiewicz kochanek. Nic dziwnego, że kobieta jako tako wykształcona mogła mieć przewagę umysłową i moralną nad człowiekiem, który zgłębiał tajemnice spraw w Portugalii, lub nad młodzieńcem, który umiał jedynie ładnie tańczyć i ładnie jeździć na koniu. Wiktorya Regina wyolbrzymia się tylko dlatego, że obok niéj stają karły. Dlaczego Zacharyasiewicz nie zestawił z nią równie silnéj umysłowości i równie silnego charakteru? Zresztą my o téj umysłowości i o tym charakterze wiemy tylko z zapewnień autora. W rzeczywistości widzimy tylko piękne maksymy, których każda panna w swoim dzienniczku może wypisać całe tuziny. Nie w maksymach leży potęga, ale w czynach. Czyny zaś odkryły w Wiktoryi Reginie dość pospolitą śmiertelniczkę, w całym majestacie samolubstwa. Innéj oddała Cezara, sobie wzięła Andrzeja, bo tak jéj było wygodniéj.

IV.

Nie będziemy przebiegali po tych wszystkich ścieżkach i drogach, po jakich Zacharyasiewicz przeprowadza swoich wybrańców z „małego światka“, począwszy od *Uczonego* (1855), aż do najnowszéj powieści: *Polska miłość* (1885); byłoby to bowiem i nużącém i bezpotrzebném. To co się tutaj powiedziało wogóle i poparło kilku szczegółami, możnaby sprawdzić za pomocą imion, nazwisk, osób i miejscowości; ale gruntu rzeczy nie zmieniłoby się wcale. Staraliśmy się

pochwycić rysy główne — rysy te odnaleść można wszędzie mniéj lub więcéj artystycznie uwydatnione, czy w takiéj humorystycznéj powieści jak *Mąż upatrzony*, czy też w takich rozwodnionych anegdotach jak: *Milion na poddaszu*, *Porwanie Sabina*, *Widoki familijne*, *Opinia parafialna*, *Omanka*, *Kometa*. Wszędzie widnieje myśl szlachetna, w szczegółach tylko niezawsze szczęśliwie przeprowadzona, czasami ściemniona zaściankowością, czasami wypowiedziana zaledwie w połowie, czasami skrzywiona w swojém bliższém rozwinięciu.

Gdybyśmy postawili pytanie, czy Zacharyasiewicz w poglądach swoich jest postępowym, możnaby na nie odpowiedzieć i *tak* i *nie*. Niekiedy dobrze rozumie kwestyą, ale źle ją wymotywuje, niekiedy przypadkową i jednostkową cechę uważa za prawdziwą i stanowiącą podstawę całéj rzeczy. Przykład objaśni to najlepiéj.

W *Dziejach ideału* (1869) na próżnię myśli i bezcelowość uskarżać się niepodobna. Owszem, myśli i to myśli niecodziennych jest tu wiele, nietylko rozproszonych po całéj powieści, ale także tkwiących w zasadzie jéj i w dążności; ale ponieważ one nie są zharmonizowane, rażą nasze poczucie estetyczne i wymagania logiczne. Osądźcie.

Stefan, artysta-malarz, długo się borykał ze sobą samym, długo wątpił we własne siły, długo odmawiał sobie talentu, długo wreszcie marzył o czémś nieuchwyconém, nim w pewien wieczór grudniowy ujrzał w blasku księżyca promieniejące dziecię swych marzeń — kobietę. Jowita — tak się nazywała — była-to niepospolita istota; brzydząc się śmieciskiem życia zwyczajnego, kochała to tylko, co piękne i wzniosłe; niezadowolniona swojém otoczeniem codziennem, ulatywała w krainy wyobraźni i tam szukała karmi dla swéj duszy stęsknionéj. Możnaż wątpić, że poznawszy Stefana, podziwiając jego talent ujawniony już w kilku obrazach, które zyskały sobie pochlebne zdanie w dziennikach

niemieckich, musiała zacząć podziwiać i samego ich twórcę. Od podziwienia do miłości krok jeden. Jowita i Stefan pokochali się miłością wieczną, niezwalczoną. Tak się zdawało... Szkaradny jeden wypadek przerwał tę nić złudzeń tak pięknie wysnutą. Na pewnéj romantycznéj przechadzce nad brzegami Elby (wszystko to dzieje się w Dreźnie) Stefan chciał zerwać kwiatek wyrosły na konarze zwieszonym nad przepaścią... i czyn ten rycerski przypłacił kilkutygodniowym wypoczynkiem w łóżku...

Cóż robiła podtenczas bohaterka? Płakała, płakała i płakała... nareszcie pewnego pięknego poranku płakać przestała i wyjechała wraz z ciocią i ze starym młodzieńcem Alfredem, którego krewni za męża Jowicie przeznaczali, do Francyi, Włoch, Hiszpanii. Jakie były skutki téj podróży, objaśnią słowa Jowity, pisane w liście do przyjaciółki. „Niektóre (skarby wewnętrzne) utonęły w morzu, inne wziął wiatr północny i poniósł gdzieś ponad fale oceanu; wiele z nich uczepiło się jak jesienna pajęczyna do monumentów Paryża i zostały nazawsze za mną“. Przychodziły téż jéj czasami takie np. myśli: „Czyby nie lepiéj było w życiu naszém, gdybyśmy wymarzywszy sobie jakie szczęście, nie sięgali śmiałą ręką po to szczęście, ale tak jak my tutaj na wyżynach pirenejskich zatrzymali się i tylko zdaleka na to szczęście spojrzeli?“ Prócz tego Alfred, o którym Stefan mówił, że w nim „wszystko poszło już na szmaty, że nie ma w nim całego ani serca, ani duszy, ani sumienia“, nie wydawał się znów tak bardzo złym Jowicie; owszem wzruszała ją ta troskliwość, z jaką opiekował się chorą stryjenką (po któréj, dodać trzeba, spodziewał się znakomitego spadku). Dodajmy do tego i tę smutną okoliczność, że opiekunka Jowity umarła, a majątek jéj okazał się zrujnowanym. Jowita idąc za takiego człowieka jak Alfred mogła stworzyć pozycyę zarówno dla siebie jak i dla córek opie-

kunów swoich. Poświęciła się więc dla szczęścia swych dobroczyńców i... oddała rękę Alfredowi, pocieszając się myślą, że „egoizmem jest chcieć zapełnić marną przestrzeń czasu najwonniejszemi kwiatkami, kiedy one więdną, a zostają tylko dobre owoce *życia*, na których żadnemu chociażby najnieszczęśliwszemu nie zbywa w *życiu*“.

Cóż Stefan? Gdy Jowita wróciła wraz z ciocią z podróży, zaproszony, poszedł do nich na herbatę. Z Jowitą rozmawiali obojętnie. Potém Jowita pozowała dla niego w roli chrześcijańskiéj Rzymianki stawionéj przed sądem Nerona. I Stefan malował... Potém dostał list kompromitujący Alfreda, bo przedstawiający go w najgorszém świetle; podarł ten dokument, mówiąc: „Może właśnie ten brzydki człowiek potrzebował tak idealnéj kobiety, aby go choć trochę z jego błota podniosła“... Brat jego Wacław, śmiejąc się z niego powiada: „że kto tylko co robi i to za pieniądze, ten już przepadł u nas w oczach pewnéj warstwy, że świat szuka tylko pozoru i chce być oszukiwanym“, a Stefan uspokaja się powoli i mówi: „Boleść życia wydaje dobre owoce. Być może, że każdy talent potrzebuje takiéj boleści życia, jaką przejmowali się pierwsi wyznawcy Chrystusa, tworząc dzieła wiekopomne“...

Otóż obraz chaotycznych myśli, wygłoszonych w *Dziejach ideału*. Która z nich jest dominująca, która ma stanowić esencyę powieści?... Być może, Zacharyasiewicz chciał dać szaradę do rozwiązania krytykom, o których powiada, iż częstokroć przypisują autorom właśnie to, o czém oni ani pomyśleli, a zupełnie nie wiedzą, jaką właściwie ideę chciano przedstawić... Ale znaczyłoby to tylko, że autor nie uwydatnił dostatecznie swéj myśli, kiedy różne jéj tłómaczenia podsunąć można. Istotnie w *Dziejach ideału* mamy do wyboru:

albo przypuścić, że Zacharyasiewicz chciał rozwinąć myśl poety o uśmierzaniu i łagodzeniu namiętności za pośrednictwem pracy twórczéj. („Podobnie na twe serce o poeto młody Namiętność często groźne wzbudza niepogody“ itd.);

albo chciał wystawić smutne położenie artystów u nas, którzy nie mogą czuć ani myśleć jak inni ludzie dlatego, że wyroby swéj myśli i swego czucia sprzedają;

albo, że świat pozorami się rządzi i więcéj u niego znaczą tytuły, choćby błotem hańby zbluzgane, niż wszystkie najszlachetniejsze pomysły i popędy serca;

albo, że marzenie nasze poświęcić należy, choćby z rozdarciem uczuć najpiękniejszych, dla dobra innych, jak to zrobiła Jowita;

albo téż wreszcie, że marzenia nasze, nasza pogoń za ideałami nigdy do celu dojść nie zdoła.

Każda z tych pięciu myśli *równie dobrze* da się treścią powieści udowodnić — a żadna dostatecznie. Pochodzi to stąd, że Zacharyasiewicz, pomyślawszy pewne charaktery, nie obrobił ich, nie wykończył należycie; włożył w ich głowy piękne, wzniosłe myśli, a w ich serca — szlachetne, wielkie uczucia, ale pod względem czynu i oddziaływania na zewnątrz upośledził ich do nicości prawie.

Przypatrzmy się temu bliżéj.

Dopóki szło tylko o uczucia i myśli, Jowita i Stefan wyglądają jak nie można lepiéj. Przyszła katastrofa: ów śmieszny poczęści, a zużyty przez samego Zacharyasiewicza upadek Stefana w przepaść — i cóż się stało?... Jowita nic nie przedsiębierze, ażeby być blizko swego ideału, płacze tylko... potém wyjeżdża i zapomina łatwo o tym ideale jak o zdartéj rękawiczce... Czyż to jest miłość wielka, prawdziwa? Powie kto, że na bohaterkę działał wpływ ciotki,

opiekunów, krewnych i t. d. W takim razie oczywistą jest rzeczą; iż Jowita była sobie pospolitą kobietą, a nie taką, za jaką ją autor chce wydać. Powieściopisarz zaniechał nawet, choćby kilkoma słowami, zaznaczyć owéj walki wewnętrznéj, jaka zachodzi w duszy każdego człowieka, a nie tylko takiéj jak Jowita heroiny, walki pomiędzy uczuciem a obowiązkiem, czy téż wyobrażeniem o obowiązku. Jowita mogła powiedzieć swym krewnym, że nie na wyżynach jedynie arystokratycznych jest szczęście, że w pracy ducha i zadowolnieniu wewnętrznem wśród ludzi dobréj woli łatwiéj o nie niż w wyperfumowanéj atmosferze salonów hrabiowskich! Ale Jowitę nie stać było na jedno słowo energiczniejsze, na jeden czyn samodzielny; ona nie dorosła na bohaterkę, na kobietę, ona płacze tylko jak dziecię. I wychodzi za człowieka zgangrenowanego moralnie, mówiąc sobie jak wielkoświatowa dama znudzona jakim zadługo ciągnącym się buduarowym stosuneczkiem: „Zostawmy za sobą, co już żyć przestało“... Stefan jest człowiekiem tegoż samego, co Jowita, pokroju. Po odjeździe bohaterki, ozdrowiawszy, nic lepszego nie znajduje do roboty, jak siedzieć i czekać... Potém idzie na herbatę i rozmawia obojętnie, a daléj jak każdy obojętny malarz przyjmuje propozycyę Jowity malowania jéj w postaci Rzymianki... Czytając to mimowolnie pytamy się: czy-to miłość przez pewien czas złotemi ich łączyła ogniwami, a jeżeli tak, co to za dziwny rodzaj miłości?... I na to odpowiedzieć sobie możemy chyba tylko przypuszczeniem, że w żyłach tych ludzi nie krew gorąca, ale nalewka z rumianku płynęła!... Bohaterowie bez energii nie mogą stworzyć żadnéj wyższéj sytuacyi; a niepewność w skreśleniu ich charakteru odbiła się w niezdecydowanéj dążności *Dziejów ideału*. Zacharyasiewicz jak inne swe powieści, tak i tę napełnił niepospolitemi myślami i to jéj nadało wyższe nad mierność znaczenie; ale na sa-

mych tylko myślach, choćby wielkich i wzniosłych, dzieło sztuki ograniczyć się nie może. Jedność przewodniéj myśli, ściśle a plastycznie skreślone charaktery; a stąd nowe sytuacye i kollizye — oto główniejsze wymagania kompozycyi artystycznéj. Tymczasem w *Dziejach ideału* niema jednéj zasadniczéj myśli, a jeżeli jest, to niejasno uwydatniona, co również jest błędem; a charaktery bohaterów, jakkolwiek dość świeże, ale kreślone bez precyzyi i konsekwencyi.

Człowiek bez jutra jest to historya człowieka (Stefana), który zamiast pójść drogą pracy, chociażby najdrobnostkowszéj, a zatém najmozolniejszéj, ale szlachetnéj, uczciwéj, produkcyjnéj, korzystnéj dla społeczeństwa, wybrał się w życie wygodnym gościńcem spekulowania na los i na okoliczności. Odgrywać rolę salonowego pińczera wobec bogatych a rozpustnych dam wielkiego świata; marnotrawić ojcowiznę na nikczemne zabawy w nikczemnych towarzystwach; udawać zakochanego w brzydocie dla wyciągania od niéj papierków kurs w kraju mających; wypożyczać swe imię dla przykrycia podłéj spekulacyi: takie były środki utrzymania Stefana, takie są środki każdego, kto bez pracy chce używać wszystkich korzyści wyrafinowanéj i wypieszczonéj cywilizacyi spółczesnéj. Każdy pożąda wygody i blasku, które stały się podścieliskiem marzeń dnia dzisiejszego; ale jedni zdobywają je sobie niezmordowaną działalnością lub przyrodzonym sprytem w załatwianiu interesów, połykaniem kurzu w kopalniach lub wąchaniem swędu w fabrykach, pracą nocną przy stoliku, lub wywalczaniem życia pośród burz oceanu, a drudzy rachowaniem na łatwowierność i głupotę ludzką, wyzyskiwaniem swojéj bezczelności, wydzierżawianiem podłości swéj duszy, grą na giełdzie, lub takąż grą w błyszczących przepychem salonach. Jak pierwszych, tak drugich różne losy bywają: zależy to od wielu

bardzo skomplikowanych okoliczności; to jednakże zostaje niezbitym pewnikiem, że pierwsi zyskują szczęście, chociażby granice jego we własném ich zamykały się sercu; a drudzy, pohulawszy lat kilka, źli na siebie i na innych kończą na zwątpieniu i cynizmie, jeżeli ich wprzód sprawiedliwość ludzka przed kratki sądowe nie powoła. Życie teraz jest ciężkie, a wyrobienie charakteru nie dorosło do jego wymagań; skromne żądania należą do krainy baśni, każdy chce być nabobem i to jak najprędzéj; daléjże więc gonić za zmiennicą — fortuną, czepiając się służalczo jéj kół tradycyjnych, mniejsza o to, że śmiałka przejechać mogą. Łatwość zysku pociąga, a siła oporu słabnie; brak charakteru zastępuje wyuzdanie, a brak serca — rozpusta. Tak się dzieje. Zachodzi tylko pytanie, czy *powszechnie?* Zacharyasiewicz, w ferworze powieściopisarskim, całéj dzisiejszéj *młodzieży* zdrożności owe zarzucać się zdaje, stawiając do porównania młodzież dawniejszą, która *na poddaszach* i przy świetle *łojówki* szturmowała jak starożytne Tytany do nieba ideałów!... Jestto przesada, zarówno szkodliwa w naganie, jak i w pochwale. Młodzież jest taka i taka; a napewno można twierdzić, że *większość* ku lepszemu dąży. Historya *poddasza* i *łojówki* zarówno dzisiaj, jak przed laty dwudziestu z równą słusznością i z równym zapałem może być napisana. Zacharyasiewicz miał zapewne na oku jakiś fakt pojedyńczy, wydarzony w jego ulubionéj Galicyi, i fakt ten uogólnić się starał, w rodzaj sumarycznego wyroku, potępiającego młodzież dzisiejszą. Jakaż to przepaść pomiędzy poniewieraniem młodzieży w „Człowieku bez jutra“, a jéj uwielbieniem w „Bożém dziecięciu“ (1858), gdzie opisywał w homerycznym nastroju przymusowe rozejście się studentów...

Może i są gdzie owe dawniejsze tytany — dodaje Zacharyasiewicz — ale my ich nie widzimy. W zdaniu tém

wyraz *może* zamieńmy na *bezwątpienia*, a myśl w niém zawarta będzie o wiele z rzeczywistością zgodniejsza. Tak: są ludzie głodu, ludzie pracy, ludzie krwawym mozołem zdobywający sobie przyszłość; ale niepodobna ich dojrzeć, kiedy się żyje w wygodnych, z komfortem urządzonych apartamentach, kiedy się większą część roku w podróży i w miejscach zabaw przepędza. Zna ich mała garstka ludzi, która marami swych wspomnień nie zasłania sobie oczu na prawdy żyjące w teraźniejszości i umie znaleść dobro i w czasach najświeższych, bo szuka bez uprzedzenia, zwątpienia lub pogardy, ale z istotną miłością. Dalecy jesteśmy od zarzucania Zacharyasiewiczowi zwątpienia lub pogardy, ale od zarzutu uprzedzenia trudno go uwolnić. Autor zaczął czarno patrzeć na świat — i w przeciągu lat dwunastu zmienił swoje przekonania o młodzieży. Śmiało możemy twierdzić, że jest to *jednostronność*, która *chwilowo* może istotnie silniéj podziałać na czytelników, skierowując ich umysł na jeden punkt jaskrawo oświetlony; — ale nader prędko wzbudzi pewne powątpiewania, pewne zarzuty, i może sparaliżować wpływ utworów autora, chcących mieć słuszne pretensye do szerokiego znaczenia.

Jednostronność łączy się nieraz u Zacharyasiewicza z *rutyną*. Przytoczyliśmy przykład pierwszéj, należy uwydatnić i drugą. Zacharyasiewicz napisał powieść *Posag*. Temat to obrabiany u nas od pierwszych początków powieściopisarstwa, zawsze w jeden i ten sam sposób. Wszyscy bez wyjątku narzekają na młodzież męską, że *goni za posagiem*, że nie dba o wewnętrzne zalety, o dobroć, o uczciwość, cnotę itd., ale patrzy jedynie na nędzną mamonę. Zacharyasiewicz łączy się z tym ogólnym chórem, dodając od siebie taki komentarz pocieszający: „Jesteś sierotą (mowa o bohaterce 2-go rzędu) i często wypowiadasz to gorzko,

że *nie masz posagu!* Wszystkie twoje nieszczęścia upatrujesz w tém jedném słowie, że jesteś bez posagu! *Bez posagu* — są to wprawdzie straszne słowa dla tylu tysięcy kobiet, które posażnym pierwszego miejsca ustąpić muszą. Ale nie myśl, aby to była prawda bezwzględna, aby to była zasada społeczeństwa!... Działają w nim jeszcze i inne niż złota potęgi... A te potęgi są dla każdego do nabycia, byle tylko chciał i pragnął. Są to potęgi wielkich cnót, wielkich bezprzykładnych cierpień, które często stanowią tak ogromny kapitał, że nawet dzieci i wnuki nim się obdzielają. Zaiste żywot dobry i poczciwy rodziców, którzy prócz cierpień przebytych przez ten żywot, nic innego dzieciom zostawić nie mogli, jest dla dzieci kapitałem, który równać się może milionom!"... Śliczne to słowa, my pierwsi przyklaskujemy im z serca; spadkobiercy cnót i cierpień ogólnych, jeżeli sami cnotą się odznaczają, godni są poszanowania... Ale to kwestyi nie zmienia. Mnóstwo jest dziewcząt bez posagu, takich lub innych. Nie w tém rzecz, ażeby narzekać i *stoicką* dawać pociechę, ale trzeba zbadać ów objaw do gruntu, wykazując *ekonomiczne* jego przyczyny. Wyrzekanie i wyklinanie młodzieży może wielu rozczulić, ale nikomu nie pomoże; jestto *rutyna*, któréj trzymanie się nie potrafi zaświadczyć o jasném rozumieniu spraw społeczeństwa, ale co najwięcéj o trzymaniu się tradycyjnych śladów powieściopisarstwa. Naprzód w pracy produkcyjnéj zarówno mężczyn jak i *kobiet* na polu ekonomicznym szukać należy rozwiązania zagadki, która w znacznéj części wywiązała się z niemożności utrzymania rodziny. Wyrobienie *charakteru* w obu płciach jest drugim ważnym punktem, którego brak wytwarza owe skombinowane w rozmaity sposób dziwotwory, będące celem ślepych pocisków naszych powieściopisarzy. Należałoby już raz się pozbyć tego tonu jeremiad, który sprawia tylko nudy...

W „Zakrytych kartach“ (1874) autor uczynił w téj kwestyi zwrot ważny; w szukaniu posagu widzi już nietylko samolubstwo, ale także twarde liczenie się z rzeczywistością, liczenie się podniesione nawet do znaczenia czynu patryotycznego, z powodu grozy przejścia majątków polskich w ręce Niemców. Najlepszym tego przykładem jest tam Salomea, która się szczęścia osobistego wyrzekła, żeby ratować rodzinę; postać to szlachetna, rozumna, trzymająca uczucia na wodzy, ale bynajmniéj się ich nie wyrzekająca.

V.

Zacharyasiewicz najlepiéj zna Galicyą i najdokładniéj ją opisuje. Zarówno lud rusiński jak biedne i bogate mieszczaństwo, zarówno arystokratów pieniężnych jak i arystokratów rodowych w szczegółach chararakterystycznych umie przedstawić i ujemne zwłaszcza strony wybornie odmalować. Związany wielką przyjaźnią z matką naturą, wsłuchuje się nieraz w tajemnicze jéj szepty i nadaje jéj ruch i życie, myśl i uczucie, stara się zaprowadzić stały stosunek pomiędzy nią, a ludźmi. Nie wychodzi on tu pospolicie poza granicę zwyczajnych *romantycznych* westchnień róż i bławatków, poza płacz wierzby i melancholią konwalii. Jest w tém i wiele uroku i wiele komunałów. Zacharyasiewicz nie spogląda na naturę okiem badacza, ale marzyciela, nic więc nowego odkryć w niéj nie zdołał. Tradycyjna rutyna i tu również pierwsze zajmuje miejsce.

Co się tyczy zewnętrznéj strony utworów Zacharyasiewicza, *artystycznego układu* i *języka*, należy odróżniać dwie dość ściśle odgraniczone epoki. W pierwszéj zostawał pod przeważnym wpływem literatury niemieckiéj. Długie i zawikłane okresy, dość często porozsypywane romantyczne apo-

strofy i melancholiczne westchnienia, świadczyły zarówno o czułostkowości autora jak i o braku samodzielnego wyrobienia w rzeczach stylowych. Język szorstki, zaniedbany i niepoprawny, w wielu miejscach giermanizmami skażony, nie poddawał się umiejętnemu kierownictwu, nie był jeszcze posłusznym sługą w ręku wszechwładnego pana. Były to rzeczy ciężko wypracowane, mozolnie na świat wydane, a przecież od średniéj nawet dobroci nader dalekie. Zacharyasiewicz, o ile wiemy, na polu piśmiennictwa pracuje od r. 1845, a przecież jeszcze w 1855, 7 i 8 utwory jego były raczéj obszernie rozprowadzonemi ćwiczeniami, aniżeli dziełami sztuki. Takiemi są: *Uczony, Sierota wielkiego świata*, a nawet *Renata*. Późniéj nastąpiły powieści silniejsze, podniosłe nawet pod względem myśli, ale słabe jeszcze pod względem formy, a przedewszystkiém pod względem stylu i języka. Dopiero kiedy Zacharyasiewicz zaczął stale prawie przebywać w Warszawie, kiedy się bliżéj i dokładniéj przyjrzał sposobowi pisania, jaki tutaj panował, kiedy się obeznał z wymaganiami redakcyj; — wówczas styl swój wygładził, uczynił giętszym i odpowiedniejszym do wyrażania różnych odcieni myśli, i zaczął tworzyć bez porównania daleko więcéj niż przedtém, gdy był w Galicyi. Posypały się powiastki i powiasteczki po kilka rocznie — zdawało się, że chce dorównać Kraszewskiemu — w płodności. Na ten cel wytworzył sobie mnóstwo frazesów pięknie brzmiących, a często nawet głębokich, któremi powieści swoje, opisy i charakterystyki obficie przeplata. Chcąc dodać rozmaitości swoim opowiadaniom, przenosi scenę do Warszawy, ale nie poznawszy gruntownie ani miejscowości, ani ludzi, wywiązuje się z obowiązku charakterystyki wtedy tylko, gdy mowa o kosmopolitach, którzy wszędzie i zawsze są jednakowi. Przez czas jakiś lubił

nadzwyczaj koleje żelazne i podróż niemi przepisywał swoim bohaterkom jako *lekarstwo na miłość*.

Wskutek zbyt wysilonéj płodności i koniecznego stąd pośpiechu, nie może obrzucić pomysłów swoich jednolitą szatą artystycznego piękna, albo inaczéj, nie może ich pomieścić na jedném płótnie, maluje więc na skrawkach, które następnie w jedność skleja. Bezwątpienia powstanie z tego *pewna* całość, ale rozerwana, zszywana. Pojedyńcze obrazki, doskonale obrobione, razić będą, kiedy się je ustawi obok siebie, bo nie znajdziem między niemi spójni istotnéj, wewnętrznéj. Siłę *plastyki*, którą posiada Zacharyasiewicz w bardzo nizkim stopniu, zastępuje drobiazgowością opisu, nie pomijającą najnędzniejszego, niedojrzanego prawie objawu zewnętrznego w ruchach twarzy i giestykulacyi, przyczém wybiera sobie jakiś *ulubiony* ruch ręki lub oczu, powtarzający się przy każdéj okoliczności. Tak samo postępuje z pewnemi frazesami, które miarowo, w pewnych odstępach czasu, powtarza do znudzenia. Jest to drobnostka charakterystyczna, ale wybornie przedstawia rodzaj stylu Zacharyasiewicza, który poznaje się odrazu. Czasami powtarzanie takie wywołuje efekt humorystyczny, który nie był zapisany w rubryce zamiarów autora.

Zacharyasiewicz zanadto się rozlubował w drobnostkach życiowych. Zbyt często czytamy same anegdoty lub parafrazy dawniéj obrobionych tematów. W lepszéj chwili swojéj twórczości (w powieści *Po ślubie*, r. 1866) wypowiedział on myśl, któréj powinien był zostać wiernym. „Postąpiliśmy naprzód — powiada on tam — a uczucia egotyczne muszą ustępować prawom powszechnym. Dziś jednostki rozpływają się w ogóle. Trzeba więc uderzyć w uczucia socyalne, zbiorowe, które poruszają sercami milionów!“

Tak jest — to prawdziwy sposób pożytecznego działania, to najpewniejsza droga do chwały!... W tych utworach, w których autor wiernym był swemu hasłu, jak „Na kresach“, „Ś-ty Jur“, „Zakryte karty“ i t. p. spełnił on dobrze zadanie pisarza narodowego i wystawił sobie trwały pomnik literacki.

1873 - 1886.

VI.

TEODOR TOMASZ JEŻ.

(Zygmunt Miłkowski).

Przypatrując się wizerunkowi naszego powieściopisarza, rozważając tę kościstą budowę jego twarzy zawiędłéj, a kanciastéj trochę, te brwi nastroszone, ten wąs obfity zawiesisty, ten wyraz energii, siły i hartu, jaki z oczu jego bije, mimowoli zrobić musimy spostrzeżenie, że fizyognomia ta wyróżnia się jaskrawo od przeciętnéj dzisiejszéj twarzy poetów i belletrystów; nasuwa ona raczéj pamięci widza wizerunki naszych dawnych ziemian rycerzy, co to, odpasawszy miecz od boku, zasiadali do spisywania wspomnień ze swego życia lub też poglądów swych na sprawy Rzeczypospolitéj.

Zapewne, zasadnicze linie rysunku jego twarzy dziedzictwem mu się dostały; zapewne, ziemia, na któréj się urodził i wychował, to Podole, widownia ustawicznych zapasów o byt, użyźniona krwią i kośćmi licznych obrońców swoich i wrogów [1]), owiała ją tchnieniem powagi i surowości; — najgłębiéj atoli wyrzeźbiło się na niéj samo życie jego jednostkowe, tak odmienne od zwykłego bytu ludzi piórem pracujących. Jeż bowiem należy do tego nader nie-

[1]) Oto cię wita bitnych przodków plemię,
Których krew czarne zlawszy nieraz szlaki
I zasypawszy kośćmi bujną ziemię,
W chlubniejsze groby nad greckie mauzole
Przyozdobiła waleczne Podole.
(A. Naruszewicz, „Ody“ ks. IV, 35).

licznego dzisiaj grona pisarzy, co wiek swój młodzieńczy i męski przepędzili nie wśród tuzinkowego otoczenia lub w zaciszy zajęć literackich, ale żyli życiem szerokiém, prawdziwie czynném, dzielnie borykając się z licznemi przeszkodami przez los i okoliczności stawianemi, nietylko rozprawiając o obowiązku, ale go wytrwale pełniąc. Wszystko, co jest miękkiego i woskowego w usposobieniu naszém, wytopiło się w ogniu walki; a wszystko, co jest dzielnego i jędrnego, nabrało hartu.

Taki mąż czynu wszedł następnie w szranki piśmiennicze. Słowa jego i pisma stały się dopełnieniem, koniecznym wyrazem poprzednich jego działań. Nie wybujałe marzenia wyobraźni, ani romantyczne kwilenia serca, lecz wielka, wspaniała idea obowiązku, skupiająca w sobie pojęcie cnoty w znaczeniu zarówno rzymskiém jak nowoczesném, dała mu podstawę, na któréj oparł wszystkie swe utwory.

To życie i ta działalność zasługują na szczegółowe, dokładne studyum; nie czas atoli jeszcze pisać je obecnie; poprzestać musimy na zaznaczeniu najważniejszych jedynie momentów tak jednego jak drugiéj.

I.

Ród Miłkowskich, odkąd o nim kroniki wzmiankują, siedział na Podlasiu, gdzie tworzył „dom rozrodzony“, jak się Paprocki w swoich *Herbach Rycerstwa* wyraził. Z biegiem atoli czasu w różne przenosił się strony kraju, tak, że ta jego gałąź, z któréj wyrósł nasz powieściopisarz, rozkwitła w Sanockiém, gdzie i do dziś się utrzymuje.

Miłkowscy pieczętowali się herbem Ślepowron, o którego współklejnotnikach jeszcze Długosz zauważył, że byli to wszyscy *viri bellicosi*, „mężowie ducha wojowniczego“. Nie odzna-

czali się oni bogactwami, nie piastowali w Rzeczypospolitéj wielkich urzędów, ale służyli krajowi dzielnie, jakby poszczególe sprawdzić chcieli to, co o Ślepowronach mówiono wogólności.

Nie zapuszczając się w odleglejszą przeszłość, możemy to widzieć na dwu pokoleniach, poprzedzających urodzenie Teodora Tomasza Jeża.

Dziad jego, Jan Miłkowski, brał udział w kampanii roku 1792 w stopniu chorążego; z rozkazu Kościuszki zabrał magazyny wojskowe w Czeczelnikach, walczył pod Szepetówką, Lubarem, Dubienką. Żona jego, z paroletnim synkiem Józiem, dzieliła, zwyczajem ówczesnym, trudy życia obozowego wraz z mężem i na Boryszkowieckiéj grobli ciężką, niepewności pełną przebyła chwilę, kiedy została zaskoczoną przez nieprzyjaciół u przeprawy przez most zepsuty. Udało się uniknąć niebezpieczeństwa; ale głębokie wrażenie jego blizkości pozostało nadługo zarówno we wrażliwym umyśle matki jak i syna.

Po smutnie zakończonéj walce przeniósł się chorąży na Podole i osiadł we wsi Saracei nad Dniestrem, w powiecie bałckim. Tu się wychowywał i ów otrzaskany już z hukiem dział synek, a doszedłszy lat dwudziestu, nie zaniedbał puścić się w ślady ojca, wstępując w szeregi wojsk Księstwa Warszawskiego. Wraz z tą armią podzielił chwałę roku 1809 i klęski roku 1812. Nad Berezyną dostał się do niewoli, lecz z niéj uciekł, by następnie złączyć się z niedobitkami i walczyć pod Budyszynem i Lipskiem, a potém raz jeszcze znaleść się w liczbie jeńców. Przez ten czas służył w 16 pułku ułanów, a po ustanowieniu Królestwa Kongresowego w 1815 przeszedł do 4 pułku strzelców konnych, lecz po trzech latach opuścił armią w stopniu porucznika, ozdobiony krzyżem *Virtuti militari*. Odtąd osiedlił się w Saracei, zajmując się gospodarstwem i pełniąc obo-

wiązki obywatelskie jako sędzia graniczny. Wtedy też ożenił się z Balbiną Brudzewską, któréj rodzina wywodząca się z Wielkopolski, przechowywała wspomnienia świetnéj przeszłości, zarówno ze względów politycznych, gdyż byli Brudzewscy wojewodami i kasztelanami, jak i ze względów umysłowych, gdyż i sławny astronom z drugiéj połowy XV stulecia Wojciech z Brudzewa liczony był do szeregu jéj przodków.

Z małżeństwa tego urodziło się pięciu synów i dwie córki; najstarszym był Zygmunt Fortunat, który przyszedł na świat 23 marca 1824 r. Saraceja była miejscem urodzenia, ale nie wychowania Zygmunta; ojciec bowiem musiał Saraceją sprzedać dla podziału spadku pomiędzy czterech braci i dwie siostry. Za schedę swoję, powiększoną niewielkim posagiem, zadzierżawił na Pobereżu wioskę Rybki, gdzie nasz Zygmunt pierwsze lata dziecinne przepędził.

Lata te, tak niesłychanie ważne w rozwoju umysłu, upływały mu wśród otoczenia, które nieczęsto i niewszędzie u nas się zdarzało. Ojciec jako wychowaniec czasów napoleońskich, przesiąkniętych pewném wolnomyślicielstwem, rozpłomieniał serce i wyobraźnią dzieci świeżemi wspomnieniami walk niedawno przebytych, wpajał w ich duszę poszanowanie ludzkiéj godności w każdym człowieku, a więc i w chłopie, w poddanym, religię pojmował i zaszczepiał jako uczucie, ale na ścisłe pełnienie praktyk kościelnych nie robił nacisku. O pierwszym z tych wpływów, nie możemy się tu rozszerzać; zrozumieć go zresztą i ocenić bardzo łatwo. O dwu drugich parę charakterystycznych faktów warto przytoczyć.

Raz szlachcic chodaczkowy, procesujący się z wieśniakiem, nie uznał decyzyi Józefa Miłkowskiego za sprawiedliwą i wyrzucał mu, że za chłopem ciągnie. „Szlachcicem u mnie ten, co szlachetnie postępuje“ — odrzekł Mił-

kowski. Kiedyindziéj, w r. 1832, gdy posucha ogólna sprowadziła głód, a w Rybkach, położonych w nizinie, żniwa wypadły nader pomyślnie, nasz niezamożny dzierżawca nie korzystał z podniesienia się cen, nie sprzedawał zboża kupcom, ale je odstępował chłopom okolicznym po cenie dawniejszéj, a na uwagi sąsiadów, że sprzedaje zbyt tanio, odpowiadał zazwyczaj, iż z ludzkiego nieszczęścia korzystać się nie godzi.

W domu Miłkowskich nie znalazłbyś książek do nabożeństwa, z wyjątkiem jednéj bardzo staréj, będącéj własnością babki, któréj specyalném zajęciem było uczenie dzieci pacierzy. Na Boże Narodzenie, jak w każdym domu szlacheckim natenczas, śpiewano kolędy; Wigilię i Wielkanoc obchodzono uroczyście; ojciec nucił przy sposobności pobożne pieśni Karpińskiego, czytywał psałterz; ale katechizmu, według rutynicznego zwyczaju, w pamięć dzieci, nie mogących go rozumieć, nie wtłaczał. Rodzice i dzieci postów nie obserwowali, w kościele bywali zaledwie parę razy do roku. Księża zaglądali czasem do Rybek, ale się z wolnomyślnym trochę porucznikiem nie przyjaźnili. Wyjątek stanowił ksiądz kanonik Komarnicki, proboszcz z Sawrania, spokrewniony z rodziną Miłkowskich, kapłan zacny przekonań liberalnych, zapalony myśliwy i autor wierszy polskich i rusińskich, które w licznych odpisach na Podolu się rozpowszechniały. Bywał on często w Rybkach, bawił po kilka dni, deklamował wiersze, polował.

Zamiłowanie literatury ojczystéj w domu porucznika było wielkie, chociaż interesa szły wcale nie świetnie. Józef Miłkowski, lubiąc książki, kupował je, a dzieci czytały i poezyi na pamięć się uczyły. Zygmunt z czasów dzieciństwa swojego pamięta nazwiska Kochanowskich, Szymonowicza, Krasickiego, Naruszewicza, Karpińskiego, Kniaźnina, Brodzińskiego, Mickiewicza. Mając lat osiem, czytał już Je-

rozolimę wyzwoloną w przekładzie Piotra Kochanowskiego i Enejdę w tłómaczeniu Franciszka Ksawerego Dmochowskiego.

Wśród takich wpływów ubiegło Zygmuntowi lat dziewięć; przeszedł rok 1831, nie bez pozostawienia po sobie śladów w duszy dziecka, które wiedziało i rozumiało więcéj, aniżeli przeciętne umysły w tym wieku. W r. 1833 ojciec jego przeniósł się do Klebani, wsi dzierżawionéj od Mieczysława hr. Potockiego, człowieka przewrotnego z gruntu, znanego i ze swoich brutalnych wybryków i z małżeństwa z Delfiną Komarówną, późniejszą Beatryczą Krasińskiego. I Miłkowski, jako dzierżawca, doświadczył na sobie fantazyi rozbrykanego magnata, który raz najechał na dom jego i kazał wyrzucić z toku cały zbiór roczny.

Z Klebani-to Zygmunt oddany został do gimnazyum w Niemirowie, zostającego pod dyrekcyą Miładowskiego, który wychowanie i wykształcenie odebrał za świetnych czosów wileńskich, a wśród zmienionych stosunków starał się przechować piękną tradycyę szkolną Śniadeckich i Czackiego. Lubo prędki z natury, umiał się hamować; lubo musiał się trzymać programu nauk, zmienionego po r. 1831, potrafił jednak ubocznie zachęcać do studyów nad temi drogiemi sercu przedmiotami, które do wykładu szkolnego nie wchodziły. Pod jego kierownictwem przeszedł Zygmunt trzy klasy i dostał się do czwartéj. Atoli w r. 1838, z powodu jakiegoś spisku uczniowskiego, do którego wmieszany był i nasz Zygmunt, zaszły zmiany zarówno w losie uczniów jak i w składzie ciała nauczycielskiego. Miładowski dostał dymisyę, a miejsce jego zajął naprzód Małorusin Kulczyński, a następnie Rosyanin Zimowski. Zygmunt miał zajście z dyrektorem i ukończywszy klasę szóstą, do gimnazyum już nie wrócił, chociaż rok cały w Niemirowie prze-

pędził przy matce, zamieszkałéj tu dla edukacyi młodszego rodzeństwa, któremu Zygmunt służył za korepetytora.

Już w Niemirowie zaczął Zygmunt próbować sił swoich w wierszu; było to zresztą zjawiskiem wielce naówczas często wśród młodzieży spotykaném. Wiersze te odczytywał ojcu, matce i cioci Jeleńkowskiéj. Ciocia była naturalnie największą zwolenniczką i adoratorką prób poetycznych młodego gimnazisty; matka zachwycała się niemi również; ojciec słuchał cierpliwie, ale wierszowanie nazywał głupstwem i bezużyteczną stratą czasu. Młodzieniaszkowi niewsmak szła obojętność ojcowska, totéż niejednokrotnie rozwodził się z żalami przed matką, która oczywiście ubolewała także nad tym indyferentyzmem; aż pewnego razu zwierzyła się synowi, wymógłszy od niego słowo, że jéj z sekretu nie wyda. „Ojciec nie chwali twoich wierszy — mówiła — ale zdaje mi się, że nie chwali ich dlatego, aby ciebie nie psuć, bo prosił mię, abym mu dawała do schowania wszystko, co ty napiszesz, ale abym o tém nic tobie nie powiadała“. Ta uwaga matki wydała mu się nadzwyczaj trafną i dodawała mu pewności siebie. Powoli jednak, przechodząc do klas wyższych, począł chłodnąć w zapale poetyckim i coraz to mniéj produkował pieśni, dumek, ód, fantazyj, ballad i t. d. W drugiéj klasie napisał najwięcéj, w piątéj bardzo mało, a w szóstéj nic już wierszowanego nie wypłynęło mu z pod pióra. Nie uważał jednak siebie za pozbawionego talentu poetyckiego, tylko za poetę odpoczywającego; przygotowywał się zadziwić świat poematem... Rozen, laureat krzemieniecki, mieszkający w Niemirowie, i Grudziński, nauczyciel języka łacińskiego, dodawali otuchy młodemu wierszopisowi. Zanim jednak zdobył się na jakiś poemat, napisał pierwszą swoję powiastkę i przesłał ją do *Athenaeum*, pisma zbiorowego wydawanego wówczas przez Kraszewskiego; utwór ten atoli gdzieś się zawieruszył i prze-

padł. Napisanie téj powieści zbiegło się z chwilą pierwszego zakochania się.

Gdy po roku przepędzonym w domu Zygmunt zamierzał udać się do liceum w Odessie dla słuchania wykładów akademickich, radził się ojca, na jaki wydział ma wstąpić. Ojciec nie narzucał mu swéj woli, napomykał tylko, że radby go widział na wydziale matematycznym, ale gdyby wybrał wydział inny, nicby przeciwko temu nie miał: błagał go jedynie, ażeby się wstrzymał od pisania wierszy póty, póki kursu nauk nie skończy. Zygmunt dał słowo, że rymować zaprzestanie i wstąpił na wydział fizyczno-matematyczny, który w 22-gim roku życia opuścił, mając przyznany dyplom i medal złoty za rozprawę konkursową „O napadach i zdobyczach Normanów w IX i X stuleciu". Przez cały czas pobytu w liceum „nie wziął — jak się sam wyraża — na sumienie swoje ani jednego zrymowanego dwuwiersza".

W Odessie powiewał duch pewnéj swobody, przebijający się nawet w ustawie licealnéj; studenci np. nie byli przymuszani do słuchania wykładów religii, jak w innych uniwersytetach cesarstwa. Tu także mógł się Zygmunt zapoznać szczegółowiéj z utworami poetycznemi wydawanemi na emigracyi.

Ponieważ liceum nie miało prawa dawać stopnia kandydata, tak, że słuchacze kończyli je tylko jako „rzeczywiści studenci", Zygmunt wróciwszy do domu, zamierzył przysposobić się do egzaminu kandydackiego, który miał złożyć w uniwersytecie kijowskim.

Ojciec przyjął syna jako towarzysza i przyjaciela; rozmawiali o rozlicznych zawodach życia mężczyzny: treścią uwag ojcowskich były myśli, które w lat kilkanaście potém Jeż tak sformułował: „Idź, synu, leć... na służbę krajowi twemu i braciom twoim... Nie żałuj siebie... Wypatruj, gdzie potrzeba twojéj obecności i współpracy, i tam ruszaj! Jestto

twoim obowiązkiem. Niema żadnéj zasługi w pełnieniu obowiązku, ale niepełnienie jest zbrodnią".

Potém razu pewnego, wśród rozmowy w kółku rodzinném, zagadnął Zygmunta ojciec: „czy ty pisujesz jeszcze wiersze?" — a syn, zmieszany czegoś odpowiedział przecząco. Wtedy ojciec poszedł do szafki, wydobył z niéj zwitek starannie nitką obwiązany, rozwiązał, rozwinął papiery i podał synowi, który poznał w nich swoje twory poetyczne. Zaczął przebiegać je oczyma i czuł, jak krew uderzała mu do głowy. Ojciec stojąc przed nim patrzał i uśmiechał się.

— No i cóż? — zapytał.

— To głupstwo! — odrzekł Zygmunt.

— Wiedziałem ja o tém oddawna — odparł ojciec — a widzisz, co to ty był kiedyś za dureń.

Zygmunt naturalnie nie miał nic pilniejszego, jak spalić wszystkie swoje rymy.

To całopalenie nie było naturalnie wyrazem pogardy dla prawdziwéj poezyi, ale tylko wyrazem trzeźwéj oceny takiéj poezyi, jaką w owych młodzieńczych latach i on i jego rówieśnicy uprawiali. Przejęty miłością i uwielbieniem dla wielkiéj, rzetelnéj twórczości, umiał stać się wrogiem wszelkiego drapowania się w jéj szaty, wszelkiego udawania i pozowania poetycznego, wszelkiego bezmyślnego naśladownictwa.

Z tak zmężniałém i pod pewnemi przynajmniéj względami wyrobioném usposobieniem udał się Zygmunt do Kijowa w r. 1847, aby w charakterze wolnego słuchacza oddać się dalszym studyom na wydziale matematycznym i złożyć egzamin.

Była to chwila silnie ożywiającego się ruchu umysłowego wśród ówczesnéj inteligencyi na Ukrainie. Dotychczas samowładnie tam nad umysłami panował prąd zachowawczy, a raczéj wsteczny, który przedstawicieli swoich miał

w tak rozgłośnych naówczas osobistościach, jak hr. Henryk Rzewuski, Michał Grabowski, Ignacy Hołowiński, Ludwik Sztyrmer (znany pod kryptonimem Eleonory), a nader wpływowy organ, rozpowszechniony na całéj Litwie i Rusi, w *Tygodniku Petersburskim*, redagowanym przez Józefa Przecławskiego, indywiduum liche moralnie, ale wtedy wielce uwielbiane i podziwiane. Właśnie pomiędzy r. 1841 a 1846 skupiło się i zjednoczyło tych pięciu reprezentantów doktryny, że narodowi naszemu niewolno rozumować, lecz wierzyć ślepo bez rozbioru należy, bo rozum nic nigdy dobrego nie stworzył, lecz do obłąkania i waryacyi ludzi doprowadza; że zamknąć się nam potrzeba w rozpamiętywaniu przeszłości, bo o rozwoju dalszym ani nam marzyć; że uznanie i czczenie powagi, pod wszelkiemi jéj formami, a więc i pod formą arystokracyi, jest jedynym środkiem uchylenia zboczeń i nieporządków społecznych... Wpływ tych pentarchów obskurantyzmu był wielki, tak że choć w młodych wychowańcach uniwersytetów budziła się opozycya przeciw tak jaskrawo wypowiedzianym paradoksom, długo jednak nie śmieli z nią wystąpić publicznie. Aż wreszcie miara cierpliwości się przebrała i wstręt do doktryny obskurantyzmu wybuchnął otwarcie. Organem téj opozycyi młodzieńczéj stała się *Gwiazda*, początkowo przez Zenona Fisza w Petersburgu, następnie przez Jakóba Jurkowskiego (Benedykta Dołęgę) w Kijowie wydawana; a najdzielniejszym jéj rzecznikiem był Antoni Marcinkowski (Albert Gryf), który świeżo wtedy ukończył uniwersytet petersburski. Opozycya ta wygłaszała zasady liberalne i demokratyczne, zasady swobodnego, krytycznego rozbioru, zasady miłości bliźniego zastosowanéj do „poddanych“, zasady religii ducha zamiast religii formuł; kwestye socyalne zaprzątały ją mocno.

Czas najgwałtowniejszego wybuchu głosów opozycyjnych przypadł właśnie na rok 1847, kiedy drugi tom „Gwia-

zdy", już w Kijowie, wychodził. Tom ten narobił wrzawy niemałéj i niewątpliwie silnie musiał na młodzież uniwersytecką oddziałać.

Jeż w *Historyi o pra... pra... wnuku* czasy tego przełomu duchowego w uniwersytecie kijowskim charakteryzuje w słowach następnych: „Towarzystwo młodzieży zmieniło się niedopoznania. O... (rozpustnych) pohulankach ani już było słychać. Pseudoburszostwo wyniosło się; dawna tężyzna znikła. Nawet techniczne wyrazy pozmieniały się znacznie. Tęgim chłopcem np. nazywał się już ten, co się lepiéj uczył, co rozumniéj pojmował rzeczy i umiał się z nich jaśniéj przed kolegami wytłómaczyć. Nastała moda na książki, które krążyły, a z niemi zdania i zasady. Walka o te ostatnie na zgromadzeniach koleżeńskich zajęła miejsce hazardownych gier i mocnych trunków. Nie bez tego, żeby nie było łotrów, ale ci chodzili samopas, funkcyonowali ukradkiem, jak przedtém pracujące wyjątki. Role ich zmieniły się; praca wystąpiła na biały dzień, na słoneczne światło; próżniactwo do ciemnych wcisnęło się kryjówek".

Zarówno wrażenia i pojęcia z domu wyniesone, jak zasady postępowców głoszone w Kijowie wyrobiły już wtedy w 24-letnim młodzieńcu głębokie przekonanie o konieczności uwolnienia i uwłaszczenia włościan. W duchu tym napisał on i rozpowszechnił odezwę do współobywateli, chociaż sam jeszcze nie wiedział dokładnie, w jakiby sposób sprawa ta przeprowadzić się dała.

Rewolucya lutowa 1848 r. w Paryżu i wrzenie umysłów, jako też ruchy społeczne i narodowe w innych stolicach europejskich wywoływały naturalnie i na Ukrainie silne sympatye, zwłaszcza wśród młodzieży. Zygmunt Miłkowski, podobnie jak bohater *Historyi o pra... pra... wnuku* poczuł w sobie żyłkę rycerską, zapragnął, jak jego przodkowie, stać się „vir bellicosus". Opuścił Kijów, objechał sąsiadów dla

wybadania nastroju umysłów, zajrzał do rodziców, pożegnał się z niemi, jeszcze raz odwiedził Kijów i wyruszył ku granicy przez Winnicę, Lityń, Stary Konstantynów, Radziwiłłów. W okolicach téj mieściny przepędził parę tygodni, zanim mu chłop Fed' całkiem bezinteresownie nie ułatwił dalszéj drogi.

Odtąd rozpoczyna się okres szerszych doświadczeń i prób życiowych. Nie cicha bowiem praca literacka przy biurku była przed nim, ale mozolna, gwarna i długoletnia walka, w któréj nieraz o głodzie i chłodzie trzeba było trwać na stanowisku, pełnić obowiązki. Naukę z książki zastąpić miała nauka, wprost z bezpośredniéj obserwacyi rzeczywistości czerpana. Szczupły widnokrąg życia szlacheckiego na Rusi miał ustąpić miejsca wielkim horyzontom walk narodowych, ruchów społecznych, polityki europejskiéj. Ale zarazem rozpoczął się żywot „Włóczęgi" — jak sam Jeż o sobie powiada — który nie dla zadowolenia turystycznych upodobań zwiedza różne kraje europejskie i azyatyckie, ale ciężką koniecznością znaglony, wszystkich sił użyć musi, ażeby nie zginąć. Fraszka niewygody i kłopoty wszelkiego rodzaju, fraszka podróż piesza, pokarm najgrubszy; ale bywały chwile, w których literalnie z głodu się marło i nie wiedziało się, gdzie będzie można do spoczynku się ułożyć.

Zygmunt przybył do Galicyi w chwili wielkch oczekiwań i wielkiéj niepewności. Rząd austryacki pod parciem ruchu rewolucyjnego zmiękł wprawdzie, ale nie dawał żadnéj gwarancyi na przyszłość. Cieszono się z rozluźnienia więzów, mówiono i dysputowano dużo; paradowano w gwardyi narodowéj; ale nie miano ściśle żadnego sformułowanego programu postępowania. Zygmunt bawił przez czas jakiś w Złoczowskiem, obeznał się z położeniem rzeczy, a party wspomnieniami wojennemi swojéj rodziny, zamiast siedzieć bezczynnie, wybrał się w towarzystwie dwunastu ochotników ku Węgrom, gdzie już wrzała walka orężna.

25 listopada 1848 roku została uroczyście poświęcona chorągiew oddziału, pod którą Miłkowski wraz z trzystu innymi towarzyszami wyruszył do Aradu obleganego przez Węgrów. Oddział przybył pod tę twierdzę w sam dzień pierwszego szturmu i zaraz poszedł w ogień. Natarcie odparto, ale młodzi legioniści spisywali się dobrze.

Miłkowski wstąpiwszy do legionu prostym żołnierzem, w czasie kampanii węgierskiéj dosłużył się tak samo jak jego ojciec stopnia porucznika; znajdował się przy oblężeniu Aradu (do początku lutego 1849), brał udział w bitwach pod Solnokiem, Tapio-Biczke, Isaszeg, Nagy-Szarlo, Komornem, Budą, Szegedynem i Temeswarem. Jakie przebył trudy, dość będzie jednego wymownego przykładu. Kiedy w Miszkolcu wywołano go z szeregów dla odczytania mu nominacyi na oficera, to się przedstawił jak straszydło: odzież nie okrywała nagości ciała, koszuli nie miał, przez czapkę wyglądały włosy, z butów sterczały wszystkie palce; mundur podarty na strzępy i przy ogniskach obozowych powypalany, pospinany był drewnianemi szpilkami, a za kołnierzem... roiło się.

Po bitwie pod Temeswarem, po podpisaniu kapitulacyi przez Goergeya, legiony polskie, włoskie i część wojsk węgierskich, które stały w Lugos, przeszły do Karemebesz, a stąd do Orsowy, gdzie się przeprawiły przez Dunaj do Serbii; było tam 800 Polaków, 400 Włochów, garstka Niemców i oddział honwedów. Serbowie nie pozwolili zapuścić się w głąb; pochód więc odbywał się wzdłuż Dunaju na Kladowę ku Widyniowi, gdzie władze tureckie przyjęły rozbitków ze współczuciem. Z Widynia, w październiku, przeprowadzeni zostali do Szumli pod eskortą wojskową, jako jeńcy internowani, o których wydanie nalegano ze strony mocarstw sprzymierzonych.

Miłkowski podzielał losy byłych legionistów. Całą zimę

z 1849 roku na 1850 przepędził w Szumli, bez książek i bez żadnego zajęcia. Żołnierze łatali białe mundury z czerwonemi wyłogami i czerwone czapki w strzępach z Węgier wywiezione, gotowali strawę, gawędzili i... spali. Nasz porucznik chciał wskrzesić tradycyę legionów dawniejszych; chciał za przykładem Cypryana Godebskiego wydawać gazetę pisaną; próba się jednak nie powiodła. Tu w Szumli zabrał znajomość z Sokulskim i Żarskim, członkami znanego mu już niewątpliwie z wieści „Towarzystwa Demokratycznego“, mającego za hasło uwłaszczenie włościan, a więc ideę, którą Miłkowski od tak dawna gorąco się zajmował; dowiedział się wtedy szczegółów, dotyczących organizacyi tego towarzystwa i środków działania.

Na wiosnę 1850 r. przyjechał do Szumli komisarz turecki Fuad Effendi, wracający z Petersburga, gdzie ostatecznie załatwił kwestyę internowanych. Zdjęto z nich dozór, formalny tylko co prawda, i zostawiono im do wyboru; albo zostać w Turcyi, albo wyjechać na Zachód, a właściwie do Anglii, gdyż Sardynia przyjmowała tylko Włochów. Większość Polaków osiedliła się w Turcyi; część pewna, półtorasta osób wynosząca, do któréj należał i Miłkowski, podała się do wyjazdu na Zachód. Odprowadzili ich Turcy do Warny, następnie najęli statek parowy do wyspy Malty i zaopatrzyli w pieniądze na dalszą podróż. Wędrowcy nasi wypłynąwszy z Malty na statku żaglowym włoskim, przeznaczonym do wożenia pszenicy, rozbili się przy wybrzeżu Afryki w bejostwie tunetańskiém. Bej odesłał ich znowu na Maltę, skąd morzem Śródziemném, Gibraltarem i Atlantykiem (Francya bowiem nie dozwalała wylądować emigrantom) na statku parowym angielskim dostali się do miasta portowego Southampton. Z Southampton udał się Miłkowski do Londynu. Tu znalazł pomieszkanie u jednego ze znajomych, który odjeżdżając do Hamburga, zostawił mu lokal

opłacony zgóry. Mieszkał tedy wygodnie, ale nie miał co jeść. Szukał więc pracy; chodził, pytał, stawał wśród najmujących się robotników. Tak zeszło dni dziewięć, w ciągu których jadł tylko dwa razy u znajomych. Z rozpaczy, mając w perspektywie śmierć głodową, już zamyślał o kąpieli w Tamizie, gdy przypadkiem litograf Nowosielski zamieszkały w Londynie nastręczył mu pracę w fabryce klisz do drukowania obić papierowych, Wiliama Hawletta. W zakładzie tym funkcyonował nasz porucznik, jako posługacz do zamiatania izb, palenia na kominkach, noszenia wody i rozwożenia na wózku ręcznym roboty, następnie awansował na artystę: — komponował i wycinał desenie obić, za co pobierał dwa szylingi dziennie i tantyemę od sprzedanych, a przez siebie wykonanych modeli. Pan Hawlett polubił bardzo improwizowanego artystę-dekoratora; a jeden z kolegów w fachu zaprosił Zygmunta na wigilię do rodziców swoich, zaprezentował siostrom i zaproponował małżeństwo z jedną z nich — najładniejszą. „Tyś pracowity i nie pijak — mówił do Miłkowskiego — masz fach w ręku, jesteś artystą; ona haftuje wspaniale wyłogi do kamizelek, a przytém spokojna jest i łagodna; sformujecie bardzo przykładne i szczęśliwe stadło małżeńskie". Miłkowski podziękował swatowi, ale propozycyi nie przyjął; całkiem inne myśli zaprzątały go wtedy.

Wśród ciężkiéj roboty nie zapomniał o sprawach ogólniejszéj natury. Wieczory i święta poświęcał pracy nad sobą; zapisał się na członka Towarzystwa Demokratycznego, zapoznał się z członkami tak zwanéj „Centralizacyi" t. j. zarządu tego towarzystwa, wygnanego wtenczas z Paryża, a mianowicie ze Stanisławem Worcellem, Wojciechem Daraszem, Janem Kantym Podoleckim. Czytywał wtedy dużo, uczył się ciągle, studyował szczególniéj teoryę sztuki wojskowéj, z którą praktycznie już się był zapoznał. Za przewodnika w studyach tych służył mu Michał Domagalski,

„chodząca encyklopedya wiadomości militarnych“, Stolcman pułkownik i Feliks Nowosielski pułkownik od saperów. Zachęcony przez Worcella zaczął pisywać artykuły do „Demokraty Polskiego“, organu Centralizacyi, który jako tygodnik wskrzeszony został po paroletniéj przerwie i od 12 stycznia 1851 r. drukował się w Brukselli. W artykułach tych opracowywał te kwestye, o których w sekcyi londyńskiéj „Towarzystwa Demokratycznego“ rozprawiano; głównie wszelako miał na widoku sztukę wojskową. Liczył lat 26, „kiedy się po raz pierwszy w życiu drukowanym ujrzał“.

Stosunki z przedstawicielami wspomnianego towarzystwa wprowadziły Miłkowskiego w związek z wybitnemi osobistościami ruchów ówczesnych. Istniał wtedy w stolicy Anglii „Komitet Centralny Demokracyi Europejskiéj“, którego kierownikami byli: Ledru-Rollin, Mazzini, Ruge, Darasz i Dymitr Bratiano.

Komitet ten, będący w ścisłém z naszą „Centralizacyą“ porozumieniu, przypuszczając, że po upływie terminu prezydentury Ludwika Napoleona duch republikański we Francyi zwycięży i nastąpi era polityki demokratycznéj czynnéj, która potrafi odnowić ruchy rewolucyjne w Niemczech i Włoszech, a wywołane podtrzymać, — zabiegał o dostanie pewnych wiadomości, jakotéż o pokrzepienie umysłów i w tym celu rozsyłał w różne strony ajentów. Do ich liczby należał także i nasz Miłkowski, wyprawiony na Wschód w jesieni roku 1851. Zasilony skromnemi funduszami komitetu, zebrawszy swoje własne i dostawszy kilkadziesiąt dukatów od rodziców, których potrafił o swém położeniu zawiadomić, wybrał się naprzód nasz porucznik pod obcém nazwiskiem za paszportem angielskim do nieznanego sobie jeszcze Paryża, a stamtąd przez Marsylię, Maltę, Ateny, Smirnę, udał się do Konstantynopola, Galacu i osiadł w Mołdawii. Tu zaznajomił się z wybitniejszemi przedstawicielami po-

stępu w Rumunii, uczył się po rumuńsku od gospodarzy swoich w Kotwiczeni i tłómaczył Fausta, mając tę jednę tylko książkę pod ręką.

Zamach stanu dokonany przez Ludwika Napoleona 2-go grudnia 1851 r., prześladowanie republikanów, wzmożenie się reakcyi pomieszały szyki komitetowi demokratycznemu. Miłkowski pozostawiony został niemal sam sobie. Wtedy to przebrany za chłopa, bywał na Podolu, odwiedził rodziców, komunikował się z przyjaciółmi; a powróciwszy do Mołdawii, przemieszkał tam cały rok 1852.

Na wiosnę roku 1853 dwaj bracia Zygmunta, Józef i Szczęsny, zmuszeni byli szukać schronienia i przybyli do Mołdawii. Zygmunt, rad wielce z oglądania braci i z wieści o kraju, zamierzał wywieźć ich, dla większego bezpieczeństwa za Dunaj; niestety w Galacu zostali schwytani; Zygmunta, jako posiadającego paszport angielski, władze mołdawskie odesłały do konsula angielskiego... Józefa rozstrzelano, a Szczęsnego pognano daleko... Zygmunt, wyprawiony przez konsula angielskiego do Tulczy, był w odwiedzinach w domu polskim, gdy wieść o losie bolesnym braci doszła do jego wiadomości. Dostał silnego ataku nerwowego i padł bez czucia; w następstwie wywiązał się tyfus, a Miłkowski w lichéj karczemce nad brzegami Dunaju przeleżał dwa miesiące, z chorobą się pasując; pielęgnowali i żywili go chłopi zbiegli z Podola i Ukrainy z obawy srogich panów, lub innych powodów.

Gdy wyzdrowiał, rozpoczęła się wojna wschodnia. Miłkowski uczestniczył w niéj pośrednio, przeważnie jako spostrzegacz. Przybywszy do Konstantynopola, uzyskał pozwolenie od Omera paszy przyłączenia się w charakterze asystenta do sztabu Izmaiła paszy, wodza naczelnego wojsk egipskich. Z nim tedy udał się na Dobrudżę i przypatrywał się odwrotowi wojsk tureckich od Tulczy i Isakczy do Szumli. Następnie brał udział w fortyfikowaniu Szumli; sypał redutę na dro-

dze do Dżumai. Czynił to (jak sam się wyraża) „nie dla sprawy tureckiéj, lecz w celu studyowania rzemiosła wojennego“.

Z Szumli odwołały Miłkowskiego sprawy rumuńskie. Patryoci rumuńscy, z którymi już dawniéj zapoznał się, pragnęli skorzystać z toczącéj się wojny i dla ojczyzny swéj wywalczyć niepodległość. Nie chcieli jednak już działać w duchu tego planu, na jaki zgodzono się przed paru laty w „Komitecie Centralnym“; nie chcieli zrywać z Turcyą i siłę zbrojną organizowali za pozwoleniem sułtana. Tymczasem nadarzała się wyborna sposobność do stanowczego kroku. Kiedy teatr wojny przeniósł się z porzecza Dunaju, w Mołdawii i Wołoszczyźnie zapanowało istne bezkrólewie. Szczególniéj na małéj Wołoszczyźnie, doglądanéj przez Austryą z boku jedynie, nie było przez czas pewien nietylko siły zbrojnéj, ale nawet administracyi, nie miał kto podatków legalnie odbierać, władzy sądowéj sprawować; bezpieczeństwa zaś życia i mienia swego strzegły gromady chłopów, uzbrojonych, jak się udało. Miłkowski sądził, że należało ze sposobności téj korzystać, ale patryoci rumuńscy do ruchu rewolucyjnego nie byli skłonni; zagrożony tedy przez Austryaków musiał schronić się do Serbii, gdzie w Niegotynie przebył kilka miesięcy pod opieką majora Jowanowicza. Ale i Serbię opuścić musiał, gdyż po zajęciu Rumunii przez Austryaków, Serbowie zaczęli się lękać wszystkiego, coby się tak groźnemu sąsiadowi nie podobać mogło, i wymówili Miłkowskiemu gościnność. I on sam zresztą pragnął się zbliżyć do nowéj widowni wojny t. j. do Krymu. Ruszył tedy do Bułgaryi.

Ale podróżować po Bułgaryi można było albo pod silną eskortą wojskową, albo téż pieszo w postaci żebraka i obdartusa. Ten drugi sposób podróżowania był nawet bezpieczniejszy od pierwszego. Uszyto więc dla naszego wędrowca dziadowskie biesagi, naładowano je szmatami i rupieciami bez wartości; wystrojono ich właściciela w odzież

podartą, a opatrzono w kij sękaty na obronę przeciw psom i przeciw kolegom we włóczęgowskiém rzemiośle. Zapas pieniędzy w złocie ukrył nasz improwizowany żebrak jak najstaranniéj, pozawijawszy dukaty w płótno i jako guziczki poprzyszywawszy do szarawarów. W sakiewce nie pozostawił ani szeląga, gdyż nie wątpił, że mając formalny paszport turecki, był pewny zaopatrzenia swoich potrzeb. Wówczas bowiem posiadacz takiego paszportu był rodzajem figury urzędowéj, któréj należała się gościnność co do pomieszczenia i żywności; wędrowiec przybywszy do wsi, gdzie nocować postanowił, udawał się na plac publiczny i wołał donośnym głosem czorbadżego (wójta), który obejrzawszy teskiere (paszport), odprowadzał podróżnego na kwaterę do któregokolwiek z gospodarzy. Tu wędrowiec mógł spać, jeść zadarmo, byle nie dłużéj nad dni trzy... W ten sposób przeszedł Miłkowski całą Bułgaryę wzdłuż od Widynia do Warny, zapoznając się z krajem i obyczajami mieszkańców.

W okolicach Warny stały posterunki angielskie. Zachowywanie ostrożności było już zbyteczne; Miłkowski odciął parę guzików, dobył z nich po dukacie, oporządził się trochę i przyłączył się do kolumny prowiantowéj wojsk sprzymierzonych. Z kolumną tą przeszedł Bałkany i dostał się do Konstantynopola, skąd na wiosnę roku 1855 pojechał znów na Wołoszczyznę i Mołdawię jako ajent kompanii handlowo-przemysłowéj francusko-greckiéj: Durand & Comp., ze szczególną misyą zbadania krajów tych pod względem sił produkcyjnych. Kraje te zjeździł nasz wędrowiec wzdłuż i wszerz, zdał z obserwacyi swoich raport szczegółowy i po zbudowaniu magazynów zbożowych w Kiustendżi skończył służbę w kompanii, która się w jesieni 1855 roku rozwiązała.

Ze szczupłym funduszem pojechał Miłkowski do Konstantynopola. Żeby na utrzymanie zarobić, polował, kucha-

rzował, prowadził księgi handlowe, między innemi w magazynie francuza Demilvilla na Perze. Tak doczekał się końca wojny krymskiéj i pokoju paryskiego (30 marca 1856).

W Konstantynopolu albo stale, albo czasowo przebywali natenczas literaci nasi: Karol Brzozowski, Henryk Jabłoński, Ryszard Berwiński, Roman Zmorski. Rozmowy z nimi rozbudziły zapewne nanowo żyłkę pisarską w Miłkowskim. Posyłał on wprawdzie kiedy-niekiedy korespondencye do „Demokraty Polskiego“, który po kilkuletniéj przerwie znów w roku 1851 zaczął się pojawiać w Londynie pod redakcyą Antoniego Żabickiego; lecz za autora bynajmniéj się nie miał. Autorstwo „wydusił“ na nim — jak sam powiada — Włodzimierz Kozłowski, kolega z wojny węgierskiéj. Na jego naleganie napisał: *Udział Polaków w sprawie wschodniéj.* W opowiadaniu swojém nie szczędził nikogo, z zupełną swobodą wydawał sąd o zasługach, talentach i czynach ludzi, w jakikolwiek sposób do sprawy owéj wmieszanych; najostrzéj wszakże krytykował postępowanie hotelu Lambert (Czartoryskich, Wł. Zamojskiego i Sadyka-paszy, Michała Czajkowskiego). Rękopism téj pracy krążył w odpisach pomiędzy Polakami i ściągnął na autora mnóstwo nieprzyjemności. Wyzwał go najprzód Zygmunt Jordan, zwolennik hotelu Lambert; pojedynek ten, dzięki sekundantom Miłkowskiego (Türrowi, późniejszemu generałowi węgierskiemu, i Kozłowskiemu), którzy potrafili przekonać sekundantów przeciwnika, nie doszedł. Wyzwało go potém dwunastu naraz, lecz rzecz bliżéj zważywszy, odstąpili od zamiaru. Wyzwał go następnie znów jeden, któremu Miłkowski stanąć odmówił. Zaczęły się odgrażania, czyniące pobyt w Konstantynopolu niemiłym, a nawet niebezpiecznym dla autora „Udziału Polaków“. Nastawiano nań np. Greków najętych, którzy go jeżeli nie zamordować, to skaleczyć mogli. W prześladowaniu tém brały udział na-

wet osobistości urzędowe, usiłujące nakłonić rząd turecki do wytoczenia autorowi procesu o potwarz.

Zanim atoli książka, tyle przykrości na autora sprowadzająca, ukazała się w druku, zaciągnął się Miłkowski pod sztandar publicystyki, którego odtąd miał być jedną z największych chlub i ozdób.

Od 1 maja 1856 roku zaczął wychodzić we Lwowie wskrzeszony po dwuletnim śnie *Dziennik literacki* pod redakcyą Jana Dobrzańskiego, autora o niewielkim talencie pisarskim, ale o wielkiéj umiejętności korzystania z usposobień chwili i o niemałéj zdolności wyszukiwania i zużytkowywania sił młodych, a rzutnych. W 44 numerze tego czasopisma (26 sierpnia 1856 r.), trzy razy na tydzień wówczas wychodzącego, pojawił się pierwszy ciąg artykułu p. n. *Wyjątki z pamiętników włóczęgi*, podpisany literami T. T. J. Autor w króciutkim wstępie oświadczył, że pamiętniki jego „nie są studyami robionemi przy pomocy źródeł statystycznych, historycznych i instrumentów matematycznych", lecz że są to „proste spostrzeżenia, opowiadanie o tém, co się widziało i słyszało". W tych słowach wypowiedział autor mimowoli największą dla swéj pracy pochwałę. Toż właśnie literaturze naszéj brakło wtedy takich dzieł, wprost z bezpośredniéj, naocznéj obserwacyi pisanych; bo jedni podróżnicy brali swe wrażenia z książek cudzoziemskich i podawali za swoje, a drudzy patrzyć nie umieli i raczéj chcieli sprawdzić to, co już naprzód w głowie swéj ułożyli, aniżeli się uczyć za pośrednictwem badania i spostrzegania. A Miłkowski i mógł i umiał patrzyć; w krajach, które miał opisywać, przebywał długo, znał je nie z powozu pocztowego, ale z pieszéj i częstokrotnéj wędrówki, zmuszającéj do obserwacyi każdego spostrzegacza, a cóż dopiero tak bystrego, jakim był doświadczony w szkole życia nasz legionista, rysownik, ajent, kupiec.

Pierwszym krajem, który w *Pamiętnikach* swoich nasz *włóczęga* opisał, była Dobrudża, jeden z teatrów wojny krymskiéj, mający dla czytelników ówczesnych interes najświeższy. Rozpoczął też autor opis swój od obrazu obozowania tureckiego pod Bazarczykiem (w kwietniu 1854) skreślił ogólny zarys wojny, a dopiero potém przeszedł do oznaczenia niepewnych granic i niepewnego pochodzenia nazwy Dobrudży, co go poprowadziło do wzmianek o podaniach miejscowych, o wale Trajana, o mogiłach, wodach, górach, lasach i ziemi, o rolnictwie i handlu; wkońcu podał autor nadzwyczaj zajmujące szczegóły o téj nader różnorodnéj ludności, jaka Dobrudżę zamieszkiwała, o Rusinach, Turkach, Tatarach, Mołdo-Wołochach, Bułgarach, Grekach, Ormianach, Cyganach, o różnych sektach rosyjskich w Dobrudży szukających schronienia: o Staroobriadcach, Nekrasowcach, Bezpopowcach, Niemolakach, Mołokanach, Skopcach, Subotnikach.

Po Dobrudży nastąpiła (również w „Dzienniku Literackim“ r. 1857) Bułgarya. Zarys kraju tego jest już obszerniejszy; mówi tu autor naprzód o rolnictwie, ogrodnictwie, uprawie tytoniu, wina i o jedwabnictwie; przedstawia środki komunikacyjne, fabryki, handel, opisuje miasta i fortece. W drugiéj części zastanawia się nad charakterem ludowym, podaniami dziejowemi, językiem, szkołami, duchowieństwem; maluje ruch umysłowy nowoczesny, zwyczaje ludowe, przesądy i gusła; rozprawia o pieśniach i legendach.

W trzecim, najobszerniejszym ustępie z *Pamiętników włóczęgi* opisuje autor Konstantynopol (*Dziennik literacki* r. 1858). W ośmiu rozdziałach kreśli tu z coraz wzrastającą werwą, naprzód zewnętrzną stronę miasta i wybrzeży, a następnie stosunki wewnętrzne; opowiada o rządzie, szkołach, dziennikarstwie, bibliotekach, drukarniach, nauce i poe-

zyi. Następnie rysuje sylwetki różnych narodowości zamieszkujących Konstantynopol; mówi o urządzeniu domu tureckiego, o stanowisku kobiety, o wizytach, strojach i t. d., z zamiłowaniem rozwodzi się o lasach i łowach. Ostatni rozdział poświęca barwnéj charakterystyce Henryka Jabłońskiego, Karola Brzozowskiego i innych Polaków, z którymi się spotykał i przyjaźnił.

Dziennik Literacki bardzo mało był znany w Królestwie, na Litwie i Rusi; nowy tedy talent, w nim pierwsze swe prace pomieszczający, mógł być oceniony przez szczupłą stosunkową część ziomków. Autor „Pamiętników włóczęgi“ z własnego już popędu na początku r. 1857 przesłał korespondencyę z Konstantynopola do *Gazety Warszawskiéj* nader wtedy poczytnéj; zapytując zarazem, czyby dziennik ten nie życzył sobie dalszych tego rodzaju obrazków i sprawozdań po 5 fr. za list. Antoni Lesznowski, ówczesny właściciel i redaktor *Gazety Warszawskiéj*, przyjął propozycyę, nierychło jednak wydrukował pierwszą korespondencyę (podpisaną dwiema tylko literami T. J., a datowaną 13 stycznia 1857 r.), pojawiła się ona bowiem dopiero pierwszego kwietnia tego roku w Nrze 87. Lesznowski miał widocznie w zapasie dwie inne korespondencye, gdyż je pomieścił w bardzo krótkich odstępach czasu. Odtąd nieregularnie wprawdzie, ale dość często znajdujemy listy z Konstantynopola, które stają się coraz dłuższe, coraz to większą werwą i swobodą opowiadania się odznaczają. W pierwszych dziesięciu korespondencyach pomieścił autor opis zewnętrznéj strony Konstantynopola, od 11-éj począwszy zagląda do wnętrza domów stambulskich, oddając po kolei wizyty Turkom, Grekom, Ormianom, Bułgarom itd. zaspokajając ciekawośc czytelników, z niecierpliwością oczekujących odsłonięcia tajemnic haremowych. W korespondencyi z 26 czerwca zapowiada T. J., że odtąd myśli trzymać się

ściśle faktów zdarzonych w czasie upłynionym od ostatniego listu. W listopadzie pomieszcza długi, przez kilka numerów ciągnący się list, w którym opowiada o swéj wycieczce do Azyi Mniejszéj, opisując podróż morską i swoje przygody z wielkim, porywającym talentem.

Tak się ciągnęły korespondencye T. J. z Konstantynopola lub Azyi Mniejszéj aż do połowy roku 1858; czytane były, jak świadczą spółcześni, a między innymi Julian Bartoszewicz, z nadzwyczajną chciwością; numera gazety rozrywano, korespondencye przepisywano i przesyłano sobie pocztą. Najlepszym zaś w czasach dzisiejszych dowodem ich poczytności będzie chyba ta okoliczność, że wydawca *Gazety Warszawskiéj* przesyłając autorowi pierwsze honoraryum na Nowy Rok 1858 policzył od listu, według umowy po 5 franków, a oprócz tego dodał 300 franków „gratyfikacyi", zapowiadając, że odtąd będzie płacił za list po franków 40.

Rok 1857, w którym T. J. stał się naprawdę autorem czytanym przez szersze koła publiczności, od którego zatém datować wypada jego stałą, a nie dorywczą tylko działalność literacką, upamiętnił się jeszcze i z tego względu, że w nim powstał, a w każdym razie do druku przygotowany został utwór większych rozmiarów, pierwsza powieść literami T. T. J. podznaczona, napisana wskutek nalegania Kozłowskiego, a osnuta na wrażeniach, odniesionych przez autora podczas bolesnego w Tulczy pobytu r. 1853. Pierwsza ta powieść, wydrukowana na początku roku 1858 w *Dzienniku Literackim*, pozyskała odrazu uznanie i rozgłos wielki, obudziła zainteresowanie się niepospolite. Zachwycony nią Henryk Jabłoński, poeta niemałych zdolności, nie wiedząc kto się pod kryptonimem T. T. J. ukrywa, tak pisał do przyjaciół w Konstantynopolu o wrażeniu, jakiego doznał, i domysłach, jakie mu do głowy przychodziły przy czyta-

taniu tego utworu: „Dziwną niedawno czytałem powieść *Wasyl Hołub.* Piękna powieść, bo rzewna, a prawdziwa. Ci, co nie znają naszéj Ukrainy, nie zdołają pojąć, ile charaktery w niéj są szkicowane z natury; ton, tło i koloryt są swojskie, nasze, podolskie, ukraińskie dziwnie. Powiadam, że mi się zdaje, że przekonany jestem prawie, że powieść tę napisał Zygmunt. Nie myślę mu tu prawić pochlebstw w takim razie; ale serdecznie dziękuję za chwilę błogich marzeń, za kilka obrazków, za parę wspomnień wywołanych z duszy. Skąd mi to przypuszczenie?... Ten, co pisał *Wasyla Hołuba,* zna Dobrudżę, więc to ktoś z was, moi mili Turcy; a że między wami win oden kozak prawdywyj, win oden znaje kozaćkuju piśniu i tuhu, znaje szczo każe syraja zuzula, znaje szczo hołosyt diwczyna... jak słowo howoryt, to rit rozdewysz a na serdeńku łehko a hlady w oczach zamajało i ślozeńka na usach zawysła — czortyb jeho!“ — Lesznowski znów, niewiedzący, że kryptonimy T. T. J. i T. J. też samę oznaczają osobę, pisał do swego korespondenta ze Stambułu: Dowiaduję się, że autor *Wasyla Hołuba* przebywa w Konstantynopolu. Czy nie znasz go pan? Jeżeli znasz, zamów u niego w imieniu mojém powieść dla *Gazety Warszawskiéj*“. Korespondent odpowiedział, że zna autora dosyć dobrze. Z zamówienia tego powstała *Handzia Zahornicka,* podpisana już pseudonimem T. T. Jeż, którego już jako powieściopisarz stale odtąd Zygmunt Miłkowski używał. Po niéj nastąpił, również w *Gazecie Warszawskiéj Szandor Kowacz,* a daléj *Historya o pra... pra... wnuku* i *pra... pra... dziadku.* — *Jeż* został znanym i uwielbianym powieściopisarzem [1]).

---

[1]) Szczegóły biograficzne powyżéj podane, są wzięte częścią z listu samego Jeża, 21 lutego 1881 r., częścią z utworów jego drukowanych, częścią wreszcie z pracy p. Wacława Hole-

II.

Było to rzeczą niepospolitéj doniosłości, że nasz publicysta i powieściopisarz nie zabrał się natychmiast po skończeniu uniwersytetu do pracy literackiéj, ale mógł, choć z trudem i wśród cierpień, zbierać plony doświadczenia, by się niemi następnie ze społeczeństwem podzielić. Wybujałe marzenia młodości miały czas zmierzyć się z rzeczywistością a absolutne wyroki rozgorączkowanéj nowemi poglądami głowy miały możność złagodnieć wskutek starcia się z faktami życia codziennego, które wyrokom tym posłuszeństwa nieraz odmawiało.

Tym sposobem wytworzyły się w umyśle Jeża dobrze wyrobione przekonania co do najważniejszych stosunków społecznych i politycznych. Czém są takie przekonania, to dosadnie i malowniczo wypowiedział powieściopisarz w „Historyi o pra... pra... wnuku“, przedstawiając niebezpieczeństwa, na które narażonym bywa młodzieniec rozpoczynający zawód życiowy. „Jeżeli przekonanie jest nijakiém, lub słabém — powiada tu — klejonką z bojaźliwych zasad, z wyobrażeń o pół-cnotach i z pseudo-poczuć poświęcenia, to po nim!... Popluska się może jeszcze na głębokiém błocie, jak niezręczny pływak, zachłyśnie się, naleje się mu w uszy, da nurka, ale nie jak nurek poto, aby gdzieś daléj wypłynąć, lecz jak topielec, utopi się w błocie. Jeżeli zaś przekonanie jest silném i skierowaném ku szlachetnym, podniosłym celom; jeżeli opiera się na śmiałych zasadach, na istotnéj cnocie, na prawdziwém poświęceniu; to chociaż pły-

---

wińskiego (w dodatku miesięcznym do „Przeglądu Tygodniowego“ Nr. 3 do 5 włącznie), który korzystał ze źródeł dla mnie na teraz nieprzystępnych.

wak obryzga się w kałuży, ale koniec końcem wypłynie i oschnie i — ku czemu miał dążyć, podąży, co miał zrobić, zrobi. Nie jest jeszcze młodzieniec zgubionym, póki trzyma się nitki Aryadny, mającéj wyprowadzić go z ogromnie w naszych czasach zagmatwanego labiryntu rozmaitych wyobrażeń o złém i dobrém, o brzydkiém i pięknem. Rozpędziwszy się po drodze istotnéj cnoty, chociaż nieco zboczy, nie zrobi on jednakże nalewo wtył, nie pójdzie wstecz, póki mu przyświeca gwiazda przewodnia silnego, śmiałego i szlachetnego przekonania"...

A trzeba było bardzo silnych i dobrze wyrobionych przekonań, ażeby się oprzeć prądowi ówczesnego usposobienia, jakie panowało wśród społeczeństwa ukształconego i w literaturze.

Po stłumieniu ruchów, wywołanych przez rewolucyę lutową w Paryżu, zapanowała na całym Zachodzie reakcya. Wpływ jéj rozszerzył się i na nasze stosunki. Myśl swobodna, postępowa, przejawiająca się dawniéj, choć słabo, wśród grona młodzieży, została obwołaną za nieprzyjaciółkę porządku społecznego. Zwolennicy jéj albo zamilkli albo téż, co ze wstydem wyznać trzeba, przemienili się w jéj wrogów. Zaniknięcie téj myśli podziałało zgubnie na wszystkie dziedziny życia duchowego.

Wiara korna, bez rozbioru, stała się hasłem i kotwicą zbawienia. Dążność do jéj wszczepienia przejawiła się w przekładzie utworów takich, jak księdza Gaume'a, Guillois, Schmidta, a nawet w dziełach oryginalnych Ziemięckiéj, Jakubowicza, usiłujących zamiast filozofii niezależnéj postawić filozofią dogmatyczną, chrześcijańską, katolicką. Cywilizacyę europejską poczytano za rzecz niedającą się pogodzić z wiarą, bez radykalnych zmian. We wszystkich rozumowaniach i poglądach powoływano się na objawienie, na religię; poezya, historya, nauki przyrodzone nawet mu-

siały się zabarwiać jaskrawo odcieniem teologicznym. Ciż sami, co przed r. 1850 śmiało występowali przeciw uzurpacyi hierarchicznéj, teraz korzyli się potulnie przed cenzurą duchowną, poddając pod jéj wyrok wszystkie swoje myśli i uczucia.

Zapewne, w niektórych osobistościach to „nawrócenie“ było przynajmniéj szczere; ale wielu i bardzo wielu „napełniali wóz Chrystusem“ tylko dla parady, dla przypochlebienia się kierunkowi idącemu zgóry, dla karyery i zysku. Obłuda, ta najobrzydliwsza zaraza ducha, zaczęła się szerzyć epidemicznie.

W kwestyach społecznych zaniechano najzupełniéj dotykać tak zwanych punktów drażliwych. Wielka sprawa włościańska pozostawała jeszcze na ogromnéj przestrzeni kraju niezałatwioną. Stosunki pańszczyźniane w Królestwie, a poddańcze na Litwie i Rusi trwały jeszcze w całéj swéj groźnéj sile. Wobec Europy zachodniéj, w któréj wszędzie już zasada swobody indywidualnéj weszła w życie, jako wyraz nowożytnych dążeń do równości i wolności prawnéj, stosunki nasze pod tym względem przedstawiały się jako smutna pozostałość po epoce samolubnego ustroju kastowego. Przed reakcyą, zarówno na tułactwie jak i w kraju, rozumiano to doskonale i rozmaitemi sposobami starano się złe usunąć. Ale po zapanowaniu prądu reakcyjnego głosy literatów za „chłopami“ przemawiających przycichły; co więcéj zaczęto nawet rozpływać się nad pięknością i podniosłością „patryarchalnego“ stosunku pana do chłopa, a ponieważ cywilizacyą zachodnią jako bezbożną i zepsutą gardzono, więc wzór jéj stracił wartość, owszem śmiało jéj wytykano, że ona była rodzicielką straszliwego potworu, nazwanego proletaryatem, i jeszcze straszliwszego, nazwanego socyalizmem.

Podobnemuż losowi uległa kwestya wyższego wykształcenia kobiety. Nauka była niebezpieczna wogóle, cóż dopiero dla słabéj niewiasty! Należało sprawę tę zostawić w takim stanie, jak była dotychczas, bo tak było dobrze.

Naturalną drogą takiego pojmowania rzeczy, ugruntowywało się stopniowo przekonanie, że u nas wszystko idzie dobrze, że nietylko nie potrzebujemy niczego zazdrościć „zmateryalizowanemu Zachodowi“, gdzie maszyny i fabryki „zagasiły ducha“, lecz że owszem ten okrzyczany Zachód mógłby od nas, z wielkim dla siebie pożytkiem, przejąć wiele rzeczy wybornych: otwartość serca, szlachetność duszy, czystość obyczajów, patryarchalne stosunki rodzinne i społeczne. Wszystko, co było swojskie, „nasze“, poszło w górę; nawet nasze chatki z wklęsniętém poszyciem słomianém, nawet nasze mostki klawiaturowe, nawet nasze wioski nieregularnie zabudowane z chałupami dowolnie powykrzywianemi, nawet nasze bagna nabrały poetycznego wdzięku, „przemawiały do serca“...

Ten sentymentalny szowinizm przedostał się także i do poglądów na przeszłość. Co w niéj było rozumnego i dzielnego, co świadczyło o wyższym polocie, to nie mogło wtedy być podniesioném i uwielbioném. Ani wiek XVI ze swemi ruchami reformacyjnemi, ani druga połowa w. XVIII ze swojemi ideami racyonalistycznemi nie przypadały do smaku tym, co rozum potępiali. Szczególniéj „wiek oświecony“ jako najbliższy i najlepiéj stosunkowo znany, nie znajdował łaski wobec czcicieli swojszczyzny; nie widziano w nim i nie chciano widzieć rozwoju i podniesienia się myśli, pomijano dążności i usiłowania reformatorskie, a uderzano na bezbożność, na zepsucie obyczajów, na lekkomyślność i rozpustę, wskazując oświatę francuską jako główną przyczynę złego. Wolter i Encyklopedyści stali się przedmiotem drwin, szyderstwa i obelg.

Natomiast z jakiémże to uwielbieniem przedstawiano postaci kontuszowe, perorujące, bijące i całujące się! Były to zazwyczaj figury bezmyślne, ale jakie „nasze“, jakie malownicze! Krok tylko, aby potępiając „wiek oświecenia“ uwielbić pijacką epokę Sasów, i krok ten zrobiono. Wszystko doskonałe było za Sasa: była wiara, był animusz, była serdeczność, była miłość kraju. Wiara wprawdzie kończyła się na klepaniu pacierzy, animusz służył tylko w zwadach i zajazdach, serdeczność nie wyłączała obłudy, miłość kraju nie przeszkadzała zrywać sejmów; ale na to wielbiciele przeszłości zamykali oczy; dla nich wystarczał fakt, że postaci szlachty jaśniały weselem, śmiały się na całe gardło, były zdrowe i zadowolnione z siebie. Polska szlachecka stanęła w apoteozie, opromieniona bengalskiemi ogniami zachwytu. Co szlachta zrobiła, było wyborne, bo wypływało z przepełnionego serca, nie zaś z „mędrkującego“ rozumu. Tak szczęśliwie żyło społeczeństwo, dopóki prąd obcy, zagraniczny nie zmącił czystego wód zwierciadła.

Literatura belletrystyczna, poezya i powieść, która w tak rozkosznych obrazach przedstawiała „świętą“ przeszłość, rozrastała się bujnie, podobna do kwiatu wspaniale rozwiniętego, jaśniejącego przecudnemi barwami i wydającego zapach odurzający. Pod jego wpływem społeczeństwo drzémało rozkosznie, oddając od czasu do czasu pokłon zabalsamowanéj przeszłości, ale nie poczuwało się do potrzeby popchnięcia daléj życia narodowego, boć naturalnym wnioskiem, jaki się wysnuć dawał z przedstawionego w sposób powyższy ideału dziejowego, był ten, że zmian żadnych w życiu społecznem, gdy politycznego już nie było, wprowadzać nie wolno.

A literatura, obrazująca to życie spółczesne, rzadko kiedy napomykała, że istnieją inne ważne, doniosłe obowiązki, oprócz czci i uwielbienia dla czasów minionych.

Środkowym punktem belletrystyki stała się prawie wyłącznie miłość, na różne wyśpiewywana tony. Bohaterowie i bohaterki kochali się, sprzeczali, godzili i na tém schodził im cały czas, przez całe dni, tygodnie, miesiące i lata. Zdawało się, że świat interesów, zajęć, obowiązków, pracy wogóle nie istniał dla nich zupełnie; jedyném ich zatrudnieniem było marzenie, fantazyowanie i kochanie się.

Trzeba przyznać, że miłość po większéj części przedstawiana była ze strony szlachetnéj, że charaktery bohaterów, choć słabe i miękkie, były podniosłe, że belletrystyka zatém ta nie mogła sprowadzić bezpośrednio żadnéj demoralizacyi. Zapatrując się atoli na jéj wpływ z punktu widzenia zadań społecznych, musimy zauważyć, że nie liczyła się ona wcale z poważną grozą życia, w którém miłość gra rolę wprawdzie nadzwyczaj ważną, ale nie pierwszorzędną i, że tak powiem, prywatną; że nie wystawiała ona obrazu obywateli i obywatelek kraju, ale tylko kochanków i kochanki; że całą sferę pracy, trudów i mozołów pomijała prawie milczeniem; że pośrednio, wystawiając jako najistotniejsze zajęcie bohaterów miłości, pobudzała czytelników, bardzo różnych pod względem temperamentu i charakteru, do praktykowania téj miłości na sposób różny, częstokroć wcale nie idealny.

Dopiero pod koniec owego reakcyjnego dziesięciolecia ludzie, którzy albo nie zatracili dawniejszéj trzeźwości umysłu, albo ją zdobyli ciężkiém, mozolném doświadczeniem, zaczęli przypominać narodowi sprawy niezałatwione i obowiązki do spełnienia.

Kwestya włościańska pojawiła się jako najważniejsza dla bytu społeczeństwa. W naukowych wywodach podnosi ją nanowo Krzysztopór (1858) i inni, w powieściopisarstwie — Teodor Tomasz Jeż.

Jeż, jak wiemy, już w latach młodzieńczych, żywo się kwestyą tą zajmował; następnie jako członek „Towarzystwa Demokratycznego“ niejednokrotnie miał sposobność dokładnie się nad nią zastanawiać; w wędrówkach swoich ocierał się zblizka z ludem, poznał jego usposobienie do gruntu, wiedział, do czego on wzdycha, czego pragnie. Pierwszą też powieść swoję *Wasyla Hołuba*, osnuł na tle życia ludu ruskiego, dotykając naturalnie z konieczności i życia dworu. Jeż nie myślał bynajmniéj idealizować ludu, nie myślał zakrywać przed oczyma czytelnika grubych instynktów i prostackich przyzwyczajeń wieśniaka; chłopi jego, to nie pasterze z sielanki, lub z powieści romantycznéj, ale ludzie rzeczywiści, tacy, jakich po wsiach istotnie widujemy. W jednym ze swych utworów powiada otwarcie: „Gdybym był salonowym, gładkim pisarzem, strojącym frazesy w czubki, a treścią rzeczy usiłującym sprawiać czytelnikom umysłowo-fantastyczną ślizgawkę, za żadne skarby świata nie ośmieliłbym się przedstawiać czytającéj publiczności takiego bohatera. Jestto bowiem prosty, najprostszy, jak sobie wyobrazić można, chłop, cham, mud', śmierdzący dziegciem z powodu butów, które sobie dziegciem smaruje, śmierdzący czosnkiem z powodu południków, które sobie czosnkiem przyprawia, obcierający nos palcami, a łzy kułakiem, drapiący się w łeb, jeżeli mu nie-pomyśli, rozdziawiający gębę ze zdziwienia, uśmiechający się głupowato, jeżeli co wypadałoby a nie można zganić, i roziskrzający wzrok płomieniem zapału, jeżeli go co zachwyci“.

Ale ten nieokrzesany chłop ma serce i umysł, tak jak wszyscy inni ludzie, jest naturą prostą, niezepsutą, posiada zdolności, które można rozwinąć, posiada uczucia szlachetne, które potrzebują tylko sposobności, ażeby się w piękny czyn zamienić. Wobec takich ludzi, przez proste zestawienie, jakże maleją ci wypolerowani w szkole świata, ale skarleli

duchem panowie, którzy nabyli wykształcenia, ale stracili szlachetność!

Porównanie takie samo przez się, bez usiłowania autora, narzuca się w „Wasylu Hołubie“. Wasyl był chłopem sierotą, przytulonym przez leśniczynę, a następnie wziętym do posług dworskich przy boku samego pana, człowieka niezłego w gruncie, ale tradycyjnie spędzającego gniew swój i niezadowolnienie na poddanych i uważającego ich za niewolników. Wasyl, przysłuchując się rozporządzeniom pana, odnoszącym się czy to do plag, jakie ekonom miał wymierzyć, czy to do poboru rekruta, ostrzegał potajemnie interesowanych pod tym względem mieszkańców wioski, którzy też od tego czasu zaczęli znikać. Przez czas jakiś, dzięki niedomyślności pana, rzecz ta uchodziła Wasylowi na sucho, aż raz ekonom, skrzyczany za wyludnianie się wioski, rzucił podejrzenie na Wasyla, które się okazało prawdziwém. Zagrożony plagami i oddaniem w rekruty, winowajca ucieka i — za radą doświadczonego w tego rodzaju sprawach kozaka, udaje się na Dobrudżę, zaciąga się do resztek Siczy Zaporoskiéj, tam pod dowództwem Hładkiego istniejącéj, bierze udział w wojnie tureckiéj 1828 r, widzi, jak Hładki zaprzepaszcza Sicz, i wraca po skończonéj kampanii do stron rodzinnych.

Podczas lat nieobecności Wasyla w wiosce rodzinnéj stary dziedzic umiera, a syn jego, używający młodości z całych sił i niekrępujący się niczém, zostaje panem nieograniczonym losu poddanych i czci poddanek. Jedna z nich, córka owego doświadczonego kozaka, kochająca Wasyla i przezeń kochana, wpada w oko wyuzdanemu lampartowi który, gdy go Wasyl dobrze raz poczęstował, poprzysięga mu zemstę i gwałtem zabiera dziewczynę do dworu, ażeby po kilku miesiącach odesłać ją ojcu... zhańbioną.

Wasyl, uciekłszy po raz drugi ze wsi, z powodu obawy srogiéj zemsty, dostaje się szczęśliwie do Grzybek, majętności pana Józefa Głowińskiego, na Pobereżu. W opisie wioski i jéj właściciela, odtworzył Jeż w sposób powieściowy Rybki, w których swe dzieciństwo przepędził i postać ojca swego. Stosunki pana do poddanych w téj wiosce stanowią kontrast najzupełniejszy z tém, co się działo we wsi rodzinnéj Wasyla i w większéj części wsi innych.

Ten pan Głowiński — jak mówi nasz powieściopisarz — był-to sobie dziwak trochę, przynajmniéj na owe czasy; miał bowiem kilka maksym zasadniczych, sobie tylko właściwych; utrzymywał np. że prawdziwym szlachcicem jest ten jedynie, kto szlachetnie postępuje, że próżniak jest wrzodem w ciele społeczném, wysysającym niepotrzebnie żywotne jego soki itp. Ale maksymy te nietylko wypowiadał, lecz w czyn zamieniał. W majątku swoim był opiekunem poddanych, których za braci uważał, a wystudyowawszy doskonale techniczną stronę gospodarstwa wiejskiego, udzielał „chłopom“ wiadomości swoich w sposób łatwy, przystępny i praktyczny, gdyż sam osobiście robotom przewodniczył... Wieśniacy grzybeccy nie mogli robić źle, bo dziedzic znając się na wszystkiém umiał sam i zrobić i pokazać... Znał się na pasiecznictwie, na bydlęcych i końskich chorobach, i wszystkiemi temi wiadomościami z zupełną bezinteresownością dzielił się z poddanemi swemi. Nieraz zdarzało się, że obudzony wśród nocy dlatego, że któremuś z poddanych jego zachorowało bydlę, wstawał, brał puszczadło, lekarstwa i śpieszył na ratunek „chłopskiéj“ chudoby. To téż gromada grzybecka była niby rodzina jaka, związana węzłem miłości i wzajemnego zaufania... „Chłopi“ kochali i nie bali się „pana“, w którym widzieli starszego brata, ojca, doradcę, opiekuna, nie zaś pijawkę ssącą krew z ich pracy. Był tam i ekonom, ale chodził bez batoga i w ca-

łym gospodarskim arsenale dziedzica nie było ani jednego narzędzia, przeznaczonego na chłostanie chłopów; do zasadniczych bowiem maksym Głowińskiego należało także i to, że kara cielesna bardziéj poniża tego, co ją wymierza, niż poprawia tego, co ją odbiera. Występki, kradzieże stały się w Grzybkach nieznane; próżniactwem pogardzano; pracował dziedzic, pracowali poddani, a głównym dozorcą i całą podnietą pracy była emulacya; w gromadzie wyrobiła się gromadzka opinia publiczna, kontrolująca i chłoszcząca niemiłosiernie tych, którzy się od pracy uchylali. Rozkosznie i lubo było przyjechać i zabawić przez dni kilka w Grzybkach i przypatrzyć się téj harmonii pracowitego ruchu... Wyjeżdżało się stamtąd zdrowszym, lepszym, bo oglądało się żywemi oczyma ideał ludzkości, poprawionéj bez użycia ekscentrycznych teoryj, samym jedynie wpływem dobrego przykładu, dawanego przez człowieka, postawionego na wyższym szczeblu drabiny społecznéj.

Wasyla przyjął pan Głowiński jak brata, powitał słowem przychylném, dał zajęcie i pozyskał w nim wiernego sługę, gotowego życie dać za swego dziedzica i za to, co ten dziedzic ukochał. To téż gdy nadszedł rok 1831, miał Głowiński w Wasylu wybornego wykonawcę militarnych poleceń i dzielnego żołnierza. W bitwie pod Daszowem, którą nawiasem mówiąc Jeż świetnie odmalował, Wasylowi ocala życie (zapewne mimowoli) jakiś młodzieniec, tak obojętnie zachowujący się w ogniu bitwy, jakby był na polowaniu. Gdy się skończyła wojna, w któréj Głowiński wraz z wielu innymi poległ, Wasyl jedzie do swéj lubéj, zastaje ją na pół obłąkaną, dowiaduje się bolesnéj prawdy. Z zemstą w duszy mknie do dworu, by lubieżnemu paniczowi dać nową, pamiętną naukę. W uskutecznieniu kary uprzedzili go już włościanie, którzy pana związawszy wysłali jako bun-

townika do najbliższego miasta. Wasyl puszcza się w pogoń i w panu poznaje swego wybawiciela.

Pod wpływem wypadków lubieżnik przemienił się na rycerza, despota na obywatela, pragnącego widzieć braci we wszystkich mieszkańcach kraju. Wasyl w uznaniu téj przemiany przebacza panu swą krzywdę, bierze kochankę „pokrytkę“ i z nią udaje się na Dobrudżę, gdzie spokojnie uprawia ziemię, wychowuje dziecię – swego niegdyś dziedzica.

Jeżeli w sprawie metamorfozy lubieżnika i heroizmu Wasyla jest cokolwiek przesady tendencyjnéj, to w szczegółowém kreśleniu charakterów i wypadków niema jéj śladów; Jeż nie chciał idealizować chłopa, nie chciał karykaturować pana; jednemu i drugiemu przyznaje przymioty i wady, zależne od natury i wychowania; a wyrażanie uczuć zgodne jest ze stanem tego, kto tych uczuć doznaje. Jego Wasyl nie jest romansowym bohaterem, któryby dokazywał rzeczy nadzwyczajnych, któryby wszędzie i zawsze grał pierwszą rolę; owszem zgodnie z prawdą, jako jednostka mało znacząca, ginie on nieraz w masie, i w niektórych tylko wypadkach, siłą rzeczy wyniesiony, wypływa na wierzch. Jego dziedzic, zarówno starszy jak młodszy, nie jest potworem, ale człowiekiem, mającym obok zalet pewnych, wielkie wady, nie tyle będące wynikiem indywidualnego charakteru, ile skutkiem historycznie wyrobionych kastowych stosunków. To téż ciosy publicysty nie są wymierzone w serce téj lub owéj jednostki, lecz w serce samego nienormalnego, niesprawiedliwego stosunku jednych ludzi do drugich. Domaga się on, ażeby w chłopie uznano przedewszystkiém „człowieka“, ażeby mu przyznano prawo rozwijania się i kształcenia, prawo zachowania i bronienia swojéj godności ludzkiéj, prawo swobodnego ruchu, swobodnéj pracy, prawo zostania obywatelem kraju na równi z innymi. Ażeby przyznać mu te prawa, nie potrzeba litości i filantropii, nie potrzeba

sentymentalnie rozłzawionych popędów serca, potrzeba tylko w sobie i w innych szanować „człowieka“, znać swe obowiązki i mieć wzgląd na cele, ku którym życie narodowe kierować się winno. Myśli te rozwijał następnie autor w *Handzi Zahornickiéj*, ale najszczegółowiéj przeprowadził i podał środki ich urzeczywistnienia w *Historyi o pra... pra... wnuku i pra... pra... dziadku*. Jestto, można powiedzieć, programowe dzieło Jeża, skupiające w sobie poglądy na różne stany życia społecznego i politycznego. Zobaczmy naprzód, jak się w niém kwestya włościańska przedstawia.

To, co Józef Głowiński na małą skalę, przy szczupłych środkach, w swoich Grzybkach zrobił, znajdujemy udokładnioném, rozwiniętém na szerszy rozmiar w Hrynenkach, majątku Ksawerego Jeża, dawnego Kościuszkowskiego żołnierza, potém legionisty. Dwór i gromada stanowi jedno. Włościanie posiadają kawałki gruntu na własność. We wsi jest szkółka i szpital. Hasłem ogólném praca; jemu posłuszni są wszyscy: i pan i chłopi. Pan jest tylko najbogatszym gospodarzem, a jako najbogatszy i najrozumniejszy daje pomoc i radę uboższym i nieukształconym. Wieśniacy kochają i uwielbiają pana, dzieci jego uważają jakby za własne, we wszystkich sprawach dworu biorą udział najserdeczniejszy. Dzieci pańskich nigdy nie przestrzegano, żeby się nie wdawały z dziećmi chłopskiemi; to téż żyją one z niemi, bawią się i kochają.

Jak Ksawery Jeż rozumiał ten stosunek dworu z gromadą, widzimy z testamentu, którym myśl swoją przekazywał synowi Janowi. Testament ten był – jak mówi autor — projektem spółki rolniczéj zawiązanéj w Hrynenkach pomiędzy Janem i gromadą. Jan wchodził do niéj z warsztatem ziemi i z kapitałem narzędzi rolniczych, inwentarza, pieniędzy i umysłowéj pracy. I każdy gospodarz wchodził także z warsztatem ziemi t. j. własnego kawałka i z kapitałem

narzędzi, inwentarza, fizycznéj (zamiast pieniężnéj) i umysłowéj pracy. Zasadą téj spółki było połączenie warsztatów i kapitałów w celu wzajemnéj pomocy, połączenie, mocą którego nikt, ani jednych, ani drugich ze spółki samowolnie wycofać się nie mógł. Każdy członek spółki rozporządzał dowolnie owocami swojéj pracy, czystym dochodem, ale nie fundamentalnym, wkładowym kapitałem. Ten ostatni nie tracił swego charakteru, ani przy przechodzeniu z rąk do rąk (w razie sprzedaży, spadku na potomstwo, darowizny, wydzierżawienia), ani przy rozdrobnieniu pomiędzy spadkobiercami. W razie rozdrobnienia np. jeden warsztat ziemi rozpadał się na dwa, trzy, dziesięć i każda z tych cząstek wchodziła jako jednostka do składu całości. To samo działo się i z kapitałem. Ziemi i kapitału oderwać od całości nie można było. Należały one do wszystkich i zależały od wszystkich, związane solidarnością interesów i podległe powszechnéj kontroli. Ciężary, jakoto: podatki, zsypki, utrzymanie cerkwi, szkółki, szpitala, apteki, dotykały proporcyonalnie wszystkich członków spółki. Skutkiem kontroli, jeżeli które z mniejszych lub większych gospodarstw źle było prowadzoném, to spólnicy naznaczali administracyę. Przy rozdrobnieniu małych cząstek na jeszcze mniejsze, spółce przysługiwało prawo przysądzania wkupna w większe, zaczynając od największych, t. j. jeżeli gospodarz umierając zostawił np. dwóch synów, dla których jego udział, podzielony na dwa, nie wystarczał, to jeden z synów zostawał na gospodarstwie ojcowskiém, a drugi wkupywał się w gruncie dworskim i zakładał nowe gospodarstwo. Na ten cel założony był bank gromadzki, wzrastający co roku procentami od dochodów, którego przeznaczeniem było udzielanie pożyczek, bądź na wkupno, bądź na ulepszenia rolnicze, bądź na ratunek w razie ognia, zarazy na bydło, powodzi, nieurodzaju i innych nieszczęść. Wrazie bezpotomnéj śmierci, wydalenia się lub utraty za złą konduitę prawa

władania majątkiem jednego ze spólników, gospodarstwo jego stawało się własnością gromady, która mogła bądź administrować je na rzecz ogólną, bądź sprzedać, dochody z administracyi i sprzedaży wkładając do banku. Zastrzeżoném było, że jeżeliby prawny spadkobierca lub właściciel odnalazł się albo powrócił, to miał prawo żądać zwrotu dochodów i gospodarstwa, jeżeli takowe nie zostało sprzedaném, a wrazie sprzedaży sumy za nie uzyskanéj.

Jakkolwiekbyśmy oceniali wartość ogólnego pomysłu téj spółki, czy tego falansteru rolniczego, nie należy zapominać, że w nim jest mowa o własności indywidualnéj chłopa, o szkółce, szpitalu, aptece, banku, że szczegóły te sprawę włościańską rozjaśniające przed uwłaszczeniem, posiadały znaczenie publicystyczne daleko większe, aniżeli projekty, po dokonaném uwłaszczeniu robione. Były to rzeczy po raz pierwszy w powieściowéj formie traktowane w sposób tak dokładnie określony. Powtóre, nie trzeba także zapominać przy ocenie tego pomysłu, że Jeżowi chodziło o utrzymanie jedności interesów dworskich i chłopskich, o przeprowadzenie idei uobywatelenia włościan.

Nie mogąc wskazać, jakby dzisiaj ideę tę urzeczywistnić należało, Jeż cofnął się w przeszłość, w same początki wieku XVII i wystawił Kuźmę Jeża, domniemanego pra... pra... dziadka rodziny, dosługującego się prawa obywatelstwa w służbie dla kraju. W ten sposób powieść historyczna stała się pod piórem Jeża dopełnieniem powieści spółczesnéj. Wyszukał on w przeszłości takie położenia i myśli, któreby znalazły oddźwięk w sercach i umysłach, żyjących w czasach nam blizkich. Przeszłość miała zostać światłem prawdy — *lux veritatis*, nauczycielką życia — *magistra vitae* — nie w tém pospolitém znaczeniu, żebyśmy czyny lub myśli przekazane nam przez historyę naśladowali, ideały bowiem czasów minionych nie mogą być ideałami teraźniej-

szości. — lecz żebyśmy wzbogaciwszy nasz umysł doświadczeniem wieków dawnych i uwzględniwszy stopniowy rozwój ducha ludzkiego, umieli unikać starych błędów, korzystać z doświadczeń a nowe wynajdować drogi.

Ów tedy Kuźma wzięty ze wsi bez żadnego ukształcenia przez Lisowskiego, wprawia się w robienie bronią, walczy dzielnie w wojnie Polski z Mołdo-Wołochami, dobija się powszechnego uznania, czyta, uczy się, zapoznaje się z formami życia szlacheckiego, — ale uszlachcenia nie przyjmuje, mówiąc, że, choć nie herbowy, jest takim dobrym jak i herbowi obywatelem, — i chłopem pozostaje. Nie idzie bowiem o tytuł, ale o pełnienie obowiązku. Chcąc lud mieć za sobą, potrzeba ażeby on tak, jak Hrynenczanie, kiedy Kuźmę na służbę Rzeczypospolitéj wysyłali, poczuł się cząstką całości, członkiem wielkiego ciała, ażeby nań zstąpiła „jakaś jasność rozszerzająca koło jego widzenia".

Obok sprawy włościańskiéj podniósł jeszcze Jeż w *Historyi o pra... pra... wnuku* inną kwestyę, dotykającą sfer, wykształconemi zwanych. Panujący jeszcze ciągle naówczas prąd sentymentalno-szowinistyczny nie mógł znaleźć uznania w trzeźwym, jasno patrzyć na rzeczy pragnącym umyśle powieściopisarza. W dwu osobach: Józefie Ambrożym Porońskim i Albinie Skrzybickim odkrył i przedstawił źródło i wpływ tego kierunku.

Józef Ambroży Poroński, autor licznych dzieł pod różnemi pseudonimami wydawanych, entuzyasta na zimno, frazeolog okrągło-usty, dbały o swoję powierzchowność i swój żołądek, zachwycał się wszystkiém, co „nasze", który to wyraz wymawiał ze szczególniejszym przyciskiem, piorunował po kaznodziejsku na tych, coby podnieść śmieli „świętokradzką rękę na ten boży spokój, na ten żywot ciszy i rezygnacyi, jaki przechował się jeszcze w naszych wioskach, w naszych dworkach szlacheckich, wśród naszego ludku",

był apostołem „wygodnych zasad i tanich cnót“ apoteozując tak zwaną „cichą cnotę“, odmierzoną łokciem skromnéj miary, zwanym „to co można“. Pełniących taką cnotę nazywał „mężami zasługi, bohaterami“, a ich postępowanie — „poświęceniem“. Heroizm takiego „poświęcenia“ zatrzymywał się „na uprawie języka, podtrzymywaniu pism, teatrów, muzeów, kościołów, budowaniu pomników, zaprowadzaniu zakładów, dobroczynném i gospodarskiém stowarzyszaniu się, na względném traktowaniu poddanych, na kupowaniu krajowych wyrobów, na wystrzeganiu się cudzoziemszczyzny i na tym podobnych bardzo dobrych, pięknych i potrzebnych rzeczach, którym dobroci, piękności i potrzeby żadną miarą zaprzeczyć nie można, ale wielkość których tak wysoko przez pana Porońskiego podniesioną była, że już to, coby ponad nią myślą, chęcią lub uczynkiem wznieść się próbowało, byłoby chyba szaleństwem“.

Wychowańcem jego, duchowym synem, admiratorem był Albin Skrzybicki, młodzieniec niewielkich zdolności, ale z sercem najlepszém. Skończył tylko trzy klasy, ale zawsze interesował się postępami szkolnemi swoich niegdyś współkolegów, odwiedzał ich bardzo często, dowiadywał się skwapliwie o to, czego się uczyli, przysłuchiwał się chętnie ich rozmowom, kupował wszystkie książki polskie, jakie tylko mógł dostać, lubił sztukę, nabywał obrazy malarzy krajowych. Potém usłał sobie bardzo wygodne, bardzo piękne gniazdko, przyjmował gościnnie sąsiadów, miał doskonałego kucharza, który przygotowywał same narodowe potrawy, był przez współobywateli wielce szanowany i został wybrany na marszałka. Porońskiego uważał za wyrocznię, samoistnie nie myślał, z własném zdaniem nigdy się naprzód nie wyrywał i zawsze szedł za większością. Ostatecznie rozkochał się w estetycznym sybarytyzmie, opasł się, stał się niedołęgą, niezdolnym do poświęcenia swego majątku i swéj osoby

na ołtarzu jakiéjś wielkiéj sprawy, zasłaniającym się od takiego poświęcenia przejętemi od Porońskiego frazesami, o potrzebie chronienia skarbów narodowych, w domu jego .. nagromadzonych, od niebezpieczeństwa zatraty.

Tą krytyką sentymentalnego szowinizmu zachwiewał równocześnie Jeż i wypieszczony ideał szlachecki tak w teraźniejszości jak i w przeszłości. Z wglądnienia w stan moralny i umysłowy szlachty bohater utworu Jan przyszedł do następnego rezultatu: „Znalazł dużo dobrego: taką poczciwość, którą się dość nazachwycać nie można, ale ślepą, słomianą, owczą, gołębią, bardziéj instynktową niż ludzką, która w biernéj ślepocie, często w najlepszéj wierze, ani domyślając się tego, w niepoczciwość przechodzi. Znalazł poczciwość ambitną, dbającą przedewszystkiém o to, co o niéj ludzie mówią, gotową dogodzić ludziom, nawet gdyby dobre ich mówienie trzeba było niesprawiedliwością jakąś okupić. Poczciwców było najwięcéj, szczególniéj między uboższymi. Większa jednakże, ogromnie większa ich część, w stosunku dziewięciu do dziesięciu, czegoś chciała, ale nie wiedziała czego; reszta zaś wiedziała czego, ale nie wiedziała jak. Niewiedza była ogólném charakterystyczném znamieniem, które grubą powłoką oblegało serca i rozumy i wprawiało w jakiś rodzaj ospałości, ociężałości, niedeterminacyi, oślego uporu, wołających wielkim, żałośnym głosem: niech się co chce robi, byle mnie nie tykano! mnie niewinnego jak nowonarodzone jagnię!... Znalazł i niepoczciwców. Tych było niewielu; ale oni głośniéj mówili, byli śmielsi i ruchliwsi i porywali z sobą ogół w wirowy taniec, w którym się biednym poczciwcom głowy zawracały do tego stopnia, że nieraz znienacka zapytani, nie umieli odróżnić dobrego od złego, często cnota wydawała się im występkiem; często coś zwyczajnego, niezłego wynosili pod niebiosa, a niekiedy nawet wyraźny występek mienili cnotą... Najmocniéj ziry-

towała go młodzież. Najpilniéj jéj szukał i prawie nie znalazł. Młodych panów i paniczów nigdzie w domach nie zastawał, albo ich nie było, albo mu się nie pokazywali. A spotykał się tylko z takimi, z których kropli sensu lub uczucia nie można było wycisnąć, pomimo że paradowali i jedném i drugiém. Kilku z nich wielkoświatowych, przez ramię spoglądali na naszego bohatera dlatego, że nie posiadał ułożenia... Najlepiéj znalazł kobiety. I byłyby one zupełnie dobremi, gdyby nie próżność, przemieniająca niektóre na istne monstra, na społeczno-moralne karykatury, na salonowe lafiryndy, małodworkowe koczkodany, gęsi, sroki, żaby, jaszczurki, głupie matki, złe żony, bezmyślne siostry, nieznośne córki, interesowane kochanki itd. itd. Poczciwości i rozumu, ożenionych ścisłym nierozerwanym węzłem, nie znalazł nigdzie".

Czy z poczciwością łączył się rozum w przeszłości; czy przodkowie szlachty dzisiejszéj uwydatnili ten związek w sprawie wielkiéj doniosłości; w téj samėj sprawie, z którą potomkowie rady sobie dać jeszcze nie mogli?... Na to odwiedź daje „Historya o pra... pra... dziadku". Kiedy w obozie i na dworze szlachta nie wiedziała, że Kuźma Jeż jest chłopem, przyjaźniła się z nim, uwielbiała jego czyny. Ale kiedy tenże publicznie się przyznał do chłopskiego pochodzenia i myśl nobilitacyi odrzucił, odsunęła się od niego natychmiast: nawet pachołek wymówił mu służbę, bo go wyśmiewano, że chłop mu jest panem. Znalazł się wprawdzie Lisowski, znalazł się Potocki, którzy dłoń chłopa serdecznie uścisnęli, znalazła się pani Wolska, co mu miłość wyznała i gotowa była losy jego podzielać, ale były to wyjątki; ogół ulegał przemożnemu przesądowi, który nie dozwolił dojrzeć olbrzymiéj korzyści dla Rzeczypospolitéj z pozyskania takiéj masy obywateli, jakimi zostać mogli chłopi; „klejnotni" — jak powiada Jeż — zapomnieli, czém są i czém być po-

winni... Wielką ojczyznę rozdrobili na tysiące malutkich z których każdą uwięzili w ciasnych granicach osobistych, drobnych ambicyj.

Te malutkie ojczyzny żyją, prosperują, powiększają się i wzmagają kosztem i stratą wielkiéj... Rycerstwo - część obróciło naród - całość w poddaństwo. Zrzekłszy się podbojów zewnętrznych, wykonało wewnętrzny, na własném swojém społeczeństwie... Sprawiedliwe względem obcych, stało się niesprawiedliwém względem swoich... Rodzicielkę zagarnęło w poddaństwo, ojczyznę zabrało dla siebie, w sobie ją ześrodkowało, nazwało ją sobą, a siebie ojczyzną, i zamiast jéj służyć, uczyniło ją sługą swoją... Takie obrażające naturę postawienie się stanu rycerskiego nie mogło obejść się bez najgorszych skutków... Wystąpiły one tak w zepsuciu publicznych i prywatnych obyczajów, jakotéż i w tém, że grono rycerskie jest już zaszczupłém, zasłabém do zadosyćuczynienia przyjętym na siebie dobrowolnie obowiązkom... Nie jest już w stanie bronić samo siebie, a z sobą i ojczyzny"... [1])

[1]) Toż samo wprost, bez żadnych obsłonek, jako przekonanie swe wypowiada Jeż w artykule krytycznym, napisanym z powodu dzieła Kostomarowa o Bohdanie Chmielnickim (*Dziennik Literacki* 1861 N. 10—17). „My w organizacyi uspołecznienia naszego narodu upatrujemy wielkie jedno złe, które nas o upadek przyprawiło, a mianowicie, że utworzył się u nas *status in statu*, że mniejszość wydzieliła się z większości i ubezwładniła politycznie tę ostatnią, słowem, że sformował się u nas stan rycerski, szlachecki, który wziął na siebie odpowiedzialność za całość i pomyślność ojczyzny, jako też i za opatrznościowy jéj obowiązek pełnienia do ostatka cywilizacyjnego posłannictwa. Wziął i nie dotrzymał, bo wśród otaczających go zewsząd i czyhających na niego wrogów, więcéj cenił przywileje stanu jak ojczyznę, więcéj mu chodziło o utrzymanie poddaństwa jak o posłannictwo narodowe, którego nie rozumiał, a które jednakże pełnił, póki mu sił starczyło. Naród miał siły: spoczywały one

Nie znaczy to bynajmniéj, jakoby Jeż potępiał całą przeszłość naszę, „bo jakiegoż trzeba wyrodka, nie syna, aby usta złożyć się mogły do klątwy na ojca i dziadów!“ ale znaczy tylko, że nie należy usypiać się piosenką o własnéj doskonałości, że nie potrzeba mówić, iż wszystko zrobiono i że nam robotę tę przechowywać tylko wypada. nic nie dorabiając, bo tym sposobem wytwarza się gnuśność i bezmyślność, wiodące do zastoju, do martwoty, a może nawet do czegoś gorszego. Wady wykorzeniać, złe naprawiać, świadomie pojmować swoje położenie i zadanie, dążyć do jego urzeczywistnienia wszelkiemi siłami, oto cel, wskazany i zastanawianiem się nad przeszłością i analizą stanu obecnego.

A jak wskazywał Jeż, coby zrobić wypadało we względzie „poddanych“, tak również nie zapomniał o uobywatelenіu żydów. W *Historyi o pra... pra... wnuku*, są prześliczne sylwetki Szlomy Bera i Ruchli jego żony, przyjaciół chorążego, czuwających nad jego synem jak nad własnym i rozumiejących obowiązki obywatelskie. Co Szlomę Bera zrobiło obywatelem? Służba pod chorągwiami „Naczelnika“. Po latach wielu, na samo przypomnienie tych chwil wielkich rozpromieniała się zwiędła twarz żyda i żywsze tętno w sercu budziła. Na wieść o śmierci tego ukochanego „Naczelnika“ cała rodziny Szlomy, jak również niektórzy jego rówieśnicy uroczyste odprawili bosyny. „Pozrzucali patynki i poń-

---

w gminnéj słowiańskiéj zasadzie, czyniącéj wszystkich bez różnicy obywatelami; ale stan rycerski w swojém tylko kole na téj zasadzie się uorganizował, a odepchnął od niéj lud i upoddanił go sobie. W tém odepchnięciu i upoddanieniu tkwi głównie źródło naszych nieszczęść i naszego upadku. Szlachta sama, bez ludu, okazała się za słabą do zadosyćuczynienia powołaniu Polski nazewnątrz, a co więcéj, postawieniem się swojém, stała się powodem gwałtownych wstrząśnień wewnątrz“.

czochy, posypali głowy popiołem, usiedli na gołéj podłodze, a mężczyźni po kilka razy na dzień zarzucali na siebie śmiertelne koszule i napełniali domostwo żałośnym, płaczliwym krzykiem majufes". I nie było takich wśród żydów — dodaje autor — którychby gorszyło, że starcy ludu wybranego modlą się za duszę goja.

W téj saméj wreszcie *Historyi o pra... pra... wnuku* dotknął Jeż i wychowania domowego, i spraw szkolnych, życia chłopskiego po wsiach i szlacheckiego po dworkach, marnowania się młodzieży wśród bezmyślnéj „tężyzny" i szczupłego widnokręgu działania; przedstawił wyborny obraz prób, niepowodzeń, zboczeń i stopniowego mężnienia bohatera Jana, który z zadatkiem dobrych nawyknień domowych i niepospolitych uzdolnień, dostaje się pod najróżniejsze, po większéj części ujemne wpływy, i dopiero za pośrednictwem walki wewnętrznéj i długiéj nad sobą pracy wydobywa się z grzązkiego błota społecznego i staje się zdolnym do czynów.

Pomijając kilka innych drobniejszéj wagi stron w *Historyi o pra... pra... wnuku,* niepodobna wszakże pominąć milczeniem postaci Zofii Dolańskiéj, przedstawicielki dążności kobiet naszych do wyższego wykształcenia, do zrozumienia wyższych interesów społeczeństwa, do wzięcia czynniejszego, a świadomego siebie udziału w pracach narodu. Nie zajmują jéj zwykłe błahostki życia salonowego; nie chce tracić czasu na bezmyślną konwersacyę i łatwe podboje; szuka światła, interesuje się wszystkiém, co lepszą część młodzieży uniwersyteckiéj obchodziło, czyta, uczy się i pragnie stać się propagatorką zdrowych myśli wśród szlachty. Popełnia tylko jeden błąd, ale ważny, przeceniając potęgę sił swoich, idzie za Albina Skrzybickiego i sądzi, że go potrafi przerobić, że dom ich stanie się ogniskiem, którego promienie oświecać i ogrzewać będą ciepłem idei całą oko-

licę. Przerachowała się: Skrzybicki został niedołęgą, ona zaś zawiedziona w nadziei „wpadła w jakiś rodzaj snu magnetycznego z jasnowidzeniem“.

Bogatą treść *Historyi o pra.. pra... wnuku* ledwie naszkicować mogliśmy. I z tego jednak szkicu poznać można, jaką masę pomysłów i kwestyj poruszył w niéj powieściopisarz, pobudzając czytelników do głębszego wniknięcia w siebie i społeczeństwo.

Starając się skupić myśli wewnętrznym ze sobą połączone węzłem, przerwaliśmy wątek chronologiczny. Nawiązując go obecnie, powiemy, że pomiędzy *Handzią Zahornicką* a *Historyą o pra... pra... wnuku* utworzył Jeż jedno z największych arcydzieł swoich: *Szandora Kowacza*, przedstawiającego trzeci kierunek, w którym następnie powieściopisarz nasz postępował. Na tle wojny węgierskiéj 1848 roku w szeregu przepysznych obrazów nakreślił Jeż dzieje budzenia się uczucia narodowego w duszy człowieka prostego, wychowanego wśród warunków, które do śmiertelnego nawet uśpienia uczucia tego przyczynić się mogły. Sierota Węgier, wychowany w domu serbskim, serdecznemi z nim fibrami zjednoczony, poczuwa swoję odrębność na mocy tych drobnych, nieuchwyconych, mimowolnych wpływów, jakie łączą jednostkę z narodem, i staje, wraz ze swymi rodakami, do walki w chwili, gdy zagrzmiała pobudka wojenna, zdająca się ojczyźnie jego szczęście zapowiadać. Zrywa wtedy pęta przyjaźni z rodziną serbską; nie mógł tylko pokonać namiętnéj miłości dla Maryjki i ta go do zguby przywiodła.

Równocześnie prawie w *Asanie*, drukowanym w „Dzienniku Literackim“ lwowskim, roztacza dzieje odzywającego się pragnienia niezależności wśród Bułgarów, ciemiężonych przez Bizantynów.

Rzecz naturalna, że historya „Szandora Kowacza“ i „Asana“ nie jest sztuką dla sztuki, opowiadaniem dla opowiadania. Jeż pisząc o Węgrach, Serbach i Bułgarach, spożytkował własne doświadczenie, dzieje wypadków, w których brał udział, uczucia i myśli, które mu się nasuwały, na korzyść społeczeństwa własnego, ażeby w niém utrzymać, a poczęści i rozbudzać, samowiedzę narodową, z różnych powodów zamąconą lub nadwątloną.

Zauważyć łatwo, że w przedstawionych tu utworach Jeża miłość indywidualna jest, ale nie odgrywa roli pierwszorzędnéj. Autor nie lekceważy bynajmniéj znaczenia, jakie miłość ma w życiu jednostkowém i społeczném; owszem ocenia on je bardzo wysoko, ale bądź-co-bądź nie zasłania mu ono oczu na fakt, że istnienie każdego człowieka posiada, obok miłości, setki pierwiastków ważnych, wchodzących w skład jego i stanowiących zarazem sprężynę działań ludzkich. Jeż stanowczo zerwał z romantyczném pojęciem miłości i to zarówno co do treści, jak i co do formy. Miłość nie stanowi u niego osi, około któréj kręci się całe życie ludzkie, nie jest zajęciem jedyném i wyłączném bohaterów. I miłość ta nie wyraża się za pośrednictwem całéj kaskady frazesów przesadnych, naciągniętych, wymuszonych, ale wypowiada się krótko, a silnie; więcéj okazuje się w oku, uśmiechu, ruchu, zachowaniu się całém, aniżeli we frazeologii. „Nie w Arkadyi żyjemy — powiada Jan, bohater *Historyi o pra... pra... wnuku.* — Nie gruchania miłośnych gołębic, nie szczebiotania rozkochanych pasterek głaskać powinny nasz słuch i kołysać nas do rozkosznych marzeń i usypiać.“

W tém zdaniu Jana, który szeregiem przykrych doświadczeń osobistych do niego doszedł, przecząco wypowiedziana została zasadnicza, najgłówniejsza przewodnia myśl utworów Jeża. Nie marzenia choćby gienialne, lecz

czyn albo przynajmniéj dążność do czynu, nie upajanie się jakiemikolwiek mamidłami, lecz trzeźwe rozpatrywanie się w rzeczywistości; nie zadowolnienie osobiste, lecz sprawa ogólna powinny być celem życia każdego poczuwającego się obywatelem. Zamiast szeroko i długo rozpowiedzianych historyj o parach zakochanych; zamiast roztaczania paradoksów i sofizmatów erotycznych przed czytelnikami płci obojéj; zamiast zwracania uwagi ich całéj na dowcipnie skombinowane sieci intryg, jakby w nich cały interes życia się skupiał; Jeż mówi, że miłość jest uczuciem piękném i dobrém, czasami bardzo potężném i wzniosłém, ale obok niéj stawia coś nad nią większego, donioślejszego i wspanialszego społecznie — poważny, surowy, wielki obowiązek.

III.

Pisząc powyżéj wymienione utwory Jeż był w ciągłéj podróży. W połowie roku 1858 opuścił Konstantynopol i na Marsylią pojechał do Paryża; pod koniec tegoż roku spotykamy go w Londynie, gdzie do owéj pory przebywała jeszcze „Centralizacya“, osierocona śmiercią Worcella, Darasza i Podoleckiego. Jeża wybrano na jéj członka; wkrótce jednak pomiędzy nim a kolegami nastąpiło nieporozumienie co do kierunku, w jakim sprawy krajowe pchnąć należało, a skutkiem téj niezgody Jeż z „Centralizacyi“ wystąpił. Z Londynu robił bardzo częste wycieczki do Paryża, a w jednéj z nich zapoznał się w Brukseli z Lelewelem i Heltmanem. Następnie w roku 1860 jeździł do Galicyi. W Czortkowie, miasteczku położoném na Podolu galicyjskiém, zabrał znajomość i wszedł w zażyłość z rodziną państwa Wróblewskich, z których córką Zofią miał się następnie w r. 1862 ożenić, wśród okoliczności i powikłań wielce romantycznych.

Sprawy indywidualne musiały atoli ustąpić miejsca ogólnym.

W szczegóły wchodzić nie będziemy. Niepodobna nam wszakże nie zaznaczyć, że pomimo wpływu odurzającéj atmosfery duchowéj, wśród któréj przebywał, Jeż nie dał się porwać jednostronnemu prądowi. Awanturniczych planów Ludwika Mierosławskiego nie podzielał; natchnieniom nierozważnego uczucia nie pozwalał panować nad kombinacyami chłodnego rozumu, lecz jedno z drugiém starał się łączyć jak najściśléj, pomimo że odwoływanie się do rozumu i rozwagi nie dawało popularności natenczas; w mistycyzm nie popadł; sił w sobie samych szukać nam kazał. Przemawiając zaś do społeczeństwa za pośrednictwem powieści, nie rozdrażniał namiętności i nie pochlebiał im; wolał nawet podawać gorzkie lekarstwa, byle tylko do zastanowienia się nad sobą, do obliczenia się z siłami własnemi, do wzmacniania się i hartowania pobudzić. Nie przedstawiał, jak to zazwyczaj bywa, świetnych stron niedawnéj przeszłości, bo nie chciał usypiać ducha w dobrém o sobie rozumieniu; lecz wolał zwracać uwagę na ujemne cechy naszego charakteru, na jego miękkość woskową, podatną do wszystkiego, na tę łatwość, z jaką o najdroższych uczuciach zapominamy, z jaką łamiemy się po lada niepowodzeniu, z jaką najświetniejsze zdolności marnujemy.

Dwa większych rozmiarów utwory pochodzą z tego czasu *(Pierwsze boże przykazanie, Krwawe dzieje)* i oba tę bolesną myśl uplastyczniają.

W *Pierwszém bożém przykazaniu* opowiedział autor życie jednego z tych ludzi, co to obdarzeni pięknością fizyczną i niepospolitemi talentami, pomimo dobrych w gruncie skłonności, pomimo wspomnień drogich, któreby im hasłem życia stać się powinny, przetwarzają się na egoistów szukających tylko własnego szczęścia. Bohaterowi podczas szturmu Pragi w r. 1794 zginęła w okropny sposób matka. Wzięty na wychowanie przez krewnego, wstępuje za cza-

sów pruskich do czarnych huzarów, za czasów księstwa Warszawskiego bierze udział w bitwach, w odwrocie z Moskwy stara się o powierzenie sobie misyi dyplomatycznéj, ażeby uniknąć niebezpieczeństw, następnie za Królestwa Kongresowego zasługuje się Wielkiemu Księciu... i dobija się stopnia jenerała...

W *Krwawych dziejach*, osnutych na tle wyprawy Deniski z r. 1796, opowiada autor o innego rodzaju marnieniu sił. Dzielny pod każdym względem wódz i bohater, dopóki jest na polu walki, dopóki czuje zapach prochu i słyszy świst kul koło siebie, staje się naprzód sybarytą, a późniéj umysłowym i fizycznym niedołęgą, kiedy go otoczył zbytek rozkosznego życia i uciechy przez „kokonę“ [1]) wołoską dostarczane.

Nie były to zaiste obrazy, któreby mogły łechtać samochwalstwo narodowe i obudzać pawiącą się dumę; zmuszały natomiast do zastanowienia nad wadami własnemi, wskazywały nieodzowną potrzebę hartowania woli.

Wtedy to pisał Jeż w *Dzienniku Literackim* (r. 1861, Nr. 29): „Piszę, bo niemam co innego robić. Piszę więc nie dla pisania, ale dla zastąpienia tego co innego, czego nie mogę robić. Jestem przeto zastępcą pisarza, ale nie pisarzem, i muszę dodać, że jestem zastępcą tymczasowym; bo robota moja czeka na mnie i ja na nią czekam“.

W dwa lata niespełna Miłkowski przeniósł się do znanéj sobie dokładnie Tulczy, gdzie zorganizował oddział mający wkroczyć do Rumunii. Pomimo wielkich i różnorodnych trudności, oddział, liczący 250 ludzi dostał się istotnie za Dunaj, stoczył pomyślnie utarczkę z wojskami rumuńskiemi pod Kastangalą, a zdążając ku Prutowi maszerował 18 godzin z rzędu, ale otoczony we wsi Rynzesztach, musiał

[1]) Damę.

broń złożyć. Miłkowski udał się naprzód do Bukaresztu, potém do Konstantynopola, daléj do Paryża, skąd znowu wrócił na Multany i do Galicyi się przekradł. We Lwowie przyaresztowały go władze austryackie i po pewnym czasie odstawiły do Bawaryi.

Odtąd aż do maja 1864 roku przebywał Miłkowski Europę w rozmaitych kierunkach, dopóki okoliczności były pomyślne. Wreszcie osiadł wraz z żoną i dziećmi w Belgradzie. Tu zapoznał się ze światem naukowym serbskim i studyował teoretycznie dzieje i etnografię Słowiańszczyzny południowéj, którą z praktyki znał już tak dobrze. Przez czas jakiś bieda dokuczała strasznie. W przyszłości — powiada naoczny świadek [1]) — pobyt Miłkowskiego w Belgradzie będzie może poetycznie bardzo wyglądał, lecz dziś gdy wszystko takie jeszcze świeże, z przykrością prawie przychodzi wspominać owoczesne kłopoty, szamotanie się z biedą, rozpaczliwe nieraz chwile...

Razu np. pewnego kasa państwa Miłkowskich składała się z jedynego dukata. Pani poszła na miasto po sprawunki i... dukata tego zgubiła. Nie było ani co sprzedać, ani się u kogo zapożyczyć... Najtańszym artykułem żywności był w Belgradzie szpinak; często się więc na stole u pp. Miłkowskich zjawiał, lecz raz dochodzi ich wieść, że od szpinaku jeszcze tańsze są grzyby; kupiono grzybów, ugotowano i... zatruła się niemi cała rodzina... Do innych nieszczęść przyłączyła się jeszcze cholera. Naprzód zaniemogła żona; mąż chcąc ją ratować, a będąc literalnie bez grosza, wyniósł na targ kociołek miedziany, sprzedał go, a gdy z otrzymanemi pieniędzmi wchodził do pokoju, padł i zemdlał. Silne wzruszenie podziałało skutecznie na panią

[1]) Przywiedziony przez p. Wacława Holewińskiego w pracy już wspomnianéj.

Miłkowską; zerwała się, by chorego ratować i ozdrowiała. Jeż opowiadając o tych wypadkach, dodaje z uśmiechem, że zapewne dlatego cholera zostawiła ich przy życiu, by nie robić konkurencyi śmierci głodowéj, która przed ich mieszkaniem ustawicznie odbywała wartę.

W Belgradzie przebył Miłkowski do jesieni r. 1866; wówczas przeniósł się do Brukseli, a stąd do Lozanny w r. 1872. Roku 1873 utracił rodziców, zamieszkałych w Mohilewie nad Dniestrem, naprzód ojca, a w tydzień potém matkę. W Lozannie, namówiony przez obywateli poważnych, otworzył zakład naukowy, który go naraził na straty wielkie, a tém dotkliwsze, że sam ma do wychowania dzieci sześcioro. Po zamknięciu zakładu w r. 1877 zamieszkał w Genewie, gdzie też robiąc dłuższe lub krótsze wycieczki, mianowicie do Paryża w r. 1881 i 1882, dotychczas przebywa.

Pracę literacką przerwaną w roku 1863 i 1864 podjął Jeż nanowo w roku 1865. Głęboko odczuty zawód w sprawie ogólnéj kazał mu doszukiwać się jego przyczyn; a skutkiem tego ponownego wglądnięcia w naturę i okoliczności rozwoju duchowego był szereg utworów, któreby patologią społeczną nazwać można. Siła satyryczna spotęgowała się w naszym pisarzu i wydała niejeden obraz pierwszorzędnego znaczenia zarówno pod względem śmiałości pędzla, jak pod względem odwagi obywatelskiéj. We *Wrzecionie* raz jeszcze dotyka stosunków włościańskich, przeciwstawiając ciemnotę i biedę wśród ludu bezmyślnemu marnotrawieniu czasu i brakowi zasad moralnych wśród panów. W *Pamiętnikach starającego się* znakomicie opowiedziawszy historyę nauczyciela, który poprzednio był złodziejem i zbrodniarzem, hogarthowskim pędzlem maluje nicość moralną jego ucznia, szlachetki wprowadzonego do wielkiego świata lwowskiego, lecz uczuwającego więcéj pociągu do towarzystwa z szusterbalików, marniejącego nastę-

pnie wśród pogoni za przygodami romansowemi. W *Edwardzie Klocu* wystawia narodziny i rozrost pasorzytów społecznych, wszelkie uczucia wraz z godnością własną dla karyery i dobrobytu poświęcających. W *Helenie* kreśli wizerunki dezorganizacyi moralnéj wśród życia zacieśnionego do ścian salonu i goniącego za jedynym ideałem, dla pojęcia swego dostępnym — za użyciem zmysłowém. Obok tych scen ze sfery bytu towarzyskiego, z równą siłą, choć z mniejszym artyzmem przedstawia nam Jeż nasze wady w sferze bytu polityczno-społecznego. W *Drugiém bożém przykazaniu* poświęconém „poważnemu obywatelstwu polskiemu“, na tle wypadków z r. 1831 na Litwie, namalował kilka postaci, nakreślił kilka scen, które śmiałością, a zarazem trafnością satyry przewyższają wszystko, co w naszéj literaturze istnieje. Cóż-to za przepyszna figura ten kapitan Kluska, pieczeniarz i bawiciel dworów i dworków, mający zawsze na ustach frazesy o miłości ojczyzny i dobru ogólném, przedstawiciel tego wszystkiego, co w jowialności polskiéj jest najtrywialniejszego i najgorszego, wspaniałomyślny cudzym kosztem, drwiący z nieprzyjaciół i gotów się spodlić dla ocalenia nędzy swego życia, autor projektu szykowania wojska w koło, jako najdoskonalszego, gdyż — jak powiadał — „oskrzydlić go nieprzyjaciel nie może, bo niema skrzydeł, ani zajść mu z tyłu, bo niema tyłu, a jeżeliby udało mu się przebić go w jednym punkcie, to wchodzi w środek, w matnię, jak szczupak, i zostaje otoczonym ze wszystkich stron“. On-to był promotorem zabawy dla młodzieży spoczywającéj po wieczorku imieninowym:

— „Chyba załóżmy gierkę — rzekł któryś.

— „Do gierki trzeba wstawać, a wstawać się nie chce...

— „Niekoniecznie wstawać — podchwycił łysy szlachcic — (kapitan Kluska). Możemy grać leżąc i to na wznak, tak jak ja...

— „A toż ciekawa byłaby gra!... — odezwał się jeden z leżących.

— „Bardzo prosta — odparł szlachcic. — Włóż rubla do puli i stawiaj... i pluj na sufit... Dosięgniesz, wygrałeś; nie dosięgniesz, stawka przepada i pula się powiększa... Wolno giąć parole, łamać nape, stawiać wabank, przenosić, pasować... Wkońcu równy podział...

— „Jednogłośny okrzyk brawo! był odpowiedzią na tę propozycyą. Natychmiast rozpoczęła się gra, w któréj łysy szlachcic był snać wyćwiczony, bo kiedy rzadko któremu udało się stawkę wygrać, on giął parole i parę razy zabrał pulę. Radość i śmiechy towarzyszyły téj niewinnéj zabawce. Niejeden bowiem sam sobie lub innemu zapluł oczy. Téj gimnastyce piersiowéj oddawało się trzydziestu kilku ludzi, poetycznie zwanych kwiatem młodzieży, politycznie — nadzieją narodu".

Tak się młodzi bawią; a jakże starsi radzą?

U jednego z najpoważniejszych obywateli na Litwie był zjazd szlachty, który spowodowała proklamacya Dębińskiego. Gospodarz przepraszał, że do narad zawezwał przed „skromnym obiadkiem", gdyż one wymagają raźnego i trzeźwego umysłu. „Skromny obiadek" gotował się w olbrzymich kotłach i piekł się na ogromnych rożnach, z których woń po całém rozchodziła się podwórzu. Po przemowie gospodarza zabrał głos pan Szymkiewicz, pretendent do marszałkowskiego dostojeństwa. Mówił długo. Zaczął od Władysława Łokietka, tego króla, co był trzy razy wyzuwany z tronu i trzy razy go odzyskiwał. Do Łokietka przyrównał Polskę i wyciągnął z tego wniosek, że kraj za trzecim razem odzyska, co stracił. Wniosek ten był niepodpadającą najmniejszéj wątpliwości pewnością, a to dlatego, że losy kraju spoczywają w rękach szlachty, z któréj rozumem, żaden rozum, cnotami żadna cnota, walecznością żadna

waleczność w porównanie iść nie może. Wymieniał zdarzenia i nazwiska i zaręczał, że co szlachta robi, zawsze dobrze robi. Tém zaręczeniem zakończył mowę.

Po nim zabrał głos podkomorzy Puszkiewicz. Ten zaczął od jenerała Dębińskiego, a zakończył na archeologii, którą się zabawiał. Mówił, ile to Litwa posiada zabytków, z których dałoby się znakomite sformować muzeum. W niém przyszłe pokolenia, niby w zwierciadle, oglądałyby dzieje zamierzchłéj przeszłości.

Gdy któryś z szaraczków zauważył, że podkomorzy odbiega od materyi, zaprzeczył temu mówca takiém rozumowaniem: — Czémże jest wojna?... Zniszczeniem... Ergo zawczasu pomyśleć należy o uchronieniu od zniszczenia tych pamiątek naszéj przeszłości, tych świadectw naszéj wielkości, tych dokumentów naszéj starożytności, tego kutego ze stali i kamienia, rzeźbionego z drzewa, lepionego z gliny, pisanego na pergaminach narodowego naszego archiwum... Mówił jeszcze długo i dowodził jasno, że chwila obecna jest niezmiernie ważną i korzystać z niéj należy w celu założenia muzeum starożytności.

Na tę mowę odpowiedział adwokat, pan Pukszta. Pochwalił ją i uznał ważność podniesionéj przez podkomorzego kwestyi, lecz dowiódł, że szanowny preopinant odstąpił od zagajonego przez gospodarza przedmiotu. Szlachta go poparła wołaniem: do rzeczy! do rzeczy!...

Pan Baltazar zabrał głos w odpowiedzi na mowę pana Szymkiewicza i podniósł tę okoliczność, że pretendent na marszałka, wyliczając zalety szlachty, zapomniał powiedzieć, że jest bogobojną. To zapomnienie wydało mu się urazą. Upomniał się o nią w słowach dosadnych w imieniu całego zgromadzenia i wszystkich rodaków, tak tych, co zeszli z tego świata, jak i tych, co przyjść mają.

Pan Szymkiewicz chciał na swoję obronę kilka rzec słów, lecz tłum nie dał mu przyjść do głosu, dopominając się hałaśliwie, żeby od sprawy nie odbiegano. Przemówił w tym sensie i gospodarz.

— Trzeba kwestyą postawić jasno — rzekł zabierając głos sędzia Szymkajło. — I wykazał różnicę, jaka zachodzi pomiędzy uzbrojeniem starożytnych Rzymian, a nowoczesnych Francuzów, wyrażając żal *primo* nad tém, że nie posiadamy takich hartownych zbroi, którychby kula nie przebiła, *secundo* nad tém, że dotychczas jeszcze nie przybyli Francuzi.

— Do rzeczy! — zawołano z tłumu.

— Cóż u pioruna! — odparł sędzia. — Czyż odchodzę od rzeczy, mówiąc o uzbrojeniu i Francuzach!...

Zakrzyczano go: usiadł, a powstał kapitan Puszkiewicz. — Mości Panowie! — zawołał donośnie — Ja stary żołnierz!... Ja nie umiem mówić tak długo i tak uczenie, jak szanowni mówcy, którzy dotychczas występowali. Będę więc mówił krótko... Oto, mości panowie od pewnego czasu nie myślałem o niczém inném, tylko o tém, jak pobić wroga.

Zgromadzenie objawiło żywą aprobacyę.

— Myślałem i wymyśliłem... Jestto, mości panowie, nowa broń: lanca i zarazem pistolet...

Tu podniósł laskę i trzymając ją w górze, jął na niéj palcem pokazywać.

— To lanca! a tu obok grota przytwierdza się pistolet... Od cyngla idzie sznureczek, mocny szpagat, który się przywiązuje do przeciwnego grotowi końca lancy... Idąc do ataku, bierze się lancę tak pod pachę i gdy się dochodzi na pięć kroków do nieprzyjaciela, pociąga się za sznurek... Pistolet wypala, wróg ginie, i wpada się na drugi szereg, który zmieszany ogniem i zniszczeniem, jaki taki blizki ogień sprawi w pierwszym szeregu, musi tył podać... Obrachowa-

łem, że tym sposobem jeden szwadron, w dziesięciu szarżach, zabić może przeszło trzy tysiące, a dziesięć szwadronów trzydzieści tysięcy, a trzydzieści szwadronów, dziewięćdziesiąt do stu tysięcy... Ten mój wynalazek składam na ołtarzu ojczyzny, oddając go pod aprobacyę waszmość panów... Pewny jestem, że gdy przyjmiecie, za trzy miesiące nie będzie ani jednego wroga...

Okrzyk żywéj aprobacyi był odpowiedzią kapitanowi Puszkiewiczowi, nie tyle zapewne za ten wynalazek, ile za to, że jego mowa dotykała przedmiotu bliżéj.

Major, żołnierz napoleoński, który był w Egipcie i Hiszpanii, ośmielony snadź powodzeniem, jakiego doznał wynalazek kapitana, zaproponował swój owoc doświadczenia i długich rozmyślań — szklane armaty, tańsze, lżejsze i do odlania łatwiejsze niż śpiżowe.

— W każdéj hucie można je sfabrykować — mówił — grubości takiéj, jak okna na okrętowych pokładach... Kto był w Gdańsku, musiał takie okna widzieć... Wszak prawda, że mocne?...

— Prawda! prawda! — odpowiedziało kilkanaście głosów.

— Owóż nadając szkłu taką grubość, można z niego lać harmaty... Wynalazek ten składam na ołtarzu ojczyzny...

Ktoś inny zaproponował przyjęcie wiatrówek, dla oszczędzenia prochu. Inny znów radził zaprowadzenie wozów na dwóch kołach, któreby mogły razem służyć jako mosty do przepraw przez rzeki, jako ruchome szańce, jako środek do transportowania żywności, efektów i amunicyi i jako ramy do utrzymania w porządku bojowego szyku. Ostatni ten projekt wzbudził niemałą sensacyą i podzielił zgromadzonych na dwa stronnictwa, jedno, które nie chciało chować się za wozy, drugie dla zbawienia ojczyzny, gotowe było iść w ramy...

Były jeszcze i inne projekta, ale w końcu, choć znakomite, znudziły słuchaczów. Do znudzenia zapewne przyczynić się musiała miniona obiadowa pora. W żołądkach szlacheckich czuć się dawała pewna ckliwość, a powonienie dziwnie czułém stało się na zapachy, wydzielające się z barszczu, bigosu, kołdunów i obracającego się powoli nad żarem całego wołu. Szlachta poczęła szemrać i kaszlać.

Narada krótko już trwała; zakończyła się wyborem wodza. Najgłośniéj perorował na beczce kapitan Kluska; zniechęcony szmerem, tupnął mocno nogą, dno wybił i do beczki wpadł. Gdy go wydobyto, grzmotnym śmiechem i krzykiem ogłoszono go wodzem. Pierwszy jego rozkaz, który żołądkom i sercom dogodził, brzmiał:

— Marsz!... do obiadu...

Tak gryzł Jeż, ale „sercem gryzł".

Z biegiem lat gorycz sarkazmu łagodniała: powieściopisarz odczuwał sympatycznie nowy, postępowy ruch na polu pracy organicznéj w kraju i swojém spółdziałaniem ruchowi temu dopomagał, zawsze wierny obowiązkowi obywatelskiemu, który zabrania ręce bezsilnie opuszczać, jakiekolwiek byłoby położenie. W długim szeregu utworów wytykając różnorodne wady, niedozwalające społeczeństwu rozwinąć wszystkich sił swoich i opóźniające jego rozwój, podawał ubocznie albo wprost wskazówki, jakby życie to urządzić należało. Wszystkie dawniéj w *Historyi o pra... pra.. wnuku* dotknięte kwestye, stały się teraz przedmiotem szczegółowego rozbioru, staranniejszego przedstawienia, a to poczęści z powodu odmiennych okoliczności, a poczęści z powodu świeżo wynikłych potrzeb. Złe, czułostkowe wychowanie, pociągające za sobą próżniactwo, bezmyślność i nieudolność młodego pokolenia męskiego, scharakteryzował w *Opowiadaniu Stasia;* oburzające obchodzenie się chlebodawców z tymi, co kształcą młode pokolenia, w *Nau-*

czycielce. Zabobony i przesądy z braku oświecenia wynikające wystawił w powieści p. n. *Pociemku*. Fałszywie pojęte wyzwolenie kobiet, polegające tylko na zerwaniu pęt życia towarzyskiego, na paleniu papierosów, przyjmowaniu towarzystwa męskiego bez opieki osób starszych i t. p. przeciwstawione dążności do głębszéj nauki, do poważniejszego na życie poglądu, do współudziału w pracy społecznéj, odmalował w *Emancypowanéj*. Potrzebę zaś gruntownéj nauki dla kobiety, choćby działalność jéj miała się tylko w kole życia rodzinnego zawrzeć, wskazał w powieściach p. n. *Pod szlachecką strzechą*, *Zdarzenie na księżycu*. Kwestyę uobywatelenia żydów podjął już epizodycznie w *Drugiém bożém przykazaniu*, gdzie postać Srula, poświęcającego swe życie dla sprawy kraju, góruje ponad ogólną masą szlachecką, bezmyślną i bezradną; — a następnie traktował ją w duchu pojednania w *Uroczéj*. Podstawy nowego stosunku pana do dawnego poddanego rozwija na tle dawniejszego pomysłu spółki rolniczéj we *Wnuku Chorążego*. Bezmyślność i egoizm drapujące się w szaty bohaterskie, a tak częste wśród sfer bogatych, pięknemi imionami szczycących się, jaskrawo zaznaczył w takich powieściach jak *Ofiary*, *Pod obuchem*. Ludzi z arystokracyi wstydzących się nawet imienia Polaka i przejmujących się nawskróś obczyzną całkiem dobrowolnie, naszkicował w opowiadaniu p. n. *Nasi gdzie-niektórzy*.

Ta analiza wad społeczeństwa szlacheckiego wywołała ze strony interesowanych, jako też niektórych krytyków, zarzut tendencyjnego, umyślnego wyszukiwania złych stron w klasach uprzywilejowanych. Zarzut ten, mogący wprowadzić w błąd opinię publiczną, sprostował sam Jeż (w *Kłosach* r. 1879) wskazując, że autor, który stworzył postacie takie, jak Chorążego i jego syna w *Pra...pra... wnuku*, Orchowskiego w *Szewckiém dziecku*, Kalinowskiego w *Wyśnio-*

néj, księcia w *Siostrzanych duszach*, Jana, Marcina i Michała Zborzeskich w *Hryhorze serdecznym*, nie może być pomawiany o systematyczne z pośrodka szlachty wyprowadzanie nieuczciwców i zbrodniarzy. Istotnie Jeż bynajmniéj nie należy do rzędu wrzaskliwych demagogów, dla których wszystko, co jest wyżéj, wydaje się złém, wartém strącenia i zdruzgotania; nie sądzi téż, ażeby te chwasty, jakie na zwierzchniéj warstwie pokładu społecznego wyrastają, świadczyły o niezdolności téj warstwy do wydania roślin pożytecznych. Krytyka klas uprzywilejowanych dlatego może tak jest u niego dotkliwą, że do nich słowo drukowane najprędzéj dochodzi, że zatém od nich poprawy, zrozumienia obowiązków obywatelskich najrychléj spodziewaćby się można. Chciałby on do tego je przywieść, ażeby nieoświeconemi i biednemi masami się zajęły i samowiedzę w nich narodową obudziły.

Chętnie cofa się Jeż w przeszłość z tą samą myślą przewodnią, jaką już w *Historyi o pra... pra... dziadku* objawił.

Do takich obrazków dziejowych możemy już dzisiaj zaliczyć opowiadania z czasów chronologicznie wcale nie odległych, ale już zupełnie różnych od naszych, jakie odtworzone znajdujemy w *Pani Komisarzowéj*, gdzie rozwija się przed nami propaganda demokratyczna w kraju około r. 1846 wśród niezmiernie zajmujących sytuacyj, w *Hryhorze Serdecznym*, gdzie na podstawie relacyi Zenona Fisza autor nakreślił wrzenie umysłów wśród chłopów ukraińskich podczas wojny krymskiéj, wrzenie wcale nie wrogie szlachcie — a daléj w *Ostapku*, w *Starodubowskiéj Sprawie*, w *Ojcu Nikonie*, w *Sprawie Ruskiéj*.

Sięgając w przeszłość dalszą, zwrócił się najprzód Jeż do wieku XV (*Dersław z Rytwian*, *Za króla Olbrachta*) następnie przeniósł się do wieku XVII, z którym już w pierwszéj swéj historycznéj powieści nas zapoznał (*Z ciężkich dni*,

Z burzliwéj chwili), wreszcie przeszedł do wieku XVI osnuwając na tle stosunków Polski z Francyą opowiadanie, które naprzód dla publiczności francuskiéj było przeznaczone (*Karzeł dyplomata*). Jeżeli nie we wszystkich tych utworach koloryt dziejowy należycie utrafiony; jeżeli kompozycyi nie jedno zarzucićby się dało; to w każdym razie wszędzie jest myśl jakaś zdrowa i dużo artystycznie wykończonych, wspaniałych obrazów.

Najlepiéj się one przedstawiają na widowni, tak dokładnie i wszechstronnie znanéj Jeżowi, jak Słowiańszczyzna południowa. Położenie narodów słowiańskich, zostających pod panowaniem tureckiém, budzi sympatyczne w sercach czytelników echo, a mało u nas rozpowszechnione wiadomości o ich dziejach i bycie wywołują zainteresowanie się wielkie. Seryą powieści tego rodzaju (po dawniejszych: *Asanie i Szandorze Kowaczu*) rozpoczął Jeż rzeczywistém arcydziełem p. n. *Uskoki*, a prowadził z powodzeniem w *Narzeczonéj Harambaszy*, w *Dahijszczynie*, *Rotułowiczach*, *Hercogu Słowiańskim*. Wszędzie tu występuje walka, perypetyj dramatycznych pełna, słabych z mocnemi, i wszędzie tętni myśl nieprzerwalności życia i praw narodowych; wszędzie odczuwamy wraz z autorem szlachetność wysiłków, ponoszonych przez tych, co mają prawo do życia i wszechstronnego rozwoju, chociaż chwilowo przemoc praw tych im zaprzecza. Dla zaznajomienia się bliższego ze sposobem traktowania tematów południowo słowiańskich w związku z uczuciami i myślami dzisiejszemi przypatrzmy się bliżéj arcydziełu Jeża w tym rodzaju: *Uskokom* (1871).

Za scenę, na któréj wybrane przez powieściopisarza osobistości role swoje odgrywać miały, służą krainy dalekie, Bośnia i Dalmacya, czas działania — to schyłek XVI wieku. I dlaczegóż ta opowieść o ludziach nieznanych, mało związanych z dziejami powszechnemi, nie tykająca nawet wiel-

kich kwestyj XVI stulecia, zrozumiałych i interesujących dla mniéj więcéj ukształconego czytelnika, obudziła w swoim czasie zajęcie takie, jakiém bardzo nieliczne tylko belletrystyki naszéj utwory poszczycić się mogą? Przeciętny czytelnik mógł sobie zadać pytanie: Cóż nas, dzieci drugiéj połowy XIX wieku, obchodzić mogą Bośniacy i Dalmaci z wieku XVI? A jednak obchodzą nas i to gorąco. Bo autor odszukał tam myśl, odszukał uczucie, które nas z owymi ludźmi połączyły jak najściśléj, które nam zarówno jak im są drogie. Tą myślą, tém uczuciem jest miłość ojczyzny i walka w jéj obronie przeciwko wrogom. Oto opoka, na któréj wsparło się powodzenie powieści.

Takiego sposobu zainteresowania chwytają się częstokroć ludzie małych zdolności, którzy nie mogąc inaczéj znaleźć posłuchu, sądzą, że go zdobędą siłą zaklęcia czarodziejskiego, jakiém jest uczucie miłości ojczyzny. Czasami udaje się im to, ale częściéj ulegają losowi tych, co rzeczy wielkie nicością swéj myśli znieważają. Wzniosłość tylko we wzniosłych obrazach dobrze przedstawić się daje. Ogólniki i wyblakłe barwy nigdzie więcéj nie wyrządzają szkody, nie obniżają wartości, jak w odtwarzaniu rzeczy niepospolitych. Jeż jako artysta błędów podobnych nie popełnia. Czasami chybi w wyborze osób, czasami w układzie całości, czasami w przeprowadzeniu myśli, — ale nigdy w szczegółach. Maryonetek tu niema: wszystko żyje, rusza się naturalnie, zgodnie ze swym charakterem i okolicznościami zewnętrznemi. Takie tu jest mnóstwo żywych obrazów, że niepodobna zrobić wyboru. Przypomnijmy tyko dwa.

Plac przed pięknym pałacem. Na ganku dostojnicy tureccy, rządcy kraju. Na środku placu pal wbity w ziemię, a na palu człowiek — spokojny, zrezygnowany, niechcący się wyrzec swych wierzeń i swego ukochania. Naokoło pala tłum ludzi ciekawych lub spółczujących. W oddali na wy-

sokiéj skale kobieta z dzieckiem na ręku (późniejszym bohaterem powieści), wskazująca człowieka na palu o srebrnym włosie i mówiąca:

— Ten włos, widzisz?

— Widzę.

— Ten włos, to włos twego ojca, pamiętaj.

— Pamiętam...

I ta chwila tak w pamięci bohatera, jak w pamięci czytelnika utrwala się nazawsze.

Weźmy drugi obraz.

Chwila rozstania się młodego małżeństwa. Mąż idzie na wyprawę, którą może życiem przypłacić. Żona go już nie wstrzymuje; zrozumiała, co to powinność. Jedną ręką ostatni uścisk mu daje, a drugą wskazuje dalekie widnokręgi i mówi:

— Pamiętam... Opowiadałeś mi o siwym włosie człowieka, stojącego ci w oczach. Ten człowiek był twoim ojcem. On i mnie w oczach stanął i stoi... Widzę go... On tchnął mi w serce miłość dla ciebie... Dżordżi mój! Jabym cię była nie pokochała, gdyby nie twój ojciec. który mnie — dziecku szczęścia — pierwsze łzy wycisnął. Pierwsze łzy i pierwsza miłość razem się zeszły; pobłogosławiła niewidoma ręka starca. Idź... o mnie się nie troszcz. Ja siłę czerpię w tém źródle, z którego miłość moja wypłynęła. Będę ci duchem towarzyszyła, modlitwą pomagała...

Takich scen i sytuacyj jest pełno w téj powieści. Wszystkie charaktery skreślone są z niezmierną precyzyą i jasnością i każdy stanowi całość zupełną. Jednemu z nich, głównemu bohaterowi, robiono zarzut ciężki — niewytrzymania próby czynów. Czyż to bohater narodowy — mówiono — co grucha w najlepsze z żoną wówczas, kiedy potrzeba jego ręki, by wyprawie na Turków pomyślny skutek zapewniła?... My, którzy się realnie na zadanie sztuk-

mistrza a zatém i powieściopisarza zapatrujemy, nie możemy zarzutu tego uznać za słuszny. Czyż powieść ma być skarbnicą samych wzorów do naśladowania?... Wymaganie takie byłoby równie dziecinne, jak i niewłaściwe. Powieść ma za zadanie przedstawić jakiś charakter ważny z całą konsekwencyą, ale i z całą naturalnością zarazem, a więc zarówno wielkie czyny jak i ludzkie słabości, zarówno promienną stronę jego duszy, jak i przymgloną okolicznościami i wypadkami, zarówno myśli jego o społeczeństwie jak i o sobie samym. Czyż nie takim jest Dżordzi, bohater „Uskoków“? O osobistych swych sprawach nie chcąc myśleć nawet, nie spodziewając się niczego, niczego też dla siebie nie pragnie, lecz myśli jedynie o sprawie swego narodu. Naraz niespodziewanie szczęście do niego się uśmiecha w postaci cudnéj Wenecyanki. Maż ją odepchnąć od siebie? Dżordżi jest przecież człowiekiem, podzielającym wszystkie uczucia i wszystkie słabości ludzkie. Autor nie chciał go ani większym ani mniejszym okazać, tylko takim, jakim był, czy mógł być w rzeczywistości... Smutno to widzieć, iż umysł jakiś wyższy daje się porwać namiętności samolubnéj; pomimo to fakta takie prawdą być nie przestają. Tacy Dżordżowie byli i będą, dopóki świat ten istnieje. Dżordż tedy na długo znika z wielkiéj sceny, na któréj losy ojczyzny, ujęte w ręce przez szalbierza politycznego, ważą się, i w ustroniu zaciszném pierwszych chwil osobistego szczęścia w życiu swém doznaje. Potém idzie na plac boju, zapomnienia się swego żałując, i w jednéj bitwie zwycięskiéj rehabilituje swe imię i swe znaczenie wśród spółziomków.

To zakończenie powieści jest niespodziewanie szybkie, więc nieprzewidziane przez czytelnika, który wskutek szerokich malowideł poprzednich przywykł do dłuższego obcowania z osobami mającemi być przedmiotem jego rozpatrywania. Jestto wadą bardzo wielu powieści Jeża, że roz-

wiązanie wątku ich zbyt prędko następuje. Długie bywają przygotowania, w których przedstawia autor bohaterów, ich rozwój, ich uzbrajanie się do walki; walka zaś sama trwa krótko, urywa się nagle. A przecież opisanie właśnie walki stanowić powinno główną treść utworu sztuki, czy to będzie walka charakterów, czy myśli tylko i uczuć, czy też wreszcie wypadków i okoliczności. Używając starego porównania, powiemy, że w walce doświadcza się człowiek jak złoto w ogniu. Obraz nie może być poczytanym za skończony, kiedy akcesorya są drobnostkowo namalowane, a główny plan rzucony zaledwie. „Uskoki“ są jakby częścią wielkiéj całości, którąby za przedmiot miała nieustanną walkę Słowian z gniotącemi ich nieprzyjaciołmi. I w takiém znaczeniu można powiedzieć, że jest-to całkowity, w najlepszém znaczeniu, romans historyczny; jest całkowity jako wielki, wybornie napisany, pełny w sobie prolog do szeregu utworów, które Jeż następnie skreślił, mając ciągle na myśli też same idee.

A jak w owych powieściach walka orężna, głośna, tak znów w *Zarnicy* na tle nowożytnych stosunków bułgarskich przedstawia się walka cicha, powolna, na polu pracy organicznéj, na polu nauki, którą trzeba zaszczepiać pokryjomu, i oświaty, za rozpowszechnianie któréj znosić cierpienia wypada.

W tym samym duchu, co powieści, pisał Jeż swe liczne korespondencye do rozmaitych czasopism, i swe prace historyczno-publicystyczne [1]). Idea sprawiedliwości tak dla

[1]) Oto główniejsze: 1858 Udział Polaków w sprawie wschodniéj (Paryż); 1861 r. Bohdan Chmielnicki (w *Dzien. Literac.*) 1866; Jubileusz Serbski (Lwów). O umysłowém życiu w Słowiańszczyźnie zadunajskiéj (w *Dzien. Literac.*); 1868 i 1869. Wędrówki po słowiańszczyznie południowéj (w *Kłosach*); 1870 Ludwik Mierosławski naszkicowany (Paryż); 1872 Belgia i Bel-

jednostek, jak dla warstw społecznych i dla narodów całych, gorące pragnienie, żeby masy wzięły rzeczywisty udział w sprawach narodu, żeby oświata rozszerzyła się jak najgłębiéj i jak najdaléj, niezależnie od wpływów takiego lub innego wyznania, żeby klasy społeczne w zgodzie, chociaż różnemi środkami, jeżeli tego potrzeba, pracowały nad podniesieniem dobra duchowego i materyalnego wśród narodu, żeby naród nasz nie zrywał związku z zachodnią Europą, z przodującemi w niéj narodami, lecz zgodnie z dobrą, podniosłą tradycyą przeszłości naszéj ściśle się z jéj postępem jednoczył: — oto główne myśli przewodnie, jakie w tych korespondencyach i pracach publicystycznych Jeżowi przyświecały.

Rozpatrując główne momenta działalności autorskiéj Jeża, zwracaliśmy przedewszystkiém uwagę na jéj stronę społeczną; w pisarzu wskazywaliśmy publicystę, a mimochodem tylko przypominaliśmy, że jest on i niepospolitym artystą, twórcą dusz w psychologiczno-estetycznem znaczeniu słowa. Otrząsnął on z powieści naszéj resztki naleciałości romantycznych, a wzmocnił pierwiastki realizmu w niéj już dawniéj istniejące. Przedmiotowości zupełnéj w kompozycyi osiągnąć się nie starał, gdyż miał zawsze na myśli wpojenie jakiéjś prawdy ważnéj w umysł czytelnika; ale w rysunku postaci, w opowiadaniu wypadków, w malowaniu położeń pragnął być zawsze wiernym prawdzie i naturze.

Obdarzony bogatą i silną fantazyą stwarza autor obrazy pełne życia i barwy, obrazy, które bardzo łatwo odbijają się w umysłach czytelnika. Zaletą ich, jedną z najważniejszych, jest ich plastyczność; chcemy przez to powiedzieć,

gowie (w *Niwie*): 1873 Francya za drugiego cesarstwa (w *Kłosach*); 1875 Bośnia (w *Niwie*); 1877 Słowiańszczyzna południowa (w *Ateneum*): 1879 Sprawa ruska (w *Dzien. Poznań.*).

że obrazy owe zjawiają się przed nami, jakby wyrzeźbione, z całą wyrazistością zarysów, i z całém wykończeniem szczegółów. Czytelnik nie potrzebuje zbyt długo pracować, ażeby w duszy swojéj odbić proces odtwarzania, to jest wystawiania sobie osobistości i widoków tak, jak autor wyobrazić je zamierzył. Niema tu nic zamglonego, nic niepewnego; potrzeba się tylko nieco wpatrzyć, ażeby dokładnie rozpoznać nietylko charakterystyczne, główne, ale nawet drobniejsze rysy powieściowych figur czy krajobrazów. Z tego powodu praca czytania nie jest nużąca, bo ją ożywia i zasila malarska dokładność obrazów — rodzaj illustracyi myślowéj... Na ten punkt pragnęlibyśmy największy położyć nacisk, gdyż plastyka jest jednym z tych przymiotów, które znamionują prawdziwy talent; przymiotu tego nie zastąpi ani werwa, ani żywość, ani dowcip; są-to ważne bezwątpienia, niekiedy konieczne zalety powieści, ale bez plastyczności niepodobna w dziedzinie artyzmu stworzyć pięknego obrazu. Do powieściowych swych malowideł, Jeż używa barw żywych, jaskrawych nawet, uwydatniając szczegóły na jasnym, gorącym kolorycie. Mówiąc bez przenośni — używa on wyrazów i wyrażeń dosadnych, nie lęka się przekroczyć granic, zakreślonych wyrafinowaną, a częstokroć udaną tylko skromnością konwenansów, w pismach jego znaleźć można słowa usunięte z parafialnego słownika, utworzonego przez smak wydelikacony albo zepsuty; mniéj więcéj stara się wszystko nazwać po imieniu — podobny w tem do Szekspira — naturze należne jéj miejsce zostawia. To dawało powód krytykom do częstych zarzutów, to sprawiało, że niektórych utworów do téj pory ogłosić autor nie mógł (jak np. dwu części „Pamiętników starającego się“), to wywołało kolizye autora z redaktorami czasopism, żądającymi wykréśleń. W „Emancypowanéj“ (Dodatek do „Niwy“ 1873) znajduje się ustęp wybornie illustrujący położenie artysty zmuszo-

nego przerabiać to, co raz namalował. Dawszy kilkanaście kropek, mówi Jeż: „Tu rzucić musimy zasłonę na scenę, jaka się później odegrała. Niech mi czytelnik za złe tego nie bierze. Zachodzi tu kwestya pruderyi, kwestya wielce drażliwa, nie dla mnie jednak, a jak się zdaje dla .... *zecerów*, których przeraziła snać zbyteczna plastyczność opowiadania, w jakie pierwotnie scenę tę ubrałem był. Najwygodniéj odpowiedzialność na zecerów zwalać. Dlatego to czytelnik zamiast opowiadania ma wiersz cały kropek, pod któremi domyślać się może, co zechce...“ Czasem jednak było o wiele gorzéj; bo nie kładziono kropek i nie obudzano domysłów, ale obcinano dajmy na to całe zakończenie, jak się stało ze „Spóźnioną wieczerzą...“

Z tych kilku rysów można już wnieść, że Jeż w artystycznym trybie tworzenia jest realistą, to znaczy, trzyma się wiernie rzeczywistości, biorąc z niéj zarówno osoby, wypadki, jak barwy. Rozumiejąc wyraz realizm w jego prawdziwém, nie zaś skrzywioném przez nadużycie znaczeniu, nikt oczywiście nie pomyśli nawet robić zarzutu powieściopisarzowi naszemu, że w krainę sztuki wprowadza „ohydny naturalizm“, będący wyrazem brutalnych popędów w sercu człowieka i t. p. — jak to dość często daje się słyszeć, gdy ktoś wspomina o realizmie. Nie zapuszczając się w rozbiór znaczenia realizmu artystycznego, coby tu nie było na miejscu, powiemy, że Jeż jako przedstawiciel prawdziwego, „uczciwego“ - jak mówią niektórzy obłocznie rozmarzeni - realizmu w naszéj powieściowéj literaturze zajmuje miejsce jedno z najpierwszych.

Widząc, że życie potoczne w wyszukane metafory bawić się nie lubi, odrzucił autor nasz prawie wszystkie przestarzałe porównania poetyczne, o których wyraża się niekiedy nawet z przekąsem. Zleżała frazeologia dawniejsza musiała z konieczności pójść w kąt; trzeba było utworzyć

nową, a przynajmniéj zaczerpnąć ze źródła dotąd mało eksploatowanego. Nowém tem a raczéj ciągle odnawiającém się źródłem jest życie społeczne, wytwarzające masę frazesów, które należy tylko wyrzeźbić na użytek artystyczny, aby wzbogacić mowę literacką. Oczywiście każdy człowiek musi je zastosować do wymagań swego usposobienia i charakteru, do trybu swego zwykłego sposobu myślenia i mówienia, z czego powstaje styl, znamionujący pewną osobistość, a przechodzący bardzo często w mniéj lub więcéj znośną manierę. Sposób pisania Jeża żywy, barwny, oryginalny, przechodzi nieraz w manierę objawiającą się w powtarzaniu wyrazów i wyrażeń, w ich szykowaniu i w ucinkowéj, krótko-frazesowéj rozmowie.

Jeż wybornie maluje silne, energiczne charaktery; doskonale oddaje dyalog satyryczny; ale, stosując ten sam sposób malowania do odtwarzania osobistości rzewnych, rozmarzonych, tkliwych idealnie, nie umie czasami utrzymać koniecznéj równowagi pomiędzy faktem a słowem, pomiędzy zapewnieniem autorskiém a jego zrealizowaniem w oczach czytelników. Ustępy czułe znajdują się w pewnéj dysproporcyi do ustępów silnych, wybuchowych lub uszczypliwych: więcéj tam zawsze napotykamy omówień i opisów; artystyczne przedstawienie rzeczy na tém, nie powiem traci, ale nie dochodzi do należytéj jedności i pełności.

Mając zastrzeżenie to na uwadze, można powiedziać, że Jeż umie wyzyskać artystycznie każdą niemal sytuacyę. Nie drobi, nie kawałkuje powieściowego obrazowania — jak się to często najzdolniejszym romansopisarzom naszym zdarza — ale obrabia je z całą starannością, dopóki zupełnie materyału nie wyczerpie. Całość wszakże słabnie na pewne niedostatki w układzie czyli kompozycyi.

Zazwyczaj epizody zbyt wiele zajmują miejsca, tak że rozsnucie właściwego wątku powieściowego odbyć się musi

jak wspomniano, na szczupłéj stosunkowo przestrzeni. Okoliczność ta, któréj taić bynajmniéj nie myślimy, nie wpływa atoli ujemnie na sąd nasz o twórczości Jeża. Zapewne, dla niejednego i lichota nawet, wedle prawideł sztuki obrobiona, ma cenę arcydzieła; dla nas, którzy przedewszystkiém poszukujemy w książce myśli zdrowéj i pożytecznéj, którzy gwoli téj myśli wiele uwzględnić umiemy — lichota pozostaje lichotą, a utwór jaśniejący blaskiem prawdy jest dziełem niepospolitém, a niekiedy wielkiém, choćby artyzm w niektórych punktach szwankował. Jeż w zakresie powieściopisarstwa jest przodownikiem myśli trzeźwéj, pozytywnéj, która zna marzenia i cenić je potrafi; ale poddawać się im bezwarunkowo nie chce, bo wie, że one stają się bardzo często przeszkodą do rozumnego przeprowadzenia myśli i planów użytecznych.

1882.

VII.

HENRYK SIENKIEWICZ.

Powiadają, że smutnym udziałem krytyki belletrystycznéj jest, iż dzielić musi niezbyt urocze losy meteorologii. Jak jedna przepowiada ulewę, a tu tymczasem najpiękniejsze świeci słońce, albo gdy jest szaruga, ona pogodą cieszyć się każe; tak druga uwieńcza liściem laurowym takie utwory, co za lat kilka idą do tandetnego sklepiku, jak gdyby korona nigdy skroni ich nie zdobiła, a gani i potępia takie rzeczy, które nieśmiertelnéj następnie chwały dościgają. Rozdawanie koron lub stawianie pod pręgierzem, choć nie jest w dziedzinie krytyki równie niebezpiecznem, jak w życiu rzeczywistém, to przynajmniéj równie jest śmiesznem, jak zarozumiałość meteorologa, który chce wydawać przepowiednie z dłuższym terminem...

Istotnie gdyby krytyka trudniła się jedynie okrzykiwaniem gieniuszów *en herbe* lub skazywaniem mierności czy niedołęstwa na wieczne zapomnienie, toby niewarto o niéj i mówić, a témbardziéj czas każdemu drogi na nią poświęcać. Na szczęście, krytyka od pewnego czasu spostrzegła się już na komiczności roli, jaką dawniéj odgrywała, więc się zrzekła systemu ukazów i formuł, a podjęła natomiast zadanie skromniejsze napozór, chociaż trudniejsze w gruncie rzeczy. Zrozumieć przedewszystkiém pisarza i jego dzieło, a potém wyjaśnić ich dla siebie i dla innych, przyprowadzić do świadomości to, co każdy czytelnik mniéj lub więcéj bezświadomie odczuwa, odgadnąć przyczyny, dlaczego

tak a nie inaczéj dany utwór się ukształtował: oto rzecz najważniejsza, o którą głównie krytykowi chodzi. Tym sposobem nie pozbawia się on ani jednéj z rozkoszy, jakich doznaje zwykły czytelnik, zachwycający się arcydziełem, a nadto zyskuje jeszcze coś więcéj, gdyż doznaje przyjemności jasnego poznania pobudek, które ów zachwyt wywołały. A jeżeli przypatrywać się musi niedowarzonym płodom młodocianéj lub zestarzałéj muzy, to przykrości tego widoku wynagradzają mu się choć w części uciechami patologa... Pochwała lub nagana jest już wtedy czémś podrzędném dla niego, może ich sobie pozwolić lub nie, jak każdy inny człowiek, który ma pewne przekonania nie na to, ażeby je tylko w kształcie śladów na mózgu własnym przechowywał, a pewne uczucia nie na to, ażeby z niemi się taił lub się ich wstydził.

Takie stanowisko krytyki jest zarówno uzasadnione jak i wygodne. Krytyka dawniejsza, jeżeli chciała być sumienna, musiała w ocenie nowych sił zjawiających się w literaturze lub sztuce zajmować pozycyą wyczekującą, ażeby postawiony przez nią horoskop niezbyt ją zawstydził w przyszłości, albo téż ograniczać się na prostém zanotowaniu faktów, nie wchodząc w ich ocenę. Teraz kiedy ta bojaźń skompromitowania nie istnieje, takie właśnie młode a dzielne siły tworzą dla krytyki jeden z najwdzięczniejszych przedmiotów rozwagi; ich rozwój i stopniowe natężenie może śledzić od samego początku, a nie potrzebując orzekać o ich zakresie i energii, może z całą ufnością w przyszłość mówić tylko o tém, co już istnieje.

I.

Od czasu, kiedy Balzac powziął zamiar skreślenia wszystkich scen *Komedyi ludzkiéj*, stosunek powieściopisarza czy poety epicznego wogóle do jego bohaterów uległ ra-

dykalnéj a świadoméj autorom zmianie. Dawniéj ulubiona przez poetę osobistość ukazywała się nam tylko w tęczowych barwach jego wyobraźni: dostawały się jéj wszystkie zalety i cnoty ludzkie i anielskie, postać jaśniała wspaniałością, pięknością lub przynajmniéj wdzięczną przyjemnością, słowa były namaszczenia pełne, niepokalane, patetyczne lub rzewne i tęskne, a zawsze nieomylne — zdaniem poety. Przeciwnie natury i charaktery, z któremi poeta nie sympatyzował, choćby się odznaczały niezwykłemi przymiotami, choćby nawet daleko silniéj wrażały się w pamięć czytelników, aniżeli postaci szlachetne ze swym patosem i natchnieniem, były bądź-cobądź w niełasce u autora, który lubił je trzymać w mroku jeżeli nie artystycznym, to moralnym. Stąd jeżeli poeta chciał być zajmującym, musiał w późniejszych utworach zmieniać swoje ideały; jeżeli zaś wierny im pozostawał, to dodatnie jego osobistości stawały się jednostajne, nudne a nawet nieznośne.

Balzac nie chciał tworzyć kombinacyj czysto fantazyjnych, obserwował życie jak naturalista, przypatrywał się jego objawom jak człowiek chcący się czegoś nauczyć, nie zaś jak kapryśnik, któremu idzie tylko o wyrażenie swojego gustu. Zajął on to stanowisko względem świata, które się *przedmiotowém* nazywa. Dla niego każdy przedmiot, każde zjawisko, każdy człowiek przedstawiał jednakowy interes; gdzie widział siłę i życie, tam dostrzegał zarazem pierwiastki piękna. Rozumiał on, że chcąc świat opisywać, potrzeba go znać; a znać go nie będziemy, jeżeli, ile możność dozwoli, nie oddzielimy naszych sympatyj i antypatyj od tego wszystkiego, co się na nim dzieje. A więc mniejsza o to, czy sam przedmiot *dla nas* jest wstrętny lub miły, czy jest mały czy wielki, czy wzniosły czy pospolity, ładny czy brzydki, niedorzeczny czy rozumny, silny czy słaby; bądź-cobądź stanowi on cząstkę téj potężnéj całości, jaką się wszechświat

ludziom przedstawia, i w tym charakterze zasługuje na poznanie i odtworzenie bez względu na to, czy w pewném położeniu i usposobieniu gardzić nim lub go uwielbiać będziemy. Jak w układzie wszechświata tak i w dziele sztuki każdy objaw życia, każde zjawisko bytu ma lub mieć może właściwe sobie miejsce; a każda jednostka ludzka może ten objaw i to zjawisko oceniać stosownie do zakresu swoich myśli, uczuć, pragnień, żądz i nałogów. Jak we wszechświecie niema etykiet, oznaczających zgóry każdemu, nad czém boleć i z czego się cieszyć; tak też i w dziele sztuki etykiety takie są zupełnie zbyteczne; dziś już nie potrzebujemy tych wstęg z wypisanemi zdaniami, któremi średniowieczni malarze uważali za potrzebne objaśniać widzów o znaczeniu czy nastroju namalowanych postaci.

I nie znaczy to bynajmniéj, żeby poeta potrzebował się wyrzec wszystkich uczuć ludzkich, a zamienił się cały w jakiś aparat, przyjmujący wrażenia i wiernie je odtwarzający. Bynajmniéj. Artysta nie przestaje być człowiekiem, nie pozbywa się tego, co jest cechą człowieczeństwa, ma swoje sympatye i antypatye; tylko ich nie narzuca widzowi czy też czytelnikowi gwałtem. Odtwarzając np. scenę śmierci ukochanego ojca, nie przerywa swego opisu wykrzyknikami od siebie: „ach, jak to okropne, jak mnie to boli i zasmuca;“ ale z cierpliwością i wytrwałością tak ją stara się doprowadzić do końca, ażeby bez wyrażenia jego osobistych uczuć widz lub czytelnik przejął się wrażeniem, którego stopień natężenia zależeć już będzie od stopnia wrażliwości każdéj jednostki. Jeżeli w przedstawieniu *takiéj* sceny niezdarni tylko lub nader niewprawni artyści podmiotowość swoję na jaw wykazują, czujemy bowiem wszyscy, że byłoby to rzeczą nietylko zbyteczną, ale nawet niemile oddziaływającą; to należy sobie jedynie spostrzeżenie to uogólnić i rozciągnąć do wszystkich innych scen, ażeby zrozumieć

dążenie tych artystów, co się *przedmiotowo* na swoich bohaterów i na świat swój zapatrują.

Dążenie to, jakkolwiek wyrażone przez Balzaka już w czwartym dziesiątku naszego stulecia, nie znalazło zrazu wielu zwolenników, gdyż było wprost przeciwne dążeniu panującego jeszcze naówczas romantyzmu, który wolał świat stwarzać aniżeli go poznawać. Dopiero powoli gdy z biegiem czasu sami koryfeusze romantyzmu zaczęli ulegać wpływom nowego, całkiem nowożytnego prądu, przedmiotowość w twórczości artystycznéj zaczęto uznawać za przymiot nader cenny; w ostatnich zaś czasach powstała pod tym względem przesada w tak zwanym kierunku *naturalistycznym*, który, jak dotychczas, wykrzywił ideę Balzaka, nie zaś konsekwentnie ją rozwinął, gdyż w niechęci do bohaterów wyrzekł się ich całkowicie, we wstręcie do napuszonych figur szlachetnych i objawów patetycznych, polubił błoto społeczne; w pogardzie konstrukcyj sztucznych rozminął się z pojęciem sztuki.

U nas największy poeta w dojrzałéj dobie swego rozwoju poetycznego dał nam w „Panu Tadeuszu“ najpiękniejszy i najświetniejszy przykład przedmiotowego traktowania osób i zdarzeń; wykazując w nim, że słońce prawdy wschodu nie zna ni zachodu. Powieściopisarze nasi już to pod wpływem Balzaka, już téż własnym kierowani pomysłem niejednokrotnie trafiali na ten tor nowy, chociaż świadomie nigdy zwolennikami jego nie byli. Kraszewski, szczególniéj w pierwszém dziesięcioleciu swojéj działalności literackiéj, wiele pozostawił szkiców a nawet wykończonych obrazków, w których malował ludzi, jakiemi są, bez naumyślnego ich bielenia lub czernienia. Wogólności jednak więcéj jest u nas takich utworów, nawskroś przejętych podmiotowością, w których plączą się bohaterowie mdli, poetyczni, uczciwi i niesmaczni zawsze podług jednego szablonu wykonani. W po-

staciach natomiast podrzędnych, w scenach z życia potocznego bije prawda źródłem czystém i obfitém. Stąd to powieści ludowe i próby romansu mieszczańskiego należą do najlepszych utworów naszéj literatury powieściowéj, jako całości zazwyczaj wolne od fałszywego idealizowania a trzymające się gruntu rzeczywistego.

Nie wiém, czy i u nas przyjdzie chwila naturalizmu czy zolizmu, ale to pewna, że obecnie zaczyna się świetnie rozwijać kierunek przedmiotowego zapatrywania się na sprawy życia i objawy ducha, i takiegoż odtwarzania ich w dziełach sztuki. Nie jest on jeszcze stanowczo zdecydowany; nie wywołał szkoły, któraby w tworzeniu szła za pewnemi prawidłami, nie śmiejąc od nich ani na krok odstąpić; ale to tém lepiéj; nic bardziéj zabójczego dla talentów jak podobna szkoła; bez niéj zdolności rozwijać się mogą samoistnie i bujnie.

Nie będę tu spostrzeżenia powyższego udowadniał szeregiem zjawisk najnowszéj literatury naszéj, lecz zwrócę się wyłącznie do pism autora, który stał się bezpośrednim powodem tych uwag.

Henryk Sienkiewicz (Litwos) w nowellach i powieściach swoich przedstawia bohaterów, którym wedle pojęć dawniejszych bardzo wiele brakuje do téj nazwy zaszczytnéj, a których jednak maluje z takiém zamiłowaniem i z taką siłą, jak gdyby najwyższe ideały czytelnikom ukazywał. Bierze ich z życia i stara się im nadać taką wydatnosć, żeby uwaga czytelnika zatrzymać się na nich mogła dłużéj, niż na wszystkich podobnych osobnikach, których w życiu niejednokrotnie z obojętnością mijali. Nie chce on dla nich sympatyi sztucznéj, którąby pochwały lub rozumowania wywołać mogły choćby na chwilę tylko; nie, on sam doskonale zna przywary i wady swoich bohaterów i o nich najwyraźniéj pisze.

Już w jednym z najwcześniejszych utworów swoich p. n. *Nikt nie jest prorokiem między swemi* (wyd. r. 1872 jako pierwszy ciąg „Humoresek z teki Worszyłły"), okazał on wydatną skłonność do przedmiotowego odwzorowywania rzeczywistości czy też własnych swoich pomysłów, lubo jeszcze nie był panem narzędzia, którym posługiwać się musiał, to jest języka i stylu. Główną osobistością téj powiastki jest pewien młody człowiek, który nie był ani poetą ani malarzem, ani muzykiem, ani wogóle długowłosym muz kochankiem, który nie miał ani majątku, ani stanowiska, ani nadzwyczajnego dowcipu. Wilk Garbowiecki pochodził z tak zwanéj dobréj familii; grała w nim niekiedy krew szlachecka, ale niezawsze; po większéj części nie robił żadnéj różnicy pomiędzy arystokratą i chudopachołkiem; wszędzie szukał tylko człowieka. Ukończywszy wyższe nauki, pojechał na wieś, gdzie miał „domek z ogródkiem *obrosłym* leszczyną (?) i z rzeczką *płynącą* cienistym brzegiem (?), a prócz tego trzy, ba nawet niecałe, włóki gruntu". Na wsi pragnął być przykładem dobrego i postępowego gospodarza, pragnął rozszerzać zdrowe i uczciwe zasady „mimo, że stu głupców z nich się śmieje". Z początku nie zaznajamiał się z nikim, ulepszał grunta, uczył parobków czytać, chciał być „milczącym przykładem". Następnie zapoznał się z urzędnikami powiatowymi, z którymi musiał z konieczności być w pewnych stosunkach. Wtedy zaproponował założenie czytelni i za pośrednictwem kobiet, którym się umiał podobać, pomimo przeszkód, postawił na swojém. Potém wszedł w kółko arystokratyczne, pełne nieukróconéj dumy, głupoty i nielitościwego pomiatania wszystkiém, co poza jego sferę wychodziło. Apostołował i tu; ale niczego dokazać nie mógł, bo ci ludzie uciekali jak przed widmem przed każdą, czyto własną czy obcą myślą, któraby mogła im zamącić błogi kwietyzm ducha. W jednéj z podobnych rodzin

poznał dziewicę Lucy, którą uczył języka angielskiego i którą pokochał. Dopóki miłość ta obracała się w obrębie „niewinnego“ romansiku, Lucy chętnie ściskała rękę... i horrendum... całowała Wilka. Skoro atoli bohater na trzech włókach chciał sięgnąć po jéj rękę, by złączyć swe losy z jéj losami na wieki, Lucy uznała to za obrazę. A gdy ją pytał, co myślała, zezwalając na uściski i pocałunki, odpowiedziała z całą szczerością cynizmu: „A czy ja co winna! Jaż się tak nudziłam w Chłodnicy“. Wilk był mężny, miał silną wolę; wytrzymał cios dzielnie; nie osiwiał, ani zwaryował; z podwojonym zapałem rzucił się do pracy. Zawód był wielki, dla innych charakterów zabójczy; dla Wilka — tylko bolesny. Na tym jednak zawodzie się nie skończyło. Obywatele okoliczni nie lubili Wilka, przezywali go chłopem, wolnomularzem itp.; robili mu naprzekór, podmawiali parobków, ażeby mu psoty wyrządzali. Raz połamano mu drzewka; Wilk pociągnął parobka do sądu; a od obywatela, który był promotorem téj sprawy, domagał się wynagrodzenia. Ten w niedzielę przed kościołem rzucił mu pieniądze w twarz. Pojedynek był konieczny: Wilk w nim poległ.

Tak, Wilk nie mógł być prorokiem między swemi; miał najlepsze zamiary, ale nie potrafił ich przeprowadzać. Gdy parobcy nie chcieli się uczyć, porwał jednego i drugiego za kark i „obiecawszy kije“ zmusił do nauki. W towarzystwie mówił opryskliwie; występował głośno i buńczucznie ze swojém lekceważeniem przesądów i zwyczajów; w rozmowie nie szczędził sarkazmów, a co gorsza — wyrażeń grubiańskich. Kiedy arystokraci żartowali sobie z pewnego pieczeniarza-obywatela, radząc mu wyrabiać kotlety ze starych żerdzi, i kiedy zapytano Wilka, czy to rzecz niemożliwa; „zarówno jak i przemiana osłów na ludzi“ — odpowiedział szorstko. — Kto niepotrzebnie obraża prze-

ciwnika, ten pół zwycięstwa traci; jeżeli nie zważamy na przeszkody, możemy kark skręcić. Jestto nieubłagana logika rzeczy, której nikt choćby najszlachetniéj myślał, obejść nie może. W Wilku szanujemy niepodległość zdania i śmiałość inicyatywy, ale nie możemy go chwalić za niewyrozumiałość i popędliwość, a zatém nie możemy w nim uznać praktycznego przedstawiciela nowych dążeń. Autor wybornie go pod tym względem odmalował. Bo najprzód nie chciał tworzyć lalki ani też spiżowego posągu, któryby był dobrym wyobrazicielem pewnych pomysłów, ale przestałby być człowiekiem. Powtóre autor nie pragnął podawać swego bohatera za ideał postępowania, nie uprzedził się do niego, nie widział w nim wszystkich zalet i tylko zalet; owszem, wykazał i błędy, które powinny stać się przestrogą dla wszystkich tych, co stary organizm odżywiać chcą krwią nową, jeżeli pragną działać z korzyścią dla siebie i dla społeczeństwa, feżeli kollizye tu opisane mają być wykreślone z liczby zapór, tamujących pochód postępu.

W późniejszych utworach przedmiotowość malowidła wzmagała się, a język i styl coraz większéj nabierał poprawności i piękności.

W *Szkicach węglem* przedstawił nasz nowellista jednę z najpiękniejszych postaci niewieścich w naszéj literaturze: Rzepową, wieśniaczkę. Niedostatków jéj nie zasłania bynajmniéj autor mgłą fantastyczną, któraby ją czyniła porywającą lub wzniosłą. Nie jest to ani dziewica w pierwszym rozkwicie, ani nawet piękność niezwykła. Jest to przystojna, ładna nawet jak na „apetycik“ pana pisarza gminnego mężatka, bosa, zapracowana, którą poznajemy przy międleniu konopi. Umysłowość bardzo ograniczona, czytać ani pisać nie umie, i to jéj nieraz bardzo boleśnie daje się we znaki; uroku poetycznego nie posiada, bo nawet nie śpiewa. W końcu robi nawet bezowocne poświęcenie ze swojéj czci

niewieściéj, a to jedynie dlatego, że zdolność jéj rozumowania jest nieskończenie słabsza od zdolności kochania...

Albo ta dusza artystyczna zaklęta w chłopskiém ciele (w powiastce *Janko muzykant*). Tu już było dostatnie pole do romantycznéj przesady! Jakiż to temat wdzięczny dla wszystkich ideologów marzących o muzyce sfer niebieskich! Autor nie dał się pociągnąć zwyczajowi. On obserwował. I zauważył, że téj duszy, co w każdém drgnieniu natury odczuwała muzykę, nie odpowiadało bynajmniéj ani otoczenie prozaiczne, ani własne jego wątłe ciało. Więc dzieciaczyna nie marzy tu o rzeczach niedoścignionych, których wokoło nie dostrzega, ale najżywszém jego pragnieniem jest rzecz na pozór drobna, ale dla dziecka biednéj komornicy niedostępna — skrzypce poprostu. Więc chłopak wiejski, którego marzycielskie usposobienie jako skłonność do próżniactwa starano się wystraszyć szturchańcami, chudł coraz bardziéj; brzuch tylko zawsze miał duży, czuprynę coraz gęstszą i oczy coraz szerzéj roztwarte, choć najczęściéj łzami zalane, ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiéj i głębiéj. Nie umie mówić nawet we własnéj obronie, zastraszony, oskarżony o złodziejstwo, stoi oto przed wójtem i ławnikami z palcem w gębie, wytrzeszczonemi, zalękłemi oczyma, mały, chudy, zamorusany, obity, nie wiedzący, gdzie jest i czego od niego chcą...

I czy sądzicie, że wskutek tak wiernego oddania natury postaci te tracą interes, stają się nie zajmujące, niemiłe lub nawet wstrętne? Nie, bo życie nie dało wyłącznego przywileju wzbudzania uczuć sympatycznych tylko istotom wyidealizowanym i patetycznym; ono zna jedynie prawo wspólne dla wszystkich, a tém jest zdolność odczuwania wrażeń. Jeżeli tylko artysta potrafi ująć i przedstawić tę zdolność we wzajemném oddziaływaniu na siebie, jeżeli sięgnie głęboko w pokłady uczuć pierwotnych i zasadniczych,

któremi ludzkość żyje i bez których istnieć nie może; jeżeli niemi obdarzy swoje postaci; to pomimo wszystkie niedobory ich fizycznéj lub umysłowéj strony wywrą one takie wrażenie, jakiego pozazdrościćby im mógł niejeden bohater „bez skazy“. Takiém uczuciem jest miłość żony w Rzepowéj, miłość piękna w Janku muzykancie. Tragiczny los, jaki spotyka te osobistości, przejmuje nas do głębi, bo porusza te struny, których dotknięcie zawsze głośném echem w sercach ludzkich się odbije.

I jeżeli znajdują się jakieś tony fałszywe, psujące w części wrażenie całości, to nie pochodzą one ze zbyt ścisłego trzymania się przedmiotowego sposobu opowiadania, ale właśnie z chwilowego o nim zapomnienia.

I tak gdy Sienkiewicz opisuje zawody doznane przez Rzepową w ciernistéj pielgrzymce po wszystkich drogach ratunku, i oddziaływanie tych zawodów na jéj serce zbolałe, to zamiast poprzestać na przedstawieniu beznadziejnéj rozpaczy, krzyku dziecka w chorobie, burz, piorunów i ulewy, używa on w dodatku następnego zwrotu: „Ach, gdyby to panna Jadwiga (dziewica z dworku szlacheckiego) znalazła się w podobném położeniu, dopierożbym napisał sensacyjny romans, którym podjąłbym się przekonać najzaciętszych pozytywistów, że są jeszcze idealne istoty na ziemi. Ale w pannie Jadwidze każde wrażenie doszłoby do świadomości siebie; rozpaczne rzuty duszy wyraziłyby się w niemniéj rozpacznych, a zatém bardzo dramatycznych myślach i słowach. Owo koło błędne, głębokie, a przebolesne poczucie bezradności niemocy i przemocy, ta rola liścia wśród burzy, głuche poznanie, że znikąd ratunku: ani z ziemi, ani z nieba, natchnęłoby zapewne pannę Jadwigę jakimś niemniéj natchnionym monologiem, który potrzebowałbym tylko spisać, aby sobie zrobić reputacyą. A Rzepowa? Ten prosty naród gdy cierpi, to tylko cierpi i nic więcéj!“ („Pi-

sma H. Sienkiewicza", t. I, str. 317, 318). Pod względem stylistycznym nic temu ustępowi zarzucić nie można; służy on do uwydatnienia niemej choć głębokiéj boleści w przeciwstawieniu z gadatliwą choć powierzchowną i sztuczną; ale ponieważ jest tylko zwrotem retorycznym, przez samego autora zrobionym, a nie wypływającym bynajmniéj z sytuacyi, rozrywa więc niepotrzebnie wrażenie, nie potęgując go ani trochę.

II.

Gdyby przedmiotowość *absolutna* była możliwa, mielibyśmy w sztuce tylko obrazy rozmaitych przedmiotów, osób i zjawisk, ale sposób ich przedstawienia byłby jednakowy. Tymczasem wiemy z doświadczenia, że najbardziéj nawet przedmiotowi pisarze, wziąwszy temat podobny, odtwarzają go inaczéj. W odtworzeniu tém będą bezwątpienia cechy wspólne bardzo wyraźne, ale będą także różnice niemniéj wyraźne. Przyczyną tego jest fakt, że samo poznanie nasze jest wynikiem spółdziałania dwu czynników, to jest przedmiotu poznawanego: krajobrazu, człowieka, zjawiska przyrody, którym się przypatrujemy, a powtóre zmysłów i umysłu, które wrażenia od owego krajobrazu, człowieka, zjawiska przyrody przyjmują. Jakkolwiek w zmysłach i umyśle wszystkich ludzi są podobieństwa wielkie, podobieństwa te jednak nigdy się nie zmieniają na tożsamość. Ten sam przedmiot, widziany jednocześnie przez dziesięciu ludzi nie pozostawia tychże samych śladów w ich zmysłach, nie wywołuje tychże samych wrażeń w ich duszach. Stąd jeżeli mówimy o przedmiotowości poznania i odtwarzania wrażeń, mamy zawsze na myśli przedmiotowość *względną*, która najrozmaitszym usposobieniom jednostkowym pozostawia nadzwyczaj obszerne pole działania. Stąd téż w utworach

sztuki mamy nietylko rozmaite przedmioty, ale i rozmaite tych przedmiotów obrazy.

Jakiż tedy jest umysł naszego nowellisty?

Sienkiewicz jest to obserwator nadzwyczaj bystry i umysł intuicyjny. Patrzy na świat trzeźwo bez żadnych uprzedzeń, bez żadnych z góry powziętych formuł, bez teoryj naukowych lub niby naukowych; odczuwa głęboko wszystkie radości i boleści swego społeczeństwa, bierze serdeczny udział w jego kłopotach, zawodach i nieszczęściach. Stąd ma szerokie pojęcie o człowieku i naturze ludzkiéj wogóle; interesują go zarówno subtelne odcienie uczuć jak rubaszne lub trywialne objawy prostaczych instynktów, zarówno umysłowe walki spółczesnéj cywilizacyi, jak bójki pięściowe, zarówno natury wybuchowe jak płytkie i powierzchowne, zarówno temperamenta sangwiniczne i wesołe, jak skupione w sobie i refleksyjne. Umié więc doskonale tę rozmaitość natury ludzkiéj, te niewyczerpane jéj odcienie na światło wywieść; zna wybornie odrębny sposób zachowania się, odmienne szeregi myśli i uczuć, różne właściwości mowy i stylu, jakiemi się usposobienia wewnętrzne ludziom poznać dają. Ale nie dosyć na tém. Nietylko zakres pojęcia jego o człowieku jest obszerny, że nie powiem wszechstronny, umié on nadto rysować też same postaci ludzkie nietylko w jednéj sytuacyi, która w danym razie jest potrzebna dla osiągnięcia całości w utworze, ale w sytuacyach różnych, wykazujących nam, jak taż postać weseli się lub smuci, oddaje się nadziei lub rozpaczy. Wié bowiem autor, że chcąc stworzyć postać żyjącą, należy ją pokazać ze wszystkich stron nie zaś z jednéj, bo inaczéj człowiek przedstawia się w towarzystwie osób obcych, inaczéj w rodzinie, inaczéj w samotności lub wobec serdecznego druha czy kochanki. Nie ułamek, ale całość

człowieka nakreślić: oto zadanie powieściopisarza i dramaturga.

To się nazywa mieć talent plastyczny. Posiada go Sienkiewicz w bardzo wysokim stopniu, a wykazał go najprzód wspaniale w *Hani* i w *Szkicach węglem*, jakkolwiek i w najdrobniejszych nawet utworach wyraźnie widzieć się on daje.

Trudno sobie pomyśleć treść bardziéj powszednią i częściéj zużytkowywaną przez naszych powieściopisarzów nad tę, którą się posługiwał Sienkiewicz do napisania swéj *Hani*. Dwu gołowąsów kochających się w jednéj pannie a z sobą serdecznie zaprzyjaźnionych, panna przenosząca wesołego i żywego nad melancholicznego trochę i refleksyjnego; wykradzenie dokonane przez wesołego; pojedynek, choroba dwu powieściowych figur, zeszpecenie panny przez ospę, ostudzenie przez to zapałów w kochankach, zmuszenie jednego z nich przez ojca do wytrwania w konkurach i poświęcenie się panny na siostrę miłosierdzia celem wybawienia z kłopotu siebie i innych: cóż nad te wypadki i uczucia pospolitszego i zwyczajniejszego? A jednak gdy się czyta powieść, nawet na myśl nie przyjdzie wyrażenie, że to temat zużyty, że to rzeczy znane i oklepane... Nie, oklepanemi one nie są, chociaż są znane, bo całą świeżość nowości nadaje ta naturalność, z jaką się wypadki przed nami rozwijają, ta żywość postaci, które ani na chwilę nie przestają być sobą. Doznaje się takiego wrażenia, jak gdyby się słuchało opowiadania o zdarzeniach rzeczywistych, o osobach, które są nam doskonale znane, o których istnieniu ani na mgnienie oka powątpiewać nie możemy.

Sam opowiadacz nigdzie nie pozuje na bohatera; jest on młodzieńcem żywo czującym, troszeczkę melancholikiem a raczéj umysłem bardziéj w sobie zamkniętym, niż wynurzającym się ze swoich wrażeń, a szczególniéj ze swoich

uczuć; drażliwy, a zarazem silny charakterem, ma on w sobie pewną zaciętość, która woli się zaprzéć swojego usposobienia chwilowego niż doznawać litości choćby od osób najukochańszych i ma tę energią, która nie umie wprawdzie przewidywać i uprzedzać niemiłych wypadków, ale która potrafi wytrwałością dokazywać cudów i zdobyć się może na wybuch gwałtowny, choć chwilowy. Z uczuciami swemi postępuje jak skąpiec ze skarbami, nie ukazuje ich nikomu, nawet téj, któréj sympatyą zyskaćby pragnął; raczéj gniewem i wymówkami daje poznać stan swego serca, niż wyznaniami namiętnemi i ognistemi. Tylko w samotności, gdy wyobraźnią przywoływał postać ukochanéj, rozwiązywały mu się usta i szeptał sobie z całym zapałem i z całą przesadą młodzieńczego uczucia: „kocham jéj postać, kocham jéj oczy, każdy promień włosów, dźwięk mowy; kocham każdą jéj sukienkę, powietrze, którém oddycha; żyję tylko tą miłością, płynie ona we mnie jak krew, bije ode mnie jak ciepło; dla innych może istnieje coś obok miłości, dla mnie cały świat istnieje w niéj, nic poza nią“. Tak jest, miłość ta łączyła się najściśléj z piękną i świeżą postacią, ze zgrabną sukienką, z ładném uczesaniem włosów; gdy ospa zeszpeciła tę twarz, to i miłość odleciała na skrzydłach sokoła, pozostawiając tylko wspomnienie tęskne i bolesne, bo umysł 17-letniego młodzieńca zbyt głęboko przechowywał wrażenie, ażeby miał szybko o swojéj miłości zapomnieć...

Gdyby autor poprzestał na wskazaniu nam téj tylko strony jego charakteru, poznalibyśmy drobną jedynie cząstkę jego życia. A jednak to życie nie może pójść na ofiarę jednego uczucia, jednego położenia. To téż Sienkiewicz daje nam go poznać i ze stron innych. Jak przepysznie wygląda Henryk ze swoją opiekuńczą powagą, gdy po śmierci starego sługi, każe dać nakrycie dla Hani i panienką ją na-

zywa; jak świetnie przedstawiona jest chwila, w któréj znużona dziewczyna z całém zaufaniem siostry opiera się na jego ramieniu i usypia. A tenże ustęp z życia uniwersyteckiego, kiedy dumny biedak z zarodami suchot w piersiach, zaciągając się papierosami jak nikt w Warszawie, wykłada aspirantom do stanu akademickiego nowe teorye niezbyt dawno zdobyte, a nieprzetrawione jeszcze, i kiedy podpity już dobrze Henryk odzyskuje przytomność na wspomnienie Hani, któréj imię sprofanował towarzysz w winiarni! Albo ten drugi ustęp jeszcze piękniejszy, bo większą prawdą nacechowany, kiedy zmartwiony niepowodzeniem kochanek wyprawia się do lasu na wilka, idąc za żyłką myśliwską, która w nim pomimo strapień miłosnych drga bardzo wyraźnie. Ten epizod, z prawdziwie epickim spokojem przedstawiony, jest jednym z najwymowniejszych świadectw tego niepospolitego talentu, który maluje ludzi, jakiemi są w drobnych nawet szczegółach, nie lękając się, żeby przez to zepsuł wrażenie, które zamierzył sobie osiągnąć, i żeby uszczerbek całości zrobił. Mniéj utalentowany, albo mniéj przedmiotowy powieściopisarz nie zechciałby wstawiać pomiędzy dwie sceny walki wysokiego nastroju téj sceny powszedniéj, w któréj kochanek tém tylko zajęty, ażeby dobrze w wilczycę wycelować; nie chciałby i zrobiłby źle, gdyż nie przedstawiłby nam życia w jego pełni.

Selim Mirza to temperament sangwiniczny, natura wesoła, żartka i bujna, skłonna do uniesień, żądna wrażeń, wypowiadająca wręcz, co czuje i myśli, energiczna i czynna. Miłość jego ma zawsze charakter uśmiechnięty; marzyć i rozpływać się we łzach nie lubi i nie może, na troski ma wyborne lekarstwo w rozrywce byle jakiéj, która odciągnie myśli smutne a powróci wesołe. Miłość ta nie będzie długotrwała: pokochawszy Józię, Selim zapomni o niéj dla Hani, wykradnie ją, dostanie naganę a może i bizuny od

ojca, rozejdzie się z ukochaną i będzie zdrów, humoru nigdy nie straci, serce mając otwarte na przybycie nowego uczucia. Co wejdzie w ten umysł, to zaraz wychodzi, nie pozostawiając zbyt głębokich śladów. Ale też taki chłopak to ulubieniec każdego towarzystwa; lubi go melancholiczny Henryk, lubią go starzy, lubią kobiety takie jak pani d'Yves, kochają go Józie i Hanie. I nic dziwnego: razem z jego pojawieniem się, zjawia się wesołość, chęć głośnéj i ożywionéj rozmowy, wywnętrzania się, paplania, świegotania i płatania figlów. W każdym jego ruchu, w każdém słowie czuć tę żywotność nieprzebraną, która lubi ożywienie i umie ożywiać wszystko i wszystkich.

W powieści p. n. *Selim Mirza*, mamy dalszy rozwój jego charakteru. Jako młodzieniec bogaty, pędzi życie hulaszcze w Paryżu, kocha się powielokrotnie, zabiera najrozmaitsze znajomości, puszcza się wreszcie na awanturniczą wyprawę w szeregi wolnych strzelców podczas wojny francusko-niemieckiéj i ukazuje się nam w postaci przebiegłego Tatara, który chce wywrzeć straszną zemstę na spółzawodniku swoim. Dochodzi tylko do jego upokorzenia, ale życiem przypłaca to nasycenie miłości własnéj. Jakkolwiek w téj późniejszéj historyi życia Selima Mirzy wiele jest rysów trafnych i jakkolwiek doskonale utrzymany został jego charakter żywy, skłonny do wybuchów, znoszący z łatwością wszelkie niewygody i nigdy niezakłopotany; a dość szczęśliwie rozwinięta została rodowa jego przebiegłość; to przecież czuć, że autor brał tu wiele żywiołów z fantazyi, z czytania, a nie z obserwacyi życiowéj i nie potrafił należycie uwydatnić rozwoju charakteru w głównym bohaterze. Może sam uczuł te niedostatki, które sprawiają, że postaci w tym jego utworze występujące są szkicowe, a nawet trochę na cienie zakrawają: i dlatego nie wcielił go do zbiorowego wydania pism swoich.

Ale wracając do *Hani* słówko o bohaterce. Córka starego wiernego sługi za życia ojca niewiele się uczyła i niewiele miała śmiałości do państwa, ale po jego śmierci przyjęta do rodziny państwa w nader szybkim czasie, bo w przeciągu sześciu miesięcy wyrosła na pannę pewną siebie, zgrabną w ruchach, śmiałą, rozmawiającą swobodnie o uczuciach i o innych rzeczach. To przedzierzgnięcie się poczwarki w motyla może jest za nagłe; prawda, że kobiety prędko się rozwijają i dojrzewają, prawda, że posiadają niezmierną łatwość w przyswajaniu sobie wszelkich cech „dystynkcyi", ale jak wszystko na świecie, tak i to nie przychodzi raptownie, bez stopniowań i odcieni. A w dworku szlacheckim, w którym ten okres dojrzewania upływał, nie miała wiele sposobności do nabrania salonowego poloru i salonowéj pewności siebie. Przynajmniéj autor o nich nie wzmiankuje; przez usta jedynie księdza mówi coś o romansach czytywanych ukradkiem jako o środku przeobrażenia. Ale i ta nawet strona nie razi w utworach, który ma formę spowiedzi szczegółowéj jednego z kochanków; nie mógł on bowiem jako bawiący naówczas w Warszawie obserwować faz przeobrażenia, a zatém nie mógł ich nam opowiedzieć; przyjechawszy zaś do domu i ujrzawszy zmianę, więcéj był zajęty samą tą zmianą, aniżeli jéj pobudkami i przyczynami. Zresztą Hania nie posiada cech wybitnych i to właśnie stanowi jéj charakterystykę: jest szczera i serdeczna, ale wówczas gdy zainteresowane jest jéj uczucie, staje się przebiegłą, niedomyślną, trochę nawet surową; jest bierna, ale w chwili, gdy idzie o zabezpieczenie popędu swego serca, decyduje się na krok stanowczy; jest egoistką jako zakochana, ale nie wymaga poświęceń; sama zostaje siostrą miłosierdzia, aby nie zmuszać do niemiłych ślubów nikogo, ani tego, co ją kochał, ani tego, którego i ona kochała.

Gdybym chciał wszystkie piękności téj powieści wyliczyć i wskazać dar plastyczny w odtworzeniu zarówno przepysznéj figury księdza i guwernantki, ojca Henryka w scenie pojedynku i ojca Mirzy, przyjmującego syna i sąsiada; to musiałbym rzecz swoję nad zamiar rozszerzyć, a jeszczebym i tak nie wykazał, co jest prawdziwém i piękném w tém wykończoném dziele sztuki. Nie jest to utwór porywający; ale jest to malowidło przynoszące to ukojenie, jakie nam daje istnie artystyczne odtworzenie prawdy życiowéj z historyi stosunków serdecznych, tak powszednich, a tak zawsze nowych i ciekawych.

Szkice węglem wywołało nowe położenie, w którém się znalazła wieś w Królestwie Polskiém po uwłaszczeniu chłopów i zaprowadzeniu samorządu gminnego. Wieśniak ciemny, nie znający ani praw ani urządzeń nowych; dawny dziedzic zajęty swojemi kłopotami, strwożony, usuwający się od spółudziału w naradach i skąpiący światełka swego rozumu dla dobra ogółu; ksiądz, który dbając tylko o zbawienie wieczne swojéj owczarni nie chce się wtrącać w ich zbawienie doczesne; pisarz gminny zepsuty i wyzyskujący przewagę swojéj inteligencyi na rzecz namiętności osobistych: oto objawy, które niejednokrotnie dawały się dostrzegać i smutkiem przejmowały tych, co pragnęliby widzieć wszystkie serca i wszystkie dłonie przy pracy około dobra ogólnego. Objawy te uderzyły także serce i wyobraźnię autora „Hani“; napisał więc utwór, który przedewszystkiém miał zadanie publicystyczne do spełnienia tj. wstrząśnięcie umysłów i wykazanie grzesznego indyferentyzmu i apatyi; ale który wskutek siły talentu został równocześnie znakomitém dziełem sztuki. Niektóre braki artystyczne, jako to wycieczki przeciw osobistościom, zbyt dosadny, a raczéj jaskrawy koloryt niektórych ustępów, grube rysy zamiast subtelnego cieniowania, były właściwie zaletami z punktu

widzenia publicysty i w tym punkcie znajdują swoje wyjaśnienie. Ale stworzenie tak żywych postaci jak pisarz gminny Zołzikiewicz, butny i despotyczny w sposób brutalny względem włościan, usiłujący utrzymać swoję godność, a nie czujący swego upokorzenia względem byłych dziedziców, zarozumiały, lubieżny, nikczemny i głupi; albo jak wójt, jak Rzepa a szczególniéj Rzepowa, wystarczy, ażeby *Szkicom węglem* zapewnić miejsce zaszczytne w dziejach naszéj powieści. Nawet postaci podrzędne są wykonane szkicowo wprawdzie, ale niemniéj plastycznie. Wyborny jest dziedzic szanujący swoję zasadę nieinterwencyi i każący czekać biednéj zgłodniałéj kobiecie kilka godzin, ażeby jéj zasadę tę wypowiedzieć. Wyborny jest ksiądz Czyżyk, który na kazaniu do poczciwych wieśniaków wyjaśniał dzieje średniowiecznéj herezyi Katarów i ostrzegał przed naukami fałszywych mędrców i wogóle ludzi zaślepionych pychą szatańską, a na prośbę wieśniaczki, żeby jéj poradził, co ma zrobić dla oswobodzenia swego męża od służby wojskowéj, odpowiada: „nieszczęście, jakie przytrafiło się waszemu mężowi, uważajcie jako karę bożą za ciężki jego grzech pijaństwa i dziękujcie Bogu, że karząc go za życia, może odpuści mu po śmierci". Niemniéj piękna jest sylwetka panny Józi z sercem dobrém i miękkiém, bolejącém nad nieszczęściem biednéj Rzepowéj, ale niemniéj dbałéj o rękawiczkę, którą poczciwa Rzepowa z wielkiéj serdeczności całując oślinila...

Jeżelibyśmy jednak mieli powiedzieć, w czém talent Sienkiewicza wzniósł się dotychczas najwyżéj i doszedł prawdziwego niemal mistrzowstwa; to wymieniłbym malowanie uczuć miękkich, tkliwych i rzewnych. Jeżeli chcecie się o tém przekonać, przeczytajcie króciutkie jego utwory: *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela* a szczególniéj *Janko muzykant*. Przedmiotem uczuć serdecznych a tkliwych w obu tych utworach są dzieci. Jedno dla zadosyćuczynienia ży-

czeniom matki, która nie wymierzyła dostatecznie sił jego, męczy się nad gramatyką łacińską, pracuje nad zdobyciem wprawy w mowie obcéj wykładowéj i nad zrobieniem postępów w akcencie téj mowy. Z natury nerwowe i wrażliwe, gdy słyszy w szkole cudzoziemskiéj obelgi miotane na takie rzeczy, które w domu za świętość poczytywano, gdy nie dostało dobrego stopnia z przedmiotów poczytywanych za główne; gdy nawet sprawowanie jego oczerniono: nie mogło wytrzymać nacisku tylu bolesnych wrażeń i zachorowało. Ale i w chorobie nie mogło zapomnieć o tém, co było życzeniem matki; wstawało, jak miało zwyczaj dawniéj, gdy było zdrowém, i uczyło się zapalczywie konjugacyj łacińskich. W tém pasowaniu się dziecięcego ducha z napływającemi z zewnątrz wrażeniami, w tém bojowaniu wspomnień domowych z uczuciami szkolnemi znajduje się tak głęboka tragika, że jéj nie osłabia ani wiek dziecinny, ani błahość motywów przedmiotowo tylko rozważanych.

Bardziéj jeszcze potęguje się to wrażenie przy czytaniu historyi Janka. Skłonność do muzyki, niczém nie dająca się wystraszyć, popycha go do pokoju lokaja, w którym wisiały skrzypce, jedyny cel pożądań bosego, obdartego, chudego muzykanta. Schwytany jako złodziéj, obity bez miłosierdzia, trzeciego dnia konał już na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem: „Jaskółki świegotały w czereśni, co rosła pod przyzbą; promień słońca wchodził przez szybę i oblewał jasnością złotą, rozczochraną główkę dziecka i twarz, w któréj nie zostało kropli krwi. Ów promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopczyka miała odejść... Wychudłe piersi poruszały się jeszcze oddechem a twarz dziecka była jakby zasłuchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno. Był to wieczór, więc dziewczęta wracające od siana śpiewały: *oj na zielonéj na runi*, a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się

ostatni raz, jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzypki z gonta. Nagle twarz umierającego dziecka rozjaśniła się, a z bielejących warg wyszedł szept: — Matulu?... — Co synku? — ozwała się matka, którą dusiły łzy. — Matulu! Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzypki! — Da ci, synku da — odrzekła matka, ale nie mogła dłużéj mówić, bo nagle z jéj twardéj piersi buchnęła wzbierająca żałość; więc jęknąwszy tylko: *O Jezu Jezu*, padła twarzą na skrzynię i zaczęła ryczeć, jakby straciła rozum, albo jak człowiek, co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania"...

W opisowość nie bawi się autor. I słusznie. Nudziła ona już niejednokrotnie nietylko u naszych i niemieckich powieściopisarzów, ale nawet u Balzaka. Poezya i powieść nie może sobie przywłaszczać pola, należącego właściwie do malarstwa. Dla niéj potrzeba ruchu i akcyi. Nie należy jednak stąd wnosić, żeby wogóle pominąć można zupełnie stronę opisową. Jest ona potrzebną o tyle, że stanowi niezbędną podstawę, na któréj postaci stworzone przez poetę ruszają się i działają. Jest téż ona i u Sienkiewicza w sposób nadzwyczaj umiejętny zużytkowaną. Stanowi część wrażeń, jakich doznają ludzie, gdy w swojéj, czy obcéj siedzibie przebywają. Podobneż miejsce zajmuje oczywiście i natura. Autor *Hani* dalekim jest zarówno od czułostkowego zakochania się w przyrodzie, jak i suchego zapatrywania się na nią okiem inżyniera lub gospodarza w chwili, gdy właściwy im zawód wyłącznie ich zajmuje. Patrzy on na przyrodę trzeźwo i wie, że ona w rozmaitych usposobieniach różnie na nas oddziaływa; czasami wcale na nią uwagi nie zwracamy, czasami lubujemy się jéj pogodą, czasem rzewność nas opanowuje, czasem jéj groza przeważa. Jako przykład pięknego opisu wsi i natury wiejskiéj można przytoczyć ustęp w *Hani*, kiedy Henryk z Selimem wracają

z Warszawy do wsi rodzinnéj Selima (I, str. 79, 80); jako piękny, choć szkicowy tylko obrazek wrażeń doznawanych wieczorem w lesie, wśród niepokoju oczekiwania i pewnéj bojaźni wzmiankuję ustęp w powieści p. n. *Selim Mirza*. Bardzo liczne a ładne opisy są w *Listach z podróży* i w nowelli *Za chlebem*.

Takim się przedstawia nasz autor w nowellach.

III.

Zanim następnie Sienkiewicz zasłynął powieściami historycznemi, obudził już dużo zajęcia, dużo rozpraw i pogadanek pięcioaktowym dramatem *Na jednę kartę*. Już ta jedna okoliczność nadawałaby sztuce ulubionego nowellisty znaczenie niepospolite, bo jeżeli według Monteskiusza zadaniem książki nie jest pociągać do czytania ale zmusić do myślenia; to zadanie to, dramat odegrany po raz pierwszy 24 lutego 1881 r. spełnił wybornie; a najlepszym tego dowodem może być to, iż tak w prasie, jak i wśród ogółu myślącego sprawił dosyć silnie zaznaczone rozdwojenie. Jeżeli zaraz po ukazaniu się jakiegoś utworu, następuje wśród publiczności mówiącéj czy piszącéj zgoda zupełna co do jego wartości, to bywa nim wprawdzie arcydzieło, które sobie szturmem pozyskuje uznanie, ale daleko częściéj bywa to miernota, która w nikim silniejszego uznania nie budząc, nie może się tém samém przyczynić do *zaniepokojenia* spokojnego procesu myśli. Każde natomiast dzieło, mające w sobie ziarno myśli niepowszedniéj, albo talentu nietuzinkowego, działa zapładniająco na umysły: albo sympatyzujemy z niém gorąco, albo też oburzamy się na nie namiętnie: i w jednym i w drugim razie czujemy silniéj, myślimy szybciéj i w jednym i w drugim razie musimy się zwrócić z pewném poważaniem ku owemu źródłu, z którego nowy dopływ do nurtu myślenia naszego nastąpił.

Skutek taki objawia się tém doraźniéj i tém dobitniéj, im bardziéj okoliczności, w których myśl pewna powstaje, jéj szerzeniu się sprzyjają. Możnaby twierdzić prawie napewno, że dramat *Na jednę kartę* mniéjby wywołał dyskusyj, gdyby się był ukazał np. przed laty dziewięciu lub dziesięciu. Nie ulega to bowiem wątpliwości żadnéj, że nie zalety lub wady artystyczne, nie psychologia wyprowadzonych na scenę postaci, nie prawda lub nieprawda w nich tkwiąca stała się głównym przedmiotem sporu, ale prawie wyłącznie dążność czy tendencya, jakiéj się w całości sztuki dopatrywano. Dążność ta przed laty kilkunastu ledwieby na siebie uwagę zwróciła, tak np. jak powieść Elizy Orzeszkowéj p. n. „Pompalińscy“, ale teraz kiedy się tyle mówi i pisze o „nieobecnych“, kiedy się spory toczą o znaczeniu, wartości i doniosłości zasady arystokratycznéj i demokratycznéj; kiedy pod tym względem niema właściwie z téj lub owéj strony jasno sformułowanych poglądów, lecz panuje pewien wcale niepochlebny dla umysłowości naszéj chaos wyobrażeń; wśród takich okoliczności dramat Sienkiewicza musiał z konieczności stać się powodem nieporozumień.

Jedni — w prasie stanowili oni mniejszość — z ostentacyą starali się wykazać, że sztuka Sienkiewicza jest utworem partyi, że autor wszystkie światła skupił na głowach, nad któremi unosi się świetna aureola tradycyi, a wszystkie cienie ześrodkował w téj stronie, gdzie stoi szczupła gromadka ludzi dobijających się w społeczeństwie stanowiska dorobkiem własnéj ręki lub głowy. Twierdzili oni daléj, że gromadka ta jest jeszcze tak słabo zorganizowana i na takie niebezpieczeństwa ze strony groźnych przeciwników narażona, iż nie wypada inteligencyi przeciwko niéj pociski swe kierować, ale przeciwnie umacniać ją na duchu i do wielkich przeznaczeń słowem rozumném a gorącém przygotowywać.

Drudzy — stanowiący większość — nie wzięli za złe autorowi przedstawienia ujemnego typu z łona demokracyi a w rozumieniu całości sztuki objawili różne domniemania. Już to przyjmując przeciwstawienie arystokracyi i demokracyi, utrzymywali, że demokracya bynajmniéj pokrzywdzona nie została; jużto pomijając wszelką umyślną stronniczą tendencyą, starali się oprzeć znaczenie sztuki na trafném odmalowaniu charakterów; już to widzieli typowe upostaciowanie trzech kolejnych generacyj z ostatnich lat kilkudziesięciu u nas i na wyborném uchwyceniu tych typów zasadzali doniosłość utworu.

Nie myślę występować w roli pojednawcy, któryby zarozumiale przyznawał jednemu taką cząstkę prawdy, jakiéjby odmawiał drugiemu, ale korzystając z prawa rzeczypospolitéj literackiéj do wypowiadania swego jednostkowego zdania, wypowiem je w całości, bez obawy, ażeby mię posądzono albo o łączenie się z towarzystwem wzajemnéj admiracyi lub téż o wrogie względem demokracyi usposobienie.

Przedewszystkiém muszę zauważyć wogólności i nie stosując tego wcale do sztuki Sienkiewicza, że złym byłoby znakiem, gdyby demokracya okazywała się zbyt drażliwą na krytykę jéj wad lub zdrożności. Dowodziłoby to bowiem, że pragnęłaby tę swobodę, w imię któréj zawsze walczyła i walczy, tylko dla siebie saméj zachować, tylko dla własnéj korzyści zużytkować, ograniczając prawo posługiwania się nią tym, którzy wyznają inne *credo* społeczne. Cła ochronne mogą się wprawdzie przyczynić do podniesienia przemysłu miejscowego, ale gdy ten już do pewnego stopnia się rozwinął, mogą go na tym stopniu zatrzymać, a nawet i poniżéj zepchnąć, gdyż usuwa ważny bodziec konkurencyi. Podobnież cła ochronne w zakresie rozwoju umysłowego praktykowane były wtedy, gdy jakaś klasa czy warstwa społeczna doszedłszy do przeważnego znaczenia,

zaczynała samowolną, niczém nie krępowaną gospodarkę. Hierarchia nie znosiła najlżejszéj krytyki i srogo karała tych, co przeciw niéj i temu, czego ona nauczała, ośmielił się głos podnieść. Arystokracya nowożytna lubiła tylko kadzidła i to w sposób zręczny administrowane. Stąd autorowie dramatyczni długie wieki nie odważyli się wystawić na scenie spółczesnych sobie przedstawicieli arystokracyi inaczéj, jak pod poważnym ubiorem bohaterów greckich lub rzymskich. Tęż samę drażliwość okazywała u nas szlachta, dobiwszy się wielkiego znaczenia politycznego, a gdy to straciła, na swojém stanowisku społeczném pragnęła być nietykalną. Burżoazya francuska za czasów swojego władztwa miała także swoje arystokratyczne zachcianki, uwielbiała tych, co jéj pochlebiać choćby w sposób gruby potrafili. Żydzi pozyskawszy równouprawnienie i mając silne plecy w kapitale, stali się niemniéj łaskotliwi na wszelkiego rodzaju satyrę i krytykę, nie pomnąc, że jeżeli tylko krytyka jest trafna, to nie pozostaje nic innego do zrobienia, jak z zarzuconych wad się poprawić. Czyżby demokracya dzisiejsza, zdobywszy sobie obecne stanowisko między innemi także za pośrednictwem krytyki słownéj i krytyki faktycznéj, przez którą wykazywała niedobory dawnego porządku rzeczy, chciała już spocząć na różach bez kolców, a znaczenie swoje umacniać nie pracą dalszą i udoskonalaniem się ciągłém, ale cłem ochronném nietykalności?... Nie sądzę. Zdaje mi się, że idea demokratyczna na tak silnych spoczywa podstawach, iż może bez niepokoju i obawy przysłuchiwać się najzjadliwszym nawet pomysłom starych czy młodych Arystofanesów.

Ale to wszystko mimochodem tylko z powodu zarzutów, jakie o tendencyi demokratycznéj dramatu Sienkiewicza słyszeć się dawały. Według mnie dramat ten nie potrzebuje bynajmniéj powyższego rozumowania dla uprawnienia

swéj dążności; pomijając bowiem kwestyą: jaką myśl społeczną sam autor chciał wypowiedzieć w swoim utworze, t. j. jaki był jego indywidualny zamiar w téj chwili, gdy pisał lub przerabiał swe dzieło, można utrzymywać, iż czytając dramat „Na jednę kartę“ lub patrząc na jego przedstawienie, nie koniecznie trzeba się oburzać na niemiłą dążność autora, chociażby się najszczerzéj wyznawało zasady demokratyczne i chociażby się wcale nie należało do towarzystwa wzajemnéj admiracyi literackiéj. A tak jest dlatego, że obok innych poglądów możliwy jest i ten, iż autor patrzył na ludzi przez siebie stworzonych przedmiotowo, bezstronnie, widząc w nich przedewszystkiém i starając się uwydatnić ogólnie ludzkie zalety i wady, a pozostawić na drugim planie objawy ich przekonań politycznych.

Idzie tylko o to, czy pogląd taki da się uzasadnić i do pewnego stopnia udowodnić przez sam utwór czy nie. W tym celu zapytać wypada o rdzeń treści i charakterów w niéj występujących na scenę.

Dr. Józwowicz, syn kowala, oddany do szkół przez księcia Starogrodzkiego, „oddawszy się następnie sam na uniwersytet“, tu „z chciwością zagłodzonych duchowo“ — jak się trafnie wyraził jeden z krytyków — połknął odrazu aż dwa wydziały: lekarski i prawny. Następnie w ciągu sześciu lat pobytu na dworze księcia w charakterze lekarza nadwornego, umie sobie tu zdobyć stanowisko tak silnie ugruntowane a tak wszechwładne, że wszystko w rezydencyi książęcéj dzieje się wedle jego skinienia. Był to widocznie człowiek miły, umiejący się podobać, ale zarazem człowiek wyższéj inteligencyi, umiejący w słowa swoje wlać tyle siły przekonania, tyle potęgi nieprzepartéj, że przed nią inne umysły mimowolnie ukorzyć się muszą. Rozum i takt w wysokim stopniu harmonijnie w nim się niewątpliwie łączyły, jeżeli nie zapierając się swoich zasad demokratycznych, lecz

się z niemi wyraźnie niekiedy manifestując, mógł się nietylko zupełnie swobodnie wśród sfer arystokratycznych obracać, ale nadto pozyskać zaufanie bezgraniczne i prawie bezwyjątkowe.

Pozyskanie sobie starego księcia nie było zapewne rzeczą najtrudniejszą. Starzec ten nie odznaczał się chyba nigdy wielką inteligencyą, a zachodząc w lata, tracił ciągle sprężystość umysłu i lubił to tylko, do czego przywykł. Przesądy arystokratyczne tkwią w nim ciągle, są najdźwięczniejszą struną w jego duszy, ale to dlatego głównie, że były weń od najwcześniejszéj młodości wpojone. Całą biedną warstwę ludu przezywa „hołotą“, ale nie może dozwolić, ażeby ta „hołota“ pod bokiem jego umierała, więc daje jéj hojną zapomogę. Nie woła on na swego doktora inaczéj jak Józwowicz, zupełnie tak jak na sługę, lecz to nie tyle w chęci upokorzenia go, ile dlatego, że takie wołanie weszło u niego w nałóg. Zżyma się na nazwanie „brata“ lub „syna“, którém doktora blizkie domu księcia osoby obdarzają, ale się czuje, że po pewném wzdraganiu się, po kilku lub kilkunastu słowach nie oburzenia lecz burczenia tylko, zgodziłby się przyjąć doktora za syna i uściskać go jak brata. Nie może pojąć, jak taki Józwowicz może mieć pretensyą zostania posłem wogóle a bez jego zezwolenia wszczególności, a jednak bez długiéj walki i zezwala i godzi się z myślą, że wypadnie mu może tytułować syna kowala Jego Ekscelencyą. Nazywa swego doktora Robespierem, ale się bez niego obejść nie może; on jeden potrafi go zabawić; on jeden ma zawsze w pogotowiu dobrą radę, mądrą wskazówkę. Ale bo téż dr Józwowicz umie sobie wybornie z nim radzić i nie drażni go słowami, gdyż wie, że słowa niemiłe księciu są rzeczą dla niego najdokuczliwszą; pozwala się wołać Józwowiczem, mianować Robespierem bez najmniejszéj oznaki nietylko niechęci ale i zniecierpliwienia

nawet, gdyż pojmuje, że taki sposób wyrażania się nie pochodzi ze złego serca księcia ale z przyzwyczajenia. Józwowicz nie wdając się w długie dyskusye, robi swoje wytrwale, stanowczo, energicznie i dotąd zawsze doskonale na tém wychodził. Książę zawsze na wszystko w końcu się zgadzał, i zawsze o radę pytał, był to bowiem umysł bierny, który inicyatywy żadnéj podjąć nie mógł, i potrzebował potwierdzenia swych zdań, ażeby je za słuszne uważać, jeżeli nie ze strony doktora, to ze strony swéj córki Stelli.

Stella — to roślina wątła wychowana w cieplarni arystokratycznéj, niezmiernie miła; bardzo delikatna, nadzwyczaj wrażliwa. Umysł jéj jeszcze śpi; nie przebudziło go ani wykształcenie ani doświadczenie życiowe; uczucie ma tylko serdeczne, łagodne a takie dobrotliwe, że nie chciałoby nikomu najmniejszéj sprawić przykrości; jeżeli kto to uczucie zadraśnie, kwiat zwija swe listki w milczeniu.

Cień smutku pada na jéj twarzyczkę, bo nie zaznała pieszczot matki, wychowała się i wyrosła pod opieką dobréj matrony ale bądź-co-bądź obcéj. Kocha wszystkich, ojca najprzód, potém panią Czeską, potém dra Józwowicza jak brata. Tymczasem dr Józwowicz uczucie to Stelli dla siebie pojmował inaczéj; jemu się zdaje, że Stella kocha go miłością kochanki; pod tym względem myli się i myli się fatalnie. Dziwną może się wydawać ta omyłka człowieka skądinąd tak rozumnego, tak trzeźwo na rzeczy patrzącego. Było to może zaślepienie miłości. Doktór nie mógł poczuć względem Stelli jakiéjś namiętności dzikiéj napół zwierzęcéj, któréj zadowolenie miałby jedynie na celu; żaden rys nie wskazuje w nim rozwiniętéj zbyt silnie zmysłowości. Raczéj jako człowiek oddany nauce, któréj poświęcił te lata, jakie rówieśnicy jego zamożniejsi, obracają na miłość i miłostki, uległ urokowi dzieweczki, znanéj sobie od lat najmłodszych, będącéj pewnie ideałem przyświe-

cającym mu wśród nocy bezsennie nad książką spędzanych, zagrzewającym go do coraz większych wysiłków, by go się stać godnym, strzegącym młodzieńca od pokus, błędów i chodzenia po grząkich, cuchnących trzęsawiskach życia. On nie miał czasu wypowiedzieć uczuć swoich i wybadać Stelli pod względem jéj przywiązania, jéj ufności dla niego; a może nie chciał stracić miłego mu nad wszystko złudzenia, że Stella go kocha, bo on sam nie umie zdać sprawy z tego, coby był wart bez téj kobiety. On stara się tylko zbliżyć do wyżyn książęcych, on pragnie w życiu parlamentarném odegrać jakąś wielką i świetną rolę, którąby dała zapomnieć o różnicy urodzenia, równoważąc ją stanowiskiem własną pracą zdobytém. Byłby zapewne milczał i nic stanowczego nie przedsiębrał, dopókiby takiego stanowiska nie osiągnął; ale wypadki zdecydowały inaczéj.

W czasie jego nieobecności w domu księcia, wywołanéj wymaganiami agitacyi wyborczéj, odbyły się zrękowiny Stelli z Jerzym Pretwicem, człowiekiem szlachetnym, dzielnym na placu boju, niezbyt do nauki pochopnym „jak wszyscy Soplicowie“, trochę szorstkim w ruchach i mowie, ale miękkim nad wyraz w stosunkach sercowych. Stella przyrzekła mu swą rękę, bo życzył sobie tego ojciec a ona czuła przyjaźń dla wojaka, wygnańca i zacnego obywatela. Nie kochała go jednak, serce jéj skłaniało się raczéj ku młodszemu jego przyjacielowi, wesołemu, dowcipnemu hr. Drahomirowi, którego sam Pretwic prosił o bawienie narzeczonéj. Uczucie to atoli drzemie bezświadomie w duszy Stelli i możeby się nigdy do zupełnéj świadomości nie rozwinęło, gdyby nie Józwowicz.

Józwowicz wróciwszy ze swéj wycieczki odrazu spostrzegł zmiany zaszłe w domu księcia, a po bliższém przyjrzeniu się doszedł do przekonania, że Stella pójdzie za Pretwica tylko dla dotrzymania słowa, że serce jéj do kogo

innego należy. Z początku łudził się jeszcze, że to on jest przedmiotem jéj tajonego uczucia, ale złudzenie trwało teraz chwilę tylko; bolesna i dla niego i dla Stelli auskultacya powiedziała mu prawdę. Wtedy w duszy tego człowieka zachodzi zmiana nagła i głęboka. Dotychczas mógł śmiało każdemu patrzyć w oczy; dotychczas ani on sam sobie ani nikt jemu żadnego wyrzutu zrobić nie mógł; życie jego było piękne, zapełnione pracą i pobudzane szlachetną ambicyą, ozłocone promieniami miłości; dotychczas on zwykł śmiało, otwarcie łamać przeszkody, jakie na drodze jego stawały. Teraz będzie już inaczéj, teraz z lwa przemienia się w lisa, zamiast przeskakiwać podłazi, zamiast siły używać jawnie ucieka się do podstępu, do nikczemnéj intrygi. Dotąd był szlachetnym, teraz ocknął się w nim zwierz podłości, drzemiący, kto wie czy nie w duszy każdego, a umiejący się maskować najrozmaiciéj. U Józwowicza przybrał on maskę teoryj niby naukowych najnowszych. Uczucie, może zupełnie szczere i serdeczne, pod groźbą nieziszczenia się popycha go do ostateczności, którą z początku sam się brzydzi. Chce bądź-co-bądź posiąść rękę księżniczki; wie on teraz, że serca jéj nie posiada, ale pochlebia sobie, że je zdobędzie, jeżeli nie pozyska; śpieszno mu przedewszystkiém usunąć te uczucia, jakie w sercu Stelli istnieją. W tém nagłém postanowieniu, którego nie mógł obmyśleć należycie, popełnia nową omyłkę, straszną w skutkach dla innych i dla niego. Sądzi, że pojedynek pomiędzy Pretwicem a Drahomirem przezeń nastręczony, da mu swobodę ruchów. Popełnia podłość. Jest niespokojny, zgorączkowany, pragnąłby w oczach wielbicieli swoich uchodzić za tak czystego, jakim był dawniéj; dla usprawiedliwienia się naciąga do zasad etycznych teoryą walki o byt. „Mojemu losowi — powiada — moim prawom do szczęścia, mojéj przyszłości człowiek ten, który zginął, wszedł w drogę, nagle, ślepo,

fatalnie — i zabrał mi wszystko. Wszedł uzbrojony w dostatki, nazwisko, stosunki i całą tę broń niezwalczoną, którą daje fortuna i urodzenie. Com miał przeciw niemu? czém mogłem walczyć? co przeciwstawić jego potędze? Nic prócz tego, co jest bronią nowych ludzi — tę trochę inteligencyi zdobytéj krwawą pracą i wysileniem". W tém namiętném rozumowaniu brnie coraz daléj; zapomina terminologii naukowéj („robak broni się żądłem") jest pewny swego zwycięstwa, utożsamia je ze zwycięstwem nowych czasów nad dawnemi wiekami; podnosi jaskrawy sztandar demokratyczny, obiecuje zwolennikom swoim złote góry, pragnie i sam się oszołomić w nurcie słów swoich i oszołomić niemi słuchacza.

On, co tak skąpił zawsze wyrazów i w długie rozprawy się nie wdawał, teraz jednym tchem wyrzuca z siebie sążniste tyrady, które nietyle mają logiki, ile gorącego kolorytu. Nic dziwnego: pobudza go namiętne pragnienie postawienia na swojém i osiągnięcia téj miłości, o zdobyciu któréj jeszcze nie zwątpił.

Ale wyrachowania jego nię zdały się na nic. Przerachował się co do Stelli i co do swych zwolenników demokratycznych. Wątła roślina cieplarniana nie wytrzymała ciosu; na wieść o pojedynku, w którym Pretwic, jéj narzeczony, zginął z ręki Drahomira, jéj ukochanego, nadzwyczajne wzruszenie ją ogarnia i o śmierć nagłą przyprawia. Z drugiéj strony, jego najgorliwszy zwolennik i wielbiciel, człowiek biedny, obarczony rodziną, pracujący dla idei demokratycznéj i wierzący w nią święcie, nie lękający się ani jaskrawych wyrażeń demokratycznych, ani żartów bolesnych, ani nawet użycia pamfletu w agitacyi wyborczéj, a strzegący ściśle zasad „prostéj uczciwości", zapowiada przyszłemu posłowi, że już w nim ufności nie pokłada, że chociaż go demokraci wybiorą, ale już mu cugli nie popuszczą. „Odtąd —

mówi — rozpoczyna się między nami ścisły rachunek, bo nie możemy ci ufać... Cóżeś to ty sądził, że szczeble téj drabiny, po któréj się drapiesz, składają się z łajdaków? Hola! My, cośmy cię zrobili posłem, my, w których uczciwość nie wierzysz podobno, będziemy cię teraz strzedz i sądzić. Jeśli zbroisz, to zetrzemy cię w proch. Nie sprawa dla ciebie, ale ty dla sprawy. Wybraliśmy cię — teraz służ!" Że Antoni Żuk nie porzucił zupełnie Józwowicza, to rzecz bardzo naturalna. Wówczas gdy agitacya wyborcza była całkowicie przeprowadzoną, w ostatniéj chwili przed wyborami cofnąć kandydata niepodobna bez ściągnięcia niepowetowanéj porażki na obóz demokratyczny. Żuk wierzy, że w polityce tak samo powinno się rządzić uczciwością, jak w życiu prywatném i gdyby Józwowicz był dawniéj takim, jakim go ostatnie okoliczności zrobiły, pewnieby w jego sprawie nie gardłował, ale teraz sądzi, że stronnictwo potrafi swego posła opanować i zmusić, żeby służył sprawie nie sobie. I kto wie, czy Józwowicz nie przyniesie ważnych usług dla kraju. Wszakże on złym z gruntu nie był, namiętność i ambicya zepchnęły go z drogi prostéj, ale nie zagrodziły mu jeszcze powrotu na nią. Gdyby to był ambitnik bez serca, to posłyszawszy okrzyki obwołujące go posłem, nie mówiłby, myśląc o Stelli tylko: „Przegrałem strasznie".

Pominąłem tu figury przedstawiające osoby ze sfery arystokratycznéj w świetle komicznem, gdyż one niewielką odgrywają rolę w dramacie, a dla ocenienia dążności sztuki wystarczają sylwetki trzech poważnie traktowanych przedstawicieli arystokracyi. Nie roszczą one sobie, jak sądzę, pretensyi do znaczenia typów, są raczéj tak jak cały dramat pomyślane w duchu realizmu artystycznego, który się stara uwydatnić temperamenty i charaktery jednostek nie zaś rysować jakieś postaci ogólne, mające jakoby cały rodzaj, całą sferę reprezentować. Ani książę Starogrodzki ani

Pretwic ani Drahomir nie wyczerpują bynajmniéj całéj rozmaitości objawów życia arystokratycznego, bo to nie było zadaniem autora; one są same sobą. Są-to jednostki bierne, bez inicyatywy, nie biorące udziału w pracy społecznéj, ale marzycielskie, albo ciasne pod względem umysłowym, zadowolnione ze szranków życia prywatnego, albo też porzucające je, gdy uczucie ich zadrasniętém zostanie. Czynność swoję ukazują tylko w zakresie tego życia prywatnego i do znaczenia w kraju, do przewodniczenia mu wcale się nie garną. Są-to „nieobecni“ skazani na wymarcie bezpotomne i bezsławne.

Wszystkie osoby dramatu są naturalne i z wyjątkiem może Jasia Miliszewskiego całkiem wolne od szarży i karykatury, ale też z drugiéj strony z wyjątkiem księcia, Józwowicza i Żuka zbyt blado namalowane. Postępki wszędzie wypływają z charakteru; tylko motywowanie ich nie wszędzie jasno jest przedstawione. Najgorzéj pod tym względem wyszedł bohater Józwowicz; przełom, jaki nagle w duszy jego nastąpił, nie został przez autora niczém prawie uwydatniony; stąd też tyle różnych sposobów pojmowania téj osobistości przez krytykę: stąd także pewien chłód panujący w sztuce, która nie porywa i nie zachwyca, gdyż brak jéj najdzielniejszéj dźwigni artystycznéj, brak silnie uwydatnionego uczucia. Uczucie Pretwica i Drahomira wyraża się sentymentalnie, jakoś dziwnie miękko i bezbarwnie, uczucie Józwowicza traktowane jest pobieżnie, a raczéj tajemniczo. Postać Żuka najświetniéj, najdobitniéj i najprawdziwiéj przez autora pomyślana i wykonana została.

Budowa dramatu wielce szwankuje. Jedność miejsca pociągnęła za sobą sporo nieprawdopodobieństw.

Jestto salon, w którym zgromadzają się osoby na gawędkę, ale jestto zarazem jakby główne biuro Józwowicza, do którego za pośrednictwem dzwonka powołuje i Pretwica

i hr. Drahomira i księżniczkę Stellę, w którym przyjmuje Żuka i obmyśla swoje plany.

Wchodzenie i wychodzenie osób bardzo często zupełnie jest nieumotywowane, chyba maksymą: *ôte-toi afin que je m'y place.* Efekta sceniczne w końcu każdego aktu są wprawdzie dość zręczne, ale tém właśnie grzeszą, że są starannie obmyślane, a nie wypływają wprost z natury sytuacyi.

IV.

Jako powieściopisarz historyczny wystąpił najprzód Sienkiewicz z „Niewolą tatarską“ (1880). Była-to próba zrobiona przez artystę przedmiotowego w celu przekonania się, o ile potrafi odtworzyć język i styl wieków minionych, o ile zdoła przenieść się w umysł i serce osób, które z owych wieków wskrzesić zamierzał.

Kto znał styl nowel Sienkiewicza, zarówno dzielny w przedstawieniu prostaczych i rubasznych tonów, jak w malowaniu subtelnych odcieni wysłowienia wykształconego, zarówno w oddaniu mowy starców jak młodzieży, temperamentów żywych jak powolnych; ten zgóry mógł być pewnym, że przy studyach odpowiednich da się on nagiąć i do odtworzenia mowy przodków, co tak wiele utworów piśmiennych po sobie zostawili. Jakoż istotnie Sienkiewicz bez trudu przedzierzgnął się w Aleksego Zdanoborskiego, szlachcica z początków XVII stulecia i choć nie naśladował żadnego wszczególności pisarza z owego wieku, nadał urywkom z pamiętników, w których bohater opowiadania przygody swoje podał do potomności, bardzo wdzięczną barwę archaiczną. Polszczyzna w toku i w wyrażeniach, niekiedy dosłownie wziętych z „Pamiętników jańczara“, bardzo dobrze i bardzo konsekwentnie utrzymana została taką, jaką dopuścić można w początkach wieku XVII,

kiedy ją jeszcze łacina dość oszczędnie pstrzyła. Nie pochwalając nawet takiéj maskarady pisarskiéj, w któréj autor dzisiejszy chce się koniecznie wydać za spółczesnego opowiadanym wypadkom, trzeba przyznać, że w „Niewoli tatarskiéj“ udała się ona całkowicie, rażąc tylko gdzieniegdzie nasze poczucie estetyczne, kiedy wskutek wyrażeń dziś już wyszłych z użycia nastrój poważny przemienia się jakoby na żartobliwy i ironiczny, choć on zamiarom autora i treści opowiadania był przeciwny.

Trudniéj niż ze stylem poszło autorowi z przejęciem się pojęciami, uczuciami, pragnieniami i ideałami szlachcica z wieku XVII. Miękkość i rzewność, właściwe samemu Sienkiewiczowi, przeszkodziły artyście w namalowaniu postaci jędrnéj i zdrowéj, jaka nam staje w wyobraźni, gdy myślimy o Żółkiewskim i jego rycerzach, a przyczyniły się do wprowadzenia w umysł Zdanoborskiego pierwiastku sentymentalnego, który w nim zapewne nigdy nie gościł. Ta główna i zasadnicza wada w odmalowaniu postaci rycerskiéj z XVII stulecia sprawia, że zalety, a mianowicie odtworzenie jéj religijności, głębokiego poczucia honoru, dzielności w boju lubo należycie, a może nawet z zanadto wielkim uwydatnione naciskiem (np. ciągłe wspominanie o swojém szlachectwie), nie zdołają nas o wierności dziejowéj w przedstawieniu takiego bohatera przekonać.

Zdaje się zresztą, że autorowi o wierność dziejową i rzeczywistość postaci nie chodziło bynajmniéj; chciał on bowiem nakreślić ideał rycerza chrześcijańskiego, który się złamie, ale nie ugnie, a przez postawienie takiego ideału chciał dać naukę spółziomkom, jakiemi być powinni w ciężkich warunkach istnienia narodowego.

Pomysłu dostarczył mu oczywiście „Książę niezłomny“ Kalderona i to naturalnie w tłómaczeniu Słowackiego. Ale-

ksy Zdanoborski mógłby słusznie być nazwany „szlachcicem niezłomnym“.

Początek opowiadania o jego losach przypomina „Beniowskiego“. Jak Maurycy-Kazimierz-Zbigniew, tak i Aleksy jest szlachcicem biednym, który kochając córkę bogatego magnata, a nie mając nadziei otrzymania jéj ręki, udaje się na wojenkę, by zdobyć sławę i z nią po ukochaną powrócić. Podobieństwo trwa mniéj więcéj aż do chwili, kiedy wśród potyczki z Tatarami, ranny Aleksy dostaje się do niewoli. Odtąd jest on szlachcicem niezłomnym na wzór księcia niezłomnego. Tatar polubił go, a jeszcze więcéj jego córka Iłła; proponuje więc Aleksemu przyjęcie wiary Mahometa i ręki Iłły; ale Aleksy mu odpowiedział, że „i szatan Chrystusa kusił, królestwa mu różne ukazując“. Odtąd wypadł z łask Tatara; skazany został na noszenie wody trzodom; karmiono go skąpo. Tatar spotkawszy go raz rzekł: „zegnę cię“, a on: „ciało moje tylko zegniesz, gdyż wiedz, że duszę, szlachcicem będąc, mam nieugiętą“. Coraz gorzéj poniewierany, bity i głodzony wychudł i zczerniał, a nogi chwiały się już pod nim. Razu pewnego ujrzał go leżącego na barłogu chan i ujęty jego odpowiedziami, w których niezłomność duszy okazywał, chciał go wyzwolić, nie wymagając nawet przyjęcia islamizmu, byle tylko z dobréj woli przyrzekł mu służyć; zawahał się na chwilę, ale pomyślawszy, coby rzekł ojcom swoim, gdyby go zapytali, czém był na świecie, jeśliby z dobréj woli koniuszym tatarskim został, w pokornych, lecz stanowczych słowach pokusę tę odrzucił. Wówczas wydano go na męki. Pokrzepiwszy się strzelistą modlitwą, miał moc wytrwałości. „Pomyślałem — powiada — żem przedstawiciel jest téj siły krzyża, co się nie zgina, żem ja tu poseł jest Rzeczypospolitéj, na mękę od stanów delegowany, żem ja tu żołnierz na ordynansie Chrystusowym *moriturus* i powołany, abym

fundamentem życia mego świadczył o duchu, który jako ogień niebieski nie gaśnie. A pomyślawszy tak, choć nędzny, prochem pokryty, głodem wychudły, bezsilny — taki niezmierny w sobie poczułem majestat, jakobym z wyniesienia na świat poglądał. Kałmukowie zaś siec mnie surowcem poczęli i wkrótce krwią spłynąłem. Pytali mnie tedy: padniesz twarzą? Odpowiadałem: szlachcicem polskim jestem. Wtedy ci siekli mnie nanowo; inni zaś ognia wolnego pod nogami memi napalili, abym się piekąc, prędzéj o litość zawołał. Jakoż począłem ustępować, ale nie duszą, jedno ciałem, bo omdlałość wieku rozeszła się po kościach moich i światłość dzienna bladła w oczach. Dopiero widząc, że już śmierć nadchodzi, resztą sił podniosłem głowę do góry i zawołałem w stronę Rzeczypospolitéj: widzisz-że ty mnie i słyszysz? Aż tu nagle, jakoby przez całe stepy i Perekop, doszedł mnie głos: widzę! — w dalekościach coś się ćmić poczęło, niebo i powietrze zbiegało się do kupy, z czego niewiasta ze słodkiém obliczem wypłynęła i stanęła koło mnie. Ogień przestał mnie parzyć, surowiec nie świstał już nade mną i poczułem, że leżę na ręku onéj niewiasty niesiony. Ona zaś ku niebu leci, a z nią roje aniołków śpiewających: Nie w kontuszu, nie przy karabeli, ale w ranach? Rycerzu, rycerzu w boju mężny, w męce cierpliwy, krwawéj ziemice synu wierny, witaj w spokoju, witaj w szczęściu — w weselu, w weselu!"...

Nie umarł jednakże: wykupiła go z niewoli jego ukochana Marychna, ale z niewiadomych powodów za niego nie wyszła; walczył potém nieraz w bojach i dożył późnéj starości. Autor dodaje od siebie, że szlachcic ten umarł bezpotomnie i był ze swego rodu ostatnim.

Taka jest figura idealna, nakreślona przez pisarza, który od początku swego zawodu tak silne ku realizmowi miał skłonności; idealizm ten był wypływem rozczy-

tania się w Kalderonie i Słowackim, ale się nie mógł długo w umyśle Sienkiewicza utrzymać, zapragnął on stworzyć postaci realne z przeszłości, którymby mógł nadać cały blask swgo kolorystyczngo talentu. Od Kalderona przeszedł do Szekspira, a po części i Dumasa-ojca i napisał powieść czterotomową p. t.: „Ogniem i Mieczem“ (1884 r.).

Rozgłos, pozyskany przez nią, zaledwie da się porównać z owém nadzwyczajném zajęciem, jakie się przed laty mniéj-więcéj trzydziestu zbudziło przy słuchaniu improwizacyj Deotymy i przy czytaniu powieści szlacheckich Zygmunta Kaczkowskiego. Ustnie, listownie i drukiem udzielano sobie naówczas radosnéj nowiny o narodzinach gieniuszów. Ze wszystkich zakątków kraju słychać było donośne dytyramby na ich cześć wyśpiewywane. W czasopismach jeden panegirysta na to tylko ustawał, ażeby zrobić miejsce drugiemu.

Podobne objawy, towarzyszące wyjściu „powieści z lat dawnych“ i jéj autorowi tém wyrazistsze mają znaczenie, iż społeczeństwo nasze starsze jest o całe lat trzydzieści, że wskutek tego jego wymagania znacznie podrosły i wyrobiły się. Tym podwyższonym wymaganiom nowy utwór widocznie choć w pewnéj mierze odpowiada, jeżeli mu się tak głośno przyznaje tytuł arcydzieła.

Lecz wyższy stopień świadomości społecznéj ma także i mniéj dla autora dogodne następstwa. Oddziaływanie przeciwko przesadnéj ocenie wartości utworów Deotymy i Kaczkowskiego pojawiło się w lat kilka po pierwszym wybuchu zapału; reakcya przeciw zachwytom nad „Ogniem i mieczem“ zaczyna się, lubo nieśmiało, ukazywać niemal równocześnie z niemi.

Następstwa-to dla miłości własnéj autora zapewne niezbyt przyjemne, ale mogą się stać pożytecznemi.

Zbyt wielkie pochwały nietylko wywołują ducha sprze-

czności, ale — co dla pisarza ważniejsza — powodują czytelników do stawiania względem tak zarekomendowanego utworu żądań odpowiadających téj wysokiéj sferze, w jakiéj go umieszczono. Zastósowanie miary właściwéj staje się wtedy rzeczą dla nich trudną, tak, że gdy przypadkiem nie znajdą ziszczenia swych nadziei śniących o doskonałości, mają zazwyczaj pretensyą nie do zanadto gorliwych chwalców, ale do samego autora. Wówczas to opozycya, ułatwiając czytelnikom możność odnalezienia odpowiedniéj miary sądu, robi pośrednio usługę autorowi, zbyt wielki ciężar odpowiedzialności z jego artystycznego sumienia usuwając. Opozycya może wprawdzie pójść zadaleko, może w reakcyjném zacietrzewieniu widzieć usterki tam, gdzie są zalety, a istotnym pięknościom odmówić ich znaczenia, ale może téż sprawić, że autor zachwalone słabostki lub błędy we właściwém ujrzy świetle.

Prócz tego opozycya wczesna przyczynić się może zdoła do zmniejszenia nagłości zwrotów w opinii. Uwielbiane niegdyś arcydzieła Kaczkowskiego dzisiaj wspominane są przez wielu z uśmiechem pobłażania, a ogłoszony za najlepszą powieść historyczną, za epopeję prawdziwą „Murdelio“ nie zasługuje sobie u niektórych krytyków nawet na prostą wzmiankę. Lekceważenie to lub zapomnienie jest równie niesprawiedliwe, jak były przesadne uniesienia i zachwyty. Gdyby we właściwym czasie chłodniejszy pogląd znalazł był posłuch, możebyśmy dzisiaj słuszniejszą słyszeli ocenę zarówno dawnych jak i najnowszych zjawisk.

Z takiém przekonaniem i w tym celu napisany jest rozbiór niniejszy „powieści z lat dawnych“.

* * *

W szkicu Ludwika Kubali p. n. „Oblężenie Zbaraża“ znajduje się między innemi następna wiadomość:

„Pod Toporowem zjawił się w namiotach królewskich żebrak, bardziéj do cienia niż do człowieka podobny, i oddał listy od regimentarzy z pod Zbaraża. Był-to dzielny towarzysz pancerny, Jan Skrzetuski, wysłany od Firleja do króla. Przewiózł się w nocy przez staw, całą noc w trzcinie leżał, w dzień w chróstach się czołgał, manowcami się przemykał i w błocie się topiąc, nieprzyjacielskie omylił straże i przyniósł listy, a co król w piśmie wyczytał, to wszyscy z jego oblicza wyrozumieli".

Umysł nowellisty, podającego rozbiór Szkiców historycznych Kubali, uderzony był prawdopodobnie malowniczością tego wypadku i odwagą rycerza. Powstał w nim już wtedy zapewne zamiar artystycznego zużytkowania téj pięknéj postaci, tak wybitnie rysującéj się na tle groźnych wypadków dziejowych. Być może, pierwotnie zamyślał Sienkiewicz o krótkiéj nowelli, w któréjby ta jedna chwila z życia człowieka skądinąd nieznanego, przez dziejopisów zaznaczona, odpowiedni artystyczny wyraz znaleść mogła. Atoli w miarę zagłębiania się w źródła historyczne celem dokładniejszego zapoznania się z tym momentem dziejowym, w którym Skrzetuski wyróżnił się z pomiędzy szaréj masy ogółu, fantazya nowellisty zapełniała się obrazami ludzi i wypadków, tak się mnożących, że o ich wyzyskaniu w nowelli myśleć było już niepodobna, że zatém wypadało pomyśleć o większém, powieściowém malowidle. Wszelako nawet w téj obszernéj kompozyci, pierwsze, jak się zdaje, wrażenie praw swych nie utraciło: autor pod jego wpływem uczynił wypadek, który go tak zajął, kulminacyjnym, a zarazem końcowym punktem swego opowiadania — wbrew nawet wymaganiom historyi i sztuki.

Ponieważ dzieje poza owym wypadkiem nic więcéj o Skrzetuskim powiedzieć nie umieją, wziął go naturalnie Sienkiewicz na bohatera powieściowego, którego losy sta-

nowić mają więź utrzymującą w łączności wszystkie a tak różnorodne obrazy. Nie chcąc być w niezgodzie z historyą, musiał te losy pojąć o tyle niezależnie od przebiegu wypadków dziejowych, iż one na ich rozwijanie się nic a nic nie wpływają. Oprócz wierności historycznéj osiągnął przez to autor ten dodatni skutek, że bohater jego pełni swój obowiązek rycerski i obywatelski bez zarzutu, a co więcéj, z chlubą, ale równocześnie pozbawił się jednéj z bardzo ważnych zalet kompozycyi, to jest jedności. Czytelnik nie nabiera wprawdzie fałszywego wyobrażenia o wypadkach, że gdyby nie to lub owo z bohaterem powieściowym się stało, toby sprawy publiczne całkiem inną drogą poszły; widzi nadto w tym bohaterze tylko bardzo małoznaczącą pod względem dziejowym osobistość; — lecz zarazem zamiast się przypatrywać jednemu obrazowi, przeskakiwać musi wzrokiem od jednego do drugiego: miłosna historya Skrzetuskiego biegnie równolegle z historyą jego rycerską, ale oczywiście nigdzie się z nią przyczynowo nie styka. Łączność pomiędzy niemi istnieje o tyle tylko, że jedna i druga odbijają się na tle strasznych klęsk i wielkich niebezpieczeństw.

Ale jakkolwiek obszerne powieściopisarz przeznaczył miejsce dla historyi miłosnéj, to wszakże o wiele obszerniejsze dostało się owemu tłu dziejowemu i to tak dalece, że treść jego z konieczności utworzyła obraz samoistny.

Do odmalowania obrazu tego takie niemal robił powieściopisarz studya jak historyk. Pracę miał wprawdzie wielce ułatwioną przez znakomite dzieło Szajnochy („Dwa lata z dziejów naszych“) i pisma Kubali („Szkice“, „Jerzy Ossoliński“); ale na tych utworach nie poprzestał i postarał się o świadectwa z pierwszéj ręki. Pod tym względem, Sienkiewicz idąc za przykładem autorów francuskich i niemieckich (Flauberta, Ebersa) dbał o ścisłość historyczną

daleko większą, aniżeli którykolwiek z naszych dotychczasowych powieściopisarzy. Nietylko główne wypadki wzięte do opowiadania, ale nawet drobniejsze szczegóły, nawet rozmowy w znacznéj części są albo dosłownie z pamiętników, dyaryuszów i innych dokumentów wzięte, albo też są wierną, artystycznie obrobioną ich parafrazą. Faktycznéj stronie w przedstawieniu wypadków chybaby jaki historyk fachowy miał co do zarzucenia.

Inaczéj rzecz się ma z oświetleniem zdarzeń i postaci historycznych.

Przedstawiając wielki przełom dziejowy, którego skutki dziś jeszcze dotkliwie odczuwać się dają, bardzo trudno jest historykowi, a témbardziéj powieściopisarzowi utrzymać się w granicach bezwzględnéj bezstronności; zamiłowania jego i wstręty wyjść muszą na jaw.

Jednym z takich przełomów są niewątpliwie wojny kozackie, których najsilniejszy wybuch obrał Sienkiewicz za przedmiot swéj powieści. W jakimże stosunku stanął powieściopisarz wobec dwu stron wojujących?

Napozór zachowuje on owo stanowisko przedmiotowe, które jest znamienną cechą jego artyzmu. Męstwo, dzielność, względną szlachetność, pewną rycerskość przyznaje on zarówno kozakom jak Polakom; i tu i tam są gorsi i lepsi ludzie; zupełnie złych indywiduów ani wśród jednych, ani wśród drugich autor nie maluje, dostrzega tylko czerń ukraińską rozbestwioną.

Przyczyny powstania kozackiego: ucisk potężnych oligarchów, odjęcie przywilejów, znaglanie do pańszczyzny i rozmaitego rodzaju opłat powieściopisarz wskazuje wyraźnie; stawiając obok nich żądzę zemsty osobistéj i ambicyę Chmielnickiego.

Zdawałoby się więc, że w przedstawieniu tego strasznego sporu pomiędzy Rusią a Polską zrobiono w powie-

ści wszystko, co tylko zrobić należało. Jeden nawet z zachwyconych krytyków twierdzi, że Sienkiewicz przez usta Skrzetuskiego wypowiedział najprawdziwsze, najsłuszniejsze słowo w téj sprawie, słowo, którego historycy nasi odnaleść nie umieli.

Ale czy tak jest rzeczywiście? Czy przedmiotowość owa, czy ta sprawiedliwość dla stron obu jest istotną?

Gdyby historyk powiedział to, co mówią Chmielnicki i Skrzetuski, jako przedstawiciele dwu stron (tom I, 270—279), możeby to dla oddania prawdy historycznéj wystarczało. Ale insza rzecz z powieściopisarzem, który dla uwydatnienia myśli innemi rozporządza środkami aniżeli dziejopis. A jakże-to przedstawia Sienkiewicz przyczyny owéj „kozackiej rebelii?“ Oto streszcza je w rozmowie naczelnika rebelizantów z rycerzem polskim z pod chorągwi Jeremiego Wiśniowieckiego. W téj rozmowie, w któréj Skrzetuskiemu łatwo było na papierze odnieść moralne nad Chmielnickim zwycięstwo, streścił to, co z jednéj i drugiéj strony powiedzieć się dało, i osądził, że zrobił dosyć. Wskazać w akcyi, wskutek jakich-to wpływów uczucia i namiętności ludu ukraińskiego rozpasały się i poniosły mord i pożogę na szlachtę i żydów, uznał za rzecz zbyteczną. Dlaczego? Przeciwnie zaś obrazy rozbestwienia chłopskiego nie raz i nie dwa w jaskrawych przedstawił barwach. Dlaczego? Wszak względy artystyczne przemawiały za równomiernem traktowaniem tak jednéj strony, jak i drugiéj. Czy obrachowując względną siłę wrażeń, nie powinien był liczyć na to, że szczegóły rozmowy zatrą się w pamięci czytelników, a pozostanie w niéj tylko łuna pożarów i krew z wymyślnością tyranów przez czerń przelewana?

Idźmy daléj. Klęski poniesione przez rycerstwo polskie, jeżeli nastąpiły po dzielnéj obronie, kreśli powieściopisarz szczegółowo, a drobne zwycięstwa w potyczkach opowiada

z zamiłowaniem; obronę Zbaraża starał się podnieść do rozmiarów epicznych. Ale porażki, których rycerze prawdziwi wstydzićby się musieli, ale srom pilawiecki bardzo pobieżnie wspomina. I znowu zapytać trzeba dlaczego? Przedmiotowość zarówno historyczna jak artystyczna zdawała się napominać, ażeby dowolnie cieniami i światłem nie szafować. O krótkiém, kronikarskiém niemal zaznaczeniu ucieczki z pod Pilawiec umysł czytelnika niebawem zapomni, a obrazy cierpień bohaterskich lub chwały zostaną w nim wyryte głęboko.

Któż jest bohaterem części historycznéj? Słynny „palej" Jeremi Wiśniowiecki. Dziwném u naszych poetów cieszy się szczęściem ten mężny rębacz, ambitny magnat, po swojemu kochający rzeczpospolitą obywatel, dla którego prawem jest tylko samowola. Jeszcze za życia napisano mu sążnisty, rozwlekły panegiryk: „Pochodnia sławy wojennéj". Niebawem po jego śmierci, bohaterem go zrobił Samuel Twardowski w „Wojnie domowéj". W naszém stuleciu Karol Drzewiecki wziął go za najszlachetniejszego, najrozumniejszego i najdzielniejszego przedstawiciela ówczesnéj Polski w swoich „scenach dramatycznych z XVII wieku". Obecnie uidealizował go Sienkiewicz. Łatwo zrozumiéć, że malowniczość postaci mogła zwabić ku sobie artystę. Z początku zdawać się nawet mogło, że go wystawi jako typ oligarchy, panującego samowładnie na Zadnieprzu, oligarchy, dla którego jedyném prawem jest własna tylko wola; ale niebawem przemienia go autor na świętego niemal bohatera, myślącego tylko o dobru rzeczypospolitéj, a zapominającego najzupełniéj o sobie, niepamiętnego uraz, nie mającego ani odrobiny miłości własnéj. Gwoli takiemu pojęciu téj postaci, na parę kartek przedtém (II, 216), zanim przytoczył słowa Wiśniowieckiego wyrzeczone do żołnierzy: „mordujcie ich tak, by czuli, że umierają", zanim w krót-

kości zeszkicował wrogie postępowanie Wiśniowieckiego w Pohrebyszczach i Niemirowie, Sienkiewicz nie wahał się o nim napisać: „Książę powściągał surowie wszelką swawolę żołnierską i nie płynęły za wojskiem jęki ludzkie przekleństwa i narzekania“ (II, 205). Co więcéj o kilka wierszy niżéj po tych słowach zaznacza, że okrzyki: „Jarema idzie! Jarema idzie!“ nieciły postrach wśród ludności: „kosy widły i noże wypadały z rąk chłopskich, twarze bladły kupy swawolne pomykały nocami ku południowi, jak stada wilków przed odgłosem rogów myśliwskich“. Takiż-to efekt sprawiała na tych kupach wieść o łagodném postępowaniu Jaremy?... Naturalnie i jeden i drugi fakt, co prawda, jest możliwy; względem jednych okazywać się mógł Jeremi wyrozumiałym, względem drugich srogim; ale przejść od jednego faktu do drugiego bez żadnego objaśnienia, bez żadnego przeciwstawienia, nawet bez spójnika *lecz*, nie wypada ani historykowi ani artyście-powieściopisarzowi. Sienkiewiczowi tém mniéj, że malując niejednokrotnie postrach wzbudzany samém nazwiskiem Jaremy, raz tylko, i to w pierwszym tomie, odmalował jego surowość, pomieszaną wszelako z ukrywaném uczuciem litości; drugi zaś raz poprzestał, jak wspomniałem, na zeszkicowaniu mordów w Pohrebyszczach i Niemirowie.

Była piękna chwila w życiu Wiśniowieckiego, w któréj przytłumiwszy w sobie popędy samowoli i ambicyi, złożył na ofiarę krajowi miłość własną i pogodził się ze swoim starym przeciwnikiem ks. Dominikiem Zasławskim. Wiadomo z dziejów, jak drobiazgowe drażliwości przez kilka dni zatrzymywały dokonanie się téj zgody wodzów, tak potrzebnéj w ówczesném położeniu; jak dobre popędy Jeremiego łatwo ustępowały złym; jakie starania przedsiębrać wypadło, ażeby ze szczęśliwego momentu w usposobieniu księcia korzystać... Gdyby powieściopisarz nie był zamierzył

przedstawić Wiśniowieckiego jako męża, który nietylko orężem ale i głową przewyższał wszystkich spółczesnych, a charakter miał najszlachetniejszy i najczystszy; toby niewątpliwie zużytkował wskazówki historyi, utworzyłby postać zgodną z dziejami, a wielce zajmującą pod względem psychologicznym i artystycznym. Ale Sienkiewicz wymarzył sobie papierową doskonałość i szlachetność i dlatego przypisał Wiśniowieckiemu samorzutne i bezwzględne poświęcenie nietylko miłości własnéj, lecz nadto poświęcenie jaśniejszego i głębszego poglądu na sprawy rzeczypospolitéj, na sposób działania zarówno z kozakami, jak wogóle z innemi wrogiemi czynnikami. W chwili walki wewnętrznéj z sobą wypowiada swój plan. Czuje on siłę odpowiednią do zgniecenia buntu: „z ramion strzelają mu skrzydła, jakby skrzydła św. Michała archanioła; oto zmienia się w jakiegoś olbrzyma, którego zamek cały, cały Zbaraż, cała Ruś objąć nie może“... Złamawszy bunt „jego się ciałem jeszcze utuczy, jego siłami zolbrzymieje, krocie kozaków do krociów szlachty przyłączy i pójdzie daléj: na Krym uderzy, straszliwego smoka w jego własnéj jamie dosięgnie, krzyż zatknie tam, gdzie dotąd nigdy dzwony wiernych na modlitwę nie wzywały... Albo téż pójdzie w te ziemie, które raz już kniazie Wiśniowieccy kopytami końskiemi stratowali, i granice rzeczypospolitéj, a z niemi kościoła, do *ostatnich kranców ziemi* rozciągnie“.. Tym daleko sięgającym planom, które zdaniem jego jedynie są dobre, a w dodatku wykonalne, ponieważ polityka Ossolińskiego i Kisiela na nic się nie zda wobec nieprzeliczonych tłumów zbrojnych, staje na przeszkodzie... trudnoby się było zaiste domyślić... poczucie potrzeby karności obywatelskiéj. Idea karności i Wiśniowiecki! dziwne zestawienie... Prędzéj można mówić o wszystkiém inném, o obudzeniu się szlachetnych popędów, o pokonaniu miłości własnéj, o poczuciu potrzeby ratowania ojczyzny, ale pojęcie

karności? Gdzież ono było wśród ówczesnych królewiąt wogóle, a wszczególności gdzie i kiedy przejawiło się u Wiśniowieckiego? A jednak Sienkiewicz w łańcuch rozmyślań ks. Jeremiego, którego wojsko i szlachta bliższa chciała mieć na swém czele, wtłacza następne ogniwa: „I on obywatel, on żołnierz, ma stawać na czele bezprawia? ma je swoją powagą okrywać? ma pierwszy dawać przykład niekarności, samowoli, nieposzanowania praw?... On - to ma dawać tak straszliwy przykład wiekom potomnym? Cóż bowiem się stanie? Dziś tak uczyni Wiśniowiecki, jutro Koniecpolski, Potocki, Firlej, Zamojski lub Lubomirski? A gdy każdy, bez uwagi na prawo i karność, gwoli własnéj ambicyi, działać rozpocznie; gdy dzieci pójdą wzorem ojców i dziadów: jakaż-to przyszłość czeka ów kraj nieszczęsny!.. Wróg najgorszy, to nie Chmielnicki, ale nieład wnętrzny, ale swawola szlachty, ale szczupłość i niekarność wojska, burzliwość sejmów, niesnaski, rozterki, zamęt, niedołęstwo, prywata i niekarność — niekarność przedewszystkiém!“

Słowa rozumne, ale słowa tylko. Historycznie, względnie do Wiśniowieckiego prawdopodobnemi nie są; artystycznie i psychologicznie, wyglądają jak wstawka zrobiona tylko dla wywołania zamierzonego efektu, dla zrobienia czegoś podobnego jak „burza pod czaszką“ Jana Valjean'a. Możnaby je zrozumieć i usprawiedliwić w myśl powieściopisarza jako objaw przewrotu w duszy i umyśle Jeremiego, ale Sienkiewicz przewrotu tego niczém nie przygotował, ani też następstw jego w dalszym rozwoju charakteru Jeremiego nie wskazał. Wiśniowiecki przed i po nim jest tąż samą osobistością, a owa chwila, którą autor chciał mieć tragiczną, przemija i niknie bez śladu w rozwoju utworu.

Z tego, co się powyżéj powiedziało, wynika, że jeżeli nie będziemy zwracali uwagi na to. co się tylko nawiasowo mówi w powieści, ale na to, co jest odmalowaném, co jest

naprawdę artystycznie odtworzoném w akcyi, na co zatém największy nacisk położono, i co oczywiście musi w pamięci utkwić najgłębiéj; — to powieść „Ogniem i mieczem“ wyda nam się nie przedmiotowém zobrazowaniem kilku chwil z przeszłości, czém się napozór ukazuje, ale jakby apologią gospodarki szlacheckiéj na Ukrainie, jakby usiłowaniem zakrycia przywar i błędów szlachty ówczesnéj, jakby uidealizowaniem téj polityki, która poczytując lud za bydło juczne, sobie tylko wszelkie prawa ludzkie przyznawała. Stąd autor oprócz odmalowania czysto zewnętrznych klęsk, jakie mieczem i ogniem wzajem sobie zadawano, nie mógł wskazać całéj grozy położenia dziejowego, lecz owszem optymistycznie je oceniał. Że Skrzetuski nie wątpi o siłach Rzeczypospolitéj i zawsze pełen jest najlepszych nadziei, to rzecz wypływająca z jego roli; ale gdy autor od siebie powiada, że sam tylko Chmielnicki wiedział, „ile jest straszliwéj potęgi w pozornéj bezsilności Rzeczypospolitéj“ (II, 210), to zakrawa to na gorzką ironią, zwłaszcza gdy rozważymy owo dotkliwie upokarzające przyjęcie, jakiego doznali u Chmielnickiego posłowie polscy z Kisielem na czele, przyjęcie, którego opis szczegółowy powieściopisarz nam daje.

Jeżeli natomiast obok obrazów namalowanych z zamiłowaniem artystyczném, weźmiemy w rachubę i owe drobniejsze wzmianki uboczne, przedstawiające ujemną stronę ówczesnéj klasy stanowiącéj politycznie naród; to wprawdzie ciasny widnokrąg poglądów rozszerzy się, ale wystąpi zato na jaw pewne wahanie się powieściopisarza, nie mogącego się zdecydować na stanowcze równouprawnienie artystyczne różnych żywiołów wchodzących do jego utworu.

Albo więc jednostronność, albo mętność zapatrywania się na sprawy ogólne zarzucić mu wypadnie — albo téż i jedno i drugie razem. W każdym wypadku obrazowi jego

brak będzie prawdy dziejowéj, nie w szczegółach materyalnych, gdyż te są zawsze wiernie według historyi skreślone, ale w ich skupieniu i w ich oświetleniu. I dlatego to owa prawdziwie tragiczna chwila w dziejach naszych, tak potężnie odtworzona przez Szajnochę w „Dwu latach“, nie wywiera w powieści Sienkiewicza tego wrażenia, jakiego doznajemy przy jéj obrazie w dziele historyka. Nie wzbiera pierś bólem, nie drga niepokojem, nie wzrusza się umysł, nie zapładnia myśl, tylko serce unosi się dumą, iż tak wielkich miała ojczyzna w nieszczęściu obrońców... Przeciwko wzbudzaniu takiego uczucia nie mamy oczywiście nic a nic, ale wolelibyśmy, ażeby ono powstawało tam, gdzieby mogło znaleść rzeczywistszą podstawę, aniżeli... w początkach wojen kozackich.

* * *

Od historyi rzeczywistéj przechodzimy do téj, którą powieściopisarz obmyślił, ażeby dopełnić opis działań politycznych i wojennych przedstawieniem dziejów serca ludzkiego i scen życia powszedniego.

Rozpoczyna się ta historya od prawdziwie zajmującéj a pięknie, na wzór Dumasa-ojca skreślonéj sceny, w któréj powracający z Krymu Skrzetuski ocala życie ściganemu przez zemstę osobistą Bohdanowi Chmielnickiemu. Umiejętnie bardzo i z prawdziwym smakiem artystycznym umieścił ją autor na początku w kształcie prologu; ona bowiem służy mu następnie do uprawdopodobnienia kilku sytuacyj, które bez niéj nie mogłyby nabrać tego charakteru, jaki im chciał nadać powieściopisarz. Chmielnicki przez wdzięczność ocala życie Skrzetuskiemu, darzy go pewnego rodzaju zaufaniem i szacunkiem, przed nim stosunkowo najotwarciéj i najszczerzéj spowiada się ze swoich uczuć i zamiarów, przebacza mu prawdomówność, dozwalając sobie wypowie-

dzieć to, czegoby od innych nie ścierpiał; jedném słowem bez wyraźnego wmieszania się autora, odkrywa nam najwewnętrzniejszą treść duszy, o ile to naturalnie autor uważał za potrzebne.

Skrzetuski, po oswobodzeniu Chmielnickiego, odbywa dalszą drogę, dążąc do Łubien[1]), siedziby księcia Wiśniowieckiego, którego był dworzaninem. Za przybyciem do Czehryna w Dzwonieckim kącie u Dopuła zapoznaje się z dwoma ludźmi, których losy miały się następnie tak ściśle związać z jego własnemi. Jeden był „otyły szlachcic, który miał bielmo na jedném oku a na czole dziurę wielkości talara“; nazywał się Zagłoba, pił za dziesięciu (byle nie za swoje pieniądze), łgał za stu, drwinkował ze wszystkich ludzi potulnych, a zmykał przed odważnymi. Drugim był duży, chudy Litwin, z ogromnym mieczem „pod pachą“, uśmiechający się na wszystko łagodnie, pozwalający się odrwiwać i ośmieszać; nazywał się Podbipięta herbu Zerwikaptur z Myszykiszek; słuchał on ciekawie, odzywał się rzadko, a kiedy się odezwał, to zazwyczaj kilkoma tylko wyrazy, z których najulubieńszemi były: *słuchać hadko*; zrobił ślub czystości, dopóki od jednego zamachu nie zetnie razem trzech łbów pogańskich, jak niegdyś jego przodek.

W dalszéj podróży, po przeprawie przez Dniepr, nastąpiło nowe spotkanie, nowa znajomość. Jak Romeo marzy jeszcze o Rozalinie, zanim poznał Julią, tak Skrzetuski rozmyśla o „słodkich jak miód“ oczach Anusi Borzobohatéj, zanim na drodze do Łubien, gdzie taż przebywała, nie dojrzał innéj pary oczu, co go miały ku sobie nazawsze pociągnąć. Ta para oczu „czarnych, aksamitnych, a łzawych, a mieniących się, a ognistych“ należała do panny „wzrostu

[1]) Tę formę ma Twardowski w „Wojnie Domowéj“. Sienkiewicz stale używa formy *Łubniów*.

wyniosłego, rysów pańskich i bardzo foremnych, z rarogiem na ramieniu". Ujrzawszy je p. Skrzetuski, który widocznie był trochę literatem, choć o tém autor nas nie uprzedza, pomyślał sobie: „Czy Juno we własnéj osobie, czy inne jakoweś bóstwo" i już miał rozpocząć mowę od słów: „Jeśliś jest śmiertelną istotą a nie bóstwem..." gdy wtém raróg, postawiwszy jednę nogę na ręku panny, drugą chwycił się jego dłoni i zamiast przesiąść się, począł kwilić radośnie i przyciągać te ręce ku sobie tak silnie, że się musiały zetknąć. Przy tak szczególnym wypadku, który za wróżbę poczytano, zawarta znajomość z Heleną z Kniaziów Bułyhów-Kurcewiczówną, sierotą krzywdzoną przez stryjenkę, bardzo szybko przemieniła się w miłość silną i niepokonaną. Lecz jéj na wstręcie stanęła inna miłość, miłość Bohuna, walecznego a namiętnego syna stepu, poetycznego jak kozacy Zaleskiego, ale realniejszego od nich. Pierwsze ich zetknięcie się jest wysoce znamienne. W Skrzetuskim widnieje ogłada zewnętrzna człowieka ucywilizowanego, w Bohunie napół dzika szorstkość i gwałtowność. Przewyborny obrazek skozaczałéj rodziny kniaziów Bułyhów, wśród któréj wyróżnia się brat najstarszy, z wypalonemi przez Tatarów oczyma, oddany rozmyślaniu, cierpiący manią religijną i oczekujący przyjścia apostołów. On i kniaziówna Helena, oboje nieszczęśliwi, razem najczęściéj przebywali, gdyż gra na lutni i śpiew dziewczyny działały na umysł chorego uspakajająco, wprawiając go w stan pół-snu, pół-odrętwienia. Skrzetuski poznawszy szybko usposobienie rodziny i znaczenie w niéj Bohuna, nie tracił czasu na długie korowody, krótko i węzłowato zagroził księżnéj wdaniem się Wiśniowieckiego w sprawę Heleny, któréj był opiekunem, i wymógł przyrzeczenie oddania sobie jéj ręki, pomimo że już była poprzednio obiecana Bohunowi.

Tym sposobem został zadzierzgnięty węzeł powieściowy.

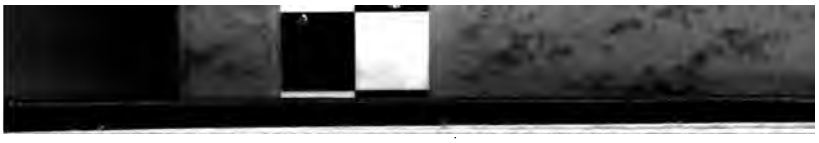

Kto go rozwiąże, czy Skrzetuski czy Bohun — oto kwestya zajmująca głównie ciekawość czytelnika. Kwestyą postawił Sienkiewicz wybornie, ale jéj nie przeprowadził odpowiednio. Przeciwnicy wystąpili przeciwko sobie, nasrożyli się, ale nie stoczyli walki, ani na początku ani w dalszym ciągu, ani w końcu powieści. Bohun przynajmniéj działa we własnéj sprawie, ale Skrzetuski rychło odstępuje pieczę o nią swoim towarzyszom, przyjaciołom i słudze. Trudno dopatrzyć się głębszego jakiegoś powodu, dlaczego powieściopisarz tak pokierował swoje opowiadanie. Możnaby wprawdzie przypuścić, iż Skrzetuskiego odsunął autor od starań o szczęście osobiste, ażeby go zwrócić całkowicie na drogę obowiązku społecznego. Ależ i towarzysze jego w podobném znajdowali się położeniu i lubo robili starania o odbicie Heleny Bohunowi, w niczém przecież powinności swoich rycerskich nie zaniedbali. Możnaby jeszcze mniemać, że w Skrzetuskim powieściopisarz chciał pociągający kobiety smętek odmalować, a przytém jednak zauważyć, że postradawszy nawet nadzieję połączenia się z osobą ukochaną, można żyć i działać pożytecznie. Ale pomijając już tę okoliczność, że dowodzenie takiego morału jest bardzo podrzędną rzeczą dla artysty, który ma za cel uwydatnienie objawów życiowych w ich konsekwentnym rozwoju, powiedzieć wypada, że w takim razie morał wynikłby połowiczny, gdyż ostatecznie Skrzetuskiemu upragnione szczęście dostaje się w udziale, nie przez własne wprawdzie zabiegi, ale chyba jako wynagrodzenie jego rezygnacyi; stąd też dla czytelników a zwłaszcza czytelniczek ta jego rezygnacya wydać się musi trochę sztuczną i trochę nieszczerą. A w dodatku nasuwa się przypuszczenie, że ten szczęśliwy koniec wielkich niepokojów był do pewnego stopnia ustępstwem dla sentymentalnego nastroju czytelniczek, pragnących, żeby przezwyciężywszy

wszelkie trudności Numa koniecznie poszła za Pompiliusza...

Bądź-co-bądź Skrzetuski przybywszy do Łubien i zdawszy sprawę księciu ze swego poselstwa do chana, nudził się wśród dworskiego otoczenia; oczy Anusi już go nie ciągnęły ku sobie; jak zakochany Celadon chronił się przed gwarem do gaju, i „zamiast strzelać do ptaków rozpamiętywał; przed oczyma jego duszy stawała przywoływana pamięcią i sercem postać kochanéj dziewczyny; tam wśród mgły, szumu oczeretów i melancholii owych miejsc doznawał ulgi we własnej tęsknocie". Ale niebawem obficie spadające deszcze wypłoszyły z gaju rozamorowanego namiestnika. Wówczas opanowywać go zaczęła trwoga o los Heleny, wyprawił więc sprytnego sługę, Rzędziana, na zwiady. Ten doskonały Sanszo-Pansa, przebiegły, chciwy na podarunki i pieniądze, myślący ciągle o zbogaceniu się ale przywiązany do pana, przywozi list od kniaziówny, list bardzo zręcznie w stylu archaicznym przez autora skomponowany, ale mający tę wadę, że znać w nim kompozycyą, przy któréj powieściopisarz pobłażliwie się uśmiechał nad własném dziełem. List ten uspokoił Skrzetuskiego.

Kiedy pierwsze wieści o ruchach chłopskich doszły do Łubien i kiedy książę postanowił wyprawić kogoś do Siczy na zwiady, wyprosił sobie tę misyą Skrzetuski, mając zamiar zajechać po drodze do Rozłogów. Pojechał, widział się z Heleną, porozmawiał, ale już jakoś nie przypominał sobie frazesów literackich, tylko, jako „człowiek porywczy" usta całował i zuzuli o liczbę przyszłych chłopczysków pytał, przekomarzając się z narzeczoną.

Rozstawszy się z nią, dostaje się do Kudaku, a lubo go przestrzegano, żeby na Niż się nie puszczał, bo wpadnie w ręce zbuntowanéj czerni, nie dba o nic, a ufny trochę w swoję godność poselską, wyprawia Rzędziana do Rozło-

gów, sam zaś z dodanymi w Kudaku ludźmi płynie w dół Dniepru. Schwytany po mężnéj obronie, stawiony przed Chmielnickiego, hardo odpowiada i nie chce korzystać z warunkowéj wolności, jaką mu dawał dowódca kozactwa. Tym sposobem staje się nieczynnym obserwatorem klęsk poniesionych pod Żółtemi Wodami i Korsuniem, a w dodatku choruje. Wypuszczony wreszcie na wolność bez żadnego warunku, dąży do Rozłogów, widzi ich ruinę, wydaje krzyk nieludzki, straszny, potém niemo rozgląda się do około, traci przytomność, niczyjego głosu nie poznaje, nie słyszy; trzeba było sięgnąć aż do najwcześniejszych wspomnień dzieciństwa, trzeba było przemówić do niego słowami pacierza, ażeby obudzić w nim ducha, ażeby wydobyć głos niezmiernego hólu, ale i rezygnacyi zarazem. „Bądź wola Twoja jak w niebie tak na ziemi“ — oto słowa, któremi dał znak życia, ażeby płaczem w bólu sobie ulżyć.

Cóż się stało w Rozłogach? Bohun, dowodzący kozakami wiernymi jeszcze wtedy Rzeczypospolitéj w Czehrynie, pochwycił Rzędziana, a wskutek gadatliwości Zagłoby, który teraz pił na jego koszt i łgał postaremu, dowiedział się, że to pachołek Skrzetuskiego. Rzecz naturalna, odebrał od niego list do Heleny pisany i wściekły, o mało na śmierć nie zabiwszy Rzędziana, popędził wraz z kozakami do Rozłogów. Pojechał z nim i Zagłoba. Powody, dla których tak zrobił, odsłaniają nam bliżéj charakter jego. „Jechać było niebezpiecznie, bo znaczyło to samo, co *wrazić się* w wojennych, surowych czasach w awanturniczą, gardłową sprawę. A zostać? Czerń istotnie czekała tylko wieści z Siczy, chwili, hasła do rzezi, a możeby i nie czekała nawet, gdyby nie tysiąc semenów Bohuna i jego wielka powaga na Ukrainie“. Mógł się wprawdzie pan Zagłoba schronić i do obozu hetmanów, ale miał swoje powody, dla których tego nie czynił. „Była-li to kondemnatka za jakie zabójstwo, czy też man-

kamencik w księgach, on sam jeden tylko wiedział, dość, że nie chciał w oczy leźć“ (II, 14). Widząc wszakże bliższe niebezpieczeństwo w pozostaniu na miejscu niż w oddaleniu się z Bohunem, wybrał złe mniejsze i pojechał.

Bohun w Rozłogach stoczył krwawą walkę z kniahinią i dwoma jéj synami; zabił ich, lecz i sam został ciężko raniony. Przy życiu utrzymali się Helena, oczekujący apostołów Wasyl i Zagłoba, który podczas walki skrył się był w jakiś zakątek. To co potém nastąpiło, staje się dla czytelnika psychologiczną łamigłówką. Tchórz i nikczemny samolub, jakim poznaliśmy dotychczas Zagłobę, przemienia się na człowieka, który naraża swe życie, ażeby ocalić życie Helenie. Ten, co z charakteru swego powinienby był co najprędzéj wyplątać się z sytuacyi i uciec corychléj, obmyśla środki zaplątania się w gorszą awanturę. Co go skłonić mogło do tego kroku, będącego w rażącéj sprzeczności z jego charakterem? Czy pożądliwość? Bynajmniéj; on ani na chwilę nawet o niéj nie pomyślał. Czy przyjaźń dla Skrzetuskiego? Ależ on go raz tylko widział w Dzwonieckim kącie wśród pijatyki. Tego przełamania instynktu zachowawczego nie tłómaczy w Zagłobie nic, tylko chyba samowola powieściopisarza, któremu potrzeba było figurę tę zużytkować.

A jak w Zagłobie dziwimy się przytajeniu miłości do życia, bez żadnego powodu, tak znów w Helenie, którą jako idealnie szlachetną poznaliśmy, przykro uderza nas zapomnienie o miłości bliźniego. Ona co była jedyną pocieszycielką ślepego Wasyla, ona, która wiedziała, że bez niéj on zginąć musi w opustoszałym dworze, nietylko nie wahała się opuścić go, ażeby uciec z Zagłobą, nietylko nie doznała z tego powodu choćby lekkiego wyrzutu sumienia, ale nawet słówkiem o Wasylu nie wspomniała, tak jakby tenże wcale nie istniał.

Ten podwójny błąd w przedstawieniu duszy osób czyni wielką ujmę powieści, odbiera wiarę w prawdę malowanych postaci, gdyż te nie rozwijają się same według przyrodzonéj natury swojéj, ale wprawiane są w ruch przez autora, któremu pewne kombinacye tak lub inaczéj rządzić niemi nakazują.

W ucieczce rozwija Zagłoba pomysłowość dowodzącą, że był nietylko zdolnym do zmyślania przygód, ale i do stawiania im czoła. Szereg tych przeszkód, jakie miał do pokonania, jadąc konno a następnie przebrany za dziada prowadzonego przez Helenę w ubiorze prowodyra, jest bardzo zręcznie pomyślany i przeprowadzony; jest to niewątpliwie jeden z najbardziéj zajmujących ustępów książki. Sądzone wszakże z punktu realistycznego, przygody Zagłoby i Heleny przedstawiają się tak, jak większa część awantur opowiedzianych przez Dumasa-ojca; nie można im zarzucić wprost nieprawdopodobieństwa, ale raczéj dziwimy się wynalazczości umysłu powieściopisarza, aniżeli wierzymy w odpowiadającą im rzeczywistość; wydają się nam raczéj z fantazyi wziętemi niż odtwarzającemi prawdę.

Dla objaśnienia tych słów jeden przykład. Zagłoba i Helena nocują w stepie. Konie puszczone na paszę odeszły „o trzysta kroków“. Przyszły wilki, jednego konia „porznęły“, drugiego skaleczyły niebezpiecznie. Przytém zarówno konie jak wilki bardzo przyzwoicie rolę swą odegrały. Nie zbliżały się do śpiących, ażeby im snu nie przerywać; wyły zaś i chrapały bardzo dyskretnie, tak, żeby tylko Helena usłyszeć je mogła; nareszcie odezwały się głośniéj, widocznie chcąc zawiadomić tchórzliwego Zagłobę, że już niema niebezpieczeństwa; jakoż gdy wstał i wystrzelił (nie wiadomo w jaki przedmiot), już wilków nie było: zapewne przeczuły dzielnego pogromcę...

Jakkolwiekbądź, Zagłoba Helenę ocalił i umieścił ją

w bezpieczném, jak mu się zdawało, miejscu, u mniszek w Barze. Lecz Bar został wzięty i to wzięty przez Bohuna, który Helenę uwiózł daleko od oczu ludzkich w głuchą pustynię Czortowego jaru. Gorącemi wyznaniami miłości starał się wymodlić u Laszki choć słówko, ale gdy dokazać tego nie mógł, zostawił ją pod nadzorem młodéj czarownicy Horpyny, któréj śmiech podobny był do rżenia kobyły, a sam poszedł... rznąć Lachów. Czy tym sposobem chciał serce swéj lubéj pozyskać, powieściopisarz nie objaśnia, lubo czytelnik jakieś wyjaśnienie znaleść-by przecie pragnął. Bohuna wystawia jako człowieka całkowicie opanowanego przez namiętność; czcił on i szanował Helenę, na jéj słowo wszystkoby poświęcił; zdawaćby się mogło, że straciwszy nadzieję ujęcia sobie jéj serca, mógłby albo całkiem zapomnieć o świecie i jak pies położyć się u progu chaty, gdzie luba spoczywała, albo téż i ją i siebie zabić. Być może, że licząc na wpływ czasu, odwlókłby tę stanowczą chwilę, ale chcąc dopomódz temu wpływowi, walczyłby w sprawie miłych jéj Lachów.

Bohun nic z tego nie robi, odjeżdża i spotyka się naturalnie z przyjaciółmi Skrzetuskiego. Raz zaskakuje jego oddział pijanego Zagłobę, tak, że ten już nie wątpi o śmierci, ale szczęśliwy zbieg okoliczności pozwala mu nietylko się ocalić, ale żołnierzy Bohuna przepłoszyć i jego samego na wielkie niebezpieczeństwo narazić. Drugi raz spotyka się oko w oko z tymże Zagłobą jako poseł Chmielnickiego do kanclerza; wtedy przemyślny Zagłoba zręcznie namawia towarzysza swego, Wołodyjowskiego, małego wzrostem, ale dzielnego ramieniem, do odbycia z kozackim watażką pojedynku. Pojedynek wypadł dla Bohuna niepomyślnie; raniony był tak, że nikt już widzieć go żywym nie spodziewał się. A jednak wyszedł z téj biedy zdrowo, tylko już miłéj Heleny nie ujrzał.

Długo jéj kryjówka była przyjaciołom Skrzetuskiego nieznana, aż nareszcie dowiedział się o niéj podstępem wierny Rzędzian a podzieliwszy się tą wiadomością z Zagłobą i Wołodyjowskim, poszedł wraz z nimi do Czortowego jaru. Zabiwszy Horpynę, uprowadzili kniaziównę. Rzędzian odwiózł ją wtedy w miejsce niewątpliwie już bezpieczne.

Poza historyą miłosną jest jeszcze historya osobna tych kilku indywiduów, które weszły w stosunki bliższe ze Skrzetuskim. Zagłoba, Podbipięta, Wołodyjowski to jakby Portos, Atos i Aramis w towarzystwie D'Artagnana-Skrzetuskiego. Ich widzimy, począwszy od drugiego tomu prawie ciągle na widowni powieściowéj, na ich działaniu skupia się uwaga czytelnika, oni stanowią ten pierwiastek ruchu, który opowiadanie naprzód posuwa.

Znamy już Zagłobę. Raz przyjąwszy niewytłómaczony fakt jego przeobrażenia, gdy powziął zamiar uwiezienia Heleny, już w dalszym ciągu widzimy w nim charakter jednolity. Łgarz i samochwalca, tchórz i pijak, ma przecież w gruncie poczciwe serce, umie się nawet rozczulać; przyciśnięty koniecznością staje się rozpaczliwie odważnym. Konceptu nigdy mu nie brakuje, a jakkolwiek dowcipy jego są zazwyczaj mieleniem niedorzeczności, trafiają mu się i rzetelnie wesołe pomysły. Rozjaśnia on oblicza, gdzie tylko się zjawi. Najpyszniejszym jest wówczas, gdy mimowoli staje się bohaterem, gdy tchórzostwo jego zbiegiem okoliczności zmusza go do dopełnienia czynu, który zdaleka patrzący uważają za dzieło męstwa. Jakże szybko oryentuje się wtedy w swojém położeniu, jak umie wyzyskać przychylną dla siebie opinią, jak umiejętnie utwierdza wszystkich w tém mniemaniu, że podziwiać go i wdzięczni mu być powinni. Najwyższą jego chwałą było zabicie Burłaja. Ten widząc „ogromnego szlachcica, przebiegającego z rykiem żubrowym pobojowisko, zerwał się i szedł jak błyszczący płomień na

niego". Zagłoba ryknął ze strachu jeszcze silniéj i zwrócił konia do ucieczki. „Reszta włosów stanęła mu dębem na głowie, ale przytomności nie stracił, owszem fortele, jak błyskawice, przelatywały mu przez głowę, a jednocześnie wrzeszczał co siły: Mości panowie, kto w Boga wierzy!... i gnał, jak wicher, ku gęstszéj kupie jeźdźców. Burłaj zaś przebiegał mu od boku, jakoby po cięciwie łuku. Pan Zagłoba zamknął oczy, a w głowie szumiało mu: zdechnę, ja i pchły moje! Słyszał za sobą prychanie konia, spostrzegł, że nikt nie idzie mu z pomocą, że nie uciecze i że żadna inna ręka, chyba jego własna, nie wyrwie go z burłajowéj paszczęki. Ale w téj ostatniéj chwili, w téj już prawie agonii, nagle rozpacz jego i przestrach zmieniły się we wściekłość; ryknął tak strasznie, jak żaden tur nie ryczy, i zwinąwszy konia na miejscu, zwrócił się na przeciwnika. — Zagłobę gonisz! — krzyknął, nacierając z szablą wzniesioną. W téj chwili nowe stado płonących maźnic rzucono z okopów, *ucsyniło się* widno; Burłaj spojrzał i zdumiał. Nie zdumiał, usłyszawszy imię, bo go nigdy w życiu nie słyszał, ale poznawszy męża, którego, jako Bohunowego przyjaciela, ugaszczał niedawno w Jampolu. Ale właśnie ta nieszczęsna chwila zdumienia zgubiła mężnego wodza mołojców, bo nim się opamiętał, ciął go pan Zagłoba przez skroń i jednym zamachem zwalił z konia". Gdy go następnie żołnierze nieśli wśród okrzyków na ręku, powiadał: „Ha! zadałem mu pieprzu! Umyślnie udałem ucieczkę, żeby go za sobą wywabić. Nie będzie nam więcéj psubrat burłajował! Mości panowie! trzeba było dać przykład młodszym! Na Boga! ostrożnie, bo mnie uronicie i potłuczecie". Rzecz naturalna, odtąd opowiadanie o ścięciu Burłaja, stało się przedmiotem ciągłych przechwałek walecznego Zagłoby, a doniosłość tego zwycięstwa rosła za każdym razem.

Zupełnie inszego rodzaju człowiekiem jest pan Longinus Podbipięta. Potulny i skromny, o swoich zasługach nigdy nie mówi; bo nie słowa ale czyny są jego istotą. Im bliżéj mu się przypatrujemy, tém lepiéj oceniamy jego wartość moralną. Rośnie on w oczach naszych na prawdziwego olbrzyma odwagi i poświęcenia. Te drobne śmieszności, jakie w jego mowie i zachowaniu się dostrzegamy, tém prawdziwszą postać jego nam przedstawiają. Dokonywa on wielu dzielnych czynów, spełnia szczęśliwie swój ślub, ścina od jednego zamachu trzy głowy tararskie, lecz najpiękniejszą jest śmierć jego, kiedy wyszedłszy z oblężonego Zbaraża, ażeby donieść królowi o rozpaczliwym stanie oblężonych, zabiwszy wielu, pada pod strzałami Tatarów z modlitwą na ustach. Może jest trochę teatralności w tym obrazie, może wskutek tego wielka z pomysłu scena maleje w wykonaniu; ale bądź-co-bądź śmierć to prawdziwie bohaterska.

Jako drugi a szczęśliwszy od Podbipięty wysłaniec ze Zbaraża występuje pan Skrzetuski i silniéj się przez to zaznacza. I on niejednego czynu dokazał, ale po owym akcie rezygnacyi, jako doskonałość papierowa, a nie indywiduum żywe, ginął trochę wśród barwniejszych od siebie osobistości a wypływa znów na wierzch pod koniec utworu. Scena przeprawy przez staw, którą widocznie chciał powieściopisarz jeszcze bardziéj w pamięci czytelników aniżeli scenę śmierci Podbipięty utrwalić, nie robi należytego wrażenia. Zbyt nerwowym zrobił na tę chwilę Skrzetuskiego, zbyt podobnym do dzisiejszego rozpieszczonego pokolenia. Żołnierze zostający tak długo w oblężeniu mieli niejednokrotnie sposobność bardzo blizkiego stykania się z trupami, żeby na nich jakieś denerwujące wrażenie robić mogły. Żołnierze XVII wieku lękali się niewątpliwie dyabłów, upiorów i czarów, ale z trupami byli dobrze spoufaleni. Stąd, gdy czy-

tamy w opisie tego brodzenia przez staw błotnisty: „długie łodygi grzybienia obejmowały go za kolana, a jemu włosy powstawały na głowie, że to już może nurek topiclec obejmuje go, aby nie puścić *więcéj*; Jezus Marya! Jezus Marya! — szeptał bezustanku;“ to się nam przypomina Kordyan, dziecię wieku XIX, ale nie towarzysz zpod chorągwi Wiśniowieckiego. Krótko i węzłowato, ale zgodniéj z krzepkim duchem rycerstwa, tę samę wyprawę opowiedział Twardowski. Jego Skrzetuski nie roi sobie fantasmagoryj i nie lęka się ich, bo to twarda i przemyślna sztuczka:

Tędy się obierze
Zpod chorągwie towarzysz-że w prostym ubierze
Pluhatera jednego, czuhaj wdziawszy ruski
I gońkę i postoły, — niejaki Skrzetuski
Drogi się téj podejmie i od wodzów listy
Owe weźmie. Toż w nocy tedy przeźroczystéj
W staw najpierwéj przyległy śmiało się ochynie,
I z tymi gdy szczęśliwie (dziwna rzecz!) przepłynie
Najmniéj nic zmoczonymi, po trawach czołgając,
I szczero-prawdziwego Rusina kłamając,
Dobierze się Załoziec... (*Wojna Domowa* str. 77)

Taki Skrzetuski jest niewątpliwie prawdziwszym i poetycznie lepszym podobno bohaterem, niż zbyt miękki i zbyt wrażliwy ulubieniec Sienkiewicza.

Wołodyjowski wreszcie, ten wiecznie kochliwy „mały rycerz“, a zawsze gotowy do walki choćby dla zabawki, wylany dla przyjaciół, wesoły, znoszący bez sprzeciwiania się przechwałki Zagłoby, nadstawiający zań grzbieta i głowy, nie ma wprawdzie rysów bardzo wybitnych, ale w tym charakterze średniéj miary jest dobrze utrzymany. Najznakomitszym jego czynem jest pojedynek z Bohunem, wyzyskiwany następnie przez Zagłobę na cześć własną, bez protestu ze strony Wołodyjowskiego.

Oprócz tych postaci głównych jest jeszcze oczywiście

wiele innych figur podrzędnych, epizodycznych, a wszystkie bez wyjątku z właściwym sobie odrębnym charakterem grubszemi ale zawsze znamiennemi rysami nakreślonych. Nie wchodząc tu w ich opis, zaznaczyć należy ogólnie wielkie bogactwo, wielką rozmaitość temperamentów. Wszystkie one żyją życiem własném: czy to Zaćwilichowski, Barabasz, Grodzicki, Charłamp, czy Kisiel, Tyszkiewicz, czy Tuhaj-bej, Krzeczkowski lub Krzywonos.

* * *

Co do artystycznego obrobienia, to u tak znakomitego stylisty, jakim jest Sienkiewicz, nie mogło być inne jak znakomite.

Talent-to, jak wiemy, w najpełniejszém znaczeniu wyrazu plastyczny. Ludzi jego, krajobrazy i sceny widzi się wyraźnie w całéj ich postaci i rozmiarze, w całéj różnorodności barw i odcieni. Każda z występujących osób ma właściwy sobie język, którego nie zapomina nigdy, bo jest jéj przyrodzony, z nią razem stworzony. Jeżeli przypomnimy sobie znaczną liczbę tak głównych, jak podrzędnych kreacyj, to ogarnie nas zdumienie nad obfitością w utworzeniu i konsekwencyą w przeprowadzeniu tych różnorodnych sposobów wyrażania się.

Z tym nadzwyczajnym talentem łączy się szczęśliwie utrzymana miara artystyczna zarówno w nastroju całości, jak szczegółów, zarówno w rysunku postaci, jak w nakładaniu barw. Biorąc ogółem, autor nie daje się unieść ani niepotrzebnemu liryzmowi, ani zbyt chłodnemu i wyrachowanemu rozsądkowi, nie popada ani w przesadną patetyczność, ani w poziomą trywialność; nie pozwala się przechylić zanadto ku jaskrawości, ani też nie dopuszcza wyblakłości. Nad wszystkim panuje rozmysł artystyczny do wysokiego stopnia wyrobiony i pewny siebie.

Gdyby te przymioty w najwyższéj istniały skali i gdyby spółdziałały z sobą zawsze harmonijnie, mielibyśmy arcydzieło stylu. Zbliża się wprawdzie do niego powieść „Ogniem i mieczem“, ale niém nie jest.

Bezwarunkowo najlepszemi w utworze są te drobne rysy, w podpatrywaniu i odtwarzaniu których Sienkiewicz jest istotnym mistrzem. Dosyć sobie przypomnieć dwór kniaziów Bułyhów w Rozłogach lub tę procesyą w Zbarażu, podczas któréj ks. Jaskólski, dawniéj żołnierz przesławny, zézował ku obozowi kozackiemu i nie mogąc wytrzymać mruczał: „kury im sadzać, nie z dział bić“, albo trzeźwienie Rzędziana przez Zagłobę, który lejąc mu wino w gardło, dogadywał: jeśli mu wino nie pomoże, to zełgał, że szlachcic. Takich rysów i podobnych scen jest w powieści bardzo dużo. Ale połączenie scen w wielki obraz ma już znaczne braki.

Jak pod historycznym tak i pod artystycznym względem zaznaczyć tu można pewną jednostronność. W treści opowiadania przeważa zanadto żywioł wojenny. Autor na wzór naszych dawnych poetów, Twardowskiego i Potockiego cały ciąg wydarzeń w chronologicznym przedstawia porządku, tam tylko zaniedbując malowniczego i szczegółowego opisu bitew, gdzie z pewnych powodów, o których poprzednio mówiliśmy, nie chciał robić większego nacisku. Nie można tu twierdzić, iż bitew tych i potyczek powinno być w powieści wiele, ponieważ było ich dużo w rzeczywistości, bo ażeby artystycznie dać poznać jakiś wypadek, nie potrzeba go koniecznie z całą drobiazgowością kronikarza przedstawiać, jak chcąc odmalować bujną czuprynę nie potrzeba znać dokładnie liczby włosów ją składających. Parę bitew umiejętnie wybranych wystarczyłoby dla celów artystycznych; a miejsce przez opuszczenie innych uzyskane,

możnaby było na wszechstronniejsze zobrazowanie ówczesnego życia obrócić. Uniknęłoby się przez to téj jednostajności, która pomimo całego talentu autora, daje się przecież uczuć czytelnikowi, a co ważniejsza uniknęłoby się tego fałszywego wniosku, jaki się z odczytania „Ogniem i mieczem“ nasunąć może, iż całe życie polityczne i społeczne ówczesnéj rzeczypospolitéj skupiało się wyłącznie na Ukrainie, albo nawet w obozie Jeremiego Wiśniowieckiego. Ogólne stosunki polityczne kraju, które zarówno dla zrozumienia sytuacyi na Ukrainie, jak dla wytłómaczenia niektórych faz zatargu rzeczypospolitéj z kozakami byłyby potrzebne, nie zostały nawet zaznaczone. Rola Ossolińskiego, jakkolwiek ją oceniać zechcemy, zawsze jednak nader ważna w ówczesném działaniu, nie przeprowadzona w akcyi, znajduje ogólnikowe napomknienie dopiero przy końcu dzieła. Elekcya króla wraz z zarysem stronnictw zaledwie dotknięta. Widownią działania w pierwszym tomie wyłącznie, a w następnych, z bardzo drobnemi wyjątkami, jest Ukraina. A tu na Ukrainie widzi autor tylko szlachtę, kozaków i czerń bezimienną. Ani szlachta niewojenna, ani mieszczanie ani żydzi nie występują w akcyi, tylko jako ofiary rzezi. Zarówno mieszczanie np. lwowscy, jak szlachta szukająca schronienia w miastach lub zatrzymująca oddech po wsiach, jak żydzi, budzący taką w czerni nienawiść, mogli być odmalowani zarówno z dodatniéj jak z ujemnéj strony. Dla dopomożenia fantazyi powieściopisarza nie brak nawet materyałów. Nie mówiąc o powszechnie znanych, możnaby np. zwrócić uwagę na opowiadanie żyda Natana Hannowera, spółczesnego wypadkom. Opisuje on między innemi scenę w Tulczynie godną artystycznego upamiętnienia. Zamknięci i otoczeni w ogrodzie żydzi przez czas długi dręczeni byli przygnębiającém oczekiwaniem. Pomiędzy niemi było trzech starszych rabinów: Łazarz, Salomon i Chaim, którzy upo-

minali spółwierców, ażeby wytrwali w swéj wierze. Tłum odpowiedział im jednogłośnie słowami Deuteronomium: „Słuchaj Izraelu, Pan Bóg nasz — Bóg jeden. Jak w waszych sercach jeden jest tylko Bóg, tak i w naszych“. Przyszedł następnie wysłaniec od kozaków, który zatknąwszy chorągiew w ziemi, donośnym głosem zawołał: „Kto zechce zmienić wiarę, zostanie przy życiu. Ci niech siądą pod tą chorągwią“. Ale nikt mu na to nie odpowiedział nic. Gdy po trzykrotném wezwaniu nie otrzymał odpowiedzi, otworzył wrota ogrodowe; rozwścieczony tłum kozacki rzucił się niemi i wymordował w najróżnorodniejszy sposób około 1500 ludzi, a w ich liczbie trzech owych starszych rabinów.

Co do samych obrazów bitew, dotychczas mówiono o nich tylko z największemi pochwałami. Jako niekompetentny, nie mogę wypowiadać swego sądu, co do szczegółów; lecz jeżeli mi wolno podzielić się wrażeniem, jakie wywiera ich ogół, tobym wyznał, że wrażenie to ma wielkie podobieństwo do odczuwania bitew malowanych.

Wytłómaczę się z tego na przykładzie. Po zdradzie Krzeczowskiego, pozostał wiernym rzeczypospolitéj regiment knechtów pod dowództwem Jana Wernera, który postanowił bronić się do upadłego. Było to na Dnieprze około południa. Werner wydał cicho rozkazy, by bajdaki przysunąć do siebie, tak aby utworzyły jedno zwarte koło. Na okręgu tego koła, stanął mur piechurów, ludzi rosłych i silnych, przybranych w żółte kolety i takiejże barwy kapelusze, w zupełnym szyku bojowym, *z lewą nogą wysuniętą naprzód do strzału* i z muszkietami przy prawym boku. Werner rozmawia z Krzeczowskim, zachęcającym do przejścia na stronę Chmielnickiego, a knechci w owéj pozycyi stoją. Krzeczowski daje czas do namysłu, póki słońce nie zajdzie. Knechci wciąż stoją. „Bajdaki kozackie otoczyły ciaśniej-

szym pierścieniem Niemców, którzy zachowywali chłodną postawę, jaką tylko stary i bardzo wyćwiczony żołnierz zdoła zachować wobec niebezpieczeństwa. Na groźby i obelgi, wybuchające co chwila z kozackich bajdaków, odpowiadali pogardliwém milczeniem. Był-to prawdziwie imponujący widok tego spokoju wśród coraz silniejszych wybuchów wściekłości ze strony mołojców, którzy potrząsając groźnie spisami i piszczelami, zgrzytając zębem i klnąc, oczekiwali niecierpliwie hasła do boju. Tymczasem słońce, skręcając od południa ku zachodniéj stronie nieba zdejmowało zwolna swoje złote blaski z łachy, która stopniowo pogrążała się w cieniu. Nakoniec pogrążyła się zupełnie". Wówczas to dopiero, na dany znak, Niemcy huknęli z muszkietów i nastąpiła bitwa.

Na obrazie, który jak naturalna, jednę tylko chwilę wystawić może, istotnie imponującym byłby widok tych spokojnie stojących Niemców „z lewą nogą wysuniętą naprzód do strzału i z muszkietami przy prawym boku;" ale w powieści kazać stać w téj pozycyi od południa do zachodu słońca, to może trochę zadużo liczyć na wytrwałość muszkułów choćby starego i bardzo wyćwiczonego żołnierza. Ta niewygodna pozycya nie usprawiedliwia się nawet konieczną potrzebą, gdyż czas do namysłu dany był do wieczora, a kozacy, którzy Niemców dla siebie chcieli pozyskać, nie mogli zamierzać podstępnego ich wymordowania. Pociąg do malowniczości przemógł u artysty nad dbałością o prawdę realną.

Od obrazów wojennych, z pomiędzy których wyróżnić-by jeszcze wypadało wyborne sceny narad kozackich i rozmów Chmielnickiego z Tuhaj-bejem, przejdźmy do malowania przygód. Wspomniałem już, że Sienkiewicz, idąc za wzorem powieściopisarzów francuskich, rozwija zasoby

kombinującéj wyobraźni w obmyślaniu trudności i środków przełamania ich. Tak się rzecz ma mianowicie w ucieczce Zagłoby z Heleną, a następnie w uwiezieniu jéj z Czortowego jaru. Oddając należne uznanie pewnéj ruchliwości fantazyi autora, wytknąć mu przecież wypadnie, że nie potrafił zadość uczynić surowym wymaganiom artyzmu, że raczéj chciał drażnić ciekawość czytelnika, aniżeli spełnić artystyczne zadanie w raz obranym kierunku. Nie jestem ja wielkim zwolennikiem tego rodzaju sztucznych nieraz pomysłów, ale zdaje mi się, że konsekwencya wszędzie, a więc i w utworach piękna, nigdy nie zaszkodzi. Téj konsekwencyi w rozwijaniu przygód u Sienkiewicza nie widzimy. Zacząwszy bowiem opisywanie przypadków czy Zagłoby z Heleną, czy Zagłoby z Wołodyjowskim i Rzędzianem, i doprowadziwszy je do pewnego punktu, urywa nagle szczegółowe przedstawienie, na to, ażeby późniéj w krótkich słowach dopowiedzieć ogólnikowo ich koniec. Przygody Zagłoby w ucieczce maluje autor szczegółowo tylko do przeprawy przez Dniepr, gdy tymczasem późniéj dowiadujemy się, iż Falstaf nasz odprowadził Helenę aż do Baru. Od Dniepru do Baru w prostéj linii jest 60 mil blizko. Jakim sposobem przebył tę przestrzeń, zajętą już w znacznéj części przez zbuntowane tłumy, przemyślny pan Zagłoba, jakich chwytał się konceptów, ażeby się z licznych trudności wywinąć: o tém dowiadujemy się tylko z łgarstw Zagłoby (II, 314—319), który, jak drugi Rykow, baje o swojéj umiejętności czarnoksięskiéj i o takiéjże sztuce Chmielnickiego. Podobnież dostanie się do Czortowego jaru i uwiezienie Heleny przedstawione malowniczo aż do chwili, w któréj napad Tatarów przymusił rycerzy do rozłączenia. Rzędzian umknął z Heleną przodem, Zagłoba z Wołodyjowskim pozostali w tyle, ażeby zasłaniać ucieczkę. Jakim sposobem potrafił się Rzędzian przedrzeć przez Ukrainę

w ogniu aż do Zamościa, o tém dziwny w ustach Rzędziana lakonizm powiada tylko tyle: „Siłaby gadać, mój jegomość. Mało mię Tatarzy nie uchwycili, bom się przemykał koło Zbaraża między niemi a Burłajem. Oj ciasno tam było, témbardziéj, że nie byłem sam... Chy, chy! mój jegomość. Umykałem, aż się kurzyło, i umknąłem aż pod Zamość“... Taka relacya nie może objaśnić nic.

Gdyby powieściopisarz wogóle nie wdawał się w szczegółowe malowanie przygód, ale zaznaczał je tylko; tobyśmy przyjęli jego sposób opowiadania bez zarzutu; ale gdy raz rozpoczął inną metodą, spodziewać się słusznie mogliśmy, iż jéj pozostanie wiernym aż do zupełnego wyjaśnienia szczegółów sytuacyi. A nie chodzi tu o zaspokojenie ciekawości tylko; gdyż i pod czysto artystycznym względem utrzymanie się na jednym poziomie w raz obranym kierunku byłoby rzeczą pożądaną, nadawałoby bowiem opowiadaniu formę wykończoną, bez widocznych sklejań. Wymagania artyzmu stają się usprawiedliwieniem wymagań zwykłéj ludzkiéj ciekawości. Zdaje się, że autor „powieści z lat dawnych“ będąc wyznawcą pierwszych nie lekceważy i drugich... tylko nie chciał może zaspokoić wytężonéj uwagi czytelniczek, ale ją podrażnić.

Rzecz o przygodach naprowadza nas na stosunki gieograficzne. Od położenia miejscowości, od umiejętnego w nich oryentowania się powodzenie ich nieraz w wysokim stopniu zależy.

Sienkiewicz nie zna podobno Ukrainy z widzenia. Flaubert chcąc napisać *Salambô* odbył naumyślną podróż do Afryki, ażeby się przyjrzeć naturze i miejscom, które malować zamierzył. Może to nie jest zbyt wielkiém od powieściopisarza polskiego wymaganiem, ażeby, obrawszy Ukrainę za wyłączną niemal widownię swéj obszernéj po-

wieści, zaznajomił się wprzódy z nią osobiście. Sądził może Sienkiewicz, że dokładne poznanie opisów Ukrainy wystarczy mu. Po części nie chybił w przypuszczeniu, a to tém bardziéj, że nader ostrożnie zapuszcza się w szczegóły krajobrazowe. Step jego jest stepem bardzo pięknie namalowanym, ale dość konwencyonalnym. O ileż barwniejszym przedstawia się w powieści Jeża „Z burzliwéj Chwili!“ Monografia p. Dubieckiego o Kudaku sprawiła, że Sienkiewicz zarysował nam Niż zgodniéj z prawdą, lepiéj od tych, co nas tam dotychczas prowadzali. Gieograficzne szczegóły są wogóle dobrze wystudyowane, tylko małe pod tym względem uchybienia lub zapomnienia zaznaczyć się dają. Gdy powiada np. „Wskutek wieści o postępach wojny domowéj na *lewym* brzegu i wskutek wrzenia między chłopstwem, całe szlacheckie Zadnieprze zwaliło się do Łubniów“ (II, 170); to trzeba czytać na *prawym* brzegu Dniepru; Łubny czy Łubnie leżały na lewym brzegu; wrzenie chłopstwa było istotnie i tutaj, ale wojna domowa szalała na prawym. Możnaby to wprawdzie poczytywać za omyłkę druku, gdyby w inném miejscu i to w bardzo ważném nie powtarzało się toż samo. Zagłoba i Helena uciekają z Rozłogów, miejsca zbyt pamiętnego w dziejach miłosnych, opowiadanych przez powieściopisarza, ażeby o położeniu jego można było zapomnieć. Rozłogi tedy leżały na lewym brzegu Dniepru. Ponieważ zbiegowie kierują się ku Złotonoszy, leżącéj także na brzegu lewym, więc téj rzeki nie przebywają. A tymczasem na str. 131 tomu II powiada autor o Zagłobie: „I postanowił przeprawić się na *lewy brzeg dnieprowy*“. Albo więc zapomniał o całym przebiegu ucieczki, albo téż bierze brzeg lewy za prawy. Z powodu tego poplątania miejscowości nie rozumiemy dostatecznie planów ucieczki Zagłoby. W stronę Łubien uciekać nie chce, gdyż się boi spotkać z Bohunem; o klęsce korsuńskiéj wie, a przecież

lezie w samo ognisko wojny i zaburzeń. W dodatku zaś pociesza się niezrozumiałą dla czytelników otuchą, mówiąc: „W Prochorówce Dniepr przejedziemy, a tam już moc hetmańska“ (II, 112).

Niepodobna téż zgodzić się, iżby trafném było wyrażenie (II, 207): „Chmielnicki postawszy czas jakiś w Korsuniu, do Białocerkwi *się cofnął* i tam stolicę swą założył“. Ponieważ Białocerkiew leży na północo-zachód od Korsunia, przeto o Chmielnickim, który przybywał z Niżu, powiedzieć chyba można, że się z Korsunia do Białocerkwi *posunął*.

Takie i tym podobne usterki nie szkodzą oczywiście dziełu, ale wytknięcie ich może nie będzie bez pożytku na przyszłość.

Pod względem nastroju można również znaleść miejsca słabsze. Stosunkowo najczęściéj napotkać się daje w utworze pewna przesada i melodramatyczność. W dotychczasowéj twórczości swojéj Sienkiewicz nie miał pola do okazania swéj siły. Powieść „Ogniem i mieczem“ nastręczyła mu po temu sposobność. Starał się więc okazać ją, o ile na nią dotychczas się zdobył. Świetnych dowodów, takich, któreby równoważyły, pod względem znaczenia swego, znane objawy miękkości i rzewności naszego powieściopisarza, nie złożył, ale bądź-co-bądź dał niewątpliwe wskazówki, iż je kiedyś złożyć potrafi. Czasami tylko zapominał, że jak realizm nie polega na wypisywaniu w powieści takich wyrazów, które w zoologii tylko mają przywiléj wszystkich liter, tak wzniosłość i siła nie jest równoznaczna z teatralnością. Kiedy Chmielnicki w przemowie do Skrzetuskiego, wskazawszy mu płonącą kometę, ręce ku górze wyciągnął i zdawał się płonąć cały jak wielka pochodnia zemsty (I, 274), to możemy w nim tylko pozę podziwiać. A kiedy znów autor od siebie, uogólniając szcze-

gółowe obrazy rzezi i mordów „niesłychanych od początku świata“, powiada: „Piekło odczepiło z łańcuchów wszystkie zbrodnie i puściło je na świat, by pohulały,“ — to nam słowy temi przypomina niejeden melodramat. Nie powiemy też, ażeby właściwemi były naśladowane z dawnych epopei. a po części z „Pana Tadeusza“ zwroty czysto-poetyczne, jak np.: „Wielu prostych rycerzy okryło się nieśmiertelną sławą w tym pamiętnym okopie zbaraskim, lecz lutnia będzie sławiła w pierwszym rzędzie pana Longina Podbipiętę, dla jego tak wielkich przewag, że chyba jego skromność mogła wejść z niemi w paragon“ (III, 615). Gdzie o lutni być może mowa, jak w poezyi, tam uszedłby zwrot taki, ale w prozie brzmi dość dziwnie, a nawet dosłyszeć w nim można pewien drwiący odcień, który jest na miejscu w napół żartobliwym, lecz nie w całkiem poważnym nastroju.

Styl w ściślejszém znaczeniu wyrazu, wyborny w odtwarzaniu mowy osób, w opowiadaniu szczegółów, nie został utrzymany w jednostajnym tonie co do całości. W większéj części książki stara się autor przemawiać językiem archaicznie zabarwionym, który nie będąc ślepém naśladowaniem mowy XVII wieku, jest przecież całkiem różny od dzisiejszego. Wyrażenia łacińskie, umiarkowanie użyte, zabarwiają dykcyą, nie szpecąc jéj wszakże. W niektórych atoli ustępach nie umiał się utrzymać w tonie i wyrażeniach, lecz przemówił językiem wieku XIX. Najjaskrawiéj pod tym względem odbija zakończenie od początku powieści. W początku przybiera nietylko mowę odmienną od dzisiejszéj, ale nawet lubi, dla wywołania większego złudzenia, podzielać przekonania i przesądy ogólne epoki dawniejszéj. W końcu zaś przemawia językiem i stylem własnym, ocenia ludzi i wypadki według pojęć dzisiejszych, indywi-

dualnych. Dwa krótkie wyjątki dadzą o tém niejakie wyobrażenie.

„Rok 1647 — tak rozpoczyna Sienkiewicz swą powieść — byłto dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia. Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanéj ilości wyroiła się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich. Latem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potém kometa pojawiła się na niebie. W Warszawie widywano téż nad miastem mogiłę i krzyż ognisty w obłokach, odprawiano więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki. Nareszcie zima nastała tak lekka, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnéj“ (I, 14).

Zupełnie w ten sam sposób rozpoczyna swoję „Wojnę Domową“ Samuel ze Skrzypny Twardowski.

Inaczéj w zakończeniu. Tu w charakterystyce Ossolińskiego widzimy wyraźny wpływ sądu Ludwika Kubali o tym polityku, a styl już jest właściwy samemu Sienkiewiczowi:

„Był-to gienialny teoretyk, który nie umiał być gienialnym praktykiem, i wpadł w koło błędne bez wyjścia. Wpatrzony w jakąś myśl, mającą wydać owoc w przyszłości, szedł ku niéj z uporem fanatyka, nie bacząc, że ta myśl, w teoryi zbawienna, może wobec istniejącego stanu rzeczy wydać w praktyce straszliwe klęski. Chcąc wzmocnić rząd i państwo, rozpętał straszliwy żywioł kozacki, nie przewidziawszy, że burza zwróci się nietylko przeciw szlachcie, magnackim latyfundyom, nadużyciom, swawoli szlacheckiéj, ale przeciw najrdzenniejszym interesom samego państwa“ (III), 715, 716).

Obok polskiego dość często w powieści pojawia się język małoruski. Rzeczą to było naturalną i dla charakterystyki narodowości potrzebną, ale na nieszczęście autor nie zna dobrze mowy Ukraińców i z form małoruskich bardzo często tworzy formy rosyjskie lub polskie. Zamiast wypisywać cały szereg przekrzywionych wyrazów, podam tylko jeden frazes. Podczas posłuchania, jakie dał Chmielnicki poselstwu polskiemu, jeden z pułkowników, zamierzywszy się buławą na księdza Łętowskiego, zakrzyknął (według Sienkiewicza):

— Mołczy, pope, ne twoje dieło łeż mi zadawaty! Chody jeno na dwor, nauczu ja tebe półkowników zaporoskich szanowaty!

W takim kształcie jest form rosyjskich trzy i trzy polskie. Frazes ten brzmiał zapewne inaczéj, a mianowicie:

— Mowczy, pope, twoje to diło nam to zadawaty? Chody-no, pope, na dwir, nauczu ja tam tebe, jak zaporożśkich połkownikiw szanowaty! (Kostomarowa: Bohdan Chmielnicki, II, str. 70 wyd. 4-go).

Przysłowiowego wyrażenia, jakiém się Chmielnicki posługiwał, — *sekoda howoryty* — widocznie autor nie zna, gdyż go, o ile pamiętam, ani razu nie użył, chociaż lubi zbierać takie rysy znamienne.

Brak zlania w jednę organiczną całość dwu pierwiastków składających „powieść z lat dawnych", jednostronność historyczna w malowaniu zdarzeń i osób, jednostronność artystyczna w daniu bezwzględnéj przewagi scenom wojennym, wadliwe zakończenie, będące raczéj ucięciem aniżeli zaokrągleniem, nieutrzymanie stylu w całości: oto wady niedozwalające nam widzieć arcydzieła w utworze Sienkiewicza. Nie jest to jeszcze wielka i pięknie przeprowadzona kompozycya, ale tylko świetnie nieraz wykonane jéj cząstki. Nowellista nie przemienił się jeszcze w doskonałego po-

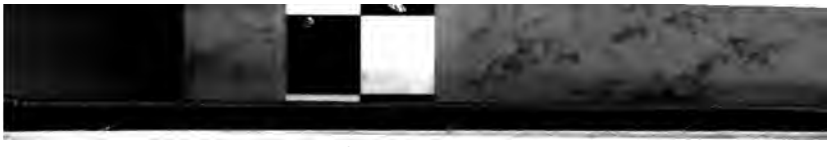

wieściopisarza, lecz w każdym razie dał dzieło, mogące zająć zaszczytne miejsce obok *Listopada*, *Murdeliona*, *Grobu Nieczui*, *Uskoków*, *Hrabiny Kozel*, którym bardzo wiele zawdzięcza, bez których nie mógłby być takim twórcą-artystą jakim jest.

1872—1880 - 1884.

KONIEC.

THE UNIVERSITY OF MICHIGAN LIBRARIES